William L. Shirer

POWSTANIE I UPADEK III RZESZY



Tom I: Hitler i narodziny III Rzeszy

Wydawnictwo Napoleon V

WILLIAM L. SHIRER

POWSTANIE I UPADEK III RZESZY

TOM I
HITLER I NARODZINY III RZESZY

OŚWIĘCIM 2019

Ta wyczerpująca kronika drogi Hitlera do władzy, nagrodzona National Book Award, jest nazywana „jednym z najważniejszych dzieł historycznych naszych czasów” (*The New York Times*).

Hitler chełpił się, że III Rzesza przetrwa tysiąc lat. Upadła po zaledwie dwunastu. Lecz w tym krótkim okresie doszło do najbardziej katastrofalnych wydarzeń znanych zachodniej cywilizacji.

Żadne inne imperium nie zostawiło po sobie takiego morza dokumentów, opisujących jego narodziny i zagładę. Gdy zaciekła wojna dobiegała końca, lecz zanim naziści zdążyli zniszczyć swoje akta, domagający się bezwarunkowej kapitulacji Alianci weszli w posiadanie wyczerpującej historii imperium koszmaru stworzonego przez Adolfa Hitlera. Zdobycz obejmowała świadectwa nazistowskich przywódców, ale także więźniów obozów koncentracyjnych, dzienniki urzędników, transkrypcje tajnych narad, rozkazy wojskowe, prywatne listy – kolosalną dokumentację, opisującą dążenie Hitlera do podboju świata.

William L. Shirer, słynny korespondent zagraniczny i historyk, który od 1925 r. obserwował i opisywał nazistów, przesiewał te góry dokumentów przez pięć i pół roku. Owocem jego tytanicznej pracy jest monumentalne dzieło, powszechnie uznawane za wyczerpujący opis najstraszniejszych rozdziałów w dziejach ludzkości.

Ten światowy bestseller został uznany za podstawową, klasyczną pracę na temat nazistowskich Niemiec.

Tytuł oryginału
The Rise and Fall of the Third Reich
© Copyright 2000 William L. Shirer
© All Rights Reserved
© Copyright for Polish Edition
Wydawnictwo NapoleonV
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Mateusz Grzywa
Redakcja:
Michał Swędrowski
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

Strona internetowa wydawnictwa:
www.napoleonv.pl
Kontakt: napoleonv@o2.pl



Numer ISBN: 978-83-7889-946-4

Skład wersji elektronicznej:
Kamil Raczyński
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Słowo wstępne

Księga pierwsza
Nastanie Adolfa Hitlera

- Rozdział I
  Narodziny III Rzeszy
- Rozdział II
  Narodziny Partii Nazistowskiej
- Rozdział III
  Wersal, Weimar i pucz piwiarniany
- Rozdział IV
  Umysł Hitlera i korzenie III Rzeszy

Księga druga
Triumf i konsolidacja

- Rozdział V
  Droga do władzy: 1925-1931
- Rozdział VI
  Ostatnie dni republiki: 1931-1933
- Rozdział VII
  Nazyfikacja Niemiec: 1933-1934
- Rozdział VIII
  Życie w III Rzeszy: 1933-1937

Przypisy

Często odczuwałem gorzki żal na myśl o narodzie niemieckim, którego jednostki są tak godne szacunku, ale ogół taki marny…
Goethe

Hitler był przeznaczeniem Niemiec, przeznaczeniem, którego nie dało się zatrzymać.
Feldmarszałek Walther von Brauchitsch, naczelny dowódca niemieckiej armii, 1938-1941

Nawet tysiąc lat nie wymaże winy Niemiec.
Hans Frank, generalny gubernator okupowanych ziem polskich, przed egzekucją w Norymberdze

Ci, którzy nie pamiętają przeszłości, są skazani na jej powtarzanie.
George Santayana

SŁOWO WSTĘPNE

Choć mieszkałem i pracowałem w III Rzeszy przez połowę jej krótkiego żywota, obserwując na własne oczy, jak Adolf Hitler umacnia dyktatorską władzę nad tym wielkim, lecz czasami zagadkowym narodem, a potem wiedzie go ku wojnie i podbojom, to nie podjąłbym próby napisania tej książki, gdyby pod koniec II wojny światowej nie doszło do wyjątkowego w dziejach wydarzenia.

Mam na myśli przejęcie większości poufnych archiwów niemieckiego rządu oraz wszystkich jego instytucji, w tym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Armii, Marynarki Wojennej, Partii Narodowosocjalistycznej oraz tajnej policji Heinricha Himmlera. Nigdy wcześniej, a przynajmniej tak mi się wydaje, w ręce historyków nie wpadł tak obfity skarb. Jak dotąd archiwa mocarstw, nawet tych, które przegrały wojnę, a potem traciły rząd w wyniku rewolucji, jak w przypadku Niemiec i Rosji w 1918 r., były zachowywane przez władze, a publikowano jedynie dokumenty służące interesom nowych reżimów.

Raptowny upadek III Rzeszy wiosną 1945 r. zaowocował zdobyciem nie tylko obszernych archiwów oficjalnych dokumentów, ale też innych bezcennych materiałów, takich jak prywatne dzienniki, ściśle tajne mowy, raporty z konferencji i korespondencje, a nawet transkrypcje rozmów telefonicznych nazistowskiego kierownictwa, przygotowane w specjalnym biurze powołanym do życia przez Hermanna Göringa w Ministerstwie Lotnictwa.

Na przykład generał Franz Halder prowadził skrupulatny dziennik, zapisywany systemem Gabelsbergera nie tylko z dnia na dzień, ale wręcz z godziny na godzinę. Jest to wyjątkowe źródło zwięzłych informacji dla okresu pomiędzy 14 sierpnia 1939 r. a 24 września 1942 r., kiedy to Halder pełnił funkcję szefa Sztabu Generalnego Armii i utrzymywał codzienne kontakty z Hitlerem oraz innymi przywódcami nazistowskich Niemiec. Jego dziennik ujawnia najwięcej, ale inne także mają ogromną wartość, np. doktora Josepha Goebbelsa, ministra propagandy i bliskiego zausznika Hitlera, czy generała Alfreda Jodla, szefa ds. operacji w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych (OKW). Istnieją też dzienniki samego OKW i

Naczelnego Dowództwa Marynarki Wojennej. Sześćdziesiąt tysięcy akt z archiwów niemieckiej marynarki, zdobytych w Schloss Tambach pod Coburgiem, zawiera praktycznie wszystkie kody, dzienniki okrętowe, dzienniki, notatki służbowe itp. z okresu pomiędzy 1868 r., kiedy to powstała nowoczesna niemiecka flota, a kwietniem 1945 r.

485 ton dokumentów niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zdobytych przez amerykańską 1. Armią w różnych zamkach oraz kopalniach w górach Harz, tuż przed tym, jak na rozkaz Berlina miały zostać spalone, obejmuje nie tylko okres III Rzeszy, ale i czasy Republiki Weimarskiej, a także II Rzeszy Bismarcka. Przez całe lata tony nazistowskich dokumentów zalegały opieczętowane w wielkim magazynie amerykańskiej armii w Alexandrii w stanie Wirginia, a nasz rząd nie przejawiał żadnego zainteresowania, aby otworzyć skrzynie i sprawdzić, jakie historyczne skarby mogą się w nich kryć. Lecz w końcu, w 1955 r., dziesięć lat po ich zdobyciu, dzięki inicjatywie Amerykańskiego Stowarzyszenia Historycznego oraz hojności kilku prywatnych fundacji, dokumenty z Alexandrii zostały odpieczętowane, a mała grupka historyków, dysponująca niedostatecznym personelem i sprzętem, zaczęła się przez nie przedzierać i dokładnie je obfotografowała, zanim rząd, który działał w tej sprawie w wielkim pośpiechu, zwrócił je Niemcom. Okazało się, że stanowią niezwykle cenną zdobycz.

Podobnie rzecz się ma z takimi dokumentami, jak niekompletne stenogramy z 51 „konferencji Führera”, opisujące bieżącą sytuację wojskową z perspektywy kwatery Hitlera, czy pełniejszymi tekstami rozmów nazistowskiego wodza z jego starymi kamratami partyjnymi i sekretarzami. Pierwsze z wyżej wymienionych zostały ocalone przez oficera wywiadowczego 101. Dywizji Powietrznodesantowej ze spopielonych resztek dokumentów Hitlera w Berchtesgaden, drugie znaleziono w papierach Martina Bormanna.

Setki tysięcy nazistowskich dokumentów zwieziono w pośpiechu do Norymbergi i wykorzystano je jako dowody przeciwko głównym zbrodniarzom wojennym. Relacjonując pierwszą część procesów, zgromadziłem sterty ich kopii, a później także 42 opublikowane tomy zeznań i dokumentów procesowych, uzupełnione o 10 tomów anglojęzycznych przekładów wielu ważnych dokumentów. Treść innych dokumentów wydanych w piętnastotomowej serii, dotyczącej 12 kolejnych

procesów norymberskich, również okazała się wartościowa, jednak w tym przypadku wiele dokumentów i zeznań pominięto.

I wreszcie, oprócz tej bezprecedensowej masy dokumentów, istnieją zapisy gruntownych przesłuchań niemieckich oficerów oraz funkcjonariuszy partyjnych i rządowych, a także ich późniejsze zaprzysiężone zeznania, składane w toku rozmaitych procesów, które jak sądzę, stanowią źródło niedostępne po żadnej z wcześniejszych wojen.

Naturalnie nie przeczytałem całości tej przytłaczającej dokumentacji – dalece wykraczałoby to poza możliwości jednego człowieka. Ale przerobiłem sporą jej część, choć, jak każdego pracownika tej niezwykle żyznej winnicy, spowalniał mnie brak jakichkolwiek indeksów.

To niebywałe, jak niewiele my, dziennikarze i dyplomaci rezydujący w Niemczech za nazistowskich rządów, wiedzieliśmy o tym, co naprawdę działo się za fasadą III Rzeszy. Totalitarna dyktatura z samej swej natury działa w głębokiej tajemnicy i potrafi ukrywać swoje sekrety przed zachłannymi oczyma ludzi z zewnątrz. Odnotowywanie i opisywanie nagich, fascynujących, a często ohydnych wydarzeń w okresie III Rzeszy nie było trudne: dojście Hitlera do władzy, pożar Reichstagu, krwawa czystka ludzi Röhma, anszlus Austrii, kapitulacja Chamberlaina w Monachium, okupacja Czechosłowacji, ataki na Polskę, Skandynawię, Zachód, Bałkany i Rosję, koszmary nazistowskiej okupacji i obozów koncentracyjnych, likwidacja Żydów. Jednakże brzemienne w skutki decyzje podjęte w tajemnicy, intrygi, zdrady, przesłanki oraz wynaturzenia, które do nich doprowadziły, zakulisowe role głównych aktorów, zakres sianego przez nich terroru oraz techniki jego organizowania – to wszystko i znacznie więcej pozostawało przed nami ukryte, dopóki nie odnaleźliśmy tajnych niemieckich dokumentów.

Niektórzy mogą sądzić, że na próby opisania dziejów III Rzeszy jest jeszcze zdecydowanie zbyt wcześnie, że zadanie to należałoby zostawić późniejszemu pokoleniu badaczy, któremu upływ czasu zapewni właściwą perspektywę. Przekonałem się, że pogląd ten dominuje zwłaszcza we Francji, gdy pojechałem tam przeprowadzić pewne badania. Usłyszałem wtedy, że historycy nie powinni się zmagać z niczym nam bliższym niż epoka napoleońska.

Pogląd ten ma solidne uzasadnienie. Większość historyków czeka pięćdziesiąt, sto albo i więcej lat, zanim podejmie próbę opisania dziejów państwa, imperium czy epoki. Jednak czy nie dzieje się tak głównie dlatego,

że aż tyle czasu musi minąć, aby na światło dzienne wyszły stosowne dokumenty i wyposażyły historyków w niezbędny materiał badawczy? Ponadto autor wprawdzie zyskiwał perspektywę, ale czy przez brak osobistej znajomości życia i atmosfery opisywanych czasów oraz postaci historycznych zarazem czegoś nie tracił?

W przypadku III Rzeszy, a jest to przypadek wyjątkowy, niemal cała dokumentacja stała się dostępna wraz z upadkiem reżimu, a co więcej, została wzbogacona świadectwem wszystkich przywódców, którzy przeżyli wojnę, wojskowych i cywilnych, nierzadko złożonym niedługo przed egzekucją. W każdym razie, dysponując tak niezrównanymi i szybko dostępnymi źródłami, a także żywą i świeżą pamięcią życia w nazistowskich Niemczech oraz wyglądu, zachowania i charakteru rządzących nimi ludzi, nade wszystko zaś Adolfa Hitlera, postanowiłem podjąć próbę przedstawienia dziejów narodzin i upadku III Rzeszy.

„Żyłem podczas całej tej wojny, będąc w wieku, który pozwolił mi pojąć jej wydarzenia i poświęcić im uwagę, by uchwycić dokładną prawdę na ich temat”, zauważa Tukidydes w *Historii wojny peloponeskiej*, jednym z największych dzieł historycznych w dziejach.

Poznanie całej prawdy na temat Niemiec Hitlera było dla mnie ogromnie trudne i nie zawsze możliwe. Lawina źródeł pozwoliła dotrzeć ścieżką wiodącą do prawdy dalej niż wydawałoby się to możliwe dwie dekady wcześniej, ale jej ogrom bywał też dezorientujący. Nie zapominajmy, że we wszystkich dokumentach i świadectwach muszą znaleźć się zbijające z tropu sprzeczności.

Od czasu do czasu na strony niniejszej książki zapewne zakradają się moje osobiste uprzedzenia, które musiały przecież wykształcić się z życiowych doświadczeń oraz cech charakteru. Nienawidzę totalitarnej dyktatury z zasady, a do tej konkretnej czułem tym większy wstręt, im dłużej w niej żyłem i obserwowałem jej paskudną napaść na ludzką duszę. Niemniej jednak w niniejszej książce starałem się być surowo obiektywny, pozwalając, aby fakty mówiły same za siebie i wskazując źródło każdego z nich. Żadne wydarzenie, scena ani cytat nie zostały zmyślone; wszystkie opierają się o dokumenty, zeznania naocznych świadków czy też moje własne obserwacje. Kilka, kilkanaście sytuacji, w których pojawiają się spekulacje i brakuje faktów, jest wyraźnie zaznaczonych.

Nie mam wątpliwości, że wiele osób będzie podważało moje interpretacje. To nieuniknione, wszak nie ma ludzi nieomylnych. Wnioski

zaprezentowane przeze mnie w niniejszej książce – aby nadać narracji jasności i głębi – to przemyślenia oparte na mojej wiedzy oraz doświadczeniach.

Adolf Hitler to prawdopodobnie ostatni wielki awanturnik-zdobywca w tradycji Aleksandra, Cezara czy Napoleona, a III Rzesza to ostatnie imperium, które podążyło ścieżką Francji, Rzymu i Macedonii. Szybkie wynalezienie bomby wodorowej i pocisków balistycznych, które można wymierzyć w księżyc, na razie spuściło kurtynę na ten etap historii.

W naszej nowej epoce przerażających, śmiercionośnych wynalazków, które tak nagle zastąpiły stare, pierwsza wielka wojna agresywna, o ile do takowej dojdzie, zostanie rozpętana przez oszalałego samobójcę jednym wciśnięciem elektrycznego guzika. Wojna taka nie będzie trwała długo, a po niej nie przyjdą już kolejne. Nie będzie już zdobywców ani podbojów, a tylko spopielone kości zabitych zalegające na bezludnej planecie.

KSIĘGA PIERWSZA
NASTANIE ADOLFA HITLERA

ROZDZIAŁ I

NARODZINY III RZESZY

W przeddzień narodzin III Rzeszy Berlin ogarnęło gorączkowe napięcie. Niemal wszyscy zdawali sobie sprawę, że dni Republiki Weimarskiej są policzone. Drżała w posadach od ponad roku. Generał Kurt von Schleicher, który tak jak jego bezpośredni poprzednik Franz von Papen, nie przejawiał troski o Republikę, a tym bardziej o demokrację, i również podobnie jak poprzednik, dzięki dekretowi prezydenckiemu sprawował władzę kanclerską bez odwoływania się do parlamentu, po 53 dniach na urzędzie stracił wszelkie możliwości działania.

W sobotę 28 stycznia 1933 r. został nagle zdymisjonowany przez sędziwego prezydenta feldmarszałka von Hindenburga. Adolf Hitler, przywódca narodowych socjalistów, największej partii politycznej w kraju, domagał się dla siebie kanclerstwa demokratycznej republiki, którą poprzysiągł zniszczyć.

W ten wiekopomny zimowy weekend po stolicy krążyły niewiarygodne plotki na temat przyszłych wydarzeń i jak się okazało, najbardziej niepokojące z nich nie zostały wyssane z palca. Pojawiły się doniesienia, że Schleicher, w zmowie z generałem Kurtem von Hammersteinem, naczelnym dowódcą armii, i przy wsparciu garnizonu poczdamskiego szykuje pucz zmierzający do aresztowania prezydenta i zaprowadzenia wojskowej dyktatury. Mówiło się też o puczu nazistowskim. Berlińscy szturmowcy, wspierani przez sympatyków nazistów z policji, mieli opanować Wilhelmstrasse, przy której mieścił się pałac prezydencki i większość gmachów rządowych. Opowiadano również o strajku generalnym. W niedzielę 29 stycznia 100 tysięcy robotników stłoczyło się w Lustgarden w centrum Berlina, aby zademonstrować sprzeciw wobec mianowania Hitlera kanclerzem. Jeden z ich liderów próbował nawiązać kontakt z generałem von Hammersteinem i zaproponować wspólną akcję armii oraz zorganizowanych robotników w celu uniemożliwienia Hitlerowi stanięcia na czele rządu[1]. Przed laty, podczas puczu Kappa w 1920 r., strajk generalny już raz ocalił republikę, kiedy rząd uciekł ze stolicy.

Hitler przez niemal całą noc z niedzieli na poniedziałek chodził nerwowo po swoim apartamencie w hotelu Kaiserhof przy Reichskanzlerplatz, niedaleko Kancelarii[2]. Pomimo nerwowości był absolutnie pewien, że wybiła godzina jego triumfu. Przez prawie miesiąc negocjował potajemnie z Papenem i innymi liderami konserwatywnej prawicy. Musiał przystać na kompromis. Nie mógł liczyć na czysto nazistowski rząd. Mógł natomiast zostać kanclerzem rządu koalicyjnego, którego członkowie – a ośmiu z jedenastu z nich nie było nazistami – pozwolą mu na zniesienie demokratycznego reżimu weimarskiego. Zdawało się, że na jego drodze stoi jedynie stary, srogi prezydent. Niedawno, 26 stycznia, zaledwie dwa dni przed tym sądnym weekendem, siwy feldmarszałek powiedział Hammersteinowi, że „absolutnie nie zamierza mianować austriackiego kaprala ani ministrem obrony, ani kanclerzem Rzeszy”[3].

Jednak pod wpływem swego syna, majora Oskara von Hindenburga, sekretarza stanu przy prezydencie, a także Oskara von Meissnera, Papena i innych członków pałacowej kamaryli prezydent w końcu zaczął ustępować. Miał 86 lat i stawał się coraz bardziej zniedołężniały. W niedzielne popołudnie 29 stycznia, gdy Hitler pił kawę i zajadał ciasto z Goebbelsem i innymi zausznikami, Hermann Göring, przewodniczący Reichstagu i druga po Hitlerze osoba w Partii Nazistowskiej, przybiegł do swoich towarzyszy z wieścią, że nazajutrz wódz zostanie mianowany kanclerzem[4].

W poniedziałek 30 stycznia 1933 r. Hitler krótko przed południem pojechał do kancelarii na rozmowę z Hindenburgiem, która miała okazać się brzemienna w skutki dla niego samego, dla Niemiec i dla reszty świata. Goebbels, Röhm oraz inni nazistowscy przywódcy z okien hotelu Kaiserhof nerwowo wpatrywali się w drzwi gmachu, zza których wkrótce miał wyłonić się Führer. „Poznalibyśmy po twarzach, czy się udało, czy nie”, zanotował Goebbels. Bo nadal nie byli do końca pewni. „Wątpliwość, nadzieja, radość i zniechęcenie co rusz to rozrywały, to na powrót spajały nasze serca – napisał w dzienniku. – Przeżyliśmy już zbyt wiele rozczarowań, aby całym sercem wierzyć w ten ogromny cud”[5].

Ale kilka chwil później stali się świadkami cudu. Człowiek z wąsikiem Charliego Chaplina, który za młodu był bezrobotnym włóczęgą w Wiedniu, anonimowy żołnierz I wojny światowej, całkowicie zrujnowany w pierwszych powojennych dniach w Monachium, na poły komiczny przywódca puczu piwiarnianego, ten hipnotyzujący mówca, który nawet nie

był Niemcem, lecz Austriakiem, i miał zaledwie 43 lata, został właśnie zaprzysiężony na kanclerza Rzeszy Niemieckiej.

Hitler przejechał niecałe 100 metrów do hotelu Kaiserhof i wkrótce znalazł się w otoczeniu starych druhów: Goebbelsa, Göringa, Röhma i innych brunatnych koszul, ludzi, którzy pomagali mu na wyboistej, pełnej walki drodze do władzy. „On nic nie mówi, żaden z nas nic nie mówi – odnotował Goebbels – ale jego oczy są pełne łez”[6].

Tego wieczoru, od zmierzchu aż do późnych godzin nocnych, podekscytowani nazistowscy szturmowcy maszerowali z pochodniami, aby uczcić zwycięstwo. Dziesiątkami tysięcy wyłonili się z trzewi Tiergarten w karnych kolumnach, przeszli pod łukiem triumfalnym Bramy Brandenburskiej i ruszyli Wilhelmstrasse. Ich kapele wygrywały stare bojowe melodie, grzmiały werble; gromko śpiewano nową pieśń Horsta Wessela, a także inne pieśni, stare jak same Niemcy. Ciężkie buciory wybijały potężny rytm na chodniku, a pochodnie wznosiły się wysoko, tworząc wstęgę ognia, która rozświetliła noc i sprawiła, że stojący na chodnikach gapie wznosili gromkie „hura!”. Hindenburg obserwował maszerującą ciżbę z okna pałacu prezydenckiego, wybijał rytm wojskowego marszu laską, najwidoczniej zadowolony, że w końcu wybrał kanclerza, który potrafi poprowadzić naród w tradycyjnie niemiecki sposób. Wątpliwe, czy ten starszy, zdziecinniały już człowiek miał jakiekolwiek pojęcie, kogo tego dnia spuścił ze smyczy. Niedługo później w Berlinie zaczęła krążyć anegdota, najpewniej apokryficzna, jakoby prezydent w samym środku parady odwrócił się do jednego ze starych generałów i powiedział: „Nie wiedziałem, że wzięliśmy tylu rosyjskich jeńców”.

Rzut kamieniem dalej, również przy Wilhelmstrasse, Hitler stał w otwartym oknie kancelarii, nie posiadając się z uniesienia i szczęścia, podrygiwał, nieustannie podrywał ramię w nazistowskim salucie, uśmiechał się pod wąsem, to znowu wybuchał głośnym śmiechem, aż jego oczy ponownie wypełniły się łzami.

Jeden z zagranicznych obserwatorów przyglądał się wydarzeniom tego dnia z mieszanymi uczuciami. „Obok francuskiej ambasady przepłynęła rzeka ognia – pisał André François-Poncet – a ja, z ciężkim sercem i pełen złych przeczuć, patrzyłem na jej świetlisty nurt”[7].

Zmęczony, ale szczęśliwy Goebbels wrócił do domu o trzeciej nad ranem. Zanim położył się spać, zapisał w dzienniku: „To jest niemal jak

sen… baśń… Narodziła się nowa Rzesza. Czternaście lat pracy zostało ukoronowanych zwycięstwem. Rozpoczęła się niemiecka rewolucja!”[8].

Hitler chełpił się, że narodzona 30 stycznia 1933 r. III Rzesza przetrwa tysiąc lat[9], dlatego w nazistowskiej nomenklaturze była często nazywana „Tysiącletnią Rzeszą”. Przetrwała 12 lat i 4 miesiące, ale w tym krótkim okresie wywołała na naszej planecie najbardziej gwałtowną i niszczycielską erupcję w dziejach, wynosząc niemiecki naród na wyżyny potęgi, których nie zaznał od ponad milenium. Uczyniła z niego pana Europy od Atlantyku po Wołgę, od Przylądka Północnego po Morze Śródziemne, a potem, pod koniec wojny światowej, którą naród ten z zimną krwią sprowokował i podczas której sprawował nad pobitymi ludami rządy terroru – a rzeź, jaką naziści zgotowali życiu oraz duszy ludzkiej, przerosła wszelki ucisk minionych wieków – cisnęła go w odmęty zagłady i ruiny.

Człowiek, który stworzył III Rzeszę i władał nią bezlitośnie, często z niespotykaną przebiegłością, był niepodważalnym, choć złym geniuszem. To prawda, że znalazł w narodzie niemieckim, ukształtowanym przez tajemniczą opatrzność oraz wieki doświadczeń w taki, a nie inny sposób, naturalne narzędzie, które potrafił zaprząc do swych niecnych celów. Jednak bez Adolfa Hitlera, który posiadał demoniczną osobowość, żelazną wolę, niezrównaną intuicję, zimną bezwzględność, nadzwyczajny intelekt, bogatą wyobraźnię oraz (aż do ostatniego etapu, kiedy to upojony władzą i powodzeniem wykroczył poza swe możliwości) zadziwiające zrozumienie tłumów i wydarzeń, III Rzesza niemal na pewno by nie powstała.

Friedrich Meinecke, wybitny historyk niemiecki, napisał: „To jeden z największych przykładów wyjątkowej i nieobliczalnej siły osobowości w historii”[10].

Niektórzy Niemcy i zapewne większość obcokrajowców uważali, że do władzy w Berlinie dorwał się jakiś szarlatan. Według większości Niemców Hitler posiadał, lub wkrótce miał posiąść, aurę prawdziwie charyzmatycznego przywódcy. Przez następnych dwanaście burzliwych lat mieli ślepo za nim podążać, jakby jego osąd miał iście boską moc.

KORZENIE ADOLFA HITLERA

Mając na uwadze pochodzenie i młodość Hitlera, trudno wyobrazić sobie bardziej niesłychanego następcę Bismarcka, Hohenzollernów i prezydenta von Hindenburga. Ten Austriak chłopskiego pochodzenia urodził się o godzinie wpół do siódmej wieczorem 20 kwietnia 1889 r. w Gasthof zum Pommer, skromnej oberży w miasteczku Braunau am Inn, tuż za bawarską granicą.

Fakt, że urodził się na austriacko-niemieckiej granicy, miał odegrać ważną rolę, bowiem już jako młody człowiek zapałał obsesją na punkcie idei zniesienia granic pomiędzy narodami niemieckojęzycznymi, które według niego należały do jednej Rzeszy. Jego odczucia w tym względzie były tak silne i trwałe, że gdy w wieku 35 lat siedział w niemieckim więzieniu i dyktował treść książki, która stanie się „projektem" III Rzeszy, pierwsze linijki dotyczyły symboliki miejsca, w którym przyszedł na świat. *Mein Kampf* rozpoczyna się następująco:

> Dzisiaj wydaje mi się, że to opatrzność wybrała na miejsce mojego urodzenia Braunau nad Innem. To małe miasteczko leży na granicy dwóch państw niemieckich, a my, młodsze pokolenie, musimy uczynić z prób zjednoczenia ich wszystkimi możliwymi środkami nasze dzieło życia (…). To małe przygraniczne miasteczko jawi mi się jako symbol wielkiej misji[11].

Adolf Hitler urodził się jako trzeci syn w trzecim małżeństwie pośledniego austriackiego urzędnika celnego, który z kolei przyszedł na świat jako nieślubne dziecko i przez pierwsze 39 lat życia nosił nazwisko matki, Schicklgruber. Nazwisko Hitler pojawia się wśród przodków zarówno po stronie ojca, jak i matki. Nosiła je babka Adolfa ze strony matki, a także jego dziadek ze strony ojca, choć właściwie były to jego warianty, zapisywano je bowiem różnie: Hiedler, Huetler, Huettler i Hitler. Matka Adolfa była kuzynką w drugiej linii jego ojca, a ich małżeństwo wymagało kościelnej dyspensy.

Przodkowie, z obu stron, przyszłego Führera od pokoleń zamieszkiwali w Waldviertel, powiecie Dolnej Austrii, położonym pomiędzy Dunajem a granicą z Czechami i Morawami. Kiedy mieszkałem w Wiedniu, przejeżdżałem przez te tereny w drodze do Pragi lub Niemiec. Jest to pagórkowata, lesista okolica z chłopskimi wsiami i niewielkimi gospodarstwami, a choć od Wiednia dzieli ją zaledwie około 80 kilometrów, panuje tam wyczuwalna atmosfera odludzia i biedy, jak gdyby główne nurty życia Austrii omijały ją szerokim łukiem. Tamtejsza ludność

bywa ponura i nieprzyjazna, podobnie jak mieszkający na północ od niej czescy chłopi. Małżeństwa wewnątrz rodzin nie należą tam do rzadkości, jak w przypadku rodziców Hitlera. Często rodzą się nieślubne dzieci.

W rodzinie po stronie matki Hitlera Klary Pölzl dostrzegamy pewną stabilność. Od czterech pokoleń żyła ona na chłopskiej dzierżawie numer 37 we wsi Spital[12]. Losy jego przodków ze strony ojca są bardziej skomplikowane. Jak już widzieliśmy, zapis rodzinnego nazwiska ulegał zmianom; nie inaczej było z miejscem zamieszkania. U Hitlerów dostrzec można niespokojnego ducha, popęd do przenosin z jednej wsi do następnej, zmieniania posad, unikania silnych więzi międzyludzkich oraz swobodne podejście do kobiet.

Johann Georg Hiedler, dziadek Adolfa, był wędrownym młynarzem i wykonywał swoje rzemiosło w różnych wsiach Dolnej Austrii. Pięć miesięcy po pierwszym ożenku, w 1824 r., urodziło mu się pierwsze dziecko, ale i ono, i matka zmarli w połogu. W 1842 r., gdy pracował w Duerenthal, ożenił się z Marią Anną Schicklgruber, czterdziestosiedmioletnią chłopką z wioski Strones. Pięć lat wcześniej, 7 czerwca 1837 r., Maria urodziła nieślubnego syna, którego nazwała Alois i który miał zostać ojcem Adolfa Hitlera. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ojcem Aloisa był Johann Hiedler, ale brakuje na to rozstrzygających dowodów. W każdym razie, Johann ostatecznie ożenił się z Marią, lecz wbrew zwyczajowi nie zawracał sobie głowy legitymizacją syna. Dziecko dorastało jako Alois Schicklgruber.

Anna zmarła w 1847 r. i w tym momencie Johann Hiedler znika na 30 lat. Pojawia się ponownie jako osiemdziesięcioczterolatek w miasteczku Weitra w Waldviertel; w międzyczasie zapis jego nazwiska zmienił się na Hitler. Zeznał wówczas przed notariuszem, w obecności trzech świadków, że jest ojcem Aloisa Schicklgrubera. Z dostępnych nam dokumentów nie można ustalić, dlaczego starzec tak długo zwlekał z tym krokiem i dlaczego wreszcie się nań zdecydował. Według Heidena Alois zwierzył się później przyjacielowi, że miało mu to pomóc uzyskać część spadku po wuju, brata młynarza, który wychowywał młodzieńca pod własnym dachem[13]. W każdym razie aktu oficjalnego usynowienia dokonano 6 czerwca 1876 r., a 23 listopada ksiądz z parafii w Döllersheim, do którego kancelarii przesłano potwierdzone notarialnie oświadczenie, wykreślił z rejestru chrztów nazwisko Alois Schicklgruber, a w jego miejsce wpisał Alois Hitler.

Od tego momentu ojciec Adolfa był w świetle prawa znany jako Alois Hitler i w naturalny sposób przekazał nazwisko synowi. Przedsiębiorczy wiedeńscy dziennikarze, przekopawszy archiwa parafialne, dopiero w latach 30. poznali fakty dotyczące przodków Hitlera i lekceważąc zapóźnione starania o formalne uznanie syna przez starego Johanna Georga Hiedlera, próbowali przypiąć nazistowskiemu przywódcy łatkę z nazwiskiem Adolf Schicklgruber.

Dziwny los Adolfa Hitlera miał wiele niecodziennych zwrotów, ale najdziwniejszy nastąpił 13 lat przed jego urodzeniem. Gdyby osiemdziesięcioczteroletni wędrowny młynarz nagle nieoczekiwanie nie wrócił na karty dziejów, aby prawie 30 lat po śmierci żony uznać ojcostwo swego trzydziestodziewięcioletniego syna, to Adolf przyszedłby na świat jako Schicklgruber. Nazwisko może i nie mieć większego znaczenia, ale słyszałem Niemców spekulujących, czy Hitler zostałby władcą Niemiec, gdyby świat znał go pod nazwiskiem Schicklgruber. W ustach Niemców z południa brzmi ono nieco śmiesznie. Czy można sobie wyobrazić szalejące masy pozdrawiające go gromkim „Heil! Heil Schicklgruber!”? Podczas mistycznych widowisk nazistowskich wieców ludzie używali „Heil Hitler!” nie tylko jako wagnerowskiego, na poły pogańskiego zawołania, stało się ono też obowiązkową formą powitalną Niemców w III Rzeszy, nawet w rozmowach telefonicznych, zastępując zwyczajowe „halo?”. Ale „Heil Schicklgruber!”? Trudno to sobie wyobrazić[14].

Jako że rodzice Aloisa najwyraźniej nigdy nie żyli razem, nawet po ślubie, przyszły ojciec Adolfa Hitlera dorastał pod okiem wuja. Ten, choć był bratem Johanna Georga Hiedlera, pisał swe nazwisko inaczej – był znany jako Johann von Nepomuk Huetler. Mając na uwadze niegasnącą nienawiść, jaką nazistowski Führer od lat młodzieńczych czuł do Czechów, których kraj ostatecznie zniszczył, warto w tym miejscu wspomnieć o imieniu Huetlera. Johann von Nepomuk [Jan Nepomucen – przyp. tłum.] to czeski święty i niektórzy historycy uważają, że jest to poszlaka wskazująca na czeską krew w rodzinie Hitlera.

Alois Schicklgruber poznał we wsi Spital fach szewca, ale ponieważ podobnie jak ojciec, był niespokojnym duchem, wyruszył w poszukiwaniu fortuny do Wiednia. W wieku 18 lat w okolicach Salzburga wstąpił do policji granicznej austriackiej służby celnej, a dziewięć lat później, po awansie do samej służby celnej, ożenił się z Anną Glasl-Hörer, adoptowaną córką urzędnika celnego. Wniosła mu ona skromny posag i podwyższyła

jego status społeczny, co w austro-węgierskiej biurokracji niższego szczebla nie należało do rzadkości. Ale małżeństwo nie należało do udanych. Anna była o 14 lat starsza od Aloisa, podupadała na zdrowiu i pozostała bezdzietna. Po 16 latach znaleźli się w separacji, a trzy lata później, w 1883 r., kobieta zmarła.

Jeszcze przed separacją Alois, już oficjalnie znany jako Hitler, poznał młodą hotelową kucharkę Franziskę Matzelsberger, która w 1882 r. powiła mu syna, Aloisa. Ożenił się z nią miesiąc po śmierci żony, a trzy miesiące później urodziła mu córkę, Angelę. Drugie małżeństwo okazało się krótkotrwałe. Niecały rok później Franziska zmarła na gruźlicę. Pół roku później Alois ożenił się po raz trzeci i ostatni.

Kolejna panna młoda, Klara Pölzl, która wkrótce miała zostać matką Adolfa Hitlera, miała 25 lat i od dawna znała swojego czterdziestoośmioletniego męża. Pochodziła ze Spital, rodzinnej wsi Hitlerów. Johann von Nepomuk Huetler, u którego dorastał Alois Schicklgruber-Hitler, był jej dziadkiem. A zatem Alois i Klara byli kuzynostwem w drugiej linii i jak wspomniano, przed ożenkiem musieli postarać się o biskupią dyspensę.

Urzędnik celny rozważał ten związek od bardzo dawna, od kiedy w trakcie pierwszego małżeństwa przyjął Klarę do swego bezdzietnego domu jako przyszywaną córkę. Dziewczynka mieszkała u Schicklgruberów w Braunau przez wiele lat i wydaje się, że gdy pierwsza żona Aloisa niedomagała, planował ożenić się z Klarą zaraz po jej śmierci. Jego legitymizacja oraz udział w spadku po wuju, dziadku Klary, nastąpił, gdy miała ona 16 lat, akurat tyle, aby zgodnie z prawem móc wyjść za mąż. Ale jak widzieliśmy, pierwsza żona Aloisa po separacji wciąż żyła, a ponadto w międzyczasie poznał on kucharkę Franziskę Matzelsberger. W efekcie Klara w wieku 20 lat opuściła jego domostwo i wyjechała do Wiednia, gdzie znalazła pracę jako służąca.

Cztery lata później wróciła, aby prowadzić dom kuzyna. Z kolei Franziska w ostatnich latach życia wyprowadziła się od męża. Alois Hitler i Klara Pölzl pobrali się 7 stycznia 1885 r., a cztery miesiące i dziesięć dni później urodził się ich pierwszy syn, Gustav. Zmarł w niemowlęctwie, podobnie jak drugie dziecko, urodzona w 1886 r. Ida. Adolf był więc trzecim dzieckiem w trzecim małżeństwie. Jego młodszy brat, urodzony w 1894 r. Edmund, żył tylko sześć lat. Urodzona w 1896 r. Paula, piąte i ostatnie dziecko Aloisa i Klary, przeżyła słynnego brata.

Przyrodnie rodzeństwo Adolfa: Alois i Angela, dzieci Franziski Matzelsberger, również doczekały dorosłości. Angela, ładna młoda kobieta, wyszła za urzędnika skarbowego nazwiskiem Raubal, a po jego śmierci pracowała w Wiedniu jako gosposia, a przez pewien czas także – o ile informacje Heidena są prawdziwe – jako kucharka w żydowskiej stołówce dobroczynnej[15]. W 1928 r. Hitler sprowadził ją do Berchtesgaden i uczynił swoją gosposią. Od tego czasu w nazistowskich gremiach wiele mówiło się o niebiańskich wiedeńskich wypiekach i deserach, które dla niego piekła i na które miał nienasycony apetyt. Opuściła go w 1936 r., aby wyjść w Dreźnie za profesora architektury, a sam Hitler, wówczas już kanclerz i dyktator Rzeszy, sprzeciwiał się jej wyjazdowi i nie wysłał parze prezentu ślubnego. Wydaje się, że była jedyną krewniaczką, z jaką w późniejszych latach łączyły go bliskie więzi – z jednym wyjątkiem. Angela miała córkę, Geli Raubal, atrakcyjną młodą blondynkę, z którą, jak zobaczymy, Hitler przeżył jedyny prawdziwie głęboki romans w swoim życiu.

Adolf Hitler nie lubił słuchać o przyrodnim bracie. Alois Matzelsberger, później uznany oficjalnie jako Alois Hitler, został kelnerem i przez sporą część życia wikłał się w kłopoty z prawem. Heiden odnotowuje, że w wieku 18 lat młodzian został skazany na pięć miesięcy więzienia za kradzież, a gdy miał 20 lat, odsiedział kolejne osiem miesięcy za recydywę. W końcu przeprowadził się do Niemiec, gdzie wpadł w następne tarapaty. W 1924 r., gdy Adolf Hitler usychał z bezczynności w więzieniu, sąd w Hamburgu skazał Aloisa na pół roku więzienia za bigamię. Heiden pisze, że później przeniósł się on do Anglii, gdzie szybko założył rodzinę, którą później porzucił[16].

Objęcie władzy przez narodowych socjalistów oznaczało dla Aloisa nadejście lepszych czasów. Otworzył na przedmieściach Berlina *bierstube* (niewielką piwiarnię), a tuż przed wybuchem wojny przeniósł ją na Wittenbergplatz w modnej dzielnicy miasta. Chętnie odwiedzali ją nazistowscy funkcjonariusze, a w początkach wojny, gdy brakowało jedzenia, jej spiżarnie były syto zaopatrzone. Zachodziłem tam od czasu do czasu. Alois zbliżał się do sześćdziesiątki, był korpulentnym, prostym i dobrodusznym mężczyzną, który powierzchownością nie przypominał słynnego przyrodniego brata. Prawdę powiedziawszy, wyglądał jak setki innych właścicieli małych piwiarni w Niemczech czy Austrii. Interes szedł mu dobrze i Alois niezależnie od przeszłości ewidentnie cieszył się dostatnim życiem. Bał się tylko jednego: że przyrodni brat, w chwili napadu

wstrętu lub gniewu, cofnie mu licencję. W maleńkiej piwiarni mówiło się czasami, że kanclerz i Führer Rzeszy ubolewa nad istnieniem owej pamiątki skromnego pochodzenia jego familii. Pamiętam, że sam Alois nigdy nie dawał się wciągnąć w rozmowy o przyrodnim bracie. Była to roztropna postawa, choć niezwykle irytująca dla tych z nas, którzy próbowali dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu człowieka, który zdążył już ruszyć na podbój Europy.

Nie licząc *Mein Kampf*, w której skąpy materiał biograficzny jest zwodniczy, a przemilczenia osiągają monumentalną wręcz skalę, Hitler rzadko rozmawiał (czy pozwalał rozmawiać w swoim towarzystwie) o korzeniach swojej rodziny i o swych młodych latach. Widzieliśmy już, skąd pochodziła jego rodzina. A jak wyglądała jego młodość?

MŁODOŚĆ ADOLFA HITLERA

W tym samym roku, w którym jego ojciec w wieku 58 lat odszedł na emeryturę ze służby celnej, sześcioletni Adolf zaczął naukę w szkole publicznej we wsi Fischlham, na południowy zachód od nieodległego Linzu. Był rok 1895. Przez następne cztery lub pięć lat nadal niespokojny emeryt przenosił się z jednej wsi w okolicy Linzu do drugiej. Gdy jego syn miał 15 lat, pamiętał siedem zmian adresu i pięć szkół. Przez dwa lata uczęszczał na lekcje w klasztorze benedyktyńskim w Lambach, w pobliżu którego jego ojciec nabył gospodarstwo. Brał tam lekcje śpiewu, należał do chóru i według własnych słów marzył, że pewnego dnia złoży śluby[17]. Emerytowany celnik w końcu osiadł na dobre we wsi Leonding na południowych obrzeżach Linzu, rodzina zajęła tam skromny domek z ogrodem.

W wieku jedenastu lat Adolf został wysłany do liceum w Linzu. Świadczy to o gotowości jego ojca do wyrzeczeń finansowych oraz o ambicji, aby syn podążył jego śladem i został pracownikiem służby cywilnej. Jednakże młodzieniec nie mógłby wyobrazić sobie gorszej przyszłości.

„Podówczas ledwie jedenastoletni – wspominał Hitler – po raz pierwszy musiałem sprzeciwić się [ojcu] (…), nie chciałem zostać urzędnikiem służby cywilnej”[18].

Opowieść o zaciekłej, niezmordowanej walce małego chłopca, jeszcze nawet nie nastolatka, z surowym i, jak twierdził, dominującym ojcem, to jeden z nielicznych wątków biograficznych, które w *Mein Kampf* Hitler opisuje ze szczegółami i wyczuwalną szczerością. Spór doprowadził do pierwszego objawienia się owej zajadłej, nieugiętej woli, która zaprowadzi go tak daleko, na przekór pozornie niepokonanym przeszkodom i trudom, i która, udaremniając plany wszystkich stojących mu na drodze, miała odcisnąć niezatarte piętno na Niemczech i Europie.

> Nie chciałem zostać pracownikiem służby cywilnej, nie i jeszcze raz nie. Wszystkie podejmowane przez ojca próby zaszczepienia mi umiłowania dla tej profesji opowieściami o jego osiągnięciach przynosiły skutek odwrotny od zamierzonego. (…) na samą myśl o siedzeniu w biurze pozbawionym wolności, o utracie panowania nad własnym czasem, o konieczności zawarcia treści mego życia w urzędowych formularzach, które trzeba by wypełniać, bolał mnie brzuch (…).
>
> Pewnego dnia zrozumiałem, że zostanę malarzem, artystą (…). Ojcu odebrało mowę.
>
> „Malarzem? Artystą?”.
>
> Myślał, że postradałem zmysły, lub może że się przesłyszał albo źle mnie zrozumiał. Lecz gdy temat mu się rozjaśnił, a zwłaszcza gdy pojął powagę mych zamiarów, sprzeciwił się im z całą determinacją swego charakteru (…).
>
> „Artystą! Nie! Po moim trupie!” (…). Ojciec nigdy nie zrezygnował ze swojego „Nigdy!”, a ja wzmacniałem moje „A jednak!”[19].

Hitler tłumaczył później, że jedną z konsekwencji starcia z ojcem było to, że przestał się uczyć. „Myślałem sobie, że gdy ojciec zobaczy, jakie mizerne postępy robię w liceum, to pozwoli mi oddać się memu marzeniu, czy mu się ono podobało, czy nie”[20].

Te spisane 34 lata później słowa mogą być usprawiedliwieniem słabych wyników w szkole. W gimnazjum Hitler miał wyłącznie dobre stopnie. Jednak w liceum w Linzu pod koniec były tak kiepskie, że nie uzyskawszy rutynowo przyznawanego świadectwa, musiał przenieść się do państwowego liceum w Steyr, w sporej odległości od Linzu. Ale nie zagrzał tam długo miejsca i odszedł, nie ukończywszy szkoły.

Niepowodzenia w edukacji doskwierały mu w późniejszym życiu, kiedy to szydził z akademickiej „szlachty”, ich dyplomów, stopni naukowych oraz pedagogicznych fanaberii. Nawet w ostatnich trzech, czterech latach życia, kiedy w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych przytłaczały go detale strategii i taktyki wojskowej oraz dowodzenia, czasami robił sobie wolny wieczór i wspominał ze starymi partyjnymi kompanami głupotę nauczycieli

z młodości. Zachowała się część zawiłych przemyśleń tego szalonego geniusza, a wówczas naczelnego wodza osobiście kierującego wielkimi armiami od Wołgi po kanał La Manche.

> Gdy myślę o moich nauczycielach, dociera do mnie, że większość była nieco pomylona. Ludzie, których można by nazwać dobrymi nauczycielami, należeli do wyjątków. Myśl, że na drodze młodych mogą stawać tacy ludzie, jest tragiczna. *3 marca 1942 r.*[21]

> Nauczyciele, którzy mnie uczyli, budzą we mnie bardzo nieprzyjemne wspomnienia. Ich powierzchowność emanowała brudem; kołnierze mieli w nieładzie (…). Byli produktem proletariackiego braku wszelkiej osobistej niezależności myśli, wyróżniała ich niezrównana ignorancja i doskonale nadawali się na filary jałowego systemu władzy, który, dzięki Bogu, należy już do przeszłości. *12 kwietnia 1942 r.*[22]

> Gdy przypominam sobie moich nauczycieli ze szkoły, zdaję sobie sprawę, że połowa była nienormalna (…). My, uczniowie w starej Austrii, byliśmy wychowywani w szacunku dla starych mężczyzn i kobiet. Ale dla profesorów nie mieliśmy litości; byli naszymi naturalnymi wrogami. Większość miała rozstrój umysłowy, a niejeden zakończył żywot jako najprawdziwszy wariat! (…) Nauczyciele mieli o mnie szczególnie złe mniemanie. Nie wykazywałem najmniejszych zdolności do języków obcych – choć mogłoby być inaczej, gdyby nauczyciele nie byli urodzonymi kretynami. Nie mogłem znieść ich widoku. *29 sierpnia 1942 r.*[23]

> Nasi nauczyciele byli absolutnymi tyranami. Nie żywili sympatii do młodzieży; ich jedynym celem było faszerowanie naszych mózgów i przekształcenie nas w erudycyjne małpy, na własny wzór. Gdy jakiś uczeń wykazywał najmniejsze oznaki oryginalności, bezwzględnie go prześladowali, a wzorowi uczniowie, których wówczas poznałem, później zawsze okazywali się nieudacznikami. *7 września 1942 r.*[24]

Na pierwszy rzut oka widać, że Hitler do końca swoich dni nie wybaczył nauczycielom złych ocen – i sam nie mógł o nich zapomnieć. W zamian groteskowo zniekształcał ich obraz.

Zachowały się świadectwa tego, jakie wrażenie zrobił na swoich nauczycielach. Zebrano je, gdy stał się już znaną w świecie postacią. Profesor Theodor Gissinger, prowadzący nauki ścisłe, należał do nielicznych, których Hitler zdawał się lubić. Gissinger wspominał później: „Jeżeli chodzi o mnie, to Hitler w Linzu nie robił ani dobrego, ani złego wrażenia. Absolutnie nie był przywódcą klasy. Był szczupły i wyprostowany, miał bladą, bardzo chudą twarz, niemal jak suchotnik, i szeroko otwarte, lśniące oczy”[25].

Profesor Edward Huemer, najwyraźniej ów „urodzony kretyn” wspomniany powyżej, bowiem uczył Hitlera francuskiego, w 1923 r. przyjechał do Monachium, aby zeznawać na rzecz swego dawnego ucznia, który w wyniku puczu piwiarnianego był wtedy sądzony za zdradę. Choć sławił cele Hitlera i twierdził, że z głębi serca pragnie, aby urzeczywistnił on swe ideały, zaprezentował następujący, zwięzły portret Hitlera-licealisty:

> Hitler z całą pewnością był utalentowany, choć jedynie do niektórych przedmiotów, ale delikatnie mówiąc, brakowało mu samokontroli, był uważany za kłótliwego, autokratycznego, zadufanego, niesfornego i niezdolnego do podporządkowania się szkolnej dyscyplinie. Nie był również pilny; w innym razie, przy swoim talencie, osiągałby znacznie lepsze wyniki[26].

W szkole w Linzu pracował jednak pewien nauczyciel, który wywarł silny i jak miało się okazać, brzemienny wpływ na młodego Adolfa Hitlera. Mowa o nauczycielu historii, doktorze Leopoldzie Poetschu. Pochodził z południowego, niemieckojęzycznego regionu nadgranicznego, gdzie Austria sąsiaduje z południowymi Słowianami. Obserwował tam walkę rasową, która uczyniła zeń fanatycznego niemieckiego nacjonalistę. Przed przyjazdem do Linzu uczył w Marburgu, który później, po przekazaniu tych ziem Jugosławii po I wojnie światowej, został przemianowany na Maribor.

Choć dawał uczniom co najwyżej „dostateczne” oceny z historii, był jedynym nauczycielem Hitlera, który doczekał się ciepłej wzmianki w *Mein Kampf*. Hitler przyznał, że ma u tego człowieka dług wdzięczności.

> Być może fakt, że dobry los ofiarował mi nauczyciela historii, który rozumiał, jako jeden z nielicznych, ową zasadę (…) – zapamiętywania rzeczy kluczowych i zapominania o zbędnych (…), był decydujący dla mego późniejszego życia. Mój nauczyciel, doktor Leopold Poetsch z liceum w Linzu, spełniał ten wymóg w iście idealny sposób. Stary dżentelmen, uprzejmy, ale równocześnie stanowczy, potrafił nie tylko przykuć naszą uwagę swą porażającą elokwencją, ale i ponieść nas za sobą. Nawet dzisiaj z prawdziwymi emocjami wspominam tego siwowłosego mężczyznę, który dzięki żarowi swoich słów czasami sprawiał, że zapominaliśmy o teraźniejszości; który, jak gdyby za pomocą magii, przenosił nas w minione czasy, za tysiącletnie mgły czasu, przekształcając suche fakty historyczne w żywą rzeczywistość. Siedzieliśmy tam, rozpaleni entuzjazmem, czasami poruszeni do łez (…). Wykorzystał nasz kwitnący nacjonalistyczny fanatyzm jako środek edukowania nas, nierzadko odwołując się do naszego poczucia honoru narodowego.
>
> Ten nauczyciel sprawił, że historia stała się moim ulubionym przedmiotem.
>
> I w rzeczy samej, choć nie taki był jego zamiar, to wówczas stałem się młodym rewolucjonistą[27].

Jakieś 35 lat później, w 1938 r., gdy kanclerz Hitler objeżdżał triumfalnie Austrię po wymuszeniu aneksji tego kraju, zatrzymał się w Klagenfurcie, aby spotkać się ze starym nauczycielem, wówczas już emerytem. Dowiedział się wtedy z zachwytem, że sędziwy dżentelmen był członkiem podziemia nazistowskiego, które w niepodległej Austrii było wyjęte spod prawa. Rozmawiali na osobności przez godzinę, a później Hitler zwierzył się towarzyszom: „Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, ile zawdzięczam temu staremu człowiekowi”[28].

Alois Hitler zmarł 3 stycznia 1903 r. w wieku 65 lat. Podczas porannej przechadzki doznał wylewu krwi do płuc i zmarł kilka chwil później w pobliskiej oberży, w ramionach sąsiada. Kiedy trzynastoletni syn ujrzał zwłoki ojca, załamał się i wybuchnął płaczem[29].

Jego matka, licząca wtedy 42 lata, przeniosła się do skromnego mieszkania w Urfahr, przedmieściu Linzu, gdzie ze skromnych oszczędności i emerytury próbowała utrzymać siebie oraz dwójkę wciąż żyjących dzieci, Adolfa i Paulę. Hitler napisał w *Mein Kampf*, że poczuwała się do obowiązku kontynuowania jego edukacji zgodnie z wolą ojca – „innymi słowy, abym kształcił się do kariery w służbie cywilnej”, jak to ujął. Ale chociaż młoda wdowa była pobłażliwa dla syna i wydaje się, że Adolf bardzo kochał matkę, był „bardziej niż kiedykolwiek, absolutnie zdeterminowany, aby nie podejmować tej kariery”, jak sam stwierdził. W efekcie, pomimo czułej miłości matki i syna, pojawiły się między nimi tarcia, a Adolf nadal zaniedbywał naukę.

„Wtedy nagle choroba przyszła mi w sukurs i w kilka tygodni rozstrzygnęła moją przyszłość oraz odwieczny rodzinny spór”[30].

Schorzenie płuc, na które Hitler zapadł przed szesnastym rokiem życia, sprawiło, że na przynajmniej rok musiał porzucić szkołę. Na pewien czas został odesłany do rodzinnej wsi Spital, gdzie wracał do zdrowia w domu siostry matki, Theresy Schmidt, chłopki. Po wykurowaniu wrócił na krótko do państwowego liceum w Steyr. Jego ostatnia cenzurka, z datą 16 września 1905 r., zawiera oceny „dostateczne” z niemieckiego, chemii, fizyki, geometrii i rysunku geometrycznego; z geografii i historii uzyskał „zadowalające”, a z rysunku „celującą”. Był tak podekscytowany perspektywą opuszczenia szkoły na dobre, że po raz pierwszy i jedyny w życiu się upił. W późniejszych latach wspominał, że o świcie został znaleziony przy wiejskiej drodze pod Steyr przez mleczarza, który pomógł mu wrócić do miasteczka; przysiągł wtedy, że nigdy więcej się nie upije[31].

W tej kwestii dotrzymał słowa, został bowiem abstynentem, przeciwnikiem palenia, a do tego jeszcze wegetarianinem, najpierw z konieczności, gdy w Wiedniu i Monachium był włóczęgą bez grosza przy duszy, a później z przekonania.

Następne dwa-trzy lata Hitler często wspominał jako najszczęśliwszy okres w życiu[32]. Choć matka sugerowała – a inni krewni namawiali – aby poszedł do pracy i nauczył się jakiegoś fachu, on zadowalał się marzeniami o artystycznej przyszłości i wiódł błogie, bezczynne życie nad Dunajem. Nigdy nie zapomniał „puszystej miękkości" owych lat pomiędzy szesnastym a dziewiętnastym rokiem życia, kiedy to jako „ukochany syn matki" cieszył się „ułudą komfortowego życia"[33]. Choć chorowita wdowa ledwie wiązała koniec z końcem, młody Adolf nie chciał pomóc i nie szukał pracy. Pomysł zarabiania, nawet na własne utrzymanie, poprzez jakiekolwiek regularne zatrudnienie odstręczał go już wówczas i nie zmienił zdania do końca życia.

Wydaje się, że owe ostatnie lata przed osiągnięciem wieku męskiego były dla Hitlera tak szczęśliwe, ponieważ cieszył się wolnością od pracy. Mógł dzięki niej wylegiwać się do woli, marzyć, całymi dniami snuć się po mieście i okolicach, opowiadając kompanom o złu tego świata i o tym, jak je naprawić. Wieczorami zaś pochylał się nad książką lub stał na tyłach opery w Linzu lub Wiedniu i słuchał jak urzeczony mistycznych, pogańskich dzieł Richarda Wagnera.

Przyjaciel z dzieciństwa zapamiętał go jako bladego, chorowitego, tyczkowatego chłopca, który, choć zazwyczaj był nieśmiały i małomówny, potrafił nagle wybuchać gniewem na tych, którzy się z nim nie zgadzali. Przez cztery lata twierdził, że jest głęboko zakochany w ładnej blondyneczce imieniem Stefanie, i chociaż często patrzył tęsknie, jak razem z matką przemierza ona Landstrasse w Linzu, nigdy nie podjął najmniejszego wysiłku, aby ją poznać. Wolał, podobnie jak wiele innych rzeczy, skrywać ją w tajemniczym świecie swych wybujałych fantazji. W rzeczy samej, w niezliczonych wierszach miłosnych, które dla niej pisał, ale nigdy nie wysyłał (jeden z nich nosił tytuł *Hymn dla ukochanej*), a za to z uporem recytował swemu cierpliwemu przyjacielowi Augustowi Kubizkowi[34], stawała się panną rodem z *Walkirii*, odzianą w granatową, powłóczystą, aksamitną suknię i jeżdżącą na białym rumaku nad kwietnymi łąkami[35].

Chociaż Hitler z całych sił pragnął zostać artystą, najlepiej malarzem, a przynajmniej architektem, już w wieku 16 lat miał obsesję na punkcie polityki. Do tego czasu wyhodował w sobie zapiekłą nienawiść do monarchii habsburskiej i wszystkich nie-niemieckich ras Austro-Węgier, a także równie żarliwą miłość do wszystkiego, co niemieckie. Mając 16 lat, stał się tym, kim miał pozostać do ostatniego tchu: fanatycznym nacjonalistą.

Wydaje się, że pomimo bumelanctwa nie posiadał beztroskiego młodzieńczego ducha. Przejmował się problemami świata. Kubizek wspominał później: „Wszędzie dostrzegał wyłącznie przeszkody i wrogość (…). Zawsze był przeciwko czemuś, na przekór światu (…). Nigdy nie widziałem, żeby podchodził do czegoś swobodnie (…)”[36].

To właśnie w tym okresie młody mężczyzna, który nie znosił szkoły, stał się łapczywym molem książkowym, zapisał się do Biblioteki Studiów dla Dorosłych w Linzu i wstąpił do Towarzystwa Muzealnego, skąd wypożyczał stosy książek. Przyjaciel z młodości zapamiętał, że zawsze otaczały one Hitlera, a najbardziej lubił prace o niemieckiej historii i mitologii germańskiej[37].

Linz był miastem prowincjonalnym, zatem Wiedeń, lśniąca barokowa stolica cesarstwa, szybko zaczął kusić młodziana o tak wybujałych ambicjach oraz wyobraźni. W 1906 r., zaraz po jego siedemnastych urodzinach, matka oraz inni krewni zapewnili mu pieniądze na spędzenie dwóch miesięcy w wielkiej metropolii. Choć później Wiedeń miał się stać sceną najbardziej gorzkich dni Hitlera, gdy czasami dosłownie żył na ulicy, to podczas tej pierwszej wizyty miasto go oczarowało. Całymi dniami krążył jego ulicami, przepełniony podnieceniem wywołanym widokiem monumentalnych gmachów przy Ringu, w nieustannej ekstazie doznań odebranych w muzeach, operze i teatrach.

Zrobił też rozeznanie w sprawie przyjęcia do Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, a rok później, w październiku 1907 r., wrócił do stolicy na egzaminy wstępne, stawiając tym samym pierwszy realny krok na drodze do spełnienia marzenia o malarstwie. Miał 18 lat i żył wielkimi nadziejami, ale szybko zostały one rozwiane. Wstęp listu z Akademii mówi sam za siebie.

> Niżej wymieniony osiągnął w teście wynik niedostateczny lub nie został przyjęty (…) Adolf Hitler, Braunau a. Inn, 20 kwietnia 1889 r., Niemiec, katolik. Ojciec służba cywilna. 4 klasy liceum. (…). Rysunek sprawdzający niezadowalający[38].

Hitler spróbował ponownie rok później, ale tym razem jego rysunek był tak kiepski, że nawet nie dopuszczono go do egzaminu. Dla ambitnego młodego człowieka było to niczym grom z jasnego nieba, jak sam później napisał. Trwał w niezachwianym przekonaniu, że mu się powiedzie. Według jego własnych słów z *Mein Kampf* zwrócił się o wyjaśnienie do samego rektora Akademii.

> Dżentelmen ten zapewnił mnie, że rysunki, które przedłożyłem, niezaprzeczalnie potwierdzają moją niezdatność do malowania, i że moje umiejętności bez dwóch zdań pasują do dziedziny architektury; stwierdził, że jak dla mnie, Szkoła Rysunku Akademii jest poza zasięgiem, a właściwym miejscem jest Szkoła Architektury[39].

Młody Adolf był skłonny się z tym zgodzić, ale ku swej udręce szybko się zorientował, że brak dyplomu ukończenia liceum może zamknąć mu drogę także do szkoły dla architektów.

Tymczasem jego matka umierała na raka piersi, więc wrócił do Linzu. Klara Hitler oraz jej krewni przez trzy lata, od czasu porzucenia przez młodzieńca szkoły, wspierali go finansowo, ale widzieli, że nie przyniosło to żadnych owoców. 21 grudnia 1908 r., gdy miasto zaczęło przywdziewać bożonarodzeniową szatę, matka Adolfa Hitlera zmarła. Dwa dni później została pochowana obok męża w Leonding. Dla dziewiętnastolatka był to

> (…) potworny cios (…). Szanowałem ojca, ale matkę kochałem (…). [Jej] śmierć położyła nagły kres moim wzniosłym planom (…). Ubóstwo oraz twarde realia życia zmusiły mnie do podjęcia szybkiej decyzji (…). Stanąłem przed problemem zarobienia jakoś na życie[40].

Jakoś! Hitler nie znał żadnego fachu. Od zawsze pogardzał pracą fizyczną. Nigdy nawet nie próbował zarobić złamanego grosza. Ale się nie bał. Pożegnawszy się z krewnymi, oświadczył, że wróci dopiero wtedy, gdy osiągnie sukces.

> Z walizką pełną ubrań i bielizny oraz niezłomną wolą w sercu wyruszyłem do Wiednia. Miałem nadzieję, że wyrwę losowi to, co mój ojciec osiągnął pięćdziesiąt lat wcześniej; liczyłem, że zostanę „kimś” – ale na pewno nie pracownikiem służby cywilnej[41].

„NAJSMUTNIEJSZY OKRES MOJEGO ŻYCIA”

Następne cztery lata (1909-1913) okazały się dla młodzieńca z Linzu okresem dotkliwej nędzy i ubóstwa. W ostatnich, ulotnych latach przed upadkiem Habsburgów i końcem stolicy cesarstwa leżącego w sercu Europy i zamieszkanego przez 52 miliony ludzi, Wiedeń cechowały niespotykane w innych stolicach świata wystawność i urok. Miasto tchnęło atmosferą baroku i rokoko, której nie znała żadna inna metropolia Zachodu – nie tylko dzięki architekturze, rzeźbie czy muzyce, ale też radosnemu, kochającemu uciechy, pełnemu ogłady duchowi jego mieszkańców.

Wiedeń usadowił się nad modrym Dunajem, u stóp upstrzonych żółtawo-zielonymi winnicami, lesistych wzgórz Wienerwald. Był miejscem pięknym z natury, które oczarowywało przyjezdnych i zaszczepiało w wiedeńczykach przekonanie, że Opatrzność obdarzyła ich szczególną łaskawością. Powietrze wypełniała muzyka – wielkie dzieła utalentowanych synów narodu, największych, jakich znała Europa: Haydna, Mozarta, Beethovena i Schuberta, a w okresie schyłku cesarstwa także żywe, urzekające walce ukochanego w Wiedniu Johanna Straussa. Dla ludzi tak szczęśliwych i tak naznaczonych barokowym stylem życia już sama egzystencja miała w sobie coś ze snu, a dobrzy obywatele stolicy spędzali przyjemne dni i wieczory na tańcu i piciu wina, na światłych rozmowach w przytulnych kawiarniach, na słuchaniu muzyki, oglądaniu baśniowych sztuk, oper i operetek, na flirtowaniu i uprawianiu miłości, porzuciwszy znaczną część realnego życia dla rozkoszy i marzeń.

Oczywiście ktoś musiał dbać, aby cesarstwo było właściwie rządzone, stany armii i marynarki wojennej zapełnione, komunikacja utrzymywana, interesy przeprowadzone, a praca wykonana. Ale w Wiedniu niewielu ludzi pracowało po godzinach czy choćby na pełen etat.

Naturalnie była też druga strona medalu. W mieście, jak w każdym innym, mieszkali również biedacy: słabo odżywieni, źle odziani, bytujący w nędznych ruderach. Niemniej jako największy ośrodek przemysłowy Europy Środkowej, a także stolica cesarstwa Wiedeń był zamożny, a zamożność obejmowała coraz więcej ludzi i skapywała w dół drabiny społecznej. Liczne masy niższej klasy średniej kontrolowały miasto politycznie; siła robocza zorganizowała się nie tylko w związki zawodowe, ale także we własną, potężną partię polityczną – socjaldemokratów. Miasto, którego populacja rozrosła się do 2 milionów, wrzało i bulgotało. Demokracja wypierała prastarą autokrację Habsburgów, edukacja i kultura

otwierały się na masy, więc gdy Hitler przyjechał do Wiednia w 1909 r., przed młodym mężczyzną bez grosza przy duszy stały szanse zdobycia wyższego wykształcenia czy zarobienia na całkiem godny byt. Jako jeden z miliona pracowników najemnych mógł żyć pod wpływem cywilizacyjnego uroku, który stolica rzucała na swych mieszkańców. Czyż jego jedyny przyjaciel Kubizek, swego czasu równie biedny i nieznany jak on, nie zdobywał już reputacji w Akademii Muzycznej?

Ale młody Adolf nie realizował ambicji dostania się do Szkoły Architektury. Pomimo braku dyplomu z liceum, miał na to szansę – młodych mężczyzn przejawiających „nadzwyczajny talent" przyjmowano nawet bez dyplomów – ale z tego, co wiadomo, Hitler nigdy nie złożył podania. Nie był też zainteresowany nauką żadnego rzemiosła ani podjęciem stałej pracy. Wolał krzątać się przy mniej poważnych zajęciach: odśnieżaniu, trzepaniu dywanów, noszeniu bagaży na Dworcu Zachodnim, sporadycznie zdarzało mu się pracować po kilka dni na budowach. W listopadzie 1909 r., niecały rok po przybyciu do Wiednia, aby „ubiec los", został zmuszony do wyprowadzki z umeblowanego pokoju na Simon Denk Gasse i przez następne cztery lata pomieszkiwał w noclegowniach albo w równie nędznych kwaterach przy Meldemannstrasse 27 w Dwudziestej Dzielnicy, niedaleko Dunaju, a głód zaspokajał, jedząc zupy w miejskich kuchniach charytatywnych.

Nie dziwne, że prawie dwie dekady później napisał:

> Dla mnie Wiedeń, który dla tak wielu stanowi ucieleśnienie niewinnej przyjemności, ten festyn hulaków, reprezentuje, i przykro mi to mówić, jedynie żywą pamiątkę najsmutniejszego okresu mojego życia.
>
> Jeszcze dziś miasto to wzbudza we mnie wyłącznie ponure myśli. Dla mnie nazwa tego feackiego[42] miasta reprezentuje pięć lat trudów i nędzy. Pięć lat, w czasie których musiałem zarabiać na życie, najpierw jako robotnik na akord, potem jako drobny malarz; naprawdę mizerny żywot, który nigdy nie wystarczał, aby zaspokoić choćby bieżący głód[43].

Twierdził, że w tym okresie zawsze głodował.

> Głód był wówczas mym wiernym strażnikiem; nie opuszczał mnie ani na chwilę i towarzyszył mi we wszystkim (…). Moje życie było nieustanną walką z tym niemiłosiernym przyjacielem[44].

Jednak głód nigdy nie doprowadził go na skraj, czyli nie skłonił do poszukiwań stałej pracy. W *Mein Kampf* Hitler pisze bez ogródek, że gryzł

go drobnoburżuazyjny strach, że stoczy się w szeregi proletariatu, robotników fizycznych – strach, który później wykorzysta, budując Partię Narodowosocjalistyczną, opierając się o solidny fundament do tej pory pozbawionej przywództwa, źle opłacanej i zaniedbanej klasy urzędniczej. Miliony jej członków pielęgnowały złudzenie, że przynajmniej społecznie wiedzie im się lepiej niż „robotnikom".

Hitler twierdził, że częściowo zarabiał jako „drobny malarz", lecz w swojej autobiografii nie zagłębia się w szczegóły tej kwestii, nie licząc wzmianki, że w latach 1909-1910 na tyle poprawił swoją sytuację, że nie musiał już pracować jak zwykły robotnik. „W tym czasie – pisał – pracowałem samodzielnie jako drobny rysownik i malarz akwarelowy"[45].

Jest to nieco mylące, podobnie jak wiele wątków biograficznych w *Mein Kampf*. Choć świadectwa osób znających go w tym okresie zdają się niewiele bardziej wiarygodne, to zebrane w jedną całość przedstawiają prawdopodobnie wierniejszy, a na pewno bardziej kompletny obraz jego życia[46].

Adolf Hitler nigdy nie był malarzem pokojowym, jak szydzili jego przeciwnicy polityczni. Jest to niemal pewne, a przynajmniej nie ma dowodów, żeby kiedykolwiek podjął się tego zajęcia. W rzeczywistości malował lub rysował proste obrazki przedstawiające Wiedeń, zazwyczaj dobrze znane miejsca, takie jak katedra św. Stefana, gmach opery, Burgtheater, pałac Schönbrunn czy rzymskie ruiny w parku Schönbrunn. Według jego znajomych kopiował starsze prace; najwidoczniej nie potrafił malować z natury. Jego obrazki są raczej sztywne i pozbawione życia, jak podstawowe szkice nieprzykładającego się do pracy architekta, a postacie ludzkie, które czasami dodawał, są równie kiepskie jak w prasowych komiksach. Znalazłem własną notkę, którą swego czasu sporządziłem, przejrzawszy portfolio oryginalnych szkiców Hitlera: „Mało twarzy. Surowe. Jedna twarz wręcz upiorna". Według Heidena „wyglądały jak małe worki na śpiwory, stojące obok strzelistych, okazałych pałaców"[47].

Hitler sprzedał prawdopodobnie setki tych nędznych dziełek drobnym kupcom, którzy ozdabiali nimi swe ściany, handlarzom, którzy zapełniali nimi puste ściany swoich domostw, i wytwórcom mebli, którzy w zgodzie z ówczesną wiedeńską modą przyszywali je do zaplecków tanich kanap i krzeseł. Mógł też iść w stronę reklamy. Często rysował plakaty dla sklepikarzy reklamujących produkty w rodzaju „talku przeciwko poceniu Teddy'ego". Stworzył również plakat, który zapewne przyniósł mu trochę

pieniędzy w okresie świątecznym, ukazywał bowiem świętego Mikołaja sprzedającego kolorowe świeczki, i drugi, z gotycką wieżą katedry św. Stefana wyrastającą z góry tortów; wieżę tę Hitler nieustannie starał się odtworzyć.

Tak wyglądała skala jego osiągnięć „artystycznych", a mimo to do końca życia uważał się za artystę.

W owych dniach włóczęgostwa w Wiedniu Hitler bez dwóch zdań prezentował się jak członek bohemy. Ludzie, którzy go wówczas poznali, wspominali jego długi, czarny znoszony płaszcz, który sięgał mu do kostek i przypominał kaftan. Otrzymał go od pewnego handlarza używanymi ubraniami, węgierskiego Żyda, współlokatora z przygnębiającego schronisku dla mężczyzn, z którym się tam zaprzyjaźnił. Wspominali jego przetłuszczony czarny melonik, w którym chodził przez okrągły rok, i potargane włosy, które zaczesywał na czoło, jak w późniejszych latach. Z tyłu opadały mu bezładnie na brudny kołnierz, wydaje się bowiem, że rzadko strzygł się i golił, jego policzki oraz podbródek pokrywał zazwyczaj czarny, rzadki zarost. Jeżeli wierzyć Hanischowi, który później został kimś w rodzaju artysty, Hitler przypominał „postać rzadko widywaną pomiędzy chrześcijanami"[48].

W przeciwieństwie do niektórych innych młodych życiowych rozbitków, pośród których żył, nie miał większości przywar młodości. Nie palił i nie pił. Trzymał się z dala od kobiet – z tego, co można ustalić, nie ze względu na jakieś odstępstwa od normy, ale po prostu przez wrodzoną nieśmiałość.

Później, w jednym z rzadkich przebłysków poczucia humoru, Hitler napisał w *Mein Kampf*: „Myślę, że ci, którzy znali mnie w tych czasach, mieli mnie za ekscentryka"[49].

Podobnie jak jego nauczyciele, ludzie ci zapamiętali wyraziste, świdrujące oczy dominujące na jego obliczu i wyrażające osobowość, która wcale nie gardziła żywotem niedomytego włóczęgi. Zapamiętali też, że pomimo całego lenistwa na niwie pracy fizycznej, młody Hitler był łapczywym czytelnikiem i mnóstwo czasu poświęcał na pochłanianie kolejnych lektur.

> W tych czasach czytałem wiele i gruntownie. Studiom poświęcałem cały wolny czas, na jaki pozwalała mi praca. Tym sposobem w ciągu kilku lat wykułem fundamenty wiedzy, którą nadal się karmię[50].

W *Mein Kampf* rozwodzi się szeroko na temat sztuki czytania.

Poprzez „czytanie” bez wątpienia rozumiem co innego niż przeciętny przedstawiciel tak zwanej „inteligencji”.

Znam ludzi, którzy wiele „czytają” (…), jednak nie nazwałbym ich „oczytanymi”. To prawda, posiadają ogrom „wiedzy”, ale ich mózgi nie potrafią organizować i rejestrować przeczytanego materiału (…). Z drugiej strony człek, który posiadł sztukę poprawnego czytania, będzie (…) instynktownie i natychmiast zauważał wszystko, co w jego mniemaniu warto zapamiętać na stałe, bo służy to jego celom lub generalnie warto to wiedzieć (…). Sztuka czytania, podobnie jak uczenia się, polega na: (…) *zapamiętywaniu rzeczy kluczowych i zapominaniu o zbędnych*[51] (…). Tylko taki rodzaj czytania ma znaczenie i sens (…). Z tego punktu widzenia mój okres wiedeński był niezwykle owocny i wartościowy[52].

Dlaczego wartościowy? Hitler odpowiada, że dzięki czytaniu i egzystencji pośród wiedeńskiej biedoty nauczył się o życiu wszystkiego, co powinien wiedzieć.

Wiedeń był i nadal jest dla mnie najtrudniejszą, ale i najbardziej gruntowną szkołą w życiu. Gdy postawiłem stopę w tym mieście, nadal byłem na poły chłopcem, ale opuszczałem je jako mężczyzna, cichy i poważny.

W tym okresie ukształtowały się we mnie obraz świata i filozofia, które stały się żelazną podstawą wszystkich moich czynów. Oprócz tego, co wówczas stworzyłem, nie musiałem już wiele się uczyć; i nie musiałem nic zmieniać[53].

Czego wobec tego nauczył się w owej trudnej szkole życia, którą zafundował mu Wiedeń? Jakie idee, które, jak sam stwierdził, zasadniczo pozostały z nim do końca w niezmienionej formie, zaszczepiły mu ówczesne lektury i życiowe doświadczenia? Już na pierwszy rzut oka można stwierdzić, że były płytkie i wyświechtane, nierzadko groteskowe i niedorzeczne, a także zatrute cudacznymi uprzedzeniami. Jednak równie oczywiste jest, że są one ważne dla niniejszej opowieści, tak jak dla historii świata, miały bowiem stworzyć część podwalin III Rzeszy, którą ten włóczący się po Wiedniu mól książkowy miał wkrótce zbudować.

KIEŁKOWANIE IDEI ADOLFA HITLERA

Idee te, nie licząc jednego wyjątku, nie były oryginalne, lecz podebrane ze spienionych wód austriackiej i światowej polityki pierwszych lat XX w. Naddunajska monarchia konała na niestrawność. Niemiecko-austriacka mniejszość przez wieki władała wielojęzycznym cesarstwem licznych

narodów, odciskając na nich piętno swego języka i kultury. Ale od 1848 r. jej władza zaczęła słabnąć. Mniejszości nie udało się przetrawić. Austria nie była tyglem, który scalił je w jedno. W latach 60. XIX w. oderwali się Włosi, a w 1867 r. Węgrzy zdobyli równość z Niemcami, tworząc tzw. monarchię dualistyczną. Teraz, gdy rozpoczynało się XX stulecie, wiele narodów słowiańskich – Czesi, Słowacy, Serbowie, Chorwaci i inni – także domagało się równości i przynajmniej autonomii narodowej. Austriacką scenę polityczną zdominowały zajadłe przepychanki pomiędzy narodami.

Ale na tym nie koniec. Dochodziło do zrywów społecznych, wykraczających poza walkę rasową. Pozbawione praw obywatelskich klasy niższe domagały się prawa głosu, a robotnicy prawa zrzeszania się w związki i strajkowania – i to nie tylko dla uzyskania wyższych zarobków i lepszych warunków pracy, ale też dla osiągnięcia demokratycznych celów politycznych. I w rzeczy samej, strajk generalny zaowocował w końcu powszechnym prawem wyborczym dla mężczyzn, a co za tym idzie kresem dominacji austriackich Niemców, którzy stanowili zaledwie jedną trzecią ludności austriackiej części cesarstwa.

Hitler, fanatyczny młody austro-niemiecki nacjonalista z Linzu, był skrajnie przeciwny takiemu rozwojowi wypadków. Według niego cesarstwo tonęło w „ohydnym bagnie”. Ocalić mogło je tylko odzyskanie dawnej władzy absolutnej przez rasę panów, Niemców. Inne rasy, zwłaszcza Słowianie, a wśród nich przede wszystkim Czesi, były poślednie. Niemcy powinni rządzić nimi żelazną ręką. Należało rozwiązać parlament i położyć kres wszelkim demokratycznym „nonsensom”.

Choć sam nie udzielał się politycznie, bacznie śledził działalność trzech dużych partii starej Austrii: socjaldemokratów, chrześcijańskich socjalistów i pangermańskich nacjonalistów. Właśnie wtedy w umyśle zaniedbanego bywalca charytatywnych kuchni zaczął kiełkować polityczny spryt, który z niebywałą dokładnością pozwalał mu ujrzeć atuty oraz słabości ówczesnych ruchów politycznych, a gdy już dojrzał, uczynił zeń mistrza niemieckiej polityki.

Wściekłą nienawiść do Partii Socjaldemokratycznej wykształcił w sobie już podczas pierwszego kontaktu. „Najbardziej odrzucała mnie jej wroga postawa względem walki o obronę niemieckości [i] haniebne umizgi wobec słowiańskich »towarzyszy« (…). W kilka miesięcy uzyskałem to, co w innym wypadku mogło zająć całe dziesięciolecia: zrozumienie zaraźliwej dziwki[54], która przebiera się za społeczną cnotę i braterską miłość”[55].

Niemniej Hitler był już na tyle inteligentny, aby stłumić gniew na partię klasy robotniczej i na spokojnie zgłębić przyczyny jej popularności. Doszedł do wniosku, że było ich kilka. Pamiętał o nich wiele lat później i wykorzystał je przy budowie niemieckiej Partii Narodowosocjalistycznej.

Hitler wspominał w *Mein Kampf*, że pewnego dnia był świadkiem masowej demonstracji wiedeńskich robotników. „Stałem tam i przez prawie dwie godziny obserwowałem z zapartym tchem wijącego się obok mnie, gigantycznego ludzkiego smoka. Udręczony niepokojem w końcu opuściłem to miejsce i powędrowałem w stronę domu”[56].

Zaczął czytać socjaldemokratyczną prasę, analizować przemówienia liderów ruchu, studiować jego organizację, zastanawiać się nad jego psychologią oraz technikami politycznymi, dumać nad efektami jego działalności. Wysnuł trzy wnioski, którymi wytłumaczył sukces socjaldemokratów: wiedzieli, jak stworzyć masowy ruch, bez którego każda partia polityczna jest bezużyteczna; posiedli sztukę masowej propagandy; i wreszcie znali wartość, jak ujął to Hitler, „terroru duchowego i fizycznego”.

Ten trzeci wniosek, mimo że na pewno został oparty na błędnych obserwacjach i skażony jego głębokimi uprzedzeniami, zaintrygował młodego Hitlera. W ciągu 10 lat nauczy się sprawnie z niego korzystać.

> Zrozumiałem niesławny terror duchowy siany przez ten ruch, zwłaszcza pośród burżuazji, która ani moralnie, ani mentalnie nie może przeciwstawić się takim atakom; na dany sygnał [Partia Socjaldemokratyczna – przyp. tłum.] uwalnia różnorodną lawinę kłamstw i oszczerstw wymierzonych w rywala, który zdaje się jej najgroźniejszy, aż w końcu zaatakowana osoba załamuje się nerwowo (…). To taktyka bazująca na dokładnych rachubach wszelkich ludzkich słabości, a jej rezultat prowadzi do sukcesu z niemal matematyczną pewnością (…).
>
> Osiągnąłem też równe zrozumienie znaczenia fizycznego terroru wymierzonego w jednostki i w masy (…). Bo choć w szeregach jej zwolenników osiągnięte zwycięstwo wydaje się triumfem sprawiedliwości ich sprawy, pokonany przeciwnik w większości przypadków popada w rozpacz i zaprzestaje myśli o dalszym oporze[57].

Nie ma celniejszej analizy nazistowskiej taktyki, rozwiniętej później przez Hitlera.

W Wiedniu działały dwie partie, które silnie przyciągały dojrzewającego Hitlera, i obie poddał on przenikliwej oraz wyrachowanej analizie. Twierdził, że jego oddanie jako pierwsza zaskarbiła sobie Pangermańska Partia Nacjonalistyczna, założona przez Georga Rittera von Schönerera, pochodzącego podobnie jak rodzina Hitlera z rejonu Spital w Dolnej Austrii. Pangermanie byli wówczas zaangażowani w ostatnią walkę o

niemiecką supremację w wielonarodowym cesarstwie. I chociaż Hitler uważał Schönerera za „wnikliwego myśliciela” oraz z zapałem popierał jego podstawowy program brutalnego nacjonalizmu, antysemityzmu, antysocjalizmu, unii z Niemcami oraz sprzeciwu wobec Habsburgów i Stolicy Apostolskiej, szybko zrozumiał powody jego porażki:

> Przez niedostateczne docenienie wagi problemu społecznego ruch ten stracił naprawdę wojownicze masy ludzkie; wejście do parlamentu odebrało mu potężny impet i obciążyło wszystkimi ciężarami typowymi dla tej instytucji; walka z Kościołem katolickim (…) pozbawiła go niezliczonych przedstawicieli najlepszego elementu tego narodu[58].

Mimo że Hitler po dojściu do władzy o tym zapomniał, jedną z lekcji, które odebrał w Wiedniu, a później szeroko rozwodził się o niej w *Mein Kampf*, jest jałowość zwalczania Kościoła przez partie polityczne. „Niezależnie od tego, jak szerokie pole do krytyki dają wszystkie wyznania, partia polityczna ani na chwilę nie może zapomnieć o fakcie, że we wszystkich dotychczasowych przypadkach dziejowych partii czysto politycznej nie udało się przeprowadzić reformacji religijnej”[59], napisał, tłumacząc, dlaczego taktyka Los-von-Rom (Z dala od Rzymu) Schönerera była błędem taktycznym.

Za największą porażkę pangermanów Hitler uznał jednak nieumiejętność porywania tłumów, niezdolność zrozumienia prostych ludzi. Z podsumowania idei, które zaczęły kształtować się w jego umyśle po ukończeniu 21 roku życia, jasno wynika, że uważał to za kardynalny błąd. I nie zamierzał go powtórzyć po założeniu własnego ruchu politycznego.

Pangermanie popełnili jeszcze jeden błąd, którego Hitler nie miał zamiaru naśladować. Nie zjednali sobie poparcia ani jednej potężnej instytucji o ugruntowanej pozycji – bo jeśli nie z Kościołem, to powinni sprzymierzyć się z armią, rządem czy głową państwa. Młody Hitler uważał, że jeśli ruch polityczny nie zdobędzie takiego sojusznika, to przejęcie przezeń władzy będzie trudne lub wręcz niemożliwe. On, dzięki swemu sprytowi, zjednał je sobie w decydujących dniach stycznia 1933 r., i właśnie to pozwoliło jemu oraz Partii Narodowosocjalistycznej objąć władzę w tak wielkim państwie.

W Wiedniu czasów Hitlera działał pewien przywódca polityczny, który rozumiał zarówno ten fakt, jak i konieczność budowy partii na fundamencie ludzkich mas. Mowa o doktorze Karlu Luegerze, burmistrzu Wiednia i

liderze Partii Chrześcijańsko-Społecznej, który bardziej niż ktokolwiek inny stał się mentorem politycznym Hitlera, mimo że nigdy się nie spotkali. Hitler zawsze uważał go za „największego niemieckiego burmistrza w dziejach (…), męża stanu przewyższającego wszystkich ówczesnych tak zwanych »dyplomatów« (…). Gdyby doktor Karl Lueger mieszkał w Niemczech, zająłby miejsce pośród największych umysłów naszego narodu”[60].

Oczywiście pomiędzy późniejszym Hitlerem a tym zażywnym, bezpośrednim idolem wiedeńskiej niższej klasy średniej nie było większego podobieństwa. To jednak prawda, że Lueger został najpotężniejszym politykiem w Austrii jako szef partii, która czerpała siłę z niezadowolonej drobnej burżuazji oraz zbiła kapitał polityczny na hałaśliwym antysemityzmie, tak jak później Hitler. Ale Lueger, który dorastał w skromnych warunkach i dzięki własnej pracy ukończył uniwersytet, miał na swoim koncie spore osiągnięcia intelektualne, a jego przeciwnicy, w tym Żydzi, chętnie przyznawali, że w głębi serca jest człowiekiem przyzwoitym, rycerskim, hojnym i tolerancyjnym. Stefan Zweig, wybitny austro-żydowski pisarz, który dorastał w Wiedniu w omawianym okresie, stwierdził, że Lueger nigdy nie pozwalał, aby jego oficjalny antysemityzm stawał mu na przeszkodzie do okazywania Żydom pomocy i przyjaźni. „Jego administracja miasta była doskonale sprawiedliwa i nawet typowo demokratyczna (…). Żydzi, którzy drżeli po triumfie antysemickiej partii, cieszyli się takimi samymi prawami oraz poważaniem jak dawniej”, wspominał Zweig[61].

To akurat nie przypadło do gustu młodemu Hitlerowi. Uważał, że Lueger jest zbyt tolerancyjny i lekceważy problem rasowy, jaki stwarzają Żydzi. Oburzało go, że burmistrz nie popiera pangermanizmu, a także sceptycznie podchodził do jego rzymskokatolickiego klerykalizmu i lojalności wobec Habsburgów. Bo czyż to nie sędziwy cesarz Franciszek Józef dwukrotnie odmówił zatwierdzenia wyboru Luegera na burmistrza?

Niemniej Hitler ostatecznie musiał przyznać, że ten człowiek, który wiedział, jak zyskać poparcie mas, i rozumiał współczesne problemy społeczne oraz znaczenie propagandy i oratorstwa w porywaniu tłumów, był geniuszem. Nie potrafił hamować podziwu dla sposobu, w jaki Lueger poradził sobie z potężnym Kościołem: „Jego politykę kształtowała niezmierzona przebiegłość”. I jeszcze: „Lueger natychmiast wykorzystywał wszelkie dostępne narzędzia zjednywania poparcia instytucji o

ugruntowanej pozycji, aby czerpać jak największą korzyść dla swego ruchu z tych starych ośrodków władzy”[62].

Tak w skrócie wyglądały idee oraz techniki, którymi Hitler miał się posłużyć, budując własną partię polityczną i prowadząc ją do władzy w Niemczech. Jego oryginalność polegała na tym, że był jednym politykiem prawicy, który zastosował je na niemieckiej scenie politycznej po I wojnie światowej. To właśnie wtedy ruch nazistowski, jako jedyny pomiędzy nacjonalistami i konserwatystami, zjednał sobie ogromne masy zwolenników, a po drodze także poparcie armii, prezydenta republiki oraz kręgów wielkiego biznesu – trzech „instytucji o ugruntowanej pozycji” dysponujących kolosalną władzą, które utorowały mu drogę do kanclerstwa Niemiec. Wiedeńskie lekcje okazały się zaprawdę pożyteczne.

Doktor Karl Lueger był znakomitym oratorem, ale pangermanom brakowało przekonujących mówców. Nie umknęło to uwadze Hitlera i w *Mein Kampf* zaakcentował znaczenie oratorstwa w polityce.

> Siła, która zawsze wprawiała w ruch największe w dziejach religijne i polityczne lawiny, to od niepamiętnych czasów magiczna siła słowa mówionego, i nic innego.
>
> Szerokie masy ludzkie można poruszyć jedynie siłą mowy. Wszystkie wielkie ruchy to ruchy powszechne, wulkaniczne erupcje ludzkiej pasji i emocji, rozniecane przez bezlitosną Boginię Nędzę albo żagiew słowa rzuconą pomiędzy masy; to nie przypominające lemoniadę wynurzenia literackich estetów i salonowych herosów[63].

Młody Hitler wzbraniał się przed aktywnym udziałem w austriackiej polityce partyjnej, ale zaczynał już ćwiczyć umiejętności oratorskie przed publiką, jaką udawało mu się znajdować w wiedeńskich przytułkach, stołówkach i na rogach ulic. Rozwinął w sobie wielki talent (o czym autor, wysłuchawszy wielu jego mów, może zaświadczyć), większy niż jakikolwiek inny w międzywojennych Niemczech, który w ogromnej mierze przyczynił się do jego zadziwiającego sukcesu.

I na koniec, w wiedeńskim doświadczeniu Hitlera znalazło się też miejsce dla Żydów. Twierdził on, że w Linzu było ich niewielu. „Nie pamiętam, abym w domu, za życia ojca, słyszał cokolwiek na ich temat”. W liceum uczył się jeden żydowski chłopiec, „ale nie przykładaliśmy wtedy do tej kwestii znaczenia (…). Sam nawet brałem ich [Żydów] za Niemców”[64].

Według przyjaciela Hitlera jest to nieprawda. August Kubizek, wspominając ich wspólne czasy w Linzu, stwierdził: „Gdy poznałem Adolfa Hitlera, jego antysemityzm był już wyraźnie widoczny (…). Kiedy

wyjechał do Wiednia, był już zdeklarowanym antysemitą. I choć jego wiedeńskie doświadczenia mogły pogłębić te zapatrywania, z pewnością ich nie zrodziły”[65].

„A potem przyjechałem do Wiednia”, pisał Hitler.

> Pochłonięty obfitością wrażeń (…), uciskany trudem własnego losu, z początku nie zauważyłem wewnętrznej stratyfikacji ludzi w tym gigantycznym mieście. Choć ówczesny Wiedeń na dwa miliony mieszkańców liczył prawie dwieście tysięcy Żydów, ja ich nie dostrzegałem (…). W moim mniemaniu Żyda nadal charakteryzowała wyłącznie religia, przeto, na gruncie ludzkiej tolerancji, zarówno w ich, jak i innych przypadkach, powstrzymywałem się przed atakami wyznaniowymi. W konsekwencji ton wiedeńskiej prasy antysemickiej zdawał mi się niegodny kulturowej tradycji tego wielkiego narodu[66].

Hitler wspominał, że pewnego dnia wybrał się do Innere Stadt. „Nagle natknąłem się na zjawę w czarnym kaftanie i z czarnymi pejsami. Czy to Żyd? – pomyślałem zrazu. Bo Żydzi w Linzu z całą pewnością tak nie wyglądali. Obserwowałem tego człowieka ukradkowo i ostrożnie, ale im dłużej patrzyłem na tę obcą twarz, taksowałem cechę po cesze, tym bardziej moje pierwsze pytanie przybierało inną formę: Czy to Niemiec?”[67].

Łatwo się domyślić, jak Hitler na nie odpowiedział. Zapewniał jednak, że zanim udzielił odpowiedzi, postanowił „uwolnić się od wątpliwości dzięki książkom”. Zanurzył się w literaturze antysemickiej, która w tym czasie w Wiedniu świetnie się sprzedawała. Potem wyszedł na ulice, aby dokładniej przyjrzeć się temu „zjawisku”. „Gdziekolwiek szedłem, zaczynałem dostrzegać Żydów, a im więcej ich widziałem, tym ostrzej wyróżniali się w moich oczach na tle reszty ludzkości (…). Później często robiło mi się niedobrze od zapachu tych kaftaniarzy”[68].

Twierdził, że następnie odkrył „moralną skazę na »narodzie wybranym« (…). Czy istnieje jakaś forma brudu lub rozwiązłości, zwłaszcza w życiu kulturalnym, bez choć jednego Żyda? Gdy, nawet ostrożnie, natniesz jeden z tych wrzodów, znajdziesz, niczym larwę w gnijącym ciele, oślepionego nagłym światłem – żydka!”. Hitler pisał, że odkrył, iż to Żydzi są w głównej mierze odpowiedzialni za prostytucję i handel białymi ludźmi. „Kiedy zrozumiałem, że to Żyd jest nieczułym, bezwstydnym i wyrachowanym zarządcą tego odpychającego handlu ludźmi pośród mętów wielkiego miasta, przeszedł mnie lodowaty dreszcz”[69].

W bredniach Hitlera na temat Żydów jest wiele elementów chorobliwej seksualności. Było to typowe dla ówczesnej wiedeńskiej prasy

antysemickiej, a później będzie dla obscenicznego norymberskiego „Der Stürmer”, gazety wydawanej przez jednego z ulubionych zauszników Hitlera, Juliusa Streichera, nazistowskiego bonzę z Frankonii, znanego zboczeńca i jedną z najbardziej antypatycznych postaci III Rzeszy. W *Mein Kampf* roi się od chorych wzmianek na temat nieokrzesanych Żydów uwodzących niewinne chrześcijańskie dziewczęta i tym samym zanieczyszczających ich krew. Hitler potrafił napisać o „koszmarnej wizji uwiedzenia setek tysięcy dziewcząt przez odpychających, krzywonogich Żydów”. Jak wskazał Rudolf Olden, jednym z korzeni antysemityzmu Hitlera mogła być dręcząca go zazdrość seksualna. Z tego, co wiadomo, mimo że był młodym mężczyzną po dwudziestce, podczas pobytu w Wiedniu nie utrzymywał żadnych kontaktów z kobietami.

„Stopniowo zacząłem ich [tj. Żydów – przyp. tłum.] nienawidzić (…). Był to dla mnie czas największego wrzenia duchowego, jakiego w życiu doświadczyłem. Przestałem być uległym kosmopolitą i stałem się antysemitą”[70].

I miał pozostać ślepym, fanatycznym antysemitą aż do samego końca. W swym testamencie, sporządzonym na kilka godzin przed śmiercią, wymierzył Żydom ostatni cios, obarczając ich odpowiedzialnością za wojnę, którą sam wywołał i która właśnie wykańczała jego oraz III Rzeszę. Owa paląca nienawiść, która miała zarazić tak wielu Niemców, w ostatecznym rozrachunku doprowadzi do masakry tak koszmarnej i przeprowadzonej na taką skalę, że blizna, jaką pozostawiła na obliczu cywilizacji nie zniknie, póki żyć będą ludzie.

Wiosną 1913 r. Hitler opuścił Wiedeń na dobre i wyjechał do Niemiec, do których, jak zapewniał, zawsze należało jego serce. Miał 24 lata i wszystkim, poza sobą samym, musiał wydawać się nieudacznikiem. Nie został malarzem ani architektem. Na pierwszy rzut oka był po prostu włóczęgą, choć z całą pewnością ekscentrycznym i rozczytanym. Nie miał przyjaciół, nie miał bliskich, nie miał pracy, nie miał domu. Miał natomiast coś innego: niezachwianą pewność siebie i głębokie, żarliwe poczucie misji.

Austrię opuścił prawdopodobnie dlatego, że chciał uciec od służby wojskowej[71]. Ale nie dlatego, że był tchórzem; chciał po prostu uniknąć służby w jednym szeregu z Żydami, Słowianami i przedstawicielami innych mniejszości cesarstwa. W *Mein Kampf* stwierdził, że wyjechał do

Monachium wiosną 1912 r., ale jest to błąd. Dokumenty policyjne stwierdzają, że jeszcze w maju 1913 r. przebywał w Wiedniu.

Sam uzasadniał swój wyjazd z Austrii w dość pompatyczny sposób:

> Mój wewnętrzny wstręt do państwa Habsburgów stale narastał (…). Odrzucało mnie zbiorowisko ras, które ukazała mi stolica, odrzucała mnie ta cała mieszanina Czechów, Polaków, Węgrów, Rusinów, Serbów i Chorwatów, i wszędobylskich, odwiecznych grzybów ludzkości – Żydów i jeszcze raz Żydów. To wielkie miasto wydawało mi się ucieleśnieniem profanacji rasowej (…). Z tych powodów coraz bardziej pragnąłem ruszyć w końcu tam, gdzie od dziecka przyciągały mnie tajemne pragnienia i sekretna miłość[72].

W kraju, który tak ukochał, czekała go przyszłość, jakiej nikt, nawet on w najśmielszych snach, nie mógłby sobie wyobrazić. Formalnie rzecz biorąc, aż do ostatnich dni przed objęciem urzędu kanclerza Hitler był obcokrajowcem, Austriakiem mieszkającym w Rzeszy Niemieckiej. Hitlera można zrozumieć jedynie jako Austriaka, który osiągnął dorosłość w ostatniej dekadzie przed upadkiem habsburskiego cesarstwa, nie zapuścił korzeni w jego cywilizowanej stolicy, popierał wszelkie niedorzeczne uprzedzenia i nienawiść pleniące się wówczas wśród niemieckojęzycznych ekstremistów oraz nie dostrzegał przyzwoitości, uczciwości i szlachetności u większości swych współobywateli, czy to u Czechów, Żydów, czy Niemców, biednych czy bogatych, artystów czy rzemieślników. Należy wątpić, czy jakikolwiek Niemiec z północy kraju, z leżącej na zachodzie Nadrenii, z Prus Wschodnich czy nawet z Bawarii mógłby wykształcić w swym umyśle i krwi tę miksturę poglądów, która zaprowadziła Hitlera na szczyty. Z pewnością został on też obdarzony niemałą porcją nieprzewidywalnego geniuszu.

Lecz do wiosny 1913 r. ów geniusz jeszcze się nie ujawnił. W Monachium, jak wcześniej w Wiedniu, Hitler nadal nie miał grosza przy duszy, przyjaciół ani stałej pracy. A latem 1914 r. nadeszła wojna i podobnie jak miliony innych chwyciła go w swą niszczycielską garść. 3 sierpnia złożył do bawarskiego króla Ludwika III pismo z prośbą o zgodę na ochotnicze wstąpienie do jednego z bawarskich pułków, i otrzymał ją.

Była to dla niego szansa zesłana z niebios. Młody włóczęga mógł teraz nie tylko zaspokoić pragnienie służenia ukochanemu, adoptowanemu krajowi, który, jak uważał, walczył o przetrwanie – o „być albo nie być” – ale też umknąć wszystkim rozczarowaniom i niepowodzeniom życia osobistego.

W *Mein Kampf* napisał: „Dla mnie owe godziny okazały się wybawieniem od udręki ciążącej mi w czasach młodości. Nie wstydzę się przyznać, że niesiony entuzjazmem chwili padłem na kolana i z głębi serca podziękowałem Niebiosom za to, że obdarowały mnie szczęściem i pozwoliły żyć w tych czasach (…). Dla mnie, jak dla każdego Niemca, rozpoczynał się najbardziej pamiętny okres życia. Na tle wydarzeń tej kolosalnej walki cała przeszłość znikała w otchłani”[73].

Dla Hitlera przeszłość – bieda, samotność, rozczarowania – miała pozostać ukryta w cieniu, choć na zawsze ukształtowała jego umysł i charakter. Wojna, która miała przynieść śmierć milionom ludzi, jemu, dwudziestopięciolatkowi, przyniosła nowy początek.

ROZDZIAŁ II

NARODZINY PARTII NAZISTOWSKIEJ

W ponurą jesienną niedzielę 10 listopada 1918 r. Adolf Hitler zaznał, jak określił to w poczuciu nienawiści i frustracji, największej podłości stulecia[74]. Ranni żołnierze, leżący w szpitalu wojskowym w Pasewalk, małym pomorskim miasteczku na północny wschód od Berlina, w którym Hitler wracał do zdrowia po przejściowej utracie wzroku w wyniku brytyjskiego ataku gazowego pod Ypres, usłyszeli od pastora niewiarygodne wieści.

Poinformował on ich, że kajzer abdykował i zbiegł do Holandii. Dzień wcześniej w Berlinie proklamowano republikę. Nazajutrz, 11 listopada, we francuskim Compiègne miano podpisać zawieszenie broni. Wojna była przegrana. Niemcy znalazły się na łasce zwycięskich Sprzymierzonych. Pastor zapłakał.

Hitler tak wspominał później tę scenę: „Nie mogłem tego znieść. Pociemniało mi przed oczyma; zataczając się, wróciłem do mojej sali, rzuciłem na pryczę i zakopałem moją płonącą głowę pod poduszkę i kołdrę (…). A więc wszystko na marne. Na marne wszystkie poświęcenia i znoje; (…) na marne te wszystkie godziny, w których nasze serca ściskał śmiertelny strach, pomimo którego wypełnialiśmy naszą powinność; na darmo śmierć dwóch milionów poległych (…). Czy po to zginęli? (…) Czy to wszystko stało się tylko po to, aby banda przeklętych kryminalistów mogła położyć łapska na Ojczyźnie?”[75].

Stwierdził, że po raz pierwszy, odkąd stanął nad grobem matki, załamał się i rozpłakał. „Nie mogłem się powstrzymać”. Podobnie jak miliony rodaków wtedy i później, nie potrafił zaakceptować nagiego, druzgocącego faktu, że Niemcy zostały pokonane na polu bitwy i przegrały wojnę.

Tak jak miliony innych Niemców, Hitler był odważnym żołnierzem. Później niektórzy rywale polityczni będą go oskarżali o tchórzostwo w boju, ale trzeba uczciwie powiedzieć, że nie ma choćby okruchu dowodu na potwierdzenie tych zarzutów. Hitler został gońcem w 1. kompanii 16. Bawarskiego Rezerwowego Pułku Piechoty, przybył na front pod koniec

października 1914 r., po zaledwie trzech miesiącach szkolenia, a cztery dni później jego jednostka została zdziesiątkowana w zażartych walkach pierwszej bitwy pod Ypres, w czasie której Brytyjczycy powstrzymali niemieckie natarcie nad kanał La Manche. W liście do właściciela budynku, w którym mieszkał w Monachium, krawca nazwiskiem Popp, Hitler napisał, że w ciągu czterech dni walk liczebność jego pułku zmniejszyła się z 3500 do 600 ludzi; przeżyło zaledwie 30 oficerów, a cztery kompanie trzeba było rozwiązać.

W czasie wojny Hitler był dwukrotnie ranny. Po raz pierwszy 7 października 1916 r. nad Sommą, kiedy oberwał w nogę. Po hospitalizacji w Niemczech wrócił w marcu 1917 r. do Pułku Lista (nazwanego od jego pierwotnego dowódcy) i awansowany na kaprala walczył pod Arras i w trzeciej bitwie pod Ypres. Podczas ostatniej generalnej ofensywy niemieckiej wiosną i latem 1918 r. jego pułk znalazł się w ogniu ciężkich walk. Nocą 13 października na wzgórzu na południe od Werwick, w trakcie ostatniej bitwy pod Ypres, dostał się pod intensywny atak gazowy Brytyjczyków. „Powlokłem się na tyły z płonącymi oczyma, zabierając ostatni raport tej wojny. Kilka godzin później moje oczy zamieniły się w rozżarzone węgle; wokół mnie zapadła ciemność”, relacjonował[76].

Został dwukrotnie odznaczony za odwagę. W grudniu 1914 r. otrzymał Krzyż Żelazny II klasy, a w sierpniu 1918 r. Krzyż Żelazny I klasy, który rzadko przyznawano prostym żołnierzom cesarskiej armii. Jeden z jego towarzyszy z jednostki zaświadczył, że Hitler to niezwykle pożądane odznaczenie otrzymał za własnoręczne, samodzielne wzięcie do niewoli 15 Anglików; inny twierdził, że byli to Francuzi. Oficjalna historia Pułku Lista nie zawiera ani słowa o takim wyczynie, ale pomija też wiele indywidualnych dokonań swoich odznaczonych żołnierzy. Niezależnie od powodów, nie budzi wątpliwości fakt, że kapral Hitler otrzymał Krzyż Żelazny I klasy. Nosił go dumnie do końca życia.

A jednak, jak zauważył niejeden z jego towarzyszy, Hitler był osobliwym żołnierzem. Nie otrzymywał z kraju żadnych listów ani upominków. Nigdy nie prosił o przepustkę, nie przejawiał nawet typowo żołnierskiego zainteresowania kobietami. Nigdy, choć robili to nawet najdzielniejsi, nie narzekał na brud, pchły, błoto i smród linii frontu. Był żarliwym wojownikiem, zawsze śmiertelnie poważnym w kwestii wojennych celów i przeznaczenia Niemiec.

„Wszyscy go przeklinaliśmy i uważaliśmy za nieznośnego – wspominał później żołnierz z jego kompanii. – Był białym krukiem, który nie wtórował nam, gdy przeklinaliśmy wojnę”[77]. Inny żołnierz twierdził, że Hitler siedział „w kącie kantyny z głową skrytą w dłoniach, w głębokim zamyśleniu. Nagle podrywał się, biegał w kółko podniecony i mówił, że pomimo naszych wielkich dział, zwycięstwo zostanie nam odebrane, gdyż niewidoczni wrogowie narodu niemieckiego są znacznie groźniejsi niż najcięższe armaty nieprzyjaciela”[78]. A później rozpoczynał nienawistne tyrady przeciwko owym „niewidocznym wrogom” – Żydom i marksistom. Czy już w Wiedniu nie nauczył się, że są oni źródłem wszelkiego zła?

I czy nie widział tego na własne oczy w niemieckiej ojczyźnie, gdy w środku wojny leczył ranę nogi? Po zwolnieniu ze szpitala w podberlińskim Beelitz odwiedził stolicę, a następnie wybrał się do Monachium. Na każdym kroku napotykał „łajdaków” przeklinających wojnę i pragnących jej rychłego końca. Nie brakowało też unikających służby obiboków, a kimże byli, jeśli nie Żydami? „W biurach roi się od Żydów – zauważył. – Niemal każdy urzędnik był Żydem, a każdy Żyd urzędnikiem (…). W roku 1916-1917 prawie cała produkcja znajdowała się pod kontrolą żydowskiej finansjery (…). Żyd obrabował naród i poddał go swej dominacji (…). Z trwogą obserwowałem nadciągającą katastrofę (…)”[79]. Hitler nie mógł znieść widoku tego, co zastał w kraju, i twierdził, że wracał na front z radością.

Klęska, która spadła na jego ukochaną ojczyznę w listopadzie 1918 r., była dlań jeszcze trudniejsza. Podobnie jak większość Niemców, uważał porażkę za „potworną” i niezasłużoną. Niemiecka armia nie została pokonana w walce. To zdrajcy w kraju wbili jej nóż w plecy.

I tak w Hitlerze, podobnie jak w wielu innych Niemcach, zrodziła się fanatyczna wiara w mit „ciosu w plecy”, który bardziej niż cokolwiek innego miał podkopać fundamenty Republiki Weimarskiej i utorować nazistom drogę do władzy. Był to wyłącznie mit. Generał von Ludendorff, faktyczny szef naczelnego dowództwa, już 28 września domagał się „natychmiastowego” zawieszenia broni, a jego nominalny przełożony feldmarszałek von Hindenburg udzielił mu poparcia. 2 października na posiedzeniu Rady Koronnej w Berlinie, której przewodniczył sam kajzer Wilhelm II, Hindenburg powtórzył żądanie naczelnego dowództwa: rozejm bez chwili zwłoki. „Armia nie może czekać kolejnych czterdziestu ośmiu godzin”, oświadczył. W napisanym tego samego dnia liście stwierdził bez

ogródek, że sytuacja *militarna* sprawia, iż „zaprzestanie walk” jest koniecznością. Nie wspominał o żadnym „ciosie w plecy”. Ten wielki niemiecki bohater wojenny dopiero później podpisze się pod tą legendą. 18 listopada 1919 r., rok po zakończeniu wojny, w toku przesłuchania przed Komisją Śledczą Zgromadzenia Narodowego Hindenburg powiedział: „Jak słusznie rzekł pewien angielski generał, niemiecka armia »otrzymała cios w plecy«”[80].

W rzeczywistości to cywilny rząd, kierowany przez księcia Maximiliana von Baden, który aż do końca września nie został poinformowany przez naczelne dowództwo o pogarszającej się sytuacji wojskowej, przez kilka tygodni sprzeciwiał się żądaniom Ludendorffa.

Komuś, kto nie mieszkał w Niemczech pomiędzy wojnami, trudno zrozumieć, jak rozpowszechniona w narodzie była wiara w tę niewiarygodną legendę. Przeczące jej fakty leżały na wyciągnięcie ręki. Ale niemiecka prawica nie chciała się z nimi zmierzyć. Nieustannie ryczała, że wszystkiemu winni są „listopadowi zbrodniarze” – a Hitler wbił to pojęcie do ludzkiej świadomości. Nie liczyło się to, że niemiecka armia, przebiegle i tchórzliwie, wmanewrowała republikański rząd w podpisanie zawieszenia broni, na które naciskali dowódcy wojskowi, a później radziła rządowi, aby przyjął traktat wersalski. Nie miało znaczenia, że w 1918 r. Partia Socjaldemokratyczna objęła władzę niechętnie i tylko po to, aby uchronić kraj przed totalnym chaosem i groźbą bolszewizmu. Nie była odpowiedzialna za załamanie Niemiec. Wina spoczywała na poprzednim systemie, który dzierżył wodze władzy przed nią[81]. Ale miliony Niemców nie chciały o tym słyszeć. Potrzebne były kozły ofiarne odpowiedzialne za przegraną, poniżenie i niedolę. I bez trudu znaleziono ich w „listopadowych zbrodniarzach”, którzy podpisali kapitulację i w miejsce starej autokracji ustanowili demokratyczny rząd. Hitler w *Mein Kampf* szeroko rozwodzi się na temat łatwowierności Niemców. Już wkrótce miał w pełni ją wykorzystać.

Gdy tego wieczora, 10 listopada 1918 r., pastor opuścił szpital wojskowy w Pasewalk, rozpoczęły się „koszmarne dni i jeszcze trudniejsze noce” Adolfa Hitlera. „Wiedziałem, że wszystko stracone. Tylko głupcy, kłamcy i przestępcy mogli liczyć na litość wroga. Podczas tych nocy wzbierała we mnie nienawiść, nienawiść do odpowiedzialnych za ten czyn (…). Nędzni, zdegenerowani zbrodniarze! Im bardziej próbowałem pojąć tę potworność,

tym mój umysł płonął większym wstydem oburzenia i hańby. Czymże był okropny ból moich oczu w porównaniu do tego nieszczęścia?”.

I jeszcze: „Poznałem swój los. Postanowiłem pójść w politykę”[82].

Okazało się, że była to brzemienna w skutki decyzja zarówno dla Hitlera, jak i całego świata.

POCZĄTKI PARTII NAZISTOWSKIEJ

Perspektywy kariery politycznej w Niemczech dla trzydziestojednoletniego Austriaka bez przyjaciół i pieniędzy, bez pracy, bez fachu, zawodu i historii stałego zatrudnienia oraz bez jakiegokolwiek doświadczenia politycznego nie były szczególnie obiecujące i z początku, przez ulotną chwilę, Hitler zdawał sobie z tego sprawę. „Całymi dniami zachodziłem w głowę, co można zrobić, ale na koniec zawsze dochodziłem do trzeźwego wniosku, że ja, nikomu nieznany, nie posiadam najmniejszych podstaw umożliwiających pożyteczne działanie”[83].

Pod koniec listopada 1918 r. Hitler wrócił do Monachium i nie poznał swojego przybranego miasta. Tam także wybuchła rewolucja, król z dynastii Wittelsbachów abdykował. Bawaria znalazła się w rękach socjaldemokratów, którzy ustanowili bawarskie „państwo ludowe” i postawili na jego czele Kurta Eisnera, znanego żydowskiego pisarza urodzonego w Berlinie. 7 listopada Eisner – postać dobrze znana w Monachium dzięki charakterystycznej długiej siwej brodzie, nieodłącznym binoklom, wielkiemu czarnemu kapeluszowi i drobnej posturze – przemierzył ulice miasta na czele kilkuset ludzi i bez jednego wystrzału zajął siedzibę parlamentu i rządu oraz proklamował republikę. Trzy miesiące później został zabity przez młodego prawicowego oficera, hrabiego Antona Arco-Valleya. Monachijscy robotnicy powołali do życia republikę rad, ale jej żywot okazał się krótki. 1 maja 1919 r. wysłane z Berlina oddziały regularnej armii oraz bawarskie ochotnicze „wolne korpusy” (*Freikorps*) wkroczyły do Monachium i obaliły komunistyczny reżim, masakrując przy tym kilkaset osób, w tym wielu niekomunistów, w zemście za rozstrzelanie kilkunastu zakładników. Choć na jakiś czas nominalnie przywrócono umiarkowany socjaldemokratyczny rząd Johannesa Hoffmanna, to realną władzę w Bawarii sprawowała prawica.

Jak wyglądała bawarska prawica w tych chaotycznych czasach? Składała się z regularnej armii, czyli Reichswehry, z monarchistów, którzy pragnęli powrotu Wittelsbachów, z mas konserwatystów gardzących ustanowioną w Berlinie republiką, a z biegiem czasu przede wszystkim z nieprzebranej tłuszczy zdemobilizowanych żołnierzy, których świat w 1918 r. po prostu się zawalił. Byli to wykorzenieni mężczyźni niemogący znaleźć pracy i niepotrafiący wrócić na łono społeczeństwa czasu pokoju, które opuścili w 1914 r. Mężczyźni, których wojna uczyniła twardymi i gwałtownymi, którzy nie potrafili pozbyć się nabytych na niej nawyków i którzy, jak powiedziałby później Hitler – przez pewien czas jeden z nich – „stali się rewolucjonistami, którzy stawiali na rewolucję dla samej rewolucji i chcieliby widzieć rewolucję jako stan permanentny”.

Zbrojne „wolne korpusy” wyrastały w całych Niemczech, a Reichswehra potajemnie je wyposażała. Początkowo wykorzystywano je głównie do walki z Polakami czy Bałtami na spornych terenach nadgranicznych, ale już wkrótce wspierały spiski zmierzające do obalenia republiki. W marcu 1920 r. jeden z nich, osławiona Brygada Ehrhardta, dowodzona przez rabusia, kapitana Ehrhardta, zajęła Berlin i umożliwiła doktorowi Wolfgangowi Kappowi[84], drugorzędnemu politykowi skrajnej prawicy, ogłoszenie się kanclerzem. Regularna armia, pod wodzą generała von Seeckta, bezczynnie przyglądała się wydarzeniom, podczas gdy prezydent i rząd uciekli w pośpiechu na zachód kraju. Dopiero strajk generalny związków zawodowych przywrócił republikę.

W tym czasie w Monachium inny przewrót zakończył się większym powodzeniem. 14 marca 1920 r. Reichswehra obaliła socjalistyczny rząd Hoffmanna i zainstalowała w jego miejsce prawicowe władze Gustava von Kahra. Stolica Bawarii stała się magnesem przyciągającym wszystkich, którym na sercu leżało obalenie republiki, ustanowienie rządów autorytarnych i zerwanie z „dyktatem wersalskim”. To właśnie tam schronienie i gościnę znaleźli „kondotierzy” z freikorpsów, w tym członkowie Brygady Ehrhardta. Tam osiadł generał von Ludendorff wraz z całym zastępem innych niezadowolonych, zwolnionych ze służby oficerów[85]. Tam knuto mordy polityczne, między innymi Matthiasa Erzbergera, umiarkowanego polityka katolickiego, który miał na tyle odwagi, by podpisać zawieszenie broni, gdy zabrakło jej generałom, a także Walthera Rathenaua, błyskotliwego ministra spraw zagranicznych, którego

ekstremiści nienawidzili, bo był Żydem i realizował politykę zakładającą przynajmniej częściowe wypełnienie zapisów traktatu wersalskiego.

Adolf Hitler rozpoczął karierę właśnie na tym żyznym monachijskim gruncie.

Gdy pod koniec listopada 1918 r. wrócił do Monachium, dowiedział się, że jego batalion znalazł się w rękach „rad żołnierskich". Ponoć uznał to za tak wstrętne, że postanowił „jak najszybciej wyjechać". Zimę spędził jako strażnik w obozie jenieckim w Traunstein, niedaleko austriackiej granicy. Do Monachium zawitał ponownie wiosną. W *Mein Kampf* napisał, że ściągnął na siebie „niechęć" lewicowego rządu i uniknął aresztowania tylko dlatego, że wziął na muszkę trzech „łajdaków", którzy po niego przyszli. Zaraz po obaleniu reżimu komunistycznego rozpoczął, jak sam się wyraził, „pierwszą mniej lub bardziej polityczną aktywność". Polegała ona na przekazywaniu informacji komisji śledczej powołanej przez 2. Pułk Piechoty w celu zbadania, kto odpowiadał za przelotne rządy komunistów w Monachium.

Najwyraźniej usługi oddane wówczas przez Hitlera uznano za tak wartościowe, że armia powierzyła mu dalsze obowiązki: pracę w Biurze Prasowo-Informacyjnym Wydziału Politycznego miejscowego okręgu armii. Niemiecka armia, wbrew swej tradycji, głęboko zaangażowała się w politykę, zwłaszcza w Bawarii, gdzie w końcu udało się jej zainstalować rząd odpowiadający jej gustom. Aby szerzyć swoje konserwatywne poglądy, organizowała żołnierzom kursy „instrukcji politycznych", a Adolf Hitler był pilnym słuchaczem jednego z nich. Według jego własnej narracji, pewnego dnia wtrącił się w wykład, podczas którego padły pozytywne słowa o Żydach. Jego antysemicka tyrada najwidoczniej tak zachwyciła przełożonych, że wkrótce zajął w pułku monachijskim stanowisko oficera ds. edukacji, *Bildungsoffizier*, którego główne zadanie polegało na zwalczaniu niebezpiecznych idei – pacyfizmu, socjalizmu czy demokracji; w ten sposób armia wyobrażała sobie swoją rolę w demokratycznej republice, której przysięgała służyć.

Był to ważny przełom w życiu Hitlera, pierwsze wyrazy uznania, jakie zdobył na polu polityki, na które pragnął wkroczyć. Przede wszystkim otrzymał szansę wypróbowania swych zdolności oratorskich – najważniejszej cechy dobrego polityka, jak zawsze utrzymywał. „Nagle otrzymałem szansę przemawiania przed większą publicznością; i to, co od

zawsze zakładałem w oparciu o czyste przeczucia, znalazło potwierdzenie: potrafię »przemawiać«", napisał. Odkrycie to wielce go ucieszyło, choć jak widać, nie stanowiło dlań zaskoczenia. Obawiał się, że atak gazowy, który przeżył na froncie, mógł na stałe osłabić siłę jego głosu. Okazało się jednak, że wrócił do formy na tyle, że był bez problemu słyszalny „przynajmniej we wszystkich kątach małych salek w jednostkach"[86]. Tak wyglądały początki talentu, dzięki któremu Hitler stał się zdecydowanie najskuteczniejszym mówcą w całych Niemczech. Gdy w końcu uchwyci radiowy mikrofon, dzięki swemu iście magicznemu głosowi porwie za sobą miliony.

Pewnego dnia, we wrześniu 1919 r., Hitler otrzymał z Wydziału Politycznego Armii rozkaz przyjrzenia się maleńkiemu monachijskiemu ugrupowaniu politycznemu o nazwie Niemiecka Partia Robotników. Ugrupowania robotnicze budziły podejrzliwość wojskowych, bo w przeważającej większości były socjalistyczne lub komunistyczne, uznano jednak, że to może stanowić wyjątek. Hitler twierdził, że wcześniej było mu „zupełnie nieznane". Znał jednak jednego z ludzi mających przemawiać na spotkaniu partyjnym, które miał wziąć pod lupę.

Kilka tygodni wcześniej, podczas jednego z kursów edukacyjnych armii, usłyszał wykład Gottfrieda Federa, inżyniera i maniaka ekonomii, który miał obsesję, jakoby kapitał „spekulacyjny", stojący w opozycji do kapitału „kreatywnego" i „produktywnego", był przyczyną większości problemów gospodarczych Niemiec. Opowiadał się za jego zniesieniem i w 1917 r. stworzył organizację mającą do tego doprowadzić: Niemiecki Związek Bojowy na rzecz Zerwania z Niewolnictwem Odsetek. Niemający zielonego pojęcia o ekonomii Hitler był pod wrażeniem wykładu. Uznał apel o „zerwanie okowów odsetek" za jedno z „kluczowych założeń stworzenia nowej partii". Napisał, że w wykładzie Federa „wyczuł potężne hasło przyszłej walki"[87].

Natomiast na początku nie wyczuł znaczenia Niemieckiej Partii Robotników. Poszedł na jej zebranie, bo taki miał rozkaz, a wytrzymawszy, jak uważał, nudne posiedzenie 25 osób zgromadzonych w ponurej piwnicy piwiarni Sterneckerbräu, nie był pod wrażeniem. To „nowa organizacja, jakich wiele. W tych czasach każdy niezadowolony z biegu wydarzeń (…) czuł powołanie do zakładania partii. Tego typu organizacje wyrastały wszędzie jak grzyby po deszczu, ale tylko po to, żeby po pewnym czasie cicho zniknąć. Właśnie takie miałem mniemanie o Niemieckiej Partii

Robotników", napisał[88]. Kiedy Feder skończył mowę, Hitler miał wyjść, ale wtedy podniósł się jakiś „profesor", który podważył zasadność argumentów mówcy i wysunął sugestię, że Bawaria powinna odłączyć się od Prus i razem z Austrią stworzyć państwo południowoniemieckie. W owym czasie był to w Monachium popularny pomysł, ale Hitler się wściekł, zerwał z miejsca i dał „uczonemu dżentelmenowi" posmakować swoich poglądów. Jego wybuch był najwyraźniej bardzo gwałtowny, bo według słów Hitlera „profesor" opuścił salę „jak zbity pies", a pozostali słuchacze spojrzeli na nieznanego młodego mówcę z „zadziwionymi minami". Jeden z nich – Hitler twierdził, że nie dosłyszał nazwiska – przybiegł od niego w podskokach i wręczył mu jakąś broszurę.

Człowiekiem tym był Anton Drexler, z zawodu ślusarz i, chyba można tak powiedzieć, faktyczny twórca narodowego socjalizmu. Drexler – chorowity mężczyzna w okularach, o niezależnym, ale ograniczonym i nieuporządkowanym umyśle, który nie otrzymał formalnej edukacji, kiepski pisarz i jeszcze gorszy mówca – pracował wtedy w zakładach kolejowych w Monachium. 7 marca 1918 r. powołał do życia „Komitet Niezależnych Ludzi Pracy", aby zwalczać marksizm wolnych związków zawodowych i agitować na rzecz „uczciwego" pokoju dla Niemiec. W zasadzie jego komitet był odgałęzieniem szerszego, północnoniemieckiego ruchu, znanego jako Stowarzyszenie na rzecz Promowania Pokoju w Interesie Klasy Robotniczej (w całym kraju roiło się wówczas od rozmaitych grup nacisku o pretensjonalnych nazwach i stan ten nie zmieni się aż do 1933 r.).

Drexlerowi nigdy nie udało się zwerbować więcej niż 40 członków, a w styczniu 1919 r. połączył swój komitet z podobną grupą, Kołem Politycznym Robotników, na której czele stał dziennikarz Karl Harrer. Nowe ciało, liczące niecałą setkę członków, nazwano Niemiecką Partią Robotników, a Harrer został jej pierwszym przewodniczącym. Hitler, który w *Mein Kampf* nie miał zbyt wiele do powiedzenia na temat swoich pierwszych towarzyszy i ich nazwiska są dziś w większości zapomniane, oddał Harrerowi, że był „uczciwy" i „bez wątpienia szeroko wykształcony", ale ubolewał, że brakowało mu „oratorskiego daru". Być może zasłużył sobie na taką opinię, gdyż uparcie utrzymywał, że Hitler jest lichym mówcą, a opinia ta bolała nazistowskiego wodza nawet po latach, co bez ogródek potwierdził w swej autobiografii. W każdym razie, wydaje się, że

główną siłą napędową maleńkiej, nikomu nieznanej partii był wtedy Drexler.

Następnego ranka Hitler zabrał się za lekturę broszury, wciśniętej mu przez Drexlera. W *Mein Kampf* szczegółowo opisał tę scenę. Była piąta rano. Obudził się w koszarach 2. Pułku Piechoty i półleżąc na pryczy – jak według własnych słów miał w zwyczaju – obserwował myszy zajadające okruszki chleba, które co noc im rozrzucał. „Zaznałem w życiu tyle biedy, że doskonale potrafiłem wyobrazić sobie głód, a więc i przyjemność, jaką odczuwały te małe stworzenia". Przypomniał sobie o broszurce i zaczął ją czytać. Nosiła tytuł „Moje polityczne przebudzenie". Ku zaskoczeniu Hitlera odzwierciedlała wiele idei, w które przez lata sam uwierzył. Nadrzędnym celem Drexlera było zbudowanie partii politycznej, która opierałaby się na pracujących masach, ale w przeciwieństwie do Partii Socjaldemokratycznej byłaby silnie nacjonalistyczna. Drexler należał do patriotycznego Frontu Ojczyźnianego, ale szybko stracił złudzenia wobec panującego w nim ducha klasy średniej, która zdawała się zupełnie oderwana od problemów mas. Jak widzieliśmy, w Wiedniu Hitler z tego samego powodu nabrał pogardy dla burżuazji – kompletnie nie interesowała się rodzinami robotniczymi i ich problemami społecznymi. Tak więc pomysły Drexlera bardzo go zaciekawiły.

Kilka godzin później oszołomiony Hitler odebrał liścik, w którym przeczytał, że został przyjęty do Niemieckiej Partii Robotniczej. „Nie wiedziałem, czy się złościć, czy śmiać. Nie zamierzałem wstępować do żadnej istniejącej partii, chciałem założyć własną. To, o co mnie prosili, było aroganckie i niewykonalne", wspominał[89]. Zamierzał napisać list odmowny, ale „ciekawość wzięła górę" i postanowił wybrać się na zebranie, na które został zaproszony, i osobiście wyjaśnić, dlaczego nie zamierza wstępować do „tej absurdalnej, małej organizacji".

> Spotkanie odbywało się w oberży Alte Rosenbad przy Herrenstrasse, był to bardzo zapuszczony lokal (…). Przeszedłem przez słabo oświetloną i zupełnie pustą salę jadalnianą, otworzyłem drzwi do pokoju na tyłach i stanąłem oko w oko z Komitetem. W mdłym świetle lichej lampy gazowej przy stole siedziały cztery młode osoby, wśród nich autor broszurki, i natychmiast zaczęły wylewnie mnie witać jako nowego członka Niemieckiej Partii Robotniczej.
>
> Naprawdę, byłem nieco skonsternowany. Odczytano stenogram z poprzedniego zebrania i sekretarz otrzymał wotum zaufania. Następnie przyszedł czas na raport skarbnika – stowarzyszenie posiadało łącznie siedem marek i pięćdziesiąt fenigów – który też otrzymał wotum zaufania. Wpisano to do stenogramu. Później pierwszy

sekretarz odczytał odpowiedzi na listy nadesłane z Kilonii, Düsseldorfu oraz Berlina, i wszyscy wyrazili aprobatę. Następnie złożono raport w sprawie nadesłanej poczty (…).

Koszmar, koszmar! Był to klub towarzyski najgorszego rodzaju. I ja miałbym wstąpić do tej organizacji?[90]

A jednak, ci obdarci mężczyźni w mrocznym pokoiku czymś go przyciągali: „tęsknotą za nowym ruchem, który powinien być czymś więcej niż partią w dotychczasowym znaczeniu tego słowa". Wieczorem wrócił do koszar, aby „zmierzyć się z najtrudniejszym pytaniem w życiu: czy powinienem wstąpić?" Hitler przyznał, że rozsądek podpowiadał mu, że nie. A mimo to… Właśnie brak znaczenia tej organizacji dawał młodemu człowiekowi, pełnemu energii i pomysłów, okazję do „prawdziwej, osobistej działalności". Hitler zastanawiał się, co mógłby do niej „wnieść".

To, że byłem biedny i bez środków, wydawało mi się najmniejszym problemem. Gorzej, że zaliczałem się do ludzi anonimowych, byłem jednym z milionów, którym los pozwalał żyć, ale mógł wezwać ich na tamten świat, a ich sąsiedzi nawet nie raczyliby tego zauważyć. Ponadto istniała przeszkoda niezmiennie wynikająca z mojego braku wykształcenia.

Po dwóch dniach myślenia i dumania w udręce nabrałem przekonania, że muszę postawić ten krok.

Było to najważniejsze postanowienie w moim życiu. Od tego momentu nie było i nie mogło już być odwrotu[91].

Tak oto Adolf Hitler został zwerbowany na siódmego członka komitetu Niemieckiej Partii Robotników.

W tym miejscu warto wspomnieć o dwóch członkach tej nieliczącej się partii. Obaj mieli okazać się ważni dla kariery Hitlera. Kapitan Ernst Röhm z Dowództwa VII Okręgu Armii w Monachium wstąpił do partii przed Hitlerem. Był masywny, miał byczy kark, świńskie oczy i naznaczoną bliznami twarz zawodowego żołnierza (w 1914 r. górna część jego nosa została odstrzelona) oraz posiadał smykałkę do polityki i naturalny talent organizatorski. Podobnie jak Hitler, głęboko nienawidził demokratycznej republiki oraz odpowiedzialnych za jej ustanowienie „listopadowych zbrodniarzy". Jego cel polegał na odtworzeniu silnie nacjonalistycznych Niemiec i podzielał wiarę Hitlera, że można to osiągnąć jedynie dzięki partii opierającej się na klasach niższych, z których to zresztą sam, w przeciwieństwie do większości oficerów, się wywodził. Był twardym,

bezwzględnym, energicznym mężczyzną – aczkolwiek, jak wielu wczesnych nazistów, homoseksualistą – i pomógł zorganizować pierwszą nazistowską bojówkę rozwiniętą później w SA, czyli armię szturmowców, którą dowodził aż do śmierci z rozkazu Hitlera w 1934 r. Röhm nie tylko ściągnął do raczkującej partii wielu byłych żołnierzy i ochotników z freikorpsów, którzy w pierwszych latach stanowili rdzeń jej struktury, ale też jako oficer kontrolującej Bawarię armii uzyskał dla Hitlera i jego ruchu ochronę, a czasami nawet wsparcie władz. Bez jego pomocy Hitler najpewniej w ogóle nie miałby okazji uruchomić kampanii podburzania narodu przeciwko republice. A bez cichego przyzwolenia bawarskich władz i policji na pewno nie uszłyby mu na sucho jego metody terroru i zastraszania.

Dietricha Eckarta, starszego od Hitlera o 21 lat, często nazywano duchowym założycielem narodowego socjalizmu. Był błyskotliwym dziennikarzem oraz przeciętnym poetą i dramaturgiem, przełożył na niemiecki powieść *Peer Gynt* Ibsena i napisał kilka niewystawionych sztuk. Przez pewien czas wiódł w Berlinie, tak jak Hitler w Wiedniu, swobodne życie włóczęgi, stał się pijakiem, morfinistą, a według Heidena swego czasu zamknięto go w placówce dla psychicznie chorych, gdzie w końcu wystawił swe dzieła, obsadzając w nich innych pacjentów. Do rodzinnej Bawarii wrócił z końcem wojny i przemawiał przed grupką wielbicieli w winiarni Brennessel w Schwabling, artystycznej dzielnicy Monachium, sławiąc aryjską wyższość oraz wzywając do eliminacji Żydów i obalenia berlińskich „świń”.

Heiden, który w tym czasie pracował w Monachium jako dziennikarz, zacytował Eckarta perorującego w 1919 r. przed bywalcami Brennessel: „Na czele potrzebujemy człowieka, który potrafi wytrzymać terkot karabinów maszynowych. Motłoch musi poczuć strach w gaciach. Nie możemy posłużyć się oficerem, bo ludzie już ich nie szanują. Najlepszy byłby robotnik, który umie gadać (…). Nie musi być zbyt mądry (…). Musi być kawalerem, wtedy zdobędziemy kobiety”[92].

Czy niewylewający za kołnierz poeta[93] mógł znaleźć lepszego kandydata niż Adolf Hitler? Eckart został bliskim doradcą wschodzącej gwiazdy Niemieckiej Partii Robotników, pożyczał mu książki, pomagał poprawić język – zarówno pisany, jak i mówiony – oraz wprowadził go do szerokiego kręgu znajomych, który obejmował nie tylko bogate osoby skłonne zasilić fundusze partii i wspomóc samego Hitlera, ale też jego przyszłych

przybocznych, takich jak Rudolf Hess i Alfred Rosenberg. Podziw Hitlera dla Eckarta nigdy nie ustał, a ostatnie zdanie *Mein Kampf* to wyraz wdzięczności dla tego nieobliczalnego mentora. Hitler napisał, że Eckart był „jednym z najlepszych, który poświęcił życie przebudzeniu naszego narodu, zarówno w swych pismach, myślach, jak i wreszcie w czynach”[94].

Tak prezentowała się osobliwa zgraja odmieńców, która stworzyła narodowy socjalizm i niepostrzeżenie zaczęła kształtować ruch mający za 13 lat objąć cały kraj, ruch najsilniejszy w Europie, który przemieni Niemcy w III Rzeszę. Zdezorientowany ślusarz Drexler zapewnił sedno treści, poeta-pijak Eckart podwaliny „duchowe”, ekonomiczny maniak Feder elementy przyszłej ideologii, homoseksualista Röhm poparcie armii i weteranów wojennych, ale teraz były włóczęga, niespełna trzydziestojednoletni i nikomu nieznany Adolf Hitler stanął na czele przebudowy towarzystwa dyskusyjnego z salki na tyłach piwiarni w potężną partię polityczną.

Wszystkie idee kotłujące się w jego głowie od samotnych czasów głodu w Wiedniu znalazły w końcu ujście, a wewnętrzna energia, której nie zdradzała jego powierzchowność, wybuchła z pełną mocą. Zmotywował swój skromny komitet do organizowania większych spotkań. Osobiście wypisywał i rozprowadzał zaproszenia. Wspominał później, jak pewnego razu, po wręczeniu ludziom 80 zaproszeń, „siedzieliśmy, czekając na spodziewane tłumy. Godzinę później »przewodniczący« musiał rozpocząć »posiedzenie«. Nadal było nas siedmiu, ta sama stara siódemka”[95]. Ale Hitler nie dał się zniechęcić. Dzięki powielaczom zwiększył liczbę zaproszeń. Zebrał kilka marek i zamieścił w lokalnej gazecie anons informujący o spotkaniu. „Sukces okazał się zadziwiający. Stawiło się sto jedenaście osób”, napisał. Hitler miał wygłosić swoje pierwsze „publiczne” przemówienie zaraz po głównej mowie „monachijskiego profesora”. Lecz Harrer, nominalny szef partii, wyraził sprzeciw. „Ten dżentelmen, nie licząc tego wypadku, człowiek uczciwy, nabrał akurat przekonania, że może i jestem zdolny do różnych rzeczy, ale nie do przemawiania. Mówiłem przez trzydzieści minut i to, co wcześniej jedynie czułem w środku, nie wiedząc na pewno, okazało się prawdą: potrafiłem przemawiać!”, opowiadał Hitler[96]. Twierdził, że publika była „poruszona” jego mową, a o jej entuzjazmie zaświadczyły datki w wysokości 300 marek, co na pewien czas uwolniło partię od finansowych trosk.

Na początku 1920 r. Hitler zajął się propagandą partyjną, czyli aktywnością, której poświęcał wiele rozważań, odkąd w Wiedniu zauważył, jaką wagę przykładają do niej Partia Socjalistyczna i Partia Chrześcijańsko-Społeczna. Natychmiast zabrał się za organizowanie spotkania, o jakim żałośnie maleńka partia nie mogła nawet marzyć. Miało odbyć się 24 lutego 1920 r. w sali biesiadnej słynnej Hofbräuhaus, mogącej zapewnić nawet 2000 miejsc siedzących. Koledzy Hitlera z komitetu uznali, że oszalał. Harrer w ramach protestu zrezygnował i został zastąpiony przez Drexlera, który jednak również podchodził do projektu sceptycznie[97]. Hitler podkreślał, że osobiście dopilnuje wszystkich przygotowań. Wydarzenie to miało dla niego tak ogromne znaczenie, że jego opis wieńczy pierwszy tom *Mein Kampf*, ponieważ, jak sam wyjaśnił, to przy tej okazji „partia rozsadziła ciasne więzy małego klubu i po raz pierwszy wywarła determinujący wpływ na najpotężniejszy czynnik naszych czasów: opinię publiczną”.

Sam nie został nawet wyznaczony na głównego mówcę. Rola ta była zarezerwowana dla niejakiego doktora Johannesa Dingfeldera, lekarza-homeopaty, pomyleńca, który pisywał do gazet artykuły o tematyce gospodarczej pod pseudonimem „Germanus Agricola” i wkrótce miał zostać zapomniany. Jego przemówienie przyjęto głuchą ciszą. Po nim przemawiał Hitler. Opisał tę scenę w następujących słowach:

> Dał się słyszeć grad okrzyków, w sali doszło do gwałtownych starć, garstka najlojalniejszych towarzyszy wojennych i innych zwolenników stoczyła walkę z mącicielami (…), komunistami i socjalistami (…), i dopiero krok po kroku udało im się przywrócić porządek. Mogłem mówić dalej. Po półgodzinie aplauz zaczął stopniowo zagłuszać wrzaski i krzyki (…). Kiedy po bez mała czterech godzinach sala zaczęła pustoszeć, wiedziałem, że zasady naszego ruchu, który nie mógł już zostać zapomniany, szerzą się w narodzie niemieckim[98].

W tym przemówieniu Hitler po raz pierwszy wyłożył 25 punktów programu Niemieckiej Partii Robotników. Zostały one przygotowane w pośpiechu przez Drexlera, Federa i samego Hitlera. Większość krytycznych głosów z widowni padła, właśnie gdy odczytywał niektóre z nich, niemniej mówca uznał, że zostały przyjęte i później stały się oficjalnym programem partii, gdy 1 kwietnia 1920 r. zmieniła nazwę na Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników. Co więcej, w 1926 r. Hitler z przyczyn taktycznych ogłosił, że są one „niezmienne”.

Bez wątpienia był to istny miszmasz, mieszanka sloganów chwytliwych zarówno dla robotników, niższej klasy średniej, jak i chłopstwa, a o wielu punktach zapomniano, gdy partia doszła do władzy. Większość komentatorów niemieckiej polityki z nich drwiła, a i sam Führer wstydził się, wspominając później niektóre z nich. Mimo to, podobnie jak w przypadku głównych zasad zawartych w *Mein Kampf*, najważniejsze punkty były realizowane w III Rzeszy z katastrofalną dla milionów ludzi konsekwencją w Niemczech i poza nimi.

W pierwszym punkcie programu domagano się zjednoczenia wszystkich Niemców w tak zwanych Wielkich Niemczech. I czy kanclerz Hitler nie upierał się przy tym i nie otrzymał tego wraz z aneksją Austrii, z jej sześcioma milionami Niemców, oraz Sudetenlandu z trzema milionami? I czyż to nie jego roszczenia względem Gdańska oraz innych terenów Polski, zamieszkanych w większości przez Niemców, doprowadziły do ataku na wschodniego sąsiada i w efekcie do II wojny światowej? A czy jednym z nieszczęść ludzkości nie było to, że w międzywojniu tak wielu ludzi ignorowało lub wyśmiewało nazistowskie cele, które Hitler skrupulatnie spisał? Antysemickie punkty programu promulgowanego 24 lutego 1920 r. w monachijskiej piwiarni z całą pewnością także były złowieszczym ostrzeżeniem. Żydzi mieli zostać odsunięci od urzędów państwowych, wyrzuceni z prasy, a nawet pozbawieni niemieckiego obywatelstwa. A wszyscy, którzy przybyli do Rzeszy po 2 sierpnia 1914 r., mieli być wydaleni.

Wiele elementów programu było li tylko demagogicznymi sloganami skierowanymi do niższych klas, które przeżywały ciężkie czasy i chętnie nadstawiały uszu na wszelkie radyklane, a nawet socjalistyczne hasła. Dla przykładu punkt 11 domagał się zniesienia dochodów niezarobionych dzięki pracy, punkt 12 – nacjonalizacji trustów, punkt 13 – podziału zysków wielkiego przemysłu z państwem, punkt 14 – zniesienia dzierżaw ziemskich i końca spekulacji ziemią, punkt 18 – kary śmierci dla zdrajców, lichwiarzy i spekulantów, zaś punkt 16 wzywał do troski o „zdrową klasę średnią”, do komunalizacji domów towarowych i taniego wynajmu powierzchni w tychże dla drobnych handlarzy. Żądania te dodano na nalegania Drexlera i Federa, którzy najwyraźniej szczerze wierzyli w „socjalizm” narodowego socjalizmu. To właśnie one miały budzić zażenowanie Hitlera, gdy wielcy przemysłowcy oraz właściciele ziemscy zaczęli wypełniać swoimi

pieniędzmi partyjne kasy; naturalnie nic nie zrobiono w kierunku ich realizacji.

I wreszcie, program zawierał również dwa punkty, które Hitler zrealizował, gdy tylko objął kanclerstwo. Punkt 2 domagał się unieważnienia zapisów traktatów wersalskiego i z Saint-Germain. Z kolei ostatni, 25 punkt akcentował konieczność „stworzenia silnej centralnej władzy Państwa". Tenże, podobnie jak punkty 1 i 2, czyli żądania zjednoczenia wszystkich Niemców w Rzeszy i unieważnienia traktatów pokojowych, umieszczono w programie pod naciskiem Hitlera. Dowodzą one, że już wówczas, gdy jego partia nie była znana poza Monachium, mierzył daleko, nawet kosztem ryzyka utraty części poparcia na własnym podwórku.

W tym czasie separatyzm trzymał się w Bawarii bardzo mocno, a Bawarczycy, toczący nieustanne spory z berlińskim rządem, domagali się poluzowania, a nie wzmocnienia centralizacji władzy, aby Bawaria mogła rządzić się sama. I wtedy to właśnie czyniła; nakazy napływające ze stolicy nie cieszyły się poważaniem w krajach związkowych. Ale Hitler nie celował we władzę w Bawarii, lecz w całej Rzeszy, a chcąc ją posiadać i skutecznie wykonywać, taki reżim autorytarny jak ten, który już sobie wyobrażał, musiał uprawomocnić się jako silna władza centralna i zrezygnować z półautonomicznych krajów związkowych, które za Republiki Weimarskiej, podobnie jak wcześniej w cesarstwie Hohenzollernów, posiadały własne rządy i parlamenty. Jednym z pierwszych kroków Hitlera po 30 stycznia 1933 r. była bezzwłoczna realizacja ostatniego punktu programu, na który tak mało osób zważało i nie brało go na poważnie. Natomiast nikt nie mógł powiedzieć, że Hitler nie ostrzegał o swoich zamiarach od samego początku, i to na piśmie.

Jednak podżegające mowy i radykalny, chwytliwy program, choć dla raczkującej partii z całą pewnością były istotne, bo przykuwały uwagę i zjednywały masowe poparcie, nie mogły wystarczyć. Hitler zwrócił uwagę na coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Pierwsze oznaki jego osobliwego geniuszu zaczynały już być widoczne. Uznał, że masom potrzebne są nie tylko idee – a dokładnie rzecz biorąc, kilka prostych pomysłów, które mógłby wbijać im do głów – ale też symbole, które rozbudzą w nich wiarę, uroczystości pełne rozmachu, sztandary, a także akty przemocy i terroru, które, jeśli okażą się skuteczne, skuszą nowych zwolenników (czy Niemcy

nie ciągną zawsze do silnych?) i zapewnią im poczucie władzy nad słabszymi.

Jak widzieliśmy, w Wiedniu zaintrygował Hitlera, jak się wyraził, „osławiony terror duchowy i fizyczny", którym w jego mniemaniu socjaldemokraci walczyli z rywalami[99]. Teraz zamierzał zaprząc go do celów własnej antysocjalistycznej partii. Na początku byłym żołnierzom polecono uciszać nieprzychylnych krzykaczy na zebraniach, a jeśli zajdzie taka konieczność, wyrzucać ich za drzwi. Latem 1920 r., niedługo po tym, jak partia dodała do swej nazwy człon „narodowosocjalistyczna" i stała się Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotników, czyli NSDAP, Hitler zorganizował bandy lubiących rozróby weteranów w drużyny „silnorękich", *Ordentruppe*, a na ich czele postawił Emila Maurice'a, byłego skazańca i zegarmistrza. 5 października 1921 r., po okresie kamuflowania się jako „Wydział Gimnastyczno-Sportowy" partii, aby uniknąć represji ze strony berlińskich władz, przyjęły one oficjalną nazwę *Sturmabteilung* – SA. Odziani w brunatne mundury „szturmowcy" rekrutowali się głównie z rzezimieszków z przeszłością we freikorpsach, a ich dowódcą został Johann Ulrich Klintzich, pomagier niesławnego kapitana Ehrhardta, niedawno wypuszczony z więzienia, gdzie trafił w związku z zabójstwem Erzbergera.

Ci umundurowani chuligani, którym nie wystarczyło utrzymywanie porządku na nazistowskich zebraniach, wkrótce zaczęli zakłócać spotkania innych ugrupowań. Pewnego razu w 1921 r. Hitler osobiście przewodził napaści szturmowców na wiec, podczas którego miał przemawiać bawarski federalista Ballerstedt. Niedoszły mówca został pobity. Hitler został za to skazany na trzy miesiące więzienia, z czego miesiąc rzeczywiście odsiedział. Była to jego pierwsza styczność z zakładem karnym – wyszedł z niego w glorii męczennika i bardziej popularny niż kiedykolwiek wcześniej. „Wszystko w porządku – chełpił się przed policją. – Dostaliśmy to, o co nam chodziło. Ballerstedt nie zabrał głosu". Kilka miesięcy wcześniej obwieścił swojej publice: „W przyszłości ruch narodowosocjalistyczny będzie bezlitośnie zapobiegał – siłą, jeśli zajdzie taka konieczność – wszelkim spotkaniom oraz wykładom, które mogą namieszać w umysłach naszym rodakom"[100].

Latem 1920 r. Hitler, sfrustrowany artysta przeobrażający się w mistrza propagandy, doznał olśnienia, którego nie da się nazwać inaczej niż przebłyskiem geniuszu. Doszedł do wniosku, że partii brakuje emblematu,

flagi, symbolu wyrażającego jej przekonania, sięgającego do wyobraźni mas potrzebujących sztandaru, pod którym mogłyby się jednoczyć i walczyć. Po długich przemyśleniach i niezliczonych projektach postawił na czerwoną flagę z białym dyskiem pośrodku i wpisaną weń czarną swastyką. Hakowaty krzyż swastyki – *hakenkreuz* – choć zapożyczony z pradawnych czasów, miał stać się potężnym, budzącym postrach znakiem Partii Nazistowskiej, a później nazistowskich Niemiec. Opisując szeroko to zagadnienie w *Mein Kampf*, Hitler nie wyjawił, skąd zaczerpnął pomysł wykorzystania tego symbolu.

Hakowaty krzyż jest niemal tak stary jak ludzka cywilizacja. Odnajdywano go w ruinach Troi, w Egipcie i w Chinach. Sam widziałem go na starożytnych zabytkach hinduistycznych i buddyjskich w Indiach. W bliższych nam czasach pojawił się jako oficjalne godło Estonii i Finlandii, gdzie członkowie freikorpsów widzieli go podczas walk w latach 1918-1919. Ludzie z Brygady Ehrhardta wymalowywali go na swych stalowych hełmach, gdy podczas puczu Kappa w 1920 r. wkraczali do Berlina. Hitler z całą pewnością widział go w Austrii, wśród emblematów któregoś z ugrupowań antysemickich, a w oczy może rzucił mu się, kiedy Brygada Ehrhardta pojawiła się w Monachium. Twierdził, że liczne projekty proponowane mu przez członków partii prawie zawsze zawierały swastykę i że „pewien dentysta ze Sternbergu” przedstawił szkic flagi, która „była naprawdę dobra i przypominała mój projekt”.

Jeśli chodzi o barwy, naturalnie odrzucił czerń, czerwień i złoto znienawidzonej Republiki Weimarskiej. Nie chciał też przyjmować dawnej czerwono-biało-czarnej flagi cesarskiej, ale podobały mu się jej kolory. Nie tylko dlatego, że jak stwierdził, „łączyła je genialna harmonia”, ale także dlatego, że były to barwy Niemiec, o które walczył. Należało natomiast nadać im nową formę, stąd dodatek w postaci swastyki.

Hitler upajał się swym wyjątkowym tworem. „*Symbol co się zowie!* – napisał w *Mein Kampf*. – W *czerwieni* dostrzegamy socjalistyczną ideę naszego ruchu, w *bieli* ideę nacjonalistyczną, w *swastyce* misję walki Aryjczyka o zwycięstwo”[101].

Wkrótce wprowadzono opaski na ramię ze swastyką dla szturmowców i członków partii, a dwa lata później Hitler zaprojektował nazistowskie sztandary, które miano obnosić podczas wielkich parad i którymi ozdabiano podia na masowych wiecach. Opierając się o wzorzec znany ze starożytnego Rzymu, składały się z czarnej metalowej swastyki otoczonej

srebrnym wiankiem trzymanym w szponach przez orła, a poniżej znajdował się skrót NSDAP w metalowym prostokącie, z którego zwieszały się sznury z frędzlami. Całość zdobiła kwadratowa flaga ze swastyką i napisem *Deutschland Erwache!* (Przebudźcie się, Niemcy).

Może i nie była to „sztuka”, ale na pewno pierwszorzędna propaganda. Naziści mieli symbol, jakim nie mogła poszczycić się żadna inna partia. Hakowaty krzyż zdawał się posiadać jakąś moc, wskazującą nowy kierunek działania zahukanym niższym klasom, zagubionym pośród niepewności pierwszych, pełnych chaosu lat powojennych. Zaczęły się one garnąć pod nazistowskie sztandary.

NASTANIE FÜHRERA

Latem 1921 r. zdobywający popularność młody agitator, który wykazał się zaskakującymi talentami nie tylko jako mówca, ale też organizator i propagandzista, objął niekwestionowane przewodnictwo w partii. Po drodze dał stronnikom popróbować swej bezwzględności oraz taktycznego sprytu, dzięki którym miał okazać się tak skuteczny podczas późniejszych kryzysów.

Wczesnym latem Hitler udał się do Berlina, aby nawiązać kontakt z północnoniemieckim elementem nacjonalistycznym i porozmawiać z ludźmi z Klubu Narodowego, duchowego dowództwa tych środowisk. Chciał wybadać możliwości wyjścia ze swoim ruchem poza granice Bawarii i wkroczenia na pozostałe tereny kraju. Liczył, że może uda mu się zawiązać jakieś pożyteczne, służące temu celowi sojusze. Pod jego nieobecność inni członkowie komitetu Partii Nazistowskiej uznali, że nadszedł dogodny moment, aby zakwestionować przywództwo Hitlera. Jak na ich gust, miał zbyt dyktatorskie zapędy. Sami proponowali sojusze z podobnie nastawionymi ugrupowaniami z Południowych Niemiec, zwłaszcza z Niemiecką Partią Socjalistyczną, którą w Norymberdze budował Julius Streicher, osławiony skrajny antysemita i zaciekły rywal Hitlera. Członkowie komitetu byli pewni, że gdyby nazistom udało się połączyć z tamtymi ugrupowaniami, a miały one ambitnych liderów, to pozycja Hitlera znacznie by osłabła.

Wyczuwając, że jego pozycji grozi niebezpieczeństwo, Hitler pognał z powrotem do Monachium, aby pokrzyżować intrygi „głupich wariatów”,

jak nazwał ich w *Mein Kampf*. Zaproponował, że odejdzie z partii, a pozostali członkowie komitetu szybko pojęli, że nie mogą sobie na to pozwolić. Hitler był nie tylko ich najbardziej przekonującym mówcą, ale też najlepszym organizatorem i propagandzistą. Co więcej, teraz to on zdobywał najwięcej funduszy – ze zbiórek od tłumów, które schodziły się wysłuchać jego mów, a także z innych źródeł, w tym od armii. Gdyby odszedł, nieokrzepła jeszcze Partia Nazistowska z całą pewnością rozpadłaby się w drobny mak. Komitet nie przyjął więc jego rezygnacji. Hitler, już pewny swej pozycji, wymusił kapitulację reszty liderów ruchu. Domagał się dyktatorskiej władzy jedynego przywódcy partii, likwidacji komitetu i zakończenia intryg z innymi ugrupowaniami pokroju partii Streichera.

Dla innych przywódców partii miarka się przebrała. Pod wodzą jej założyciela Antona Drexlera sformułowali akt oskarżenia niedoszłego dyktatora i rozprowadzili go w formie broszury. Były to najbardziej drastyczne zarzuty ze strony działaczy własnego ugrupowania – czyli ze strony osób, które z własnego doświadczenia znały charakter i metody działania Hitlera – z jakimi kiedykolwiek musiał się mierzyć.

> Żądza władzy i osobiste ambicje skłoniły pana Adolfa Hitlera do powrotu na swoje stanowisko po sześciotygodniowym pobycie w Berlinie, którego cel nie został jeszcze ujawniony. Uznał on, że nadszedł czas na wprowadzenie rozłamu i schizmy w naszych szeregach, posługując się podejrzanymi personami, które za nim stoją, a tym samym działając w interesie Żydów oraz ich przyjaciół. Staje się coraz bardziej oczywiste, że jego celem jest po prostu wykorzystanie Partii Narodowosocjalistycznej jako trampoliny dla własnych niemoralnych zamiarów i przejęcie przywództwa, aby w stosownym psychologicznie momencie skierować partię na inny tor. Wyraźnie widać to w ultimatum, które kilka dni temu przesłał przywódcom partii, w którym to domaga się między innymi osobistej i absolutnej dyktatury w partii oraz przejścia w stan spoczynku komitetu, w tym ślusarza Antona Drexlera, jej założyciela i przywódcy (…).
>
> A jak realizuje swą kampanię? Jak Żyd! Przeinacza każdy fakt (…). Narodowi Socjaliści! Pomyślcie o takich ludziach! Nie błądźcie. Hitler to demagog (…). Uważa, że jest zdolny (…) nafaszerować was opowiastkami, w których nie ma za grosz prawdy![102]

Choć siłę zarzutów osłabiał niepoważny antysemityzm (Hitler postępujący jak Żyd!), były one w swej treści prawdziwe, natomiast ich upublicznienie nie przyniosło buntownikom zamierzonych skutków. Hitler bez chwili zwłoki wniósł przeciwko autorom broszury sprawę o

zniesławienie i Drexler osobiście na publicznym zebraniu musiał wyrzec się owych zarzutów. Podczas dwóch nadzwyczajnych posiedzeń partii Hitler podyktował warunki pokojowe. Zmieniono statut partii, likwidując komitet i obdarzając Hitlera, przewodniczącego, władzą dyktatorską. Poniżony Drexler otrzymał „kopniaka w górę" i został mianowany honorowym przewodniczącym. Wkrótce potem zniknął ze sceny wydarzeń[103]. Jak napisał Heiden, to zwycięstwo kawalerów Partii Nazistowskiej nad jej okrągłogłowymi[104]. Zwycięstwo Hitlera zaowocowało czymś jeszcze, bowiem przy okazji tych wydarzeń, w lipcu 1921 r., ustanowiono tzw. zasadę przywództwa, która miała stać się pierwszym przykazaniem partii, a później III Rzeszy. Na niemieckiej scenie politycznej pojawił się wódz – Führer.

Wódz od razu zabrał się do reorganizowania swojego ugrupowania. Zrezygnowano z zadymionej kanciapy na tyłach Sterneckerbräu, którą Hitler uważał „bardziej za kryptę grzebalną niż biuro", i zajęto nowe, jaśniejsze i przestronniejsze biura w innej gospodzie przy Corneliusstrasse. Kupiono na raty starą maszynę do pisania Adlera, a stopniowo partia wzbogaciła się też o sejf, szafki na dokumenty, meble, telefon i opłacaną sekretarkę na pełny etat.

Pieniądze zaczynały napływać coraz szerszym strumieniem. Niespełna rok wcześniej, w grudniu 1920 r., partia nabyła upadłą, mocno zadłużoną gazetę „Völkischer Beobachter", antysemicką bulwarówkę ukazującą się dwa razy w tygodniu. Źródło, z którego Hitler zaczerpnął 60 tysięcy marek na tę transakcję, było wówczas owiane tajemnicą, dziś wiadomo jednak, że Eckart i Röhm przekonali generała majora Rittera von Eppa, przełożonego Röhma w Reichswehrze i również członka partii, aby zebrał potrzebną sumę. Pochodziła najpewniej z tajnych zasobów armii. Na początku 1923 r. „Völkischer Beobachter" stał się dziennikiem, więc Hitler spełnił warunek funkcjonowania każdej znaczącej niemieckiej partii politycznej: wszedł w posiadanie tuby, przez którą mógł głosić słowo partyjne. Prowadzenie dziennika politycznego wymagało dodatkowych pieniędzy, a te nadeszły z dość nieoczekiwanych źródeł, przynajmniej dla nazistów ze środowisk proletariackich i robotniczych. Jednym z nich była Helene Bechstein, żona bogatego producenta fortepianów. Polubiła młodego podżegacza już podczas pierwszego spotkania. Gdy przebywał w Berlinie, zapraszała go, aby zatrzymywał się w domu jej rodziny, organizowała przyjęcia, na których mógł poznawać zamożnych i wpływowych ludzi, a także

przekazała ruchowi pokaźne kwoty. Część pieniędzy na sfinansowanie działalności dziennika pochodziła od Gertrud von Seidlitz, posiadającej udziały w kilku fińskich papierniach.

W marcu 1923 r. absolwent Harvardu Ernst „Putzi" Hanfstaengl, syn Niemca i Amerykanki, wywodzący się z pełnej ogłady, bogatej rodziny posiadającej w Monachium firmę zajmującą się sztuką, pożyczył partii 1000 dolarów pod zastaw „Völkischer Beobachter"[105]. W owych czasach potężnej inflacji była to imponująca kwota w markach i ogromnie pomogła partii oraz jej gazecie. Jednak przyjaźń Hanfstaenglów wykraczała poza pomoc finansową. Była to jedna z pierwszych szanowanych monachijskich rodzin, która otworzyła swe drzwi przed młodym awanturnikiem. Putzi zaprzyjaźnił się z Hitlerem, a ten później postawił go na czele partyjnego Wydziału Prasy Zagranicznej. Hanfstaengl był ekscentrycznym, tyczkowatym mężczyzną, który sardonicznym sposobem bycia rekompensował dość płytki umysł. Był też wirtuozem fortepianu i gdy jego przyjaciel objął już władzę w stolicy, nieraz musiał przepraszać towarzystwo, w którym akurat przebywał, gdyż musiał odpowiedzieć na pilne wezwanie Führera. Mawiano, że jego gra na fortepianie – walił wściekle w klawisze – i błazeństwa uspokajają, a nawet rozweselają wodza po ciężkim dniu. Po latach ten osobliwy, lecz łagodny absolwent Harvardu, podobnie jak wielu innych zauszników Hitlera z początków ruchu, będzie musiał ratować skórę ucieczką z Niemiec[106].

Większość późniejszych najbliższych podwładnych Hitlera była już w partii lub wkrótce miała zasilić jej szeregi. Rudolf Hess wstąpił do NSDAP w 1920 r. Syn mieszkającego w Egipcie niemieckiego hurtownika spędził w tym afrykańskim kraju pierwsze 14 lat życia, a następnie wyjechał kształcić się w Nadrenii. Podczas wojny przez pewien czas służył z Hitlerem w Pułku Lista (choć wtedy się nie zaznajomili), był dwukrotnie ranny, a potem został lotnikiem. Po wojnie zapisał się na ekonomię na Uniwersytecie Monachijskim, ale wydaje się, że większość czasu poświęcał dystrybucji antysemickich pamfletów i walce z najróżniejszymi działającymi w Bawarii bandami politycznymi. Gdy 1 maja 1919 r. obalano w Monachium komunistyczny reżim, znajdował się w centrum walk i otrzymał ranę w nogę. Rok później wybrał się pewnego wieczoru posłuchać Hitlera, dał się uwieść jego elokwencji, wstąpił do partii i szybko został bliskim przyjacielem, lojalnym zwolennikiem i sekretarzem wodza. To on

zapoznał Hitlera z poglądami geopolitycznymi generała Karla Haushofera, ówczesnego profesora geopolityki na uniwersytecie w Monachium.

Hess poruszył Hitlera swoją nagradzaną rozprawą doktorską pt. „Jak wyłonić człeka, który poprowadzi Niemcy z powrotem na niegdysiejsze szczyty?”.

> Tam, gdzie zniknęły wszelkie autorytety, tylko człowiek z ludu może je odbudować (…). Im głębiej dyktator był zakorzeniony w szerokich masach, tym lepiej rozumie, jak traktować je psychologicznie, tym bardziej zaufają mu robotnicy i tym więcej zwolenników zdobędzie w owych najbardziej energicznych ludzkich szeregach. On sam nie ma z masą nic wspólnego; jak wszyscy wielcy ludzie, to wybitna osobowość (…). Gdy nakazuje to konieczność, nie cofa się przed przelewem krwi. Wielkie kwestie zawsze rozstrzygają się poprzez krew i żelazo (…). Dla osiągnięcia swych celów jest gotów zdeptać najbliższych przyjaciół (…). Dawca praw postępuje ze straszliwą surowością (…). Gdy pojawia się konieczność, potrafi zdeptać ich [lud] butami grenadierów (…)[107].

Nie dziwota, że Hitler przygarnął tego młodzieńca. W jego rozprawie ujrzał bowiem portret wodza, którym może i jeszcze nie był, ale którym chciał się stać – i został nim. Hess, pomimo swej patetyczności i pilności, pozostał człowiekiem o ograniczonej inteligencji i zawsze chłonął szalone idee, które przyswajał z ogromnym fanatyzmem. Niemal do samego końca będzie jednym z najbardziej lojalnych i godnych zaufania zwolenników Hitlera i nigdy nie da się zarazić pochłaniającą energię ambicją osobistą.

Alfred Rosenberg, choć często sławiony jako „intelektualny lider” Partii Nazistowskiej, a nawet jej „filozof”, także był mężczyzną o rozumie co najwyżej przeciętnym. Nie odbiegając daleko od prawdy, można nazwać go Rosjaninem. Podobnie jak wielu rosyjskich „intelektualistów”, wywodził się z bałtyckich Niemców. Był synem szewca, urodził się 12 stycznia 1893 r. w Rewlu (ob. Tallin), który od 1721 r. należał do imperium carów. Postanowił studiować w Rosji, a nie w Niemczech, i w 1917 r. uzyskał dyplom z architektury na Uniwersytecie Moskiewskim. Podczas rewolucji bolszewickiej mieszkał w Moskwie i w związku z tym, jak twierdziła część jego wrogów w Partii Nazistowskiej, chodził mu po głowie pomysł zasilenia szeregów młodych bolszewików. Jednak w lutym 1918 r. wrócił do Rewla i zgłosił się na ochotnika do niemieckiej armii, lecz jako „Rosjanin” został odrzucony. Pod koniec 1918 r. dotarł do Monachium, gdzie działał aktywnie w kręgach białych emigrantów.

Poznał wówczas Dietricha Eckarta, a poprzez niego Hitlera, i u schyłku 1919 r. wstąpił do partii. Człowiek, który zdobył dyplom z architektury, musiał zaimponować temu, który na uczelnię architektoniczną nawet się nie dostał. Na Hitlerze wrażenie robił też „zasób wiedzy" Rosenberga, lubił nienawiść młodzieńca do Żydów i bolszewików. Tuż przed śmiercią Eckarta, pod koniec 1923 r., Hitler mianował Rosenberga redaktorem „Völkischer Beobachter" i przez lata lansował tego mającego mętlik w głowie, chaotycznego, płytkiego „filozofa" na intelektualnego mentora ruchu nazistowskiego i jeden z jego głównych autorytetów w sprawach polityki zagranicznej.

Hermann Göring, podobnie jak Rudolf Hess, także przyjechał do Monachium niedługo po wojnie, aby studiować ekonomię na tamtejszym uniwersytecie, i także uległ urokowi Hitlera. Był jednym z największych niemieckich bohaterów wojennych, ostatnim dowódcą słynnej Eskadry Myśliwskiej Richthofena; został odznaczony Pour le Mérite, najwyższym niemieckim odznaczeniem wojskowym. Powrót do szarzyzny cywilnego życia okazał się dla niego jeszcze trudniejszy niż dla większości weteranów. Przez jakiś czas pracował jako pilot samolotów transportowych w Danii, a potem w Szwecji. Pewnego razu wiózł hrabiego Erica von Rosena do jego posiadłości pod Sztokholmem i zatrzymawszy się tam na noc jako gość, zakochał się w siostrze gospodarza, Carin von Kantzow, z domu baronowej Fock, jednej z największych szwedzkich piękności. Pojawiły się pewne przeszkody. Carin von Kantzow była epileptyczką, kobietą zamężną i matką ośmioletniego syna. Udało się jej jednak doprowadzić do rozwiązania małżeństwa i wyszła za młodego, rycerskiego lotnika. Posiadała niemałe zasoby finansowe, więc przeniosła się z mężem do Monachium, gdzie wiedli dość wystawne życie, a on wrócił na studia.

Ale nie na długo. W 1921 r. poznał Hitlera, wstąpił do partii, hojnie zasilił jej kasę (a także samego Hitlera), wykorzystał swe niezmierzone pokłady energii, aby pomóc Röhmowi organizować SA, a rok później, w 1922 r., został dowódcą tej formacji.

W otoczeniu dyktatora partii znalazło się również mrowie mniej znanych i w dużej mierze jeszcze bardziej podejrzanych person. Max Amann, sierżant Hitlera w Pułku Lista, twardy, nieokrzesany mężczyzna, ale przy tym sprawny organizator, był odpowiedzialny za interesy partii oraz „Völkischer Beobachter" i szybko zaprowadził porządek w finansach obu instytucji. Na osobistego ochroniarza Hitler wybrał Ulricha Grafa,

zapaśnika-amatora o powierzchowności rzeźnika i szeroko znanego rozrabiakę. „Nadwornym fotografem”, jedynym człowiekiem, który przez lata miał prawo go fotografować, Hitler mianował chromego Heinricha Hoffmanna, wykazującego wręcz psie przywiązanie do wodza, co zresztą wyszło mu na korzyść, bo uczyniło z niego milionera. Kolejnym faworytem-awanturnikiem był Christian Weber, handlarz końmi, dawny wykidajło w pewnej monachijskiej spelunie i nienasycony piwosz. W owym czasie blisko Hitlera znajdował się też Hermann Esser, który jako mówca mógł rywalizować z samym wodzem, a jego wymierzone w Żydów teksty trafiały na pierwszą stronę „Völkischer Beobachter”. Nie ukrywał, że przez pewien czas żył wygodnie dzięki datkom od swych kochanek. Był niesławnym szantażystą, grożącym „ujawnieniem sekretów” towarzyszy partyjnych, którzy stawali mu na drodze. Dla niektórych starszych, bardziej przyzwoitych członków ruchu stał się personą tak odrażającą, że domagali się jego wydalenia z partii. „Wiem, że Esser to łajdak, ale muszę go przy sobie trzymać, dopóki może być użyteczny”, dał im odpowiedź Hitler[108]. Podobną postawę miał przyjmować względem prawie wszystkich bliskich współpracowników, niezależnie od ich szemranej przeszłości – albo raczej teraźniejszości. Mordercy, alfonsi, zboczeńcy, narkomani albo najzwyklejsze zbiry, dla Hitlera nie miało to znaczenia, jeśli tylko byli przydatni.

Przykładowo Juliusa Streichera trzymał przy sobie niemal do samego końca. Ten zdeprawowany sadysta, który rozpoczynał karierę jako nauczyciel, był od 1922 do 1939 r., kiedy to jego gwiazda wreszcie zaczęła przygasać, pomagierem Hitlera, cieszącym się jedną z najgorszych opinii. Ten osławiony cudzołożnik, który szczycił się, że szantażował nawet mężów swych kochanek, zdobył sławę i fortunę jako fanatyczny antysemita. Jego obdarzony ponurą sławę tygodnik „Der Stürmer” rozkwitał dzięki drastycznym artykułom o bezeceństwach seksualnych Żydów i żydowskich „rytualnych mordach”. Obsceniczność tej gazety przyprawiała o mdłości nawet niektórych nazistów. Streicher zasłynął też jako amator pornografii. Był nazywany „niekoronowanym królem Frankonii”, a ośrodkiem jego władzy stała się Norymberga, gdzie jego słowo było prawem, a każdemu, kto wszedł mu w paradę lub jakkolwiek podpadł, groziły tortury i więzienie. Aż do czasu, gdy przygarbiony zasiadł na miejscu dla oskarżonego podczas procesu za zbrodnie wojenne, nigdy

nie widziałem go bez bata w dłoni lub za pasem. Z radością chełpił się niezliczonymi chłostami, które osobiście wymierzał.

Właśnie takich ludzi zgromadził wokół siebie Hitler w pierwszych latach marszu po dyktatorską władzę nad narodem, który dał światu Lutra, Kanta, Goethego, Schillera, Bacha, Beethovena i Brahmsa.

1 kwietnia 1920 r., w dniu, w którym Niemiecka Partia Robotników przekształciła się w Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników – od której to nazwy wziął się skrót „nazizm" – Hitler na dobre porzucił armię. Odtąd miał poświęcać się wyłącznie partii, z której ani wtedy, ani nigdy potem nie pobierał pensji.

Można wobec tego zadać pytanie: z czego żył? Czasami zastanawiali się nad tym też jego współpracownicy. Pytanie to zostało postawione bez ogródek w oskarżeniu wysuniętym przez komitet w lipcu 1921 r.: „Gdy jakiś członek partii pyta go, z czego się utrzymuje i jaki był jego dawny zawód, zawsze wścieka się i denerwuje. Jak do tej pory nie pojawiła się odpowiedź na te pytania. A zatem nie może mieć czystego sumienia; dużo pieniędzy pochłaniają zwłaszcza jego liczne kontakty z kobietami, którym przedstawia się jako »król Monachium«".

Hitler udzielił odpowiedzi w toku późniejszej sprawy o zniesławienie, wniesionej przeciwko autorom broszury. Na pytanie sądu, z czego dokładnie się utrzymuje, odparł: „Gdy przemawiam na rzecz Partii Narodowosocjalistycznej, nie biorę dla siebie żadnych pieniędzy. Ale przemawiam też dla innych organizacji (…) i wtedy oczywiście przyjmuję gażę. Z kolei obiady jadam z różnymi towarzyszami partyjnymi. Kilku towarzyszy partyjnych wspomaga mnie też w skromnym zakresie"[109].

Prawdopodobnie była to odpowiedź bliska prawdy. Bogaci przyjaciele, tacy jak Dietrich Eckart, Göring czy Hanfstaengl, zapewne „pożyczali" mu pieniądze na czynsz, ubrania i jedzenie. Na pewno nie miał wygórowanych potrzeb. Do 1929 r. zajmował dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy niższej klasy średniej przy Thierchstrasse nad Izarą. Zimą nosił stary trencz, który później, dzięki licznym zdjęciom, stał się znany każdemu Niemcowi. Latem często pojawiał się w krótkich spodniach, tak zwanych *Lederhosen*, noszonych o tej porze roku przez wielu Bawarczyków. W 1923 r. Eckart i Esser trafili do Platterhof, gospody w pobliżu Berchtesgaden, która stała się letnim zaciszem Hitlera i jego przyjaciół. Hitler zakochał się w tej górskiej

okolicy; to właśnie tam zbudował później przestronną willę, Berghof, która stanie się jego domem i w której podczas wojny spędzi wiele czasu.

Jednakże w burzliwych latach 1921-1923 miał mało czasu na odpoczynek i rekreację. Musiał zbudować partię i ugruntować w niej swoją władzę, walcząc przy tym z zazdrosnymi i również pozbawionymi skrupułów rywalami. NSDAP była zaledwie jednym z kilku prawicowych ugrupowań zabiegających o uwagę i poparcie w Bawarii, a poza nią, na innych terenach Niemiec, konkurencja była jeszcze liczniejsza.

Polityk musiał wówczas śledzić, oceniać i wykorzystywać wiele przyprawiających o zawrót głowy wydarzeń i nieustannie zmieniającą się sytuację. W kwietniu 1921 r. Alianci przedstawili Niemcom rachunek reparacyjny, opiewający na oszałamiającą sumę 132 mld złotych marek (33 mld dolarów), a Niemcy wydały z siebie głośny jęk i odpowiedziały, że nie są w stanie go spłacić. Marka, zwykle wyceniana na cztery za dolara, zaczynała słabnąć; do lata 1921 r. potaniała do 75 za dolara, a rok później do 400 za dolara. W sierpniu 1921 r. zamordowano Erzbergera. W czerwcu 1922 r. nastąpiła próba zabójstwa Philippa Scheidemanna, socjalisty, który proklamował republikę. Jeszcze w tym samym miesiącu, 24 czerwca, zastrzelono na ulicy ministra spraw zagranicznych Rathenaua. We wszystkich trzech przypadkach zabójcami byli ludzie ze skrajnej prawicy. Niepewny rząd berliński w końcu zareagował specjalną ustawą o ochronie republiki, która wprowadzała surowe kary za terroryzm polityczny. Berlin domagał się rozwiązania niezliczonych związków zbrojnych i położenia tamy politycznej gangsterce. Ale władze Bawarii, nawet pod wodzą umiarkowanego hrabiego Lerchenfelda, który w 1921 r. zastąpił ekstremistę Kahra, miały problem z dostosowaniem się do wytycznych napływających z Berlina. Gdy próbowały wyegzekwować ustawę antyterrorystyczną, bawarscy prawicowcy, a Hitler był już uznawany za jednego z ich młodych liderów, zorganizowali spisek, mający na celu odsunięcie Lerchenfelda od władzy i marsz na Berlin w celu obalenia republiki.

Raczkująca Republika Weimarska znalazła się w głębokich tarapatach, bowiem jej egzystencji nieustannie zagrażała nie tylko skrajna prawica, ale i skrajna lewica.

ROZDZIAŁ III

WERSAL, WEIMAR I PUCZ PIWIARNIANY

Większość obywateli zwycięskich mocarstw zachodnich uznała proklamowanie republiki w Berlinie 9 listopada 1918 r. za symbol świtu nowej ery dla narodu niemieckiego. W toku wymiany not dyplomatycznych, która doprowadziła do zawieszenia broni, Woodrow Wilson naciskał na zniesienie militarystycznej autokracji Hohenzollernów i wyglądało na to, że Niemcy, choć niechętnie, przystały na ten warunek. Kajzer został zmuszony do abdykacji i ucieczki, monarchia została zlikwidowana, szybko odsunięto od władzy wszystkie niemieckie dynastie i ogłoszono rządy republikańskie.

Ale ogłoszono przez przypadek! Po południu 9 listopada, po rezygnacji kanclerza księcia Maximiliana von Baden, w berlińskim Reichstagu spotkali się tak zwani Większościowi Socjaldemokraci pod wodzą Friedricha Eberta i Philippa Scheidemanna. Nie mieli bladego pojęcia, co robić. Książę Maximilian właśnie ogłosił abdykację kajzera. Ebert, z zawodu rymarz, uważał, że jeden z synów Wilhelma – którykolwiek, z wyjątkiem rozpuszczonego kronprinza – mógłby zastąpić ojca, bowiem sam opowiadał się za monarchią konstytucyjną na wzór brytyjski. Choć Ebert przewodził socjalistom, przerażała go wizja rewolucji społecznej. „Nienawidzę jej niczym grzechu”, wyznał pewnego razu.

W Berlinie jednak pachniało rewolucją. Stolicę sparaliżował strajk generalny. Kilka przecznic od Reichstagu, przy szerokiej Unter den Linden, ludzie ze Związku Spartakusa pod wodzą lewicowych socjalistów Róży Luksemburg i Karla Liebknechta szykowali się, aby w swej twierdzy w pałacu kajzera ogłosić powstanie republiki radzieckiej. Na wieść o tym wśród socjalistów zebranych w Reichstagu zapanowała konsternacja. Musieli bezzwłocznie wykonać jakiś ruch, który powstrzyma lewicowców. Scheidemann wpadł na pewien pomysł. Nie pytając o zdanie towarzyszy, popędził do okna górującego nad Königsplatz, gdzie zebrał się ogromny tłum, wystawił głowę przez okno i z własnej woli, jakby właśnie doznał

olśnienia, ogłosił republikę! Ebert był wściekły. Miał nadzieję, że jakimś cudem uda mu się ocalić monarchię Hohenzollernów.

Tak oto narodziła się niemiecka republika. Lecz o ile socjaliści nie byli zdeklarowanymi zwolennikami republikanizmu, to konserwatyści byli wręcz jego wrogami i umyli ręce. Wraz z przywódcami armii, Hindenburgiem i Ludendorffem, wepchnęli władzę polityczną w ręce niechcących jej socjaldemokratów. W ten sposób udało im się zrzucić na barki demokratycznych przywódców klasy robotniczej brzemię odpowiedzialności za podpisanie kapitulacji, a później też traktatu pokojowego, obarczając ich winą za klęskę Niemiec i wszelkie cierpienia, jakie przegrana wojna oraz podyktowany przez przeciwników pokój mogły sprowadzić na naród niemiecki. Była to grubymi nićmi szyta sztuczka, którą przejrzałoby nawet dziecko, a jednak w Niemczech się powiodła. Od samego początku skazała republikę na zagładę.

Być może wcale nie musiało tak być. W listopadzie 1918 r. dzierżący władzę absolutną socjaldemokraci mogli położyć podwaliny pod trwałą republikę demokratyczną. Aby tego dokonać, musieliby jednak raz na zawsze stłamsić lub chociaż okiełznać czynniki będące podporą cesarstwa Hohenzollernów, które nie zamierzały lojalnie zaakceptować nowego ustroju: feudalnych junkrów oraz inne elitarne kasty, magnatów władających wielkimi kartelami przemysłowymi, włóczących się po kraju „kondotierów” z freikorpsów, urzędników cesarskiej służby cywilnej, a przede wszystkim kastę wojskową i oficerów Sztabu Generalnego. Musieliby rozbić na części wielkie majątki ziemskie, które prowadziły do marnotrawstwa i były nierentowne, a także kartele i monopole przemysłowe. Należałoby oczyścić biurokrację, sądownictwo, policję, uniwersytety i armię, bo żadna z tych instytucji nie zamierzała wiernie i uczciwie służyć nowemu reżimowi demokratycznemu.

Socjaldemokraci, w większości mający dobre chęci związkowcy, których z innymi niemieckimi klasami łączył głęboko wpojony nawyk chylenia czoła przed ugruntowaną władzą, nie potrafili się do tego zmusić. W zamian zaczęli zrzekać się swej władzy na rzecz zawsze dominującej we współczesnych Niemczech siły, czyli armii. A ta, choć została pobita na polach bitew wojny, nadal miała nadzieję, że zdoła utrzymać pozycję w kraju i stłumić rewolucję. I realizowała swoje cele szybko i śmiało.

Nocą 9 listopada 1918 r., zaledwie kilka godzin po „proklamowaniu” republiki, w gabinecie Eberta w Kancelarii Rzeszy zadzwonił telefon. Był

to wyjątkowy aparat, połączony tajną prywatną linią bezpośrednio z kwaterą główną w Spa. Ebert siedział samotnie. Podniósł słuchawkę. „Tu Groener”, odezwał się głos po drugiej stronie. Dawny rymarz, nadal zahukany wydarzeniami tego dnia, które niespodziewanie powierzyły mu pełnię władzy w trzęsących się w posadach Niemczech, był pod wrażeniem. Generał Wilhelm Groener zastąpił Ludendorffa na stanowisku generalnego kwatermistrza armii. Wcześniej tego samego dnia w Spa to właśnie on poinformował kajzera, że nie może dłużej liczyć na lojalność swoich wojsk i musi odejść, ponieważ feldmarszałek von Hindenburg nie zdołał się do tego zmusić – był to odważny czyn, którego kasta wojskowa nigdy Groenerowi nie wybaczy. Ebert i Groener nawiązali nić wzajemnego szacunku już w 1916 r., kiedy to generał, odpowiedzialny wówczas za produkcję wojenną, blisko współpracował z liderem socjalistów. Na początku listopada, a więc zaledwie kilka dni wcześniej, naradzali się w Berlinie, jak ocalić monarchię i ojczyznę.

Teraz, gdy ojczyzna chwiała się nad przepaścią, połączyła ich tajna linia telefoniczna. W tym momencie przywódca socjalistów i druga najważniejsza postać w wojsku zawarli pakt, który, choć został ujawniony dopiero wiele lat później, miał przesądzić o losie kraju. Ebert zgodził się stłumić anarchię i bolszewizm oraz zachować armię wraz z jej całą tradycją. Groener obiecał, że w zamian armia pomoże nowemu rządowi okrzepnąć u steru władzy i realizować jego cele.

„Czy feldmarszałek (Hindenburg) zachowa dowództwo?” – zapytał Ebert.

Groener odparł, że tak.

„Proszę przekazać feldmarszałkowi podziękowania w imieniu rządu”, rzekł na to przywódca socjalistów[110].

Niemiecka armia została uratowana, ale niemiecka republika była stracona, i to już w dniu swych narodzin. Generałowie, z chlubnym wyjątkiem Groenera i nielicznej garstki innych, nigdy nie będą jej lojalnie służyli. Ostatecznie, pod batutą Hindenburga, zdradzą ją na rzecz nazistów.

Oczywiście w tamtym czasie Eberta i jego kolegów-socjalistów prześladowało widmo wydarzeń w Rosji. Nie chcieli wchodzić w buty Kiereńskiego. Nie chcieli zostać zastąpieni przez bolszewików. Rady żołnierskie i robotnicze wyrastały jak grzyby po deszczu w całym kraju i przejmowały władzę, dokładnie tak jak w Rosji. To właśnie te ciała 10 listopada wybrały Radę Przedstawicieli Ludowych, z Ebertem na czele, aby

tymczasowo rządziła państwem. W grudniu w Berlinie zebrał się pierwszy Niemiecki Kongres Radziecki. To złożone z delegatów rad żołnierskich i robotniczych z całych Niemiec gremium domagało się dymisji Hindenburga, rozwiązania regularnej armii i zastąpienia jej gwardią cywilną, której oficerowie byliby wybierani przez żołnierzy, a podlegałaby ona Radzie Przedstawicieli.

Dla Hindenburga i Groenera miarka się przebrała. Odmówili uznania władzy Kongresu Radzieckiego. Sam Ebert również nie realizował jego postulatów. Natomiast armia, która w tych dniach walczyła o życie, domagała się od rządu, który zgodziła się wesprzeć, aktywnych działań. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem Ludowa Dywizja Piechoty Morskiej, obecnie pod kontrolą komunistów ze Związku Spartakusa, opanowała Wilhelmstrasse, wdarła się do Kancelarii i przecięła wszelkie kable telefoniczne. Jednak tajne łącze z kwaterą główną armii nadal funkcjonowało i Ebert wykorzystał je, aby poprosić o pomoc. Wojsko obiecało odsiecz ze strony garnizonu poczdamskiego, ale zanim ten zjawił się na miejscu, zrewoltowani marynarze wycofali się do swych koszar w stajniach pałacu cesarskiego.

Związek Spartakusa, na czele z Różą Luksemburg i Karlem Liebknechtem, czyli dwójką najskuteczniejszych agitatorów politycznych w Niemczech, nadal dążył do ustanowienia republiki radzieckiej. Jego siły zbrojne w stolicy rosły w siłę. W Wigilię Dywizja Piechoty Morskiej bez trudu odparła podjętą przez regularne oddziały z Poczdamu próbę odbicia stajni cesarskich. Hindenburg i Groener naciskali na Eberta, aby uszanował zawarty niedawno pakt i stłumił bolszewików. Liderowi socjalistów nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Dwa dni po Bożym Narodzeniu mianował Gustava Noske ministrem obrony narodowej, a potem wszystko potoczyło się według scenariusza, którego każdy, kto znał nowego ministra, mógł się spodziewać.

Noske był rzeźnikiem z zawodu. Piął się w górę w związkach i Partii Socjaldemokratycznej, a w 1906 r. dostał się do Reichstagu, gdzie zasłynął jako ekspert od spraw wojskowych w swoim ugrupowaniu. Uchodził też za zdecydowanego nacjonalistę oraz „silnorękiego”. W pierwszych dnia listopada książę Max von Baden wyznaczył go do stłumienia buntu w Kilonii i Noske wywiązał się z powierzonego mu zadania. Ten kipiący energią, zwalisty mężczyzna o kwadratowej szczęce, ogromnej sile, choć nie najwyższej inteligencji (co, jak mawiali jego wrogowie, jest typowe dla

przedstawicieli jego zawodu), przy okazji nominacji na ministra ogłosił, że „ktoś tu musi wcielić się w psa gończego”.

Uderzył na początku stycznia 1919 r. Pomiędzy 10 a 17 stycznia – w czasie „krwawego tygodnia”, jak nazwano ten okres w Berlinie – żołnierze sił regularnych i freikorpsów pod kierownictwem Noskego i pod rozkazami generała von Lüttwitza[111], zmiażdżyli Związek Spartakusa. Róża Luksemburg i Karl Liebknecht zostali schwytani i zamordowani przez oficerów Dywizji Kawalerii Gwardii.

Gdy tylko walki w Berlinie dobiegły końca, w całych Niemczech przeprowadzono wybory do Zgromadzenia Narodowego, które miało przygotować nową konstytucję. Odbywające się 19 stycznia 1919 r. głosowanie ujawniło, że w niecałe dwa miesiące, jakie upłynęły od „rewolucji”, średnie i wyższe klasy odzyskały część odwagi. Socjaldemokraci (Większościowi i Niezależni Socjaliści), którzy do tej pory musieli rządzić sami, bo żadne inne ugrupowanie nie chciało brać na siebie ciężaru władzy, uzyskali 13,8 miliona z 30 milionów oddanych głosów i zdobyli 185 z 421 miejsc w Zgromadzeniu, ale do większości zabrakło im sporo. Naturalnie nowe Niemcy nie miały zostać zbudowane wyłącznie przez klasę robotniczą. Dwa ugrupowania klasy średniej, Partia Centrum, reprezentująca ruch polityczny Kościoła rzymskokatolickiego, oraz Partia Demokratyczna, zrodzona z grudniowej fuzji dawnej Partii Postępowej i lewicowych narodowych liberałów, uzyskały 11,5 miliona głosów i 166 miejsc w Zgromadzeniu. Obie te partie deklarowały poparcie dla umiarkowanej republiki demokratycznej, choć istniała w nich widoczna chęć ewentualnej restauracji monarchii.

Konserwatyści – część ich liderów w listopadzie ukryła się lub, jak hrabia von Westrap, prosiła Eberta o ochronę – udowodnili, że chociaż jest ich teraz znacznie mniej, to daleko im do wymarcia. Przemianowawszy swoją partię na Niemiecką Narodową Partię Ludową, zgromadzili 3 miliony głosów i wysłali do Zgromadzenia 44 deputowanych. Ich prawicowi sojusznicy, narodowi liberałowie, którzy przyjęli nazwę Niemieckiej Partii Ludowej, otrzymali niemal 1,5 miliona głosów i 19 miejsc w Zgromadzeniu. Wprawdzie obie partie konserwatywne znalazły się w zdecydowanej mniejszości, ale osiągnęły wynik wystarczający, aby ich głos w Zgromadzeniu Narodowym był głośno słyszalny. I rzeczywiście, gdy tylko 6 lutego 1919 r. Zgromadzenie zebrało się w Weimarze, ich przywódcy zaczęli bronić dobrego imienia cesarza Wilhelma II oraz

sposobu, w jaki on i generałowie prowadzili wojnę. Gustav Stresemann, szef Partii Ludowej, jeszcze nie przeszedł wyraźnie widocznej w późniejszym okresie zmiany poglądów. W 1919 r. nadal uchodził za rzecznika naczelnego dowództwa w Reichstagu – „młodego Ludendorffa", jak go nazywano – zdecydowanego zwolennika polityki aneksji i fanatyka nieograniczonej wojny podwodnej.

Konstytucja, którą zrodziło sześć miesięcy debat w Zgromadzeniu (została przegłosowana 31 lipca 1919 r. i podpisana przez prezydenta 31 sierpnia), była, przynajmniej na papierze, najbardziej liberalną i demokratyczną ustawą zasadniczą, jaką widziało XX stulecie. Jeśli chodzi o zapisane w niej mechanizmy, była dziełem niemal idealnym, pełnym błyskotliwych i godnych podziwu rozwiązań, które zdawały się gwarantować funkcjonowanie wręcz nieskazitelnej demokracji. Pomysł systemu gabinetowego został zapożyczony z Wielkiej Brytanii i Francji, silnego prezydenta – ze Stanów Zjednoczonych, a referendum ze Szwajcarii. Drobiazgowy, skomplikowany system przedstawicielstwa proporcjonalnego i głosowania na listy ustanowiono w celu uniknięcia zjawiska marnowania głosów i zapewnienia nielicznym mniejszościom prawa do reprezentacji w parlamencie[112].

Tekst konstytucji weimarskiej brzmiał przyjemnie i elokwentnie w uszach każdego prodemokratycznego słuchacza. Naród został ogłoszony suwerenem kraju: „Władza polityczna pochodzi od ludu". Mężczyźni i kobiety otrzymali prawo wyborcze od 21 roku życia. „Wszyscy Niemcy są równi wobec prawa (…). Wolność osobista jest nienaruszalna (…). Każdy Niemiec ma prawo (…) swobodnie wyrażać swoje poglądy (…). Wszyscy Niemcy mają prawo tworzyć stowarzyszenia i związki (…). Wszyscy mieszkańcy Rzeszy cieszą się całkowitą swobodą przekonań i sumienia (…)". A zatem na świecie nie było już ludzi bardziej wolnych niż Niemcy ani rządu bardziej liberalnego i demokratycznego niż niemiecki. A przynajmniej na papierze.

CIEŃ WERSALU

Jeszcze przed spisaniem konstytucji weimarskiej nastąpiło nieuniknione wydarzenie, które rzuciło śmiertelny urok zarówno na ustawę zasadniczą, jak i republikę, którą konstytucja tworzyła. Mowa o przygotowaniu traktatu

wersalskiego. W pierwszych, pełnych chaosu i niespokojnych dniach pokoju, a nawet później, gdy ruszyły już obrady Zgromadzenia Narodowego w Weimarze, Niemcy nie poświęcali nadmiernej uwagi konsekwencjom klęski wojennej. A nawet jeśli, to zdawali się beztrosko pewni, że pozbywszy się Hohenzollernów, do czego ponaglali ich Alianci, zdusiwszy bolszewików i zbudowawszy demokratyczny, republikański rząd, mają prawo do sprawiedliwego pokoju, który nie będzie się opierał na przegranej w wojnie, lecz na słynnych czternastu punktach prezydenta Wilsona.

Wydawało się, że Niemcy nie sięgają pamięcią dalej niż rok wstecz, do 3 marca 1918 r., kiedy to triumfujące naczelne dowództwo podyktowało w Brześciu Litewskim pokonanej Rosji traktat pokojowy, który według słów brytyjskiego historyka spisanych dwie dekady później, gdy wojenne namiętności już oziębły, był „poniżeniem bez precedensu, niemającym sobie równych w nowożytnej historii”[113]. Pozbawił on Rosję terytorium wielkości Austro-Węgier i Turcji razem wziętych, zamieszkanego przez 56 milionów ludzi, czyli 32% całej ludności państwa; ponadto jednej trzeciej długości rosyjskich linii kolejowych, 73% złóż rud żelaza, 89% wydobycia węgla oraz ponad 5000 fabryk i zakładów przemysłowych. Co więcej, Rosja miała zapłacić Niemcom gwarancję w wysokości 6 miliardów marek.

Dla Niemców dzień sądu nadszedł późną wiosną 1919 r. Postanowienia traktatu wersalskiego, przedłożone przez Aliantów bez negocjacji ze stroną niemiecką, zostały opublikowane w Berlinie 7 maja. Spadły na oszukujący się do ostatniej chwili naród niczym ogłuszający cios. W całym kraju organizowano zebrania wściekłych tłumów, na których protestowano przeciwko traktatowi i domagano się odmowy jego podpisania przez Niemcy. Scheidemann, który w okresie obrad Zgromadzenia Narodowego został kanclerzem, krzyczał: „Niech uschnie ręka, która podpisze ten traktat!”. 8 maja mianowany prezydentem tymczasowym Ebert oraz rząd publicznie nazwali warunki pokoju „niemożliwymi do zrealizowania i do zniesienia”. Następnego dnia niemiecka delegacja w Wersalu napisała do nieugiętego Clemenceau, że taki traktat „byłby nie do przyjęcia dla żadnego państwa”.

Z jakich powodów tak uważali? Otóż, traktat zwracał Alzację i Lotaryngię Francuzom, a także pewne tereny Belgom oraz (po plebiscycie) Duńczykom w Szlezwiku; ziemie te w poprzednim stuleciu, po zwycięskiej

wojnie, odebrał Danii Bismarck. Polsce dokument zwracał terytoria (wprawdzie niektóre dopiero po plebiscytach) zagarnięte przez Niemcy w czasie rozbiorów. Był to jeden z warunków, które rozwścieczyły Niemców najbardziej, i nie tylko dlatego, że oddzielał Prusy Wschodnie od ojczyzny korytarzem zapewniającym Polsce dostęp do morza, ale też z tego powodu, że Niemcy gardzili Polakami i uważali ich za niższą rasę. Prawie tak samo rozjuszyło ich postanowienie zmuszające Niemcy do wzięcia na siebie odpowiedzialności za rozpętanie wojny oraz wydania Aliantom kajzera Wilhelma II i około 800 „zbrodniarzy wojennych".

Dokładną wysokość reparacji miano ustalić później, lecz pierwsza rata w wysokości 5 miliardów dolarów w złotych markach miała zostać spłacona w latach 1919-1921. W miejsce części reparacji pieniężnych Niemcy musiały przekazać towary: węgiel, okręty, drewno, bydło itd.

Najbardziej bolesne okazało się jednak to, że traktat wersalski w zasadzie rozbrajał Niemcy[114], a co za tym idzie przynajmniej na pewien czas uniemożliwiał im walkę o hegemonię w Europie. Niemniej ten znienawidzony traktat wersalski, w przeciwieństwie do pokoju narzuconego przez Niemcy Rosji, geograficznie i gospodarczo pozostawiał Rzeszę w zasadzie nietkniętą, zachowywał jej spójność polityczną oraz mocarstwowy potencjał.

Rząd tymczasowy w Weimarze, z wyjątkiem Erzbergera, który namawiał do przyjęcia warunków traktatu, uważając, że da się od nich łatwo uchylać, stanowczo sprzeciwiał się zaakceptowaniu „dyktatu" wersalskiego, jak zaczęto go nazywać. Stanowisko rządu popierała zdecydowana większość obywateli, zarówno o poglądach lewicowych, jak i prawicowych.

A co z armią? Czy gdyby Niemcy odrzuciły pokój, zdołałaby ona odeprzeć nieuniknioną inwazję Aliantów z zachodu? Ebert postawił to pytanie naczelnemu dowództwu, które przeniosło swą kwaterę główną do pomorskiego Kołobrzegu. 17 czerwca, za namową generała Groenera, który sądził, że opór militarny byłby daremny, feldmarszałek von Hindenburg odpowiedział:

> W wypadku wznowienia działań zbrojnych możemy odbić prowincję poznańską [w Polsce] i bronić naszych granic na wschodzie. Jednakże na zachodzie, mając na uwadze przewagę liczebną Ententy i jej możliwość oskrzydlenia nas na obu flankach, raczej nie możemy liczyć na wytrzymanie poważnej ofensywy nieprzyjaciela.
>
> Sukces całej operacji jest przeto dalece wątpliwy, ale jako żołnierz nie mogę wyzbyć się poczucia, że lepiej honorowo zginąć niż przyjąć ten haniebny pokój.

Wniosek podziwianego naczelnego dowódcy był zgodny z najświetniejszymi niemieckimi tradycjami wojskowymi, jednak dziś możemy ocenić jego szczerość, gdyż znamy fakt, którego naród niemiecki nie był wówczas świadom. Mianowicie Hindenburg zgadzał się z Groenerem, że stawienie oporu Aliantom byłoby nie tylko beznadziejne, ale mogło też zaowocować zagładą umiłowanego korpusu oficerskiego armii, a może i całego państwa.

Alianci domagali się konkretnej odpowiedzi. 16 czerwca, dzień przed cytowaną powyżej odpowiedzią Hindenburga, dali Niemcom ultimatum: traktat pokojowy ma zostać zaakceptowany do 24 czerwca, w przeciwnym razie zawieszenie broni zostanie zerwane, a sprzymierzone mocarstwa będą mogły „podjąć kroki, które uznają za niezbędne dla wymuszenia owych warunków".

Ebert ponownie odwołał się do Groenera. Obiecał, że jeśli naczelne dowództwo uzna, że istnieje choć najmniejsza szansa stawienia Aliantom skutecznego oporu militarnego, to postara się doprowadzić do odrzucenia traktatu przez Zgromadzenie Narodowe. Ale odpowiedź musiał poznać natychmiast. Ostatni dzień obowiązywania ultimatum, 24 czerwca, zbliżał się nieuchronnie. O godzinie 16.30 miał zebrać się gabinet i podjąć ostateczną decyzję. Groener raz jeszcze naradził się z Hindenburgiem. „Wiesz równie dobrze jak ja, że zbrojny opór jest niemożliwy", powiedział sędziwy, zmęczony feldmarszałek. Niemniej ponownie, jak w Spa 9 listopada 1918 r., gdy nie potrafił się zmusić, aby wyznać bolesną prawdę kajzerowi i zostawił ten nieprzyjemny obowiązek Groenerowi, odmówił poinformowania o tym tymczasowego prezydenta republiki. „Możesz przekazać prezydentowi odpowiedź równie dobrze jak i ja", oświadczył Groenerowi[115]. I odważny generał znów wziął na siebie odpowiedzialność feldmarszałka, choć przecież musiał mieć świadomość, że koniec końców zostanie przez to kozłem ofiarnym korpusu oficerskiego. Sięgnął po słuchawkę i przekazał prezydentowi stanowisko naczelnego dowództwa.

Zgromadzenie Narodowe z poczuciem ulgi, że dowódcy armii przyjęli na siebie odpowiedzialność za decyzję (w Niemczach bardzo szybko zapomniano o tym fakcie), zatwierdziło podpisanie traktatu zdecydowaną większością i poinformowało o swojej decyzji Clemenceau zaledwie 19 minut przed upływem alianckiego ultimatum. Cztery dni później, 28 czerwca 1919 r., w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu podpisano pokój.

PODZIELONY KRAJ

Tego dnia Niemcy stały się podzielonym krajem.

Konserwatyści nie zamierzali akceptować ani traktatu pokojowego, ani republiki, która go ratyfikowała. Na dłuższą metę podobne stanowisko zajmowała armia (nie licząc generała Groenera), choć przysięgała lojalność nowemu reżimowi i sama podjęła ostateczną decyzję w sprawie traktatu. Pomimo „rewolucji" listopadowej konserwatyści nadal dzierżyli władzę gospodarczą. Przemysł, wielkie majątki ziemskie i większość kapitału znajdowały się w ich rękach. Ich bogactwo mogło być i było wykorzystywane do subsydiowania partii politycznych, które żerowały na podkopywaniu fundamentów republiki.

Armia zaczęła obchodzić restrykcje militarne traktatu pokojowego, jeszcze zanim na dokumentach wysechł atrament. A dzięki bojaźliwości i krótkowzroczności socjalistycznych polityków korpus oficerski zdołał nie tylko utrzymać armię w jej starych pruskich tradycjach, jak zresztą już widzieliśmy, ale też stworzyć ośrodek realnej siły politycznej w nowych Niemczech. Armia, aż do ostatnich dni krótkotrwałej republiki, nie postawiła swego losu na szalę żadnego z ruchów politycznych. Jednak pod wodzą generała Hansa von Seeckta, genialnego twórcy stutysięcznej Reichswehry, nieliczne siły zbrojne stały się państwem w państwie, wywierały coraz większy wpływ na zagraniczną i krajową politykę Niemiec, aż w końcu sama egzystencja republiki została uzależniona od korpusu oficerskiego.

Jako państwo w państwie armia zachowywała niezależność od rządu centralnego. Zgodnie z zapisami konstytucji weimarskiej mogła podlegać gabinetowi i parlamentowi, jak siły zbrojne innych zachodnich demokracji. Ale nie podlegała. Ponadto korpus oficerski nie wyzbył się monarchistycznego, antyrepublikańskiego światopoglądu. Nieliczni przywódcy socjalistyczni, na przykład Scheidemann czy Grzesinski, nawoływali do „demokratyzacji" wojska. Dostrzegali niebezpieczeństwo płynące z powierzenia go oficerom wychowanym w starej, autorytarnej, imperialistycznej tradycji. Ale z powodzeniem przeciwstawiali się im nie tylko generałowie, ale i koledzy socjaliści, a wśród nich prym wiódł minister obrony Noske. Ten proletariusz z pochodzenia chełpił się publicznie, że chce na nowo rozbudzić „dumne żołnierskie wspomnienia z czasów wojny światowej". Jak czas pokazał, fakt, iż prawomocnie wybrany

rząd nie zdołał zbudować nowej armii, która byłaby wierna demokratycznemu duchowi oraz podległa rządowi i Reichstagowi, był dla republiki śmiertelnym błędem.

Drugim było zaniedbanie oczyszczenia sądownictwa. Władza ta stała się jednym z centrów kontrrewolucji i wypaczała pojęcie sprawiedliwości dla własnych, reakcyjnych celów. Historyk Franz L. Neumann stwierdził: „Nie da się uniknąć wniosku, że upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości to jedna z najczarniejszych kart życia w republice niemieckiej”[116]. Po puczu Kappa w 1920 r. rząd oskarżył o zdradę stanu 705 osób; tylko jedna z nich, szef berlińskiej policji, usłyszała wyrok – pięć lat „honorowego odosobnienia”. Gdy Prusy cofnęły mu emeryturę, Sąd Najwyższy nakazał ją przywrócić. W grudniu 1926 r. niemiecki sąd przyznał generałowi von Lüttwitzowi, wojskowemu przywódcy puczu, „zaległe” pobory za okres, w którym buntował się przeciwko władzy, a także za pięć lat, podczas których ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości na Węgrzech.

Tymczasem setki niemieckich liberałów trafiały na wiele lat do więzień za zdradę, gdyż ujawniali nieustanne naruszenia traktatu wersalskiego przez armię i informowali o tym prasę. Przepisy dotyczące zdrady stosowano bezlitośnie względem zwolenników republiki. Ludzie prawicy, którzy próbowali ją obalić, opuszczali areszt wolno lub z łagodnymi wyrokami, o czym wkrótce przekona się i Adolf Hitler. Nawet zabójcy, o ile tylko byli prawicowcami, a ich ofiary demokratami, byli traktowani przez sądy pobłażliwie albo też, jak to często bywało, oficerowie armii lub prawicowi ekstremiści pomagali im zbiec spod klucza.

A zatem na straży republiki, która od pierwszych dni chwiała się na nogach, musieli stać łagodni socjaliści, wspierani przez demokratów oraz katolickich centrystów. Musieli mierzyć się z nienawiścią, obrazami, a czasami kulami coraz liczniejszych i śmielszych wrogów. Oswald Spengler, który zyskał ogromną sławę dzięki książce *Zmierzch Zachodu*, ubolewał: „W sercach ludu Republika Weimarska już jest przegrana”. Tymczasem w Bawarii młody podżegacz Adolf Hitler zrozumiał, jaką siłę ma nowa, nacjonalistyczna, antyrepublikańska i antydemokratyczna fala. I zaczął na niej sunąć.

Wydatnie pomogły mu wydarzenia na scenie politycznej, zwłaszcza dwa z nich: upadek marki oraz okupacja Zagłębia Ruhry. Jak wspomnieliśmy, notowania marki zaczęły pikować w 1921 r., kiedy to spadła do kursu 75 za dolara; w następnym roku jej wartość spadła do 400 marek za dolara, a na

początku 1923 r. do 7000. Niemiecki rząd już jesienią 1922 r. zwrócił się do Aliantów o moratorium na spłatę reparacji. Francuski rząd Poincarégo bezceremonialnie odmówił. Kiedy Niemcy nie dotrzymali wyznaczonego terminu dostaw drewna, twardogłowy premier Francji, który za czasów wojny pełnił funkcję prezydenta, rozkazał swoim wojskom zająć Zagłębie Ruhry. Przemysłowe serce Niemiec, odpowiadające po utracie Górnego Śląska na rzecz Polski za cztery piąte wydobycia węgla i produkcji stali w Rzeszy, zostało odcięte od reszty kraju.

Ten paraliżujący dla niemieckiej gospodarki cios natychmiast zjednoczył naród w nieznany od 1914 r. sposób. Robotnicy z Zagłębia ogłosili strajk generalny i otrzymali wsparcie finansowe od berlińskiego rządu, który wezwał do zainicjowania kampanii biernego oporu. Przy pomocy armii zorganizowano kampanię sabotażu i partyzantki. Francuzi odpowiedzieli aresztowaniami, deportacjami, a nawet wyrokami śmierci. Ale nie ustąpili ani na krok.

Zduszenie niemieckiej gospodarki przyśpieszyło ostateczny upadek marki. Na początku okupacji Zagłębia Ruhry, w styczniu 1923 r., niemiecka waluta spadła do poziomu 18 000 marek za dolara, 1 lipca do 160 000, a 1 sierpnia dolar kosztował już milion marek. W listopadzie, gdy Hitler uznał, że oto wybiła jego godzina, kupno dolara wymagało czterech miliardów marek, a później jego cena poszła w biliony. Niemiecki pieniądz stał się całkowicie bezwartościowy. Siła nabywcza pensji obywateli została zredukowana do zera. Oszczędności życia klasy średniej i robotniczej wyparowały. Zniszczeniu uległo jednak coś znacznie ważniejszego: wiara narodu w strukturę gospodarczą niemieckiego społeczeństwa. Bo cóż wyszło z jego standardów oraz praktyk, które zachęcały do oszczędzania i inwestowania, i uroczyście obiecywały, że przyniesie to korzyści? Czyż nie było to jawne oszustwo na obywatelach?

I czy winną tej katastrofy nie była republika, która skapitulowała przed wrogiem i zgodziła się na brzemię reparacji? Niestety dla jej przetrwania, rzeczywiście ponosiła za to odpowiedzialność. Inflację dało się zatrzymać, wyważając budżet – było to zadanie trudne, ale wykonalne. Dało się to osiągnąć dzięki odpowiedniemu opodatkowaniu, ale nowy rząd nie odważył się na ten ruch. Koniec końców koszty wojny – 164 miliardy marek – nie zostały pokryte nawet w części z podatków bezpośrednich, 93 miliardy pochodziły z pożyczek wojennych, 29 miliardów z bonów skarbowych, a reszta z dodruku pieniądza papierowego. Zamiast drastycznie podnieść

podatki tych, których było stać na ich płacenie, republikański rząd w 1921 r. je obniżył.

Od tego czasu, podjudzany przez wielkich przemysłowców i posiadaczy ziemskich, którzy nie zamierzali rezygnować z profitów, choć kraj był finansowo zrujnowany, rząd celowo pozwalał marce się staczać, aby uwolnić państwo od długu publicznego, uniknąć spłacania reparacji i sabotować Francuzów w Zagłębiu Ruhry. Co więcej, zniszczenie niemieckiej waluty pozwoliło przemysłowi ciężkiemu pozbyć się zadłużenia poprzez spłatę zobowiązań bezwartościowymi markami. Sztab Generalny, dla niepoznaki przemianowany na Truppenamt (Urząd Wojskowy), aby ominąć zapisy traktatu pokojowego, który wymagał jego likwidacji, zauważył, że spadek marki prowadzi do likwidacji długów wojennych, dzięki czemu Niemcy mogły z czystym kontem szykować się do nowej wojny.

Natomiast masy nie zdawały sobie sprawy, jak bardzo magnaci przemysłowi, armia i państwo korzystają na ruinie waluty. Wiedziały tylko, że za cały skarbiec nie można kupić nawet przywiędłego pęczka marchwi, połowy wiaderka ziemniaków, kilku gramów cukru czy kilograma mąki. Ludzie wiedzieli, że stali się bankrutami. Poznali też głód. I uczynili z republiki kozła ofiarnego, odpowiedzialnego za całą tę nędzę i rozpacz.

Dla Adolfa Hitlera było to niczym manna z nieba.

REWOLTA W BAWARII

„Rząd spokojnie drukuje te bezwartościowe świstki papieru, bo jeśli przestanie, będzie to jego koniec – pomstował Hitler. – Albowiem gdy prasy drukarskie staną – a to niezbędny warunek stabilizacji marki – ich szwindle natychmiast ujrzą światło dzienne (…). Nasza nędza jeszcze wzrośnie, wierzcie mi. Łajdacy sobie poradzą. A dlaczego? Bo to państwo stało się największym oszustem i szalbierzem. Państwem rabusiów! (…). Jeśli przerażeni ludzie zauważą, że głodują, choć mają miliardy, to muszą dojść do następującego wniosku: nie będziemy dłużej podlegać państwu, które zostało zbudowane na oszukańczej idei większości. Chcemy dyktatury (…)”[117].

Trudy oraz niepewność czasów szalejącej inflacji bez wątpienia doprowadziły miliony Niemców do wniosku, który wyłożył im Hitler.

Zaczął on nawet wierzyć, że chaos 1923 r. to szansa na obalenie republiki, która nie zdoła się już podnieść. Jeśli jednak osobiście chciał stanąć na czele kontrrewolucji, a inna alternatywa zupełnie go nie interesowała, musiał pokonać kilka przeszkód.

Przede wszystkim Partii Nazistowskiej, mimo że rosła z dnia na dzień, wiele brakowało, aby stać się czołową siłą polityczną nawet w Bawarii, a poza nią była nikomu nieznana. Jak takie małe ugrupowanie miało zmienić ustrój? Hitler, który nigdy nie zniechęcał się przeciwnościami, uznał, że znalazł sposób. Mógł przecież zjednoczyć pod swoją wodzą wszystkie antyrepublikańskie, nacjonalistyczne siły w Bawarii. Następnie, przy poparciu bawarskich władz, związków zbrojnych i stacjonujących w Bawarii jednostek Reichswehry, mógł poprowadzić marsz na Berlin – na wzór Mussoliniego, który rok wcześniej pomaszerował na Rzym – i skończyć z Republiką Weimarską. Oczywiście łatwy sukces Mussoliniego stał się pożywką dla jego rozmyślań.

Jednak francuska okupacja Zagłębia Ruhry, choć odświeżyła niemiecką nienawiść do tradycyjnego wroga, a co za tym idzie rozbudziła na nowo ducha nacjonalizmu, komplikowała zadanie stojące przed Hitlerem. Zaczęła bowiem jednoczyć naród wokół rządu berlińskiego, który postanowił sprzeciwić się okupantowi. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął Hitler. Jemu zależało przede wszystkim na pozbyciu się republiki, Francją mógł zająć się później, po rewolucji nacjonalistycznej i ustanowieniu dyktatury. A zatem, wbrew silnym prądom opinii publicznej, ośmielił się wygłosić niepopularne zdanie: „Nie – nie koniec z Francją, ale koniec ze zdrajcami Ojczyzny, koniec z listopadowymi zbrodniarzami! Oto jakie hasło musi nam przyświecać”[118].

W pierwszych miesiącach 1923 r. poświęcił swój czas i energię, aby wcielić to hasło w życie. W lutym w dużej mierze dzięki talentom organizacyjnym Röhma cztery z bawarskich zbrojnych „związków patriotycznych” połączyły się z nazistami, formując „Arbeitsgemeinschaft der Vaterländischen Kampfverbände” (Unię Roboczą Związków Bojowych Ojczyzny) pod przewodnictwem politycznym Hitlera. We wrześniu stworzono jeszcze silniejsze ugrupowanie o nazwie „Deutscher Kampfbund” (Niemiecki Związek Bojowy), a Hitler został jednym z jego triumwirów. Organizacja ta wyrosła z wielkiego wiecu zorganizowanego w Norymberdze 2 września z okazji rocznicy niemieckiego zwycięstwa nad Francuzami pod Sedanem. Stawiła się na nim większość faszyzujących

ugrupowań z południowych Niemiec, a po zaciekłej mowie przeciwko rządowi Hitler otrzymał owację na stojąco. Cele Kampfbundu zostały wyłożone jasno: obalenie republiki oraz podarcie traktatu wersalskiego na strzępy.

Podczas wiecu w Norymberdze Hitler stał na podeście obok generała von Ludendorffa i wspólnie odbierali defiladę uczestników. Nie był to przypadek. Nazistowski przywódca już od pewnego czasu zabiegał o względy bohatera wojennego, który firmował swym sławnym nazwiskiem przygotowania do puczu Kappa, a ponieważ nieustannie zachęcał do prawicowej kontrrewolucji, może dałby się skusić do działania, o którym myślał Hitler. Stary generał nie posiadał intuicji politycznej. Wprawdzie mieszkał pod Monachium, ale nie maskował swej pogardy dla Bawarczyków, kronprinza Rupprechta, pretendenta do bawarskiego tronu, a także dla Kościoła katolickiego, choć przecież przebywał w najbardziej katolickim ze wszystkich niemieckich krajów związkowych. Hitler zdawał sobie z tego sprawę, lecz pasowało to do jego zamiarów. Nie chciał, aby Ludendorff został przywódcą politycznym nacjonalistycznej kontrrewolucji, chociaż powszechnie było wiadomo, że bohater minionej wojny ma ambicję wcielić się w tę rolę. Hitler zarezerwował ją dla siebie. Natomiast dla prowincjonalnego polityka, poza Bawarią wciąż niemal anonimowego, nazwisko Ludendorffa i jego sława w korpusie oficerskim oraz pośród konserwatystów w całym państwie byłyby sporym atutem. W efekcie Hitler zaczął uwzględniać generała w swoich planach.

Jesienią 1923 r. w republice i w Bawarii nastąpił kryzys. 26 września kanclerz Gustav Stresemann ogłosił zakończenie biernego oporu w Zagłębiu Ruhry i wznowienie spłacania reparacji. Ten niegdysiejszy rzecznik Hindenburga i Ludendorffa, zatwardziały konserwatysta i w głębi serca monarchista doszedł do wniosku, że jeśli Niemcy mają zostać ocalone, zjednoczone, a w przyszłości znowu silne, to przynajmniej na jakiś czas muszą zaakceptować ustrój republikański, dogadać się z Aliantami i zapewnić sobie okres spokoju niezbędny dla odzyskania mocy gospodarczej. Dalsze dryfowanie w bezwładzie zakończyłoby się wojną domową, a może nawet ostateczną zagładą państwa.

Rezygnacja z oporu przeciwko Francuzom i wznowienie spłat wywołały wybuch gniewu i histerii wśród nacjonalistów oraz komunistów, którzy także stawali się coraz silniejsi i zaciekle zwalczali ustrój. Stresemann

stanął w obliczu poważnego buntu zarówno na skrajnej prawicy, jak i na lewicy. Przewidział to i w tym samym dniu, w którym zmienił politykę względem Zagłębia Ruhry oraz reparacji, nakłonił prezydenta Eberta do ogłoszenia stanu wyjątkowego. Od 26 września 1923 r. do lutego 1924 r. zgodnie z ustawą o stanie wyjątkowym władza wykonawcza spoczywała w rękach ministra obrony Otto Gesslera i dowódcy armii generała von Seeckta. W rzeczywistości generał i jego Reichswehra stali się dyktatorami Rzeszy.

Bawaria nie miała ochoty godzić się z takim rozwiązaniem. 26 września tamtejszy gabinet Eugena von Knillinga wprowadził własny stan wyjątkowy i mianował prawicowego monarchistę oraz dawnego premiera Gustava von Kahra komisarzem krajowym, dysponującym dyktatorskimi uprawnieniami. W Berlinie zrodziły się obawy, że Bawaria może odłączyć się do Rzeszy, przywrócić monarchię Wittelsbachów, a nawet stworzyć unię południowoniemiecką z Austrią. Prezydent Ebert pośpiesznie zwołał zebranie gabinetu, na które zaprosił generała von Seeckta. Ebert chciał poznać stanowisko armii. Seeckt poinformował go bezceremonialnie: „Panie prezydencie, armia stoi za mną”[119].

Te lodowate słowa wygłoszone z kamienną twarzą przez noszącego monokl pruskiego naczelnego dowódcę wcale nie wystraszyły prezydenta ani kanclerza, choć można by tego oczekiwać. Doskonale zdawali sobie sprawę, że armia jest państwem w państwie i podlega wyłącznie samej sobie. Jak widzieliśmy, trzy lata wcześniej, gdy siły Kappa zajęły stolicę, a Seeckt musiał odpowiedzieć na podobny apel, wojsko nie stanęło za republiką, lecz za swym wodzem. Tak więc w 1923 r. jedyne pytanie brzmiało: jak wygląda stanowisko Seeckta?

Szczęśliwie dla republiki postanowił ją wesprzeć, ale nie dlatego, że wierzył w republikańskie, demokratyczne zasady. Seeckt uznał, że opowiedzenie się za istniejącym reżimem jest niezbędne dla zachowania sił zbrojnych, którym także zagrażały rewolty w Bawarii i na północy, oraz dla uratowania Niemiec przed katastrofalną wojną domową. Wiedział, że część najważniejszych oficerów stacjonującej w Monachium dywizji stoi po stronie bawarskich separatystów. Wiedział o spisku tzw. Czarnej Reichswehry pod wodzą majora Buchruckera, byłego oficera Sztabu Generalnego, która zamierzała zająć stolicę i obalić rząd. Z chłodną precyzją i niezachwianą determinacją Seeckt zabrał się za oczyszczenie armii i zlikwidowanie groźby wojny domowej.

Nocą 30 września 1923 r. „Czarna Reichswehra” majora Buchruckera opanowała trzy forty na wschód od Berlina. Seeckt nakazał regularnym oddziałom oblec buntowników i po dwóch dniach Buchrucker skapitulował. Stanął przed sądem za zdradę stanu i został skazany na 10 lat odosobnienia w twierdzy. „Czarna Reichswehra”, powołana do życia przez samego Seeckta pod nazwą Arbeitskommandos (komanda robotnicze), aby potajemnie zapewnić wsparcie stutysięcznej Reichswerze, została rozwiązana[120].

Następnie Seeckt skupił się na zagrożeniu komunistycznymi powstaniami w Saksonii, Turyngii, Hamburgu i Zagłębiu Ruhry. W przypadku tłumienia ruchów lewicowych na lojalności armii można było polegać. W Saksonii lokalny dowódca Reichswehry aresztował socjalistyczno-komunistyczny rząd i mianował w jego miejsce komisarza Rzeszy. W Hamburgu oraz na innych obszarach komuniści zostali szybko i surowo stłamszeni. Politycy w Berlinie uznali, że stosunkowo łatwe zduszenie bolszewików pozbawiło bawarskich spiskowców pretekstu obrony republiki przed komunistami, którym się posługiwali, i że poddadzą się władzy rządu. Ale się przeliczyli.

Bawaria nadal opierała się Berlinowi. Obecnie panował w niej dyktatorski triumwirat: komisarz krajowy von Kahr, dowódca Reichswehry w Bawarii generał Otto von Lossow oraz szef policji krajowej pułkownik Hans von Seisser. Kahr odmówił uznania w Bawarii stanu wyjątkowego ogłoszonego przez prezydenta Eberta. Nie wykonywał poleceń napływających ze stolicy. Kiedy rząd centralny zażądał zamknięcia gazety Hitlera „Völkischer Beobachter” w związku z jej zaciekłymi atakami na republikę w ogóle oraz Seeckta, Stresemanna i Gesslera w szczególności, Kahr lekceważąco odmówił.

Zignorował też drugi rozkaz z Berlina, dotyczący aresztowania trzech osławionych przywódców zbrojnych band działających na terenie Bawarii: kapitana Heissa, kapitana Ehrhardta („bohatera” puczu Kappa) i porucznika Rossbacha (przyjaciela Röhma). Seeckt, którego cierpliwość została wystawiona na próbę, rozkazał generałowi von Lossowowi uporać się z nazistowską gazetą i zatrzymać trzech watażków. Generał, z pochodzenia Bawarczyk, słaby i zdezorientowany oficer, który dał się uwieść elokwencji Hitlera i darowi przekonywania Kahra, wahał się z wykonaniem rozkazu przełożonego. 24 października został zdymisjonowany przez Seeckta i zastąpiony generałem Kressem von Kressensteinem. Kahr nie zamierzał

słuchać takich „dyktatów” z Berlina. Ogłosił, że Lossow pozostanie na stanowisku dowódcy sił Reichswehry w Bawarii i sprzeciwił się nie tylko Seecktowi, ale też konstytucji, zmusił bowiem oficerów oraz żołnierzy do złożenia specjalnej przysięgi na wierność bawarskiemu rządowi.

W Berlinie uznano to za polityczną i militarną rebelię, a generał von Seeckt postanowił stłumić obydwie[121]. Bawarskiemu triumwiratowi, Hitlerowi i związkom zbrojnym wydał jasno brzmiące ostrzeżenie, że wszelki bunt z ich strony zostanie zduszony siłą. Lecz nazistowski wódz nie mógł się już wycofać. Jego rozwścieczeni zwolennicy domagali się działania. Porucznik Wilhelm Brückner, jeden z dowódców SA, ponaglał go do niezwłocznego uderzenia. „Zbliża się dzień, w którym nie zdołam dłużej powstrzymywać swoich ludzi. Jeżeli teraz nic się nie wydarzy, uciekną od nas”, ostrzegał.

Hitler rozumiał również, że jeśli Stresemann zyska więcej czasu i zacznie skutecznie przywracać w Niemczech spokój, to on może raz na zawsze stracić swoją szansę. Zaapelował do Kahra i Lossowa, aby pomaszerować na Berlin, zanim Berlin pomaszeruje na Monachium. Narastały w nim podejrzenia, że triumwirat traci zapał albo planuje własny przewrót mający na celu oderwanie Bawarii od Niemiec, bez jego udziału. Hitler, fanatyk idei silnej, nacjonalistycznej, zjednoczonej Rzeszy, nie mógł się na to zgodzić.

Po ostrzeżeniu Seeckta Kahr, Lossow i Seisser rzeczywiście zaczęli tracić zapał do buntu. Nie mieli ochoty wykonywać żadnych jałowych gestów, które sprowadziłyby na nich klęskę. 6 listopada poinformowali Kampfbund, a Hitler był jego wiodącym politykiem, że nie zamierzają podejmować pochopnych działań i że sami zdecydują, kiedy i co należy zrobić. Dla Hitlera był to czytelny sygnał, że sam musi przejąć inicjatywę. Nie posiadał wsparcia, aby samotnie przeprowadzić pucz. Musiałby mieć za sobą władze Bawarii oraz krajową armię i policję – przecież taką lekcję wyniósł ze swoich żebraczych dni w Wiedniu. Musiał zmusić Kahra, Lossowa i Seissera do współdziałania, zamknąć im wszelkie drogi odwrotu. Sytuacja wymagała odwagi, a może wręcz zuchwałości, i Hitler udowodnił, że posiada tę cechę. Postanowił porwać triumwirów i zmusić ich do zastosowania ich władzy zgodnie z jego zamierzeniami.

Jako pierwsi pomysł ten podsunęli Hitlerowi dwaj uchodźcy z Rosji, Rosenberg i Scheubner-Richter. Ten drugi, który „uszlachetnił” się nazwiskiem małżonki i kazał tytułować się per Max Erwin von Scheubner-

Richter, był podejrzanym osobnikiem, który podobnie jak Rosenberg, większość życia spędził w nadbałtyckich prowincjach Rosji, a po wojnie wraz z innymi uchodźcami zbiegł ze Związku Radzieckiego do Monachium, gdzie wstąpił do Partii Nazistowskiej i został zaufanym Hitlera.

4 listopada, niemiecki Dzień Pamięci (*Totengedenktag*), miał zostać uświetniony defiladą wojskową w centrum Monachium, a w prasie ogłoszono, że z trybuny przy wąskiej ulicy odchodzącej do Portyku Marszałków salut żołnierzy odbierze nie tylko popularny kronprinz Rupprecht, ale też Kahr, Lossow i Seisser. Scheubner-Richter i Rosenberg zasugerowali Hitlerowi, że na tę uliczkę przed pojawieniem się defilujących oddziałów należy przewieźć ciężarówkami kilkuset szturmowców i zablokować ją karabinami maszynowymi. Wtedy Hitler wskoczy na trybunę, ogłosi wybuch rewolucji i z pistoletem w dłoni zmusi notabli, aby do niego dołączyli i pomogli mu nią kierować. Plan znalazł uznanie Hitlera, który entuzjastycznie go poparł. Gdy jednak w wyznaczonym dniu Rosenberg przybył na miejsce przyszłych wydarzeń w celu przeprowadzenia rekonesansu, odkrył z konsternacją, że cała uliczka jest dokładnie chroniona przez solidnie uzbrojony oddział policji. Ze spisku, a raczej „rewolucji”, trzeba było zrezygnować.

A w zasadzie należało ją odłożyć w czasie. Obmyślono drugi plan, którego nie mogła pokrzyżować strategicznie rozmieszczona grupa policjantów. Nocą z 10 na 11 listopada SA oraz inne zbrojne bandy Kampfbundu miały zgromadzić się na wrzosowisku Fröttmaninger na północ od miasta i rano, w rocznicę znienawidzonego, haniebnego zawieszenia broni, pomaszerować na Monachium, opanować strategiczne punkty, ogłosić rewolucję narodową i postawić niezdecydowanych Kahra, Lossowa i Seissera przed faktem dokonanym.

W tym momencie pewne niepozorne obwieszczenie skłoniło Hitlera do ponownej zmiany planu. W prasie ukazała się krótka notka, że na zaproszenie organizacji przedsiębiorców monachijskich w Bürgenbräukeller, wielkiej piwiarni na południowo-wschodnich obrzeżach miasta, Kahr będzie wygłaszał przemówienie. Datę wystąpienia wyznaczono na wieczór 8 listopada. Notka głosiła, że tematem mowy komisarza będzie program bawarskiego rządu. Obecni mieli być także generał von Lossow, Seisser i inni notable.

Do podjęcia raptownej decyzji skłoniły Hitlera dwa względy. Po pierwsze podejrzewał, że Kahr może wykorzystać przemówienie i ogłosić niepodległość Bawarii oraz restaurację Wittelsbachów. Hitler przez cały dzień 8 listopada bezskutecznie próbował porozmawiać z komisarzem, ale ten kazał mu stawić się nazajutrz. Wzmogło to podejrzenia nazistowskiego przywódcy. Musiał ubiec Kahra. Ponadto, i to drugi wzgląd, spotkanie w Bürgerbräukeller oferowało szansę, które wymknęła się 4 listopada: okazję do zmuszenia wszystkich członków triumwiratu, aby przyłączyli się do nazistowskiej rewolty. Hitler postanowił działać bez chwili zwłoki. Odwołano przewidzianą na 10 listopada mobilizację. Szturmowców w trybie awaryjnym wezwano do stawienia się w wielkiej piwiarni.

PUCZ PIWIARNIANY

8 listopada 1923 r. mniej więcej kwadrans przed dziewiątą wieczór, po półgodzinnym wystąpieniu Kahra przed około 3000 mieszczan, którzy siedzieli przy bezładnie rozstawionych stolikach i wielkimi łykami popijali piwo z typowo bawarskich kamionkowych kufli, Bürgerbräukeller została otoczona przez szturmowców, a do sali wkroczył Adolf Hitler. Gdy jego ludzie ustawiali w wejściu karabin maszynowy, Hitler wskoczył na stół i dla przyciągnięcia uwagi wypalił z pistoletu w powałę. Kahr przerwał swoją mowę. Publika zaczęła rozglądać się nerwowo, aby sprawdzić co jest źródłem zamieszania. Hitler, przy pomocy Hessa oraz Ulricha Grafa, rzeźnika, zapaśnika-amatora, hałaburdy, a obecnie ochroniarza wodza, przedostał się na mównicę. Pewien major policji próbował zagrodzić mu drogę, ale Hitler wziął go na muszkę i przepchnął się dalej. Według jednego z naocznych świadków Kahr „pobladł i zgłupiał”. Odstąpił od pulpitu, a Hitler zajął jego miejsce.

„Rozpoczęła się Narodowa Rewolucja! – krzyknął Hitler. – Budynek okupuje sześciuset ciężko uzbrojonych ludzi. Nikt nie wyjdzie. Jeżeli natychmiast nie zapadnie cisza, każę umieścić na galerii karabin maszynowy. Rządy Bawarii oraz Rzeszy zostały usunięte, sformowano rząd tymczasowy. Koszary Reichswehry i policji zostały zajęte. Armia i policja maszerują na miasto pod sztandarem ze swastyką”.

Ostatnie zdania były kłamstwem, najzwyklejszym blefem. Ale w powstałym zamieszaniu nikt nie mógł o tym wiedzieć. Hitler trzymał

prawdziwy rewolwer, z którego przed chwilą wystrzelił. Karabin maszynowy i karabiny szturmowców także były prawdziwe. Hitler nakazał Kahrowi, Lossowowi i Seisserowi udać się ze sobą do prywatnej salki za podestem. Trzej najważniejsi oficjele w Bawarii, popędzani przez szturmowców, spełnili jego żądanie na oczach zdumionego tłumu.

Szokowi towarzyszyło oburzenie. Wielu przedsiębiorców nadal uważało Hitlera za parweniusza. Jeden z nich krzyknął na policjantów: „Nie tchórzcie jak w 1918! Strzelać!”. Ale policja, widząc, jak potulny jest jej szef i że szturmowcy opanowali salę, nie posłuchała. Hitler wysłał wcześniej do jej siedziby nazistowskiego szpiega, Wilhelma Fricka, który zadzwonił do funkcjonariusza strzegącego porządku w piwiarni i polecił mu nie wtrącać się w wydarzenia, a jedynie raportować o ich przebiegu. Tłum począł szemrać tak gniewnie, że Göring uznał, że musi wkroczyć na mównicę i go uciszyć: „Nie ma się czego bać. Mamy całkowicie przyjacielskie zamiary. A zresztą, co narzekacie, pijcie piwo!”. I poinformował zgromadzonych, że w pokoiku obok właśnie formowany jest nowy rząd.

I rzeczywiście, był formowany, tyle że pod lufą pistoletu Hitlera. Gdy zapędził jeńców do sąsiedniego pokoju, obwieścił im: „Nikt nie wyjdzie stąd żywy bez mojej zgody”. Następnie usłyszeli, że otrzymają kluczowe stanowiska we władzach Bawarii albo w rządzie Rzeszy, który buduje z Ludendorffem. Z Ludendorffem? Kilka godzin wcześniej Hitler wysłał do Ludwigshöhe Scheubnera-Richtera, aby natychmiast sprowadził do piwiarni słynnego generała, który nie miał zielonego pojęcia o nazistowskim spisku.

Początkowo trzech jeńców w ogóle nie chciało dyskutować z Hitlerem, a ten ciskał na nich gromy. Żądał, aby wspólnie z nim ogłosili początek rewolucji i powstanie nowych rządów, a także objęli wyznaczone im przez Hitlera stanowiska, bo w przeciwnym razie „nie będą mieli prawa istnieć”. Kahr miał zostać regentem Bawarii, Lossow ministrem armii narodowej, a Seisser ministrem policji Rzeszy. Żaden z nich nie palił się do takich zaszczytów. Nie udzielili mu odpowiedzi.

Ich milczenie wyprowadziło Hitlera z równowagi. W końcu zagroził im bronią. „Mam w magazynku cztery naboje! Trzy dla moich współpracowników, jeśli mnie porzucą. Czwartą dla siebie!”. Przykładając sobie lufę do skroni, krzyknął: „Jeżeli do jutrzejszego popołudnia nie zwyciężę, będę martwy!”.

Kahr nie był szczególnie bystry, ale za to był odważny. „Panie Hitler, może pan zastrzelić mnie albo siebie. Moja śmierć nie ma znaczenia”, odparł.

Seisser także przemówił. Zrugał Hitlera za złamanie danego słowa, że nie zorganizuje puczu wymierzonego przeciwko policji. „Owszem, uczyniłem to – odpowiedział Hitler. – Proszę mi wybaczyć, ale musiałem, dla dobra Ojczyzny”.

Generał von Lossow zachował pełną pogardy ciszę, a gdy Kahr zaczął coś do niego szeptać, Hitler wrzasnął: „Stop! Żadnych rozmów bez mojej zgody!”.

Słowami nic nie osiągnął. Żaden z trzech mężczyzn, którzy trzymali wodze władzy w Bawarii, nie zgodził się do niego przystać, nawet pod groźbą kuli w głowę. Pucz nie przebiegał zgodnie z planem. Hitler posłuchał więc nagłego impulsu. Bez dalszych zbędnych słów wrócił na salę, wskoczył na mównicę, stanął przed posępnym tłumem i obwieścił, że siedzący w pokoju obok triumwirowie połączyli z nim siły i wspólnie stworzyli nowy rząd.

Krzyczał: „Ministerstwo ds. Bawarii zostaje usunięte (…). Ogłasza się, że rząd listopadowych zbrodniarzy i prezydent Rzeszy zostają usunięci. Nowy rząd narodowy zostanie mianowany jeszcze dziś w Monachium. Niemiecka armia narodowa zostanie sformowana natychmiast (…). Proponuję, abym to ja objął kierownictwo nad polityką rządu narodowego, do czasu wyrównaniu rachunków z listopadowymi zbrodniarzami. Ludendorff obejmie dowództwo niemieckiej armii narodowej (…). Zadaniem tymczasowego niemieckiego rządu narodowego jest zorganizowanie marszu na tę grzeszną Wieżę Babel, Berlin, i ocalenie narodu niemieckiego (…). Jutro w Niemczech zapanuje rząd narodowy albo zginiemy!”.

Hitler nie po raz pierwszy i nie ostatni po mistrzowsku posłużył się kłamstwem. Gdy zgromadzeni usłyszeli, że Kahr, Lossow i Seisser dołączyli do przywódcy nazistów, ich nastrój uległ gwałtownej zmianie. Pojawiły się głośne wiwaty, a ich dźwięk zrobił wrażenie na trzech mężczyznach, wciąż zamkniętych w sąsiednim pomieszczeniu.

W tym momencie, niczym królika z kapelusza, Scheubner-Richter wprowadził generała von Ludendorffa. Bohater wojenny był wściekły, że Hitler zgotował mu taką niespodziankę, a gdy udał się do pokoju z boku sali i usłyszał, że to były kapral, a nie on, ma zostać dyktatorem nowych

Niemiec, jego uraza jeszcze się pogłębiła. Prawie nie odezwał się do bezczelnego młodzieniaszka. Ale Hitlerowi to nie przeszkadzało, przynajmniej dopóki generał będzie firmował swoim słynnym nazwiskiem to rozpaczliwe przedsięwzięcie i zjedna trzech krnąbrnych przywódców Bawarii, na których jego własne krzyki i groźby nie robiły żadnego wrażenia. Ludendorff zabrał się do pracy. Powiedział, że to kwestia wielkiej sprawy narodowej i poradził trzem dżentelmenom, że lepiej będzie współpracować. Trio, pod głębokim wrażeniem obecności sławetnego generała, zdawało się ustępować, choć Lossow później zaprzeczy, że zgodził się podporządkować rozkazom Ludendorffa. Kahr przez kilka minut rozwodził się nad restauracją jakże mu drogiej monarchii Wittelsbachów, ale w końcu też się podporządkował, jako „zastępca króla".

Pojawienie się Ludendorffa ocaliło Hitlera w ostatniej chwili. Zachwycony tym fartownym obrotem spraw, poprowadził pozostałych na mównicę, z której każdy wygłosił krótkie przemówienie oraz przysiągł lojalność kolegom i nowemu reżimowi. Porwany entuzjazmem tłum zaczął wskakiwać na krzesła i stoliki. Hitler aż promieniał z radości. „Miał na twarzy dziecięcy wyraz szczerego szczęścia, którego nigdy nie zapomnę", napisał później pewien znakomity historyk, obecny tego dnia w monachijskiej piwiarni[122].

Hitler wrócił za pulpit i po raz ostatni zwrócił się do zgromadzonych:

> Pragnę wypełnić przysięgę, którą złożyłem sobie pięć lat temu, gdy byłem ślepym kaleką i leżałem w szpitalu wojskowym: nie zaznam wytchnienia ani spokoju, dopóki listopadowi zbrodniarze nie zostaną obaleni, dopóki na ruinach dzisiejszych żałosnych Niemiec ponownie nie wzrosną Niemcy wielkie i potężne, wolne i wspaniałe.

Zebrani zaczęli się rozchodzić. Przy wyjściach wspomagany przez szturmowców Hess zatrzymał kilku członków bawarskiego gabinetu i innych oficjeli, próbujących wymknąć się wśród tłumu. Hitler miał na oku Kahra, Lossowa i Seissera. Napłynęły wieści o starciach pomiędzy szturmowcami jednego ze związków bojowych, Bund Oberland, a regularnymi oddziałami przy koszarach saperów armii. Hitler postanowił pojechać na miejsce wydarzeń i zażegnać spór osobiście, a piwiarnię zostawił pod okiem Ludendorffa.

Okazało się, że był to fatalny w skutkach błąd. Jako pierwszy umknął Lossow. Powiedział Ludendorffowi, że musi czym prędzej pędzić do swojego gabinetu w kwaterze armii, żeby wydać stosowne rozkazy. Gdy

Scheubner-Richter się sprzeciwił, Ludendorff zganił go surowo: „Zabraniam panu wątpić w słowo niemieckiego oficera”. Kahr i Seisser też gdzieś zniknęli.

Podochocony Hitler wrócił do Bürgerbräukeller i przekonał się, że jego ptaszki wyfrunęły z klatki. Był to pierwszy cios, jaki otrzymał tego wieczoru, cios, który go ogłuszył. Ufnie wierzył, że gdy wróci, jego „ministrowie” będą w pocie czoła wypełniali nowe obowiązki, a Ludendorff i Lossow opracowywali plan marszu na Berlin. Tymczasem nie zrobiono w zasadzie nic. Siły rewolucyjne nie zajęły nawet Monachium. Röhm, stojący na czele szturmowców z innego związku, Reichskriegflagge, opanował koszary armii w Ministerstwie Wojny przy Schönfeldstrasse, ale żaden inny strategicznie ważny punkt nie został zabezpieczony, nawet biuro telegraficzne, z którego wieści o przewrocie dotarły do Berlina, i do którego generał von Seeckt nadesłał oddziałom armii z Bawarii rozkaz, aby go stłumiły.

Choć pojawiły się przypadki dezercji wśród młodszych oficerów i szeregowców sympatyzujących z Hitlerem oraz Röhmem, starsi oficerowie, kierowani przez dowódcę monachijskiego garnizonu generała von Dannera, nie tylko zamierzali wypełnić rozkaz Seeckta, ale też byli głęboko zniesmaczeni sposobem potraktowania Lossowa. Według wojskowego kodeksu cywil, który ośmielił się wycelować pistolet w generała, zasługiwał na oficerską kulę. Lossow dołączył do Dannera w koszarach 19. Dywizji, skąd do pobliskich garnizonów nadano rozkaz, aby pośpieszyły wzmocnić siły w Monachium. Do świtu regularne oddziały otoczyły ludzi Röhma w Ministerstwie Wojny ścisłym kordonem.

Hitler i Ludendorff wcześniej na pewien czas dołączyli do Röhma w ministerstwie, aby rozeznać się w sytuacji. Röhm był wstrząśnięty, że nikt poza nim nie podjął akcji zbrojnej, a kluczowe punkty miasta nie zostały opanowane. Hitler rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt z Lossowem, Kahrem i Seisserem. Do koszar 19. Dywizji w imieniu Ludendorffa pobiegli gońcy, ale żaden nie wrócił. Pöhner, dawniej szef monachijskiej policji, a obecnie stronnik Hitlera, został wysłany do burmistrza Hühnleina, a grupa członków SA otrzymała zadanie opanowania kwatery policji. Na miejscu jednak zostali natychmiast aresztowani.

A co z Gustavem von Kahrem, szefem bawarskich władz? Po wyjściu z Bürgerbräukeller szybko odzyskał rozum i odwagę. Nie chcąc ryzykować

ponownego uwięzienia przez Hitlera i jego oprychów, przeniósł gabinet do Regensburga. Lecz zanim to uczynił, nakazał rozwiesić w całym Monachium afisze z następującym ogłoszeniem:

> Podstęp i perfidia ambitnych towarzyszy przekształciły demonstrację w interesie narodowego przebudzenia w spektakl odrażającej przemocy. Deklaracje wymuszone na mnie, generale von Lossowie i pułkowniku Seisserze pod groźbą broni są puste i pozbawione znaczenia. Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników oraz związki bojowe Oberland i Reichskriegsflagge zostają rozwiązane.
>
> VON KAHR
> Generalny komisarz krajowy

Triumf, który jeszcze kilka godzin wcześniej zdawał się Hitlerowi tak bliski i łatwy, rozpływał się pośród nocy. Fundament udanej rewolucji politycznej, o którym zawsze z naciskiem przypominał – czyli wsparcie silnych instytucji, takich jak armia, policja, rządzący – kruszył się w posadach. Stało się jasne, że nawet czarodziejskie nazwisko Ludendorffa nie zjednało puczowi wojsk stacjonujących w Bawarii. Hitler zasugerował, że może sytuację udałoby się ocalić, gdyby wraz z generałem wycofał się na wieś, w rejon Rossheim; do jego zbrojnych band dołączyłoby chłopstwo, które mogłoby ruszyć z nimi na Monachium. Ludendorff z miejsca odrzucił ten pomysł.

A może istniało inne wyjście, które mogło pomóc uniknąć totalnej katastrofy? Kronprinz Rupprecht, zaciekły wróg Ludendorffa, na pierwszą wieść o puczu wydał krótkie oświadczenie, w którym domagał się jego bezzwłocznego stłumienia. Teraz Hitler postanowił zaapelować do niego, aby wstawił się u Lossowa i Kahra oraz nakłonił ich do wspólnego wypracowania jakiegoś honorowego, pokojowego układu. O świcie porucznik Neunzert, przyjaciel Hitlera i Rupprechta, ruszył z delikatną misją do zamku Wittelsbachów nieopodal Berchtesgaden. Jednak nie był w stanie znaleźć samochodu i musiał zaczekać na pociąg, więc na miejsce dotarł dopiero w południe, a do tego czasu wydarzenia przybrały obrót, którego Hitler nie mógł się spodziewać, a Ludendorff nie przewidział w najczarniejszych snach.

Hitler planował pucz, nie wojnę domową. Pomimo gorączkowego podniecenia zachował tyle trzeźwości umysłu, aby zrozumieć, że nie dysponuje dostateczną siłą do przezwyciężenia policji i wojska. Pragnął przeprowadzić rewolucję *wraz* z siłami zbrojnymi, a nie *przeciwko* nim.

Choć w swych ostatnich przemowach oraz w godzinach, w których więził bawarskich triumwirów, łaknął krwi, nie był skłonny doprowadzić do „bratobójczych” walk wrogów republiki.

Tak samo Ludendorff. Jak przyznał małżonce, chętnie powiesiłby prezydenta Eberta „i spółkę”, a potem z radością obserwował, jak dyndają na szubienicach. Ale nie chciał zabijać policjantów i żołnierzy, którzy, przynajmniej w Monachium, wierzyli w tę samą narodową kontrrewolucję co on.

Młody nazistowski wódz zaczął się wahać, a Ludendorff zaproponował mu plan, który mógł przynieść zwycięstwo, ale bez rozlewu krwi. Był pewien, że niemieccy żołnierze, a nawet niemieccy policjanci (w większości byli żołnierze), nie ośmielą się strzelać do legendarnego generała, który prowadził ich do zwycięstw zarówno na froncie zachodnim, jak i wschodnim. Zamierzał więc pomaszerować z Hitlerem oraz zwolennikami kontrrewolucji do centrum miasta i je opanować. Był przekonany, że armia i policja nie tylko nie zdobędą się na stawienie mu oporu, ale przystąpią do niego i będą walczyć pod jego komendą. Hitler, choć sceptyczny, przystał na to rozwiązanie. Wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia. Tym bardziej że kronprinz nie odpowiedział na propozycję mediacji.

9 listopada przed jedenastą rano, w rocznicę proklamacji republiki, Hitler i Ludendorff wyprowadzili z ogrodów Bürgerbräukeller kolumnę złożoną z około 3000 szturmowców i ruszyli do centrum Monachium. Obok nich w pierwszym rzędzie maszerowali dowódca SA Hermann Göring, Scheubner-Richter, Rosenberg, ochroniarz Hitlera Ulrich Graf, kilku innych nazistowskich funkcjonariuszy i przywódcy Kampfbundu. Nad czołem kolumny trzepotała flaga ze swastyką i sztandar Bund Oberland. Niedaleko za pierwszymi szeregami telepała się ciężarówka wyładowana karabinami maszynowymi i strzelcami. Szturmowcy nieśli przerzucone przez ramię karabiny, niektórzy nasadzili na lufy bagnety. Hitler wymachiwał pistoletem. Nie była to szczególnie imponująca siła, niemniej Ludendorff, który przecież dowodził milionami najlepszych niemieckich żołnierzy, najwidoczniej uznał, że to wystarczy.

Kilkaset metrów na północ od piwiarni buntownicy napotkali pierwszą przeszkodę. Na moście Ludwika, który rozpościera się nad Izarą i prowadzi do centrum, drogę tarasował im oddział uzbrojonej policji. Göring wyszedł

naprzód i zwracając się do dowódcy policjantów, zagroził, że jeśli jego ludzie otworzą ogień, to rozstrzela zakładników prowadzonych z tyłu kolumny. W nocy Hess i inni faktycznie wzięli kilku zakładników, w tym dwóch członków gabinetu – ot, na wszelki wypadek. Niezależnie od tego, czy Göring blefował, dowódca policji uznał, że mówi on poważnie, i nie przeszkadzał kolumnie w przejściu przez most.

Na Marienplatz nazistowski pochód trafił na liczny tłum słuchający przemówienia Juliusa Streichera, zaciekłego wroga Żydów z Norymbergi, który przygnał do Monachium na pierwszą wieść o puczu. Nie chcąc, aby rewolucja go ominęła, przerwał mowę, dołączył do rebeliantów i stanął tuż za Hitlerem.

Niedługo po południu kolumna zbliżyła się do celu, budynku Ministerstwa Wojny, w którym Reichswehra oblegała Röhma i jego szturmowców. Ani oblężeni, ani oblegający nie oddali jeszcze wystrzału. Zarówno Röhm, jak i jego ludzie byli dawnymi żołnierzami, a po drugiej stronie znajdowało się wielu ich towarzyszy broni z czasu wojny. Żadna ze stron nie miała ochoty zabijać.

Hitler i Ludendorff zamierzali dotrzeć do gmachu ministerstwa i oswobodzić Röhma, więc poprowadzili kolumnę przez wąską Residenzstrasse, która tuż za Portykiem Marszałków przechodzi w rozległy Odeonsplatz. Lecz u wyjścia przypominającej wąwóz ulicy drogę blokował liczący około 100 ludzi oddział policji, uzbrojony w karabiny. Policja zajęła strategiczny punkt i tym razem nie zamierzała nikogo przepuszczać.

Naziści ponownie próbowali utorować sobie drogę słowem. Jeden z nich, wierny ochroniarz Ulrich Graf, wystąpił naprzód i krzyknął do dowodzącego oficera: „Nie strzelać! Nadchodzi jego ekscelencja Ludendorff!”. Nawet w tak ważnej, niebezpiecznej chwili niemiecki rewolucjonista, stary zapaśnik-amator i zawodowy wykidajło, nie zapomniał obdarzyć dżentelmena stosownym tytułem. Swoje trzy grosze dorzucił Hitler. „Poddajcie się! Poddajcie się!”, zawołał. Ale nieznany im oficer nie posłuchał. Najwidoczniej dla niego nazwisko Ludendorffa nie miało magicznej mocy; kolumna trafiła na policję, a nie wojsko.

Nigdy nie ustalono, kto strzelił pierwszy. Obie strony obwiniały się o to nawzajem. Jeden z naocznych świadków zeznał później, że to Hitler jako pierwszy wystrzelił ze swego pistoletu. Inny zapewniał, że był to Streicher, a wielu nazistów opowiadało potem autorowi, że to właśnie dzięki temu czynowi na tak długo zaskarbił sobie względy Führera[123].

Tak czy siak padł strzał, a sekundę później obie strony oddały do siebie salwy, które rozbiły w proch wszelkie nadzieje Hitlera. Scheubner-Richter upadł ugodzony śmiertelnie. Göring zwalił się na ziemię poważnie ranny w udo. Strzelanina ucichła po około minucie, ale ulica została już zasłana ciałami. Szesnastu nazistów i trzech policjantów zginęło lub konało, wielu innych odniosło rany, a pozostali, w tym Hitler, przylegali do ziemi, aby ocalić życie.

Był tylko jeden wyjątek i gdyby inni poszli za jego przykładem, ten dzień być może skończyłby się inaczej. Ludendorff nie padł na ulicę. Zgodnie z najlepszą żołnierską tradycją stał prosto i dumnie, po czym ze swym adiutantem majorem Streckiem u boku przeszedł spokojnie pomiędzy lufami policjantów na Odeonplatz. Musiał wydawać się samotną i dziwną postacią. Nie ruszył za nim ani jeden nazista. Nawet ich wódz, Adolf Hitler.

Przyszły kanclerz III Rzeszy jako jeden z pierwszych pierzchnął. Kiedy kolumna zbliżała się do policyjnego kordonu, splótł swoje lewe ramię z prawym ramieniem Scheubnera-Richtera (to zastanawiający, ale może i wymowny gest), a gdy ten runął trafiony kulą, Hitler położył się na ulicy obok niego. Być może myślał, że jest ranny; poczuł ostre ukłucie bólu, którego powodem, jak później ustalono, było przemieszczenie barku. Pozostaje jednak faktem, że według świadectwa jednego z nazistów, doktora Walthera Schulza, którego słowa potwierdziło kilku innych świadków, Hitler „był wśród pierwszych, którzy wstali i pokazali plecy”, zostawiając zabitych i rannych towarzyszy na ulicy. Wepchnięto go do oczekującego automobilu i czym prędzej odjechał do wiejskiego domu Hanfstaenglów w Uffing, gdzie zaopiekowały się nim żona oraz siostra Putziego; tam też dwa dni później został aresztowany.

Ludendorff został aresztowany na miejscu. Pogardzał rebeliantami, którzy nie poszli za nim, i był tak rozgoryczony na armię, że nie stanęła u jego boku, że oświadczył, iż traci szacunek do niemieckiego oficera i już nigdy nie przywdzieje munduru. Rannemu Göringowi pierwszej pomocy udzielił żydowski właściciel pobliskiego banku, który zaciągnął go do siedziby swojego przedsiębiorstwa. Potem Göring został przeszmuglowany przez żonę do Austrii i zawieziony do szpitala w Innsbrucku. Hess także zbiegł za południową granicę. Röhm skapitulował dwie godziny po wydarzeniach pod Portykiem Marszałków. W ciągu kilku dni wszyscy przywódcy buntowników, z wyjątkiem Göringa i Hessa, zostali wyłapani i uwięzieni. Nazistowski pucz zakończył się fiaskiem. Partia została

rozwiązana. Wyglądało na to, że narodowy socjalizm skonał. Jego dyktator, który uciekł po pierwszej salwie, zdawał się do cna zdyskredytowany, a jego błyskawiczna kariera skończona.

PROCES O ZDRADĘ

Jak się jednak okazało, jego kariera została tylko przerwana, i to nie na długo. Hitler był na tyle przebiegły, aby wiedzieć, że proces nie tylko jej nie zakończy, ale i zapewni mu trybunę, z której będzie mógł zaatakować władze i – co ważniejsze – po raz pierwszy da się poznać daleko poza Bawarią, a nawet poza Niemcami. Miał pełną świadomość, że korespondenci prasowi z całego świata i z najważniejszych gazet niemieckich napływają tłumnie do Monachium, by relacjonować proces przed sądem nadzwyczajnym, który zebrał się w starej Szkole Piechoty przy Blutenburgstrasse. Postępowanie ruszyło 26 lutego 1924 r. Zanim 24 dni później dobiegło końca, Hitler przekuł klęskę w triumf, w oczach opinii publicznej uczynił Kahra, Lossowa i Seissera współwinnymi, co zrujnowało ich kariery, zaimponował narodowi niemieckiemu swoją elokwencją i nacjonalistycznym zapałem, oraz sprawił, że jego nazwisko pojawiło się na pierwszych stronach gazet na całym świecie.

Choć Ludendorff był zdecydowanie najsłynniejszym więźniem, który zasiadł na ławie oskarżonych, to Hitler natychmiast zagarnął większość uwagi. Panował na sali rozpraw od pierwszego do ostatniego dnia procesu. Franz Gürtner, bawarski minister sprawiedliwości, stary przyjaciel i protektor nazistowskiego wodza, dopilnował, żeby sędziowie byli wyrozumiali i łagodni. Hitler mógł przerywać innym, gdy tylko miał ochotę, dowolnie przesłuchiwać świadków i przemawiać kiedy i jak długo chciał; jego mowa wstępna zajęła cztery godziny, a było to tylko pierwsze z wielu kazań.

Nie zamierzał powtarzać błędu oskarżonych o współudział w puczu Kappa, którzy, jak sam później napisał, twierdzili, że „o niczym nie wiedzieli, nie chcieli zrobić nic złego i nie mieli żadnych złych zamiarów. Właśnie to zniszczyło burżuazyjny świat – to że nie mieli odwagi bronić swych czynów (…), stanąć przed sędzią i przyznać: »Tak, tego *chcieliśmy*; chcieliśmy zniszczyć Państwo«”.

On przed sędziami i wysłannikami światowej prasy oświadczył dumnie: „Tylko ja jestem odpowiedzialny. Ale na pewno nie czyni mnie to przestępcą. Jeżeli stoję tu dziś jako rewolucjonista, to jestem rewolucjonistą zwalczającym rewolucję. Nie istnieje takie pojęcie jak zdrada stanu względem zdrajców roku 1918”.

A jeżeli tak, to trzej mężczyźni, którzy stali na czele bawarskiego rządu, armii i policji, i spiskowali z nim przeciwko rządowi centralnemu, byli równie winni i także powinni zasiąść na ławie dla oskarżonych, a nie na miejscach dla świadków, jako jego główni oskarżyciele. Hitler sprytnie zamienił się rolami z niepewnymi, targanymi poczuciem winy triumwirami:

> Jedno było pewne, Lossow, Kahr i Seisser mieli ten sam cel co my – pozbyć się rządu Rzeszy (…). Jeżeli nasze przedsięwzięcie było zdradą stanu, to Lossow, Kahr i Seisser przez cały czas dopuszczali się zdrady stanu razem z nami, bowiem przez wszystkie te tygodnie rozmawialiśmy tylko o zamiarach, o które jesteśmy właśnie oskarżani.

Triumwirowie nie mogli się tego wyprzeć, bo tak wyglądała prawda. Kahr i Seisser nie mieli szans w walce na słowa z Hitlerem. Zaciekle bronił się tylko generał von Lossow. „Nie byłem jakimś bezrobotnym komitadżi[124] – przypomniał sądowi. – Zajmowałem wysokie stanowisko krajowe”. Generał wylał całe wiadro pogardy starego oficera armii na byłego kaprala, bezrobotnego parweniusza, który z powodu obezwładniającej ambicji próbował narzucić swoją wolę armii i krajowi. Jak daleko zawędrował ten pozbawiony skrupułów demagog, krzyczał generał, od wcale nieodległych czasów, gdy chętnie przyjął funkcję zwykłego „dobosza” ruchu patriotycznego!

Ledwie dobosza? Hitler wiedział, jak na to odpowiedzieć:

> Jakże małostkowe są myśli małych ludzi! Wcale nie uważam ministerialnej teki za rzecz godną walki, wierzcie mi. Uważam, że wielkiemu człowiekowi nie przystoi zabiegać o to, aby zapisać się w historii jako minister. Groziłoby mu pogrzebanie obok wszystkich innych ministrów. Mój cel od samego początku był po tysiąckroć większy. Chciałem zostać niszczycielem marksizmu. Zamierzam wypełnić to zadanie, a jeśli mi się uda, tytuł ministra będzie dla mnie nonsensem.

Przywołał przykład Wagnera.

> Kiedy po raz pierwszy stanąłem nad grobem Richarda Wagnera, moje serce wypełniła duma z człowieka, który zabronił umieszczać [na nagrobku – przyp. tłum.] inskrypcji typu: „Tu spoczywa członek rady, dyrygent, jego ekscelencja baron

Richard Wagner”. Byłem dumny, że ten człowiek, jak wielu innych w dziejach Niemiec, zadowolił się ofiarowaniem historii swego nazwiska, bez tytułów. W owych dniach to nie przez skromność chciałem być doboszem. Była to moja najwyższa ambicja – reszta jest niczym.

Został oskarżony o to, że pragnął wybić się z dobosza na dyktatora. Nie wypierał się tego. Takie było jego przeznaczenie.

Człowiek urodzony, aby zostać dyktatorem, nie jest do tego zmuszany. Sam tego pragnie. Nie jest wiedziony naprzód, ale sam prowadzi. Nie ma w tym za grosz nieskromności. Czy nieskromny jest robotnik, dążący do ciężkiej pracy? Czy jest coś aroganckiego w myślicielu, który zastanawia się całymi nocami, aż nie ofiaruje ludzkości wynalazku? Człowiek, który czuje się powołany do rządzenia ludźmi, nie może powiedzieć: „Jeżeli mnie chcecie albo mnie zawezwiecie, to się dostosuję”. Nie! Wystąpienie przed szereg to jego obowiązek.

Choć siedział na ławie oskarżonych i groziło mu wieloletnie więzienie za zdradę własnego państwa, jego wiara w siebie i w powołanie do rządzenia innymi ani trochę nie osłabła. Czekając na proces w areszcie, zdążył przeanalizować przyczyny klęski puczu i przysiągł, że nie popełni tych samych błędów w przyszłości. Wspominając swoje przemyślenia 13 lat później, gdy już osiągnął cel, powiedział starym zwolennikom zebranym w Bürgerbräukeller, aby uczcić rocznicę puczu: „Mogę spokojnie przyznać, że była to najbardziej pochopna decyzja w moim życiu. Teraz na samo wspomnienie dostaję zawrotów głowy (…). Gdybyście dziś zobaczyli, jak obok przechodzi jedna z naszych drużyn z 1923 r., zapytalibyście: »Z jakiego zakładu uciekli?« (…). Ale los chciał dla nas dobrze. Nie pozwolił, aby powiodła się akcja, która, gdyby się udała, w rezultacie wewnętrznej niedojrzałości ruchu i niedostatecznych podwalin organizacyjnych oraz intelektualnych koniec końców niechybnie i tak zakończyłaby się klapą (…). Zrozumieliśmy, że nie wystarczy obalić stare państwo, ale że najpierw trzeba zbudować nowe, żeby czekało w gotowości (…). W 1933 r. obalenie państwa przemocą nie wchodziło już w grę; w międzyczasie nowe państwo się rozbudowywało i pozostało jedynie zniszczyć resztki starego – zajęło nam to zaledwie kilka godzin”.

Gdy spierał się sędziami i oskarżycielami na sali sądowej, już myślał o tym, jak zbudować nowe państwo nazistowskie. Z całą pewnością następnym razem będzie musiał mieć za sobą armię. W mowie końcowej wspomniał o idei pogodzenia się z siłami zbrojnymi. Nie powiedział o nich ani jednego złego słowa.

> Wierzę, że nadejdzie czas, gdy masy stojące dziś na ulicach pod naszym sztandarem ze swastyką zjednoczą się z tymi, którzy do nich strzelali (…). Kiedy się dowiedziałem, że strzelała zielona policja[125], ucieszyłem się, że to nie Reichswehra splamiła swoją historię; Reichswehra jest nieskazitelna, jak wcześniej. Pewnego dnia wybije godzina, w której stanie po naszej stronie, jej oficerowie i żołnierze.

Była to trafna prognoza, ale w tym momencie w słowo wszedł mu sędzia przewodniczący: „Panie Hitler, twierdzi pan, że zielona policja się skalała. Nie mogę na to pozwolić". Oskarżony nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę naganę. Mowę, której publiczność słuchała jak urzeczona, zakończył następująco:

> Stworzona przez nas armia rośnie z dnia na dzień (…). Żywię dumną nadzieję, że przyjdzie godzina, w której te twarde kompanie przeistoczą się w bataliony, bataliony w pułki, pułki w dywizje, że stara rozeta zostanie podniesiona z błota, stare sztandary znowu zatrzepoczą na wietrze, a na ostatnim wielkim sądzie bożym, na którym jesteśmy gotowi się stawić, nastanie zgoda.

Wbił swoje płonące spojrzenie prosto w sędziów.

> Bowiem to nie wy, panowie, wydacie na nas wyrok. Wyrok wydaje wieczny trybunał historii. Wasz wyrok już znam. Ale tamten sąd nie spyta nas: „Dopuściliście się zdrady stanu czy nie?". Tamten sąd osądzi nas, kwatermistrza generalnego starej armii [Ludendorffa], jego oficerów i żołnierzy jako Niemców, którzy pragnęli jedynie dobra swego narodu i Ojczyzny, pragnęli walczyć i polec. Możecie uznać nas winnymi tysiąc razy, ale bogini wiecznego trybunału historii tylko się uśmiechnie i podrze na strzępy pozew prokuratora krajowego i wyrok tego sądu. Ona nas uniewinni[126].

Jak napisał Konrad Heiden, opinie sędziów (choć nie do końca werdykty) wcale aż tak bardzo nie różniły się od oceny „historii". Ludendorff został uniewinniony. Hitler oraz inni oskarżeni zostali uznani za winnych. Prawo, a konkretnie artykuł 81 niemieckiego kodeksu karnego, mówiło: „Ktokolwiek spróbuje siłą zmienić konstytucję Rzeszy Niemieckiej lub któregokolwiek z krajów niemieckich, winien zostać ukarany dożywotnim więzieniem". Hitler został skazany na pięć lat w starej twierdzy Landsberg. Sędziowie ławnicy mimo to protestowali przeciwko surowości werdyktu, ale sędzia przewodniczący uspokoił ich, że po odsiedzeniu sześciu miesięcy więzień będzie mógł zostać zwolniony warunkowo. Podejmowane przez policję wysiłki zmierzające do deportowania Hitlera jako obcokrajowca – nadal miał bowiem obywatelstwo austriackie – spełzły na niczym. Kary

zostały zasądzone 1 kwietnia 1924 r. Niecałe dziewięć miesięcy później, 20 grudnia, Hitler został zwolniony z więzienia i mógł znowu swobodnie walczyć o obalenie demokratycznego państwa. O ile tylko byłeś człowiekiem skrajnej prawicy, to mimo litery prawa nie czekały cię zbyt surowe konsekwencje dopuszczenia się zdrady stanu, i wielu antyrepublikanów szybko to zauważyło.

Pucz, choć zakończył się fiaskiem, uczynił z Hitlera postać znaną w całym państwie, w oczach wielu Niemców stał się bohaterem i patriotą. Nazistowska propaganda szybko przekształciła bunt w jeden z mitów ruchu. Każdego roku, nawet po objęciu władzy, nawet po wybuchu II wojny światowej, 8 listopada wieczorem Hitler wracał do monachijskiej piwiarni, aby zwrócić się do towarzyszy Starej Gwardii – *alte Kämpfer*, jak ich nazywano – którzy podążyli za wodzem ku tej, jak się wtedy wydawało, groteskowej katastrofie. W 1935 r. Hitler, już jako kanclerz, nakazał ekshumować ciała 16 nazistów, którzy zginęli w krótkiej wymianie ognia, i złożyć je w grobowcach zamienionego w narodową świątynię Portyku Marszałków. Podczas towarzyszącej temu uroczystości powiedział o nich: „Teraz przeszli do niemieckiej nieśmiertelności. Oto stoją tu dla Niemiec i pilnują naszego narodu. Leżą tu jako prawdziwi świadkowie naszego ruchu”. Nie dodał, a inni chyba o tym zapomnieli, że zostawił tych konających ludzi na bruku, sam poderwał się i rzucił do ucieczki.

Latem 1924 r. w fortecy Landsberg, górującej nad rzeką Lech, Adolf Hitler, traktowany tam jak gość honorowy, urzędujący w prywatnym pokoju z pięknym widokiem, pożegnał się z gośćmi, którzy przybywali, aby oddać mu cześć i przywieźć prezenty. Wezwał wiernego Rudolfa Hessa, który w końcu wrócił do Monachium i też usłyszał wyrok, a następnie zaczął dyktować mu kolejne rozdziały swojej książki[127].

ROZDZIAŁ IV

UMYSŁ HITLERA I KORZENIE III RZESZY

Hitler chciał zatytułować swoją książkę *Cztery i pół roku walki z kłamstwami, głupotą i tchórzostwem*. Max Amann, twardo stąpający po ziemi szef nazistowskiej machiny wydawniczej, który miał ją opublikować, zaprotestował przeciwko tak niezgrabnemu i nierokującemu wysokiej sprzedaży tytułowi i skrócił go do *Moja walka* (*Mein Kampf*). Amann był gorzko rozczarowany treścią pracy. Początkowo liczył na pikantną autobiografię, w której Hitler opowie, jak to wybił się od nikomu nieznanego, wiedeńskiego „robotnika" do człowieka o światowej sławie. Ale jak widzieliśmy, w *Mein Kampf* nie ma wielu wątków autobiograficznych. Nazistowski wydawca miał też nadzieję na spojrzenie za kulisy puczu monachijskiego. Był pewien, że dramatyzm i kontrowersje towarzyszące tamtym wydarzeniom przełożą się na poczytną lekturę. Ale Hitler był zbyt cwany, aby w chwili, gdy partia znalazła się w tarapatach, rozdrapywać stare rany[128]. *Mein Kampf* prawie nie wspomina o nieudanym buncie.

Pierwszy tom został opublikowany jesienią 1925 r. Liczące około 400 stron dzieło wyceniono na 12 marek (3 dolary), czyli niemal dwukrotność przeciętnej ceny książek w ówczesnych Niemczech. W żadnym razie nie stało się natychmiastowym bestsellerem. Amman szczycił się, że w pierwszym roku sprzedał 23 tysiące egzemplarzy, a popyt wciąż rósł, ale w antynazistowskich kręgach jego przechwałki przyjmowano sceptycznie.

Obecnie, dzięki temu, że w 1945 r. Alianci zdobyli dokumenty dotyczące tantiem nazistowskiego wydawnictwa Eher Verlag, można ujawnić wyniki sprzedaży *Mein Kampf*. W 1925 r. sprzedano 9473 egzemplarze, a przez kolejne trzy lata sprzedaż sukcesywnie spadała: do 6913 w 1926 r., 5607 w 1927 r. i 3015 egzemplarzy w 1928 r., licząc oba tomy. W 1929 r. nieznacznie podskoczyła, do 7664 sztuk, a wyraźnie wzrosła dopiero wraz z notowaniami Partii Nazistowskiej. W 1930 r., kiedy ukazało się niedrogie wydanie jednotomowe za 8 marek, sprzedano aż 54 086 egzemplarzy. W

kolejnym roku popyt znów nieznacznie zmalał, do 50 808, a w 1932 r. sprzedaż wystrzeliła do poziomu 90 351 egzemplarzy.

Tantiemy Hitlera – od 1925 r. jego główne źródło dochodów – wyglądają pokaźnie, jeśli weźmiemy pod uwagę średnią z owych siedmiu lat. Lecz na tle tych z 1933 r., gdy został kanclerzem, są drobnostką. W jego pierwszym roku na urzędzie *Mein Kampf* sprzedała się w milionie egzemplarzy, a dochody Hitler z tytułu tantiem, które po 1 stycznia 1933 r. wzrosły z 10 do 15%, przekroczyły milion marek (około 300 tysięcy dolarów), czyniąc z niego najlepiej prosperującego pisarza w Niemczech oraz milionera[129]. Nie licząc Biblii, za rządów nazistów żadna książka nie sprzedawała się tak dobrze, a zdecydowana większość rodzin czuła się bezpieczniej, gdy na domowym stole leżał jej egzemplarz. Prezentowanie *Mein Kampf* pannie i panu młodemu na ślubie stało się niemal obowiązkowe – a na pewno rozsądne. Prawie każdy uczeń dostawał ją na zakończenie szkoły, i to na wszystkich etapach nauczania. Do 1940 r., czyli drugiego roku wojny, w Niemczech sprzedano 6 milionów egzemplarzy nazistowskiej biblii[130].

Nie każdy Niemiec, który zakupił *Mein Kampf*, koniecznie ją przeczytał. Nie raz słyszałem, jak lojalni naziści utyskiwali, że to trudna lektura, a niejeden przyznawał – prywatnie – że nie udało mu się dobrnąć do końca liczącej 782 strony cegły. Można natomiast argumentować, że gdyby przed 1933 r. przeczytało ją więcej nienazistów i gdyby dokładnie zagłębili się w nią zagraniczni politycy, to może zarówno Niemcy, jak i świat udałoby się ocalić od katastrofy. Bo choć Adolfa Hitlera można oskarżać o wiele rzeczy, to na pewno nie o to, że nie przelał na papier dokładnej wizji Niemiec, jakie pragnie zbudować, jeżeli dojdzie do władzy, i jak dzięki zbrojnemu podbojowi zamierza przemodelować świat. Plan III Rzeszy oraz barbarzyńskiego ładu narzuconego okiełznanej Europie w zwycięskich latach pomiędzy 1939 a 1945 r. z całą swoją przerażającą prostotą jest szeroko i szczegółowo wyłożony na kartach tej wymownej książki.

Jak widzieliśmy, podstawowe idee Hitlera wykiełkowały, gdy jako dwudziestokilkulatek mieszkał w Wiedniu, i sam przyznał, że później niewiele się już nauczył i nie zmienił rozumowania. Kiedy w 1913 r. w wieku 24 lat wyjechał z Austrii do Niemiec, przepełniała go żarliwa namiętność do niemieckiego nacjonalizmu oraz nienawiść do demokracji, marksizmu i Żydów, a także przekonanie, że opatrzność wybrała Aryjczyków, a zwłaszcza Niemców, do odegrania roli rasy panów.

W *Mein Kampf* Hitler rozbudował swoje poglądy i zastosował je konkretnie do zagadnień przywrócenia pokonanym, pogrążonym w chaosie Niemcom potęgi, jakiej nigdy wcześniej nie zaznały, a także do budowy nowego rodzaju państwa – opartego na rasie, obejmującego wszystkich Niemców do tej pory mieszkających poza granicami Rzeszy, poddanego absolutnej dyktaturze Führera, a także mrowiu innych przywódców, którzy mieli przyjmować rozkazy z góry i przekazywać je w dół. Po pierwsze książka zawiera więc zarys kształtu przyszłego państwa niemieckiego oraz sposobów, dzięki którym pewnego dnia stanie się ono „władcą Ziemi", jak na ostatniej stronie raczył wyrazić się autor. Po drugie przedstawia punkt widzenia, koncepcję życia lub – by posłużyć się ulubionym niemieckim słowem Hitlera – *Weltanschauung*. Nie trzeba dodawać, że dla normalnego, współczesnego człowieka ten światopogląd wydaje się groteskową pulpą uwarzoną przez głupawego, niedokształconego neurotyka. Jego znaczenie polega na tym, że był fanatycznie wyznawany przez miliony Niemców, a doprowadzając do ich ostatecznej ruiny, zniszczył też życie milionów niewinnych, przyzwoitych ludzi w samych Niemczech, ale zwłaszcza poza ich granicami.

Jak zatem nowa Rzesza miała odzyskać status mocarstwa, a potem sięgnąć po panowanie nad światem? Hitler rozważał to pytanie w pierwszym tomie, napisanym głównie w więzieniu w 1924 r., a wrócił do niego szeroko w tomie drugim, ukończonym w 1926 r.

Przede wszystkim musiało nastąpić wyrównanie rachunków z Francją, „nieubłaganym śmiertelnym wrogiem narodu niemieckiego". Hitler twierdził, że Francja zawsze będzie dążyć do „rozczłonkowania i rozbicia Niemiec (…) na zlepek małych państewek". Dodał, że to oczywiste, iż „(…) gdybym ja był Francuzem, (…) to postępowałbym tak samo jak Clemenceau". Przeto musiało dojść do „ostatecznego, czynnego rozliczenia z Francją (…), ostatniej decydującej walki (…), dopiero wówczas będziemy mogli zakończyć wieczne i zasadniczo tak bezowocne zmagania z Francją; zakładając naturalnie, że Niemcy postrzegają zniszczenie Francji tylko jako środek, który później umożliwi zapewnienie ich narodowi ekspansji na innych terenach"[131].

Na innych terenach? Czyli gdzie? W tej kwestii Hitler prowadził czytelnika do jądra swoich poglądów na niemiecką politykę zagraniczną, którą tak skrupulatnie realizował, gdy został władcą Rzeszy. Niemcy,

oświadczył bez owijania w bawełnę, muszą dokonać ekspansji na wschód – w dużej mierze kosztem Rosji.

W pierwszym tomie *Mein Kampf* Hitler rozwodził się szeroko nad zagadnieniem *Lebensraum* (przestrzeni życiowej), które stanowiło jego obsesję do ostatnich chwil życia. Stwierdził, że cesarstwo Hohenzollernów popełniło błąd, poszukując kolonii w Afryce. „Polityki terytorialnej nie da się dziś realizować w Kamerunach, lecz niemal wyłącznie w Europie". Jednak europejska ziemia była już zajęta. To prawda, przyznał Hitler, „lecz natura nie zastrzegła przyszłego posiadania tej ziemi dla żadnego narodu czy rasy; wręcz przeciwnie, ziemia jest dla ludzi posiadających siłę, aby ją sobie wzięli". A co jeśli jej obecni posiadacze się sprzeciwią? „Wtedy zaczyna działać prawo instynktu samozachowawczego; i to, czego nie da się zdobyć przyjacielskimi metodami, musi zostać odebrane pięścią"[132].

Pozyskanie nowej ziemi, kontynuował Hitler, wyjaśniając ślepotę przedwojennej polityki zagranicznej, „było możliwe tylko na wschodzie (…). Pragnąc terenów w Europie, można je uzyskać prawie wyłącznie kosztem Rosji, a to oznacza, że nowa Rzesza musi ponownie ruszyć drogą dawnych teutońskich rycerzy i niemieckim mieczem zdobyć grunt dla niemieckiego pługa i codzienny chleb dla narodu"[133].

Jak gdyby nie wyraził się dostatecznie jasno w tomie pierwszym, wrócił do tego zagadnienia w drugim.

> Tylko odpowiednio rozległa przestrzeń może zapewnić narodom swobodę egzystencji (…). [Ruch narodowosocjalistyczny], nie zwracając uwagi na „tradycje" i uprzedzenia, musi znaleźć odwagę, aby zebrać nasz naród i jego siłę oraz ruszyć drogą, która wyprowadzi ten naród z jego obecnej, ograniczonej przestrzeni życiowej ku nowym terenom i ziemi (…). Ruch narodowosocjalistyczny musi dążyć do zlikwidowania dysproporcji pomiędzy naszą liczebnością i naszym terytorium – widząc w tym drugim źródło żywności, a także podstawę polityki siły (…). Musimy niezłomnie trwać przy naszym celu (…) zapewnienia narodowi niemieckiemu obszarów i ziemi, do których ma prawo (…)[134].

Do jak wielkich obszarów naród niemiecki miał prawo? Hitler przypomniał pogardliwie, że burżuazja, „nieposiadająca choćby jednego kreatywnego pomysłu politycznego na przyszłość", gardłowała za przywróceniem granic z 1914 r.

> Żądanie przywrócenia granic z 1914 r. jest politycznym absurdem o takiej skali i konsekwencjach, że zakrawa wręcz na zbrodnię. I nie chodzi nawet o fakt, że granice Rzeszy z 1914 r. były zupełnie nielogiczne. W rzeczywistości bowiem nie były one

> ani kompletne, w tym sensie, że nie obejmowały niemieckiej narodowości, ani rozsądne z praktycznych względów geomilitarnych. Nie były efektem przemyślanych działań politycznych, ale przejściowymi granicami wynikłymi z politycznych zmagań, które w żadnym razie nie dobiegły końca (…). Równie zasadnie, a w wielu przypadkach bardziej zasadnie, można by wybrać inny dowolny rok z niemieckiej historii i oświadczyć, że celem polityki zagranicznej jest przywrócenie tamtych warunków[135].

Dla Hitlera ów „dowolny rok" lokował się jakieś sześć wieków wstecz, gdy Niemcy spychali Słowian na wschód. Parcie na wschód należało wznowić. „Dziś w Europie jest osiemdziesiąt milionów Niemców! Politykę międzynarodową będzie można uznać za słuszną, tylko jeśli za około sto lat na kontynencie będzie dwieście pięćdziesiąt milionów Niemców"[136]. A wszyscy mieli zamieszkiwać w granicach nowej, znacznie powiększonej Rzeszy.

Oczywiście inne narody musiałyby ustąpić Niemcom miejsca. Jaki więc czekał je los?

> Tak więc my, narodowi socjaliści, (…) podejmiemy dzieło, które porzuciliśmy sześćset lat temu. Przerwiemy niekończący się ruch Niemiec na południe i zachód, i zwrócimy wzrok na ziemie na wschodzie.
>
> *Jeżeli dziś rozmawiamy o ziemi w Europie, to możemy mieć na myśli jedynie Rosję i jej przygraniczne państwa wasalne*[137].

Los był w tej kwestii łaskawy dla Niemiec, zauważa Hitler. Przekazał Rosję w ręce bolszewików, co jak zapewniał, tak naprawdę oznaczało powierzenie jej Żydom. „Kolosalne imperium na wschodzie dojrzało do upadku. A koniec rządów Żydów w Rosji będzie też końcem Rosji jako państwa", pisał radośnie. Hitler doszedł do wniosku, że wraz z upadkiem Rosji ogromne wschodnie stepy będzie można zająć stosunkowo łatwo i bez wielkiej daniny niemieckiej krwi.

Czy ktoś może zaprzeczyć, że był to wyraźny i dokładny plan działania? Francja zostanie zniszczona, ale to sprawa zaledwie pomocnicza dla niemieckiego parcia na wschód. Najpierw zostaną odebrane sąsiednie ziemie wschodnie, zamieszkane głównie przez Niemców. Które konkretnie? Oczywiście Austria, czechosłowacki Sudetenland i zachodnie części Polski, w tym Gdańsk. A później przyjdzie czas na Rosję. Dlaczego świat był taki zaskoczony, gdy zaledwie kilka lat później kanclerz Hitler zabrał się za realizację tych zamierzeń?

Jeśli chodzi o charakter przyszłego państwa nazistowskiego, przemyślenia Hitlera wyłożone w *Mein Kampf* są mniej precyzyjne. Jasno stwierdził, że koniec z „demokratycznymi nonsensami" i III Rzesza będzie rządzona zgodnie z *Führerprinzip*, zasadą przywództwa, czyli będzie po prostu dyktaturą. W książce nie ma prawie wzmianki o gospodarce. Temat ten nudził Hitlera, który nigdy nie zadał sobie trudu, aby nauczyć się czegoś o gospodarce, nie licząc szalonych pomysłów Gottfrieda Federa, dziwaka sprzeciwiającego się „niewoli odsetek".

Hitlera interesowała siła polityczna; gospodarką mogli zająć się inni.

> Państwo nie ma nic do czynienia z żadną konkretną koncepcją gospodarczą ani z rozwojem (…). Państwo jest organizmem rasowym, a nie organizacją ekonomiczną (…). Tylko w najrzadszych przypadkach wewnętrzna siła państwa zbiega się z jego dobrobytem gospodarczym; ten drugi, w niezliczonych przypadkach, zdaje się zwiastować rychły upadek państwa (…). Prusy dowodzą z zadziwiającą wyrazistością, że to nie zalety materialne, ale same cnoty umożliwiają sformowanie państwa. Życie gospodarcze może kwitnąć jedynie pod ich osłoną. Warunki gospodarcze w Niemczech zawsze zaczynały się poprawiać wraz ze wzrostem siły politycznej; lecz zawsze, gdy gospodarka stawała się jedyną treścią życia naszego narodu, zagłuszając cnoty, państwo upadało i pociągało za sobą życie ekonomiczne (…). Żadnego państwa nie utworzono za pomocą pokojowych środków ekonomicznych (…)[138].

A zatem, jak stwierdził Hitler w przemówieniu w Monachium w 1923 r., „żadna polityka gospodarcza nie jest możliwa bez miecza, żadne uprzemysłowienie bez siły". Nie licząc tej mętnej, powierzchownej filozofii oraz powtarzających się w *Mein Kampf* nawiązań do „izb gospodarczych", „izb majątkowych" i „centralnego parlamentu gospodarczego", który „pilnowałby funkcjonowania narodowej gospodarki", Hitler wstrzymał się od opinii na temat fundamentów gospodarczych III Rzeszy.

Chociaż nazwa Partii Nazistowskiej zawierała człon „socjalistyczna", Hitler był jeszcze mniej konkretny w kwestii „socjalizmu", jaki przewidział dla swych nowych Niemiec. Nie może to dziwić, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego definicję „socjalisty", zaprezentowaną w mowie z 28 lipca 1922 r.:

> Ktokolwiek jest władny uczynić ze sprawy narodowej swą własną, w takim zakresie, że wie, iż nie ma większego ideału od dobrobytu jego państwa; ktokolwiek zrozumiał nasz hymn narodowy „Deutschland über Alles" i wie, że nic na świecie nie jest w jego oczach ponad te Niemcy, ich naród i ziemię – taki człowiek to socjalista[139].

Hitler, pomimo rad redaktorów, a nawet okrajania jego wywodów przez co najmniej trzech pomocników, nie powstrzymał się od przeskakiwania w *Mein Kampf* z tematu na temat. Rudolf Hess, który spisał większość książki, najpierw w Landsbergu, a później w Haus Wachenfeld niedaleko Berchtesgaden, zrobił co w jego mocy, aby uporządkować rękopis, niemniej kto jak kto, ale on nie potrafił przeciwstawiać się Führerowi. Większe sukcesy na tym polu zanotował ojciec Bernhard Stempfle, były hieronimita i cieszący się sporą sławą w Bawarii antysemita. Ten dziwny duchowny, o którym jeszcze usłyszymy, poprawiał błędy gramatyczne Hitlera, na ile mógł, klarował jego wywód i skreślił kilka fragmentów, które, jak udało mu się przekonać autora, budziły polityczne wątpliwości. Trzecim doradcą był Josef Czerny, pracujący w „Völkischer Beobachter", Czech z pochodzenia, który zaskarbił sobie względy Hitlera antysemickimi wierszami. Czerny przyczynił się do dopracowania pierwszego tomu *Mein Kampf* przed drugim wydaniem, w którym usunięto lub zmieniono pewne wstydliwe słowa i zdania; dokonał też skrupulatnej korekty tomu drugiego.

Niemniej jednak większość chaotycznych przeskoków Hitlera się zachowała. Autor uparł się na przypadkowe roztrząsanie wszelkich zagadnień, jakie przychodziły mu do głowy, w tym kultury, edukacji, teatru, filmu, komiksu, sztuki, literatury, historii, seksu, małżeństwa, prostytucji i syfilisu. W rzeczy samej, temu ostatniemu tematowi poświęcił pełne 10 stron, oświadczając, że pozbycie się go jest „*głównym* zadaniem państwa – a nie tylko *jednym z zadań*"[140]. Domagał się, aby do walki z tą przeraźliwą chorobą zaprzęgnięto wszystkie zasoby propagandowe Rzeszy. „Od rozwiązania tej kwestii zależy wszystko", informował. Problem syfilisu i prostytucji miał zostać zaatakowany poprzez ułatwianie zawierania małżeństw w młodym wieku. Hitler dał przedsmak eugeniki III Rzeszy, przekonując, że „małżeństwo nie może być celem samym w sobie, musi służyć wyższemu celowi: rozmnożeniu i zachowaniu gatunku i rasy. To na tym polega jego znaczenie i zadanie"[141].

A zatem wraz z powyższą wzmianką o zachowaniu gatunku i rasy, dochodzimy do drugiego podstawowego przemyślenia: *Weltanschauung*, poglądu Hitlera na życie, który przez niektórych historyków, zwłaszcza angielskich, był postrzegany jako ordynarna forma darwinizmu. W rzeczywistości, jak zobaczymy, sięgał korzeniami głęboko w niemiecką myśl i historię. Podobnie jak Darwin, ale również cała rzesza niemieckich filozofów, historyków, królów, generałów i mężów stanu, Hitler uważał

życie za wieczną walkę, a świat za dżunglę, w której przetrwać mogą tylko najsprawniejsi, a rządzić najsilniejsi, „świat, w którym jedno stworzenie zjada inne, a śmierć słabszego implikuje życie silniejszego”.

W *Mein Kampf* roi się od takich wynurzeń: „Koniec końców zwyciężyć może tylko popęd do przetrwania (…). Ludzkość rozwinęła się w wiecznej walce i tylko w wiecznym pokoju zginie (…). Natura (…) umieściła na tej planecie żywe stworzenia i obserwuje swobodną rozgrywkę sił. Następnie nadaje prawa pana swemu ulubionemu dziecku, najsilniejszemu w odwadze i pracowitości (…). Silniejszy musi dominować i nie może mieszać się ze słabszym, poświęcając przy tym swą wielkość. Tylko urodzony słabeusz może uznać to za okrucieństwo (…)”. Według Hitlera zachowanie kultury „jest związane z surowym prawem konieczności oraz prawem najlepszych i najsilniejszych do zwycięstwa. Niech ci, którzy chcą żyć, mają prawo walczyć, a ci, którzy na tym świecie wiecznej walki walczyć nie chcą, nie zasługują na życie. Nawet jeżeli to surowe – tak już jest!”[142].

A kimże jest owo „ulubione dziecko natury, najsilniejsze odwagą i pracowitością”, komu opatrzność nadała „prawa pana”? Aryjczykowi. W tym miejscu *Mein Kampf* docieramy do sedna nazistowskiej idei wyższości rasowej, koncepcji rasy panów, na której wspierała się III Rzesza i hitlerowski nowy ład w Europie.

> Cała ludzka kultura, wszystkie owoce sztuki, nauki i technologii, które widzimy dziś przed sobą, to niemal wyłącznie kreatywny produkt Aryjczyka. Sam ten fakt pozwala wysunąć wniosek, że to on jeden jest twórcą całego wyższego człowieczeństwa, stanowi więc prototyp wszystkiego, co rozumiemy pod pojęciem „człowiek”. To on jest Prometeuszem ludzkości, z którego lśniącej skroni we wszystkich czasach wystrzeliwała boska iskra geniuszu, wiecznie rozniecając na nowo ogień wiedzy, który oświetlał noc milczących tajemnic i tym samym skłonił człowieka do wejścia na ścieżkę wiodącą do panowania nad innymi istotami tego świata (…). To on położył fundament i wzniósł mury każdej wielkiej budowli ludzkiej kultury[143].

W jaki sposób Aryjczyk osiągnął tak wiele i stał się taki wspaniały? Hitler miał gotową odpowiedź także na to pytanie: po trupach innych. Podobnie jak wielu niemieckich myślicieli XIX w., Hitler lubuje się w sadyzmie (i jego przeciwieństwie, masochizmie), który zagranicznym badaczom niemieckiego ducha zawsze było tak trudno pojąć.

> Tak więc istnienie niższych rodzajów człowieka stanowiło jeden z kluczowych warunków stworzenia wyższych kultur (…). To jasne, że pierwsza ludzka kultura

opierała się bardziej na wykorzystaniu gorszych ludzi niż oswojonych zwierząt. Dopiero po zniewoleniu uległych ras ten sam los spotkał zwierzęta. Bowiem najpierw to pokonany wojownik ciągnął pług – a dopiero potem koń. A zatem to nie przypadek, że pierwsze kultury wyrosły tam, gdzie Aryjczyk, walcząc z niższymi ludami, podporządkował je sobie i nagiął do swej woli (…). Dopóki bezlitośnie trwał w postawie pana, pozostawał nie tylko panem, ale też obrońcą i krzewicielem kultury[144].

Później wydarzyło się coś, co Hitler interpretował jako ostrzeżenie dla Niemców.

Gdy tylko uległe ludy poczęły prostować plecy i zbliżać się do poziomu ich ujarzmiciela, a fazą tą było prawdopodobnie użycie przez nich jego języka, bariery pomiędzy panem a sługą legły w gruzach.

Ale stało się coś jeszcze gorszego od posługiwania się wspólnym językiem przez niewolnika i pana.

Aryjczyk zrezygnował z czystości swej krwi, przez co stracił miejsce w raju, który sam dla siebie zbudował. Unurzał się w rasowej mieszaninie i stopniowo zatracił swą kreatywność kulturową.

Według młodego wodza nazistów był to kardynalny błąd.

Mieszanie się krwi i wynikające z tego obniżenie poziomu rasowego to jedyna przyczyna wymarcia dawnych kultur. Albowiem ludzie nie giną w wyniku przegranych wojen, lecz przez utratę siły oporu, która trwa jedynie w czystej krwi. Wszyscy ludzie słabej rasy na tym świecie to plewa[145].

Do plew zaliczali się Żydzi i Słowianie. Z czasem, gdy już Hitler zostanie dyktatorem i zdobywcą, zakaże małżeństw Niemców z przedstawicielami tych ras, chociaż dowolna nauczycielka ze szkoły podstawowej mogłaby mu wyjaśnić, że w żyłach Niemców, zwłaszcza tych ze wschodnich prowincji kraju, płynie wiele słowiańskiej krwi. Hitlerowi ponownie trzeba przyznać, że gdy chodzi o wcielanie w życie jego pomysłów rasowych, nie rzucał słów na wiatr. Pod rządami nowego ładu, który podczas wojny zaczął narzucać Słowianom na wschodzie, Czesi, Polacy, Rosjanie byli drwalami i nosiwodami niemieckich panów – i gdyby ten makabryczny ład utrzymał się dłużej, pozostaliby nimi.

Hitler nie miał zielonego pojęcia o historii i antropologii, więc uczynienie z Niemców współczesnych Aryjczyków – rasy panów – nie sprawiło mu żadnych problemów. Według niego Niemcy to „najwyższy

gatunek ludzki na ziemi” i pozostaną nim, o ile „nie poprzestaną na hodowaniu psów, koni i kotów, a zatroszczą się też o czystość własnej krwi”[146].

Obsesja Hitlera na punkcie rasy sprawiła, że orędował za państwem „ludowym”. Nigdy, pomimo że wielokrotnie przeczytałem *Mein Kampf* i wysłuchałem dziesiątek mów samego Führera na ten temat, nie zrozumiałem, co miał na myśli. Natomiast nie raz słyszałem, jak deklarował, że to kluczowy element całego jego światopoglądu. Niemieckiego słowa *Volk* nie da się dokładnie przełożyć na angielski. Zazwyczaj tłumaczy się je jako „naród” lub „lud”, ale w języku niemieckim ma głębsze i nieco inne znaczenie, wywołujące skojarzenie z prymitywną wspólnotą plemienną, opierającą się na krwi i ziemi. Hitler miał spory problem ze zdefiniowaniem państwa ludowego w *Mein Kampf*. Na stronie 379 obwieścił na przykład, że wyjaśni, co oznacza „koncept »ludowy«”, po czym o tym zapomniał i na kilka stron powędrował do innych zagadnień. Ale w końcu dotarł do sedna:

> W przeciwieństwie do [światów burżuazyjnego oraz marksistowsko-żydowskiego] filozofia ludowa odnajduje znaczenie ludzkości w jej podstawowych elementach rasowych. W państwie widzi tylko narzędzie służące celowi, a cel ten tłumaczy jako rasowe istnienie człowieka. Co za tym idzie absolutnie nie wierzy w równość ras, lecz wraz z różnicami pomiędzy nimi dostrzega ich wyższe i niższe wartości, i w zgodzie z odwieczną wolą panującą we wszechświecie wymaga podległości gorszych i słabszych. A zatem, co do zasady, służy ona podstawowemu arystokratycznemu pojęciu natury i wyznaje zasadność tego prawa w odniesieniu do każdego pojedynczego człowieka. Dostrzega nie tylko różną wartość ras, ale też różną wartość jednostek. Wydobywa z masy znaczenie indywidualnej osobowości, przez co (…) ma wpływ organizujący. Wierzy w konieczność idealizacji człowieczeństwa, w której widzi przesłankę jego istnienia. Jednakże nie może przyznać prawa do egzystencji nawet etycznej idei, jeżeli ta stanowi zagrożenie dla rasowego życia dzierżycieli wyższej etyki; albowiem w świecie bękartów i czarnuchów wszystkie koncepty po ludzku piękne i wzniosłe, a także wszystkie idee wyidealizowanej przyszłości naszego człowieczeństwa zostałyby na zawsze utracone (…).
>
> Tak więc ludowa filozofia życia do cna odpowiada woli natury, gdyż przywraca swobodną rozgrywkę sił, która musi prowadzić do coraz lepszego chowu, aż w końcu przed najlepszymi z ludzi, gdy już posiądą Ziemię, otworzy się droga do aktywności na domenach, które leżą częściowo nad nią, a częściowo poza nią.
>
> Wszyscy czujemy, że w odległej przyszłości przed ludzkością muszą stanąć problemy, które przezwyciężyć będzie w stanie jedynie najwyższa rasa, stając się uprzednio narodem panów, wsparta środkami i możliwościami całego globu[147].

„A zatem – oświadczył Hitler nieco niżej – najwyższym celem państwa ludowego jest troska o zachowanie tych pierwotnych elementów rasowych, które wzbogacają kulturę i kreują piękno oraz godność wyższej ludzkości”[148]. A to ponownie prowadzi go do eugeniki:

> Państwo ludowe (…) musi postawić rasę w samym centrum wszelkiego życia. Musi dbać o jej czystość (…). Musi zwracać uwagę, aby tylko zdrowi płodzili dzieci; że pohańbić może tylko jedno: sprowadzanie dzieci na ten świat pomimo swych chorób i ułomności, zaś przynieść najwyższy zaszczyt: powstrzymanie się od tego. I odwrotnie, odmawianie zdrowych dzieci narodowi musi być uznane za naganne. W tym względzie państwo [ludowe] musi działać jak strażnik tysiącletniej przyszłości, w obliczu której życzenia i samolubność jednostek muszą być uważane za nic i zostać poskromione (…). Przeto państwo ludowe musi rozpocząć od podniesienia małżeństwa z poziomu ciągłego zanieczyszczania rasy i uświęcić je jako instytucję powołaną do tworzenia obrazów Pana, a nie potworności, stojących w połowie drogi pomiędzy człowiekiem a małpą[149].

Jego fantastyczna koncepcja państwa ludowego prowadzi do wielu innych rozwlekłych dywagacji. Zapewniał, że gdyby postępowano zgodnie z nimi, przyniosłyby Niemcom panowanie na świecie – niemiecka dominacja stała się jego obsesją. W pewnym miejscu dowodził, że nieutrzymanie niemieckiej krwi w doskonałej czystości „pozbawiło nas światowej dominacji. Gdyby naród niemiecki posiadał jedność stadną, którą cieszą się inne narody, to dziś Rzesza Niemiecka bez wątpienia byłaby panią globu”[150]. Skoro państwo ludowe musi opierać się na rasie, „to Rzesza Niemiecka musi obejmować wszystkich Niemców” – to kluczowy element argumentacji Hitlera, o którym nie zapomniał i dążył do jego urzeczywistnienia po objęciu władzy.

A ponieważ państwo ludowe ma zasadzać się na „arystokratycznej idei natury”, to demokracja nie wchodzi w grę i musi zostać zastąpiona zasadą przywództwa. W III Rzeszy należy wprowadzić autorytaryzm znany z pruskiej armii: „władzę każdego przywódcy w stosunku do stojących niżej i odpowiedzialność przed stojącymi wyżej”.

> Decyzji nie może podejmować większość, a tylko odpowiedzialne osoby (…). Oczywiście każdy będzie miał u swego boku doradców, ale *decyzje będzie podejmował jeden człowiek*[151] (…), tylko on może posiadać władzę i prawo wydawania rozkazów (…). Nie będzie można obyć się bez parlamentu. Ale doradcy będą udzielali rad (…). W żadnej izbie nigdy nie dojdzie do żadnego głosowania. To działające instytucje, a nie machiny wyborcze. Ta zasada – absolutna odpowiedzialność połączona bezwarunkowo z absolutną władzą – stopniowo

wyhoduje elitę przywódców, która dziś, w epoce nieodpowiedzialnego parlamentaryzmu, jest wręcz niepojęta[152].

Tak oto prezentowały się idee Adolfa Hitlera, wyłożone w całej swej zatrważającej ordynarności, gdy siedział w twierdzy Landsberg, podziwiając kwietny sad nad rzeką Lech[153], i później, w latach 1925-1926, gdy wyciągał się na balkonie w wygodnej oberży pod Berchtesgaden i spoglądał na Alpy, ku rodzinnej Austrii, dyktując wiernemu Hessowi tę powódź słów i marząc o III Rzeszy, którą zbuduje na prześledzonych przez nas tandetnych fundamentach i będzie nią władał żelazną ręką. Nie miał żadnych wątpliwości, że pewnego dnia naprawdę tego dokona, gdyż był opętany owym palącym poczuciem misji, typowym szczególnie dla wielu geniuszy, którzy na przestrzeni wieków wyrastali pozornie znikąd i z niczego. Był pewien, że zjednoczy naród wybrany, który wcześniej popełniał wyłącznie błędy polityczne. Oczyści jego rasę. Uczyni go silnym. Uczyni go panem Ziemi.

Grubo ciosany darwinizm? Sadystyczne fantazje? Nieodpowiedzialny egoizm? Megalomania? Było w tym wszystkiego po trochu, ale i coś jeszcze. Bowiem umysł i namiętności Hitlera – wszelkie wynaturzenia, które zawładnęły jego gorączkowym mózgiem – miały korzenie sięgające głęboko w niemiecką historię i myśl. Nazizm i III Rzesza były logiczną kontynuacją niemieckiej historii.

HISTORYCZNE KORZENIE III RZESZY

Na początku września, w gorączkowych dniach dorocznych wieców Partii Nazistowskiej w Norymberdze, nagabywał mnie rój handlarzy oferujących pocztówki z wizerunkami Fryderyka Wielkiego, Bismarcka, Hindenburga i Hitlera. Podpis pod ilustracją głosił: „Co król podbił, książę ukształtował, feldmarszałek obronił, a żołnierz ocalił i zjednoczył”. A zatem Hitler, żołnierz, był portretowany nie tylko jako zbawca i unifikator Niemiec, ale także następca wielkich mężów, którzy poprowadzili swój kraj ku potędze. Tłum dostrzegał implikacje kontynuacji historii Niemiec, której kulminację stanowiły rządy Hitlera. Samo określenie „III Rzesza” także miało cementować ten koncept. Średniowieczne Święte Cesarstwo Rzymskie było I Rzeszą, zaś II Rzeszę stworzył Bismarck, gdy w 1871 r.

Prusy pokonały Francję. Obie wzbogacały sławę Niemiec. Jak głosiła nazistowska propaganda, Republika Weimarska utytłała godne imię Niemiec w błocie. III Rzesza, dokładnie tak jak obiecał Hitler, przywróciła mu blask. Tak więc Niemcy Hitlera stanowiły logiczne następstwo tego, co wydarzyło się wcześniej – a przynajmniej tego, co chwalebne.

Jednak niegdysiejszy wiedeński włóczęga, jakkolwiek jego umysł nie byłby zaśmiecony, znał historię na tyle, aby wiedzieć, że w przeszłości Niemcy ponosiły także porażki, i to w czasie, gdy Francja i Wielka Brytania odnosiły sukcesy. Nigdy nie zapominał, że u schyłku wieków średnich, gdy Anglia i Francja stawały się silnymi, zjednoczonymi państwami, Niemcy pozostawały pstrokatym zlepkiem około 300 niezależnych państewek. W dużej mierze to właśnie ten brak rozwoju narodowego determinował niemiecką historię od końca średniowiecza do połowy XIX w. i sprawił, że tak znacznie różniła się ona od dziejów innych mocarstw Europy Zachodniej.

W XVI i XVII w. do rozbicia politycznego i dynastycznego doszły jeszcze różnice religijne, następstwo reformacji. W niniejszej książce nie ma miejsca, aby odpowiednio opisać wpływ na Niemców oraz ich dalsze dzieje Marcina Lutra, saksońskiego chłopa, który został augustianinem, a następnie zainicjował reformację. Można tylko napomknąć, że ten wybitny, lecz nieobliczalny geniusz, zaciekły antysemita i wróg Rzymu, w którego nieokiełznanym charakterze mieszało się tak wiele najlepszych i najgorszych cech Niemców – szorstkość, porywczość, fanatyzm, brak tolerancji, brutalność, ale też uczciwość, prostota, samoświadomość, zamiłowanie do nauki, muzyki, poezji, prawości w oczach Boga – na dobre i na złe pozostawił na obliczu Niemiec głębsze i bardziej brzemienne znamię, niż jakikolwiek człowiek żyjący przed lub po nim. Dzięki swoim kazaniom oraz wspaniałemu przekładowi Biblii Luter stworzył współczesny język niemiecki i wzniecił w rodakach nie tylko nową, protestancką wizję chrześcijaństwa, ale i żywy nacjonalizm. Wpoił im też supremację sumienia jednostki, przynamniej na polu religijnym. Ich los potoczył się jednak tragicznie – w czasie powstań chłopskich, które w dużej mierze Luter sam zainspirował, stanął on po stronie książąt, a jego uwielbienie dla politycznej autokracji zapewniło podporę bezmyślnemu, prowincjonalnemu absolutyzmowi, który zepchnął ogromną większość Niemców w nędzę, przerażającą apatię i upokarzające poddaństwo. Co może jeszcze gorsze, pomogło to pogłębić i zaostrzyć beznadziejne swary

pomiędzy stanami, dynastiami i ugrupowaniami politycznymi narodu niemieckiego. Na całe stulecia zaprzepaściło to szansę na potencjalne zjednoczenie.

Wojna trzydziestoletnia i wieńczący ją pokój westfalski w 1648 r. sprowadziły na Niemcy ostateczną katastrofę, cios tak druzgocący, że nigdy w pełni się po nim nie podźwignęły. Była to ostatnia wielka wojna religijna Europy, ale zanim dobiegła końca przepoczwarzyła się ze starcia katolicyzmu z protestantyzmem w chaotyczne zmagania dynastyczne między katolickimi Habsburgami austriackimi z jednej strony a katolickimi francuskimi Burbonami i szwedzką monarchią protestancką z drugiej. W toku dzikich walk Niemcy przemieniły się w ugór, palono i rabowano miasta i wsie, dziesiątkowano ludność. Według szacunków w wyniku tej barbarzyńskiej wojny zginęła jedna trzecia narodu niemieckiego.

Pokój westfalski był dla przyszłości Niemiec niemal równie katastrofalny co sama wojna. Niemieccy książęta, którzy stanęli po stronie Francji i Szwecji, zostali umocnieni jako udzielni władcy swych mikroskopijnych dziedzin, a było ich około 350, zaś cesarz, przynajmniej w odniesieniu do tychże kraików, był ledwie figurantem. Po fali reform i światłej myśli, która przetoczyła się przez Niemcy na przełomie XV i XVI w., nie pozostał nawet ślad. W tamtym okresie wielkie wolne miasta w zasadzie cieszyły się niepodległością; feudalizm na ich terenach wymarł, kwitły za to sztuka i handel. Nawet na wsi niemiecki chłop zdobył swobody, o których wieśniacy w Anglii i Francji nie mogli marzyć. W rzeczy samej, u progu XVI w. Niemcy można było nazywać krynicą europejskiej cywilizacji.

Po pokoju westfalskim zapanowało w nich wręcz moskiewskie barbarzyństwo. Przywrócono poddaństwo, wprowadzono je nawet na ziemiach, gdzie wcześniej było nieznane. Miasta straciły samorządność. Chłopi, robotnicy, a nawet mieszczanie z klasy średniej byli wykorzystywani do granic możliwości przez książąt, którzy trzymali ich pod upokarzającym butem poddaństwa. Dążenia do rozwoju wiedzy i sztuki w zasadzie wygasły. Zachłanni władcy nie pałali miłością do niemieckiego nacjonalizmu i patriotyzmu, tłumiąc wszelkie ich przejawy wśród poddanych. Rozwój cywilizacyjny w Niemczech po prostu się zatrzymał. Jak ujął to pewien historyk, Rzesza „została sztucznie ustabilizowana na średniowiecznym poziomie zamętu i słabości”[154].

Niemcy nigdy nie otrząsnęły się z tego nieszczęścia. Akceptacja autokracji, ślepe posłuszeństwo maleńkim tyranom, którzy rządzili niczym

udzielni książęta, wryły się w niemiecki umysł. Idea demokracji, rządów parlamentu, która w XVII i XVIII w. tak dynamicznie rozwijała się w Anglii, a w 1789 r. eksplodowała we Francji, w Niemczech w ogóle nie zakwitła. Polityczne wstecznictwo Niemców, podzielonych na całe mnóstwo drobnych państewek, odizolowanych od wzbierających prądów europejskiej myśli i rozwoju, sprawiło, że Niemcy znalazły się daleko w tyle za innymi państwami Zachodu. Naród nie rozwijał się w naturalny sposób. Należy o tym pamiętać przy ocenie tragicznej drogi, jaką obrał w późniejszych wiekach, i wypaczonego stanu jego umysłowości. Koniec końców naród niemiecki został wykuty z użyciem czystej siły i scalony dzięki czystej agresji.

Na wschód od Łaby leżą Prusy. Gdy XIX stulecie zbliżało się do końca – stulecie, które było świadkiem przykrej klęski zdezorientowanych, nieśmiałych liberałów frankfurckich w latach 1848-1849, próbujących stworzyć namiastkę demokratycznych, zjednoczonych Niemiec – to właśnie Prusy wzięły na siebie odpowiedzialność za przyszłość narodu. Kraj ten przez całe wieki znajdował się na uboczu głównego nurtu rozwoju historycznego i kulturowego Niemiec. Mogło się wręcz wydawać, że jest jakimś dziwacznym wybrykiem historii. Prusy narodziły się jako odległa, nadgraniczna Brandenburgia, leżąca na piaszczystych pustkowiach na wschód od Łaby, które począwszy od XI w. stopniowo odbijała Słowianom. Za rządów książąt brandenburskich, Hohenzollernów, którzy byli niewiele więcej niż wojowniczymi awanturnikami, Słowianie, głównie Polacy, byli wypierani na wschód wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Stawiających opór eksterminowano lub przekształcano w pozbawionych ziemi poddanych. Prawo Cesarstwa Niemieckiego zabraniało książętom przybierania godności królewskiej, jednak w 1701 r. cesarz pozwolił elektorowi Fryderykowi III koronować się w Królewcu na *króla w Prusach*.

Do tego czasu Prusy własnymi siłami utorowały sobie drogę do grona liczących się europejskich mocarstw wojskowych. Nie dysponowały takimi zasobami jak inne państwa. Ich ziemia była jałowa i pozbawiona minerałów, a ludność nieliczna. W Prusach brakowało dużych miast, przemysłu i bujnej kultury. Nawet tamtejsza szlachta była biedna, a chłopstwo żyło niczym bydło. Mimo to Hohenzollernowie dzięki przemożnej sile woli i geniuszowi organizacyjnemu potrafili stworzyć spartańskie państwo wojskowe, którego świetnie wyszkolona armia odnosiła jedno zwycięstwo za drugim, a makiaweliczna dyplomacja

przejściowych sojuszy z każdym, kto akurat zdawał się najsilniejszy, sukcesywnie powiększała państwo o kolejne terytoria.

Powstał więc dość sztuczny twór państwowy. Nie narodził się dzięki jakiemuś powszechnemu ruchowi czy określonej idei (nie licząc podboju). Scalały go jedynie absolutna władza króla, ograniczona umysłowo biurokracja i spełniająca wszystkie życzenia władcy, bezwzględnie zdyscyplinowana armia. Na armię wydawano w Prusach nawet dwie trzecie, a czasami pięć szóstych rocznych przychodów. Stała się ona, pod wodzą swego króla, samym państwem. „Prusy to nie państwo z armią, ale armia z państwem”, zauważył Mirabeau. Państwo pruskie, prowadzone z wydajnością i bezdusznością fabryki, stało się wartością nadrzędną, ludzie byli tylko trybikami w jego maszynerii. Nie tylko królowie, nie tylko sierżanci, ale i pruscy filozofowie wpajali ludziom, że ich życiowa rola polega na posłuszeństwie, pracy, poświęceniu i obowiązku. Nawet Kant nauczał, że obowiązek wymaga stłumienia ludzkich odczuć, a pruski poeta Willibald Alexis sławił zniewolenie ludu pod władzą Hohenzollernów. Według Lessinga, któremu panujące tam stosunki nie przypadły do gustu, „Prusy były najbardziej niewolniczym krajem Europy”.

Junkrzy, którzy mieli odegrać tak ważną rolę w nowoczesnych Niemczech, również byli tworem wyjątkowym dla Prus. Jak sami twierdzili, tworzyli rasę panów. To oni zajęli ziemię odebraną Słowianom i uprawiali ją w wielkich majątkach, na których harowali Słowianie zamienieni w pozbawionych ziemi poddanych, jakże odmiennych od tych żyjących na zachodzie. Istniała zasadnicza różnica pomiędzy systemem rolniczym Prus a zachodnich Niemiec i Europy Zachodniej. Na zachodzie szlachcice, do których należała większość ziemi, otrzymywali od chłopów renty lub świadczenia feudalne, natomiast ci drudzy, choć nierzadko funkcjonowali w stanie poddaństwa, korzystali z pewnych praw i przywilejów, i mieli możliwość, z której często zresztą korzystali, stopniowego wykupu ziemi i uzyskania swobód obywatelskich. Na zachodzie chłopstwo tworzyło ważną część społeczeństwa. Z kolei posiadacze ziemscy, pomimo wszystkich swych wad, dzięki nieustannemu wypoczynkowi i rekreacji wykształcili ogładę, która między innymi nadała życiu cywilizacyjnej jakości, dostrzegalnej w ich manierach, umysłowości oraz sztuce.

Pruski junkier nie wierzył w czas wolny i rekreację. Ciężko pracował, zarządzając majątkiem, jak dzisiejszy kierownik fabryki. Jego pozbawieni

własnej ziemi pracownicy byli traktowani jak najzwyklejsi niewolnicy. Junkier sprawował na swoich rozległych włościach władzę absolutną. W Prusach nie było dużych miast ani klasy średniej, której wpływ cywilizacyjny mógłby oddziaływać na jego światopogląd. W przeciwieństwie do ukulturalnionego „wielkiego pana" znanego z Zachodu junkier rozwinął się w chamski, władczy i arogancki typ człowieka – pozbawionego ogłady i kultury, agresywnego, zarozumiałego, bezwzględnego, ograniczonego mentalnie i oddanego małostkowej pogoni za zyskiem, którą niektórzy niemieccy historycy dostrzegli w prywatnym życiu Otto von Bismarcka, największego z junkrów.

To właśnie ten polityczny geniusz, apostoł „żelaza i krwi", w latach 1866-1871 położył kres istniejącemu niemal tysiąc lat podziałowi Niemiec i siłą zastąpił go Wielkimi Prusami czy może Pruskimi Niemcami. Wyjątkowy twór Bismarcka to właśnie Niemcy, które znaliśmy już w naszych czasach, przez niemal cały wiek trudne dziecko Europy i świata, naród utalentowanych, energicznych ludzi, którym najpierw ten nadzwyczajny człowiek, potem cesarz Wilhelm II, a w końcu Hitler, przy pomocy kasty wojskowej i wielu osobliwych myślicieli, zaszczepili żądzę władzy i dominacji, zamiłowanie do nieokiełznanego militaryzmu, pogardę dla demokracji i swobód jednostki oraz tęsknotę za władzą i autorytaryzmem. Żyjąc pod takim czarem, naród ten wzbił się na wyżyny, upadł, a potem znów się podniósł, aż w końcu, wiosną 1945 r., wraz z Hitlerem, zdawał się na dobre zniszczony – choć może jest za wcześnie, aby mówić o tym z większą dozą pewności.

„Wielkie kwestie naszych czasów nie będą rozstrzygane rezolucjami czy głosowaniami – ten błąd popełnili ludzie roku 1848 i 1849 – ale krwią i żelazem", oświadczył Bismarck, gdy w 1862 r. został premierem Prus. I właśnie tak się do tych spraw zabrał, choć trzeba przyznać, że dodał do swych działań szczyptę dyplomatycznej finezji, nierzadko wyjątkowo zwodniczej. Celem Bismarcka było zniszczenie liberalizmu, wzmocnienie konserwatyzmu – czyli junkrów, armii i korony – oraz uczynienie z Prus, kosztem Austrii, dominującej potęgi wśród Niemców, a jeśli pojawi się taka możliwość, także w całej Europie. „Niemcy nie patrzą na liberalizm Prus, ale na ich siłę", powiedział deputowanym do pruskiego parlamentu.

Zaczął od wzmocnienia pruskiej armii, a gdy parlament odmówił przegłosowania dodatkowych kredytów na jej rozbudowę, zwiększył je sam i w końcu rozwiązał izbę. Zwiększywszy potencjał armii, ruszył na trzy

kolejne wojny. Pierwsza, przeciwko Danii w 1864 r., oddała pod niemiecką władzę hrabstwa Szlezwiku i Holsztynu. Druga, z Austrią w 1866 r., przyniosła znacznie bardziej dalekosiężne skutki. Austria, przez stulecia pierwsza pośród krajów niemieckich, została w końcu odcięta od spraw Niemiec. Nie mogła przystąpić do Związku Północnoniemieckiego, który Bismarck zaczął tworzyć.

Znany niemiecki politolog Wilhelm Röpke napisał swego czasu: „W 1866 r. Niemcy przestały istnieć". Prusy bezwarunkowo anektowały wszystkie państwa niemieckie położone na północ od Menu, z wyjątkiem Saksonii, które walczyły przeciwko nim; znalazły się wśród nich Hanower, Hesja, Nassau, Frankfurt i księstewka nad Łabą. Wszystkie pozostałe, które leżały na północ od Menu, zmuszono do wstąpienia do Związku Północnoniemieckiego. Prusy, które rozciągały się już od Renu po Królewiec, absolutnie zdominowały Związek, a zaledwie pięć lat później, wraz z pokonaniem Francji Napoleona III, Pruskie Niemcy wchłonęły kraje południowych Niemiec, na czele z rozległym królestwem Bawarii[155].

Koronne osiągnięcie Bismarcka, utworzenie II Rzeszy, nastąpiło 18 stycznia 1871 r., kiedy to w Sali Lustrzanej Wersalu król pruski Wilhelm I został ogłoszony cesarzem Niemiec. Niemcy zostały zjednoczone dzięki pruskiej sile zbrojnej. Stały się największym mocarstwem na kontynencie, ich jedynym rywalem w Europie pozostała Anglia.

Posiadały jednak pewną zgubną skazę. Jak stwierdził Treitschke, Cesarstwo Niemieckie było w istocie tylko przedłużeniem Prus. „Prusy – podkreślił – są czynnikiem dominującym (…). Wola cesarstwa może być jedynie wolą państwa pruskiego". Miał rację i ostatecznie przyniosło to tragiczne konsekwencje dla samych Niemców. W latach 1871-1933, a w zasadzie do śmierci Hitlera w 1945 r., szlak niemieckich dziejów, nie licząc krótkiego odstępstwa w postaci Republiki Weimarskiej, biegł prostą, absolutnie logiczną linią.

Pomimo demokratycznej fasady wzniesionej wraz z powołaniem Reichstagu, którego członków wybierano drogą powszechnego głosowania wszystkich mężczyzn, Cesarstwo Niemieckie było w swej istocie militarystyczną autokracją, rządzoną przez króla Prus, będącego zarazem cesarzem niemieckim. Reichstag dysponował skromnymi uprawnieniami, był jedynie towarzystwem dyskusyjnym, w którym przedstawiciele ludu kłócili się i targowali o błahe korzyści dla reprezentowanych przez siebie klas. Prawdziwą władzę miał tron – z boskiego nadania. Jeszcze w 1910 r.

Wilhelm II potrafił oświadczyć, że korona królewska została nadana „wyłącznie z bożej łaski, a nie przez parlamenty, zgromadzenia ogólne czy powszechne decyzje (…). Uważam się za narzędzie Boga i będę postępował po swojemu”.

Parlament w niczym go nie krępował. Mianowany przez cesarza kanclerz odpowiadał przed nim, nie przed Reichstagiem. Zgromadzenie nie mogło zdymisjonować kanclerza ani obronić go na urzędzie. Była to prerogatywa monarchy. A zatem, w przeciwieństwie do innych państw Zachodu, idee demokracji, suwerenności ludu czy przewagi parlamentu w Niemczech nigdy nie okrzepły, nawet w początkach XX w. Oczywiście socjaldemokraci, po całych latach prześladowań ze strony Bismarcka i cesarza, do 1912 r. stali się największym ugrupowaniem w Reichstagu. Głośno domagali się demokracji parlamentarnej. Ale byli przy tym nieskuteczni i wciąż należeli do mniejszości, mimo że stworzyli największą partię. Klasa średnia, obrastająca w dostatek dzięki znacznie spóźnionej, ale oszałamiająco dynamicznej rewolucji przemysłowej, oraz oślepiona sukcesem polityki siły i wojny Bismarcka, zamieniła wszelkie aspiracje do swobód politycznych na korzyści materialne[156]. Zaakceptowała autokrację Hohenzollernów. Z ochotą podporządkowała się junkierskiej biurokracji i z zapałem popierała pruski militaryzm. Gwiazda Niemiec wzbiła się wysoko na nieboskłon, a ludzie – niemal cały naród – gorliwie robili wszystko, o co prosili władcy, aby ją tam utrzymać.

Ostatecznie Hitler, Austriak, był jednym z nich. Według niego II Rzesza Bismarcka, pomimo jej błędów oraz „przeraźliwych sił zepsucia”, była wspaniałym dziełem, dzięki któremu Niemcy w końcu wyszli na swoje.

> Czyż to nie Niemcy są najwspanialszym przykładem imperium, które wyrosło na fundamentach polityki czystej siły? Prusy, zarodek całego cesarstwa, narodziły się dzięki olśniewającemu bohaterstwu, a nie za sprawą operacji finansowych czy umów handlowych, natomiast sama Rzesza była jedynie chwalebną nagrodą za agresywne przywództwo polityczne i odwagę gardzących śmiercią żołnierzy (…).
>
> Samo założenie [II] Rzeszy zdawało się pozłacanym magią wydarzeniem, które podniosło na duchu cały naród. Rzesza, po serii niezrównanych zwycięstw, narodziła się dla synów i wnuków – jako nagroda za nieśmiertelne bohaterstwo (…). Ta Rzesza, która nie zawdzięczała istnienia sztuczkom parlamentarnych frakcji, górowała nad innymi państwami samą wzniosłością swych narodzin; ten uroczysty akt nie odbył się bowiem pośród szczekania parlamentarnej bitwy na słowa, lecz wśród huku i ryku otaczającego Paryż frontu: była to proklamacja naszej woli, oświadczenie, że Niemcy, książęta i lud są zdeterminowani, aby utworzyć Rzeszę i ponownie wynieść koronę

cesarską na symboliczne wyżyny (…). Założycielami państwa Bismarcka nie byli dezerterzy ani bumelanci, lecz frontowe pułki.

Już te wyjątkowe narodziny i chrzest ognia otoczyły Rzeszę aureolą historycznej chwały, którą mogły poszczycić się jedynie najstarsze państwa – a i one rzadko.

I jakaż zaczęła się wspinaczka!

Wolność na zewnątrz zapewniła chleb wewnątrz. Kraj stał się bogaty w ziemskie dobra i ludny. Honoru państwa, a wraz z nim honoru całego ludu, strzegła i broniła armia, którą można wskazać jako główną różnicę w stosunku do istniejącego wcześniej Związku Niemieckiego[157].

Hitler postanowił odtworzyć właśnie takie Niemcy. W *Mein Kampf* szeroko rozpisuje się o przyczynach ich upadku: tolerancji wobec Żydów i marksistów, rażącym materializmie i samolubności klasy średniej, nikczemnym wpływie „starców i pochlebców" otaczających tron Hohenzollernów, „katastrofalnej polityce sojuszów", która związała Niemcy ze zdegenerowanymi Habsburgami i niegodnymi zaufania Włochami zamiast z Anglią, a także o braku fundamentalnej polityki „społecznej" i rasowej. Obiecał, że narodowy socjalizm naprawi te błędy.

INTELEKTUALNE KORZENIE III RZESZY

Skąd jeszcze, poza historią, Hitler czerpał swe idee? Choć jego przeciwnicy w Niemczech, a także poza nimi byli zbyt zajęci lub zbyt głupi, aby zauważyć to na czas, w pewien sposób wchłonął on, podobnie jak tak wielu Niemców, dziwaczną mieszankę nieodpowiedzialnych, megalomańskich pomysłów, które eksplodowały wśród niemieckich myślicieli XIX stulecia. Hitler, do którego często docierały one z drugiej ręki, czy to poprzez otumanionych pseudofilozofów pokroju Alfreda Rosenberga, czy przez jego przyjaciela, poetę i pijaka Dietricha Eckarta, przyswoił je z typowym dla neofitów zapałem. Co jednak gorsze, postanowił, że jeśli tylko będzie miał okazję, wcieli je w życie.

Widzieliśmy już, na czym polegały tłukące się po umyśle Hitlera idee: gloryfikacja wojny, podboju i absolutnej władzy autorytarnego państwa; wiara, że Aryjczycy, czyli Niemcy, to rasa panów; nienawiść do Żydów i Słowian, a także pogarda dla demokracji i humanizmu. Hitler ich nie wymyślił – w przeciwieństwie do metod ich realizacji. Emanowały z owego osobliwego asortymentu oczytanych, ale niezrównoważonych filozofów,

historyków i nauczycieli, którzy w poprzednim stuleciu urzekli niemieckie umysły, jak się okazało, z katastrofalnymi dla Niemców i sporej części ludzkości skutkami.

Wśród Niemców z całą pewnością znajdziemy jedne z największych umysłów i osobowości zachodniego świata: Leibniza, Kanta, Herdera, Humboldta, Goethego, Schillera, Bacha czy Beethovena. Wnieśli oni wyjątkowy wkład w rozwój zachodniej cywilizacji. Lecz niemiecka kultura, której XIX-wieczna dominacja zbiegła się w czasie ze wzrostem potęgi Pruskich Niemiec Bismarcka, wspierała się głównie na ramionach Fichtego i Hegla, a następnie Treitschkego, Nietzschego, Richarda Wagnera oraz mrowia mniej znanych postaci, wśród których, co może dziwić, znajdowali się też pewien cudaczny Francuz i ekscentryczny Anglik. Udało im się doprowadzić do duchowego rozłamu z Zachodem; wyrwali lukę, która do dziś nie została do końca zasypana.

W 1807 r., po poniżającej klęsce z ręki Napoleona pod Jeną, Johann Gottlieb Fichte rozpoczął swe słynne „Przemówienia do narodu niemieckiego” z mównicy na Uniwersytecie Berlińskim, gdzie kierował katedrą filozofii. Poruszyły one i połączyły pobity, podzielony naród, a ich echo dało się słyszeć jeszcze w III Rzeszy. Nauki Fichtego uderzyły do głowy sfrustrowanemu ludowi. Uważał, że narody romańskie, zwłaszcza Francuzi, a także Żydzi to rasy dekadenckie. Tylko Niemcy posiadali potencjał umożliwiający regenerację. Ich język był najczystszy, najbardziej oryginalny. Pod ich władzą rozkwitnie nowa epoka historii, która będzie odzwierciedleniem kosmicznego ładu. Na czele miała stanąć nieliczna elita, wolna od wszelkich ograniczeń moralnych „prywatnej” natury. Jak widzieliśmy, Hitler wyłożył część tych pomysłów w *Mein Kampf*.

Po śmierci Fichtego w 1814 r. na Uniwersytecie Berlińskim zastąpił go Georg Wilhelm Friedrich Hegel. Był to subtelny i przenikliwy umysł, a jego dialektyka inspirowała Marksa i Lenina, przyczynił się więc do narodzin komunizmu, natomiast jego donośna gloryfikacja państwa jako najważniejszego czynnika w ludzkim życiu utorowała drogę dla II i III Rzeszy. Zdaniem Hegla państwo jest wszystkim lub niemal wszystkim, między innymi, jak twierdził, najwyższym objawieniem „ducha świata”, „wszechświatem moralnym”, „rzeczywistością etycznej idei (…) etycznego umysłu (…), samą wiedzą i myślą”; państwo „posiada nadrzędne prawo nad jednostką, której nadrzędnym obowiązkiem jest bycie członkiem państwa

(…), albowiem prawo ducha świata jest ponad wszystkimi nadzwyczajnymi przywilejami (…)”.

A co z ziemskim szczęściem jednostki? Hegel odpowiada, że „historia świata to nie królestwo szczęśliwości. Okresy szczęśliwości to puste karty dziejów, bo to czas zgody, bez konfliktu”. Wojna to wielka oczyścicielka. Zgodnie z poglądami Hegla przyczynia się do „etycznego zdrowia ludów zepsutych długim pokojem, podobnie jak wiejący wicher chroni morze przed zanieczyszczeniem, które powstałoby w wyniku długiej ciszy”.

Nadrzędnego nad wszystkim państwa oraz „bohaterów” stojących na jego czele nie powinny zajmować żadne tradycyjne koncepcje moralności czy etyki. „Historia świata zajmuje pozycję uprzywilejowaną (…). Pretensje moralne, które są bez znaczenia, nie mogą wchodzić w konflikt z czynami o historycznym dla świata znaczeniu i ich osiągnięciami. Nie wolno podnosić przeciwko niej litanii prywatnych cnót: skromności, pokory, filantropii i wyrozumiałości (…). Tak potężna siła [tj. państwo] musi zdeptać wiele niewinnych kwiatów – roznieść w puch wiele przeszkód na swej drodze”.

Hegel przewidywał, że gdy Niemcy odzyskają dany im przez Boga geniusz, staną się takim właśnie państwem. Przewidywał, że „godzina Niemiec” wybije, a ich misją będzie odnowienie świata. Czytając Hegla, widzimy, jak wiele inspiracji czerpał z niego Hitler (podobnie jak Marks), nawet jeśli znał go z drugiej ręki. Przede wszystkim wydaje się, że swoją teorią „bohaterów” – tych wiekopomnych narzędzi, których los był przesądzony przez tajemniczą Opatrzność, ponieważ mieli wypełnić „wolę ducha świata” – Hegel natchnął Hitlera nieokiełznanym poczuciem misji.

Heinrich von Treitschke pojawił się na Uniwersytecie Berlińskim później. Od 1874 do śmierci w 1896 r. wykładał tam historię i był bardzo popularnym profesorem. Na jego wykłady uczęszczały liczne, entuzjastyczne tłumy, złożone nie tylko ze studentów, ale i oficerów Sztabu Generalnego, a także funkcjonariuszy junkierskiej biurokracji. Treitschke wywarł na niemiecką umysłowość ostatniej ćwierci XIX w. przemożny wpływ, który nie osłabł przez całe panowanie Wilhelma II, a właściwie do czasów Hitlera. Choć z pochodzenia był Saksończykiem, stał się wielkim zwolennikiem pruskości; był bardziej pruski od Prusaków. Podobnie jak Hegel, gloryfikował państwo i widział w nim czynnik nadrzędny, jednak przejawiał brutalniejszą postawę: podlegli państwu ludzie mieli w jego

hierarchii stać niewiele wyżej niż niewolnicy. „Nie liczy się, co myślisz, dopóki jesteś posłuszny”, krzyczał.

Treitschke prześcignął Hegla w głoszeniu, że wojna to najwyższa ekspresja człowieka. Twierdził, że „żołnierska chwała jest podstawą wszystkich politycznych cnót. W zasobnym skarbcu niemieckiej chwały pruska chwała wojskowa jest klejnotem tak drogocennym, jak arcydzieła naszych poetów i myślicieli”. Utrzymywał, że „ślepe zabawianie się pokojem (…) sprawiło, że myśl i moralność naszych czasów straciła twarz”.

> Wojna to nie tylko praktyczna konieczność, to także konieczność teoretyczna, przemożna potrzeba logiczna. Pojęcie państwa implikuje pojęcie wojny, bo istotą państwa jest siła (…). Pozbycie się wojny z tego świata to nadzieja nie tylko niedorzeczna, ale i do cna niemoralna. Wiązałoby się to z uwiądem wielu zasadniczych i wzniosłych sił ludzkiej duszy (…). Ludzie trwający przy chimerycznej nadziei wiecznego pokoju nieodwracalnie kończą, gnijąc w swej dumnej izolacji (…).

Nietzsche, podobnie jak Goethe, nie miał wysokiego mniemania o narodzie niemieckim[158]. Wynurzenia tego geniusza-megalomana różnią się od poglądów szowinistycznych myślicieli niemieckich także na innych płaszczyznach. W rzeczy samej, uważał on większość niemieckich filozofów, w tym Fichtego i Hegla, za „nieprzytomnych szachrajów”. Wyśmiewał „świętoszkowatość starego Kanta”. W *Ecce Homo* napisał, że Niemcy „nie mają pojęcia, jak są nędzni”, i doszedł do wniosku, że „dokądkolwiek Niemcy się dostają, tam rujnują kulturę”. Uważał, że chrześcijanie, na równi z Żydami, są odpowiedzialni za dominującą w świecie „niewolniczą moralność”; nigdy nie był antysemitą. Czasami trząsł się ze strachu na myśl o przyszłości Prus, a w ostatnich latach życia, zanim szaleństwo całkiem spowiło jego umysł, rozmyślał nawet o związku europejskim i światowym rządzie.

Myślę jednak, że każdy, kto żył w III Rzeszy, musiał czuć jego wpływ na kraj. Może i jego książki były pełne „dobrodusznego debilizmu” i „chłopięcych bluźnierstw”, jak raczył się wyrazić Santayana, a jednak nazistowscy pismacy nie milkli w pochwałach pod jego adresem. Hitler często odwiedzał muzeum Nietzschego w Weimarze i obnosił się z szacunkiem dla filozofa, pozując do fotografii, na której w skupieniu wpatruje się w popiersie wielkiego myśliciela.

Nazywanie Nietzschego jednym z pomysłodawców nazistowskiego *Weltanschauung* nie było całkiem bezpodstawne. Czyż to nie on grzmiał

przeciwko demokracji i parlamentom, nie prawił kazań o woli dążenia do władzy, nie sławił wojny i nie zapowiadał nadejścia rasy panów i nadczłowieka – i to w bardzo wymownych aforyzmach? Naziści mogli z dumą cytować go w niemal każdej sprawie i chętnie to robili. Na temat chrześcijaństwa: „jedna wielka klątwa, jedna ogromna i najgłębsza perwersja (…). Nazywam ją niezmywalną skazą ludzkości (…). Chrześcijaństwo to nic więcej, jak typowe nauki socjalistów". Na temat państwa, władzy i dżungli, jaką jest ludzki świat: „Społeczeństwo nigdy nie uważało cnoty za coś więcej niż środek wiodący do siły, władzy i ładu. Państwo [jest] zorganizowane amoralnie (…) wola wojny, podboju i zemsty (…). Społeczeństwo nie ma prawa funkcjonować dla samego siebie, a jedynie jako podstruktura i rusztowanie, dzięki któremu wybrana rasa ludzi może wznieść się ku wyższym obowiązkom (…). Nie ma czegoś takiego, jak prawo do życia, prawo do pracy czy prawo do szczęścia; w tym względzie człowiek nie różni się od najpodlejszego robaka"[159]. Nadczłowieka wysławiał jako drapieżnika: „wspaniała blond bestia, nienasycona łupami i zwycięstwami".

A wojna? W tej kwestii zgadzał się z większością XIX-wiecznych niemieckich myślicieli. Filozof krzyczy grzmiącym, starotestamentowym językiem, jakim napisał *Tako rzecze Zaratustra*: „Kochajcie pokój jako środek wiodący do nowej wojny, a pokój krótki bardziej niż długi. Radzę wam, nie pracujcie, a walczcie. Radzę wam, nie gódźcie się, a zwyciężajcie (…). Mówicie, że słuszna sprawa uświęca nawet wojnę? Powiadam wam: to dobra wojna uświęca każdą sprawę. Wojna i odwaga uczyniły więcej dobrego niż dobroczynność".

I na koniec przepowiednia nadejścia elity, która będzie rządziła światem i z której wyłoni się nadczłowiek. W *Woli mocy* przekonywał: „Śmiała i władcza rasa nabiera sił (…). Celem winno być przygotowanie przewartościowania wartości na potrzeby szczególnie silnego rodzaju człowieka, najwyżej obdarzonego intelektem i wolą. Ten człowiek i otaczająca go elita staną się »panami Ziemi«".

Takie tyrady jednego z najoryginalniejszych niemieckich umysłów musiały uderzyć w czułą strunę zaśmieconego mózgu Hitlera. W każdym razie przywłaszczył je sobie – i to nie tylko same przemyślenia, ale i zamiłowanie filozofa do groteskowej przesady, a nawet jego dokładne słowa. „Panowie Ziemi" to sformułowanie znane z *Mein Kampf*. Bez

wątpienia Hitler ostatecznie widział nietzscheańskiego nadczłowieka w samym sobie.

„Kto pragnie zrozumieć narodowosocjalistyczne Niemcy, musi znać Wagnera”, zwykł mawiać Hitler[160]. Mogło to wynikać z częściowo błędnego zrozumienia wielkiego kompozytora, bo choć Richard Wagner, podobnie jak Hitler, żywił fanatyczną nienawiść do Żydów, których podejrzewał o chęć zapanowania nad światem za pomocą pieniędzy, a także pogardzał parlamentaryzmem, demokracją oraz materializmem i przeciętnością burżuazji, to jednak żywił gorącą nadzieję, że Niemcy, „z ich nadzwyczajnymi talentami”, „nie będą panować, a uszlachetnią świat”.

Natomiast to nie jego pisma polityczne, a majestatyczne opery, tak żywo odtwarzające świat germańskich prawieków i ich heroicznych mitów, wojowniczych pogańskich bogów i herosów, demonów i smoków, krwawych waśni i prymitywnych praw plemiennych, ich poczucie przeznaczenia, splendor miłości i życia oraz szlachetności śmierci, inspirowały mity współczesnych Niemiec i obdarowały je germańskim *Weltanschauung*. Hitler i naziści, nie bez racji, przyjęli go jako własny.

Hitler czcił Wagnera od najmłodszych lat. Nawet gdy jego życie zmierzało do końca – w wilgotnym, ponurym bunkrze na froncie wschodnim – kiedy jego świat i marzenia zaczęły rozpadać się w oczach i drżeć w posadach, uwielbiał wspominać chwile, w których słuchał wielkich dzieł Wagnera. Opowiadał, ile dla niego znaczyły i jakie natchnienie czerpał z festiwali w Bayreuth oraz niezliczonych wizyt w Haus Wahnfried, domu kompozytora, gdzie Siegfried Wagner, jego syn, mieszkał ze swą urodzoną w Anglii żoną Winifred. Przez pewien czas oboje byli drogimi przyjaciółmi Hitlera.

„Co za radość daje mi każde z dzieł Wagnera!”, zakrzyknął Führer nocą z 24 na 25 stycznia 1942 r., niedługo po pierwszej katastrofalnej klęsce Niemiec w Rosji, kiedy to w podziemnym schronie Wilczego Szańca pod Kętrzynem w Prusach Wschodnich rozprawiał ze swoimi generałami i pomagierami z partii, m.in. Himmlerem. Na zewnątrz zalegał śnieg i panował arktyczny mróz, żywioły, których tak nienawidził i tak się bał, obwiniając je za pierwsze niepowodzenia wojenne. Lecz w ciepłym bunkrze przynajmniej tej nocy jego myśli wędrowały ku jednej z największych życiowych inspiracji. „Pamiętam moje emocje, gdy pierwszy raz wszedłem do Wahnfried. Powiedzieć, że byłem poruszony, to nie

powiedzieć nic! Zawsze wspierali mnie w najtrudniejszych chwilach, nawet Siegfried Wagner. Byłem z nimi po imieniu. Kochałem ich i kochałem Wahnfried (…). Dziesięć dni sezonu festiwalowego w Bayreuth zawsze stanowiło błogosławiony czas w moim życiu. I raduję się na myśl, że pewnego dnia będę mógł wznowić te pielgrzymki! (…) Nazajutrz po zakończeniu festiwalu (…) dopada mnie ogromny smutek – jak wtedy, gdy zdejmuje się ozdoby z choinki”[161].

Choć w trakcie tego monologu Hitler kilkakrotnie powtarzał, że według niego „arcydziełem Wagnera” jest *Tristan i Izolda*, to niesamowity *Pierścień Nibelunga*, seria czterech oper zainspirowanych germańskim mitem *Pieśń o Nibelungach*, nad którą twórca pracował przez niemal 25 lat, ofiarowała Niemcom, a zwłaszcza III Rzeszy ogromną część jej prymitywnego germańskiego *mythos*. Mity ludowe to często najwyższy i najprawdziwszy przejaw ducha i kultury narodu, ale nigdzie w takim stopniu jak w Niemczech. Schelling twierdził wręcz, że „naród rodzi się wraz ze swoją mitologią (…). W mitologii obecna [jest] jedność jego rozumowania, czyli filozofia zbiorowa, a zatem mitologia zawiera w sobie los narodu”. Z kolei Max Mell, ówczesny poeta, który napisał nowoczesną wersję *Pieśni o Nibelungach*, oświadczył: „Niewiele dziś pozostało z greckich bogów, których humanizm pragnął zaczepić tak głęboko w naszej kulturze (…). Ale Zygfryd i Krymhilda pozostali w ludzkich duszach na zawsze!”.

Zygfryd i Krymhilda, Brunhilda i Hagen – to starożytni herosi i heroiny, z którymi wielu współczesnych Niemców lubiło się utożsamiać. Z nimi, a także z barbarzyńskim światem pogańskich Nibelungów. Był to nieracjonalny, bohaterski, mistyczny świat, pełen zdrady, owładnięty przemocą, skąpany we krwi, który podobnie jak podpalona przez Odyna Walhalla, ginie w płomieniach *Götterdämmerung*, zmierzchu bogów, orgii nieuniknionego unicestwienia, które od zawsze fascynowało niemiecki umysł i spełniało osobliwą, przerażającą tęsknotę niemieckiej duszy. Ci herosi i ten pierwotny demoniczny świat były od zawsze obecne w „duszy ludu”, jak powiedział Mell. Można odnieść wrażenie, że w niemieckiej duszy trwa nieustająca walka pomiędzy duchem cywilizacji a duchem Nibelungów i wydaje się, że w okresie, którego dotyczy ta książka, ten drugi zyskał przewagę. Nie może dziwić, że Hitler wcielił się w Odyna, gdy w 1945 r. zapragnął, aby Niemcy spłonęły razem z nim.

Wagner, oszałamiający geniusz, niebywały artysta, popierał większość przedstawionych tu poglądów. Konflikt w *Pierścieniu* bardzo często obraca się wokół wątku żądzy złota, którą kompozytor zrównał z „tragedią współczesnego kapitalizmu” i która, jak obserwował z przerażeniem, niszczyła stare wartości dawnych wieków. Choć przedstawiał świat pogańskich herosów, nie miał o chrześcijaństwie tak złej opinii jak Nietzsche. I żywił wiele współczucia dla zbłąkanej, toczącej wojny rasy ludzkiej. Niemniej twierdząc, że aby zrozumieć nazistowskie Niemcy, trzeba znać Wagnera, Hitler wcale zbytnio się nie pomylił.

Wagner znał i znajdował się pod wpływem zarówno Schopenhauera, jak i Nietzschego, choć ten drugi toczył z nim spory, uważając, że jego opery, zwłaszcza *Parsifal*, pokazują zbyt wiele chrześcijańskiej rezygnacji. W swym długim, burzliwym życiu Wagner nawiązał kontakt z dwoma innymi ludźmi, Francuzem i Anglikiem, którzy są ważni dla niniejszej historii. Nie tyle z powodu wrażenia, jakie zrobili na kompozytorze, chociaż jeden z nich zrobił spore, ale przez ich wpływ na niemiecki umysł, który pomogli przygotować na nadejście III Rzeszy.

Postaciami tymi byli hrabia Joseph Arthur de Gobineau, francuski dyplomata i człowiek pióra, oraz Houston Stewart Chamberlain, jeden z najdziwniejszych ludzi, jakich wydała angielska ziemia.

Od razu należy podkreślić, że żaden z nich nie był szarlatanem. Obaj należeli do wielkich erudytów, byli ludźmi o głębokiej kulturze i doświadczonymi podróżnikami. A jednak wysmażyli tak poronione doktryny rasowe, że żadne narody, nawet ich własne, nie brały ich serio, z wyjątkiem Niemców. Naziści słuchali ich wątpliwych teorii jak słowa objawionego. Można chyba stwierdzić bez nadmiernej przesady, bo słyszałem to od niejednego poplecznika Hitlera, że Chamberlain był duchowym założycielem III Rzeszy. Ten osobliwy Anglik, który dostrzegł w Niemcach rasę panów i nadzieję na przyszłość, także czcił Wagnera, a ostatecznie poślubił jedną z jego córek. Niezwykle szanował najpierw Wilhelma II, a potem Hitlera, i dla obu był mentorem. Pod koniec swego zadziwiającego życia sławił austriackiego kaprala (i to na długo zanim ten doszedł do władzy czy choćby stanął przed taką szansą) jako człowieka zesłanego przez Boga, aby wyprowadził naród niemiecki z manowców. Hitler, czemu trudno się dziwić, uważał Chamberlaina za proroka, którym ten w gruncie rzeczy był.

Jakimi to naukami ci dwaj ludzie zaszczepili Niemcom ową manię w kwestii rasowej i na punkcie przeznaczenia ich kraju?

Głównym dziełem Gobineau była czterotomowa praca opublikowana w Paryżu w latach 1853-1855, zatytułowana *Essai sur l'Inégalité des Races Humaines* (*Esej o nierówności ras ludzkich*). Jak na ironię, ten francuski arystokrata, mający za sobą służbę oficerską w Gwardii Królewskiej, rozpoczął karierę polityczną jako szef gabinetu przy Alexandrze de Tocqueville, gdy wybitny autor *Demokracji w Ameryce* przez krótki czas w 1848 r. pełnił funkcję ministra. Następnie Gobineau wyruszył do Hanoweru i Frankfurtu w charakterze dyplomaty i to właśnie dzięki obcowaniu z Niemcami, bo przecież nie z Tocqueville'em, wysnuł swoje teorie nierówności ras, choć swego czasu przyznał, iż napisał swoje dzieło po części dlatego, że chciał dowieść wyższości własnych, arystokratycznych korzeni.

Według Gobineau, a stwierdził to w dedykacji swojej pracy dla króla Hanoweru, rasa jest kluczem historii i cywilizacji. „Kwestia rasowa dominuje nad wszystkimi problemami historii (…), nierówność ras wystarczy do wyjaśnienia całego przebiegu przeznaczenia narodów". Wskazał trzy główne rasy: białą, żółtą i czarną, z których biała była najlepsza. „Historia pokazuje, że cała cywilizacja wypływa od rasy białej, a bez współpracy z nią nie może istnieć żadna cywilizacja", zapewniał. Jej perłą byli natomiast wywodzący się z Azji Centralnej Aryjczycy, „znamienita rodzina ludzka, najszlachetniejsza pośród białej rasy". Na nieszczęście, twierdził, współcześni Aryjczycy cierpią na przemieszanie z gorszymi rasami, co dało się zaobserwować w południowej Europie za jego czasów. Natomiast na północnym zachodzie, ponad linią biegnącą z grubsza wzdłuż Sekwany i na wschód od Szwajcarii, Aryjczycy, choć oczywiście nie nieskazitelnie czyści, przetrwali jako rasa panów. Definicja ta obejmowała część Francuzów, wszystkich Anglików, Irlandczyków, ludy Niderlandów, Nadrenii i Hanoweru oraz Skandynawów. Gobineau najwyraźniej wykluczył z tego zbioru większość Niemców, którzy żyli na wschód i południowy wschód od jego linii – naziści ewidentnie przymknęli oko na ten fakt, gdy chłonęli jego nauki.

Niemniej w przekonaniu Gobineau Niemcy, a przynajmniej zachodni Niemcy, byli prawdopodobnie najlepszymi ze wszystkich Aryjczyków. To odkrycie nazistom już nie umknęło. Francuz twierdził, że Niemcy wprowadzali usprawnienia wszędzie, gdzie się pojawiali. Dotyczyło to

nawet Cesarstwa Rzymskiego. Tak zwane barbarzyńskie plemiona germańskie, które podbiły i rozczłonkowały cesarstwo, wyświadczyły cywilizacji przysługę, bo Rzymianie już w IV w. byli niewiele lepsi od zdegenerowanych mieszańców, podczas gdy Germanie to względnie czyści Aryjczycy. „Aryjski Germanin to potężne stworzenie (…). A zatem wszystko, o czym myśli, co mówi i robi, ma zasadnicze znaczenie”.

Pomysły Gobineau szybko się przyjęły w Niemczech. Wagner, którego Francuz poznał pod koniec życia, w 1876 r. (zmarł w 1882 r.), z zapałem się pod nimi podpisał i wkrótce w całych Niemczech poczęły wyrastać „towarzystwa gobinowskie”[162].

NIECODZIENNE ŻYCIE I DZIEŁA H.S. CHAMBERLAINA

Życie i dorobek Houstona Stewarta Chamberlaina zaliczają się do fascynujących paradoksów, których nie brakuje w biegu wydarzeń prowadzącym do powstania III Rzeszy. Chamberlain należał do gorliwych członków Towarzystwa Gobineau.

Ten syn angielskiego admirała, bratanek brytyjskiego marszałka polnego sir Neville’a Chamberlaina oraz dwóch brytyjskich generałów, a później zięć Richarda Wagnera, urodził się w 1855 r. w Portsmouth. Wydawało się, że jego przeznaczeniem jest armia lub marynarka, lecz liche zdrowie przekreśliło te plany. Kształcił się we Francji i w Genewie, gdzie francuski stał się jego pierwszym językiem. Pomiędzy piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia los zetknął go z dwojgiem Niemców, a później coś nieustannie ciągnęło go ku temu krajowi, aż w końcu został jego obywatelem i jednym z czołowych myślicieli. Wszystkie swoje książki, a było ich wiele, napisał po niemiecku. Kilka z nich miało wręcz zniewalający wpływ na Wilhelma II, Adolfa Hitlera i niezliczone rzesze ich rodaków.

W 1870 r., w wieku 15 lat, trafił pod kuratelę niezwykłego nauczyciela, Otto Kuntzego, Prusaka nad Prusaki, który przez cztery lata sycił jego chłonny umysł i wrażliwą duszę chwałą wojowniczych, agresywnych Prus, a także – najwidoczniej nie widząc w tym żadnej sprzeczności – artystów i poetów, takich jak Beethoven, Goethe, Schiller czy Wagner. Dziewiętnastoletni Chamberlain oszalał z miłości do Anny Horst, również Prusaczki, która była od niego 10 lat starsza i podobnie jak on mocno neurotyczna. W 1882 r., w wieku 27 lat, wyjechał z Genewy, gdzie przez

trzy lata zgłębiał tajniki filozofii, historii naturalnej, fizyki, chemii i medycyny. Udał do Bayreuth, gdzie poznał Wagnera, który jak stwierdził Chamberlain, stał się słońcem jego żywota, a także Cosimę, małżonkę kompozytora, której był z pasją, wręcz niewolniczo oddany do końca swych dni. Kiedy w 1885 r. wraz z Anną Horst, obecnie jego żoną, wyjechał na cztery lata do Drezna, był już Niemcem myślą i mową. W 1889 r. na dekadę przeniósł się do Wiednia, a w 1909 r. wrócił do Bayreuth, gdzie mieszkał do śmierci w 1927 r. W 1905 r. rozwiódł się ze swoją uwielbianą pruską żoną. Miała wtedy 60 lat i słabowała na zdrowiu i umyśle nawet bardziej niż on (rozłąka okazała się tak bolesna, że Chamberlain twierdził, że niemal doprowadziła go do obłędu), a trzy lata później poślubił Evę Wagner i osiadł nieopodal Wahnfried, blisko podziwianej teściowej, niezwykle charakternej Cosimy.

Chamberlain był mężczyzną niebywale wrażliwym, neurotycznym i podatnym na częste załamania nerwowe. Ponoć widywał demony, które, jak opowiadał, nieubłaganie popychały go do zgłębiania nowych dziedzin wiedzy i pisania niesamowitych prac. Kolejne wizje zmuszały go do przeskakiwania z biologii na botanikę, a zaraz potem na sztuki piękne, muzykę, filozofię, biografię czy historię. Pewnego razu, gdy w 1896 r. wracał z Włoch, obecność demona okazała się tak przytłaczająca, że wysiadł z pociągu w Gardone, na osiem dni zamknął się w pokoju hotelowym i porzuciwszy dzieło o muzyce, nad którym rozmyślał, z zapałem zabrał się za pisanie rozprawy biologicznej, aż w końcu dotarł do zalążka wątku, który miał zdominować wszystkie jego późniejsze prace – rasy i historii.

Chociaż na jego umyśle nie brakowało skaz, posiadał rozległą wiedzę z zakresu literatury, muzyki, biologii, botaniki, religii, historii i polityki. Jak wskazał Jean Réal[163], we wszystkich opublikowanych pracach Chamberlaina widać przemożne natchnienie, są też nadzwyczaj spójne. Jako że uważał, że sterują nim demony, jego książki (o Wagnerze, Goethem, Kancie, chrześcijaństwie i rasie) pisane były w ogromnym rozgorączkowaniu, istnym transie, w odurzeniu, więc jak przyznał w swej autobiografii pt. *Lebenswege*, często nie mógł rozpoznać własnych dzieł, które przekraczały jego oczekiwania. Bardziej stabilne umysły nie pozostawiły suchej nitki na wszystkich jego teoriach rasowych i większości historycznych, a według francuskiego znawcy spraw niemieckich Edmonda Vermeila pomysły Chamberlaina były po prostu „tandetne”. Natomiast w

oczach antynazistowskiego niemieckiego biografa Hitlera, Konrada Heidena, który wyrażał ubolewanie z powodu znaczenia, jakie zyskały poglądy rasowe Chamberlaina, „był on jednym z najbardziej zadziwiających talentów w dziejach niemieckiej myśli, kopalnią wiedzy i głębokich pomysłów”.

Książką, która zapewniła Chamberlainowi sławę, wprawiła Wilhelma II w ekstazę i zapewniła nazistom ich rasowe wymysły, była *Grundlagen des Neunzehnten Jahrhunderts* (*Podwaliny XIX wieku*). Praca ta, licząca około 1200 stron, którą Chamberlain, ponownie opętany przez jednego ze swoich „demonów”, napisał w Wiedniu w ciągu 19 miesięcy, między 1 kwietnia 1897 a 31 października 1898 r., opublikowana została w 1899 r.

Podobnie jak Gobineau, którego zresztą podziwiał, Chamberlain odkrył, że kluczem do historii, co więcej, podłożem całej cywilizacji, jest rasa. Chcąc objaśnić istotę wieku XIX, czyli czasów mu współczesnych, należało rozważyć, co owo stulecie odziedziczyło po czasach starożytnych. Chamberlain stwierdził, że trzy rzeczy: grecką filozofię i sztukę, rzymskie prawo oraz osobowość Chrystusa. Istnieli również trzej spadkobiercy antyku: Żydzi i Niemcy, czyli „dwie czyste rasy”, oraz półkrwi narody romańskie znad Morza Śródziemnego: „ludy chaosu”, jak je nazwał. Jednak tylko Niemcy zasługiwali na tak świetne dziedzictwo. Chamberlain przyznawał, że owszem, na arenę dziejów wkroczyli dość późno, bo dopiero w XIII w., ale już znacznie wcześniej dowiedli swej wartości, niszcząc Cesarstwo Rzymskie. „To nieprawda, że teutońscy barbarzyńcy wywołali tzw. noc wieków średnich; noc ta zapadła raczej wraz z intelektualnym i moralnym bankructwem bezrasowego humanizmu, pielęgnowanego przez konające Cesarstwo Rzymskie. Dla Teutona wieczna noc zapadła nad całym światem”. Gdy pisał te słowa, widział w Teutonie jedyną nadzieję dla świata.

Chamberlain zaliczał do „Teutonów” także Celtów i Słowian, lecz Teutoni byli najważniejszym elementem. Jak widać, jego definicje były dość mętne. W jednym miejscu stwierdza na przykład, że „Teutonem jest każdy, kto zachowuje się jak Teuton, niezależnie od swych korzeni rasowych”. Może miał tu na myśl własne, nieniemieckie korzenie. Abstrahując od definicji, według Chamberlaina Teuton był „duszą naszej kultury. Dzisiaj znaczenie każdego narodu jako żywej siły zależy od odsetka prawdziwie teutońskiej krwi w jego populacji (…). Prawdziwa

historia rozpoczyna się w chwili, w której Teuton zacisnął swą władczą dłoń na spuściźnie starożytności”.

A co z Żydami? Najdłuższy rozdział *Podwalin* jest poświęcony właśnie im. Jak widzieliśmy, Chamberlain zapewniał, że Niemcy i Żydzi to jedyne czyste rasy, jakie pozostały w zachodnim świecie. W tym rozdziale ganił „głupi i odrażający antysemityzm”. Twierdził, że Żydzi nie są „gorsi” od Teutonów, a jedynie „inni”. Oni również mają swoją wielkość i zdają sobie sprawę ze „świętego obowiązku” stania na straży czystości rasy. Mimo to Chamberlain, przechodząc do dokładniejszej analizy Żydów, ześlizguje się w bardzo wulgarny antysemityzm, który wcześniej sam potępił, i który ostatecznie prowadzi do obsceniczności znanej z „Der Stürmer” Juliusa Streichera. W istocie znaczna część „filozoficznych” fundamentów nazistowskiego antysemityzmu wywodzi się właśnie z tego rozdziału.

Niedorzeczność poglądów Chamberlaina natychmiast rzuca się w oczy. Stwierdził on, że osobowość Chrystusa to jedna z trzech wielkich spuścizn, jakie czasom współczesnym pozostawiła starożytność. Następnie zaczyna „dowodzić”, że Jezus wcale nie był Żydem. Jego galilejskie pochodzenie, jego niezdolność do poprawnej wymowy aramejskich gardłowych dźwięków, to dla Chamberlaina „wyraźne znaki”, że w żyłach Jezusa płynęła „spora część niesemickiej krwi”. Następnie wysunął typowy dla siebie kategoryczny wniosek: „Ktokolwiek twierdzi, że Jezus był Żydem, jest albo głupi, albo kłamie (…). Jezus nie był Żydem”.

Kim zatem był? Prawdopodobnie Aryjczykiem, odpowiada Chamberlain. Nawet jeśli nie do końca z racji krwi, to na pewno przez wzgląd na jego nauki moralne i religijne, stojące w ostrym kontraście z „materializmem i abstrakcyjnym formalizmem” religii żydowskiej. To więc naturalne – przynajmniej dla Chamberlaina – że Chrystus powinien zostać „Bogiem młodych, przepełnionych życiem ludów indoeuropejskich”, a zwłaszcza Bogiem Teutonów, bo „żaden inny lud nie został tak dobrze wyposażony, by wsłuchać się w ten boski głos”.

Później następuje rzekoma szczegółowa historia rasy żydowskiej, od czasu przemieszania się Semitów, czy też pustynnych Beduinów, z okrągłogłowymi Hetytami, którzy mieli „żydowskie nosy”, i wreszcie z Ammonitami, którzy byli Aryjczykami. Niestety składnik aryjski – Chamberlain twierdził, że Amoryci byli wysocy, blondwłosi i wspaniali – pojawił się zbyt późno, aby naprawić „zepsuty” szczep hebrajski. Następnie Anglik odkrywa, zaprzeczając całej swej teorii o czystości żydowskiej rasy,

że Żydzi stali się rasą „negatywną”, „bękartami”, toteż Aryjczycy słusznie „wyrzekli się” Izraela. Potępia nawet Aryjczyków, że przyznali Żydom „aureolę fałszywej chwały”. Następnie oświadcza, że Żydom „brakuje prawdziwej religii, co jest godne ubolewania”.

I wreszcie Chamberlain twierdzi, że prawdziwej ścieżki do zbawienia należy szukać wśród Teutonów i ich kultury, a wśród nich najhojniej obdarzeni są Niemcy, ponieważ odziedziczyli najlepsze cechy Greków i Indo-Aryjczyków. Daje im to prawo do władania światem. „Dzisiaj Bóg buduje jedynie na Niemczech – napisał w innym miejscu. – Oto wiedza, niepodważalna prawda, która przez lata wypełniała moją duszę”.

Publikacja *Podwalin XIX wieku* wywołała swoistą sensację i przyniosła temu dziwnemu Anglikowi sławę w Niemczech. Pomimo jej elokwencji i wyrazistego stylu – Chamberlain miał bowiem znakomite pióro – książka nie była łatwą lekturą. Jednak szybko znalazła uznanie klasy wyższej, która dopatrzyła się w niej tego, w co sama pragnęła wierzyć. W ciągu 10 lat *Podwaliny* doczekały się ośmiu wydań i sprzedały się w nakładzie 60 tysięcy egzemplarzy, a do wybuchu I wojny światowej sprzedaż osiągnęła 100 tysięcy. Ponowną popularność książka uzyskała w czasach nazistów. Sam pamiętam, że w 1938 r. ukazało się jej dwudzieste czwarte wydanie; do tego czasu rozeszło się ponad ćwierć miliona egzemplarzy.

Wśród pierwszych i najbardziej przychylnych czytelników znalazł się cesarz Wilhelm II. Zaprosił on Chamberlaina do swego pałacu w Poczdamie i już podczas pierwszego spotkania obaj mężczyźni zadzierzgnęli więzy przyjaźni, która przetrwała do śmierci pisarza w 1927 r. Intensywnie ze sobą korespondowali. Część z 43 listów, jakie Chamberlain napisał do kajzera (Wilhelm II odpisał na 23 z nich), to rozwlekłe eseje, którymi władca posługiwał się później w swych bombastycznych mowach i oświadczeniach. „To Bóg zesłał twoją książkę narodowi niemieckiemu, a ciebie osobiście mnie”, pisał kajzer w jednym z pierwszych listów. Widoczna w ich korespondencji służalczość Anglika i jego przesadne pochlebstwa mogą przyprawić o mdłości. „Wasza wysokość i jego poddani narodzili się w świętym sanktuarium”, napisał w jednym z listów, informując zarazem Wilhelma, że umieścił jego portret w swoim gabinecie obok wizerunku Chrystusa pędzla Leonarda i podczas pracy często przemierza pokój, podchodząc to do oblicza swego zbawcy, to do suwerena.

Służalczość nie przeszkadzała Chamberlainowi w ciągłym oferowaniu rad zawziętemu, krzykliwemu władcy. W 1908 r. powszechna krytyka pod adresem Wilhelma osiągnęła taki poziom, że Reichstag zakazał mu katastrofalnego w skutkach wtrącania się w politykę zagraniczną. Jednak Chamberlain doradził mu, aby w ogóle się tym nie przejmował, bo za opinią publiczną stoją idioci oraz zdrajcy, na co Wilhelm odpisał, że staną we dwóch ramię w ramię: „Ty dzierżąc pióro, ja mój język (i) szeroki miecz".

Anglik nieustannie przypominał kajzerowi o misji i przeznaczeniu Niemiec. „Gdy Niemcy zdobędą potęgę – a możemy z ufnością oczekiwać, że tak się stanie – muszą bezzwłocznie zacząć realizować naukową politykę geniuszu. August podjął się systematycznej reformy świata i Niemcy muszą postąpić tak samo (…). Wyposażone w broń ofensywną i defensywną, zorganizowane gruntownie i nieskazitelnie niczym armia, najlepsze w sztuce, nauce, technice, przemyśle, handlu, finansach, krótko mówiąc, na każdym polu; nauczyciel, sternik, pionier świata, każdy na swoim stanowisku da z siebie wszystko dla świętej sprawy – tak więc Niemcy (…) podbiją świat dzięki swej wewnętrznej wyższości", napisał po wybuchu wojny.

Za głoszenie chwalebnej misji swej przybranej ojczyzny (naturalizowanym obywatelem Niemiec został w połowie wojny, w 1916 r.) Chamberlain otrzymał od cesarza Krzyż Żelazny.

Jednak największy wpływ Anglik osiągnął dopiero w III Rzeszy, która narodziła się sześć lat po jego śmierci, ale on przewidział jej nadejście. Naziści przyjęli jego teorie rasowe oraz płomienne poczucie misji dziejowej Niemiec i Niemców, a także wywyższyli go jako jednego ze swych proroków. Za rządów Hitlera spod pras drukarskich wylewał się potok książek, broszur i artykułów sławiących „duchowego założyciela" narodowosocjalistycznych Niemiec. Rosenberg, jeden z mentorów Hitlera, często próbował zaszczepić Führerowi swoją pasję wobec angielskiego filozofa. Możliwe, że Hitler usłyszał o dziełach Chamberlaina już w Wiedniu, gdyż cieszyły się popularnością wśród ugrupowań pangermańskich i antysemickich, których literaturę w młodości tak ochoczo pochłaniał. Prawdopodobnie czytywał też szowinistyczne artykuły Anglika w trakcie wojny. W *Mein Kampf* wyraził ubolewanie, że w II Rzeszy za rzadko korzystano z jego spostrzeżeń.

Chamberlain należał do pierwszych intelektualistów w Niemczech, którzy przepowiedzieli Hitlerowi wielką przyszłość, a także szerokie spektrum szans dla Niemców, jeśli tylko za nim podążą. Hitler poznał go w 1923 r. w Bayreuth i choć Anglik był wówczas chory, na wpół sparaliżowany oraz gorzko rozczarowany przegraną wojną i upadkiem cesarstwa Hohenzollernów (rozwiały się wszelkie jego nadzieje i przepowiednie!), elokwencja młodego Austriaka powaliła go na kolana. „Masz do zrobienia wielkie rzeczy (…). Moja wiara w niemieckość nie zachwiała się ani trochę, chociaż moja nadzieja – muszę to przyznać – była mocno przygaszona. Ty za jednym zamachem zmieniłeś stan mej duszy. To, że Niemcy w godzinie najbardziej dojmującej potrzeby zrodziły Hitlera, dowodzi ich żywotności; podobnie jak emanujące z niego oddziaływanie, albowiem te dwie rzeczy – osobowość i oddziaływanie – tworzą jedność (…). Niech Bóg ma cię w opiece!”, napisał do Hitlera nazajutrz.

Działo się to w okresie, gdy Adolf Hitler, ze swym chaplinowskim wąsikiem, nieokrzesanymi manierami i gwałtownym, dziwacznym ekstremizmem, przez większość Niemców nadal był traktowany jak jeden wielki żart. Nie miał wtedy zbyt wielu zwolenników. A jednak hipnotyzujący magnetyzm jego charakteru zadziałał na sędziwego, chorego filozofa niczym magiczny urok i na nowo rozbudził w nim wiarę w naród, do którego postanowił należeć i który sławił. Chamberlain został członkiem raczkującej Partii Nazistowskiej i na ile pozwalało mu zdrowie, zaczął pisywać dla jej mało wtedy znanych publikacji. W jednym z artykułów, opublikowanym w 1924 r., napisał, że siedzący wówczas w więzieniu Hitler został wybrany przez Boga, aby poprowadził naród niemiecki. Najpierw Przeznaczenie wezwało Wilhelma II, ale ten nie podołał; teraz nadszedł czas Adolfa Hitlera. 5 września 1925 r. siedemdziesiąte urodziny niesamowitego Anglika zostały uczczone pięciokolumnowym panegirykiem w „Völkischer Beobachter”. W artykule pisano, że *Podwaliny* to „ewangelia ruchu nazistowskiego”, a kiedy 16 miesięcy później – 11 stycznia 1927 r. – Chamberlain odchodził z tego świata, był pełen nadziei, że dzięki boskiemu przewodnictwu nowego niemieckiego mesjasza wszystko, co propagował i przepowiedział, w końcu się ziści.

Nie licząc księcia reprezentującego Wilhelma II, który osobiście nie mógł wrócić do Niemiec, Hitler był jedyną osobą publiczną na pogrzebie filozofa. „Völkischer Beobachter”, informując o śmierci Anglika, napisał, że naród niemiecki stracił „jednego z wielkich zbrojmistrzów, którego oręż

w naszych czasach nie znalazł pełnego zastosowania". Jednak w ponurym styczniu 1927 r., gdy Partia Nazistowska przeżywała najtrudniejsze chwile, ani sparaliżowany, konający Anglik, ani nawet Hitler nie mogli przewidzieć, jak szybko, jak niewiarygodnie szybko, oręż wykuty przez przeszczepionego do Niemiec Anglika znajdzie najpełniejsze zastosowanie. I z jak przerażającym skutkiem[164].

Mimo wszystko Adolf Hitler żywił już wtedy, a nawet wcześniej, mistyczne poczucie ziemskiej misji. W *Mein Kampf* napisał: „Z milionów ludzi (…) naprzód musi wystąpić *jeden*, który z bezdyskusyjną siłą sformuje z chwiejnego świata idei szerokich mas granitowe zasady i podejmie walkę o ich prawomyślność, aż ze zmiennych fal świata wolnej myśli wyłoni się mosiężny klif stałej jedności wiary i woli"[165].

Nie pozostawił czytelnikom wątpliwości, że sam uznaje się za tego „jednego człowieka". *Mein Kampf* jest upstrzona krótkimi esejami na temat roli geniusza wybranego przez Opatrzność do prowadzenia wielkiego narodu, choć ludzie początkowo mogą go nie rozumieć lub nie dostrzegać jego wartości, gdy przed wzbiciem się na wyżyny wielkości przeżywa trudne chwile. Czytelnik bez trudu dostrzega, że Hitler ma na myśli siebie i własne położenie. Świat nie dojrzał w nim jeszcze tego, kim jest, ale taki już los wszystkich geniuszy – na początku. „Wprowadzenie geniusza na scenę niemal zawsze wymaga jakiegoś bodźca – zauważał. – Następnie świat się opiera i nie chce wierzyć, że ten typ, który na pozór niczym się nie wyróżnia, nagle jawi się jako zupełnie odmienna istota; proces ten powtarza się w przypadku każdego wybitnego syna ludzkości (…). Iskra geniuszu istnieje w umyśle prawdziwie kreatywnego człowieka od chwili narodzin. Prawdziwy geniusz zawsze jest wrodzony, nigdy nie wyhodowany, a już na pewno nie wyuczony"[166].

Przechodząc do konkretów, uważał, że wielcy, którzy kształtują historię, stanowią połączenie praktycznego polityka i myśliciela. „W rzadkich przypadkach w dziejach człowieka może się zdarzyć, że polityk łączy się z teoretykiem. Im bardziej dogłębne jest to zespolenie, tym dzieło tego polityka napotyka większe przeszkody. Nie pracuje już podług konieczności zrozumiałej dla pierwszego lepszego sklepikarza, ale dla celów, które pojąć potrafi ledwie garstka. Przeto jego żywot jest rozdarty pomiędzy miłością a nienawiścią. Sprzeciw teraźniejszości, która go nie rozumie, zmaga się z podziwem potomności – dla której dobra również pracuje. Albowiem im

większe dzieła człowieka dla przyszłości, tym gorzej może pojąć je teraźniejszość; tym cięższa jego walka (…)”[167].

Słowa te zostały spisane w 1924 r., gdy nieliczni rozumieli, co chodziło po głowie temu człowiekowi, wówczas uwięzionemu i zdyskredytowanemu błazeńskim puczem. Ale Hitler nie wątpił w siebie ani przez chwilę. Nie wiadomo na pewno, czy czytał Hegla. Natomiast z jego pism i przemówień niezbicie wynika, że przynajmniej częściowo zapoznał się z jego poglądami, nawet jeśli tylko poprzez rozmowy ze swoimi mentorami z wczesnych lat, Rosenbergiem, Eckartem i Hessem. W ten czy inny sposób słynne wykłady Hegla, wygłaszane na Uniwersytecie Berlińskim musiały przykuć jego uwagę, podobnie jak liczne maksymy Nietzschego. Widzieliśmy już, że Hegel stworzył teorię „bohaterów”[168], która doskonale trafiła do niemieckiej umysłowości. W jednym z berlińskich wykładów omówił, w jaki sposób „wola ducha świata” jest realizowana przez „światowo-historyczne jednostki”.

> Mogą być nazywani Bohaterami, bowiem nie czerpią swych celów i powołania ze spokojnego, regularnego biegu spraw, usankcjonowanego przez istniejący ład, lecz z ukrytej krynicy, z wewnętrznego, nadal schowanego pod powierzchnią Ducha, który oddziałuje na świat zewnętrzny jak na skorupkę i roznosi go w drzazgi. Tacy właśnie byli Aleksander, Cezar, Napoleon. Byli praktycznymi politykami. Ale równocześnie ludźmi myślącymi, którzy rozumieli wymogi swoich czasów, które dojrzały już do rozwoju. Tak wygląda Prawda ich epoki, ich świata (…). Znali tę kiełkującą zasadę, konieczny, następny krok postępu, który miał wykonać ich świat; wiedzieli, że muszą uczynić z niego swój cel i poświęcać energię na jego realizację. Ludzie światowo-historyczni – Bohaterowie swoich epok – muszą być uznani za najprzenikliwszych w swych epokach; *ich* czyny, *ich* słowa były najlepsze w ich czasach[169].

Warto zwrócić uwagę na podobieństwa pomiędzy tym fragmentem a powyższym cytatem z *Mein Kampf*. Zespolenie polityka i myśliciela – w ten sposób powstaje bohater, „człowiek światowo-historyczny”, Aleksander, Cezar i Napoleon. Skoro w Hitlerze nastąpiło owo zespolenie, o czym był już przekonany, to czy nie powinien aspirować, by stanąć u boku tych wielkich postaci?

W wywodach Hitlera przewija się wątek wyższości naczelnego wodza względem moralności prostych ludzi. Hegel i Nietzsche myśleli podobnie. Spotkaliśmy się już z argumentacją Hegla, że „prywatne cnoty” i „pozbawione znaczenia pretensje moralne” nie mogą stać na drodze wielkich władców. Jeżeli bohater ma wypełnić swoje przeznaczenie, nie

może wzdragać się przed zdeptaniem wielu „niewinnych kwiatów”. Nietzsche, z typową dla siebie groteskową przesadą, posuwa się znacznie dalej.

> Ludzie silni, władcy, odzyskają czyste sumienie drapieżników; potwory przepełnione radością potrafią powrócić z przerażającego pasma mordów, podpaleń, gwałtów i tortur z tą samą radością w sercach, z tym samym zadowoleniem w duszy, jak gdyby popijali sobie na jakimś studenckim festynie (…). Gdy mąż jest zdolny do rozkazywania, gdy jest „Władcą” z natury, gdy jest brutalny w czynie i geście, jakie znaczenie mają dlań traktaty? (…) Aby właściwie sądzić moralność, należy zastąpić ją dwoma konceptami zapożyczonymi z zoologii: *poskramianiem* bestii oraz *hodowlą* poszczególnych gatunków[170].

Wydaje się, że tego rodzaju nauki, posunięte do skrajności przez Nietzschego i pochwalane przez mrowie mniej znanych Niemców, znajdowały duże uznanie w oczach Hitlera[171]. Geniusz z misją stał ponad prawem, nie mogła krępować go „burżuazyjna” moralność. A zatem, gdy nadszedł czas działania, Hitler mógł usprawiedliwiać nawet najbardziej bezwzględne, bezduszne czyny: odbieranie swobód osobistych, brutalne wykorzystywanie niewolnej siły roboczej, zdeprawowanie panujące w obozach koncentracyjnych, masakrę własnych zwolenników w 1934 r., mordowanie jeńców wojennych i masową rzeź Żydów.

Kiedy na pięć dni przed Bożym Narodzeniem 1924 r. Hitler wyszedł z Landsbergu, zastał sytuację, która prawie każdego skłoniłaby do wycofania się z życia publicznego. Partia Nazistowska oraz jej organy prasowe zostały zdelegalizowane, a dawni liderzy ugrupowania toczyli spory i każdy walczył o swoje. On sam miał zakaz wystąpień publicznych. Co gorsze, stanął w obliczu groźby deportacji do rodzimej Austrii. Bawarska policja stanowczo rekomendowała to rozwiązanie w raporcie przedłożonym resortowi spraw wewnętrznych. Nawet wielu jego starych towarzyszy zgadzało się z powszechną opinią, że jest skończony i osunie się w niebyt, jak tak wielu innych prowincjonalnych polityków, którzy zdobyli pięć minut sławy w niespokojnych czasach kryzysu republiki[172].

Ale Republika Weimarska przetrwała sztorm. Zaczynała pomyślnie się rozwijać. Gdy Hitler siedział w więzieniu, na ratunek zdestabilizowanej walucie wezwano finansowego czarodzieja, doktora Hjalmara Horace’a Greeleya Schachta. I udało mu się. Katastrofalna inflacja dobiegła końca. Ciężar reparacji zelżał dzięki planowi Dawesa. Napłynął kapitał z Ameryki.

Gospodarka dynamicznie wstawała z kolan. Stresemann odnosił sukcesy dzięki swej polityce pojednania z Aliantami. Francuzi opuszczali Zagłębie Ruhry. Dyskutowano o pakcie, który miał utorować drogę do ogólnoeuropejskiego porozumienia (Locarno) i wprowadzenia Niemiec na łono Ligi Narodów. Po raz pierwszy od klęski, po sześciu latach napięć, zawieruchy i kryzysu, naród niemiecki zaczął wracać do normalnego życia. Dwa tygodnie przed wypuszczeniem Hitlera z Landsbergu socjaldemokraci – „listopadowi zbrodniarze", jak ich nazywał – w wyborach powszechnych, w których bronili republiki, powiększyli swój dorobek o 30% (do prawie 8 milionów głosów). Naziści, w porozumieniu z północnoniemieckimi ugrupowaniami rasistowskimi pod wspólną nazwą Narodowosocjalistyczny Niemiecki Ruch Wolności, obserwowali, jak ich elektorat topnieje z niemal 2 milionów w maju 1924 r. do niecałego miliona w grudniu. Wydawało się, że nazizm dogorywa. Zakwitnął i żywił się kłopotami państwa; teraz, gdy obywatele zaczęli spoglądać w przyszłość z nadzieją, niknął w oczach. A przynajmniej tak sądziła większość Niemców i zagranicznych obserwatorów.

Ale nie Adolf Hitler. On nie dał się zniechęcić tak szybko. I potrafił czekać. Gdy w zimowych miesiącach 1925 r. w dwupokojowym mieszkanku na najwyższym piętrze budynku przy 41 Thierschstrasse w Monachium, a później, gdy nadeszło lato, w rozmaitych gospodach na górującym nad Berchtesgaden Obersalzbergu, ponownie chwytał ster życia w swoje ręce, zaduma nad niepowodzeniami ostatnich miesięcy oraz trudną sytuacją bieżącą jedynie wzmocniła jego stanowczość. Za murami więzienia miał wiele czasu, aby zastanawiać się nie tylko nad własną przeszłością, sukcesami i pomyłkami, ale także nad burzliwą przeszłością narodu niemieckiego oraz *jego* triumfami i błędami. Widział je wszystkie bardzo dokładnie. I zrodziło się w nim nowe, palące poczucie misji – dla dobra swego i Niemiec – w którym nie było miejsca na żadne wątpliwości. W tym wzniosłym nastroju zakończył powódź słów, która wypełni strony pierwszego tomu *Mein Kampf*, i niezwłocznie zabrał się za dyktowanie materiału do drugiej części. Ogłosił drukiem wszystko to, do czego wezwał go Wszechmogący, i zaprezentował swoją filozofię, *Weltanschauung*, która pomoże mu to osiągnąć. Jak widzieliśmy, korzenie owej filozofii, choć była obłąkańcza, sięgały głęboko w niemieckie dzieje. Dla większości XX-wiecznych ludzi, nawet Niemców, jej założenia mogą wydawać się śmieszne. Ale posiadała swoistą logikę. Roztaczała wizję. Proponowała

kontynuację niemieckiej historii, choć wówczas niewielu to dostrzegało. Wskazywała drogę ku spełnieniu chwalebnego przeznaczenia.

KSIĘGA DRUGA
TRIUMF I KONSOLIDACJA

ROZDZIAŁ V

DROGA DO WŁADZY: 1925-1931

Pomiędzy 1925 r. a nadejściem wielkiego kryzysu w 1929 r. Adolf Hitler oraz ruch nazistowski przeżywali chude lata, lecz wytrwałość oraz zachowanie wiary i pewności siebie w trudnych chwilach są miarą człowieka. Na przekór swej nadpobudliwości, często prowadzącej do gwałtownych wybuchów histerii, Hitler posiadał cierpliwość, dzięki której spokojnie czekał, a także spryt polityczny, który mu podpowiadał, że panująca w Niemczech atmosfera materialnego dobrobytu i rozluźnienia owych lat nie służy jego celom.

Był pewien, że dobre czasy nie będą trwały wiecznie. Twierdził, że pomyślność Niemiec nie zależy od nich samych, lecz od siły innych, przede wszystkim od Ameryki, z której głębokich szkatuł napływały pożyczki napędzające prosperity. W latach 1924-1930 Niemcy pożyczyły około 7 miliardów dolarów, w większości od amerykańskich inwestorów, którzy nie przejmowali się zbytnio, jak europejski kraj spłaci pożyczki. Niemcy kłopotali się tym jeszcze mniej.

Republika pożyczała, aby spłacać reparacje i zwiększać nakłady na rozległy system świadczeń społecznych, który stał się wzorem dla całego świata. Kraje związkowe oraz władze dużych i małych miast pożyczały nie tylko na niezbędne usprawnienia, ale też na lotniska, teatry, stadiony i eleganckie baseny. Przemysł, który dzięki inflacji pozbył się długów, pożyczył miliardy na doposażenie i racjonalizację procesów produkcyjnych. Produkcja, która w 1923 r. spadła do 55% poziomu z 1913 r., w 1927 r. wzrosła do 122%. W 1928 r. po raz pierwszy od wojny bezrobocie spadło poniżej miliona obywateli (650 tysięcy). W tym samym roku sprzedaż detaliczna wzrosła o 20% w stosunku do 1925 r., a rok później płace realne osiągnęły poziom o 10% wyższy niż cztery lata wcześniej. Z ogólnego dobrobytu korzystały niższe klasy średnie, miliony sklepikarzy i niezamożnych prostych ludzi, na których masowe poparcie liczył Hitler.

Poznałem Niemcy właśnie w tym okresie. Pracowałem wtedy w Paryżu albo sporadycznie w Londynie i choć dla młodego Amerykanina, który

wyrwał się z kraju niebywałego samozadowolenia i próżności epoki Calvina Coolidge’a, obie te stolice były fascynujące, to po wizycie w Berlinie czy Monachium ich urok nieco bladł. W Niemczech trwał wówczas cudowny ferment. Nigdzie nie doświadczyłem życia bardziej swobodnego, nowoczesnego, ekscytującego niż tam. Życie artystyczne i intelektualne nigdzie nie kwitło tak bujnie. W ówczesnym pisarstwie, malarstwie, architekturze i teatrze pojawiły się nowe prądy, obrodziło niepospolitymi talentami. I w każdej z tych dziedzin dało się wyczuć powiew młodości. Człowiek całymi nocami przesiadywał z młodzieżą w kafejkach, luksusowych barach, na letnich obozowiskach, kursujących po Renie parowcach lub w wypełnionych dymem papierosowym studiach artystów, i bez końca rozprawiał o życiu. Były to zdrowe, beztroskie, kochające słońce grupy znajomych, przepełnione pragnieniem oddychania pełną piersią i w całkowitej swobodzie. Wydawało się, że stara, opresyjna pruska dusza skonała i została głęboko pogrzebana. Większość poznanych przeze mnie Niemców – polityków, pisarzy, redaktorów, artystów, profesorów, studentów, przedsiębiorców, robotników – zaskakiwała demokratycznymi, liberalnymi, a nawet pacyfistycznymi poglądami.

O Hitlerze i nazistach słyszało się co najwyżej w dowcipach, dotyczących zazwyczaj puczu piwiarnianego, jak zaczęto go nazywać. W wyborach z 20 maja 1928 r. naziści zgromadzili zaledwie 810 tysięcy głosów z 31 milionów oddanych i zdobyli zaledwie tuzin z 491 miejsc w Reichstagu. Konserwatywni nacjonaliści także ponieśli ciężkie straty: ich elektorat skurczył się z 6 milionów wyborców w 1924 r. do 4 milionów, a ich reprezentacja w parlamencie ze 103 do 73 deputowanych. Z kolei socjaldemokraci zyskali w wyborach 1928 r. ponad 1 250 000 głosów, ich łączna zdobycz wzrosła do ponad 9 milionów. Zaowocowało to 153 miejscami w Reichstagu, gdzie stali się zdecydowanie najliczniejszym ugrupowaniem. Wydawało się, że 10 lat po wojnie republika w końcu stanęła pewnie na nogach.

W roku okrągłej rocznicy zakończenia wojny – 1928 – do Partii Narodowosocjalistycznej należało 108 tysięcy członków. Była to skromna liczba, ale powoli rosła. Dwa tygodnie po opuszczeniu więzienia Hitler odbył spotkanie z doktorem Heinrichem Heldem, premierem Bawarii i szefem Katolickiej Bawarskiej Partii Ludowej. Uwierzywszy w gwarancje dobrego sprawowania ze strony Hitlera (był na zwolnieniu warunkowym), Held uchylił delegalizację Partii Nazistowskiej i jej gazety. „Dzika bestia

została okiełznana. Możemy sobie pozwolić, aby nieco poluzować jej łańcuch”, powiedział ministrowi sprawiedliwości Gürtnerowi. Bawarski premier był pierwszym, acz zdecydowanie nie ostatnim niemieckim politykiem, który dopuścił się fatalnego w skutkach błędu w ocenie.

„Völkischer Beobachter” ukazał się ponownie 26 lutego 1925 r. Hitler napisał długi wstępniak do tego wydania, który zatytułował „Nowy początek”. Nazajutrz przemawiał na pierwszym masowym wiecu zmartwychwstałej partii w Bürgerbräukeller. Zarówno on, jak i jego zwolennicy po raz ostatni widzieli tę piwiarnię rano 9 listopada 1923 r., półtora roku wcześniej, kiedy to ruszali w swój feralny marsz do centrum Monachium. Wielu lojalnych ludzi wodza zniknęło z pola widzenia. Eckart i Scheubner-Richter nie żyli. Göring przebywał na emigracji. Ludendorff i Röhm zerwali stosunki z Hitlerem. Rosenberg, skonfliktowany ze Streicherem i Esserem, dąsał się i trzymał z dala od wydarzeń. Podobnie Gregor Strasser, który wraz z Ludendorffem przewodził Narodowosocjalistycznemu Niemieckiemu Ruchowi Wolności, gdy Hitler siedział za kratami, a Partia Nazistowska była wyjęta spod prawa. Kiedy Hitler zwrócił się do Antona Drexlera, żeby przewodniczył spotkaniu, stary ślusarz i założyciel partii odesłał go do diabła. Niemniej w piwiarni zebrało się około 4000 zwolenników, którzy pragnęli ponownie posłuchać Hitlera, a ten ich nie rozczarował. Jego elokwencja poruszała jak dawniej. Tłum nagrodził dwugodzinną tyradę gromkim aplauzem. Pomimo wielu dezercji i bladych perspektyw na przyszłość, Hitler wyraźnie przypomniał, że nadal uważa się za wodza partii. „Przewodzę ruchowi sam i dopóki dźwigam osobistą odpowiedzialność, nikt nie może dyktować mi żadnych warunków”, oświadczył, po czym dodał: „Ponownie dźwigam pełną odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się w ruchu”.

Hitler udał się na spotkanie, mając już w głowie dwa cele, do których od tego dnia zamierzał konsekwentnie dążyć. Pierwszy polegał na skupieniu pełni władzy w swoich rękach, drugi – na przywróceniu Partii Nazistowskiej statusu organizacji politycznej, która jednak będzie odtąd zabiegała o władzę wyłącznie konstytucyjnymi metodami. Jeszcze w więzieniu wyłożył nową taktykę swojemu przybocznemu, Kurtowi Ludecke: „Kiedy wrócę do aktywnego działania, będzie trzeba przyjąć nową politykę. Zamiast pracować na rzecz przejęcia władzy drogą przewrotu zbrojnego, będziemy musieli zatkać nosy i wejść do Reichstagu kosztem katolickich i marksistowskich deputowanych. Może szybciej

byłoby ich wystrzelać niż pokonać w wyborach, ale przynajmniej na straży naszych osiągnięć będzie stała ich własna konstytucja. Wszystkie praworządne procesy są powolne (…). Prędzej czy później będziemy mieli większość – a potem całe Niemcy”[173]. Po wyjściu z Landsbergu zapewnił premiera Bawarii, że Partia Nazistowska będzie od tej pory działała wyłącznie w konstytucyjnych ramach.

Gdy jednak 27 lutego wrócił do Bürgerbräukeller, dał się ponieść entuzjazmowi tłumu. Ledwie maskował groźby miotane pod adresem państwa. Reżim republikański „to wróg” na równi z Żydami i marksistami. W podsumowaniu mowy krzyknął: „Nasza walka może mieć tylko dwojaki wynik: albo wróg przestąpi nad naszymi zwłokami, albo my nad jego!”.

„Dzika bestia” zdecydowanie nie wyglądała na „okiełznaną”, i to już podczas pierwszego wystąpienia publicznego po odzyskaniu wolności. Choć Hitler obiecał, że nie będzie sprawiał problemów, znowu groził państwu przemocą. Rząd Bawarii bez wahania ponownie zakazał mu przemawiać publicznie i tym razem zakaz utrzymał się dwa lata. Inne kraje związkowe poszły za jego przykładem. Dla człowieka, który osiągnął tak dużo właśnie dzięki mowom, był to dotkliwy cios. Uciszony Hitler to Hitler pokonany, równie skuteczny co skuty kajdankami pięściarz w ringu – a przynajmniej tak myślała większość.

Ale i w tym przypadku się pomylili. Zapomnieli, że Hitler był nie tylko porywającym mówcą, ale i organizatorem. Okiełznawszy swą wściekłość na ponowny zakaz wystąpień, z furią zabrał się do pracy. Zamierzał odbudować Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników i uczynić z niej organizację, jakiej Niemcy jeszcze nie widziały. Pragnął stworzyć z niej coś na wzór armii – państwo w państwie. Zadaniem numer jeden było przyciągnięcie uiszczających składki członków. Pod koniec 1925 r. było ich zaledwie 27 tysięcy. Szło mu powoli, ale każdy rok przynosił pewien postęp: 49 tysięcy członków w 1926 r., 72 tysiące w 1927 r., 108 tysięcy w 1928 r. i 178 tysięcy w 1929 r.

Ważniejsza była budowa zawiłej struktury partyjnej, która odpowiadałaby organizacji niemieckich władz, a po prawdzie i niemieckiego społeczeństwa. Państwo zostało podzielone na okręgi, czyli *Gaue*, pokrywające się z grubsza z 34 okręgami wyborczymi do Reichstagu, a na czele każdego stanął mianowany przez Hitlera „gauleiter”. Istniało też dodatkowych siedem *Gaue* dla Austrii, Gdańska, Zagłębia Saary i czechosłowackiego Sudetenlandu. Okręgi podzielono na *Kreise*,

czyli koła, tym przewodniczyli „kreisleiterzy”. Jeszcze mniejszą jednostką partyjną była *Orstgruppe*, czyli grupa lokalna, która w dużych miastach dzieliła się dodatkowo na komórki ulic i kwartały.

Polityczna organizacja Partii Nazistowskiej została podzielona na dwie grupy: tzw. P.O. I, stworzoną do atakowania i podkopywania rządu, oraz P.O. II, przeznaczoną do budowania państwa w państwie. Co za tym idzie druga z tych grup posiadała wydziały rolniczy, sprawiedliwości, gospodarki narodowej, spraw wewnętrznych i pracy – oraz wybiegając nieco w przyszłość, rasy i kultury oraz inżynierii. W skład P.O. I wchodziły wydziały spraw zagranicznych, pracy oraz Biuro Prasowe Rzeszy. Wydział Propagandy był osobnym, mocno rozwiniętym biurem.

Choć niektórzy partyjni twardogłowi, weterani ulicznych walk i karczemnych burd, sprzeciwiali się dopuszczeniu do partii kobiet i dzieci, Hitler bez wahania zapewnił im stosowne organizacje. Hitlerjugend przyjmowała dzieci od piętnastego do osiemnastego roku życia i posiadała własne wydziały kultury, szkoły, prasy, propagandy, „sportów obronnych” itd., natomiast dzieci od dziesiątego do piętnastego roku życia werbowano do Deutsches Jungvolk. Dla dziewcząt powstał Bund Deutscher Mädel, a dla kobiet N.S. Frauenschaften. Studenci, nauczyciele, urzędnicy, lekarze, prawnicy, juryści – wszyscy mieli własne, odrębne organizacje, a dla przyciągnięcia artystów i intelektualistów powstał nazistowski Kulturbund.

SA, po przezwyciężeniu niemałych trudności, została przekształcona w zbrojną bandę kilku tysięcy mężczyzn, mających ochraniać nazistowskie wiece, rozpędzać zebrania innych ugrupowań i generalnie terroryzować przeciwników Hitlera. Część jej dowódców liczyła, że gdy Hitler dojdzie do władzy, SA zastąpi Reichswehrę. Aby się do tego przygotować, powołano specjalne biuro pod kierownictwem generała Franza Rittera von Eppa, które nazwano *Wehrpolitische Amt*. Jego pięć wydziałów zajmowało się takimi zagadnieniami, jak zewnętrzna i wewnętrzna polityka obronna, siły obrony, powszechny potencjał obronny itd. Jednak brunatne SA nigdy nie stało się niczym więcej niż pstrokatą zbieraniną ulicznych zadymiarzy. Wielu przywódców organizacji, począwszy od samego Röhma, zdobyło ponurą sławę homoseksualnych zboczeńców. Porucznik Edmund Heines, który stał na czele monachijskich struktur SA, był nie tylko homoseksualistą, ale i mordercą z wyrokiem na koncie. Ci dwaj, a także tuziny innych, kłócili się i zwalczali, jak to potrafią tylko mężczyźni o nienaturalnych skłonnościach seksualnych, z ich osobliwym rodzajem zazdrości.

Hitler chciał mieć do dyspozycji bardziej wiarygodną siłę, dlatego stworzył SS – *Schutzstaffel*. Wyposażył jego członków w czarne mundury wzorowane na strojach włoskich faszystów i wymagał od nich specjalnej przysięgi osobistej lojalności względem niego. Początkowo SS było tylko osobistą ochroną Führera. Jej pierwszym przywódcą został dziennikarz nazwiskiem Berchtold, ale ponieważ preferował dość zaciszną redakcję „Völkischer Beobachter" niż zabawy w policjantów i żołnierzy, został zastąpiony Erhardem Heidenem, byłym kapusiem policji o podejrzanej reputacji. Dopiero w 1929 r. Hitler znalazł idealnego człowieka na szefa SS w osobie hodowcy drobiu ze wsi Waldtrudering pod Monachium, łagodnego w obejściu mężczyznę, którego ludzie (w tym i autor, gdy spotkał go po raz pierwszy) brali omyłkowo za małomiasteczkowego nauczyciela. Nazywał się Heinrich Himmler. Gdy objął kierownictwo SS, liczyło około 200 ludzi. Kiedy zakończył swoje organizacyjne dzieło, SS panowało w Niemczech, a jego imię wzbudzało trwogę w całej okupowanej Europie.

Na szczycie skomplikowanej piramidy organizacyjnej partii stał Adolf Hitler z pretensjonalnym tytułem „Partei-und-Oberster-S.A.-Führer, Vorsitzender der N.S.D.A.V", co można tłumaczyć jako Najwyższy Wódz Partii i SA, Przewodniczący Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Organizacji Pracy. Do jego biura bezpośrednio dołączony został Dyrektoriat Rzeszy (*Reichsleitung*), tworzony przez najważniejszych bonzów partyjnych oraz tak przydatnych funkcjonariuszy jak „skarbnik Rzeszy" czy „kierownik ds. przedsiębiorczości Rzeszy". Odwiedzając w ostatnich latach republiki okazały Brunatny Dom w Monachium, czyli główną siedzibę partii, można było odnieść wrażenie, że rzeczywiście funkcjonują w nim biura państwa w państwie. Hitlerowi bez wątpienia właśnie na tym zależało, bo pomagało to podkopać zarówno w kraju, jak i za granicą wiarę w prawdziwe państwo niemieckie, które chciał obalić.

Ale jego zamiary polegały na czymś więcej niż tylko wywarciu dużego wrażenia. Trzy lata po dojściu do władzy w przemówieniu do „starych bojowników" w Bürgerbräu w rocznicę wydarzeń 9 listopada wyjawił jeden z celów, jaki przyświecał mu, gdy rozbudowywał partię w potężną i wszechstronną organizację. „Zrozumieliśmy, że nie wystarczy obalić starego państwa, ale że najpierw trzeba stworzyć nowe państwo, które musi czekać w gotowości (…). W 1933 r. nie istniała już kwestia obalenia państwa poprzez akt przemocy; tymczasem nowe państwo zostało

rozbudowane i wystarczyło tylko zniszczyć pozostałości starego – a to zajęło zaledwie kilka godzin”[174], opowiedział, wspominając czasy reformy partii po puczu.

Jednak każda organizacja, nieważne, jak efektywna i skuteczna, jest zbiorem ludzi popełniających błędy i w latach, w których Hitler kształtował swoją partię, by wzięła na siebie odpowiedzialność za przeznaczenie Niemiec, borykał się ze swoimi pomagierami, którzy nieustannie kłócili się nie tylko między sobą, ale także z nim. Hitler, człowiek z natury ogromnie nietolerancyjny, okazał się niespodziewanie pobłażliwy względem pewnej ludzkiej cechy – moralności. Żadna inna niemiecka partia nie przyciągała tylu szemranych postaci. Jak widzieliśmy, do NSDAP, niczym do jakiegoś raju obiecanego, garnęło się mrowie alfonsów, morderców, homoseksualistów, alkoholików i szantażystów. Hitler nie przejmował się ich charakterem, dopóki byli przydatni. Gdy wyszedł z więzienia, przekonał się nie tylko o tym, że owe indywidua nieustannie rzucają się sobie do gardeł, ale także że poważniejsi i bardziej szanowani liderzy pokroju Rosenberga czy Ludendorffa domagają się usunięcia ich z ruchu. Hitler stanowczo odmówił. „Nie uważam, aby próby ulepszania lub choćby zespalania materiału ludzkiego znajdującego się w rękach przywódcy politycznego należały do jego zadań”, napisał w „Nowym początku”, wstępniaku do „Völkischer Beobachter” z 26 lutego 1925 r.

Jednak w 1926 r. oskarżenia i kontroskarżenia, jakimi obrzucali się nazistowscy watażkowie, stały się tak zawstydzające, że Hitler powołał trybunał partyjny, który miał rozwiązywać swary i zapobiegać publicznemu praniu brudów przez jego kamratów. Organ ten był znany pod skrótem USCHLA, od *Untersuchung-und-Schlichtungs-Ausschuss*, czyli Komitet Dochodzeniowo-Rozjemczy. Jego pierwszym przewodniczącym został były generał, Heinemann, lecz nie potrafił zrozumieć prawdziwego celu powołania trybunału, którym wcale nie było wyrokowanie w sprawie oskarżonych o drobne przewiny, ale uciszanie ich i pilnowanie, żeby nie naruszali dyscypliny partyjnej ani nie podważali autorytetu Führera. Generał został więc zastąpiony bardziej pojętnym byłym oficerem, majorem Waltherem Buchem, który otrzymał do pomocy dwóch asystentów. Jednym z nich był Ulrich Graf, niegdyś rzeźnik, a także ochroniarz Hitlera, zaś drugim Hans Frank, młody nazistowski prawnik, o którym usłyszymy więcej przy okazji opowieści o jego krwawych rządach w Generalnym Gubernatorstwie na terenach okupowanej Polski, za które

przyjdzie mu zapłacić na norymberskiej szubienicy. Działania tego sprawnego triumwiratu w pełni satysfakcjonowały Führera. Wódz mógł być oskarżany nawet o najpodlejsze występki, Buch niezmiennie kwitował to pytaniem: „Tak, i co z tego?”. Liczyło się tylko to, aby zarzuty nie szkodziły dyscyplinie partyjnej i wizerunkowi Hitlera.

Utrzymanie w ryzach wielkiego, bulgocącego kotła nazistowskich rzezimieszków o przerośniętej ambicji wymagało jednak czegoś więcej niż ten trybunał, skądinąd w tysiącach przypadków jak najbardziej skuteczny. Hitler nierzadko musiał interweniować osobiście, i to nie tylko po to, aby utrzymywać pozory harmonii, ale i zapobiegać podrzynaniu gardeł.

Gdy usychał z nudów w Landsbergu, w ruchu nazistowskim rozbłysła nagle gwiazda młodego nazisty Gregora Strassera. Ten aptekarz z zawodu i Bawarczyk z pochodzenia był o trzy lata młodszy od Hitlera; podobnie jak on otrzymał Krzyż Żelazny I klasy, a podczas wojny awansował z szeregowca na porucznika. Nazistą został w 1920 r. i szybko wspiął się na stołek szefa okręgu w Dolnej Bawarii. Był postawnym, krępym mężczyzną, typem bon vivanta, kipiał energią i stał się przekonującym mówcą publicznym, choć bardziej dzięki sile swego charakteru niż talentom oratorskim, jakie posiadał Hitler. Co więcej, był urodzonym organizatorem. Strasser, w sercu i umyśle wręcz zaciekle niezależny, nie zamierzał bić czołem przed Hitlerem i nie traktował zbyt poważnie jego pretensji do absolutnej władzy dyktatorskiej w całym ruchu nazistowskim. Później okaże się, że cecha ta była dla niego śmiertelnie niebezpieczna, podobnie jak szczery entuzjazm względem członu „socjalistyczna” w nazwie partii.

Wbrew sprzeciwowi uwięzionego Hitlera Strasser wraz z Ludendorffem i Rosenbergiem zorganizował nazistowski ruch „ludowy”, żeby wystartować w wyborach państwowych wiosną 1924 r. W Bawarii ich blok zebrał dość głosów, aby stać się drugim największym ugrupowaniem politycznym, a w całych Niemczech, jak wspomnieliśmy, pod nazwą Narodowosocjalistyczny Niemiecki Ruch Wolności zgromadził 2 miliony głosów i uzyskał 32 miejsca w Reichstagu (jedno z nich zajął sam Strasser). Hitler nie pochwalał działalności tego młodzieńca, więc tym bardziej nie w smak były mu jego sukcesy. Z kolei Strasser nie miał ochoty akceptować Hitlera jako pana i władcy, oraz co znaczące, trzymał się z dala od wielkiego wiecu w Monachium 27 lutego 1925 r., na którym Partia Nazistowska wznowiła swą działalność.

Hitler zrozumiał, że jeśli ruch naprawdę ma mieć zasięg ogólnopaństwowy, musi zdobyć przyczółek na północy, w Prusach, a zwłaszcza w twierdzy wroga, Berlinie. Podczas wyborów 1924 r. Strasser prowadził na północy kampanię i zawiązał sojusze z tamtejszymi ugrupowaniami ultranacjonalistycznymi, którym przewodzili Albrecht von Gräfe i hrabia Ernst zu Reventlow. Posiadał więc na tym obszarze osobiste kontakty i pewną grupę zwolenników, czym nie mógł poszczycić się żaden inny nazistowski przywódca. Dwa tygodnie po lutowym wiecu Hitler przełknął więc własną dumę, posłał po Strassera, skłonił go do powrotu na łono partii i zaproponował, aby zajął się organizacją struktur na północy. Strasser wyraził zgodę. Na północy mógł wykorzystać swoje talenty w praktyce, nie czując na karku oddechu zazdrosnego, aroganckiego Führera.

W ciągu kilku miesięcy Strasser uruchomił w stolicy gazetę „Berliner Arbeiterzeitung”, której redaktorem został jego brat Otto, oraz codwutygodniowy biuletyn „N.S. Briefe”, dzięki któremu funkcjonariusze mogli być na bieżąco z linią partyjną. Położył też podwaliny pod organizację partyjną rozciągającą się od Prus przez Saksonię i Hanower aż do przemysłowej Nadrenii. Był istnym wulkanem energii i nieustannie przemierzał północne Niemcy, wygłaszał przemówienia, mianował lokalnych liderów i budował aparat partyjny. Dzięki miejscu w Reichstagu dysponował podwójną przewagą nad Hitlerem: po pierwsze przysługiwały mu darmowe przejazdy kolejami, więc podróże nie kosztowały go ani partii ani grosza; po drugie korzystał z immunitetu parlamentarnego. Żadna władza nie mogła zakazać mu wystąpień, żaden sąd nie mógł go sądzić za oczernianie kogokolwiek i czegokolwiek. Mógł mówić, co chciał. „Darmowe podróże, bezkarne miotanie oszczerstw – Strasser miał na starcie sporą przewagę nad swoim Führerem”, napisał zgryźliwie Heiden.

Jako swojego sekretarza oraz redaktora „N.S. Briefe” Strasser zatrudnił pochodzącego z Nadrenii dwudziestoośmiolatka o nazwisku Goebbels.

POCZĄTKI PAULA JOSEPHA GOEBBELSA

Ten smagły, kulawy, niski młody człowiek o lotnym umyśle oraz skomplikowanej, neurotycznej osobowości, nie był zupełnie nowy w ruchu nazistowskim. Odkrył go już w 1922 r., gdy w Monachium słuchał mowy Hitlera; dał się wtedy „nawrócić” i wstąpił do partii. Ale ruch tak naprawdę

odkrył go dopiero trzy lata później, gdy Gregor Strasser, słysząc, jak przemawia, uznał, że przydadzą mu się widoczne na pierwszy rzut oka talenty młodzieńca. W wieku 28 lat Goebbels był już zapalonym mówcą, fanatycznym nacjonalistą i jak przekonał się Strasser, posiadał kąśliwe pióro oraz, co rzadkie wśród nazistowskich liderów, przyzwoite wykształcenie akademickie. Heinrich Himmler niedawno zrezygnował z funkcji sekretarza Strassera, żeby poświęcić się hodowli kurczaków, więc ten mianował Goebbelsa w jego miejsce. Decyzja ta miała okazać się doniosła w skutkach.

Paul Joseph Goebbels urodził się 29 października 1897 r. w Rheydt, położonym w Nadrenii trzydziestotysięcznym ośrodku przemysłu tekstylnego. Jego ojciec Fritz był brygadzistą w miejscowym zakładzie włókienniczym. Matka, Maria Katharina Odenhausen, była córką kowala. Jego rodzice byli pobożnymi katolikami.

Joseph zdobył większość wykształcenia w katolickich szkołach. Uczęszczał do szkoły parafialnej, a następnie do gimnazjum w Rheydt. Stypendium katolickiego Towarzystwa Alberta Wielkiego umożliwiło mu wyjazd na uniwersytet, a ściślej rzecz biorąc, na osiem uniwersytetów. Przed uzyskaniem doktoratu w Heidelbergu w 1921 r., w wieku 24 lat, studiował na uczelniach w Bonn, Freiburgu, Würzburgu, Kolonii, Frankfurcie, Monachium i Berlinie. W owych szacownych instytucjach – a był to kwiat niemieckiego szkolnictwa wyższego – koncentrował się na studiowaniu filozofii, historii, literatury i sztuki, a także poznał łacinę i grekę.

Goebbels chciał zostać pisarzem. W roku obrony doktoratu napisał powieść autobiograficzną pt. *Michael*, ale w tamtym czasie nie zainteresował nią żadnego wydawcy. W ciągu kolejnych kilku lat ukończył dwie sztuki, *Wędrowca* (opowiadającego o Chrystusie) oraz *Samotnego gościa* (obie napisał wierszem), ale żaden producent nie zechciał wystawić ich na scenie[175]. W dziennikarstwie też mu się nie wiodło. Wielkonakładowy liberalny dziennik „Berliner Tageblatt” odrzucił dziesiątki jego tekstów i podanie o zatrudnienie w roli reportera.

Jego młodość także była pełna frustracji. Ze względu na kalectwo nie mógł służyć na wojnie, więc został pozbawiony doświadczenia, które, przynajmniej początkowo, wydawało się tak chwalebne dla każdego młodego mężczyzny jego pokolenia oraz niezbędne do zajęcia jakiegoś ważnego stanowiska w Partii Nazistowskiej. Wbrew panującemu poglądowi

Goebbels wcale nie przyszedł na świat ze stopą końsko-szpotawą. W wieku siedmiu lat doznał zapalenia kości i szpiku. Operacja na lewym udzie zakończyła się niepowodzeniem, lewa noga pozostała krótsza i wątlejsza niż prawa. Ułomność ta, przez którą kulał, irytowała go do końca życia i była jedną z przyczyn jego zgorzknienia w młodości. W czasach nauki uniwersyteckiej oraz w krótkim okresie, gdy agitował przeciwko francuskiej obecności w Zagłębiu Ruhry, zrozpaczony podawał się za rannego weterana wojennego.

Nie miał też szczęścia w miłości, choć przez całe życie uważał swoje gonitwy za spódniczkami, z których zasłynął po dojściu do władzy, za wielkie podboje miłosne. Jego dzienniki z lat 1925-1926, czyli gdy miał 28-29 lat, a Strasser zaangażował go w nazistowską politykę, są pełne wywodów o ukochanych, a tych miewał po kilka na raz[176]. I tak na przykład:

14 sierpnia 1925 r.: Alma przysłała mi kartkę z Bad Harzburg. Pierwszy sygnał od niej od czasu tamtej nocy. Ach ta przekorna, czarująca Alma!

Dostałem pierwszy list ze Szwajcarii od Else. Tylko droga Else potrafi tak pisać (…). Niedługo jadę na tydzień do Nadrenii, będę tam dość samotny. Potem przyjedzie Else (…). Ależ nie mogę się doczekać!

15 sierpnia: Ostatnimi czasy często myślę o Anke (…). Ależ cudownie się z nią podróżowało. Wspaniała dziewucha!

Tęsknię za Else. Kiedy znów będę tulił ją w ramionach?

Else, kochana, kiedy się zobaczymy?

Alma, moja ty droga kruszynko!

Anke, nie mogę o tobie zapomnieć!

27 sierpnia: Trzy dni w Nadrenii (…). Ani słowa od Else (…). Jest na mnie zła? Usycham z tęsknoty! Mieszkam w tym samym pokoju co z nią na ostatnie Zesłanie Ducha Świętego. Ach, te myśli! Ach, te uczucia! Dlaczego nie przyjeżdża?

3 września: Else już jest! Wróciła ze Szwajcarii we wtorek – gruba, dorodna, zdrowa, wesoła, tylko delikatnie opalona. Jest bardzo szczęśliwa i ma świetne samopoczucie. Jest dla mnie dobra i daje mi wiele uciechy.

14 października: Dlaczego Anke musiała mnie zostawić? (…) Nie mogę o tym myśleć.

21 grudnia: Jakaś klątwa ciąży nade mną i nad tymi kobietami. Niedola dla wszystkich, które mnie kochają!

29 grudnia: Zeszłego wieczoru pojechałem do Krefeld z Hessem. Obchody świąteczne. Cudowna, piękna dziewczyna z Frankonii. W moim typie. Poszedłem z nią do domu przez deszcz i zawieruchę. *Au revoir*!

Przyjechała Else.

6 lutego 1926 r.: Tęsknię za jakąś słodziutką kobietą! Och, co za tortury!

Goebbels nigdy nie zapomniał o „Anke” – Anke Helhorn, jego pierwszej miłości, którą poznał na drugim semestrze we Freiburgu. W jego dziennikach roi się od bełkotu na temat jej ciemnoblond włosów i urody oraz jego późniejszego rozczarowania, gdy go zostawiła. Kiedy był już ministrem propagandy, z typowym dla siebie cynizmem i próżnością opowiedział przyjaciołom, dlaczego go porzuciła: „Zdradziła mnie, bo ten drugi miał więcej pieniędzy i mógł pozwolić sobie, żeby zabierać ją na kolacje i przedstawienia. Głupia! (…) Mogła dziś być żoną ministra propagandy! Ależ musi być przygnębiona!”. Anke wyszła za „tego drugiego”, następnie się z nim rozwiodła i w 1934 r. przyjechała do Berlina, gdzie Goebbels załatwił jej pracę w czasopiśmie[177].

Młodego Goebbelsa przyciągał radykalizm Strassera, jego wiara w „socjalizm” narodowego socjalizmu. Obaj pragnęli zbudować partię proletariatu. Dzienniki Goebbelsa z tego okresu są pełne wyrazów sympatii dla komunizmu. 23 października 1925 r. napisał: „Ostatecznie wydaje się, że lepiej, abyśmy zakończyli żywot pod bolszewizmem niż trwali w niewolnictwie kapitalizmu”. 31 stycznia 1926 r. tłumaczył sam sobie: „Uważam, że to koszmarne, że my [naziści] i komuniści okładamy się po łbach (…). Gdzie moglibyśmy dotrzeć pod wodzą komunistów?”. To w tym okresie opublikował list otwarty do komunistycznego przywódcy, w którym zapewniał, że komunizm i nazizm to w zasadzie to samo. „Ty i ja walczymy ze sobą, ale tak naprawdę nie jesteśmy wrogami”, oświadczył.

Dla Adolfa Hitlera były to czyste herezje. Z coraz większym niepokojem obserwował sukcesy, jakie w budowie energicznego, radykalnego, proletariackiego skrzydła partii na północy Niemiec odnoszą bracia Strasserowie i Goebbels. Pozostawieni samym sobie, mogliby pociągnąć za sobą całą partię, i to ku celom, którym Hitler zaciekle się sprzeciwiał. Do nieuchronnej próby sił doszło jesienią 1925 r. i w lutym następnego roku.

Doprowadzili do niej Gregor Strasser i Goebbels, a poszło o kwestię, która budziła w tym czasie w Niemczech duże emocje. Mowa o propozycji wysuniętej przez socjaldemokratów i komunistów, aby rozległe dobra

ziemskie i majątki zdetronizowanych rodów królewskich i książęcych zostały wywłaszczone i przejęte przez republikę. Zgodnie z konstytucją weimarską sprawa miała zostać rozstrzygnięta drogą ogólnonarodowego plebiscytu. Strasser i Goebbels chcieli, aby naziści włączyli się w kampanię po stronie lewicy i poparli wywłaszczenie.

Hitler wpadł w szał. Kilku byłych władców wpłacało pieniądze na partię. Ale na tym nie koniec. Sporo wielkich przemysłowców zaczynało finansowo interesować się odradzonym ruchem nazistowskim właśnie dzięki obietnicom skutecznej walki z komunistami, socjalistami i związkami zawodowymi. Gdyby Strasser i Goebbels zrealizowali swoje plany, źródła przychodów wyschłyby dosłownie z dnia na dzień.

Jednak zanim Hitler zdążył wykonać ruch, Strasser zwołał na 22 listopada 1925 r. do Hanoweru spotkanie liderów partyjnych z północnych okręgów. Jego celem było nie tylko opowiedzenie się północnej gałęzi NSDAP za planem wywłaszczeniowym, ale także wdrożenie nowego programu ekonomicznego, który zastąpiłby „reakcyjne” 25 punktów, przyjęte jeszcze w 1920 r. Strasser i Goebbels chcieli nacjonalizacji wielkich przedsiębiorstw i wielkich majątków, a także wprowadzenia w Reichstagu zmian na wzór włoskich faszystów. Hitler odmówił udziału w spotkaniu, ale wysłał na północ wiernego Gottfrieda Federa, który miał go reprezentować i stłumić bunt. Goebbels domagał się wyrzucenia go z obrad. „Nie chcemy tu żadnych kapusiów!”, gardłował. Na spotkaniu zjawiło się kilku nazistów, którzy pozostawią trwały ślad na historii III Rzeszy: Bernhard Rust, Erich Koch, Hans Kerrl czy Robert Ley – i tylko ten ostatni, chemik, alkoholik i przywódca okręgu kolońskiego, poparł Hitlera. Gdy wraz z Federem dowodzili, że zebranie jest bezprawne, a bez Hitlera, naczelnego wodza, nie można nic ustalić, Goebbels krzyknął (przynajmniej według obecnego tam Otto Strassera): „Domagam się wydalenia z Partii Nazistowskiej tego drobnego burżuja Adolfa Hitlera!”.

Zapalczywy młody Goebbels bardzo się zmienił, odkąd trzy lata wcześniej uległ urokowi Hitlera, a przynajmniej tak musiało się wydawać Gregorowi Strasserowi.

„W tym momencie narodziłem się na nowo!”, napisał Goebbels, wspominając swoje wrażenie z pierwszej styczności z Hitlerem, gdy ten przemawiał w monachijskim Circus Krone w czerwcu 1922 r. „Wiedziałem już, jaką drogę obrać (…). To było jak wezwanie!”. Opisując postawę

Hitlera podczas procesu monachijskich puczystów, wpadł w jeszcze większą ekstazę. Tak oto postrzegał Führera po ogłoszeniu wyroków:

> Pojawiłeś się przed naszymi zdumionymi oczyma niczym wschodząca gwiazda, dokonałeś cudów, aby oczyścić nasze umysły i w świecie sceptycyzmu i rozpaczy dać nam wiarę. Górujesz nad masami, pełen wiary i pewny przyszłości, natchniony wolą, żeby owe masy oswobodzić, z twą nieskończoną miłością dla wszystkich, którzy wierzą w nową Rzeszę. Po raz pierwszy ujrzeliśmy lśniącymi oczyma męża, który zerwał maski z gęb wykrzywionych chciwością, z gęb przeciętnych parlamentarnych intrygantów (…).
>
> W monachijskim sądzie wyrosłeś przed nami do wielkości Führera. To, co mówiłeś, to największe słowa wypowiedziane w Niemczech od czasów Bismarcka. Wyraziłeś więcej niż swój ból (…). Nadałeś imię potrzebie całego pokolenia, które w zagubieniu i tęsknocie wygląda wielkich ludzi i zadań. Twoje słowa to katechizm nowej politycznej wiary, zrodzonej z rozpaczy walącego się, bezbożnego świata (…). Dziękujemy ci. Pewnego dnia podziękują ci Niemcy (…).

Ale teraz, półtora roku później, idol Goebbelsa upadł. Stał się „drobnym burżujem” zasługującym na wykopanie z partii. Na hanowerskim zebraniu Strassera, przy sprzeciwie tylko Leya i Federa, przyjęto nowy program partii i zatwierdzono decyzję o połączeniu sił z marksistami na czas kampanii poprzedzającej plebiscyt mający rozstrzygnąć o pozbawieniu dawnych królów i książąt ich własności.

Hitler cierpliwie czekał, po czym 14 lutego 1926 r. przeszedł do kontrataku. Zwołał spotkanie do Bambergu w południowych Niemczech, sprytnie wybierając dzień w środku tygodnia, aby liderzy z północy mieli problem z wyrwaniem się z pracy. I rzeczywiście, stawić zdołali się tylko Gregor Strasser i Goebbels. Zdecydowanie ustępowali liczebnie ważnym, osobiście wybranym przez Hitlera nazistom z południa. Na żądanie Führera obaj zostali zmuszeni do kapitulacji i porzucenia swojego programu. Niemieccy historycy nazizmu, tacy jak Heiden i Olden, a także idący za ich przykładem autorzy spoza Niemiec, pisali, że w Bambergu Goebbels otwarcie opuścił Strassera i przeszedł do obozu Hitlera. Jego dzienniki, odnalezione już po ukazaniu się książek Heidena i Oldena, ujawniły jednak, że wcale tak raptownie nie zdradził Strassera. Pokazują one, że wprawdzie razem ze Strasserem skapitulował przed Hitlerem, ale uważał, że Führer głęboko się myli, i przynajmniej na razie nie miał zamiaru przechodzić na jego stronę. 15 lutego, dzień po spotkaniu w Bambergu, zwierzył się swemu dziennikowi:

> Hitler mówił przez dwie godziny. Mam wrażenie, jakby ktoś mnie pobił. Cóż to za Hitler? [sic!] Reakcjonista? Skrajnie niezdarny i niestabilny. Całkowicie myli się w kwestii rosyjskiej. Włochy i Anglia to nasi naturalni sojusznicy! Koszmar! (…) Musimy unicestwić Rosję! (…) Nie wolno dotykać kwestii prywatnej własności szlachty. Koszmar! (…) Brak mi słów. Czuję się, jakbym oberwał w głowę (…).
>
> To na pewno jedno z największych rozczarowań w moim życiu. Straciłem pełną wiarę w Hitlera. Coś strasznego: straciłem filary, na których stałem.

Chcąc pokazać, wobec kogo jest lojalny, Goebbels udał się na dworzec kolejowy ze Strasserem i próbował go pocieszyć. Tydzień później, 23 lutego, odnotował: „Długa narada ze Strasserem. Rezultat: nie możemy zazdrościć monachijskiemu motłochowi jego pyrrusowego zwycięstwa. Musimy rozpocząć własną walkę o socjalizm".

Ale Hitler ocenił tego nietuzinkowego młodzieńca lepiej niż Strasser. 29 marca Goebbels napisał: „Rano list od Hitlera. 8 kwietnia mam przemawiać w Monachium". Na południe dotarł 7 kwietnia. „Czeka samochód Hitlera – zanotował. – Co za królewskie powitanie! Będę przemawiał w historycznej Bürgerbräu". I rzeczywiście, następnego dnia wygłosił mowę z tego samego podestu co wódz. Wszystko zrelacjonował we wpisie z 8 kwietnia:

> Dzwoni Hitler (…). Jego uprzejmość, pomimo Bambergu, nas zawstydza (…). O drugiej jedziemy do Bürgerbräu. Hitler już tam jest. Serce wali mi tak mocno, że zaraz wybuchnie. Wchodzę do hali. Gromkie powitanie (…). A potem przemawiam przez dwie i pół godziny (…). Ludzie szaleją i krzyczą. Na koniec Hitler mnie obejmuje. Jestem szczęśliwy (…). Hitler cały czas jest u mego boku.

Kilka dni później poddał się kompletnie. „*13 kwietnia:* Hitler przemawiał trzy godziny. Genialnie. Potrafi sprawić, że wątpisz we własne poglądy. Włochy i Anglia nasi sojusznicy. (…) Rosja chce nas pożreć (…). Kocham go (…). Wszystko przemyślał. Jego ideał: sprawiedliwy kolektywizm i indywidualizm. Co do ziemi – wszystko należy do ludu. Produkcja musi być kreatywna i indywidualistyczna. Trusty, transport itd. uspołecznić (…). Jestem już co do niego spokojny (…). Chylę czoła przed większym człowiekiem, politycznym geniuszem".

Gdy 17 kwietnia Goebbels wyjeżdżał z Monachium, był już człowiekiem Hitlera i miał pozostać jednym z jego najbardziej lojalnych poplecznków do ostatnich chwil życia. 20 kwietnia napisał liścik urodzinowy dla Führera: „Drogi i szanowny Adolfie Hitlerze! Tak wiele się od ciebie nauczyłem (…). Dzięki tobie w końcu ujrzałem światło (…)". Wieczorem tego samego dnia zanotował w dzienniku: „Skończył trzydzieści siedem lat. Adolfie

Hitlerze, kocham cię, bo jesteś równocześnie wielki i prosty. Oto cechy geniusza”.

Goebbels spędził sporą część lata z Hitlerem w Berchtesgaden, a w jego dzienniku roi się od kolejnych peanów na cześć Führera. W sierpniu otwarcie zerwał ze Strasserem w artykule na łamach „Völkischer Beobachter”.

> Dopiero teraz rozumiem, kim jesteście: rewolucjonistami w słowach, lecz nie w czynach [chodzi o Strassera i jego zwolenników] (…). Nie gadajcie tyle o ideałach i nie łudźcie się, że to wy jesteście ich odkrywcami i obrońcami (…). Nie stoimy twardo za Führerem w ramach pokuty. (…) Chylimy przed nim czoła (…) z męską, niezmąconą dumą pradawnych mężów Północy, którzy stali wyprostowani przed ich germańskimi feudalnymi władcami. Czujemy, że jest większy od nas wszystkich, większy od was i ode mnie. Jest narzędziem Boskiej Woli, która kształtuje historię ze świeżą, kreatywną pasją.

Pod koniec października 1926 r. Hitler uczynił Goebbelsa gauleiterem Berlina. Poinstruował go, aby oczyścił kłótliwe szeregi awanturniczych brunatnych koszul, które hamują rozwój ruchu w tamtym rejonie, i zdobył stolicę dla narodowych socjalistów. Berlin był „czerwony”. Większość stołecznego elektoratu głosowała na socjaldemokratów i komunistów. Niezrażony tym Goebbels, który niedawno skończył 29 lat i w niecały rok wynurzył się z niebytu, stając się jednym ze świateł przewodnich Partii Nazistowskiej, zabrał się do swej misji w wielkim, iście babilońskim mieście.

INTERLUDIUM: CZAS ODPOCZYNKU I ROMANSU

Adolf Hitler napisał później, że te lata, chude politycznie, były jego najlepszymi w życiu prywatnym. Mając zakaz wystąpień publicznych do 1927 r., chciał dokończyć *Mein Kampf* oraz planować przyszłość własną i Partii Nazistowskiej, więc większość czasu spędzał na Obersalzbergu, górującym nad targową wioską Berchtesgaden w Alpach Bawarskich. Było to wymarzone miejsce na odpoczynek i relaks.

Monologi wygłaszane przez Hitlera w różnych kwaterach głównych na froncie podczas wojny, kiedy to relaksował się późnymi wieczorami w towarzystwie starych towarzyszy partyjnych i lojalnych sekretarek,

wspominając minione czasy, pełne są nostalgicznych wywodów o tym górskim zaciszu, gdzie zbudował swój jedyny prawdziwy dom. Podczas jednego z takich posiedzeń, nocą z 16 na 17 stycznia 1942 r., opowiadał: „Tak, tak wiele łączy mnie z Obersalzbergiem. Tyle się tam zrodziło (…). Spędziłem tam najlepsze godziny życia (…). Tam powstawały i dojrzewały wszystkie moje wielkie projekty. Miałem w tamtym czasie wiele godzin na odpoczynek i mnóstwo czarujących przyjaciół!”.

W ciągu pierwszych trzech lat po zwolnieniu z więzienia pomieszkiwał w wielu gospodach na Obersalzbergu i akurat tej zimowej nocy 1942 r. wspominał je przez bitą godzinę. Ostatecznie osiadł w Deutsche Haus, gdzie spędził prawie dwa lata i tam skończył dyktować *Mein Kampf*. Opowiadał, że wraz z partyjnymi kamratami „lubiliśmy odwiedzać Dreimäderlhaus, gdzie zawsze zastawaliśmy ładne dziewczęta. Znajdowałem w tym wielką przyjemność. Była tam zwłaszcza taka jedna, naprawdę piękna”.

Tej nocy w bunkrze na froncie wschodnim wyjawił słuchaczom, że w owych przyjemnych latach w Berchtesgaden zajmowały go dwie sprawy.

> W tym okresie [na Obersalzbergu] znałem wiele kobiet. Kilka z nich się do mnie przywiązało. Dlaczego więc się nie ożeniłem? Miałbym zostawić żonę samą? Za najbłahszą nieroztropność groził mi powrót do więzienia na sześć lat. Małżeństwo nie wchodziło w grę. Musiałem więc rezygnować z pewnych pojawiających się okazji[178].

Obawa żywiona przez Hitlera w połowie lat 20., że mógłby wrócić do więzienia lub zostać deportowany, nie była bezpodstawna. Nadal przebywał na zwolnieniu warunkowym. Gdyby jawnie naruszył zakaz wystąpień publicznych, bawarski rząd mógłby wtrącić go za kraty lub wydalić za granicę, do rodzimej Austrii. Jednym z powodów, dla których na swe ustronie wybrał właśnie Obersalzberg, była bliskość Austrii. Gdyby działo się coś złego, mógłby natychmiast przemknąć przez granicę i uniknąć aresztowania. Jednak powrót do Austrii, przymusowy czy dobrowolny, zrujnowałby jego plany. Chcąc ograniczyć ryzyko deportacji, 7 kwietnia 1925 r. formalnie zrzekł się austriackiego obywatelstwa; wiedeńskie władze bezzwłocznie zaakceptowały tę decyzję. W efekcie stał się bezpaństwowcem, człowiekiem bez kraju. Zrezygnował z obywatelstwa austriackiego, ale nie został obywatelem Niemiec. Była to spora niedogodność dla uprawiania polityki w Rzeszy. Przede wszystkim nie mógł zostać wybrany na żaden urząd. Hitler publicznie zadeklarował, że

nigdy nie będzie błagał republikańskiego rządu o obywatelstwo, choć uważał, że należy mu się ono ze względu na służbę w armii cesarskiej podczas wojny. Niemniej przez całą drugą połowę lat 20. potajemnie zabiegał u bawarskiego rządu o przyznanie paszportu. Na próżno.

Co się zaś tyczy kobiet i małżeństwa, w opowieści Hitlera z zimowej nocy 1942 r. było ziarno prawdy. Wbrew obiegowej opinii lubił towarzystwo pań, zwłaszcza pięknych. Podczas wojny w swoich pogadankach w naczelnym dowództwie co jakiś czas wracał do tego tematu. „Na świecie jest tyle pięknych kobiet!", zawołał do swoich zauszników nocą z 25 na 26 stycznia 1942 r., po czym podał kilka przykładów z własnego doświadczenia, nie wzbraniając się przed przechwałkami: „Za czasów mojej wiedeńskiej młodości znałem wiele cudnych kobiet!". Heiden wspomniał o kilku obiektach jego romantycznych tęsknot z młodych lat: o Jenny Haug, której brat był jego szoferem i która uchodziła za jego sympatię w 1923 r.; o wysokiej i statecznej Ernie Hanfstaengl, siostrze Putziego; o Winifred Wagner, synowej Richarda Wagnera. Lecz, o ile wiadomo, jedyną głębszą przygodę miłosną przeżył ze swą siostrzenicą.

Latem 1928 r. Hitler za 100 marek miesięcznie (25 dolarów) wynajął od wdowy po pewnym hamburskim przemysłowcu willę Wachenfeld na Obersalzbergu i nakłonił swą owdowiałą przyrodnią siostrę Angelę Raubal, aby przyjechała z Wiednia i dbała o pierwszy dom, jaki naprawdę mógł nazwać własnym[179]. Pani Raubal przywiozła ze sobą dwie córki, Geli i Friedl. Ta pierwsza miała 20 lat, bujne blond włosy, przyjemną aparycję, miły głos i pogodne usposobienie, czym przyciągała mężczyzn[180].

Hitler szybko się w niej zakochał. Zabierał ją ze sobą wszędzie, na spotkania i narady, na długie spacery po górach, do monachijskich kawiarenek i teatrów. Kiedy w 1929 r. wynajął luksusowy, dziewięciopokojowy apartament przy Prinzregentenstrasse, jednej z najmodniejszych arterii w mieście, Geli otrzymała w nim własny pokój. W Monachium oraz w nazistowskich kręgach całych południowych Niemiec oczywiście pojawiły się plotki o wodzu partii i jego blondwłosej siostrzenicy. Co bardziej pruderyjni – albo zazdrośniejsi – liderzy sugerowali, żeby Hitler przestał pokazywać się ze swoją młodocianą sympatią publicznie albo ją poślubił. Führer wpadał w furię, gdy pojawiał się ten temat, a podczas jednej z takich kłótni zdymisjonował gauleitera Wirtembergii.

Możliwe, że zamierzał się z nią ożenić. Towarzysze partyjni, którzy w tamtych latach pozostawali z nim w bliskim kontakcie, opowiadali później autorowi, że ślub zdawał się nieunikniony. Nie mieli wątpliwości, że Hitler był zakochany po uszy. Co do uczuć Geli, możemy jedynie snuć domysły. Względy ze strony mężczyzny, który szybko zyskiwał sławę, na pewno jej schlebiały i sprawiały przyjemność. Nie wiadomo natomiast, czy odwzajemniała miłość wuja; prawdopodobnie nie, a pod koniec na pewno nie. Pojawił się pomiędzy nimi rozdźwięk, którego powodu oraz charakteru nie możemy być pewni. Obrodziło spekulacjami, ale brakowało dowodów. Wydaje się, że byli o siebie zazdrośni. Geli miała pretensje, że Hitler poświęca uwagę innym kobietom, m.in. Winifred Wagner. On z kolei podejrzewał, że Geli ma potajemny romans z Emilem Maurice'em, byłym skazańcem i jego ochroniarzem. Geli sprzeciwiała się tyranii wuja. On nie życzył sobie, aby pokazywała się w towarzystwie jakiegokolwiek innego mężczyzny. Zabronił jej wyjeżdżać do Wiednia i kontynuować tam naukę śpiewu, tłamsił jej aspiracje zrobienia kariery operowej. Chciał mieć ją tylko dla siebie.

Pojawiły się mętne poszlaki, że odrzucały ją masochistyczne skłonności ukochanego, że ten bezlitosny polityk pragnął być niewolony przez umiłowaną kobietę – według seksuologów to dość częste upodobanie u mężczyzn tego typu. Heiden mówi o liście napisanym przez Hitlera do siostrzenicy w 1929 r., w którym przyznaje się do swych gustów w tym względzie. List ten wpadł w ręce syna właścicielki domu, co zaowocowało tragicznymi konsekwencjami dla wielu osób[181].

Abstrahując od tego, co rzucało cień na miłość wuja i siostrzenicy, ich kłótnie stawały się coraz gwałtowniejsze i pod koniec lata 1931 r. Geli oświadczyła, że wraca do Wiednia, aby wznowić naukę śpiewu. Hitler jej zabronił. Gdy 17 września 1931 r. Hitler wychodził z ich monachijskiego apartamentu, wybierając się do Hamburga, doszło między nimi do scysji, którą widzieli sąsiedzi. Słyszano, jak dziewczyna woła przez okno za wsiadającym do samochodu wujem: „Czyli zabraniasz mi jechać do Wiednia?", na co on odkrzyknął: „Tak!".

Następnego ranka Geli Raubal znaleziono martwą w jej pokoju, miała ranę postrzałową. Prokurator krajowy po gruntownym śledztwie orzekł, że popełniła samobójstwo. Koroner poinformował, że kula przeszła przez klatkę piersiową pod jej lewym ramieniem i przebiła serce. Wyglądało na to, że ponad wszelką wątpliwość postrzeliła się sama.

A jednak po upływie lat w Monachium dało się słyszeć ponurą plotkę, że Geli Raubal została zamordowana – przez Hitlera w napadzie złości albo przez Himmlera, aby położyć kres coraz bardziej krępującej dla partii sytuacji. Niemniej nigdy nie pojawiły się solidne dowody na poparcie tych plotek.

Sam Hitler pogrążył się w smutku i zgryzocie. Gregor Strasser wspominał później, że przez dwa dni i dwie nocy musiał być u jego boku, żeby nie szarpnął się na własne życie. Tydzień po pogrzebie Geli w Wiedniu Hitler uzyskał od austriackich władz specjalną zgodę na przyjazd; przez cały wieczór szlochał nad jej grobem. Nie ustawał w żalu całymi miesiącami.

Trzy tygodnie po śmierci Geli Hitler odbył swą pierwszą rozmowę z Hindenburgiem. Rozpoczynał walkę o najwyższą stawkę, kanclerstwo Rzeszy. Ci, którzy go znali, przypisywali jego rozkojarzenie w tej doniosłej chwili (część jego przyjaciół opowiadała, że w trakcie rozmowy nie był w najwyższej formie, co nie wyszło mu na dobre) wstrząsowi po utracie ukochanej siostrzenicy.

Zdaje się, że to właśnie przez ten osobisty cios, w ramach aktu wyrzeczenia, Hitler postanowił nie jeść mięsa, tak przynajmniej sądzili jego najbliżsi współpracownicy. Wyznał im później, że Geli Raubal była jedyną kobietą, którą kochał, i zawsze mówił o niej z najgłębszą czcią, czasami przez łzy. Służący opowiadali, że jej pokój w willi na Obersalzbergu, nawet po rozbudowie po dojściu Hitlera do władzy, został zachowany tak jak go zostawiła. W jego pokoju, a także w berlińskiej kancelarii, zawsze wisiały portrety tej młodej kobiety[182], a gdy zbliżały się rocznice jej urodzin i śmierci, pojawiały się wokół nich świeże kwiaty.

Uczucie do młodej Geli Raubal to jedna z tajemnic życia tego brutalnego, cynicznego mężczyzny, który zdawał się niezdolny do kochania innego człowieka. Jak to bywa z tajemnicami, nie da się jej racjonalnie wytłumaczyć, można o niej tylko dyskutować. Jestem niemal pewien, że później Adolf Hitler nie myślał poważnie o małżeństwie, aż do przedednia samobójczej śmierci 14 lat później.

Kompromitujący list Hitlera do siostrzenicy został odzyskany z rąk syna właścicielki monachijskiego budynku dzięki zabiegom ojca Bernharda Stempfle, hieronimity i antysemickiego dziennikarza, który pomagał nazistowskiemu przywódcy przy porządkowaniu *Mein Kampf* na potrzeby

publikacji. Według Heidena pieniądze na jego wykup przekazał Franz Xavier Schwarz, skarbnik partii. A zatem ojciec Stempfle znalazł się w wąskim gronie osób, które miały jakiekolwiek pojęcie o miłości Hitlera do Geli. I najwyraźniej nie zachował tej wiedzy dla siebie. Gdy autor *Mein Kampf* został dyktatorem Niemiec i zaczął wyrównywać rachunki z niektórymi starymi znajomymi, Stempflemu przyszło zapłacić za to życiem.

Nigdy nie udało się ustalić, co stanowiło dla Hitlera źródło dochodów w tamtym przyjemnym okresie, kiedy kupił willę na Obersalzbergu, wynajął luksusowy apartament w Monachium i jeździł rzucającym się w oczy samochodem z prywatnym szoferem, za który zapłacił 20 tysięcy marek (5000 dolarów). Pewne światło na to zagadnienie rzucają jego dokumenty podatkowe, które wypłynęły po wojnie[183]. Dopóki Hitler nie został kanclerzem i nie uznał, że jest zwolniony z obowiązku płacenia podatków, pozostawał w nieprzerwanym konflikcie z władzami skarbowymi i w monachijskim Biurze Finansowym pomiędzy 1925 a 1933 r. uzbierała się na jego temat pękata teczka.

1 maja 1925 r. Biuro zawiadomiło go, że nie złożył zeznania podatkowego za 1924 r. lub pierwszy kwartał 1925 r. Hitler odpisał: „Nie miałem dochodów w 1924 r. [siedział wtedy w więzieniu] ani w pierwszym kwartale 1925. Wydatki bieżące pokrywałem dzięki podniesieniu pożyczki bankowej”. A co z samochodem za 20 tysięcy marek, ripostował urzędnik. Hitler odparł, że auto także kupił dzięki pożyczce. We wszystkich zeznaniach podatkowych w rubryce zawód wpisywał „pisarz” i jako taki próbował znaczną część swoich przychodów ukazywać jako wydatki podlegające odpisowi od podatku. Najwyraźniej dobrze znał praktyki stosowane przez pisarzy na całym świecie. Jego pierwsza deklaracja podatku dochodowego, za trzeci kwartał 1925 r., wymienia przychód brutto na poziomie 11 231 marek, wydatki podlegające odpisowi – 6540 marek, a spłatę odsetek pożyczek – 2245 marek, więc przychód podlegający opodatkowaniu wyniósł 2446 marek.

Hitler w trzystronnym, napisanym na maszynie wyjaśnieniu bronił swoich odpisów wydatków zawodowych, argumentując, że chociaż duża ich część zdaje się być kosztami działalności politycznej, to tego rodzaju praca zapewnia mu materiał potrzebny każdemu pisarzowi politycznemu i pomaga podnieść sprzedaż jego książek.

> Gdyby nie aktywność polityczna, moje nazwisko pozostałoby nieznane i brakowałoby mi materiałów niezbędnych do wydawania prac politycznych (…).

> Dlatego też w moim przypadku, pisarza politycznego, koszty działalności politycznej, która jest niezbędnym warunkiem mojego zawodowego pisarstwa, a także gwarantuje jego finansowy sukces, nie mogą być uważane za podlegające opodatkowaniu (…).
>
> Biuro Finansowe może zauważyć, że z przychodów z moich książek za ten okres tylko nieznaczny ułamek został wydany na mnie; *nie posiadam nigdzie żadnej własności ani innych środków kapitałowych, które mógłbym nazwać własnymi*[184]. Z konieczności ograniczam swoje potrzeby do tego stopnia, że jestem całkowitym abstynentem od alkoholu i tytoniu, jem posiłki w najskromniejszych restauracjach i pomijając minimalny czynsz za mieszkanie, nie mam wydatków, które nie są wydatkami pisarza politycznego (…). *Ponadto automobil jest dla mnie jedynie środkiem służącym temu celowi. Tylko dzięki niemu mogę wykonywać bieżącą pracę*[185].

Biuro Finansowe dopuściło tylko połowę odpisów, a gdy Hitler odwołał się od tej decyzji do Rady Oceniającej, podtrzymała ona pierwotną decyzję. Od tego czasu władze skarbowe pozwalały mu jedynie na połowę odpisów. Hitler protestował, ale płacił.

Zgłoszony dochód nazistowskiego przywódcy pokrywa się z grubsza z jego tantiemami za *Mein Kampf*: 19 843 marki w 1925 r., 15 903 marki w 1926, 11 494 marki w 1927, 11 818 marek w 1928 i 15 488 marek w 1929 r. Ponieważ księgi wydawców podlegały kontrolom urzędów podatkowych, Hitler nie mógł ryzykować i zgłaszać przychodów niższych od tantiem. Ale co z innymi źródłami przychodów? Tych nigdy nie zgłoszono. Wiedziano, że domagał się wysokich gaż za liczne artykuły, jakie pisywał dla zubożałej wówczas nazistowskiej prasy, i je otrzymywał. W partyjnych kręgach narzekano, że Hitler wysoko się ceni. W jego deklaracjach podatkowych brakuje tych pozycji. Pod koniec lat 20. do partii zaczęły napływać pieniądze od kilku bawarskich i nadreńskich przemysłowców, których przyciągało zwalczanie przez Hitlera marksistów i związków zawodowych. Fritz Thyssen, szef niemieckiego trustu stalowego Vereinigte Stahlwerke, oraz Emil Kirdorf, węglowy król Zagłębia Ruhry, przekazali nazistom pokaźne sumy. Pieniądze nierzadko trafiały bezpośrednio w ręce Hitlera. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, ile zatrzymał dla siebie. Niemniej poziom życia, jakie wiódł w ostatnich latach przed objęciem kanclerstwa, wskazuje, że nie przekazywał do partyjnej kasy wszystkich środków od darczyńców.

W latach 1925-1928 Hitler wielokrotnie skarżył się na problemy z uiszczaniem podatku dochodowego; nieustannie ciążyły na nim zaległości i składał podania o odroczenia płatności. We wrześniu 1926 r. pisał do Biura

Podatkowego: „W tej chwili nie mam możliwości zapłaty podatku; musiałem wziąć pożyczkę, aby móc pokryć bieżące wydatki”. Później twierdził: „Przez lata [tj. w tym okresie] żyłem o tyrolskich jabłkach. Trudno uwierzyć, jak musieliśmy gospodarować pieniędzmi. Każda zaoszczędzona marka szła na partię”. W latach 1925-1928 utrzymywał przed poborcami podatków, że popada w coraz głębsze długi. W 1926 r. zgłosił wydatki na poziomie 31 209 marek przy przychodzie 15 903 marek i oświadczył, że deficyt pokrył z „pożyczek bankowych”.

Później, w 1929 r., z jego deklaracji podatkowej w jakiś magiczny sposób zniknęła (i nigdy nie pojawiła się ponownie) pozycja dotycząca spłat odsetek czy samych pożyczek, choć zgłosił znacznie niższy przychód niż w 1925 r. Jak zauważył profesor Hale, na którego badaniach opiera się ten fragment książki, „wydarzył się finansowy cud i Hitler zlikwidował swoje zadłużenie”[186].

Wydaje się, że Hitler, należy mu to uczciwie oddać, nigdy szczególnie nie dbał o pieniądze, o ile tylko starczało mu na wygodne życie i nie musiał na nie harować. W każdym razie, począwszy od 1930 r., kiedy przychody z jego tantiem wzrosły nagle trzykrotnie w stosunku do roku poprzedniego, do około 12 tysięcy dolarów, a pieniądze od wielkiego biznesu zaczęły napływać szerokim strumieniem, wszelkie obawy finansowe, jakie mógł żywić, zniknęły na dobre. Mógł wreszcie poświęcić całość swej nieokiełznanej energii i wszystkie talenty wypełnianiu swego przeznaczenia. Nadszedł czas marszu po władzę, po dyktaturę tego wielkiego państwa.

SZANSE WIELKIEGO KRYZYSU

Kryzys, który pod koniec 1929 r. ogarnął świat niczym wielka pożoga, ofiarował Adolfowi Hitlerowi szansę, na którą czekał, i świetnie ją wykorzystał. Podobnie jak większość wielkich rewolucjonistów, mógł kwitnąć jedynie w trudnych czasach: najpierw, gdy masy Niemców nie miały pracy, głodowały i poddawały się rozpaczy, i później, gdy były upojone wojną. Natomiast w jednym względzie wyróżniał się na tle innych wielkich rewolucjonistów naszej historii: zamierzał przeprowadzić rewolucję *po* objęciu władzy. Przejęcie kontroli nad państwem nie miało się odbyć drogą rewolucji. Umożliwić miał to mandat od wyborców lub

przyzwolenie rządzących – krótko mówiąc, środki zgodne z konstytucją. Aby zdobyć głosy, Hitler musiał jedynie wykorzystać pomyślny okres, gdyż na początku lat 30. naród niemiecki znowu ogarnęła nędza. Aby zjednać sobie ludzi stojących u steru władzy, musiał ich przekonać, że tylko on potrafi wyprowadzić Niemcy z koszmarnych tarapatów. W burzliwych latach 1930-1933 przebiegły i zuchwały nazistowski przywódca zajął się realizacją tego celu ze zdwojoną energią. Z perspektywy czasu widać, że na korzyść Hitlera działał sam bieg wydarzeń, a także słabość i dezorientacja garstki ludzi, którzy przysięgali lojalnie bronić demokratycznej republiki. Ale na początku 1930 r. w żaden sposób nie dało się tego przewidzieć.

Gustav Stresemann zmarł 3 października 1929 r. Wyczerpała go wytężona praca w minionych sześciu latach, kiedy jako minister spraw zagranicznych dokładał starań, żeby przywrócić Niemcom status mocarstwa i poprowadzić naród ku politycznej i ekonomicznej stabilizacji. Osiągnął kolosalny sukces. Wprowadził Niemcy do Ligi Narodów, wynegocjował plany Dawesa i Younga obniżające reparacje wojenne do poziomu, z którym kraj mógł sobie bez trudu poradzić. W 1925 r. był jednym z głównych architektów paktu z Locarno, który zapewnił Europie Zachodniej okres spokoju, jakiego jej wyczerpane wojną, rozrywane sporami narody zaznały po raz pierwszy od pokoleń.

Trzy tygodnie po śmierci Stresemanna, 24 października, nastąpił krach na Wall Street. Niemcy szybko odczuły jego skutki – i były one katastrofalne. Fundamentem niemieckiego dobrobytu były pożyczki zagraniczne, głównie z Ameryki, oraz handel międzynarodowy. Kiedy strumień pożyczek wyschnął i nadszedł czas spłaty poprzednich, niemiecka struktura finansowa zatrzęsła się w posadach. W wyniku ogólnego załamania gospodarczego spadły obroty światowego handlu i Niemcy nie mogły eksportować na tyle, aby płacić za niezbędny im import surowców i żywności. Z kolei bez eksportu niemiecki przemysł nie był w stanie utrzymać fabryk. Pomiędzy 1929 a 1932 r. jego produkcja spadła o połowę. Miliony ludzi straciły pracę. Tysiące małych przedsiębiorstw splajtowało. W maju 1931 r. upadł Kreditanstalt, największy austriacki bank, a 13 lipca w jego ślady poszedł jeden z ważniejszych banków niemieckich, Darmstädter und Nationalbank, co zmusiło berliński rząd do tymczasowego zamknięcia wszystkich banków. Fali kryzysu nie mogła powstrzymać nawet inicjatywa moratorium na długi wojenne, w tym niemieckie reparacje, wysunięta przez prezydenta Hoovera, która weszła w życie 6 lipca. Cały

świat zachodni sparaliżowały siły, których jego przywódcy nie rozumieli i które według nich znajdowały się poza ludzką kontrolą. Jak to możliwe, że nagle, pośród takiego dobrobytu, pojawiła się taka nędza i tyle ludzkiego cierpienia?

Hitler przewidział katastrofę, ale z jej przyczyn rozumiał mniej więcej tyle samo co inni politycy, a może nawet mniej, bo na gospodarce kompletnie się nie znał i go nie interesowała. Natomiast potrafił dostrzec szanse, jakie niespodziewanie zaoferował mu kryzys. Niedola narodu niemieckiego, który nadal nosił piętno katastrofalnego załamania marki niecałą dekadę wcześniej, nie budziła w nim współczucia. Wręcz przeciwnie, w najmroczniejszych dniach tego okresu, gdy niemieckie fabryki stały ciche i ciemne, gdy liczba zarejestrowanych bezrobotnych przekroczyła 6 milionów, gdy w każdym mieście kolejki za chlebem ciągnęły się całymi kwartałami, on potrafił napisać w nazistowskiej prasie: „Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak dobrze usposobiony i wewnętrznie zadowolony jak obecnie. Trudne realia bowiem otworzyły milionom Niemców oczy na bezprecedensowe szwindle, kłamstwa i zdrady marksistowskich oszustów narodu”[187]. Nie zamierzał marnować czasu na współczucie cierpieniom rodaków, ale z zimną krwią i bez chwili zwłoki chciał przekuć je na polityczne poparcie dla własnych ambicji. Swoje zamiary zaczął wcielać w życie późnym latem 1930 r.

Hermann Müller, ostatni socjaldemokratyczny kanclerz Niemiec i szef ostatniego rządu koalicyjnego ugrupowań demokratycznych lojalnych wobec republiki, zrezygnował z urzędu w marcu 1930 r. z powodu sporów partyjnych o fundusz ubezpieczeń od bezrobocia. Zastąpił go Heinrich Brüning, parlamentarny szef katolickiej Partii Centrum, który podczas wojny zdobył Żelazny Krzyż jako kapitan kompanii karabinów maszynowych. Jego trzeźwe, zachowawcze poglądy zwróciły przychylną uwagę armii, a zwłaszcza szerzej wówczas nieznanego niemieckiej opinii publicznej generała Kurta von Schleichera. Ten próżny, zręczny i ambitny „biurowy oficer”, który zasłynął w kręgach wojskowych jako utalentowany i pozbawiony skrupułów intrygant, zaproponował Brüninga prezydentowi von Hindenburgowi. Nowy kanclerz, choć może sam do końca nie zdawał sobie z tego sprawy, był kandydatem armii. Był człowiekiem o nieskazitelnym charakterze, altruistycznym, skromnym, uczciwym, oddanym pracy, z natury raczej poważnym i surowym. Liczył, że przywróci

w kraju stabilne rządy parlamentarne i ocali go przed narastającym kryzysem oraz chaosem politycznym. Tragedia tego przyzwoitego i nastawionego demokratycznie patrioty polegała na tym, że poprzez swoje działania bezwiednie wykopał mogiłę niemieckiej demokracji, a co za tym idzie nieświadomie utorował Hitlerowi drogę do władzy.

Brüningowi nie udało się nakłonić większość parlamentarnej do poparcia pewnych rozwiązań jego programu finansowego. Zwrócił się więc do Hindenburga, aby uruchomił artykuł 48 konstytucji weimarskiej i dzięki swym nadzwyczajnym uprawnieniom przyjął jego ustawę finansową dekretem prezydenckim. Izba zareagowała przegłosowaniem żądania wycofania dekretu. W sytuacji, w której kryzys gospodarczy wymagał stanowczych decyzji, władza parlamentarna zaczęła kruszeć. Chcąc znaleźć wyjście z impasu, Brüning w lipcu 1930 r. zwrócił się do głowy państwa o rozwiązanie Reichstagu. Datę nowych wyborów wyznaczono na 14 września. Do dziś nie wiadomo, na podstawie jakich przesłanek Brüning oczekiwał, że nowe wybory zapewnią mu stabilną większość w parlamencie. Hitler z kolei od razu zrozumiał, że jego szansa pojawiła się szybciej niż oczekiwał.

Przyciśnięty do muru naród domagał się od rządzących jakiegoś wyjścia z nędzy. Miliony bezrobotnych chciały pracy. Sklepikarze potrzebowali pomocy. Około 4 milionów młodych, którzy osiągnęli prawo wyborcze od poprzednich wyborów, pragnęło widoków na przyszłość, dających szanse na godne życie. W trakcie szaleńczej kampanii wyborczej Hitler zaproponował milionom niezadowolonych Niemców pewną nadzieję na przyszłość, a przynajmniej tak w swej niedoli uważali. Miał przywrócić Niemcom potęgę, odmówić spłat reparacji, odrzucić traktat wersalski, wyplenić korupcję, rzucić na kolana baronów finansowych (zwłaszcza Żydów) i dopilnować, aby każdy Niemiec miał pracę i chleb. Powyższe obietnice robiły wrażenie na bezradnych, głodnych ludziach, którzy szukali nie tylko pomocy, ale także nowej wiary i nowych bogów.

Choć Hitler miał bardzo duże nadzieje, nocą 14 września 1930 r., gdy pojawiły się wyniki wyborów, był zaskoczony. Dwa lata wcześniej jego partia zgromadziła 810 tysięcy głosów i wysłała do Reichstagu 12 przedstawicieli. Tym razem Hitler liczył na czterokrotnie lepszy rezultat i nawet 50 miejsc w parlamencie. Okazało się, że NSDAP zdobyła 6 409 600 głosów, co dawało jej prawo do obsadzenia 107 miejsc w Reichstagu i

wystrzeliło ją ze statusu dziewiątej w kolejności, czyli najmniejszej partii w parlamencie, na pozycję drugą.

Na przeciwnym biegunie sceny politycznej komuniści także poprawili wynik, z 3 265 000 głosów w 1928 r. do 4 592 000, a ich przedstawicielstwo w Reichstagu wzrosło z 54 do 77 deputowanych. Umiarkowane partie klasy średniej, nie licząc katolickiej Partii Centrum, straciły ponad milion głosów, podobnie socjaldemokraci, i to mimo że do urn poszły 4 miliony nowych wyborców. Wynik nacjonalistów Hugenberga skurczył się z 4 do 2 milionów. Było jasne, że naziści odebrali miliony wyborców innym partiom klasy średniej. Oczywiste było też to, że od tej pory dla Brüninga – lub kogokolwiek innego – sformowanie stabilnej większości w Reichstagu będzie trudniejsze niż kiedykolwiek. A jak republika może przetrwać bez niej?

Nazajutrz po wyborach pytanie to zaczęło poważnie interesować dwa filary państwa, które w gruncie rzeczy nigdy nie pogodziły się z nastaniem republiki i uważały ją za przejściową pomyłkę w historii Niemiec: armię oraz świat wielkiego przemysłu i finansjery. Uszczęśliwiony sukcesem wyborczym Hitler skupił się na zjednaniu sobie tych dwóch potężnych środowisk. Jak widzieliśmy, wiele lat wcześniej w Wiedniu dzięki analizie taktyki burmistrza Karla Luegera poznał znaczenie sojuszów z „potężnymi ugruntowanymi instytucjami”.

Rok wcześniej, 15 marca 1929 r., Hitler wygłosił w Monachium przemówienie, w którym zwrócił się do armii, aby przemyślała swą wrogość względem narodowego socjalizmu i wsparcie dla republiki.

> Przyszłość nie należy do partii zniszczenia, ale do partii, które niosą ze sobą siłę ludu, są gotowe i pragną związać się z armią, aby pewnego dnia pomóc jej bronić interesów ludu. Tymczasem wciąż widzimy oficerów naszej armii, którzy zadręczają się pytaniem, jak daleko mogą zajść z socjaldemokratami. Ależ moi drodzy panowie, czy naprawdę uważacie, że macie cokolwiek wspólnego z ideologią przewidującą rozkład wszelkich fundamentów funkcjonowania armii?

Hitler umiejętnie zaapelował o wsparcie oficerów armii. Większość z nich wierzyła, a i Hitler setki razy o tym przypominał, że otrzymali cios w plecy i zostali zdradzeni przez republikę, której teraz mieli służyć i która nie pałała miłością do kasty wojskowej i jej ideałów. Następnie, niejako wieszcząc, co w przyszłości sam uczyni, ostrzegł oficerów przed tym, co ich czeka, jeśli marksiści wezmą górę nad nazistami.

> Możecie napisać: „Koniec niemieckiej armii”. Bowiem wtedy, szanowni panowie, będziecie musieli się upolitycznić (…). Możecie zamienić się w katów na usługach reżimu i politycznych komisarzy, a jeśli okażecie się krnąbrni, wasze żony i dzieci trafią pod klucz. A jeżeli nadal będziecie krnąbrni, zostaniecie wyrzuceni i prawdopodobnie postawieni pod murem (…)[188].

W 1927 r. armia zakazała rekrutowania nazistów do stutysięcznej Reichswehry, a nawet zatrudniania ich jako cywilów w arsenałach czy składach zaopatrzeniowych. Jednak na początku 1930 r. stało się jasne, że nazistowska propaganda znajduje posłuch w armii, zwłaszcza wśród młodszych oficerów, których kusił nie tylko fanatyczny nacjonalizm Hitlera, ale i roztaczane przezeń wizje przywrócenia armii dawnej chwały i liczebności, a co za tym idzie szans awansu, o których mogli zapomnieć w tak skromnych siłach zbrojnych.

Nazistowska infiltracja wojska stała się tak niepokojąca, że generał Groener, obecnie minister obrony, uznał za konieczne 22 stycznia 1930 r. wydać rozkaz dzienny, przypominający ostrzeżenie generała von Seeckta z przedednia puczu piwiarnianego. Oświadczył w nim, że naziści są chciwi władzy. „Przeto zalecają się do Wehrmachtu. W celu wykorzystania go do celów politycznych swej partii próbują nas mamić [obietnicami], że tylko narodowi socjaliści są prawdziwie narodową siłą”. Zwrócił się do żołnierzy, aby trzymali się z dala od polityki i nie zważając na wszelkie swary partyjne, „służyli państwu”.

Niedługo później jednak okazało się, że część młodych oficerów Reichswehry nie trzyma się z dala polityki, a przynajmniej tej w nazistowskim wydaniu, co wywołało wrzawę w całych Niemczech, waśnie na najwyższych szczeblach korpusu oficerskiego i zachwyt w obozie nazistów. Wiosną 1930 r. trzej młodzi porucznicy z garnizonu Ulmu, Ludin, Scheringer i Wendt, zostali aresztowani za szerzenie nazistowskich poglądów w armii i za próby nakłonienia kolegów do zgody, że w razie zbrojnej rewolty nazistów nie będą strzelali do buntowników. Drugi zarzut podpadał pod zdradę stanu, ale Groener, nie chcąc nagłaśniać faktu, że w siłach zbrojnych w ogóle istnieje coś takiego jak zdrada, próbował zamieść sprawę pod dywan i doprowadzić do procesu oskarżonych przed sądem wojskowym za zwykłe złamanie dyscypliny. Nieposłuszeństwo porucznika Scheringera, który przemycił do „Völkischer Beobachter” prowokacyjny artykuł, pokrzyżowało plany generała. Tydzień po nazistowskim sukcesie wyborczym trzej oficerowie stanęli przed Sądem Najwyższym w Lipsku i

mieli odpowiedzieć za zdradę stanu. Wśród ich obrońców znaleźli się dwaj obiecujący nazistowscy prawnicy, Hans Frank i doktor Carl Sack[189].

W trakcie procesu blask reflektorów nie padał ani na prawników, ani nawet na oskarżonych, lecz na Adolfa Hitlera. Frank wezwał go na świadka. Jego stawiennictwo było skalkulowanym ryzykiem. Odcięcie się od trzech poruczników byłoby niewygodne wizerunkowo, ich działalność dowodziła rozwoju pronazistowskich poglądów w łonie armii, a Hitler oczywiście nie chciał oficerów do tego zniechęcać. Z drugiej strony ujawnienie nazistowskiej działalności wywrotowej w armii także szkodziło wizerunkowi. Ówczesnej taktyce Hitlera nie pomagało także to, że prokuratura oskarżyła Partię Nazistowską, iż jest organizacją rewolucyjną, która chce obalić rząd przy użyciu siły. Hitler ustalił z Frankiem, że będzie zeznawał na rzecz obrony, aby zaprzeczyć temu zarzutowi. Führer miał wszakże na oku znacznie ważniejszy cel. Jako lider ruchu, który niedawno osiągnął oszałamiający sukces wyborczy, chciał uspokoić armię i jej najważniejszych oficerów, że narodowy socjalizm absolutnie nie zagraża Reichswehrze, jak mogłoby wynikać z działalności oskarżonych poruczników, ale tak naprawdę jest zbawieniem zarówno sił zbrojnych, jak i całych Niemiec.

Miejsce dla świadka było znakomitą, widoczną z każdego zakątka kraju mównicą, a Hitler wykorzystał swoje krasomówcze talenty i subtelne wyczucie strategii politycznej. I choć w jego wystąpieniu roiło się od fałszu, to w Niemczech niewielu ludzi, nawet wśród generałów, zdawało sobie z tego sprawę. Hitler beznamiętnie zapewnił sąd (i oficerów), że ani SA, ani partia nie walczy z armią. „Zawsze stałem na stanowisku, że każda próba zastąpienia armii to czyste szaleństwo. Nie mamy żadnego interesu w zastępowaniu armii (…). Gdy dojdziemy do władzy, dopilnujemy, aby z naszej Reichswehry wyrosła wielka armia narodu niemieckiego”.

I powtórzył przed sądem (oraz generałami), że Partia Nazistowska dąży do objęcia władzy konstytucyjnymi metodami, a jeśli owi młodzi oficerowie spodziewali się jakiejś zbrojnej rewolty, to po prostu byli w błędzie.

> Nasz ruch nie potrzebuje siły. Nadejdzie czas, gdy naród niemiecki zrozumie nasze ideały, a wtedy stanie za mną trzydzieści pięć milionów Niemców (…). Gdy posiądziemy odpowiednie uprawnienia konstytucyjne, uformujemy państwo w sposób, jaki uznajemy za właściwy.
>
> PRZEWODNICZĄCY SĄDU: A to także metodami konstytucyjnymi?

HITLER: Tak.

Jednakże Hitler, choć zwracał się głównie do armii i innych konserwatywnych elementów w kraju, musiał mieć na uwadze rewolucyjny zapał zwolenników swej partii. Nie mógł zostawić ich na lodzie, jak tych trzech oskarżonych. Wykorzystał więc okazję, jaką dał mu przewodniczący sądu, przywołując jego oświadczenie wydane w 1923 r., na miesiąc przed nieudanym puczem, kiedy to stwierdził, że „potoczą się głowy". Czy nazistowski lider obecnie wyrzeka się takich sformułowań?

> Mogę pana zapewnić [odpowiedział Hitler], że gdy ruch narodowosocjalistyczny w końcu wygra tę walkę, powstanie też Narodowosocjalistyczny Trybunał. A wtedy rewolucja z listopada 1918 r. zostanie pomszczona i potoczą się głowy![190]

Nikt nie może zaprzeczyć, że Hitler ostrzegał, co zrobi po dojściu do władzy, ale widowni zgromadzonej w sali rozpraw najwidoczniej spodobały się jego zapowiedzi, bowiem długo i głośno oklaskiwała jego groźby. Sędzia przewodniczący wprawdzie oburzył się z powodu zakłócenia rozprawy, ale ani on, ani prokurator nie wyrazili sprzeciwu wobec wypowiedzi nazistowskiego przywódcy. Jego słowa trafiły do sensacyjnych nagłówków gazet w całych Niemczech i za granicą. Pośród wywołanego nimi podniecenia zaginęła gdzieś rozpatrywana przed sądem sprawa. Trzej młodzi oficerowie, których zapału dla narodowosocjalistycznej sprawy wyparł się sam najwyższy wódz NSDAP, zostali uznani winnymi spisku zmierzającego do zdrady stanu, ale otrzymali łagodne wyroki 18 miesięcy odosobnienia w twierdzy. W republikańskich Niemczech surowe wyroki za zdradę stanu rezerwowano wyłącznie dla zwolenników republiki[191].

Wrzesień 1930 r. był punktem zwrotnym na szlaku, który nieuchronnie wiódł Niemców ku III Rzeszy. Nieoczekiwany sukces wyborczy Partii Nazistowskiej przekonał nie tylko wielu prostych ludzi, ale także głównych przedstawicieli biznesu i armii, że narodowy socjalizm być może jest falą, której nie sposób powstrzymać. Może i nie podobała im się nazistowska wulgarność i demagogia, ale z drugiej strony partia rozbudzała dawne poczucie niemieckiego patriotyzmu i nacjonalizmu, stłumione w pierwszej dekadzie istnienia republiki. Obiecywała, że poprowadzi naród niemiecki jak najdalej od komunizmu, socjalizmu, związków zawodowych i jałowej demokracji. Przede wszystkim jednak roznieciła ogień w całych Niemczech. Osiągnęła wielki sukces.

Dlatego też, a ponadto ze względu na zapewnienia złożone przez Hitlera podczas procesu w Lipsku, niektórzy generałowie zaczęli się zastanawiać, czy aby narodowy socjalizm nie jest właśnie tym, czego potrzebują do ponownego zjednoczenia narodu, odrodzenia dawnych Niemiec, odbudowy wielkiej, wspaniałej armii i umożliwienia państwu zrzucenia kajdan upokarzającego traktatu wersalskiego. Byli zachwyceni odpowiedzią Hitlera, gdy przewodniczący Sądu Najwyższego zapytał go, co dokładnie ma na myśli, gdy bez przerwy mówi o „Niemieckiej Rewolucji Narodowej".

Hitler wyjaśnił: „Oznacza to wyłącznie ocalenie narodu niemieckiego od obecnego zniewolenia. Traktaty pokojowe krępują ręce i nogi Niemiec (…). Narodowi socjaliści nie uważają tych traktatów za obowiązujące prawo, lecz za coś narzuconego Niemcom pod przymusem. Nie godzimy się, aby zupełnie niewinne, przyszłe pokolenia miały być nimi obarczone. Jeżeli sprzeciwimy się im wszelkimi dostępnymi nam środkami, to wkroczymy na ścieżkę rewolucji".

Korpus oficerski podzielał ten pogląd. Część jego członków zjadliwie krytykowała generała Groenera, ministra obrony, za to, że pozwolił, aby trzech poruczników stanęło przed Sądem Najwyższym. Generał Hans von Seeckt, niedawno zdymisjonowany naczelny dowódca, uważany powszechnie za największego powojennego geniusza niemieckiej armii, godnego następcę Scharnhorsta i Gneisenaua, utyskiwał przed Groenerem, że osłabia ducha solidarności korpusu oficerskiego. Pułkownik Ludwig Beck, który wkrótce zostanie szefem sztabu, a później personą jeszcze ważniejszą dla niniejszej opowieści, ale w 1930 r. był dopiero dowódcą 5. Pułku Artylerii z Ulm, jednostki owych trzech poruczników, nie tylko zaciekle protestował u przełożonych przeciwko aresztowaniu, ale i zeznawał w Lipsku na korzyść obrony.

Po procesie i wypowiedziach Hitlera generałowie przyjęli wobec ruchu, który wcześniej uważali za zagrożenie dla armii, bardziej przychylną postawę. Alfred Jodl, podczas II wojny światowej szef ds. operacji w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych, powiedział przed trybunałem w Norymberdze, jak korpus oficerski odebrał wygłoszone w Lipsku słowa nazistowskiego przywódcy. Stwierdził, że wcześniej oficerowie sądzili, że Hitler próbuje podkopać armię, lecz proces ich uspokoił. Sam generał von Seeckt, po tym jak w 1930 r. dostał się do Reichstagu, na pewien czas otwarcie sprzymierzył się z Hitlerem, zaś dwa lata później namawiał

siostrę, aby w wyborach prezydenckich głosowała na nazistowskiego przywódcę, a nie na Hindenburga, który przecież dawniej był jego przełożonym.

Polityczna krótkowzroczność niemieckich oficerów, która miała okazać się dla nich tak fatalna w skutkach, zaczęła się pogłębiać i dawać o sobie znać.

Magnaci przemysłowi i finansowi nieporadnością polityczną wcale nie ustępowali generałom. Doprowadziła ich ona do błędnego przekonania, że jeśli będą obdarzali Hitler odpowiednio wysokimi sumami, to będzie im dłużny i po objęciu władzy spełni ich żądania. Po sensacyjnym wyniku wyborczym nazistów we wrześniu 1930 r. do bonzów przemysłowych zaczęło docierać, że austriacki parweniusz, za którego w latach 20. wielu go uważało, naprawdę może chwycić w ręce ster władzy w Niemczech.

Walter Funk zeznał w Norymberdze: „Moi przyjaciele z branży przemysłowej i ja [w 1931 r.] byliśmy już przekonani, że Partia Nazistowska może dojść do władzy w nieodległej przyszłości”.

Latem tego roku Funk, oślizgły, pokrętny, brzuchaty człowieczek, którego twarz zawsze kojarzyła się autorowi z żabą, zrezygnował z lukratywnej posady redaktora wiodącej niemieckiej gazety finansowej, „Berliner Börsenzeitung”, wstąpił do NSDAP i stał się kimś w rodzaju łącznika między partią a czołowymi biznesmenami. W Norymberdze opowiedział, że wielu jego przyjaciół z branży przemysłowej, przede wszystkim wysoko postawionych ludzi z wielkich nadreńskich koncernów węglowych, ponaglało go, żeby wstąpił do ruchu nazistowskiego „w celu przekonania partii, by podążała drogą prywatnej przedsiębiorczości”.

> W tym czasie kierownictwo partii miało całkowicie sprzeczne i bezładne poglądy na politykę gospodarczą. Próbowałem wypełnić moją misję i osobiście wyjaśnić Führerowi i partii, że za podwaliny polityki gospodarczej partii należy uznać prywatną inicjatywę, samodzielność biznesmenów, kreatywne siły wolnej przedsiębiorczości i tak dalej. Co jakiś czas w rozmowach ze mną oraz z liderami przemysłu, z którymi go zapoznałem, Führer osobiście podkreślał, że jest wrogiem gospodarki państwowej i tzw. gospodarki planowanej oraz uważa wolną przedsiębiorczość i konkurencję za absolutnie niezbędne dla osiągnięcia możliwie najwyższej produkcji[192].

Jak stwierdził przyszły prezes Banku Rzeszy i minister finansów, Hitler mniej więcej wtedy zaczął dostrzegać bogatych obywateli Niemiec i

opowiadać im to, co chcieli usłyszeć. Partia potrzebowała znacznych sum na finansowanie kampanii wyborczych, płacenie za szeroko rozpowszechnioną, zintensyfikowaną propagandę, wypłaty dla setek zatrudnionych na pełny etat funkcjonariuszy oraz utrzymanie prywatnych armii SA i SS, które pod koniec 1930 r. liczyły już ponad 100 tysięcy ludzi – czyli przerosły Reichswehrę. Biznesmeni i bankierzy nie byli jedynym źródłem pieniędzy (partia gromadziła spore kwoty dzięki składkom, taksacjom, zbiórkom, sprzedaży gazet, książek i czasopism), ale źródłem największym. A im więcej przekazywali nazistom, tym mniej mieli dla innych, wspieranych do tej pory ugrupowań konserwatywnych.

Otto Dietrich, szef prasy Hitlera najpierw w partii, a później w III Rzeszy, opowiadał: „Latem 1931 r. Führer nagle postanowił, że należy systematycznie skupić się na schlebianiu wpływowym magnatom przemysłowym”[193].

O których magnatach mowa?

Ich tożsamość stanowiła tajemnicę, znaną jedynie najbliższemu kręgowi wodza. Partia musiała grać na dwa fronty. Musiała pozwolić Strasserowi, Goebbelsowi i pomylonemu Federowi, żeby mamili masy hasłami akcentującymi „prawdziwy socjalizm” narodowego socjalizmu i potępiali wielkich baronów. Z drugiej strony potrzebowała pieniędzy od tych, którzy mieli ich pod dostatkiem. Dietrich relacjonował, że w drugiej połowie 1931 r. Hitler „przemierzył Niemcy wzdłuż i wszerz, odbywając prywatne rozmowy z prominentnymi osobistościami [biznesu]”. Niektóre z tych spotkań były tak tajne, że organizowano je „na jakichś odludnych leśnych polanach. Prywatność była absolutnym imperatywem; prasa nie mogła zasiać niezgody. Konsekwencją był sukces”, wyjaśniał Dietrich.

A zatem nazistowska polityka wywijała wręcz komiczne fikołki. Jesienią 1930 r. Strasser, Feder i Frick przedłożyli w Reichstagu, w imieniu Partii Nazistowskiej, projekt ustawy nakładającej czteroprocentowy limit na wszystkie stopy procentowe, zakładającej wywłaszczenie holdingów „banków i magnatów giełdowych” oraz „wszystkich wschodnich Żydów” bez rekompensaty, a także nacjonalizację wielkich banków. Hitler był przerażony; ustawa byłaby bolszewicka i równoznaczna z finansowym samobójstwem NSDAP. Kategorycznie nakazał wycofać projekt. Później ponownie przedłożyli go komuniści, a ich projekt był identyczny słowo w słowo. Hitler nakazał partii głosować przeciwko.

Dzięki przeprowadzonym w norymberskim więzieniu przesłuchaniom Funka poznaliśmy nazwiska przynajmniej niektórych „wpływowych magnatów przemysłowych”, o których przychylność zabiegał Hitler. Emil Kirdorf, nienawidzący związków zawodowych baron węglowy, który przewodniczył szemranemu funduszowi przeznaczonemu na łapówki znanemu jako „Skarb Zagłębia Ruhry”, dał się uwieść Hitlerowi na kongresie partyjnym w 1929 r. Fritz Thyssen, szef trustu stalowego, który do końca życia żałował swojej głupoty i napisał książkę pt. „Płaciłem Hitlerowi”, przekazywał pieniądze jeszcze wcześniej. Thyssen poznał nazistowskiego przywódcę w Monachium w 1923 r., urzekła go jego elokwencja i niedługo po spotkaniu za pośrednictwem Ludendorffa przekazał wciąż mało znanej partii wstępny podarunek w wysokości 100 tysięcy złotych marek (25 tysięcy dolarów). W jego ślady poszedł wkrótce Albert Vögler, również ważna persona w Vereinigte Stahlwerke. Na ostatniej prostej przed objęciem władzy, czyli w latach 1930-1933, to branże stalowa i węglowa były głównym źródłem funduszy od kręgów przemysłowych.

Funk wymienił też inne branże i koncerny, których dyrektorzy nie chcieli zostać na lodzie, gdy Hitler osiągnie swój cel. Lista jest długa, choć absolutnie nie kompletna, bowiem gdy Funk stawił się na proces w Norymberdze, jego pamięć mocno już szwankowała. Znajdują się na niej Georg von Schnitzler, jeden z dyrektorów I.G. Farben, kolosalnego kartelu chemicznego; August Rosterg i August Diehn z branży potażowej (Funk opowiadał o „przychylnej postawie względem Führera” tej branży); Cuno z linii Hamburg-Amerika; branża węgla brunatnego ze środkowych Niemiec; przedsiębiorstwo kauczukowe Contich; Otto Wolf, potężny przemysłowiec z Kolonii; baron Kurt von Schröder, koloński bankier i ważny aktor przedstawienia, które w końcu wywinduje Hitlera do władzy; kilka wiodących banków, w tym Deutsche Bank, Commerz und Privat Bank, Dresdener Bank, Deutsche Kredit Gesellschaft, a także największe niemieckie towarzystwo ubezpieczeniowe, Allianz.

Wilhelm Keppler, jeden z doradców ekonomicznych Hitlera, przyciągnął do partii wielu południowoniemieckich przemysłowców i stworzył osobliwe towarzystwo biznesmenów oddanych szefowi SS Himmlerowi. Nosiło ono nazwę Koło Przyjaciół Gospodarki (Freundeskreis der Wirtschaft), a później stało się znane jako Koło Przyjaciół Reichsführera SS i zebrało dla tego gangstera miliony marek na prowadzone przez niego

„badania” nad korzeniami Aryjczyków. Hitlerowi od samego początku kariery pomagali finansowo (i towarzysko) Hugo Bruckman, zamożny monachijski wydawca, oraz Carl Bechstein, producent fortepianów. Małżonki obu tych przedsiębiorców miały słabość dla obiecującego, młodego polityka. To w berlińskiej posiadłości Bechsteina Hitler poznał wielu wpływowych przemysłowców i wojskowych, to tam odbyła się część potajemnych narad i spotkań, które ostatecznie utorowały mu drogę do kanclerstwa.

Nie wszyscy niemieccy przemysłowcy wskoczyli do nazistowskiego pociągu po wyborach 1930 r. Funk wspominał, że wielkie korporacje elektryczne Siemens i AEG podchodziły do nazistów z ostrożną obojętnością, podobnie jak król producentów uzbrojenia, Krupp von Bohlen und Halbach. Fritz Thyssen napisał w swej opublikowanej spowiedzi, że Krupp był „zaciekłym przeciwnikiem” Hitlera i jeszcze w przeddzień mianowania go kanclerzem przez Hindenburga ostrzegał sędziwego feldmarszałka przed tym szaleństwem. Producent broni szybko jednak doznał olśnienia i stał się, jak ujął to skruszony Thyssen, „supernazistą”[194].

Jest zatem oczywiste, że przed ostatecznym skokiem ku władzy Hitler dysponował pokaźnym wsparciem finansowym dużej części niemieckiego świata biznesu. Nigdy nie ustalono, ile dokładnie bankierzy i przedsiębiorcy przekazali NSDAP w latach bezpośrednio poprzedzających styczeń 1933 r. Funk twierdził, że prawdopodobnie nie więcej niż „kilka milionów marek”. Thyssen szacował ich wkład na 2 miliony rocznie; przyznał, że osobiście przekazał nazistom milion marek. Niemniej wnioskując po wielkości sum, jakimi w owym czasie dysponowała partia – i to pomimo skarg Goebbelsa, że wiecznie na coś brakuje – łączne „podarunki” od świata biznesu zapewne wielokrotnie przewyższyły owe szacunki. W toku dalszej narracji zobaczymy, do czego doprowadzili politycznie zdziecinniali ludzie biznesu. W tym czasie jednym z najbardziej entuzjastycznych (a później jednym z najbardziej rozczarowanych) był doktor Schacht, który w 1930 r. ze względu na sprzeciw wobec planu Younga zrezygnował z fotela prezesa Banku Rzeszy, rok później poznał Göringa i Hitlera, a przez kolejne dwa lata poświęcał pełnię swych bogatych umiejętności, aby zbliżyć Führera do przyjaciół bankierów i przemysłowców oraz do najwyższego celu, czyli funkcji kanclerza. W 1932 r. ten czarodziej ekonomii, który w ostatecznym rozrachunku ponosi wielką odpowiedzialność za narodziny III Rzeszy i jej początkowe sukcesy, napisał do Hitlera: „Nie wątpię, że bieżący rozwój

wypadków musi zaprowadzić pana do kanclerstwa (…). Pański ruch jest niesiony na tak silnej wewnętrznej prawdzie i potrzebie, że triumf już niedługo będzie wymykał się z pańskich rąk (…). Nieważne, gdzie w najbliższej przyszłości zaprowadzi mnie moja praca, ale nawet jeśli pewnego dnia ujrzy mnie pan uwięzionego w twierdzy, zawsze może pan liczyć na mnie jako na lojalnego zwolennika". Jeden z dwóch listów, z których pochodzą powyższe słowa, został podpisany: „Z energicznym *Heil*"[195].

Wśród owych „silnych prawd" ruchu nazistowskiego była i ta, że po objęciu władzy partia zamierza zdeptać wszelką wolność osobistą w Niemczech. Zresztą Hitler nigdy tego nie ukrywał. Schachta i jego kolegów też miało to dotyczyć. Minie trochę czasu zanim łagodny prezes Banku Rzeszy (wróci na to stanowisko za rządów Hitlera) oraz jego współpracownicy z kręgów przemysłowych i finansowych przekonają się o tym. A ponieważ historia nieodmiennie jest pełna subtelnej ironii, wkrótce okaże się, że doktor Schacht celnie prorokował nie tylko w kwestii kanclerstwa dla Hitlera, ale i własnego uwięzienia, choć nie w twierdzy, a w obozie koncentracyjnym, i nie jako „lojalny zwolennik" Führera (w tym jednym doktor się pomylił), a wręcz przeciwnie.

Do początku 1931 r. Hitler zgromadził wokół siebie nieliczną grupę fanatycznych, bezwzględnych ludzi, którzy mieli mu pomóc na ostatnim etapie walki o władzę. Będą trwali u jego boku, cementując tę władzę już za III Rzeszy. Z jednym wyjątkiem, ponieważ najbliższy wodzowi, a może też najzdolniejszy i najbrutalniejszy z nich, nie przetrwa, zupełnie dosłownie, drugiego roku rządów nazistów. W tym okresie ponad wszystkich popleczników Führera wybijali się: Gregor Strasser, Röhm, Göring, Goebbels i Frick.

Göring wrócił do Niemiec pod koniec 1927 r., po powszechnej amnestii politycznej, którą komuniści pomogli przepchnąć prawicy przez Reichstag. W Szwecji, gdzie spędził większość wygnania po puczu z 1923 r., leczono go w ośrodku Langbro z uzależnienia od narkotyków, a gdy doszedł do siebie, zarabiał na życie w szwedzkiej firmie lotniczej. Dziarski, przystojny as myśliwski z czasów I wojny światowej wprawdzie przybrał na wadze, ale nie zatracił swej energii oraz żądzy życia. Zamieszkał w niewielkim, choć luksusowym mieszkaniu przy Badischestrasse w Berlinie (jego żona-epileptyczka, którą bardzo kochał, nabawiła się gruźlicy i została w Szwecji), utrzymywał się z doradztwa przedsiębiorstwom lotniczym i

niemieckim liniom lotniczym, Lufthansie, oraz pielęgnował kontakty towarzyskie. Były one niezwykle szerokie, sięgały od kronprinza i księcia Filipa Heskiego, który ożenił się z księżniczką Mafaldą, córką króla Włoch, przez Fritza Thyssena i innych baronów biznesu, po prominentnych oficerów sił zbrojnych.

Właśnie takich koneksji brakowało Hitlerowi, toteż Göring szybko zajął się zapoznawaniem nazistowskiego wodza ze swoimi licznymi przyjaciółmi i zwalczaniem w wyższych kręgach niemiłego zapachu, rozsiewanego przez co poniektórych oprychów w brunatnych koszulach. W 1928 r. Hitler wybrał Göringa na jednego z 12 deputowanych partii do Reichstagu, a gdy w 1932 r. naziści stali się najliczniejszą grupą w parlamencie, as lotnictwa został jego przewodniczącym. W oficjalnej rezydencji przewodniczącego Reichstagu zaaranżowano wiele spotkań i opracowano mnóstwo intryg, które zaowocowały ostatecznym triumfem NSDAP, i to właśnie tam – nieco wyprzedzimy wydarzenia – uknuto plan, który pomógł Hitlerowi utrzymać ster władzy już po tym, jak został kanclerzem: plan podpalenia Reichstagu.

Ernst Röhm zerwał z Hitlerem w 1925 r., a wkrótce potem wyjechał do Boliwii, gdzie służył jako podpułkownik tamtejszej armii. Pod koniec 1930 r. Hitler wezwał go do powrotu i objęcia kierownictwa w wyrywającej się spod kontroli SA. Przywódcy tej struktury, nawet najwyżsi rangą, ewidentnie nadal wierzyli w siłową rewolucję i coraz częściej wychodzili na ulice, prześladując i mordując rywali politycznych. Żadne wybory, czy to ogólnokrajowe, lokalne, czy miejskie, nie mogły się obyć bez brutalnych, rynsztokowych walk.

W tym miejscu należy wspomnieć o pewnym starciu, dzięki któremu ruch narodowosocjalistyczny otrzymał jednego ze swych męczenników. Horst Wessel był przywódcą dzielnicowego oddziału SA w Berlinie. Ten syn protestanckiego kapelana porzucił rodzinę i studia, zamieszkał w stołecznych slumsach z byłą prostytutką i poświęcił życie walce za nazizm. Wielu przeciwników nazistów twierdziło, że młodzieniec zarabiał na życie jako alfons, ale ten zarzut może być nieco przesadzony. Z całą pewnością przestawał pośród alfonsów i ich podopiecznych. W lutym 1930 r. został zamordowany przez komunistów i pewnie popadłby w zapomnienie pośród setek innych ofiar ulicznych bójek, gdyby nie fakt, że zostawił po sobie pieśń, której słowa i melodię sam skomponował. *Pieśń Horsta Wessela* stała się wkrótce oficjalną pieśnią partii, a później drugim hymnem III Rzeszy (po *Deutschland über alles*). Sam Wessel dzięki propagandzie Goebbelsa

został jedną z największych, bohaterskich legend ruchu, był wysławiany jako nieskazitelny idealista, który poświęcił życie dla sprawy.

W czasie gdy Röhm przejmował władzę w SA, „numerem dwa” w całej partii bez wątpienia był Gregor Strasser. Ten przekonujący mówca i genialny organizator stał na czele najważniejszego biura NSDAP, Organizacji Politycznej. Stanowisko to wiązało się z ogromnymi wpływami wśród przywódców regionalnych i lokalnych, których działalność nadzorował. Dzięki przyjemnemu, bawarskiemu charakterowi był najpopularniejszym liderem całego ruchu po Hitlerze i w przeciwieństwie do Führera cieszył się osobistym zaufaniem, a nawet sympatią większości rywali politycznych. W tym okresie wiele osób, zarówno w partii, jaki i poza nią, uważało, że może on zastąpić kapryśnego, nieobliczalnego Austriaka. Pogląd ten był silny zwłaszcza w Reichswehrze oraz w pałacu prezydenckim.

Otto Strasser, brat Gregora, odszedł w zapomnienie. Pechowo dla siebie brał na poważnie człony „socjalizm” i „robotnicy” w oficjalnej nazwie partii. Popierał niektóre strajki socjalistycznych związków zawodowych oraz domagał się, aby partia poparła nacjonalizację przemysłu. Program ten brzmiał dla Hitlera jak najgorsza herezja, więc oskarżył Otto Strassera o dopuszczenie się kardynalnych grzechów „demokracji i liberalizmu”. 21 i 22 maja 1930 r. Führer rozstrzygnął konflikt z krnąbrnym podwładnym, żądając jego bezwzględnej uległości. Otto odmówił i został wydalony z NSDAP. Próbował stworzyć prawdziwie „narodowo-socjalistyczny” ruch, Unię Rewolucyjnych Narodowych Socjalistów, która stała się znana jako Czarny Front, ale podczas wrześniowych wyborów nie odebrał Hitlerowi zbyt wielu nazistowskich głosów.

Goebbels, czwarty członek „Wielkiej Piątki”, od zerwania w 1926 r. był wrogiem i rywalem Gregora Strassera. Dwa lata później zastąpił go na czele partyjnej propagandy, gdy Strasser został przesunięty „do góry”, do Organizacji Politycznej. Pozostał też gauleiterem Berlina, a jego osiągnięcia przy reorganizacji stołecznych struktur partii oraz talenty propagandowe zrobiły duże wrażenie na wodzu. Elokwentny, lecz kąśliwy język i bystry umysł Goebbelsa nie przypadły natomiast do gustu innym zausznikom Hitlera, którzy nie darzyli go zaufaniem. Z kolei przywódca nazistów spoglądał na waśnie podwładnych z zadowoleniem, choćby dlatego, że gwarantowały, iż nie będą oni wspólnie spiskować i kwestionować jego władzy. Hitler nigdy w pełni nie ufał Strasserowi, ale co do lojalności

Goebbelsa nie miał żadnych wątpliwości; co więcej, chromy, wątły fanatyk aż kipiał przydatnymi pomysłami. I wreszcie, talenty Goebbelsa jako hałaśliwego dziennikarza (w tym czasie mógł już dawać upust swoim emocjom na łamach własnej gazety w Berlinie, „Der Angriff") i poruszającego tłumy mówcy były wręcz bezcenne dla partii.

Wilhelm Frick, piąty i ostatni członek grupy, to jedyna w niej raczej bezbarwna postać. Był typowym niemieckim urzędnikiem. Przed 1923 r. jako młody oficer monachijskiej policji został jednym ze szpiegów Hitlera w siedzibie policji i Führer niezmiennie był mu za to wdzięczny. Frick z kolei często przyjmował niewdzięczne zadania. Za sprawą Hitlera został pierwszym nazistą, który objął regionalny urząd (w Turyngii), a później został liderem NSDAP w Reichstagu. Był wierny jak pies, skuteczny, a także, dzięki fasadzie małomówności i uprzejmości, przydawał się w kontaktach z chwiejnymi przedstawicielami republikańskiego rządu.

Niektóre z mniej znanych na początku lat 30. postaci partii w późniejszym okresie zdobędą sobie ponurą sławę, a za III Rzeszy przerażającą władzę. Heinrich Himmler, hodowca drobiu, którego przez binokle na nosie można było pomylić z miłym, przeciętnym nauczycielem (uzyskał dyplom z agronomii w Monachijskiej Wyższej Szkole Technicznej), systematycznie rozbudowywał gwardię pretoriańską Hitlera, czyli umundurowane na czarno SS. Pracował jednak w cieniu Röhma, który dowodził zarówno SA, jak i SS, i poza ojczystą Bawarią był jeszcze mało znany, nawet w kręgach partyjnych. W NSDAP działali też doktor Robert Lay, chemik z zawodu, nałogowy pijak i gauleiter Kolonii, oraz Hans Frank, rzutki młody prawnik i szef wydziału prawnego partii. Trzeba też wspomnieć o urodzonym w 1895 r. w Argentynie Waltherze Darré, zdolnym agronomie, którego dla narodowego socjalizmu pozyskał Hess. Uwagę Hitlera i funkcję szefa Wydziału Rolniczego partii zdobył dzięki książce *Chłopstwo jako życiodajne źródło rasy nordyckiej*. Sam Rudolf Hess, osobiście pozbawiony wszelkich ambicji i ślepo wierny wodzowi, pełnił funkcję osobistego sekretarza Führera. Drugim prywatnym sekretarzem Hitlera był Martin Bormann, przypominający kreta mężczyzna, który wolał nurzać się w mrocznym, zakulisowym życiu partii i snuć intrygi, a na koncie miał rok w więzieniu za udział w morderstwie politycznym. Przywódcą Hitlerjugend był Baldur von Schirach, marzyciel i kipiący energią organizator, syn Amerykanki, wnuk oficera Unii, który stracił nogę pod Bull Run. W Norymberdze Schirach powiedział

trzymającym go pod kluczem Amerykanom, że został antysemitą po lekturze książki *Eternal Jew* Henry'ego Forda.

Nie można także zapomnieć o Alfredzie Rosenbergu, wyniosłym, tępym pseudofilozofie znad Bałtyku i jak widzieliśmy, jednym z pierwszych mentorów Hitlera, który po puczu z 1923 r. spłodził masę książek i broszur charakteryzujących się wyjątkowo mętnym stylem i treścią. Jego największym „dziełem" była licząca 700 stron praca pt. *Mit XX wieku*. Była to niedorzeczna mieszanka jego nietrzymających się kupy poglądów na wyższość rasy nordyckiej, wykwit tego, co w części nazistowskich środowisk uchodziło za erudycję. Hitler lubił żartować, że bez powodzenia próbował czytać tę książkę, natomiast Schirach, który też lubił parać się piórem, pod wpływem tego „dzieła" zauważył pewnego razu, że Rosenberg „sprzedał więcej egzemplarzy książki, której nikt nie przeczytał, niż jakikolwiek inny autor". Rzeczywiście, w pierwszej dekadzie po publikacji w 1930 r. rozeszła się w ponad półmilionowym nakładzie. Hitler od samego początku aż po kres swoich dni znajdował w sercu ciepłe miejsce dla tego nierozgarniętego, nieudolnego człowieka, nagradzając go licznymi stanowiskami partyjnymi, na przykład funkcją redaktora „Völkischer Beobachter" oraz innych nazistowskich periodyków, a w 1930 r. mianował go jednym z deputowanych NSDAP do Reichstagu, gdzie reprezentował partię w Komisji Spraw Zagranicznych.

Tak oto prezentowała się zbieranina otaczająca wodza narodowych socjalistów. W normalnym społeczeństwie bez wątpienia wyróżniałaby się jako groteskowa zgraja odszczepieńców. Lecz w pełnych zamętu dniach schyłku republiki miliony otumanionych Niemców uznały tych ludzi za zbawców. Posiadali dwa atuty, których brakowało rywalom: przewodził im człowiek, który dokładnie wiedział, czego chce, zaś oni okazali się na tyle bezwzględni i oportunistyczni, aby uczynić wszystko, pomagając mu w osiągnięciu celu.

Z biegiem niełatwego roku 1931, gdy 5 milionów robotników nie miało pracy, klasa średnia stanęła w obliczu ruiny, rolnicy nie mieli z czego spłacać kredytów, parlament był sparaliżowany, rząd miotał się bezsilnie, a osiemdziesięcioczteroletni prezydent szybko pogrążał się w mroku starczego zniedołężnienia, w sercach nazistowskich watażków narastała pewność, że czas wyczekiwania dobiega końca. „Wszystko, co służy przyspieszeniu katastrofy (…), jest dobre, bardzo dobre dla nas i naszej niemieckiej rewolucji", pysznił się publicznie Gregor Strasser.

ROZDZIAŁ VI

OSTATNIE DNI REPUBLIKI: 1931-1933

Z tumultu oraz chaosu tych czasów wyłoniła się ciekawa i przebiegła postać, która bardziej niż ktokolwiek inny miała przyczynić się do wykopania grobu republice. Człowiek ten przez krótki okres służył jako jej ostatni kanclerz i jak na ironię, podczas jednego z ostatnich zwrotów swej zadziwiającej kariery, desperacko próbował ocalić ustrój, było już jednak za późno. Mowa o Kurcie von Schleicherze, którego nazwisko znaczy po niemiecku „skradający się” lub „intrygant”.

W 1931 r. Schleicher był generałem porucznikiem armii[196]. Urodził się w 1882 r., w wieku 18 lat wstąpił do wojska i rozpoczął służbę w dawnym oddziale Hindenburga, 3. Gwardyjskim Pułku Piechoty, gdzie zaprzyjaźnił się z Oskarem von Hindenburgiem, synem feldmarszałka i prezydenta. Kolejna jego przyjaźń okazała się niemal równie cenna. Obdarzył nią generała Groenera, któremu już w Akademii Wojny zaimponował jego rozum, a gdy w 1918 r. Groener zastąpił Ludendorffa w naczelnym dowództwie, ściągnął młodego oficera na stanowisko adiutanta. Schleicher był głównie „oficerem biurowym” (tylko przez krótki czas służył na froncie rosyjskim) i w późniejszym okresie zawsze znajdował się blisko ośrodków władzy, zarówno armii, jak i Republiki Weimarskiej. Jego bystry umysł, maniery oraz smykałka do polityki robiły wrażenie na generałach i politykach. Za generała von Seeckta otrzymywał coraz ważniejsze zadania, organizując nielegalne freikorpsy i tajną „Czarną Reichswehrę”. Odegrał kluczową rolę w poufnych negocjacjach z Moskwą, które zaowocowały zakamuflowanymi szkoleniami oficerów niemieckiego lotnictwa i sił pancernych w radzieckiej Rosji, a także otwarciem tam zarządzanych przez Niemców fabryk broni. Był biegłym manipulatorem, lubował się w intrygach, najlepiej sprawdzał się, działając w cieniu. Na początku lat 30. jego nazwisko nie było szerzej znane opinii publicznej, ale już wcześniej przykuwało uwagę Bendlerstrasse, przy której mieściło się Ministerstwo Wojny, a także Wilhelmstrasse, wzdłuż której ciągnęły się gmachy resortów niemieckiego rządu.

W styczniu 1928 r. Schleicher użył swoich rosnących wpływów na prezydenta von Hindenburga, do którego zbliżył się przez Oskara, aby doprowadzić do mianowania generała Groenera ministrem obrony – był on pierwszym wojskowym piastującym ten urząd za republiki. Groener uczynił ze Schleichera swą prawą rękę i postawił go na czele nowego urzędu, Biura Ministerstwa (Ministeramt), gdzie zajmował się politycznymi oraz prasowymi sprawami armii i marynarki. Groener nazywał swego pomocnika „politycznym kardynałem” i powierzył mu pieczę nad kontaktami armii z innymi resortami oraz z politycznymi przywódcami kraju. Dzięki temu stanowisku Schleicher uzyskał silną władzę nie tylko w korpusie oficerskim, ale i w świecie niemieckiej polityki. W wojsku decydował o rozkwicie lub upadku karier wysokich rangą oficerów i często korzystał ze swoich wpływów. W 1930 r., posługując się oszustwem, pozbył się generała von Blomberga, zastępcy dowódcy armii, i wyznaczył na jego miejsce starego przyjaciela ze swojego dawnego pułku, generała von Hammersteina. Wiosną tego samego roku, jak wspomnieliśmy, po raz pierwszy próbował osobiście doprowadzić do wyboru nowego kanclerza i przy wsparciu armii namówił prezydenta von Hindenburga, żeby mianował na to stanowisko Heinricha Brüninga.

Uważał, że ten triumf to pierwszy krok na drodze do realizacji wielkiego planu przekształcenia republiki, pomysłu, który już od pewnego czasu dojrzewał w jego lotnym umyśle. Dość wyraźnie dostrzegał (jak chyba wszyscy) przyczyny słabości weimarskiego reżimu. Funkcjonowało w nim za dużo partii politycznych (w 1930 r. aż 10 uzyskało ponad milion głosów), miały one zbyt sprzeczne cele oraz były za bardzo pochłonięte walką o partykularne interesy ekonomiczno-społeczne reprezentowanych przez nie grup. Nie mogły więc zakopać dzielących ich różnic i stworzyć w Reichstagu stabilnej większości, która z kolei mogłaby stanowić podporę trwałego rządu, zdolnego radzić sobie z poważnymi kryzysami targającymi Niemcami na początku lat 30. Niemcy zaczęli nazywać rządy parlamentarne *Kuhhandel* – handlem bydłem. Partie walczyły o względy swoich elektoratów, nie zważając przy tym na ogólny interes narodowy. Nie dziwne, że gdy 28 marca 1930 r. Brüning został kanclerzem, nie mógł znaleźć większości dla żadnej inicjatywy – ani na lewicy, ani na prawicy, ani w centrum – i chcąc przynajmniej zapewnić normalne funkcjonowanie rządu oraz zrobić coś z paraliżem gospodarczym, musiał sięgnąć po artykuł

48 konstytucji, który pozwalał, w razie palącej potrzeby i za zgodą prezydenta, rządzić za pomocą dekretów.

Schleicherowi marzył się właśnie taki sposób sprawowania władzy przez kanclerza. Miał przełożyć się na silny rząd pod stanowczą ręką prezydenta, który przecież (jak argumentował generał) został wybrany w wyborach powszechnych, więc reprezentował wolę narodu, a do tego cieszył się poparciem wojska. Skoro demokratycznie wybrany Reichstag nie był w stanie zapewnić stabilnych rządów, musiał zająć się tym demokratycznie wybrany prezydent. Schleicher był przekonany, że większość Niemców pragnie twardego rządu, który wyprowadzi ich z niedoli. Jak pokazały wrześniowe wybory ogłoszone przez Brüninga, większość rodaków generała chciała jednak zupełnie czegoś innego. A przynajmniej nie miała ochoty, aby z tarapatów wyswobadzał ją rząd wybrany przez generała oraz jego kolegów z armii i pałacu prezydenckiego.

Schleicher popełnił dwa katastrofalne błędy. Instalując Brüninga na stanowisku kanclerza i zachęcając go do rządzenia za pomocą dekretów prezydenckich, skruszył fundamenty siły armii w państwie – jej pozycję *ponad* polityką. Odejście od tego stanowiska doprowadzi do ruiny jego samego oraz całe Niemcy. Przeliczył się też co do wyborców. Kiedy 14 września 1930 r. aż 6,5 miliona z nich, przy zaledwie 810 tysiącach dwa lata wcześniej, zagłosowało na Partię Nazistowską, rozpolitykowany generał zrozumiał, że musi skorygować kurs. Jeszcze przed końcem roku nawiązał kontakt z Röhmem, który właśnie wrócił z Boliwii, i z Gregorem Strasserem. Była to pierwsza poważna styczność nazistów z ludźmi dzierżącymi władzę w republice. Rozwój tej relacji w ciągu zaledwie dwóch lat pozwoli Adolfowi Hitlerowi osiągnąć cel, a generała von Schleichera doprowadzi do upadku i w końcu śmierci.

10 października 1931 r., trzy tygodnie po samobójstwie jego siostrzenicy i ukochanej, Geli Raubal, Hitler został po raz pierwszy przyjęty przez prezydenta von Hindenburga. Spotkanie zaaranżował zajęty snuciem nowej sieci intryg Schleicher, który naradził się z Hitlerem wcześniej tej jesieni i zapewnił mu możliwość rozmowy zarówno z głową państwa, jak i z kanclerzem. W umyśle generała, a także Brüninga, coraz częściej rozbrzmiewało pytanie, co zrobić, gdy wiosną 1932 r. siedmioletnia kadencja prezydenta dobiegnie końca. Feldmarszałek będzie miał wtedy 85 lat, a okresy, w których rozumował klarownie, zdarzały się coraz rzadziej.

Niemniej wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeżeli nie będzie kandydował na kolejną kadencję, to Hitler, choć nie był nawet obywatelem niemieckim, może znaleźć jakiś sposób, by stanąć do wyścigu wyborczego, wygrać wybory i zostać głową państwa.

Tego lata kanclerz-erudyta całymi godzinami dumał nad rozpaczliwym losem swego kraju. Wiedział, że stoi na czele najmniej popularnego rządu, odkąd powstała republika. Aby walczyć z kryzysem, musiał zadekretować obniżenie pensji i cen oraz narzucić surowe ograniczenia finansowe, biznesowe i społeczne. Zarówno naziści, jak i komuniści zaczęli nazywać go „głodowym kanclerzem". Wydawało mu się jednak, że znalazł wyjście, które pozwoli obudować stabilne, wolne i kwitnące Niemcy. Postanowił podjąć próbę wynegocjowania z Aliantami umorzenia reparacji, których spłatę przejściowo wstrzymało moratorium Hoovera. Podczas zaplanowanej na następny rok konferencji rozbrojeniowej zamierzał nakłonić Aliantów, by uhonorowali zapisane w traktacie wersalskim zobowiązanie, że rozbroją się do poziomu Niemiec albo pozwolą Niemcom otwarcie uruchomić skromny program zbrojeniowy, który w rzeczywistości, i za jego wiedzą, potajemnie już ruszył. Dzięki temu Niemcy zrzuciłyby ostatnie pęta traktatu i stanęły na równi z innymi mocarstwami. Brüning uważał, że byłoby to zbawienne dla republiki, a zarazem zainicjowałoby nową epokę pewności i spokoju w całym zachodnim świecie, a ta położyłoby kres kryzysowi gospodarczemu, który sprowadził na naród niemiecki tyle nieszczęść. No i odebrałoby to siłę napędową nazistom.

Brüning planował odważne działania także na froncie krajowym. Zamierzał doprowadzić do porozumienia wszystkich głównych partii, z wyłączeniem komunistów, które umożliwiłoby fundamentalną zmianę niemieckiej konstytucji. Chciał przywrócić monarchię Hohenzollernów. Nawet gdyby Hindenburga udało się namówić na ponowny start w wyborach, to mając na uwadze jego wiek, nie można było przecież oczekiwać, że dotrwa do końca kolejnej siedmioletniej kadencji. Jeżeli umrze w ciągu roku czy dwóch, to Hitler nadal będzie miał otwartą drogę do prezydentury. Aby temu zapobiec, a także zapewnić stałość i stabilność na urzędzie głowy państwa, kanclerz wysunął następujący plan: wybory prezydenckie 1932 r. zostaną odwołane, a kadencja Hindenburga po prostu przedłużona. Rozwiązanie to mogło być legalnie przyjęte większością dwóch trzecich w obu izbach parlamentu, Reichstagu i Reichsracie. Następnie Brüning zamierzał zaproponować parlamentowi proklamowanie

monarchii z prezydentem jako regentem. Po jego śmierci na tronie zasiadłby jeden z synów kronprinza. To również wytrąciłoby nazistom oręż z ręki; Brüning był pewien, że oznaczałoby to ich polityczny koniec.

Ale sędziwy prezydent nie był tym zainteresowany. On, dawny naczelny dowódca cesarskiej armii, do którego obowiązków owego ponurego jesiennego dnia listopada 1918 r. w kwaterze w Spa należało poinformowanie kajzera, że musi odejść i nastał kres monarchii, nie chciał słyszeć o objęciu tronu przez żadnego Hohenzollerna z wyjątkiem samego cesarza, który przecież nadal żył na wygnaniu w holenderskim Doom. Siwy feldmarszałek uniósł się oburzeniem i natychmiast, bez zbędnych słów wyszedł, gdy tylko Brüning wyjaśnił, że socjaldemokraci i związki zawodowe, które ze skrajną niechęcią, ale poparły jego plan, choćby dlatego, że zdawał się ostatnią szansą powstrzymania Hitlera, nie przystaną na powrót Wilhelma II ani jego najstarszego syna. Co więcej, usłyszał od kanclerza, że jeśli monarchia ma zostać restaurowana, to musi być konstytucyjna i demokratyczna, na wzór brytyjski. Tydzień później Hindenburg wezwał kanclerza, by oznajmić, że nie stanie do kolejnych wyborów.

W międzyczasie Brüning i Hindenburg odbyli swe pierwsze spotkania z Adolfem Hitlerem. Nazistowski wódz w obu wypadł kiepsko. Nie podniósł się jeszcze po ciosie, jaki spadł na niego wraz z samobójstwem Geli Raubal; nie potrafił się skupić i zatracił pewność siebie. Na prośbę Brüninga o wsparcie nazistów dla planu przedłużenia kadencji Hindenburga Hitler odpowiedział rozwlekłą tyradą przeciwko republice, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, że nie podpisze się pod planem kanclerza. W towarzystwie Hindenburga był z kolei wyraźnie skrępowany. Chciał zaimponować staremu dżentelmenowi długą oracją, ale wypadł zupełnie bezbarwnie. Podczas pierwszego spotkania „czeski kapral”, jak nazywał go Hindenburg, nie zrobił wrażenia na prezydencie, który powiedział Schleicherowi, że taki człowiek może zostać co najwyżej ministrem poczty, ale na pewno nie kanclerzem – feldmarszałek będzie musiał później przełknąć własną dumę.

Nadąsany Hitler pośpieszył do Bad Harzburg, gdzie nazajutrz, 11 października, włączył się do wielkiej demonstracji „opozycji narodowej” przeciwko rządom Niemiec i Prus. Było to zgromadzenie nie tyle radykalnej prawicy, reprezentowanej przez narodowych socjalistów, co starszych sił konserwatywnej reakcji: Niemieckiej Partii Narodowej

Hugenberga, prawicowych weteranów, Stalowego Hełmu, tzw. Młodzieży Bismarcka, Związku Rolniczego Junkrów i zbieraniny starych generałów. Nazistowski przywódca był przygaszony. Pogardzał powciskanymi we fraki i cylindry, obwieszonymi medalami reliktami starego reżimu i uważał, że zbyt bliskie kontakty jego „rewolucyjnego" ruchu z tymi środowiskami mogą okazać się szkodliwe. Odbębnił swoje przemówienie i ustąpił pola defiladzie Stalowego Hełmu, który ku jego irytacji stawił się na miejscu liczniej niż SA. Front Harzburski sformowany tego dnia przez konserwatystów, aby wciągnąć nazistów do zjednoczonego porozumienia i przypuścić ostateczny szturm na republikę (domagał się bezzwłocznej dymisji Brüninga), przyszedł na świat martwy. Hitler nie zamierzał grać drugich skrzypiec w orkiestrze tych dżentelmenów. Uważał, że mentalnie tkwią w przeszłości, do której nie ma już powrotu. Nie miał nic przeciwko temu, żeby przejściowo ich wykorzystać, jeśli mogli dopomóc w osłabieniu Republiki Weimarskiej i – co istotnie czynili – w znalezieniu dostępu do nowych źródeł finansowania. Natomiast on nie zamierzał dać się wykorzystywać im. Front Harzburski załamał się w ciągu kilku dni; jego poszczególne elementy ponownie rzuciły się sobie do gardeł.

Łączyła je tylko jedna kwestia. Zarówno Hugenberg, jak i Hitler nie zamierzali się godzić na propozycję przedłużenia kadencji Hindenburga. Na początku 1932 r. kanclerz wznowił wysiłki mające skłonić ich do zmiany zdania. Z najwyższym trudem namówił prezydenta, aby zgodził się służyć państwu dłużej, jeśli parlament przedłuży mu kadencję, dzięki czemu oszczędzi sobie trudów zaciekłej kampanii wyborczej. Następnie Brüning zaprosił Hitlera do Berlina na kolejną rozmowę. Stosowny telegram nadszedł, gdy Hitler naradzał się z Hessem i Rosenbergiem w monachijskiej redakcji „Völkischer Beobachter". Rzucając list w twarze rozmówców, Hitler ryknął: „Teraz mam ich w kieszeni! Uznali mnie za równego partnera w negocjacjach"[197].

7 stycznia rozmawiał z Brüningiem i Schleicherem, a następne posiedzenie odbyli trzy dni później. Kanclerz ponownie zwrócił się o zgodę nazistów na przedłużenie kadencji prezydenta. Dodał, że jeśli przeforsuje ten plan, to po załatwieniu zniesienia reparacji i równości zbrojeń ustąpi ze stanowiska. Według niektórych źródeł – choć to kwestia dyskusyjna – Brüning zarzucił jeszcze jedną przynętę: zaproponował, że wysunie kandydaturę przywódcy nazistów na następcę Hindenburga[198].

Hitler nie udzielił odpowiedzi od razu. Pojechał do hotelu Kaiserhof, aby porozmawiać z doradcami. Gregor Strasser opowiedział się za przyjęciem propozycji kanclerza, argumentując, że jeśli naziści wymuszą wybory, to Hindenburg je wygra. Goebbels i Röhm nalegali na stanowczą odmowę. 7 stycznia Goebbels zanotował w dzienniku: „Prezydentura to temat zastępczy. Brüning chce po prostu niepomiernie wzmocnić własną pozycję (…). Rozpoczęła się rozgrywka szachowa o władzę (…). Najważniejsze, byśmy pozostali silni i nie godzili się na żadne kompromisy". Dzień wcześniej napisał: „W organizacji jest człowiek, któremu nikt nie ufa (…). To Gregor Strasser"[199].

Sam Hitler nie widział powodów, by pomagać Brüningowi i tym samym przedłużać żywot republiki. Ale w przeciwieństwie do gruboskórnego Hugenberga, który 12 stycznia z miejsca odrzucił kanclerską propozycję, zachował się subtelniej. Nie odpowiedział kanclerzowi, ale za jego plecami bezpośrednio prezydentowi, oświadczając, że uważa propozycję Brüninga za niezgodną z konstytucją, lecz jeśli feldmarszałek odrzuci jego plan, to w zamian on poprze go w wyborach. Z kolei Otto von Meissnerowi – bystremu sekretarzowi stanu w kancelarii prezydenta, który z werwą służył najpierw socjaliście Ebertowi, a potem konserwatyście Hindenburgowi, a już zaczął myśleć o swej trzeciej kadencji, ktokolwiek zostanie prezydentem (może Hitler?) – podczas poufnej rozmowy w hotelu Kaiserhof nazistowski przywódca zaproponował wyborcze poparcie dla feldmarszałka, o ile tylko ten pozbędzie się Brüninga, nazwie rząd „narodowym" oraz zadekretuje nowe wybory do Reichstagu i do Sejmu Pruskiego.

Hindenburg nie chciał się na to zgodzić. Rozdrażniony tym, że naziści i nacjonaliści, których miał za przyjaciół i zwolenników, nie zechcieli oszczędzić mu trudu wyborczych zmagań, przystał na ponowny start. Do urazy, jaką poczuł względem ugrupowań nacjonalistycznych, doszło osobliwe rozgoryczenie na Brüninga, feldmarszałek uznał bowiem, że kanclerz źle poprowadził całą rozgrywkę, a teraz zmusza go do zażartej walki z siłami nacjonalistycznymi, które w 1925 r. pozwoliły mu zwyciężyć nad liberalno-marksistowskimi kontrkandydatami. Teraz mógł wygrać jedynie dzięki poparciu socjalistów i związków zawodowych, którym zawsze okazywał nieskrywaną pogardę. W jego kontaktach z kanclerzem – „najlepszym od czasów Bismarcka", jak jeszcze niedawno mówił – pojawił się wymowny chłód.

Chłód okazywany Brüningowi objął też generała, który wywindował go na kanclerski stołek. Schleicher uznał, że katolicki przywódca okazał się wielkim rozczarowaniem. Stał się najbardziej niepopularnym kanclerzem w krótkiej historii republiki. Nie potrafił sformować większości w kraju, nie umiał okiełznać ani zjednać nazistów, spartaczył kwestię przedłużenia kadencji Hindenburga. Musiał odejść – a wraz z nim może i generał Groener, uwielbiany przez Schleichera przełożony, który zdawał się nie pojmować kiełkujących w jego głowie pomysłów na przyszłość. Lecz knującemu intrygi Schleicherowi zbytnio się nie śpieszyło. Brüning i Groener, dwie najsilniejsze postaci w rządzie, musieli pozostać przy władzy do czasu reelekcji Hindenburga, ponieważ bez ich pomocy sędziwemu feldmarszałkowi mogło się nie udać. Po wyborach przestaną być przydatni.

HITLER KONTRA HINDENBURG

W karierze Adolfa Hitlera wiele razy zdarzyło się, że stanąwszy wobec niełatwego wyboru, nie potrafił się zdecydować. Oto jeden z nich. W 1932 r. musiał odpowiedzieć na pytanie: startować w wyborach prezydenckich czy nie? Hindenburg wydawał się nie do pobicia. Legendarnego bohatera poparłoby nie tylko wiele elementów prawicowych, ale i ugrupowania demokratyczne, które w 1925 r. opowiedziały się przeciwko niemu, lecz obecnie widziały w nim zbawcę republiki. Start przeciwko feldmarszałkowi i porażka, a ta wydawała się raczej pewna – czy to nie zbyt wielkie ryzyko dla reputacji niezwyciężoności, którą po spektakularnym sukcesie ogólnokrajowym w 1930 r. naziści budowali w kolejnych wyborach regionalnych? Z drugiej strony, czy wstrzymanie się przed startem nie byłoby równoznaczne z przyznaniem się do słabości, do braku wiary, że narodowy socjalizm stoi u progu władzy? Istniała jeszcze jedna kwestia: na razie Hitler nawet nie mógł startować. Nie był obywatelem Niemiec.

Joseph Goebbels ponaglał go, aby ogłosił kandydaturę. 19 stycznia podróżowali razem do Monachium i wieczorem napisał w dzienniku: „Dyskutowaliśmy z Führerem nad sprawą prezydentury. Decyzja jeszcze nie zapadła. Usilnie apelowałem o jego kandydaturę”. Wpisy z następnego miesiąca stanowią odzwierciedlenie dylematów Hitlera. 31 stycznia: „Decyzja Führera zapadnie we środę. Wątpliwości muszą zniknąć”. 2 lutego wydawało się, że wódz w końcu ją podjął. Goebbels odnotował:

„Decyduje, że chce zostać kandydatem”. Dodał jednak, że decyzja zostanie ogłoszona publicznie, dopiero gdy okaże się, co zrobią socjaldemokraci. Nazajutrz liderzy partyjni zjechali do Monachium, by osobiście usłyszeć, co postanowił Hitler. „Czekają na próżno – utyskiwał Goebbels. – Wszyscy są nerwowi i spięci”. Wieczorem drobny szef propagandy poszukiwał jakiejś rozrywki. Wymknął się na film z Gretą Garbo i był „poruszony oraz wstrząśnięty (…) największą z żyjących aktorek”. Później tego samego wieczoru „przyszło do mnie wielu towarzyszy partyjnych. Są przygnębieni brakiem decyzji. Boją się, że Führer czeka zbyt długo”.

Może i czekał zbyt długo, ale jego wiara w ostateczny triumf ani trochę nie osłabła. W dzienniku możemy przeczytać, że pewnej nocy Hitler odbył z Goebbelsem długą rozmowę na temat funkcji tego drugiego w III Rzeszy. Goebbels stwierdził, że wódz przewidział dla niego „Ministerstwo Edukacji Powszechnej, które zajmie się filmami, radiem, sztuką, kulturą i propagandą”. Innego wieczoru Hitler długo rozmawiał ze swoim architektem, profesorem Troostem, o planach „pełnych rozmachu zmian w stolicy”. Goebbels dodał: „Führer dopracował wszelkie plany. Przemawia, działa i czuje się, jakbyśmy już byli u władzy”.

Natomiast nie przemawiał, jakby palił się do wyborczej walki z Hindenburgiem. 9 lutego Goebbels zanotował: „Führer jest z powrotem w Berlinie. Kolejne dyskusje w Kaiserhof o wyborach prezydenckich. Wszystko w zawieszeniu”. Trzy dni później omówił z wodzem swoje rachuby względem wyników. „To ryzyko, ale trzeba je podjąć”, stwierdził. Lecz Hitler wrócił do Monachium, aby jeszcze przemyśleć sprawę.

Ostatecznie namyślił się za niego Hindenburg. 15 lutego sędziwy prezydent oficjalnie ogłosił swoją kandydaturę. Uradowało to Goebbelsa. „Teraz mamy wolną rękę. Nie musimy już ukrywać naszej decyzji”. Mimo to Hitler ukrywał ją aż do 22 lutego. Tego dnia podczas spotkania w Kaiserhof „Führer udzielił mi pozwolenia, żebym ogłosił jego decyzję dziś wieczorem w Sportpalast”, cieszył się Goebbels.

Kampania była zażarta i chaotyczna. Goebbels nazwał w Reichstagu Hindenburga „kandydatem partii dezerterów” i został wydalony z izby za obrazę prezydenta. W Berlinie nacjonalistyczna gazeta „Deutsche Zeitung”, która w 1925 r. poparła Hindenburga, teraz była mu zaciekle przeciwna. „Obecnie chodzi o to, czy internacjonalistyczni zdrajcy i pacyfistyczne świnie za zgodą Hindenburga doprowadzą Niemcy do ostatecznej ruiny”, pisała na swych łamach.

Wszystkie tradycyjne więzy lojalności klas i partii spowiło zamieszanie oraz żar wyborczej bitwy. Hindenburgowi, protestantowi, Prusakowi, konserwatyście i monarchiście, przypadło poparcie socjalistów, związków zawodowych, katolików Partii Centrum Brüninga oraz resztek liberalno-demokratycznych ugrupowań klasy średniej. Hitlerowi, czyli katolikowi, Austriakowi, byłemu włóczędze, „narodowemu socjaliście", liderowi mas niższej klasy średniej, obok zwolenników nazistów poparcia udzielili protestanci z klas wyższych północy kraju, konserwatywni junkrzy i wielu monarchistów, w tym, w ostatniej chwili, sam kronprinz. Zamieszanie pogłębiło włączenie się w wyścig dwóch kolejnych kandydatów. Żaden z nich nie miał szans na wygraną, ale mogli odebrać głównym rywalom dość głosów, aby uniemożliwić wybór w pierwszej turze. Nacjonaliści wystawili Theodora Duesterberga, zastępcę przywódcy Stalowego Hełmu (którego Hindenburg był honorowym dowódcą), bezbarwnego podpułkownika w stanie spoczynku, który, jak z zachwytem odkryli wkrótce naziści, był prawnukiem Żyda. Z kolei komuniści, którzy krzyczeli, że popierając Hindenburga, socjaldemokraci „zdradzili robotników", zgłosili kandydaturę swojego lidera, Ernsta Thälmanna. Nie po raz pierwszy ani ostatni ich ryzykowna, nakazana przez Moskwę gra przysłużyła się nazistom.

Hitler rozwiązał problem swojego obywatelstwa zanim kampania na dobre się rozkręciła. 25 lutego ogłoszono, że nazistowski minister spraw wewnętrznych Brunszwiku mianował pana Hitlera attaché przy przedstawicielstwie tego kraju związkowego w stolicy. Dzięki temu komicznemu manewrowi nazistowski przywódca automatycznie stał się obywatelem Brunszwiku, a co za tym idzie Niemiec, mógł więc startować w wyborach na prezydenta Rzeszy. Poradziwszy sobie z tą przeszkodą bez większych trudów, Hitler rzucił się w wir kampanii z wręcz furiacką energią, przemierzał cały kraj, przemawiał przed ogromnymi tłumami na licznych wiecach i spotkaniach, rozgrzewając publikę do gorączkowego szaleństwa. Goebbels i Strasser, dwaj inni czarodzieje słowa, postępowali podobnie. Ale na tym nie koniec. Uruchomili bowiem kampanię propagandową, jakiej Niemcy jeszcze nie widziały. Obkleili mury niemieckich miast i miasteczek milionami krzykliwych, kolorowych plakatów, rozprowadzili 8 milionów ulotek i 12 milionów dodatkowych egzemplarzy gazet partyjnych, organizowali w całym kraju po 3000 spotkań dziennie oraz po raz pierwszy w dziejach niemieckich wyborów

wykorzystali filmy i nagrania gramofonowe (te ostatnie puszczali przez zamontowane na samochodach megafony).

Brüning także niestrudzenie pracował na zwycięstwo sędziwego prezydenta. Choć raz ten uczciwy z natury człowiek okazał się na tyle bezwzględny, że zarezerwował cały czas antenowy kontrolowanych przez rząd rozgłośni radiowych dla swojego obozu, doprowadzając tym Hitlera do białej gorączki. Sam Hindenburg przemówił tylko raz, z nagrania wyemitowanego 10 marca, w przeddzień wyborów. Było to jedno z niewielu w toku tej kampanii przyzwoitych wystąpień. I okazało się skuteczne.

> Wybór człowieka partyjnego, reprezentującego jednostronne, skrajne poglądy, który stale miałby przeciw sobie większość narodu, naraziłby Ojczyznę na poważne wstrząsy, których rezultatów nie sposób przewidzieć. Obowiązek nakazał mi temu zapobiec (…). Jeśli zostanę pokonany, to przynajmniej nie ściągnę na siebie zarzutu, że w godzinie kryzysu opuściłem posterunek z własnej woli (…). Nie proszę o głosy tych, którzy głosować na mnie nie chcą.

Tym, którzy chcieli, zabrakło 0,4% głosów do absolutnej większości. Gdy 13 marca 1932 r. zamknięto lokale wyborcze, wynik brzmiał:

Hindenburg	18 651 497	49,6%
Hitler	11 339 446	30,1%
Thälmann	4 983 341	3,2%
Duesterberg	2 557 729	6,8%

Rezultaty rozczarowały obie strony. Stary prezydent wyprzedził nazistowskiego demagoga o ponad 7 milionów głosów, ale nie zdobył absolutnej większości, choć był o włos. Musiała odbyć się druga tura, w której miał wygrać kandydat, który otrzyma po prostu więcej głosów. W stosunku do 1930 r. Hitler powiększył nazistowski elektorat o niemal 5 milionów głosów – czyli 86% – ale i tak pozostał daleko w tyle za feldmarszałkiem. Późnym wieczorem po wyborach w berlińskim domu Goebbelsa, gdzie zebrało się wielu czołowych działaczy partyjnych, aby wysłuchać w radiu wyników, zapadła głęboka rozpacz. „Zostaliśmy pobici; koszmarny wynik (…). Kręgi partyjne ciężko przybite i przygnębione (…). Może nas ocalić tylko jakieś sprytne zagranie”, napisał tej nocy w dzienniku Goebbels.

Lecz nazajutrz rano Hitler obwieścił w „Völkischer Beobachter”: „Pierwsza kampania wyborcza dobiegła końca. Dzisiaj rozpoczyna się druga. Poprowadzę ją”. I rzeczywiście, walczył o głosy z nie mniejszą energią niż wcześniej. Wynajął pasażerskiego Junkersa, latał z jednego krańca Niemiec na drugi – wtedy była ta nowość w kampaniach wyborczych – przemawiał na trzech, czterech wielkich wiecach dziennie, za każdym razem w innym mieście. Sprytnie zmienił taktykę, by zdobyć więcej głosów. W pierwszej kampanii żerował na niedoli narodu, na bezradności republiki. Teraz rysował przed Niemcami pomyślną przyszłość, która nastanie, jeśli tylko zostanie wybrany: praca dla robotników, wyższe ceny skupu dla rolników, więcej okazji dla biznesmenów, większa armia dla militarystów, a podczas przemówienia w berlińskim Lustgarten obiecał: „W III Rzeszy każda niemiecka dziewczyna znajdzie męża!”.

Nacjonaliści wycofali Duesterberga z wyścigu i zaapelowali do swoich zwolenników, by głosowali na Hitlera. Ponownie pomógł nawet były następca tronu, Fryderyk Wilhelm: „Zagłosuję na Hitlera”, ogłosił.

10 kwietnia 1932 r., dzień drugiej tury wyborów, był ponury i deszczowy, do urn poszło o milion obywateli mniej. Ogłoszone późnym wieczorem wyniki brzmiały:

Hindenburg	19 359 983	53%
Hitler	13 418 547	36,8%
Thälmann	3 706 759	10,2%

Choć Hitler zwiększył swój dorobek o 2 miliony, a Hindenburg tylko o milion, prezydent zdobył wyraźną absolutną większość. Tym samym ponad połowa obywateli Niemiec dała wyraz swej wierze w demokratyczną republikę; stanowczo odrzucili zarówno prawicowego, jak i lewicowego ekstremistę. A przynajmniej tak myśleli.

Hitler miał nad czym myśleć. Dał imponujący popis. W dwa lata podwoił nazistowski elektorat. A jednak większość nadal mu się wymykała – a wraz z nią władza. Czy stanął u kresu pewnej drogi? W toku partyjnej dyskusji po wyborach Strasser szczerze argumentował, że tak wygląda siła Hitlera. Namawiał, aby ułożyć się z władzą: z prezydentem, z rządem Brüninga i generała Groenera, z armią. Hitler mu nie ufał, ale nie skreślił jego pomysłu. Nie zapomniał o lekcjach z wiedeńskich lat, pamiętał, że chcąc zdobyć władzę, trzeba zjednać sobie poparcie części „potężnych instytucji”.

Jeszcze zanim namyślił się co do kolejnych kroków, jedna z owych instytucji, rząd republiki, wymierzyła mu bolesny cios.

Rząd Rzeszy oraz rozmaite rządy krajów związkowych przez ponad rok gromadziły dokumenty dowodzące, że wielu wysokich rangą nazistów, zwłaszcza z SA, szykowało się do zdobycia władzy siłą i zaprowadzenia terroru. W przeddzień pierwszej tury wyborów prezydenckich liczące już 400 tysięcy ludzi SA w pełni się zmobilizowało i otoczyło Berlin kordonem. Choć dowódca organizacji kapitan Röhm zapewnił generała Groenera, że to tylko środek „zapobiegawczy", pruska policja zdobyła w stołecznej siedzibie NSDAP dokumenty wyraźnie wskazujące, że gdyby Hitler został wybrany, nazajutrz SA planowało przeprowadzić zbrojny przewrót. Röhmowi bardzo się śpieszyło. Goebbels we wpisie z 11 marca potwierdził, że coś było na rzeczy. „Rozmawiałem o instrukcjach z dowódcami SA i SS. Wszędzie pleni się głęboki niepokój. Słowo pucz wisi w powietrzu".

Rządy krajowe i centralny zostały zaalarmowane. 5 kwietnia przedstawiciele kilku krajów związkowych, pod przewodnictwem największych Prus i Bawarii, zażądały, aby władze Rzeszy zlikwidowały SA, a jeśli nie, to same zrobią to u siebie. Kanclerza Brüninga nie było w stolicy, gdyż zabiegał o głosy w terenie, lecz Groener, który przyjął delegatów jako minister spraw wewnętrznych i obrony, obiecał podjęcie stosownych kroków zaraz po powrocie kanclerza, czyli 10 kwietnia, w dzień drugiej tury wyborów. Brüning i Groener uważali, że mają solidne podstawy, aby zdeptać SA. Położyłoby to kres niebezpieczeństwu wojny domowej i mogło oznaczać początek końca Hitlera jako ważnego czynnika w niemieckiej polityce. Pewni, że tym razem Hindenburg wygra absolutną większością głosów, uznali, że wyborcy przyznają im mandat pozwalający na obronę republiki w obliczu groźby obalenia jej przez nazistów. Nadszedł czas, aby sile przeciwstawić siłę. Ponadto mieli świadomość, że jeśli nie podejmą energicznych działań, stracą poparcie socjaldemokratów i związków zawodowych, czyli głównych środowisk głosujących na Hindenburga i opowiadających się za trwaniem rządu Brüninga.

Gabinet zebrał się 10 kwietnia, gdy w całych Niemczech ludzie oddawali głosy, i postanowił bezzwłocznie zająć się prywatnymi armiami Hitlera. Pojawiły się pewne problemy ze skłonieniem Hindenburga do podpisania dekretu (Schleicher, który z początku poparł całą akcję, zaczął podszeptywać prezydentowi swe obiekcje), ale 13 kwietnia w końcu ustąpił i nazajutrz promulgowano stosowny dokument.

Dla nazistów był to ogłuszający cios. Röhm oraz inni partyjni furiaci nawoływali do stawienia oporu. Przebieglejszy od nich Hitler zarządził, że dekretowi trzeba się podporządkować. To nie był czas na zbrojną rebelię. Poza tym pojawiły się pewne ciekawe informacje na temat Schleichera. Jeszcze tego samego dnia, 14 kwietnia, Goebbels napisał w dzienniku: „Dowiedzieliśmy się, że Schleicher nie popiera akcji Groenera (…)". Kilka godzin później dodał: „(…) telefon od dobrze znanej damy, która jest bliską przyjaciółką generała von Schleichera. Mówi, że generał chce zrezygnować"[200].

Goebbelsa to zaciekawiło, ale pozostał sceptyczny. „Być może to tylko wybieg", zanotował. Ani on, ani Hitler, ani nikt inny, a już na pewno nie Brüning i Groener, którym Schleicher zawdzięczał błyskawiczną karierę w armii i w kręgach władzy, nie domyślali się, jak ogromne pokłady zdradliwości drzemią w nieustannie intrygującym generale. Ale już wkrótce mieli się o tym przekonać.

Schleicher, który zjednał sobie pozbawionego charakteru dowódcę Reichswehry generała von Hammersteina, jeszcze przed delegalizacją SA poufnie poinformował dowódców siedmiu okręgów wojskowych, że armia jest przeciwna dekretowi. Następnie przekonał Hindenburga, żeby 16 kwietnia napisał do Groenera zrzędliwy list, w którym pytał, dlaczego Reichsbanner, paramilitarna organizacja socjaldemokratów, nie została zdelegalizowana razem z SA. To nie był koniec kopania dołków pod przełożonym. Schleicher zainicjował nikczemną kampanię oczerniania generała Groenera, szerząc pogłoski, że jest on zbyt słabego zdrowia, aby pozostać na urzędzie, że przeszedł na marksizm, a nawet na pacyfizm. Obwieścił, że minister obrony zhańbił armię, gdyż pięć miesięcy po niedawnym małżeństwie na świat przyszło jego dziecko – jak wyjawił Hindenburgowi, w środowiskach wojskowych nazwano je „Nurmi", od niezwykle szybkiego słynnego biegacza fińskiego.

W międzyczasie Schleicher wznowił kontakty z SA. Rozmawiał zarówno z Röhmem, szefem organizacji, jak i z hrabią von Helldorfem, który stał na czele jej berlińskich struktur. 26 kwietnia Goebbels zanotował, że Schleicher poinformował hrabiego, że „pragnie zmiany kursu". Dwa dni później generał spotkał się z Hitlerem, a Goebbels stwierdził, że „rozmowy poszły dobrze".

Już na tym etapie gry było jasne, że w jednej kwestii Röhm i Schleicher spiskują za plecami Hitera. Obaj chcieli, żeby SA zostało włączone do

armii w charakterze milicji. Führer niezmiennie był temu przeciwny. Często kłócił się o to z szefem SA, który uważał szturmowców za siłę wojskową, mogącą potencjalnie wzmocnić państwo. Z kolei przywódca nazistów postrzegał organizację wyłącznie jako siłę *polityczną*, bandę mogącą siać terror na ulicach, zwalczać rywali i pilnować odpowiedniego poziomu entuzjazmu w własnych szeregach. Jednak Schleicherowi w trakcie rozmów z Hitlerem chodziło po głowie coś jeszcze. Generał chciał przyłączenia SA do armii, bo dzięki temu mógłby ją kontrolować; pragnął także widzieć Hitlera – jedynego nacjonalistyczno-konserwatywnego polityka cieszącego się szerokim poparciem – w rządzie, aby kontrolować *również jego*. Delegalizacja SA stała na drodze obu tych celów.

Pod koniec pierwszego tygodnia maja 1932 r. intrygi Schleichera dotarły do punktu krytycznego. 4 maja Goebbels napisał: „Miny Hitlera zaczynają wybuchać. Najpierw musi odejść Groener, potem Brüning". Cztery dni później zanotował w dzienniku, że Hitler odbył „decydującą naradę z generałem von Schleicherem oraz pewnymi dżentelmenami z otoczenia prezydenta. Wszystko idzie dobrze. Brüning upadnie za kilka dni. Prezydent przestanie mu ufać". Następnie zarysował plan, który Schleicher i kamaryla z pałacu prezydenckiego uknuli z Hitlerem: Reichstag zostanie rozwiązany, powstanie prezydencki rząd gabinetowy, a wszelkie zakazy nałożone na SA i NSDAP zostaną uchylone. Goebbels dodał, że aby uniknąć wzbudzenia w kanclerzu podejrzeń, Hitler będzie trzymał się z dala od Berlina. Późnym wieczorem wyekspediował swojego szefa do Meklemburgii, gdzie ten w zasadzie zaszył się w kryjówce.

Dzień później Goebbels napisał, że naziści traktują prezydencki gabinet zaledwie jako „tymczasowy". Stwierdził, że „bezbarwny" rząd przejściowy „oczyści nam drogę. Im będzie słabszy, tym łatwiej się z nim uporamy". Naturalnie Schleicher nie podzielał tych poglądów, marzył już o nowym rządzie, który obejdzie się bez pomocy parlamentu i zmieni konstytucję, a on będzie w nim siłą dominującą. Obaj z Hitlerem uważali, że są w stanie przechytrzyć siebie nawzajem. Jednak na razie to generał miał asa w rękawie. Mógł obiecać zmęczonemu, staremu prezydentowi, że jest w stanie zapewnić mu to, czego Brüning nie potrafił: rząd cieszący się poparciem Hitlera, ale bez kłopotliwego, fanatycznego demagoga.

Tak więc wszystko było gotowe i 10 maja, dwa dni po spotkaniu z Hitlerem i ludźmi z otoczenia prezydenta, Schleicher wyprowadził uderzenie. Cios został zadany w Reichstagu. Generał Groener przemówił w

obronie delegalizacji SA i został gwałtownie zaatakowany przez Göringa. Chorujący na cukrzycę i serce minister obrony bronił się najlepiej jak potrafił, ale został zasypany obelgami z nazistowskich ław. Wyczerpany i poniżony wyszedł z izby, lecz po drodze wpadł na generała von Schleichera, od którego usłyszał, że „przestał cieszyć się zaufaniem armii i musi zrezygnować". Groener odwołał się do Hindenburga, którego zawsze lojalnie bronił – i za którego brał na siebie winę – w kluczowych momentach, najpierw w 1918 r., gdy poinformował cesarza, że ten musi odejść, a potem w 1919, gdy doradził republikańskiemu rządowi podpisanie traktatu wersalskiego. Jednak stary feldmarszałek, którego zawsze uwierało, że ma tak duże zobowiązanie wobec młodszego oficera, odpowiedział, że „żałuje", ale nie może w tej sprawie nic zrobić. 13 maja rozgoryczony i rozczarowany[201] Groener zrezygnował. Wieczorem Goebbels mógł odnotować w dzienniku: „Mamy wieści od generała von Schleichera. Wszystko idzie zgodnie z planem".

Plan zakładał, że następna spadnie głowa Brüninga i wyrachowany generał rzeczywiście szybko naostrzył gilotynę. Upadek Groenera był dotkliwym ciosem dla chwiejącej się w posadach republiki. Jako niemal jedyny przedstawiciel wojska służył jej umiejętnie i z oddaniem. W armii nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić. Jednakże uparty, pracowity Brüning nadal trwał u władzy. Zapewnił poparcie większości Niemców dla reelekcji Hindenburga i jak zakładał, dla dalszego funkcjonowania republiki. Zdawało się, że stoi u progu spektakularnego sukcesu na arenie międzynarodowej, zarówno jeśli chodzi o anulowanie reparacji, jak i zbrojeniowe równouprawnienie dla Rzeszy. Ale jak widzieliśmy, sędziwy prezydent nagrodził nadludzkie wysiłki kanclerza na rzecz jego reelekcji wyjątkowym chłodem. Postawa feldmarszałka stała się jeszcze bardziej nieprzyjazna, gdy Brüning zaproponował, żeby państwo przejęło za szczodrą rekompensatą szereg upadłych majątków junkierskich w Prusach Wschodnich i przekazało je bezrolnemu chłopstwu. Gdy w połowie maja Hindenburg wyjechał na Wielkanoc do Ogrodzieńca (Neudeck), wschodniopruskiego majątku, który junkrzy przy finansowej pomocy przemysłowców podarowali mu w prezencie na osiemdziesiąte urodziny, nasłuchał się narzekań arystokratycznych sąsiadów, gardłujących za dymisją kanclerza, którego zaczęli nazywać „agrarnym bolszewikiem".

Naziści, niewątpliwie dzięki Schleicherowi, dowiedzieli się o dymisji kanclerza przed samym zainteresowanym. 18 maja Goebbels wrócił z

Monachium do Berlina i zauważywszy, że w powietrzu nadal unosi się „wielkanocny duch”, napisał w dzienniku: „Wydaje się, że dla Brüninga nastała samotna zima. Śmieszne, że nie ma o tym pojęcia”. Może jednak słuszniej byłoby stwierdzić, że czołowy szczur, daleki od opuszczenia tonącego statku państwa, szykował się do mianowania nowego kapitana. Nazajutrz Goebbels zanotował: „Generał von Schleicher odmówił przejęcia Ministerstwa Obrony”. To prawda, ale niepełna. Po skarceniu go za podkopanie pozycji Groenera kanclerz rzeczywiście zwrócił się do Schleichera, aby objął osierocony resort. „Obejmę – odrzekł generał – ale nie w pańskim rządzie”[202].

Pod datą 19 maja w dzienniku Goebbelsa czytamy: „Wiadomość od Schleichera. Lista ministrów gotowa. W okresie przejściowym to nie jest aż takie ważne”. A zatem naziści dowiedzieli się o losie Brüninga przynajmniej tydzień wcześniej niż on. W niedzielę 29 maja Hindenburg wezwał kanclerza przed swoje oblicze i bez owijania w bawełnę zażądał jego rezygnacji, którą dzień później otrzymał.

Schleicher triumfował. Ale nie tylko Brüning upadł. Wraz z nim runęła demokratyczna republika, choć jej agonia będzie trwała jeszcze osiem miesięcy, zanim otrzyma ostateczny, śmiertelny cios. Kanclerz ponosił całkiem dużą odpowiedzialność za jej koniec. Choć w sercu był demokratą, dał się wmanewrować w sytuację, w której przez większość czasu musiał rządzić za pomocą dekretów prezydenckich, bez zgody parlamentu. Trzeba przyznać, że został do tego sprowokowany; politycy w swej ślepocie sprawili, że nie miał innego wyjścia. Natomiast jeszcze 12 maja zdołał ugrać w Reichstagu wotum zaufania dla swojej ustawy finansowej. Gdy jednak parlament na coś się nie godził, odwoływał się do uprawnień głowy państwa. Teraz stracił możność sprawowania władzy. Od czerwca 1932 do stycznia 1933 r. przypadła ona dwóm mniej znaczącym postaciom, które wprawdzie nie były nazistami, ale nie czuły potrzeby stania na straży republiki, przynajmniej w jej ówczesnej formie.

Naród oraz ciało wyrażające jego wolę, Reichstag, przestały być ośrodkami władzy politycznej w Niemczech. Skupiła się ona w rękach osiemdziesięciopięcioletniego, otępiałego prezydenta i garstki otaczających go płytkich, ambitnych ludzi, którzy wpływali na jego zmęczony, błądzący umysł. Hitler wyraźnie to widział i służyło to jego celom. Uzyskanie większości parlamentarnej przez nazistowskiego wodza zdawało się niemożliwe. Jedyną szansę objęcia władzy zapewnił mu właśnie nowy kurs

obrany przez Hindenburga. Oczywiście nie zdobył jej od razu, ale wkrótce miał zrealizować swe zamierzenia.

Hitler pośpiesznie wrócił do Berlina z Oldenburga, gdzie 29 maja naziści zdobyli absolutną większość w wyborach do lokalnego sejmu. Nazajutrz został przyjęty przez prezydenta, który potwierdził warunki umowy zawartej potajemnie przez nazistowskiego przywódcę z generałem von Schleicherem 8 maja: uchylenie delegalizacji SA, gabinet prezydencki wybrany przez samego feldmarszałka, rozwiązanie Reichstagu. Hindenburg zapytał, czy Hitler poprze nowy rząd. Ten odparł, że tak. 30 maja wieczorem Goebbels zapisał w dzienniku: „Rozmowa Hitlera z prezydentem poszła dobrze (…). Mówi się o v. Papenie jako kanclerzu. Ale to mało nas obchodzi. Ważne, że Reichstag jest rozwiązany. Wybory! Wybory! Bezpośrednio do ludu! Wszyscy bardzo się cieszymy”[203].

FIASKO FRANZA VON PAPENA

W tym czasie w centrum wydarzeń przelotnie pojawiła się nieoczekiwana i groteskowa postać. Człowiekiem, którego Schleicher narzucił staremu prezydentowi i który 1 czerwca 1932 r. został mianowany kanclerzem Niemiec, był pięćdziesięciotrzyletni Franz von Papen. Był to potomek zubożałego rodu szlacheckiego z Westfalii, dawny oficer Sztabu Generalnego, pierwszorzędny jeździec, nieudolny, dyletancki polityk katolickiego centrum, dzięki małżeństwu zamożny przemysłowiec, znany opinii publicznej tylko jako były attaché wojskowy w Waszyngtonie. Podczas wojny został zresztą wydalony ze stolicy USA, gdyż uwikłał się w planowanie sabotażu, polegającego na wysadzaniu mostów i torów kolejowych, i to w czasie gdy Stany Zjednoczone nadal były neutralne.

„Wybór prezydenta przyjęto z niedowierzaniem – napisał francuski ambasador w Berlinie. – Wszyscy uśmiechają się, chichoczą lub rechotają, gdyż, co osobliwe, Papena nie traktują poważnie ani jego przyjaciele, ani wrogowie (…). Ma reputację człowieka płytkiego, nieudolnego, nieszczerego, ambitnego, próżnego, chytrego i intryganta”[204]. To właśnie takiemu człowiekowi – François-Poncet wcale nie przesadzał – Hindenburg, za namową Schleichera, powierzył los tonącej republiki.

Papen nie miał żadnej bazy politycznego poparcia. Nie był nawet członkiem Reichstagu. Jego osiągnięcia polityczne kończyły się na

mandacie do pruskiego landtagu. Po mianowaniu go kanclerzem jego własna Partia Centrum, oburzona zdradą, jakiej dopuścił się względem lidera, Brüninga, jednogłośnie wydaliła go ze swych szeregów. Ale prezydent polecił mu sformować rząd ponadpartyjny i Papen nie miał z tym najmniejszego problemu, bo Schleicher już trzymał gotową listę ministrów. Rząd stał się znany jako „gabinet baronów". Pięciu jego członków wywodziło się ze szlachty, dwóch zarządzało korporacjami, a jeden, minister sprawiedliwości Franz Gürtner, w trudnych dniach po puczu piwiarnianym był protektorem Hitlera w bawarskich władzach. Hindenburg wykurzył generała von Schleichera z jego ulubionej pozycji – za kulisami – i mianował go ministrem obrony. „Gabinet baronów" został odebrany przez większość Niemców jako żart, choć niektórzy jego członkowie, baron von Neurath, baron von Eltz-Rubenach, hrabia Schwerin von Krosigk i doktor Gürtner, wykazali się taką wytrwałością, że piastowali swe urzędy wiele lat po nastaniu III Rzeszy.

Pierwszym czynem Papena było uhonorowanie paktu Schleichera z Hitlerem. 4 czerwca rozwiązał Reichstag i na 31 lipca rozpisał nowe wybory, a 15 czerwca, napomniany przez podejrzliwych nazistów, uchylił delegalizację SA. W efekcie przez kraj przetoczyła się fala politycznej przemocy i mordów, jakiej Niemcy wcześniej nie zaznały. Szturmowcy wylali się na ulice, szukając bójki i krwi, a rzucone przez nich wyzwanie zostało szybko podjęte, przede wszystkim przez komunistów. W samych tylko Prusach pomiędzy 1 a 20 czerwca doszło do 461 walnych bitew ulicznych, w których 82 ludzi straciło życie, a 400 zostało rannych. W lipcu na liście 86 osób zabitych w zamieszkach znalazły się nazwiska 38 nazistów i 30 komunistów. W niedzielę 10 lipca śmierć spotkała na ulicach 18 osób, a dokładnie tydzień później, gdy naziści, w eskorcie policji, zorganizowali marsz przez Altonę, robotnicze przedmieście Hamburga, 19 osób zostało zastrzelonych, a aż 285 doznało ran. Wojna domowa, dla której powstrzymania utworzono „gabinet baronów", przybierała coraz gorszy obrót. Wszystkie partie, z wyjątkiem NSDAP i komunistów, domagały się od rządu przywrócenia porządku w kraju.

W odpowiedzi Papen wykonał dwa ruchy. Zakazał wszelkich defilad politycznych w okresie dwóch tygodni przed wyborami. Ponadto podjął decyzję, która miała nie tylko ugłaskać nazistów, ale i zniszczyć jeden z ostatnich filarów demokratycznej republiki. 20 lipca zdymisjonował rząd Prus i mianował się komisarzem Rzeszy dla tego kraju związkowego. Był

to śmiały krok na drodze do władzy autorytarnej, jakiej pragnął dla całych Niemiec. Papen usprawiedliwił go tym, że zamieszki w Altonie dowiodły, iż pruskie władze nie są w stanie utrzymać ładu i porządku. Oskarżył je również, na podstawie „dowodów" dostarczonych przez Schleichera, że współpracują z komunistami. Gdy socjalistyczni ministrowie odmówili podania się do dymisji i zagrozili, że pozwolą się usunąć tylko siłą, Papen chętnie spełnił ich żądania.

W Berlinie ogłoszono stan wojenny, a generał von Rundstedt, miejscowy dowódca Reichswehry, posłał jednego porucznika oraz 12 żołnierzy, aby dokonali koniecznych aresztowań. Ludzie prawicy, którzy przejęli władzę federalną, ani Hitler nie przeoczyli tego biegu wypadków. Mogli przestać się martwić, że siły lewicy albo demokratycznego centrum stawią poważniejszy opór niszczeniu systemu demokratycznego. W 1920 r. republikę ocalił strajk generalny. Liderzy związkowi i socjaliści także teraz dyskutowali o tym rozwiązaniu, ale odrzucili je jako zbyt niebezpieczne. A zatem, dymisjonując konstytucyjnie wybrane władze Prus, Papen wbił kolejny gwóźdź do trumny Republiki Weimarskiej. Szczycił się, że wystarczyło mu do tego kilkunastu żołnierzy.

Hitler i jego ludzie byli zdeterminowani obalić nie tylko republikę, ale też Papena i towarzyszących mu baronów. Goebbels wyłożył ten cel we wpisie z 5 czerwca: „Musimy w pierwszym możliwym momencie odciąć się od tego przejściowego, burżuazyjnego gabinetu". Gdy 9 czerwca Papen po raz pierwszy spotkał się z nazistowskim przywódcą, usłyszał od niego: „Uważam pański rząd za tymczasowe rozwiązanie i będę kontynuował wysiłki na rzecz uczynienia mojej partii najsilniejszą w kraju. Wtedy kanclerstwo przejdzie na mnie"[205].

Wybory do Reichstagu z 31 lipca były trzecimi ogólnopaństwowymi wyborami w Niemczech w okresie pięciu miesięcy, ale naziści, którym uprawianie kampanii absolutnie się nie znudziło, rozpoczęli walkę o głosy z jeszcze większym fanatyzmem i animuszem niż wcześniej. Na przekór złożonej Hindenburgowi przez Hitlera obietnicy, że NSDAP poprze gabinet Papena, Goebbels przypuścił kąśliwy atak na ministra spraw wewnętrznych, a Hitler już 9 lipca poszedł do Schleichera ze skargami na politykę rządu. Sądząc po liczebności tłumów na jego wystąpieniach, nie można było wątpić, że naziści mają wiatr w żaglach. Jednego dnia, 27 lipca, Hitler przemawiał przed 60 tysiącami ludzi w Brandenburgu, przed nieco mniejszą liczbą w Poczdamie, a wieczorem na kolosalny stadion Grunewald

w stolicy przyszło aż 120 tysięcy Niemców, a dodatkowe 100 tysięcy zebrało się pod stadionem i słuchało jego słów przez megafony.

Głosowanie 31 lipca przyniosło spektakularne zwycięstwo NSDAP. Dzięki 13 745 000 głosom naziści uzyskali 230 miejsc w Reichstagu, stając się zdecydowanie największym ugrupowaniem w parlamencie, choć nadal nie mieli większości w liczącej 608 członków izbie. Socjaldemokraci, niewątpliwie przez uległość, jaką ich liderzy okazali w Prusach, stracili 10 mandatów i ich reprezentacja skurczyła się do 133. Klasa robotnicza przesuwała swoją sympatię w stronę komunistów, którzy zyskali 12 miejsc i posiadając w Reichstagu 89 deputowanych, stali się trzecią partią w izbie. Katolicka Partia Centrum nieznacznie wzbogaciła swój stan posiadania, z 68 do 73 miejsc, ale inne ugrupowania klasy średniej, a nawet narodowcy Hugenberga, a tylko oni w toku kampanii popierali Papena, doznały porażki. Było jasne, że klasy średnia i wyższa, z wyjątkiem katolików, przeszły do obozu nazistowskiego.

2 sierpnia Hitler podsumował sukces nad Tegernsee pod Monachium, gdzie spotkał się na naradzie z liderami partii. Od czasu poprzednich wyborów do Reichstagu narodowi socjaliści zyskali 7 milionów głosów, a ich przedstawicielstwo w parlamencie rozrosło się ze 107 do 230 miejsc. W ciągu czterech lat od 1928 r. naziści przyciągnęli 13 milionów nowych zwolenników. A jednak większość, która za jednym zamachem wyniosłaby partię do władzy, nadal wymykała się Hitlerowi z rąk. Zdobył tylko 38% łącznej liczby głosów. Większość Niemców wciąż była mu przeciwna.

Wódz dyskutował ze swoimi pomocnikami do późnej nocy. Goebbels streścił rezultaty rozmów we wpisie z 2 sierpnia: „Führer stoi przed trudnymi decyzjami. Zgodnie z prawem? Z Centrum?”. W porozumieniu z Partią Centrum naziści mogliby stworzyć większość w Reichstagu. Ale Goebbels uważał, że to „nie do pomyślenia”. Niemniej „Führer nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Sytuacja będzie musiała jeszcze trochę dojrzeć”.

Ale niezbyt długo. Promieniejący po zwycięstwie Hitler, choć nie było ono rozstrzygające, tracił cierpliwość. 4 sierpnia ruszył do Berlina, ale nie na spotkanie z kanclerzem von Papenem, lecz z generałem von Schleicherem, aby „zaprezentować mu żądania”, jak ujął to Goebbels. „Raczej nie będą umiarkowane”, dodał. 5 sierpnia w podberlińskich koszarach Fürstenberg Hitler zarysował przed Schleicherem swoje warunki: dla niego kanclerstwo, dla jego partii premierostwo Prus, resorty spraw

wewnętrznych Rzeszy i Prus, ministerstwa sprawiedliwości, gospodarki i lotnictwa Rzeszy oraz nowy resort dla Goebbelsa – Ministerstwo Oświecenia Publicznego i Propagandy. Na pocieszenie Hitler zaproponował generałowi Ministerstwo Obrony. Co więcej, zapowiedział, że będzie domagał się od Reichstagu przyznania mu prawa rządzenia za pomocą dekretów przez określony czas; w razie odmowy parlament zostanie „odesłany do domu".

Hitler wyszedł ze spotkania przekonany, że kupił Schleichera dla swojego programu, i w dobrym nastroju wrócił na południe, do swojego górskiego zacisza na Obersalzbergu. Goebbels, zawsze cyniczny w stosunku do opozycji i nieufny względem rozpolitykowanego generała, nie podzielał pewności wodza. „Lepiej zachować sceptycyzm co do dalszego rozwoju wypadków", zwierzył się dziennikowi 6 sierpnia, po tym jak wysłuchał optymistycznego sprawozdania Führera z rozmowy ze Schleicherem. Był jednak pewien jednej rzeczy: „Gdy chwycimy władzę, już jej nie oddamy. Będą musieli wynieść z ministerstw nasze trupy".

Sytuacja nie wyglądała jednak tak dobrze, jak Hitler sądził. 8 sierpnia Goebbels napisał: „Telefon z Berlina. Pełno plotek. Cała partia gotowa do objęcia władzy. Ludzie z SA opuszczają miejsca pracy, żeby się przygotować. Liderzy partii szykują się na wielką godzinę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, świetnie. Jeśli pójdzie źle, nastąpi koszmarne niepowodzenie". Nazajutrz Strasser, Frick i Funk przywieźli na Obersalzberg mało pokrzepiające wieści. Schleicher znowu wił się jak piskorz. Teraz uparł się, że jeśli Hitler ma zostać kanclerzem, to musi rządzić we współpracy z Reichstagiem. Funk zameldował, że jego przyjaciele ze środowisk biznesowych martwią się o perspektywy nazistowskiego rządu. Dostał potwierdzający tę ocenę telegram od Schachta. I wreszcie, Hitler usłyszał od tego tria, że na Wilhelmstrasse boją się nazistowskiego puczu.

Strach ten nie był pozbawiony podstaw. Następnego dnia, 10 sierpnia, Goebbels dowiedział się, że SA w Berlinie jest „w stanie zbrojnej gotowości (…). SA otacza Berlin coraz silniejszym pierścieniem (…). Wilhelmstrasse jest tym faktem bardzo zdenerwowane. Ale właśnie o to chodzi w naszej mobilizacji". Nazajutrz Führer w końcu stracił cierpliwość. Pojechał samochodem do stolicy. Goebbels twierdził, że usychał tam z nudów, ale z drugiej strony, gdyby go wezwano, byłby gotowy. Lecz

wezwanie nie nadeszło, więc Hitler sam poprosił o widzenie z prezydentem. Najpierw jednak musiał porozmawiać ze Schleicherem i Papenem.

Rozmowa odbyła się 13 sierpnia w południe. Przebiegła burzliwie. Schleicher wykręcił się od zajętego tydzień wcześniej stanowiska. Poparł Papena, który poinformował Hitlera, że może liczyć co najwyżej na stanowisko wicekanclerza. Hitler się wściekł: kanclerstwo albo nic. W końcu Papen zamknął spotkanie, stwierdzając, że pozostawia „ostateczną decyzję" Hindenburgowi[206].

Obrażony Hitler zamknął się w hotelu Kaiserhof. Tam o godzinie 15.00 odebrał telefon z biura prezydenta. Ktoś (sądząc po dziennikach Goebbelsa, najpewniej właśnie on sam) zapytał: „Czy decyzja została podjęta? Jeśli tak, to nie ma sensu, żeby Hitler przychodził". Naziści usłyszeli jednak, że prezydent „życzy sobie najpierw pomówić z Hitlerem".

Sędziwy feldmarszałek przyjął nazistowskiego wodza w swoim gabinecie na stojąco, wspierając się na lasce i tym samym z góry nadając rozmowie lodowaty ton. Jak na osiemdziesięciopięciolatka, który zaledwie 10 miesięcy wcześniej doznał niemal całkowitej i trwającej ponad tydzień utraty zmysłów, Hindenburg był w zadziwiająco dobrej formie umysłowej. Cierpliwie wysłuchał Hitlera, który powtórzył swoje pretensje dotyczące kanclerstwa i całkowitej władzy. Jedynymi świadkami tej rozmowy byli Otto von Meissner, szef prezydenckiej kancelarii, oraz towarzyszący Hitlerowi Göring, i choć Meissner nie jest do końca wiarygodnym źródłem, jego zeznanie złożone w Norymberdze to jedyna istniejąca relacja o tych wydarzeniach z pierwszej ręki, a ponadto brzmi uczciwie.

> Hindenburg odpowiedział, że ze względu na napiętą sytuację sumienie nie pozwala mu na podjęcie ryzyka i przekazanie władzy rządu nowej partii, takiej jak narodowosocjalistyczna, która nie posiada większości oraz jest nietolerancyjna, hałaśliwa i niezdyscyplinowana.
>
> W tym momencie Hindenburg, okazując pewne uniesienie, przywołał kilka niedawnych zdarzeń: starcia pomiędzy nazistami i policją, akty przemocy, jakich zwolennicy Hitlera dopuścili się na osobach o odmiennych zapatrywaniach, ekscesy przeciwko Żydom oraz inne sprzeczne z prawem działania. Wszystkie te incydenty umocniły go w przekonaniu, że w partii jest wiele dzikich elementów poza kontrolą (…). Po długiej dyskusji Hindenburg zasugerował Hitlerowi, że powinien zgłosić gotowość do współpracy z innymi partiami, zwłaszcza z prawicowymi i centrowymi, oraz porzucić wyrażany jednostronnie pomysł, że musi mieć pełną władzę. Hindenburg stwierdził, że we współpracy z innymi partiami będzie w stanie pokazać, co potrafi osiągnąć i poprawić. Jeżeli wykaże się pozytywnymi wynikami, to zdobędzie większe, a może nawet dominujące wpływy w koalicyjnym rządzie.

> Hindenburg orzekł, że będzie to również najlepszy sposób na pozbycie się szeroko rozpowszechnionego strachu, iż narodowosocjalistyczny rząd wykorzystałby władzę w niecny sposób i tłumiłby, a w końcu wyeliminował inne punkty widzenia. Hindenburg stwierdził, że jest gotów przyjąć Hitlera i przedstawicieli jego ruchu do rządu koalicyjnego, którego dokładny skład będzie kwestią negocjacji, ale nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za powierzenie całej władzy samemu Hitlerowi (…). Jednakże Hitler stanowczo odmówił postawienia się w sytuacji, w której musiałby targować się z innymi liderami partyjnymi i tym samym tworzyć koalicyjny rząd[207].

Dyskusja zakończyła się więc bez porozumienia, ale zanim dobiegła końca, stary prezydent, nadal na stojąco, udzielił nazistowskiemu przywódcy surowego wykładu. Zgodnie z brzmieniem oficjalnego komunikatu wydanego zaraz po spotkaniu Hindenburg „żałował, iż pan Hitler uznał, że nie może poprzeć rządu narodowego, mianowanego przy zaufaniu prezydenta Rzeszy, na co zgodził się przed wyborami do Reichstagu”. Zdaniem czcigodnego prezydenta Hitler złamał dane słowo, ale ten i tak udzielił mu przestrogi na przyszłość. „Prezydent solennie wezwał pana Hitlera, aby kierował sprzeciwem Partii N.S. w rycerski sposób oraz nie zapominał o odpowiedzialności względem Ojczyzny i narodu niemieckiego”, głosił komunikat.

Komunikat prezentujący prezydencką wersję relacji ze spotkania i zapewniający, że Hitler domagał się „pełnej kontroli nad państwem”, został opublikowany tak niespodziewanie, że zaskoczył machinę propagandową Goebbelsa i mocno zaszkodził nazistowskiej sprawie, nie tylko w oczach opinii publicznej, ale i samych nazistów. Hitler odpowiedział w swej próżności, że wcale nie domagał się „pełnej władzy”, a tylko urzędu kanclerza i kilku ministerstw. W Niemczech generalnie zaakceptowano wersję Hindenburga.

Tymczasem zmobilizowani szturmowcy robili się coraz bardziej niespokojni. Hitler jeszcze tego samego wieczoru wezwał ich dowódców i przemówił do nich. „To trudne zadanie – zanotował Goebbels. – Kto wie, czy ich formacje uda się utrzymać w miejscu? Nie ma nic trudniejszego niż przekazanie upojonym triumfem żołnierzom, że zwycięstwo jednak wyrwano im z rąk”. W nocy wątły doktor szukał pociechy w lekturze listów Fryderyka Wielkiego. Nazajutrz wyjechał na odpoczynek na nadbałtyckich plażach. „Wśród partyjnych towarzyszy zapanowała dojmująca beznadzieja”, napisał. Nie chciał nawet wyjść z pokoju, żeby porozmawiać

z działaczami partii. „Przynajmniej przez tydzień nie chcę słyszeć słowa o polityce. Pragnę jedynie słońca, światła, powietrza i spokoju”.

Hitler wrócił na Obersalzberg, aby skorzystać z tych samych żywiołów i zastanowić się nad najbliższą przyszłością. Jak wyraził się Goebbels, „pierwsza wielka szansa została stracona”. Hermann Rauschning, ówczesny przywódca nazistów w Gdańsku, znalazł Führera dumającego ponuro na swej ulubionej górze. „Musimy być bezwzględni”, powiedział mu Hitler, po czym przeszedł do wymierzonej w Papena tyrady. Ale nie stracił nadziei. Momentami wypowiadał się tak jakby był już kanclerzem. „Mam przed sobą zadanie trudniejsze niż Bismarck – ocenił. – Zanim zabiorę się za stojące przed nami narodowe wyzwania, najpierw muszę zbudować naród”. A co, gdyby naziści zostali stłamszeni przez wojskową dyktaturę pod wodzą Papena i Schleichera? Hitler ni z tego, ni z owego zapytał Rauschninga, czy Gdańsk, niezależne miasto-państwo pod ochroną Ligi Narodów, podpisało z Niemcami umowę o ekstradycji. Rauschning z początku w ogóle nie zrozumiał pytania, ale później pojął, że Hitler rozglądał się za miejscem, w którym mógłby znaleźć azyl[208]. „Plotki, że Führer może zostać aresztowany”, zapisał w dzienniku Goebbels. A jednak nawet teraz, po odrzuceniu przez prezydenta, rząd Papena oraz Schleichera, pomimo obaw, że jego partia może zostać zdelegalizowana, Hitler był zdeterminowany, aby nie zbaczać ze ścieżki „legalności”. Zdusił wszelkie dywagacje na temat puczu prowadzone w SA. Nie licząc sporadycznych napadów przygnębienia, zachował wiarę, że osiągnie cel – nie siłą i raczej nie poprzez większość w parlamencie, ale dzięki metodom, które wywindowały na szczyt Schleichera i Papena: zakulisowym intrygom, grze, w której wcale im nie ustępował.

Udowodnił to już wkrótce. 25 sierpnia Goebbels naradzał się z Hitlerem w Berchtesgaden, po czym napisał: „Musimy nawiązać kontakt z Partią Centrum, choćby po to, aby wywrzeć presję na naszych przeciwnikach”. Dzień później Goebbels był z powrotem w Berlinie, gdzie usłyszał, że Schleicher już wie, że „badamy Partię Centrum”. Chciał się co do tego upewnić, więc nazajutrz wybrał się na spotkanie z generałem. Uznał, że Schleicher wygląda na zaniepokojonego perspektywą dogadania się Hitlera z Partią Centrum, bowiem wspólnie dwa ugrupowania dysponowały bezwzględną większością w Reichstagu. Co się zaś tyczy samego generała, Goebbels napisał: „Nie wiem, co w nim prawdziwe, a co fałszywe”.

Kontakty z Partią Centrum, choć jak stwierdził Goebbels, miały być jedynie sposobem wywarcia nacisku na rząd Papena, zaowocowały groteskowym wydarzeniem w Reichstagu, które stanowiło początek końca kanclerza-kawalerzysty. Gdy izba zebrała się 30 sierpnia, centryści poparli nazistów przy wyborze Göringa na przewodniczącego Reichstagu. A zatem gdy 12 września izba zebrała się ponownie, żeby rozpocząć robocze posiedzenie, po raz pierwszy w historii przewodził jej narodowy socjalista. Göring w pełni wykorzystał tę szansę. Kanclerz von Papen z wyprzedzeniem uzyskał od prezydenta dekret rozwiązujący izbę – po raz pierwszy wyrok śmierci na Reichstag podpisano, jeszcze zanim zabrał się do pracy. Jednak Papen nie przyniósł dekretu na pierwszą sesję roboczą. Zamiast niego zabrał tekst mowy zarysowującej program jego gabinetu, gdyż został zapewniony, że jeden z nacjonalistycznych deputowanych, w porozumieniu z większością pozostałych ugrupowań, sprzeciwi się głosowaniu nad oczekiwanym wnioskiem komunistów potępiającym rząd. W tym przypadku sprzeciw tylko jednego z ponad 600 przedstawicieli wystarczył do odroczenia głosowania. Lecz gdy Ernst Torgler, lider komunistów, przedstawił wniosek jako poprawkę do porządku dziennego, żaden nacjonalista ani nikt inny nie podniósł się z miejsca, by wyrazić sprzeciw. Ostatecznie Frick zwrócił się w imieniu nazistów o półgodzinną przerwę w obradach.

„Sytuacja stała się poważna – napisał Papen we wspomnieniach – i zostałem zaskoczony”. W wielkim pośpiechu wysłał do kancelarii gońca po dekret rozwiązujący izbę.

Tymczasem Hitler w Reichstagu, naprzeciw pałacu prezydenckiego, naradzał się ze swoim klubem parlamentarnym. Naziści stanęli przed dylematem, zostali wprawieni w zakłopotanie. Uznali, że nacjonaliści wywiedli ich w pole, nie odraczając głosowania. Teraz, chcąc obalić rząd Papena, partia Hitlera musiała zagłosować razem z komunistami i to nad komunistycznym wnioskiem. Wódz postanowił przełknąć tę gorzką pigułkę. Polecił swoim deputowanym głosować za komunistyczną poprawką i pozbyć się kanclerza, zanim Papen sam zdąży rozwiązać Reichstag. Oczywiście, aby to osiągnąć, przewodniczący Göring musiał wykonać kilka zręcznych sztuczek przy procedurze parlamentarnej. Były as myśliwski, człowiek odważny i o różnorodnych talentach, czego później miał dowodzić na znacznie większą skalę, stanął na wysokości zadania.

Gdy obrady wznowiono, Papen pojawił się z doskonale wszystkim znaną czerwoną aktówką. Miał przy sobie dekret rozwiązujący Reichstag, który w takim pośpiechu odzyskał. Gdy jednak zwrócił się o prawo głosu, aby go odczytać, przewodniczący jakimś cudem go nie zauważył, choć czerwony na twarzy kanclerz stał kilka metrów od niego i wywijał kartką przed całym zgromadzeniem. Widzieli go wszyscy, tylko nie Göring. Jego uśmiechnięta twarz spoglądała w inną stronę. Wezwał do bezzwłocznego głosowania. Według świadków z oblicza Papena zniknęła czerwień i zastąpiła ją biel bezsilnej wściekłości. Podszedł raptownym krokiem do trybuny przewodniczącego i z hukiem położył dekret na jego biurku. Göring nie zauważył także tego i polecił zacząć głosowanie. Papen, a za nim jego ministrowie, z których żaden nie był deputowanym, jak niepyszni opuścili salę. Deputowani zagłosowali 513-32 przeciwko rządowi. Dopiero wtedy przewodniczący Göring zauważył dokument z taką furią rzucony na jego biurko. Odczytał go zgromadzeniu, po czym stwierdził, że skoro został kontrasygnowany przez kanclerza zdjętego z urzędu konstytucyjną większością głosów, dokument jest nieważny.

Początkowo nikt nie miał pewności, kto i ile zyskał lub stracił na tej farsie. Nie było natomiast wątpliwości, że z dandysowatego Papena zrobiono durnia. Ale przecież on zawsze był pośmiewiskiem, nawet wśród własnych przyjaciół, jak zauważył francuski ambasador. Było również jasne, że Reichstag pokazał, iż przytłaczająca większość Niemców sprzeciwia się wybranemu przez Hindenburga prezydenckiemu gabinetowi. Ale czy izba swoim postępowaniem jeszcze bardziej nie podważyła publicznego zaufania do systemu parlamentarnego? A naziści, czyż nie pokazali ponownie, że są nie tylko nieodpowiedzialni, ale i dla realizacji własnych zamierzeń gotowi wchodzić w konszachty z komunistami? Co więcej, czy obywatele nie byli już zmęczeni ciągłymi wyborami i czy jeśli dojdzie do kolejnych, już czwartych w ciągu roku, a dojść do nich musiało, to naziści nie stracą głosów? Gregor Strasser, a nawet Frick uważali, że tak właśnie się stanie i że strata wyborcza może okazać się dla partii katastrofą.

Goebbels jednak jeszcze tego samego wieczoru napisał, że Hitler „nie posiada się z radości. Ponownie podjął jasną, jednoznaczną decyzję”.

Reichstag szybko zaakceptował fakt, że musi się rozwiązać. Datę nowych wyborów wyznaczono na 6 listopada. Dla nazistów wiązało się to z pewnymi trudnościami. Po pierwsze, jak zauważył Goebbels, ludzie byli już

zmęczeni wiecami wyborczymi i propagandą. 15 października przyznał w dzienniku, że nawet działacze partyjni „stali się nerwowi względem wyników tych niekończących się wyborów. Są przepracowani (…)”. Po drugie pojawiły się problemy finansowe. Wielki biznes i finansjera opowiadały się za Papenem, który poszedł wobec nich na pewne ustępstwa. Funk ostrzegał, że środowiska te patrzą z coraz większą podejrzliwością na niechęć Hitlera do współpracy z Hindenburgiem, jego narastający radykalizm oraz, jak pokazał incydent w Reichstagu, skłonność do współpracy z komunistami. Goebbels dał temu wyraz we wpisie z 15 października: „Niebywale trudno uzyskać pieniądze. Wszyscy »zamożni i wykształceni« dżentelmeni stoją za rządem”.

Kilka dni przed wyborami naziści przyłączyli się do komunistów przy organizacji strajku robotników transportowych w Berlinie, strajku, którego wyparli się związkowcy i socjaliści. Krok ten jeszcze bardziej wysuszył związane z biznesem źródła finansowania, akurat w chwili, gdy partia potrzebowała ich najbardziej, żeby efektownie zakończyć kampanię. 1 listopada Goebbels napisał posępnie: „Brak pieniędzy stał się naszą chroniczną przypadłością. Mamy za mało, aby na poważnie przeprowadzić wielką kampanię. Liczne kręgi burżuazyjne przestraszyły się naszego udziału w strajku. Nawet wielu towarzyszy partyjnych zaczyna mieć wątpliwości”. 5 listopada, w przeddzień wyborów, pisał: „Ostatni atak. Desperacka walka partii z porażką. W ostatniej chwili udało nam się uzyskać 10 tysięcy marek. Rzucimy to w kampanię w sobotnie popołudnie. Zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Teraz niech decyduje los”.

6 listopada los oraz niemiecki elektorat zdecydowały o wielu sprawach, ale żadna z nich nie była rozstrzygająca dla przyszłości zataczającej się na chwiejnych nogach republiki. Naziści stracili 2 miliony głosów i 34 miejsca w Reichstagu, co ograniczyło ich delegację do 196 osób. Komuniści zyskali 750 tysięcy wyborców, a tyleż stracili socjaldemokraci, przez co stan posiadania tych pierwszych w Reichstagu wzrósł z 89 do 100 mandatów, a tych drugich spadł ze 133 do 121. Niemiecka Partia Narodowa, jedyne ugrupowanie popierające rząd, zdobyła prawie milion nowych głosów – naturalnie kosztem nazistów – i zamiast 37 uzyskała 52 mandaty. Choć NSDAP pozostała największą partią w kraju, strata 2 milionów głosów była poważnym niepowodzeniem. Wielki nazistowski impet po raz pierwszy wyhamował, i to w punkcie odległym od absolutnej większości. Mit o

niezwyciężoności legł w gruzach. Hitler miał słabszą pozycję w negocjacjach z władzami niż w lipcu.

Zdając sobie z tego sprawę, Papen odłożył na bok „osobisty niesmak", jaki odczuwał względem Hitlera, i 13 listopada napisał do niego list, zapraszając go do „omówienia sytuacji". Hitler w pisemnej odpowiedzi postawił tyle warunków, że Papen porzucił wszelkie nadzieje na dojście z nim do porozumienia. Nieprzejednanie nazistowskiego lidera nie zaskoczyło dziarskiego, niekompetentnego kanclerza, w przeciwieństwie do nowego kursu politycznego, jaki zaproponował mu przyjaciel i mentor, generał von Schleicher. Okazało się bowiem, że śliski „twórca królów" doszedł do wniosku, że Papen jest już bezużyteczny, jak wcześniej Brüning, i czas się go pozbyć. W jego płodnym umyśle kiełkowały nowe plany. Niestety nie było w nich miejsca dla jego przyjaciela Papena. Prezydent musiał mieć całkowitą swobodę w układaniu się z partiami, zwłaszcza tymi największymi. Zaapelował więc do Papena o rezygnację i 17 listopada kanclerz podał się do dymisji wraz z całym gabinetem. Hindenburg natychmiast posłał po Hitlera.

Spotkanie z 19 listopada odbyło się w nieco cieplejszej atmosferze niż to z 13 sierpnia. Tym razem prezydent zaproponował Hitlerowi, aby usiadł, i pozwolił gościowi zostać ponad godzinę. Hindenburg przedstawił Hitlerowi dwie opcje: urząd kanclerza, jeżeli zdobędzie w Reichstagu realną większość dla jasno sprecyzowanego programu politycznego, albo wicekanclerstwo pod Papenem w kolejnym gabinecie prezydenckim, który rządziłby z pomocą dekretów. Dwa dni później Hitler ponownie spotkał się z prezydentem. Wymienił też kilka listów z Meissnerem. Ale porozumienia nie było. Hitler nie miał szans na zmontowanie w Reichstagu większości. Choć Partia Centrum zgodziła się go poprzeć, pod warunkiem że nie będzie aspirował do dyktatury, Hugenberg odmówił współpracy nacjonalistów. W związku z tym Hitler ponowił żądanie kanclerstwa w rządzie prezydenckim, ale Hindenburg raz jeszcze mu odmówił. Jeżeli miał powstać kolejny gabinet rządzący dekretami, to wolał widzieć na jego czele swego przyjaciela Papena. W liście wysłanym w jego imieniu przez Meissnera stwierdził, że Hitler nie może otrzymać stanowiska, „ponieważ taki gabinet z całą pewnością przeistoczy się w dyktaturę partyjną (…). Ze względu na moją przysięgę i moje sumienie nie mogę wziąć za to odpowiedzialności"[209].

Pierwsza prognoza starego feldmarszałka okazała się trafniejsza niż druga. Co się zaś tyczy Hitlera, ponownie zapukał w drzwi Kancelarii Rzeszy, a te znów nieznacznie się uchyliły, po czym zostały zatrzaśnięte mu przed nosem.

Dokładnie tego spodziewał się Papen i gdy wieczorem 1 grudnia wraz ze Schleicherem zmierzał na spotkanie z prezydentem, był pewien, że zostanie ponownie mianowany kanclerzem. Nie podejrzewał, co knuje przebiegły generał. Schleicher przez cały czas był w kontakcie ze Strasserem i zasugerował, że skoro naziści nie chcą wchodzić do rządu Papena, to może włączyliby się do gabinetu, na którego czele stanąłby on sam. Hitler został poproszony o przyjazd do stolicy na konsultacje z generałem i według jednej z wersji – szeroko rozpowszechnionej w ówczesnych Niemczech, a później przyjętej przez większość historyków – Führer wsiadł do nocnego pociągu z Monachium do Berlina, ale w środku nocy w Jenie został z niego zabrany przez Göringa i zawieziony do Weimaru na spotkanie z czołowymi nazistami. Co zaskakujące, nazistowska wersja tej historii jest prawdopodobnie bliższa prawdy. Dziennik Goebbelsa pod datą 30 listopada wspomina, że Hitler otrzymał telegram, w którym poproszono go, żeby przyjechał do stolicy, ale postanowił, że pozwoli Schleicherowi trochę poczekać, podczas gdy sam naradzi się z towarzyszami w Weimarze, gdzie miał zainicjować kampanię przed wyborami w Turyngii. 1 grudnia na tej naradzie, a brała w niej udział Wielka Piątka nazistowskich przywódców – Göring, Goebbels, Strasser, Frick i Hitler – pojawiły się głębokie różnice zdań. Strasser, wspierany przez Fricka, apelował, by naziści przynajmniej tolerowali rząd Schleichera, choć sam wolałby, żeby stali się jego częścią. Göring i Goebbels stanowczo sprzeciwiali się takiemu kursowi, i to po ich stronie opowiedział się Hitler. Następnego dnia powiedział majorowi Ottowi, przysłanemu przez Schleichera, aby przekazał generałowi, że radzi mu nie przyjmować kanclerstwa. Ale było już za późno.

Papen nie miał zielonego pojęcia o intrydze snutej za jego plecami przez Schleichera. 1 grudnia na początku spotkania z prezydentem z pewnością siebie zarysował swoje plany na przyszłość. Zamierzał nadal być kanclerzem, rządzić dekretami i przez pewien czas, zanim zdoła „zmienić konstytucję”, utrzymywać Reichstag w niebycie. Oczekiwał „poprawek”, które przeniosłyby kraj z powrotem do czasów cesarstwa i przywróciły władzę konserwatywnym klasom. Podczas procesu w Norymberdze oraz we wspomnieniach przyznał, podobnie zresztą jak przed feldmarszałkiem,

że jego propozycje wiązały się ze „złamaniem przez prezydenta obowiązującej konstytucji”, ale zapewnił Hindenburga, że „może być usprawiedliwiony, gdyż postawi dobro narodu ponad swoją przysięgę wobec konstytucji”. Podobnie jak niegdyś Bismarck – dodał – „dla dobra kraju”[210].

Ku ogromnemu zaskoczeniu Papena Schleicher się sprzeciwił. Generał zagrał na oczywistej niechęci sędziwego feldmarszałka do pogwałcenia własnej przysięgi, jeśli tylko dałoby się tego uniknąć – a według Schleichera dało się. Uważał, że można stworzyć rząd dysponujący większością w Reichstagu, o ile sam stanie na jego czele. Był pewien, że jest w stanie oderwać od Hitlera Strassera i przynajmniej 60 nazistowskich deputowanych. Do nich mógł dodać ugrupowania klasy średniej i socjaldemokratów. Myślał nawet, że poprą go związki zawodowe.

Hindenburg był wstrząśnięty tym pomysłem i od razu zwrócił się do Papena, żeby zabierał się do roboty i sformował nowy rząd. „Schleicher wyglądał na skołowanego”, stwierdził Papen. Gdy opuścili gabinet prezydenta, spierali się przez długi czas, ale nie doszli do żadnego porozumienia. Przy pożegnaniu Schleicher odezwał się słynnymi słowami zaadresowanymi pierwotnie do Lutra, gdy ten wybierał się na brzemienny sejm wormacki: „Skromny mnichu, wybrałeś niełatwą ścieżkę”.

Papen przekonał się o tym już następnego ranka o godzinie 9, na zwołanym przez siebie posiedzeniu gabinetu.

> Schleicher wstał [relacjonuje Papen] i oświadczył, że nie ma możliwości zrealizowania przekazanej mi przez prezydenta dyrektywy. Każda próba w tym kierunku zaprowadziłaby w kraju chaos. Policja i siły zbrojne nie były w stanie utrzymać transportu i dostaw w razie strajku generalnego ani też porządku, gdyby wybuchła wojna domowa. Sztab Generalny przeprowadził badania w tym zakresie i polecił majorowi Ottowi [ich autorowi], aby oddał się do dyspozycji gabinetu i zaprezentował raport[211].

W tym momencie generał zaprosił Otta. Jeśli słowa Schleichera wstrząsnęły Papenem, to raport majora Eugena Otta (później zostanie ambasadorem Hitlera w Tokio), który zbiegiem okoliczności pojawił się akurat w tym momencie, całkowicie go zdruzgotał. Ott stwierdził bez ogródek, że „obrona granic oraz utrzymanie porządku w obliczu działań nazistów i komunistów wykraczają poza możliwości sił znajdujących się w dyspozycji rządu federalnego i władz krajów związkowych. Rekomenduje się przeto, aby rząd Rzeszy nie ogłaszał stanu nadzwyczajnego”[212].

Ku gorzkiemu zaskoczeniu Papena niemiecka armia, która niegdyś poleciła kajzerowi opuścić kraj, a niedawno za sprawką Schleichera wyeliminowała generała Groenera i kanclerza Brüninga, teraz dymisjonowała jego. Natychmiast zaniósł te nowiny Hindenburgowi, licząc, że prezydent zwolni Schleichera z funkcji ministra obrony, a jego utrzyma w fotelu szefa rządu – i rzeczywiście, wprost poprosił o to głowę państwa.

„Mój drogi von Papen, pewnie będziesz miał o mnie niskie mniemanie, jeżeli zmienię zdanie. Ale jestem już za stary i przeżyłem zbyt wiele, żeby brać na siebie odpowiedzialność za wojnę domową. Nasza jedyna nadzieja tkwi w pozwoleniu Schleicherowi, by spróbował szczęścia", odpowiedział mu tęgi, sędziwy prezydent.

Papen zarzekał się, że po policzkach Hindenburga spłynęły „dwie wielkie łzy". Kilka godzin później, gdy zdymisjonowany kanclerz sprzątał swoje biurko, otrzymał od prezydenta fotografię z podpisem „*Ich hatt' einen Kameraden!*". Dzień później prezydent własnoręcznie napisał mu, że zwolnił go z „ciężkim sercem", i powtórzył, że jego zaufanie do byłego już kanclerza „pozostaje niezachwiane". Nie kłamał i już wkrótce miał to udowodnić.

2 grudnia Kurt von Schleicher został kanclerzem Rzeszy. Był pierwszym generałem, który piastował ten urząd od czasu generała hrabiego Georga Leo von Capriviego de Caprary Montecuccoliego, który w 1890 r. zastąpił Bismarcka. Pokrętne intrygi Schleichera w końcu wyniosły go na szczyt – w chwili, gdy kryzys (o którego powodach i przebiegu nie miał zielonego pojęcia) osiągał apogeum, gdy Republika Weimarska, pod którą tak niezmordowanie kopał dołki, chwiała się w posadach, i gdy już nikt mu nie ufał, nawet prezydent, którym tak długo manipulował. Niemal wszyscy, poza nim samym, zdawali sobie sprawę, że jego dni na szczycie władzy są policzone. Naziści byli tego pewni. Wpis w dzienniku Goebbelsa z 2 grudnia głosi: „Schleicher mianowany kanclerzem. Długo się nie utrzyma".

Papen też tak sądził. Bolała go zraniona próżność i dyszał żądzą zemsty na „przyjacielu i następcy", jak nazywał go we wspomnieniach. Chcąc pozbyć się go z drogi, Schleicher zaproponował Papenowi ambasadę w Paryżu, ale ten odmówił. Twierdził, że prezydent chciał, aby pozostał „w pobliżu" Berlina. Aby snuć własną sieć intryg przeciwko arcyintrygantowi, musiał przebywać w dogodnym strategicznie miejscu, czyli blisko stolicy. Zręczny i obrotny niczym pająk, zabrał się do działania. Gdy pełen sporów i waśni rok 1932 zbliżał się do końca, w Berlinie roiło się od spisków i

spisków wewnątrz spisków. Pomijając plany Schleichera i Papena, knuto też w pałacu prezydenckim, gdzie zakulisową kontrolę sprawowali syn Hindenburga, Oskar, oraz jego sekretarz stanu von Meissner. Kolejna intryga rozwijała się w hotelu Kaiserhof, gdzie Hitler i jego ludzie spiskowali nie tylko przeciwko władzy, ale i sobie nawzajem. Sieci intryg wkrótce tak się poplątały, że w okolicach Nowego Roku intryganci stracili rachubę, kto pod kim kopie dołki. Szybko mieli się tego dowiedzieć.

SCHLEICHER: OSTATNI KANCLERZ REPUBLIKI

„Utrzymałem się u władzy tylko pięćdziesiąt siedem dni – zauważył Schleicher pewnego razu w obecności francuskiego ambasadora – i w każdym z tych dni byłem zdradzany po pięćdziesiąt siedem razy. Nie chcę już słyszeć o »niemieckiej lojalności«!”[213]. Rzeczywiście, kariera i uczynki generała bez wątpienia zrobiły z niego autorytet w tej materii.

Sprawowanie władzy rozpoczął od złożenia Gregorowi Strasserowi oferty objęcia funkcji wicekanclerza Niemiec i premiera Prus. Schleicherowi nie udało się nakłonić Hitlera do zasilenia jego rządu, więc próbował rzucić przynętę Strasserowi i rozbić ruch nazistowski. Istnieją pewne podstawy do tego, by sądzić, że mogło mu się udać. Strasser był „numerem dwa” w partii, a w jej lewicowych kręgach, tych, które naprawdę wierzyły w narodowy socjalizm, popularnością przewyższał Hitlera. Jako szef struktur partyjnych miał bezpośredni kontakt ze wszystkimi liderami regionalnymi i lokalnymi, i wydawało się, że mógł liczyć na ich lojalność. Strasser był przekonany, że Hitler zaprowadził ruch nazistowski w ślepą uliczkę. Co bardziej radykalni zwolennicy NSDAP przechodzili w szeregi komunistów. Z finansowego punktu widzenia partia zbankrutowała. W listopadzie Fritz Thyssen ostrzegł, że nie może dłużej na nią łożyć. Najzwyczajniej w świecie zabrakło pieniędzy na opłacanie tysięcy funkcjonariuszy partyjnych oraz utrzymanie SA – same brunatne koszule kosztowały 2,5 miliona marek tygodniowo. Drukarze nazistowskich gazet grozili, że jeśli nie otrzymają spłaty zaległych rachunków, to wstrzymają prasy. Goebbels zahaczył o ten temat we wpisie z 11 listopada: „Sytuacja finansowa berlińskich struktur jest beznadziejna. Nic, tylko długi i zobowiązania”. W grudniu wyraził żal, że trzeba okroić partyjne pensje. Na dodatek wybory w Turyngii i Gdańsku z 3 grudnia – dnia, w którym

Schleicher zwrócił się do Strassera – pokazały, że naziści stracili 40% elektoratu. Stało się jasne, przynajmniej dla Strassera, że nigdy nie zdobędą władzy przy urnach.

Dlatego nawoływał Hitlera, aby porzucił politykę „wszystko albo nic” i złapał tyle władzy, ile zdoła, wchodząc w koalicję ze Schleicherem. W innym razie partia rozpadnie się na kawałki. Trzymał się tej argumentacji przez kilka miesięcy, a we wpisach w dzienniku Goebbelsa od połowy lata do grudnia aż roi się od gorzkich utyskiwań na „nielojalność Strassera”.

Do próby sił doszło 5 grudnia na spotkaniu przywódców partyjnych w hotelu Kaiserhof. Strasser domagał się, aby naziści przynajmniej „tolerowali” rząd Schleichera. Poparł go Frick, stojący na czele nazistowskiego klubu w Reichstagu. Wielu jego członków bało się utraty mandatów i pensji poselskich, jeżeli Hitler sprowokuje kolejne wybory. Göring i Goebbels niezłomnie sprzeciwiali się Strasserowi i zdobyli poparcie wodza. Hitler nie zamierzał „tolerować” reżimu Schleichera, ale jak się okazało, nadal był gotów z nim „negocjować”. Do prowadzenia rozmów wyznaczył jednak Göringa – bowiem, jak ujawnił Goebbels, wiedział już o prywatnych rozmowach Strassera z generałem sprzed dwóch dni. 7 grudnia Hitler i Strasser odbyli w Kaiserhof rozmowę, która przerodziła się w zaciekłą kłótnię. Führer oskarżył swojego najważniejszego człowieka, że próbuje wbić mu nóż w plecy, wyzuć go z przywództwa partii i rozbić ruch nazistowski. Strasser gorąco temu zaprzeczył i przysiągł, że jest lojalny, ale zarzucił Hitlerowi, że prowadzi partię ku zniszczeniu. Najwidoczniej przemilczał wiele spraw, które narastały w nim już od 1925 r. Wróciwszy do pokoju w hotelu Excelsior, wszystko przelał na papier, pisząc do Hitlera list, który zakończył rezygnacją ze wszystkich stanowisk partyjnych.

List, który do Hitlera dotarł 8 grudnia, spadł na wodza „niczym bomba”, jak wyraził się w dzienniku Goebbels. W hotelu Kaiserhof zapadła grobowa atmosfera. „Wszyscy jesteśmy przybici i przygnębieni”, zanotował Goebbels. Hitler nie otrzymał tak dotkliwego ciosu od czasu odbudowy partii w 1925 r. Teraz, gdy stanął u progu władzy, jego najważniejszy zausznik dopuścił się dezercji i zagroził, że rozniesie w mak wszystko, co on przez siedem lat zbudował.

Wieczorem [zapisał Goebbels] Führer wrócił do domu. Trudno się cieszyć. Wszyscy jesteśmy przygnębieni, przede wszystkim niebezpieczeństwem, że partia się

rozleci i cała nasza praca pójdzie na marne (…). Telefon od dr. Leya. Sytuacja w partii pogarsza się z godziny na godzinę. Führer musi natychmiast wracać do Kaiserhof.

O drugiej nad ranem Goebbels również został tam wezwany. Strasser poszedł ze swoją opowieścią do prasy i pojawiła się w porannych gazetach, które już zaczęto sprzedawać na ulicach. Goebbels opisał reakcję Hitlera:

Zdrada! Zdrada! Zdrada!
Führer całymi godzinami niespokojnie chodzi po pokoju hotelowym. Jest rozgoryczony i głęboko dotknięty tą zdradą. W końcu staje i mówi: Jeżeli partia się rozpadnie, to w jednej chwili skończę z tym wszystkim strzałem z pistoletu.

Ale partia się nie rozpadła, a Hitler się nie zastrzelił. Strasser mógł doprowadzić do obu tych rzeczy i tym samym radykalnie zmienić bieg historii, ale w kluczowym momencie dał za wygraną. Zapadła decyzja, że sporowi należy za wszelką cenę zaradzić i ratować partię przed katastrofą, dlatego Frick za zgodą wodza szukał Strassera po całym Berlinie. Ale Strasser miał już tego wszystkiego dość, wsiadł do pociągu i pojechał odpocząć w słonecznej Italii. Hitler, który zawsze wznosił się na wyżyny talentu, gdy dostrzegał w rywalu słabość, uderzył szybko i mocno. Przejął zbudowaną przez Strassera Organizację Partyjną i postawił na jej czele gauleitera Kolonii doktora Roberta Leya. Struktury zostały oczyszczone z przyjaciół Strassera, a wszyscy liderzy partyjni zjechali się do stolicy, żeby podpisać nową deklarację lojalności względem Adolfa Hitlera.

Przebiegły Austriak jeszcze raz wykaraskał się z głębokich tarapatów, które mogły przynieść mu polityczną zgubę. Gregor Strasser, przez wielu uważany za człowieka znacznie przewyższającego Hitlera, został zniszczony bardzo szybko. Goebbels we wpisie w dzienniku z 9 grudnia nazwał go „trupem”. Niecałe dwa lata później, kiedy Hitler postanowi w końcu wyrównać rachunki z rywalami, stwierdzenie to nabierze dosłownego znaczenia.

10 grudnia, tydzień po tym, jak generał von Schleicher podstawił nogę Papenowi, ten ostatni zaczął snuć własną sieć intryg. Wieczorem wygłosił przemówienie przed ekskluzywnym Herrenklubem, z którego rekrutowali się arystokratyczni i bogaci członkowie jego efemerycznego gabinetu, a później odbył prywatną rozmowę z baronem Kurtem von Schröderem, kolońskim bankierem, którzy przeznaczał spore kwoty na NSDAP. Poprosił, aby finansista zaaranżował dla niego potajemne spotkanie z

Hitlerem. Papen zapewnia w swoich wspomnieniach, że to Schröder wyszedł z tą propozycją, ale przyznaje, że na nią przystał. Osobliwym zbiegiem okoliczności Wilhelm Keppler, doradca ekonomiczny Hitlera i jego łącznik w kręgach biznesowych, złożył identyczną ofertę w imieniu wodza nazistów.

Hitler i Papen, którzy zaledwie kilka tygodni wcześniej byli sobie tak nieprzychylni, spotkali się w największej tajemnicy w domu Schrödera w Kolonii rano 4 stycznia. Papen był zdziwiony, gdy przy drzwiach jakiś fotograf zrobił mu zdjęcie, ale zbytnio się tym nie przejął, aż do następnego dnia. Hitlerowi towarzyszyli Hess, Himmler i Keppler, ale zostawił swoich przybocznych w saloniku, a sam oddalił się do gabinetu Schrödera, gdzie przez dwie godziny naradzał się z Papenem i gospodarzem. Choć rozmowa nie zaczęła się dobrze, bo Hitler zaczął skarżyć się na to, jak Papen traktował nazistów, gdy był kanclerzem, wkrótce dotarła do punktu, który miał okazać się brzemienny w skutkach dla losu obu mężczyzn oraz ich kraju. Dla nazistowskiego wodza był to moment kluczowy. Dzięki nadludzkim wysiłkom utrzymał partię w stanie nietkniętym po odstępstwie Strassera. Zjeździł Niemcy wzdłuż i wrzesz, wygłaszając po trzy, cztery mowy dziennie i nawołując liderów partyjnych, aby pozostali zjednoczeni pod jego wodzą. Ale duch nazistów podupadał, partia nie miała pieniędzy. Wielu mówiło, że jest skończona. Wpisy Goebbelsa z ostatniego tygodnia roku odzwierciedlały ogólną atmosferę: „1932 przynosił nam nieustannego pecha (…). Przeszłość była trudna, a przyszłość wygląda na mroczną i ponurą; wszystkie perspektywy i nadzieje jakby zniknęły”.

Dlatego też w targach o władzę Hitler nie stał na tak dogodnej pozycji jak minionego lata i jesieni. Podobnie jednak było w przypadku Papena, który przecież został wysadzony ze stołka kanclerza. Obaj znaleźli wspólnego wroga.

Ustalone przez nich warunki do dziś pozostają kwestią sporną. W trakcie procesu w Norymberdze, a także we wspomnieniach Papen mało przekonująco utrzymywał, że zawsze był lojalny wobec Schleichera i jedynie sugerował Hitlerowi, aby dołączył do rządu generała. Mając jednak na uwadze bogaty zestaw kłamstw Papena, jego chęć pokazania się w Norymberdze (i w książce) w jak najkorzystniejszym świetle, a także późniejsze wydarzenia, wydaje się pewne, że świadectwo Schrödera, również złożone w Norymberdze, jest bardziej wiarygodne. Bankier

twierdził, że Papen zaproponował zastąpienie rządu Schleichera rządem Papen-Hitler, w którym obaj byliby sobie równi. Jednak:

> Hitler (…) powiedział, że jeśli ma zostać kanclerzem, to musi być szefem rządu, ale zwolennicy Papena, którzy poprą jego politykę wielkich zmian, będą mogli wejść do jego rządu jako ministrowie. Zmiany te obejmowały wyeliminowanie socjaldemokratów, komunistów i Żydów z głównych stanowisk w Niemczech oraz przywrócenie porządku w życiu publicznym. Co do zasady Hitler i Papen doszli do porozumienia (…). Zgodzili się, że dalsze szczegóły będzie trzeba dopiero wypracować i że można uczynić to w Berlinie albo innym dogodnym miejscu[214].

I, oczywiście, w największym sekrecie. Jednak ku ogromnej konsternacji Papena i Hitlera 5 stycznia rano na pierwszych stronach berlińskich gazet pojawiły się krzykliwe nagłówki relacjonujące spotkanie w Kolonii, a towarzyszyła im wymierzona w Papena krytyka redaktorów za nielojalność okazaną Schleicherowi. Przebiegły generał nie zapomniał rozmieścić wszędzie swoich szpiegów. Jednym z nich, jak dowiedział się później Papen, był właśnie fotograf, który zrobił mu zdjęcie pod domem Schrödera.

Abstrahując od umowy z Papenem, Hitler uzyskał w Kolonii jeszcze dwie rzeczy o dużej dla niego wartości. Dowiedział się od byłego kanclerza, że prezydent nie dał Schleicherowi prawa rozwiązania Reichstagu. A to oznaczało tyle, że przy pomocy komunistów naziści mogą obalić rząd generała, gdy tylko sobie tego zażyczą. Po drugie na spotkaniu zawarto porozumienie, według którego zachodnioniemieckie kręgi biznesowe miały wziąć na siebie długi Partii Nazistowskiej. Dwa dni po pertraktacjach Goebbels odnotował „miły rozwój politycznych wypadków”, chociaż nadal narzekał na „złą sytuację finansową”. Dziesięć dni później, 16 stycznia, stwierdził, że położenie finansowe partii „z dnia na dzień fundamentalnie się polepszyło”.

Tymczasem kanclerz von Schleicher – z krótkowzrocznym optymizmem, ujmując rzecz łagodnie – próbował ustanowić stabilny rząd. 15 grudnia zwrócił się przez radio do rodaków, błagając, aby zapomnieli, że jest generałem, i zapewniając, iż nie jest zwolennikiem „ani kapitalizmu, ani socjalizmu”, oraz że dla niego „pojęcia takie jak gospodarka prywatna czy planowana przestały brzmieć strasznie”. Stwierdził, że jego nadrzędne zadanie polega na zapewnieniu pracy bezrobotnym i postawieniu gospodarki na nogi. Koniec z podwyżkami podatków, koniec z cięciami płac. Co więcej, anulował ostatnie, wprowadzone przez Papena, cięcia w

płacach i świadczeniach. Ponadto zniósł limity rolne ogłoszone przez Papena z korzyścią dla wielkich posiadaczy ziemskich, a zamiast tego zapowiedział uruchomienie programu odebrania 800 tysięcy akrów ziemi z upadłych majątków junkierskich na wschodzie i przekazania ich 25 tysiącom chłopskich rodzin. Na tym nie koniec, gdyż ceny podstawowych artykułów, takich jak węgiel czy mięso, miały zostać utrzymane na niskim poziomie dzięki ścisłym kontrolom.

Tak oto Schleicher zabiegał o poparcie mas, którym do tej pory się sprzeciwiał lub nimi pogardzał. Następnie nawiązał dialog ze związkami zawodowymi, roztaczając przed nimi wizję, w której zorganizowana siła robocza oraz armia są dwoma filarami przyszłości państwa. Jednak środowiska robotnicze ani trochę mu nie ufały i nie zdołał ich zjednać, a co za tym idzie zapewnić sobie współpracy z ich strony.

Programowi nowego kanclerza przeciwstawili się wspólnie przemysłowcy i wielcy posiadacze ziemscy, według których był to czysty bolszewizm. Biznesmeni byli oburzeni sympatią, jaką generał zaczął nagle okazywać związkom zawodowym. Posiadacze ziemscy byli wściekli na zniesienie ochrony rolniczej i rozjuszeni zapowiedzią podziału upadłych majątków na wschodzie. 12 stycznia Landbund, stowarzyszenie zamożniejszych rolników, zaciekle zaatakowało rząd, a jego liderzy, w tym dwóch nazistów, zaprotestowali u prezydenta. Hindenburg, który obecnie sam był przecież junkrem-posiadaczem ziemskim, wezwał kanclerza na dywanik. Schleicher zareagował groźbą ujawnienia tajnego raportu Reichstagu w sprawie pożyczek Osthilfe – skandalu, w który, jak wszyscy doskonale wiedzieli, uwikłane były setki starych junkierskich rodzin, obrastających w dobrobyt dzięki niespłaconym „pożyczkom” od państwa. W skandal pośrednio zamieszany był sam prezydent, gdyż sprezentowany mu majątek w Prusach Wschodnich został bezprawnie przepisany na jego syna w celu uniknięcia podatku spadkowego.

Na przekór wrzeniu wśród przemysłowców i posiadaczy ziemskich oraz chłodnej reakcji związków zawodowych na jego zaloty, Schleicher z niewyjaśnionych przyczyn trwał w przekonaniu, że wszystko idzie świetnie. W Nowy Rok 1933 r. wraz z całym gabinetem zjawił się z wizytą u prezydenta, który wyraził wdzięczność, że „największe trudności zostały przezwyciężone, a droga naprzód stanęła przed nami otworem”. 4 stycznia, gdy Papen i Hitler naradzali się w Kolonii, kanclerz zaaranżował spotkanie prezydenta ze Strasserem, który tymczasem wrócił z wywczasu pod

włoskim słońcem. Kiedy kilka dni później były już numer dwa w NSDAP spotkał się z głową państwa, wyraził chęć wejścia do gabinetu Schleichera. Wywołał tym konsternację w obozie nazistowskim, który właśnie skupiał większość uwagi na maleńkim kraju związkowym Lippe, gdzie Hitler i wszyscy jego najważniejsi podkomendni z furią walczyli o zwycięstwo w lokalnych wyborach. Miało ono wzmocnić pozycję przetargową Führera w rozmowach z Papenem. Goebbels wspominał, że 13 stycznia o północy zjawił się Göring z fatalnymi nowinami o Strasserze i wszyscy liderzy partii dyskutowali nad tą sprawą do białego rana, zgadzając się, że jeśli Strasser naprawdę obejmie proponowany mu urząd, będzie to dotkliwa porażka NSDAP.

Schleicher był podobnego zdania. Gdy 15 stycznia odwiedził go Kurt von Schuschnigg, wówczas minister sprawiedliwości Austrii, zapewnił go, że „pan Hitler przestał być problemem, jego ruch polityczny nie jest już zagrożeniem politycznym, a cały problem zostały rozwiązany, przeszedł do lamusa”[215].

Ale Strasser wcale nie wszedł do rządu, podobnie zresztą jak przywódca nacjonalistów Hugenberg, który jeszcze dzień wcześniej, 14 stycznia, zapewniał generała, że to uczyni. Obaj mężczyźni wkrótce zwrócili się do Hitlera. Strasser został chłodno zbyty, Hugenberga przyjęto nieco cieplej. 15 stycznia, dokładnie wtedy, gdy Schleicher chełpił się przed austriackim ministrem końcem kariery Hitlera, naziści odnotowali sukces wyborczy w maleńkim Lippe. Nie było to wielkie osiągnięcie. Łącznie oddano tam 90 tysięcy głosów, z czego 38 tysięcy (39%) uzyskała NSDAP, polepszając swój dorobek względem poprzednich wyborów o 17%. Mimo to nazistowscy przywódcy pod batutą Goebbelsa odtrąbili „wielki triumf” i, co dość dziwne, wydaje się, że zrobiło to niemałe wrażenie na wielu konserwatystach, w tym na ludziach Hugenberga, także tych najważniejszych, czyli sekretarzu stanu von Meissnerze i synu prezydenta Oskarze.

22 stycznia wieczorem ci dwaj dżentelmeni wykradli się z kwater prezydenckich, złapali taksówkę, aby, jak relacjonował Meissner, nikt ich nie zauważył, i pojechali do podmiejskiego domu jak dotąd nikomu nieznanego nazisty Joachima von Ribbentropa, przyjaciela Papena (podczas wojny służyli razem na froncie tureckim). Mieli się tam spotkać z Papenem, Hitlerem, Göringiem i Frickiem. Według Meissnera Oskar von Hindenburg aż do tego doniosłego w skutkach wieczoru był przeciwny wszelkim

konszachtom z nazistami. Możliwe, że Hitler o tym wiedział; w każdym razie nalegał, aby porozmawiać z nim „w cztery oczy”, i ku zdumieniu Meissnera młody Hindenburg wyraził zgodę, po czym poszedł z Hitlerem do innego pokoju, gdzie ponad godzinę dyskutowali na osobności. Nigdy nie ujawniono, co Hitler powiedział niesłynącemu z bystrości ani siły charakteru synowi feldmarszałka. W środowiskach nazistowskich powszechnie uważano, że Hitler wysunął zarówno ofertę, jak i groźbę. Jeżeli chodzi o tę drugą, zasugerował, że ujawni udział Oskara w skandalu Osthilfe i unikanie podatków. Z kolei treści propozycji możemy domyślać się jedynie po tym, że kilka miesięcy później rodowa posiadłość Hindenburgów w Ogrodzieńcu zwiększyła się o 5000 akrów zwolnionych od podatku, a w sierpniu 1934 r. Oskar przeskoczył w armii z pułkownika na generała majora.

Tak czy owak, pewne jest to, że Hitler zrobił na synu prezydenta ogromne wrażenie. Meissner wspominał w złożonym w Norymberdze oświadczeniu: „W drodze powrotnej w taksówce Oskar von Hindenburg był milczący, jego jedyna wypowiedź brzmiała tak, że już nic nie da się zrobić – nazistów trzeba wziąć do rządu. Mam wrażenie, że Hitlerowi udało się rzucić na niego swój urok”.

Wodzowi nazistów pozostało jeszcze tylko zauroczyć jego ojca. Trzeba przyznać, że było to trudniejsze zadanie, bo chociaż sędziwy feldmarszałek coraz bardziej słabował na umyśle, wiek nie złagodził jego granitowego charakteru. Trudniejsze, ale nie niemożliwe. Papen uwijał się przy nestorze niemieckiej polityki jak pszczółka. Stawało się jasne, że Schleicher, pomimo całego swego cwaniactwa, kroczy ku przepaści. Nie udało mu się zjednać nazistów ani ich rozbić. Nie zdobył wsparcia u nacjonalistów, centrystów ani socjaldemokratów.

23 stycznia udał się na spotkanie z prezydentem i przyznał, że nie jest w stanie znaleźć większości w Reichstagu, toteż domaga się jego rozwiązania oraz nadzwyczajnych uprawnień, zgodnych z artykułem 48 konstytucji. Według Meissnera generał poprosił także o „tymczasowe wyeliminowanie” Reichstagu i szczerze uprzedził, że będzie zmuszony przekształcić swój rząd w „dyktaturę wojskową”[216]. Mimo tylu przebiegłych intryg generał znalazł się dokładnie w tym samym miejscu, w którym w grudniu stał Papen, tyle że obecnie role się odwróciły. Wtedy to Papen domagał się nadzwyczajnych prerogatyw, a Schleicher mu się sprzeciwił i zaproponował, że sformuje większość przy wsparciu nazistów. Teraz to

generał wysuwał pretensje do dyktatorskiej władzy, a szczwany lis Papen zapewniał feldmarszałka, że zdoła zapędzić Hitlera do rządowych ław i zmontuje większość w Reichstagu. Tak oto wyglądają wzloty i upadki drani i intrygantów!

Hindenburg, przypomniawszy Schleicherowi o powodach, dla których 2 grudnia odmówił Papenowi, poinformował go, że nic się w tej kwestii nie zmieniło. Polecił mu wracać do poszukiwań większość parlamentarnej. Generał był skończony i doskonale to rozumiał, podobnie jak wszyscy inni wtajemniczeni w bieg wypadków. Jeden z nich, Goebbels, skomentował następnego dnia: „Schleicher, ten, który tylu obalił, wnet sam upadnie".

Jego koniec ostatecznie i oficjalnie nadszedł 28 stycznia, kiedy to zjawił się u prezydenta i złożył dymisję całego gabinetu. „Jestem już jedną nogą w grobie i nie mam pewności, czy później nie będę tego żałował w niebie", powiedział rozczarowanemu generałowi Hindenburg. „Nie jestem pewien, czy po tym, jak zawiódł pan zaufanie, pójdzie pan do nieba", odpowiedział Schleicher i zniknął z historii Niemiec[217].

Jeszcze tego samego dnia w południe prezydent powierzył Papenowi zadanie wysondowania możliwości sformowania nowego rządu pod Hitlerem, ale „w granicach konstytucji". Ten szczwany, ambitny mężczyzna przez tydzień zastanawiał się, czy nie zdradzić Hitlera i nie zostać ponownie kanclerzem gabinetu prezydenckiego, cieszącego się wsparciem Hugenberga. 27 stycznia Goebbels napisał: „Nadal istnieje możliwość, że Papen znowu zostanie kanclerzem". Dzień wcześniej Schleicher wysłał do prezydenta dowódcę armii generała von Hammersteina, aby przestrzec go przed ponownym mianowaniem Papena. W labiryncie wypełniających Berlin intryg Schleicher zaczął nagle agitować, aby zastąpił go wódz nazistów. Jednak Hindenburg zapewnił Hammersteina, że nie ma zamiaru mianować „austriackiego kaprala" kanclerzem.

Następny dzień, niedziela 29 stycznia, okazał się przełomowy. Konspiratorzy rzucali na stół ostatnie karty i wysyłali w miasto najbardziej niesłychane, sprzeczne plotki, choć niektóre zdecydowanie nie bezzasadne. Schleicher ponownie mącił, wysługując się wiernym Hammersteinem. Szef armii wyszukał Hitlera, aby go przestrzec, że Papen może wystawić go do wiatru, i że przywódca NSDAP może postąpiłby rozsądniej, sprzymierzając się z upadłym kanclerzem i wojskiem. Hitler nie był zainteresowany. Wrócił do hotelu Kaiserhof na ciasto i kawę ze swoimi towarzyszami i to

właśnie podczas tego posiłku przybiegł Göring z nowiną, że nazajutrz Führer zostanie ogłoszony kanclerzem.

Wieczorem nazistowscy watażkowie fetowali te doniosłe wieści w domu Goebbelsa przy Reichskanzlerplatz, gdy nagle pojawił się kolejny wysłannik Schleichera z następną niebywałą informacją. Był to Werner von Alvensleben, człowiek obdarzony takim talentem do spiskowania, że gdy nie miał pod ręką żadnej intrygi, to jakąś wymyślał. Zawiadomił on świętujących nazistów, że Schleicher i Hammerstein postawili garnizon poczdamski w stan gotowości, planują wysłać starego prezydenta do Ogrodzieńca i wprowadzić dyktaturę wojskową. Była to spora przesada. Możliwe, że dwaj generałowie rozważali takie wyjście, ale nie podjęli żadnych działań. Natomiast nazistów ogarnął histeryczny strach. Göring pognał na drugą stronę placu – tak szybko, jak tylko pozwalała mu tusza – aby ostrzec prezydenta i Papena. Hitler sam opisał później, co wtedy zrobił.

> Moja bezzwłoczna kontrakcja wobec planowanego puczu [wojskowego] polegała na posłaniu po szefa berlińskiej SA hrabiego von Helldorfa, a poprzez niego na zaalarmowaniu SA w całym Berlinie. Równocześnie poinstruowałem majora Wecke z policji – a wiedziałem, że mogę mu ufać – aby przygotował się do szybkiego opanowania Wilhelmstrasse przez sześć batalionów policji (…). I w końcu pouczyłem generała von Blomberga (wybranego na ministra elekta Reichswehry), żeby natychmiast po przybyciu do Berlina 30 stycznia o godzinie 8.00 ruszał prosto na zaprzysiężenie do Starego Dżentelmena, i tym samym, jako naczelny dowódca całej Reichswehry, uzyskał możliwość stłumienia wszelkich prób przeprowadzenia zamachu stanu[218].

Generał Werner von Blomberg, za plecami Schleichera i naczelnego dowódcy armii (w tym szalonym okresie wszystko robiono za czyimiś plecami), rzeczywiście został wezwany, ale nie przez Hitlera, który przecież nie miał jeszcze żadnej władzy, a przez Hindenburga i Papena, aż z Genewy, gdzie reprezentował Niemcy na konferencji rozbrojeniowej. Miał zostać ministrem obrony w gabinecie Hitlera-Papena. Hitler stwierdził później, że ufał temu człowiekowi, który ponadto znajdował się pod silnym wpływem swego szefa sztabu z Prus Wschodnich pułkownika Waltera von Reichenaua, zdeklarowanego zwolennika nazistów. Kiedy wczesnym rankiem 30 stycznia Blomberg przybył do Berlina, na dworcu powitali go dwaj oficerowie ze sprzecznymi rozkazami. Major von Kuntzen, adiutant Hammersteina, polecił mu stawić się przed naczelnym dowódcą armii. Z kolei pułkownik Oskar von Hindenburg polecił zdezorientowanemu

generałowi stawić się przed prezydentem republiki. Blomberg pojechał do prezydenta, został bezzwłocznie zaprzysiężony na ministra obrony i tym samym uzyskał uprawnienia, aby nie tylko stłumić próbę przewrotu, ale także pilnować lojalności sił zbrojnych względem nowego rządu, który miał zostać mianowany już za kilka godzin. Hitler był zawsze wdzięczny armii, że go zaakceptowała w tej przełomowej chwili. Niedługo później powiedział na wiecu partyjnym: „Gdyby w dniach naszej rewolucji armia nie stanęła u naszego boku, to dziś by nas tu nie było". W przyszłości owa odpowiedzialność będzie mocno ciążyła korpusowi oficerskiemu i w końcu armia pożałuje swojej decyzji.

Zimowego poranka 30 stycznia 1933 r. tragedia Republiki Weimarskiej – trwającej 14 lat, nieporadnej próby stworzenia w Niemczech demokracji – dobiegła końca. Ale zanim kurtyna ostatecznie opadła, pośród pstrokatej grupy spiskowców, którzy zebrali się, aby pogrzebać republikański ustrój, rozegrała się jeszcze jedna farsa. Papen opisał ją potem w następujących słowach:

> Około wpół do jedenastej członkowie proponowanego gabinetu spotkali się w moim domu i przeszli przez ogród do pałacu prezydenckiego, gdzie zaczekaliśmy w gabinecie Meissnera. Hitler od razu wznowił utyskiwania, że nie został mianowany komisarzem Rzeszy ds. Prus. Uważał, że dotkliwie krępuje to jego władzę. Powiedziałem mu (…), że można zająć się tym później. Odpowiedział, że skoro jego władza ma być tak mocno ograniczona, to domaga się nowych wyborów do Reichstagu.
>
> Stworzyło to zupełnie nową sytuację i dalsza dyskusja nabrała wysokiej temperatury. Pomysłowi sprzeciwiał się zwłaszcza Hugenberg, a Hitler próbował go spacyfikować, zapewniając, że niezależnie od wyników wyborów nie dokona żadnych zmian w gabinecie (…). Godzina jedenasta, o której zgodnie z planem mieliśmy rozmawiać z prezydentem, dawno minęła, a Meissner poprosił mnie, żebyśmy skończyli dywagować, bo prezydent nie zamierza dłużej czekać.
>
> Doszło między nami do tak gwałtownej różnicy zdań, że wystraszyłem się, że nasza nowa koalicja rozpadnie się, zanim na dobre się narodzi (…). W końcu stanęliśmy przed prezydentem i dokonałem niezbędnej, formalnej prezentacji. Hindenburg wygłosił krótką mowę o konieczności pełnej współpracy w interesie kraju i zostaliśmy zaprzysiężeni. Gabinet Hitlera został sformowany[219].

Tak oto, niejako tylnymi drzwiami, drogą podłej umowy politycznej ze starymi reakcjonistami, którymi prywatnie gardził, dawny wiedeński włóczęga, odprysk po I wojnie światowej, gwałtowny rewolucjonista, został kanclerzem wielkiego narodu.

Narodowi socjaliści stanowili w rządzie mniejszość. Otrzymali tylko trzy z jedenastu miejsc w gabinecie i nie licząc kanclerstwa, były to stanowiska o drugorzędnym znaczeniu. Frick został co prawda ministrem spraw wewnętrznych, ale urzędnik ten, w przeciwieństwie do większości państw europejskich, nie kontrolował policji, bo w Niemczech za policję odpowiadały poszczególne kraje związkowe. Trzecim członkiem NSDAP w rządzie był Göring, ale nie udało się dla niego znaleźć żadnego konkretnego resortu. Został więc tak zwanym ministrem bez teki przy uzgodnieniu, że gdy tylko Niemcy stworzą siły powietrzne, zostanie ministrem lotnictwa. Wszystkim umknęło za to mianowanie go ministrem spraw wewnętrznych Prus, czyli urzędnikiem sprawującym pieczę nad pruską policją, ponieważ w tym czasie uwaga opinii publicznej skupiała się na gabinecie Rzeszy. Ku zaskoczeniu wielu osób, w rządzie nie zasiadł Goebbels; na razie został wystawiony do wiatru.

Ważne resorty przypadły konserwatystom, którzy byli pewni, że spętali nazistów i ci będą teraz służyć ich celom: Neurath pozostał na stanowisku ministra spraw zagranicznych, Blomberg był ministrem obrony, Hugenberg przejął połączone ministerstwa gospodarki i rolnictwa, a Seldte, przywódca Stalowego Hełmu, został wybrany ministrem pracy. Pozostałe resorty trafiły w ręce bezpartyjnych „ekspertów” mianowanych przez Papena osiem miesięcy wcześniej. Sam Papen został wicekanclerzem Rzeszy i premierem Prus, a Hindenburg obiecał mu, że nie będzie spotykał się z kanclerzem bez obecności jego zastępcy. Papen był przekonany, że to osobliwe stanowisko pozwoli mu trzymać radyklanego nazistowskiego wodza na smyczy. Ale na tym nie koniec: rząd był pomysłem Papena, jego tworem, więc był pewien, że przy pomocy niezłomnego prezydenta, który był przecież jego przyjacielem, zwolennikiem i protektorem, a także przy wparciu kolegów-konserwatystów, którzy liczebnie dominowali nad hałaśliwymi nazistami w stosunku osiem do trzech, zdominuje gabinet.

Jednak ten lekkomyślny intrygant nie znał Hitlera – nikt tak naprawdę go nie znał – oraz nie pojmował siły czynników, które wybiły go na szczyt. Poza tym ani Papen, ani nikt inny nie zdawał sobie sprawy z zagadkowej słabości istniejących instytucji, obecnie ocierającej się wręcz o paraliż – armii, kościołów, związków zawodowych, partii politycznych, a także nienazistowskiej klasy średniej oraz dobrze przecież zorganizowanego proletariatu. Wszystkie te grupy, jak ponuro zauważył Papen znacznie później, „poddały się bez walki”.

Wszystkie klasy, grupy i partie Niemiec ponoszą część odpowiedzialności za porzucenie demokratycznej republiki i nastanie Adolfa Hitlera. Przeciwnicy nazizmu popełnili kardynalny błąd, nie jednocząc się przeciw niemu. U szczytu popularności w lipcu 1932 r. narodowi socjaliści zdobyli 37% ogólnej liczby głosów. Ale 63% Niemców, którzy wyrażali niechęć do Hitlera, było zbyt podzielonych i krótkowzrocznych, aby razem stawić czoła wspólnemu zagrożeniu, chociaż musieli wiedzieć, że jeśli nie podadzą sobie rąk, nawet przejściowo, aby je zdeptać, to ostatecznie będą musieli mu ulec. Wykonujący polecenia Moskwy komuniści do samego końca trwali przy absurdalnym pomyśle zniszczenia najpierw socjaldemokratów, socjalistycznych związków zawodowych i demokratycznych sił klasy średniej, który wysnuli z delikatnie mówiąc, wątpliwego założenia, że choć doprowadzi to do nastania nazistowskiego reżimu, to będzie on co najwyżej tymczasowy i przyniesie upadek kapitalizmu. Później komunistom pozostanie tylko przejąć władzę i wprowadzić dyktaturę proletariatu. Według bolszewizmu-marksizmu faszyzm był ostatnim stadium dogorywającego kapitalizmu, po nim nastąpi w końcu komunistyczny potop!

Czternaście lat dzielenia się władzą polityczną w republice, czternaście lat nieustannych kompromisów koniecznych do utrzymania kolejnych koalicyjnych rządów, wycisnęło z socjaldemokratów całą siłę i zapał. W końcu ich partia przekształciła się w oportunistyczną grupę nacisku, zdeterminowaną, aby układać się o ustępstwa dla związków zawodowych stanowiących podstawę jej siły. Może to rzeczywiście prawda, jak utrzymywali niektórzy socjaliści, że fortuna nie była dla nich łaskawa: komuniści, pozbawieni skrupułów i wrodzy demokracji, podzielili klasę robotniczą; zaszkodził im też kryzys, który osłabił związki i pozbawił partię poparcia milionów bezrobotnych, którzy w swej niedoli zwracali się ku komunistom lub nazistom. Ale tragedii socjaldemokratów nie można tłumaczyć samym pechem. W listopadzie 1918 r. mieli oni szansę przejąć pewną kontrolę nad Niemcami i zbudować kraj oparty na tym, co zawsze głosili: demokracji społecznej. Zabrakło im stanowczości. Na początku lat 30. byli już zmęczoną, defetystyczną partią, zdominowaną przez starych, uczciwych, ale przeciętnych ludzi. Socjaldemokraci do samego końca pozostali lojalni ustrojowi, ale zarazem zbyt zdezorientowani, zbyt bojaźliwi, aby postawić na większe ryzyko, które mogło ocalić republikę.

Dowodzi tego ich niemoc, gdy Papen posłał garstkę żołnierzy, aby zniszczyła konstytucyjny rząd Prus.

W Niemczech brakowało silnej politycznie klasy średniej pomiędzy lewicą a prawicą, która w innych państwach – we Francji, w Wielkiej Brytanii czy USA – okazała się kręgosłupem demokracji. W pierwszych latach republiki ugrupowania klasy średniej, demokraci, Partia Ludowa, Partia Centrum, zdobyły łącznie 12 milionów głosów, czyli tylko o 2 miliony mniej niż obie partie socjalistyczne. Później, gdy wyborcy zaczęli ciążyć ku Hitlerowi i nacjonalistom, ich potencjał się rozmył. W 1919 r. demokraci uzyskali 74 miejsca w Reichstagu, a w 1932 r. już tylko dwa. Reprezentacja Partii Ludowej skurczyła się z 62 deputowanych w 1919 r. do 11 w 1932 r. Jedynie katolicka Partia Centrum utrzymała do samego końca silny elektorat. W pierwszych republikańskich wyborach w 1919 r. zdobyła 71 miejsc w Reichstagu, zaś w 1932 r. miała ich 70. Jednak ugrupowanie to, w jeszcze większym stopniu niż socjaldemokraci, już od czasów Bismarcka przyjmowało pozycję oportunistyczną i wspierało każdy rząd, który oferował ustępstwa względem jej partykularnych interesów. I choć partia ta zdawała się lojalna republice i popierała demokrację, jej liderzy, jak widzieliśmy, układali się z nazistami w sprawie kanclerstwa dla Hitlera, aż w końcu zostali przelicytowani przez Papena i nacjonalistów.

Republika niemiecka była pozbawiona silnej klasy średniej, ale brakowało jej też stabilności gwarantowanej w innych krajach przez ugrupowania prawdziwie konserwatywne. Niemieccy nacjonaliści w swoim najlepszym momencie, podczas wyborów w 1924 r., zgromadzili 6 milionów głosów i wysłali do Reichstagu 103 deputowanych. Byli w parlamencie drugą największą partią. Wtedy jednak, jak prawie zawsze za reżimu weimarskiego, nie chcieli przyjmować odpowiedzialnego stanowiska ani w rządzie, ani w opozycji, jedyny wyjątek stanowił ich udział w dwóch krótkotrwałych gabinetach w latach 20. Niemiecka prawica, która w większości głosowała właśnie na nacjonalistów, życzyła sobie końca republiki i odrodzenia cesarskich Niemiec, dzięki czemu odzyskałaby wszystkie utracone przywileje. Natomiast republika traktowała prawicę, rozumianą zarówno jako poszczególne jednostki, jak i całą klasę, z ogromną szczodrością i biorąc pod uwagę jej cele, niebywałą tolerancją. Jak widzieliśmy, władza pozwoliła armii pozostać państwem w państwie, biznesmenom i bankierom osiągać kolosalne zyski, a junkrom, dzięki pożyczkom państwowym, których ci nigdy nie spłacali i rzadko

wykorzystywali do podniesienia jakości swych gospodarstw, utrzymać nierentowne majątki. Prawica nie zrewanżowała się za tę hojność ani wdzięcznością, ani lojalnością. Wykazała się krótkowzrocznością, uprzedzeniami oraz ślepotą, która z perspektywy czasu wydaje się autorowi wręcz niepojęta. Podkopywała fundamenty republiki, aż w końcu, do spółki z nazistami, całkowicie je zwaliła.

Klasy konserwatywne uznały, że w dawnym wiedeńskim włóczędze znalazły człowieka, który będzie ich niewolnikiem i pomoże im zrealizować własne cele. Zniszczenie republiki było jedynie pierwszym krokiem. Tak naprawdę pragnęły one autorytarnych Niemiec, władzy, która położyłaby w kraju kres demokratycznym „nonsensom" i sile związków zawodowych, a na arenie międzynarodowej przekreśliła werdykt z 1918 r., zrzuciła kajdany traktatu wersalskiego, odbudowała potężną armię, a ta z kolei przywróciłaby Niemcom należną im pozycję w świecie. Hitler miał takie same cele. I choć zdobył to, czego konserwatystom zawsze brakowało, czyli poparcie mas, to nadal uważali, że będzie siedział w ich kieszeni – przecież w gabinecie Rzeszy przeważali nad nazistami w stosunku osiem do trzech. Ta silna pozycja miała również pozwolić im, a przynajmniej tak zakładali, zrealizować własne zamierzenia bez barbarzyństw nieokrzesanego nazizmu. Konserwatyści byli przecież przyzwoitymi, bogobojnymi ludźmi, przynajmniej podług ich własnej miary.

Cesarstwo Hohenzollernów zostało zbudowane na triumfach militarnych Prus, Republika Weimarska na klęsce z rąk Aliantów. III Rzesza nie zawdzięczała nic ani zmiennym losom wojen, ani zagranicznym wpływom. Została zbudowana w czasach pokoju i pokojowymi metodami, zbudowali ją sami Niemcy, zarówno dzięki swym słabościom, jak i atutom. To Niemcy narzucili sobie nazistowską tyranię. 30 stycznia 1933 r., gdy prezydent von Hindenburg, działając jak najbardziej zgodnie z konstytucją, powierzył urząd kanclerza Adolfowi Hitlerowi, wielu, zapewne większość z nich nie zdawała sobie z tego sprawy.

Bardzo szybko mieli się o tym przekonać.

ROZDZIAŁ VII

NAZYFIKACJA NIEMIEC: 1933-1934

Teoria, którą Hitler sformułował we włóczęgowskich czasach w Wiedniu i na zawsze zapamiętał – że dla każdego ruchu rewolucyjnego jedyna droga do władzy biegnie poprzez sojusz z potężnymi instytucjami państwa – zgodnie z jego oczekiwaniami sprawdziła się w praktyce. Prezydent, przy poparciu armii i konserwatystów, mianował go kanclerzem. Jednak jego siła polityczna, choć znaczna, nadal nie była całkowita. Musiał dzielić ją z trzema ośrodkami władzy, które powierzyły mu urząd szefa rządu oraz nie miały nic wspólnego z ruchem narodowosocjalistycznym i nie ufały mu.

A zatem jego pierwsze zadanie polegało na odebraniu im sterów władzy, uczynieniu z własnej partii jedynego pana Niemiec, a następnie, dzięki uprawnieniom autorytarnego rządu i jego policji, przeprowadzeniu nazistowskiej rewolucji. Pierwszy zdecydowany ruch wykonał po niecałych 24 godzinach na urzędzie, zastawiając sidła na swych konserwatywnych „patronów” i uruchamiając ciąg wydarzeń, który sam wprawił w ruch i sprawował nad nim kontrolę. W ciągu sześciu miesięcy doprowadzi on do całkowitej nazyfikacji Niemiec, a Hitlera wyniesie na piedestał dyktatora Rzeszy – po raz pierwszy w dziejach naprawdę zjednoczonej i scentralizowanej.

30 stycznia 1933 r. o godzinie 17, czyli pięć godzin po zaprzysiężeniu, Hitler otworzył pierwsze posiedzenie gabinetu. Protokół z zebrania[220], który pojawił się w Norymberdze pośród setek ton zdobytych dokumentów, ujawnił, jak szybko i zręcznie, przy pomocy sprytnego Göringa, zaczął ustawiać konserwatywnych kolegów w karnym szeregu[221]. Hindenburg mianował Hitlera szefem rządu opierającego się na większości w Reichstagu, a nie gabinetu prezydenckiego. Jednak naziści i nacjonaliści, czyli jedyne dwa ugrupowania w nim reprezentowane, dysponowały tylko 247 z 583 mandatów w parlamencie, więc nie miały większości. Aby ją uzyskać, potrzebowały wsparcia Partii Centrum i jej 70 deputowanych. Hitler już w pierwszych godzinach kadencji nowego rządu wysłał na

rokowania z liderami centrystów Göringa, który na posiedzeniu zameldował, że Partia Centrum domaga się „pewnych ustępstw”. Göring zaproponował, aby rozwiązać Reichstag i rozpisać nowe wybory, z czym Hitler się zgodził. Hugenberg, wbrew sporym osiągnięciom w interesach człowiek o drewnianym umyśle, sprzeciwiał się przyjmowaniu centrystów do rządu, ale z drugiej strony także nowym wyborom, ponieważ doskonale wiedział, że naziści, dysponując zasobami całej machiny państwa, mogą zdobyć przy urnach absolutną większość, a co za tym idzie obejść się bez pomocy jego oraz jego konserwatywnych przyjaciół. Zaproponował więc prostsze rozwiązanie, czyli likwidację Partii Komunistycznej. Po pozbyciu się jej 100 deputowanych nacjonaliści i naziści mieliby w Reichstagu większość. Hitler nie był jeszcze gotowy na tak dalekosiężne posunięcie. Ostatecznie ustalono, że następnego ranka kanclerz osobiście porozmawia z liderami Partii Centrum, a jeśli rokowania okażą się bezowocne, gabinet zgłosi prezydentowi konieczność przeprowadzenia kolejnych wyborów.

Hitler bez trudu sprawił, że rozmowy z centrystami były jałowe. Na jego sugestię Kaas, przywódca Partii Centrum, przedłożył jako wstęp do dyskusji listę próśb, oprócz zgłoszonego już wcześniej żądania, aby Hitler przyrzekł, że będzie rządził w zgodzie z konstytucją. Kanclerz, zwodząc zarówno Kaasa, jak i kolegów z rządu, zaraportował na forum gabinetu, że centryści zgłosili niemożliwe do spełnienia żądania i nie ma najmniejszych szans na porozumienie. Zaproponował, aby zwrócić się do prezydenta o rozwiązanie Reichstagu i ogłoszenie nowych wyborów. Hugenberg i Papen wpadli w potrzask, jednak po solennym zapewnieniu ze strony nazistowskiego wodza, że niezależnie od wyniku wyborów gabinet pozostanie niezmieniony, ulegli. Datę wyborów wyznaczono na 5 marca.

Partia Nazistowska po raz pierwszy – w ostatnich względnie wolnych wyborach w Niemczech – mogła wykorzystać w walce o głosy bogate zasoby państwa. Goebbels nie posiadał się z radości. „Teraz walka pójdzie łatwo – zapisał w dzienniku 3 lutego – bo możemy liczyć na wszystkie zasoby państwa. Radio i prasa są do naszej dyspozycji. Stworzymy arcydzieło propagandy. No i tym razem oczywiście nie brakuje nam pieniędzy”[222].

Wielki biznes, zachwycony nowym rządem, który miał pokazać zorganizowanej sile roboczej miejsce w szeregu i pozwolić kierownictwom firm prowadzić interesy zgodnie z ich życzeniami, został poproszony, by dorzucił się na kampanię. Przedsiębiorcy przystali na to 20 lutego, podczas

spotkania w siedzibie przewodniczącego Reichstagu Göringa. Doktor Schacht pełnił na nim funkcję gospodarza, a Göring i Hitler bez owijania w bawełnę wyłożyli kilkudziesięciu magnatom swoje oczekiwania. Znaleźli się wśród nich Krupp von Bohlen, który z dnia na dzień stał się entuzjastycznym nazistą, Bosch i Schnitzler z I.G. Farben, a także Vögler, stojący na czele Vereinigte Stahlwerke. Zachował się protokół z tego tajnego posiedzenia.

Hitler rozpoczął długie przemówienie od drobnego ukłonu pod adresem przemysłowców. „W epoce demokracji nie da się utrzymać prywatnej przedsiębiorczości – zagaił – jest ona możliwa tylko wtedy, gdy ludzie mają klarowne pojęcie władzy i osobowości (…). Wszystkie światowe dobra znajdujące się w naszym posiadaniu zawdzięczamy walce wybrańców (…). Nie możemy zapominać, że wszelkie dobrodziejstwa kultury w mniejszym lub większym stopniu muszą być wprowadzane z użyciem żelaznej ręki”. Obiecał przemysłowcom, że „wyeliminuje” marksistów i odrodzi Wehrmacht (tym ostatnim interesowali się przede wszystkim Krupp, Stahlwerke oraz I.G. Farben, które uzyskałyby najwięcej na wznowieniu zbrojeń). „Stoimy w obliczu ostatnich wyborów”, zakończył Hitler i przyrzekł słuchaczom, że „niezależnie od ich wyniku nie będzie już odwrotu”. Jeżeli nie wygra, utrzyma się u władzy „innymi środkami (…), dzięki innemu orężowi”. Göring, zbliżając się nieco bardziej do sedna spotkania, podkreślił konieczność „finansowych poświęceń”, które „przemysłowi będzie znacznie łatwiej ponieść, jeśli zda sobie sprawę, że wybory 5 marca z całą pewnością będą ostatnimi na najbliższe dziesięć lat, a prawdopodobnie na sto”.

Wszystko to wyłożono przemysłowcom czarno na białym, a na obietnicę końca uciążliwych wyborów, demokracji i rozbrojenia zareagowali żywym entuzjazmem. Krupp, król produkcji zbrojeniowej, który według Thyssena jeszcze 29 stycznia namawiał Hindenburga, by nie mianował Hitlera, aż podskoczył z radości i wyraził wobec kanclerza „wdzięczność” ludzi biznesu „za przedstawienie im tak wyrazistego obrazu”. Następnie Schacht puścił po sali kapelusz. „Zebrałem trzy miliony marek”, zeznał w Norymberdze[223].

31 stycznia 1933 r., dzień po mianowaniu Hitlera szefem rządu, Goebbels napisał w dzienniku: „Na naradzie z Führerem zaplanowaliśmy walkę z czerwonym terrorem. Na moment musimy wstrzymać się z użyciem

bezpośrednich środków. Bolszewicka próba rewolucji musi najpierw buchnąć żywym ogniem. W stosownej chwili uderzymy”.

Jednak gdy w Niemczech ruszała kampania wyborcza, pomimo prowokacji nazistowskich władz nie było śladu po żadnej rewolucji, ani komunistycznej, ani socjalistycznej. Na początku lutego rząd Hitlera zdelegalizował wszystkie komunistyczne zebrania i zamknął komunistyczną prasę. Wiece socjaldemokratów również były zakazywane albo rozpędzane przez chuliganów z SA, a główne socjalistyczne gazety nieustannie zawieszano. Nazistowskiemu terrorowi nie umknęła nawet katolicka Partia Centrum. Stegerwald, lider Katolickich Związków Zawodowych, został pobity przez brunatne koszule, gdy próbował przemawiać na zebraniu swojej organizacji, a po innym wiecu Brüning musiał szukać ratunku u policji, podczas gdy żołdacy z SA ranili wielu jego zwolenników. Lista przeciwników nazistów zamordowanych w trakcie kampanii objęła 51 nazwisk, sami naziści twierdzili, że zginęło także 18 ich ludzi.

Kluczowe stanowisko ministra spraw wewnętrznych Prus, obsadzone przez Göringa, zaczęło odgrywać ważną rolę. Ignorując ograniczenia ze strony Papena, który jako premier Prus był jego formalnym przełożonym, Göring usunął ze stanowisk setki republikańskich urzędników i zastąpił ich nazistami, głównie funkcjonariuszami SA i SS. Nakazał policji „za wszelką cenę” unikać utarczek z SA, SS i Stalowym Hełmem, ale z drugiej strony nie okazywać litości „wrogom państwa”. Zachęcał policję, aby „robiła użytek z broni palnej”, i ostrzegł, że funkcjonariusze, którzy będą się przed tym wzbraniać, zostaną ukarani. Było to jawne wezwanie do wystrzelania przeciwników Hitlera przez policję kraju związkowego (Prus) obejmującego dwie trzecie powierzchni Niemiec. 22 lutego, chcąc upewnić się, że zlecona robota zostanie wykonana rzetelnie, Göring powołał pomocnicze siły policyjne złożone z 50 tysięcy ludzi, z czego 40 tysięcy zwerbował z szeregów SA i SS, a resztę ze Stalowego Hełmu. A zatem policyjne uprawnienia w Prusach były w dużej mierze egzekwowane przez nazistowskich zbirów. Niemcy szukający u takiej „policji” ochrony przed nazistowskimi terrorystami wykazywali się sporą lekkomyślnością.

Mimo całego tego terroru „bolszewicka rewolucja”, której wypatrywali Goebbels, Hitler i Göring, jakoś nie chciała „buchnąć żywym ogniem”. Skoro nie udało się jej sprowokować, to może należało ją sprokurować?

24 lutego policja Göringa zrobiła nalot na Karl Liebknecht Haus, kwaterę główną berlińskich komunistów. Ich liderzy, z których część zdążyła już przejść do podziemia lub prześliznąć się do Rosji, opuścili ją kilka tygodni wcześniej. W piwnicy budynku zostały jednak całe sterty broszur propagandowych. Göringowi to wystarczyło: w oficjalnym komunikacie mógł ogłosić, że przejęte „dokumenty" dowodzą, iż komuniści planowali rozpętać rewolucję. Opinia publiczna przyjęła te rewelacje sceptycznie, nawet niektórzy konserwatyści z rządu powątpiewali w ich prawdziwość. Naziści zrozumieli, że jeśli chcą zahukać naród jeszcze przed wyborami 5 marca, to potrzebują czegoś bardziej sensacyjnego.

POŻAR REICHSTAGU

Wieczorem 27 lutego czterej najpotężniejsi ludzie w Niemczech zasiedli do kolacji w dwóch różnych miejscach Berlina. W ekskluzywnym Herrenklubie przy Vosstrasse wicekanclerz von Papen zabawiał swoim towarzystwem prezydenta von Hindenburga. Z kolei kanclerz Hitler przyjechał do domu Goebbelsa na wspólny posiłek z „całą rodziną". Według gospodarza wszyscy byli zrelaksowani, puszczali muzykę z gramofonu i opowiadali sobie różne historie. „Nagle – relacjonował na dalszych stronach dziennika – telefon od dr. Hanfstaengla: »Reichstag stoi w ogniu!«. Jestem pewien, że bajdurzy i nawet nie wspominam o tym Führerowi"[224].

Lecz Herrenklub znajdował się tuż za rogiem od siedziby parlamentu.

> Nagle [pisał później Papen] zauważyliśmy przez okna czerwoną łunę i usłyszeliśmy na ulicy krzyki. Jeden ze służących podbiegł do mnie i wyszeptał: „Reichstag się pali!", powtórzyłem to prezydentowi. Wstał i zobaczyliśmy przez okno, że kopuła gmachu Reichstagu wygląda jak oświetlona szperaczami. Co jakiś czas na tle jej sylwetki ukazywały się języki płomieni i kłęby dymu[225].

Wicekanclerz zawiózł sędziwego prezydenta do domu własnym autem, po czym wrócił pod płonący gmach. Goebbels napisał później, że zastanowił się jednak nad „bajeczką" Putziego Hanfstaengla, zadzwonił w kilka miejsc i dowiedział się, że Reichstag naprawdę płonie. Mgnienie oka później pędził z Führerem „sto dwadzieścia na godzinę szosą charlottenburską na miejsce zbrodni".

A że była to zbrodnia, komunistyczna zbrodnia, obwieścili natychmiast po stawieniu się pod Reichstagiem. Göring, spocony, dyszący i wychodzący z siebie z podekscytowania, był już na miejscu i jak wspominał później Papen, wznosił w niebo okrzyki, że „to komunistyczna zbrodnia wymierzona w nowy rząd". Krzyknął do nowego szefa Gestapo Rudolfa Dielsa: „To początek komunistycznej rewolucji! Nie możemy zwlekać ani chwili. Nie okażemy litości. Każdy funkcjonariusz komunistyczny musi zostać rozstrzelany na miejscu. Wszyscy komunistyczni deputowani muszą zawisnąć jeszcze tej nocy"[226].

Cała prawda o pożarze Reichstagu prawdopodobnie nigdy nie zostanie odkryta. Niemal wszyscy, którzy ją znali, już nie żyją, w większości zabici przez Hitlera w następnych miesiącach. Nawet w Norymberdze nie udało się całkowicie rozproszyć mgły tajemnicy, choć istnieje dość dowodów, aby ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że to naziści zaplanowali i przeprowadzili podpalenie, by osiągnąć swe polityczne cele.

Pomiędzy pałacem przewodniczącego Reichstagu a gmachem izby biegło podziemne przejście, zbudowane na potrzeby systemu centralnego ogrzewania. To właśnie tym tunelem Karl Ernst, dawny boy hotelowy, który stanął na czele stołecznych struktur SA, nocą 27 lutego przeprowadził do Reichstagu niewielki oddział szturmowców. Na miejscu rozlali benzynę oraz samopalne chemikalia, po czym wrócili tą samą drogą. Równocześnie przygłupi holenderski komunista z zamiłowaniem do podpaleń, Marinus van der Lubbe, wszedł do wielkiego, ciemnego i nieznanego mu gmachu i podłożył w kilku miejscach ogień. Ten słabujący na umyśle piroman był dla nazistów prawdziwym darem od niebios. SA znalazło go kilka dni wcześniej, w jednym z berlińskich barów ktoś usłyszał, jak Holender chełpi się, że próbował już podpalić kilka gmachów publicznych i wkrótce zamierzy się na Reichstag.

Taki zbieg okoliczności – naziści znajdują obłąkanego komunistycznego podpalacza, który planuje dokładnie to, co sami zamierzali uczynić – wydaje się nieprawdopodobny, a jednak dowody potwierdzają, że rzeczywiście się zdarzył. Pomysł podpalenia niemal na pewno wyszedł od Goebbelsa i Göringa. Hans Gisevius, wówczas urzędnik w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zeznał w Norymberdze, że „to Goebbels jako pierwszy pomyślał o podpaleniu Reichstagu", a Rudolf Diels, szef Gestapo, dodał w swoim oświadczeniu, że „Göring dokładnie wiedział, jak zainicjować pożar", i polecił mu „przygotować, przed

pożarem, listę ludzi do aresztowania zaraz po nim”. Generał Franz Halder, szef niemieckiego Sztabu Generalnego w pierwszych latach II wojny światowej, opowiedział w Norymberdze, że pewnego razu Göring przechwalał się swoim wyczynem.

> Podczas uroczystego obiadu z okazji urodzin Führera w 1942 r. rozmowa zeszła na temat gmachu Reichstagu i jego artystycznej wartości. Słyszałem na własne uszy, jak Göring wtrącił się i krzyknął: „Wiem najwięcej na temat Reichstagu, bo go podpaliłem!”. A mówiąc to, klepnął się dłonią w udo[227].

Wydaje się oczywiste, że van der Lubbe to po prostu naiwniak, którym posłużyli się naziści. Został zachęcony do próby podłożenia ognia pod Reichstag. Natomiast główną część zadania – naturalnie bez jego wiedzy – mieli wykonać szturmowcy. I faktycznie, w trakcie późniejszego procesu w Lipsku ustalono, że niespełna rozumu Holender nie miał możliwości podpalić tak dużego budynku tak szybko. Główny hall wściekle płonął już dwie i pół minuty po jego wejściu do gmachu. Jako podpałki użył wyłącznie koszuli. Zgodnie z zeznaniami biegłych główny pożar został wywołany z użyciem znacznej ilości chemikaliów i benzyny. Było jasne, że żaden człowiek samotnie nie wniósłby ich do gmachu i nie miałby możliwości zainicjowania tylu pożarów w tak rozproszonych miejscach i tak szybko.

Van der Lubbe został aresztowany od razu, a Göring chciał, by powieszono go na miejscu, co zresztą sam przyznał przed sądem. Nazajutrz Ernst Torgler, lider komunistów w parlamencie, usłyszawszy, że Göring obarcza go winą za pożar, oddał się w ręce policji. Kilka dni później policja zatrzymała Georgiego Dymitrowa, bułgarskiego komunistę, który później zostanie premierem swojego kraju, oraz dwóch jego rodaków, Popowa i Tanewa. Ich proces przed Sądem Najwyższym w Lipsku okazał się klapą, ponieważ Dymitrow, który sam się bronił i przesłuchiwał świadków, bez trudu prowokował nazistów, a zwłaszcza Göringa, do robienia z siebie durniów. Według dokumentów sądu Göring w pewnym momencie krzyknął do Bułgara: „Wynoś się, łajdaku!”.

> Sędzia [do funkcjonariusza policji]: Wyprowadzić go.
>
> Dymitrow [wyprowadzany przez policjanta]: Czy boi się pan moich pytań, panie ministrze przewodniczący?
>
> Göring: Poczekaj aż dopadniemy cię poza sądem, kanalio!

Torgler i trzej Bułgarzy zostali uniewinnieni, choć wobec lidera komunistów natychmiast zastosowano „areszt zapobiegawczy” i do śmierci podczas II wojny światowej nie odzyskał wolności. Van der Lubbe został uznany winnym i ścięty[228].

Proces, pomimo służalczości sądu względem nazistowskich władz, rzucił głęboki cień podejrzeń na Göringa i narodowych socjalistów, ale odbył się za późno, aby wywrzeć realny wpływ na wydarzenia, bowiem Hitler nie tracił czasu i wycisnął z pożaru Reichstagu wszystko, co się dało.

Dzień po pożarze, 28 lutego, kanclerz nakłonił Hindenburga, aby podpisał dekret „O ochronie narodu i państwa”, który zawieszał obowiązywanie siedmiu sekcji konstytucji gwarantujących swobody jednostki i prawa obywatelskie. Dokument, nazywany „środkiem ochronny przeciwko zagrażającym państwu komunistycznym aktom przemocy”, głosił:

> Ograniczenia wolności osobistej, prawa do swobodnego wyrażania opinii, w tym wolności prasy; prawa do zgromadzeń i stowarzyszania się; ponadto naruszanie prywatności korespondencji, komunikacji telegraficznej i telefonicznej; nakazy przeszukań domów, nakazy konfiskat, a także ograniczenia dotyczące własności, są również dopuszczalne w zakresie wykraczającym poza inne przepisy prawne.

Ponadto dekret zezwalał rządowi Rzeszy na przejmowanie w razie konieczności całkowitej władzy w krajach związkowych oraz nakładał karę śmierci za szereg przestępstw, w tym „poważne zakłócanie spokoju” przez uzbrojone osoby[229].

Hitler za jednym zamachem zdołał nie tylko w pełni legalnie zdławić i aresztować swoich rywali, ale też „formalizując” zmyślone komunistyczne zagrożenie, otumanić psychozą strachu miliony Niemców z klasy średniej i rolników. Strachu, że jeśli w nadchodzących wyborach nie zagłosują na narodowych socjalistów, to bolszewicy mogą przejąć władzę. Aresztowano około 4000 działaczy komunistycznych, a także wielu liderów socjaldemokratów i liberałów, w tym członków Reichstagu, których według prawa chronił immunitet. Niemcy po raz pierwszy zaznali nazistowskiego terroru wspieranego przez uprawnienia rządu. Ulice w całym kraju z rykiem przemierzały ciężarówki wypełnione szturmowcami, którzy wdzierali się do prywatnych domów, zatrzymywali obywateli i wywozili ich do koszar SA, gdzie byli poddawani torturom i bici. Zdelegalizowano komunistyczną prasę i zebrania, publikację socjaldemokratycznych gazet i wielu

liberalnych czasopism zawieszono, spotkania demokratycznych ugrupowań także wyjęto spod prawa lub po prostu je rozganiano. Tylko naziści oraz ich nacjonalistyczni sojusznicy mieli prawo w spokoju kontynuować kampanię wyborczą.

Dzięki wszystkim zasobom rządu federalnego i pruskiego oraz morzu pieniędzy wielkiego biznesu, które wypełniły partyjne kasy, naziści rozkręcili kampanię propagandową, jakiej Niemcy jeszcze nie widziały. Państwowe radio po raz pierwszy zaniosło głos Goebbelsa, Hitlera i Göringa w każdy zakątek kraju. Echo ciężkich kroków szturmowców niosło się ulicami ozdobionymi sztandarami ze swastyką. Naziści organizowali masowe wiece, marsze z pochodniami, na placach hałasowały megafony. Mury obklejono krzykliwymi afiszami z Hitlerem, a nocami na wzgórzach płonęły ogniska. Zastraszony brunatnym terrorem i „doniesieniami" o komunistycznej „rewolucji" naród był uwodzony wizją niemieckiego raju. Dzień po pożarze Reichstagu pruski rząd wydał długie oświadczenie, w którym informował, że znalazł komunistyczne „dokumenty", dowodzące, że:

> Gmachy rządowe, muzea, posiadłości i kluczowe zakłady miały zostać spalone (…). Kobiety i dzieci miały stanąć przed terrorystycznymi bandami (…). Spalenie Reichstagu miało być sygnałem do rozpętania krwawej insurekcji i wojny domowej (…). Ustalono, że dzisiaj w całych Niemczech miały rozegrać się akty terroru, wymierzone w indywidualne jednostki, prywatne mienie oraz w życie i zdrowie spokojnej ludności, w celu rozpoczęcia ogólnej wojny domowej.

Władze obiecały publikację „dokumentów zaświadczających istnienia komunistycznego spisku", ale obietnicy nigdy nie spełniły. Natomiast sam fakt, że rząd Prus zapewnił o ich autentyczności, zrobił na wielu Niemcach ogromne wrażenie.

Na niezdecydowanych wrażenie zrobiły zapewne też groźby Göringa. 3 marca gardłował we Frankfurcie:

> Rodacy, moich działań nie sparaliżują żadne sądowe postępowania (…). Nie muszę martwić się o sprawiedliwość, moja misja polega wyłącznie na niszczeniu i eksterminacji, na niczym więcej! (…) Moi drodzy komuniści, z całą pewnością w pełni wykorzystam siłę państwa i policji, więc nie łudźcie się; ze zgromadzonymi tutaj – brunatnymi koszulami – poprowadzę walkę na śmierć i życie, w której moja ręka chwyci za wasze karki![230]

Tego dnia przemawiał też były kanclerz Brüning. Zapowiedział, że Partia Centrum przeciwstawi się wszelkim próbom obalenia konstytucji i będzie domagała się zbadania podejrzeń narosłych wokół pożaru Reichstagu. Wezwał też prezydenta von Hindenburga, aby „chronił gnębionych przed gnębicielami", ale jego głosu nikt nie słyszał. Apelował na próżno. Stary prezydent milczał. Nadszedł czas, żeby przemówił wstrząsany konwulsjami naród.

5 marca 1933 r., dnia ostatnich demokratycznych wyborów za życia Hitlera, naród miał przemówić przy urnach. Na przekór terrorowi i zastraszaniu większość Niemców odrzuciła wodza nazistów. NSDAP wygrała z 17 277 180 głosów, notując wzrost o około 5,5 miliona, ale przełożyło się to tylko na 44% ogólnej liczby głosów. Bezdyskusyjna większość nadal pozostawała poza zasięgiem Hitlera. Prześladowania i szykany w ostatnich tygodniach nie przeszkodziły Partii Centrum poprawić wyniku, z 4 230 600 do 4 424 900; doliczając do tego jej sojuszniczkę, Katolicką Bawarską Partię Ludową, uzyskała łącznie 5,5 miliona głosów. Nawet socjaldemokraci obronili pozycję drugiego najsilniejszego ugrupowania w kraju, gromadząc 7 181 629 głosów (spadek o zaledwie 70 tysięcy). Komuniści stracili milion zwolenników, ale i tak otrzymali 4 848 058 głosów. Wynik 3 136 760 głosów (8%) i zysk niespełna 200 tysięcy gorzko rozczarował nacjonalistów, prowadzonych przez Papena i Hugenberga.

A jednak, po dodaniu do 288 mandatów NSDAP 52 miejsc nacjonalistów rząd uzyskał w Reichstagu większość 16 deputowanych. Wystarczało to, aby skutecznie załatwiać bieżące sprawy, lecz do większości dwóch trzecich, potrzebnej Hitlerowi do zrealizowania nowego zuchwałego planu wprowadzenia dyktatury za zgodą parlamentu, brakowało bardzo dużo.

GLEICHSCHALTUNG: „KOORDYNACJA" RZESZY

Plan był zwodniczo prosty i posiadał tę zaletę, że nadawał uchwyceniu absolutnej władzy pozory legalności. Rząd miał zwrócić się do Reichstagu o przegłosowanie „aktu upoważniającego", powierzającego gabinetowi Hitlera wyłączne uprawnienia legislacyjne na okres czterech lat. Ujmując rzecz jeszcze zwięźlej, niemiecki parlament miał zostać poproszony o

przekazanie swoich konstytucyjnych funkcji Hitlerowi i urządzenie sobie długich wakacji. Wymagało to jednak zmiany ustawy zasadniczej, więc naziści potrzebowali większości dwóch trzecich.

Na posiedzeniu gabinetu 15 marca 1933 r. zdobycie większości było najważniejszym tematem dnia. Protokół z tego zebrania został przedstawiony w czasie procesu w Norymberdze[231]. Część problemu miała rozwiązać „nieobecność" 81 komunistycznych członków Reichstagu. Göring był pewien, że resztę bez trudu załatwi „niedopuszczenie do obrad kilku socjaldemokratów". Hitler był rześki i pewny siebie. Koniec końców dzięki dekretowi z 28 lutego, którego podpisanie wymusił na Hindenburgu dzień po pożarze Reichstagu, mógł aresztować tylu opozycyjnych deputowanych, ilu wymagało uzyskanie dwóch trzecich. Pewne wątpliwości budziło jeszcze katolickie centrum, domagające się swoich gwarancji, ale kanclerz żywił przekonanie, że to ugrupowanie dostosuje się do jego woli. Hugenberg, który nie miał ochoty oddać całej władzy Hitlerowi, żądał, aby prezydent miał prawo uczestniczyć w przygotowywaniu legislacji układanych przez gabinet dzięki aktowi upoważniającemu. Doktor Meissner, sekretarz stanu w kancelarii głowy państwa, który związał już swoją przyszłość z nazistami, odpowiedział mu, że „współpraca prezydenta Rzeszy nie będzie konieczna". Hugenberg szybko pojął, że Hitler nie ma zamiaru pozwolić, by stary, uparty prezydent krępował jego ruchy, jak to było w przypadku republikańskich kanclerzy.

Natomiast Hitler chciał wykonać względem sędziwego feldmarszałka, sił zbrojnych oraz nacjonalistycznych konserwatystów jakiś imponujący, górnolotny gest, a przy okazji związać swój awanturniczy, rewolucyjny reżim z nazwiskiem czcigodnego Hindenburga oraz z chwalebną przeszłością militarną Prus. Aby to osiągnąć, zaplanował z Goebbelsem, od 13 marca ministrem propagandy, iście mistrzowskie posunięcie. Hitler zamierzał zainicjować obrady nowego Reichstagu, który planował zniszczyć, w kościele garnizonowym w Poczdamie – świątyni pruskości, która w wielu Niemcach budziła wspomnienia cesarskiej wielkości i chwały. To tam spoczywały kości Fryderyka Wielkiego, tam modlili się Hohenzollernowie, tam w 1866 r., wracając z wojny z Austrią, która przyniosła Niemcom pierwsze zjednoczenie, Hindenburg, młody oficer gwardii, udał się na pielgrzymkę.

Data wybrana na uroczyste otwarcie obrad pierwszego Reichstagu III Rzeszy, 21 marca, również miała znaczenie, była to bowiem rocznica

otwarcia przez Bismarcka pierwszego Reichstagu II Rzeszy w 1871 r. Kiedy starzy feldmarszałkowie, generałowie i admirałowie z cesarskich czasów zebrali się w swych olśniewających mundurach w kościele garnizonowym (a przewodzili im były kronprinz oraz feldmarszałek Mackensen, który przywdział na tę okazję imponujący strój huzarów trupiej główki), nad całym zgromadzeniem uniósł się duch Fryderyka Wielkiego i „żelaznego kanclerza".

Hindenburg był wyraźnie poruszony. Goebbels reżyserował przedstawienie i relację z uroczystości, którą miał usłyszeć cały naród. W pewnym momencie zauważył (i opisał to w dzienniku), że stary feldmarszałek ma łzy w oczach. U boku prezydenta kroczył Hitler, który w formalnym męskim żakiecie wyglądał na skrępowanego. Hindenburg włożył na tę okazję szary mundur polowy i wspaniałą wstęgę z czarnym orłem. W jednej dłoni trzymał pikielhaubę, w drugiej buławę marszałkowską. Przemaszerował powoli między rzędami ław, przystanął, aby zasalutować pustemu miejscu Wilhelma II na galerii cesarskiej, a następnie przed ołtarzem odczytał krótkie przemówienie, błogosławiąc nowy rząd Adolfa Hitlera.

> Niechaj starożytny duch tej wspaniałej świątyni przepełni dzisiejsze pokolenie, niechaj wyzwoli nas od samolubności i waśni partyjnych, i złączy w narodowej samoświadomości, by błogosławić dumnym, wolnym i zjednoczonym Niemcom.

Odpowiedź Hitlera została sformułowana bardzo sprytnie, aby zagrać na uczuciach i zyskać zaufanie tak wspaniale reprezentowanej „starej gwardii".

> Ani cesarz, ani rząd, ani naród nie chcieli wojny. Wyłącznie upadek państwa zmusił osłabioną rasę, by wzięła na siebie odpowiedzialność za tę wojnę.

Następnie, zwracając się do Hindenburga, który siedział sztywno wyprostowany na krześle kilka metrów przed nim, powiedział:

> Nasz honor narodowy został przywrócony dzięki wyjątkowej zmianie ostatnich tygodni, a dzięki pańskiemu zrozumieniu, panie feldmarszałku, uczczono związek pomiędzy symbolami dawnej wielkości i nowej siły. Składamy panu hołd. To łaskawa Opatrzność umieściła pana pośród nowych sił naszego narodu[232].

Hitler, okazując głęboką pokorę prezydentowi, którego jeszcze przed końcem tygodnia zamierzał ograbić z władzy, zszedł po schodach, nisko mu

się pokłonił i chwycił jego dłoń. Uroczysty uścisk ręki niemieckiego feldmarszałka i austriackiego kaprala (a towarzyszył mu błysk lamp aparatów fotograficznych i stukot kamer filmowych, rozmieszczonych wraz z mikrofonami przez Goebbelsa w strategicznych punktach, aby cały naród i świat mogły go zobaczyć i usłyszeć) zjednoczył stare i nowe Niemcy.

Obecny na miejscu wydarzeń ambasador Francji napisał później: „Po tak olśniewającym zobowiązaniu złożonym przez Hitlera w Poczdamie ludzie tego pokroju – Hindenburg i jego przyjaciele, junkrzy i monarchistyczni baronowie, Hugenberg i jego nacjonaliści, oficerowie Reichswehry – musieli wyzbyć się obaw, z którymi przyglądali się ekscesom i nadużyciom jego partii. Czy mogli dłużej się wahać z obdarzeniem go pełnią zaufania, spełnieniem wszystkich jego życzeń, powierzeniem mu wszelkiej władzy, do której zgłaszał pretensje?”[233].

Odpowiedź na to pytanie padła dwa dni później, 23 marca, w gmachu opery Krolla w Berlinie, gdzie zebrał się Reichstag. Izba stanęła przed tzw. aktem upoważniającym, oficjalnie – „Ustawą o pozbyciu się niedoli ludu i Rzeszy” (*Gesetz zur Behebung der Not von Volk und Reich*). Pięć krótkich paragrafów odbierało Reichstagowi uprawnienia legislacyjne, w tym kontrolę nad budżetem, prawo zatwierdzania traktatów międzynarodowych oraz inicjowania procesu wprowadzania poprawek do konstytucji, i na okres czterech lat powierzało je rządowi Rzeszy. Ponadto akt zastrzegał, że ustawy przyjmowane przez gabinet będą przygotowywane przez kanclerza i „mogą odbiegać od zapisów konstytucji”. Natomiast żadne ustawy „nie będą wpływały na pozycję Reichstagu” (to zapewne najokrutniejszy ze wszystkich żartów tej farsy), a uprawnienia prezydenta pozostaną „nienaruszone”[234].

Hitler powtórzył dwa ostatnie punkty w przemówieniu o nieoczekiwanych ograniczeniach, wygłoszonym przed deputowanymi zgromadzonymi w zdobnej sali instytucji, która z dawien dawna specjalizowała się w „lżejszych” dziełach scenicznych. Teraz wzdłuż jej ław stały rzędy szturmowców w brunatnych koszulach, a ich pobliźnione, brutalne twarze nie pozostawiały wątpliwości: rząd nie będzie tolerował żadnych „absurdów” ze strony przedstawicieli narodu.

> Rząd [obiecał Hitler] skorzysta z tych uprawnień jedynie w zakresie potrzebnym do wprowadzenia żywotnie niezbędnych rozwiązań. Istnienie Reichstagu i Reichsratu nie jest w żaden sposób zagrożone. Pozycja i prawa prezydenta pozostają niezmienione (…). Odrębność krajów związkowych zostanie zachowana. Prawa kościołów nie

zostaną umniejszone, a ich stosunki z państwem zmienione. Liczba przypadków, w których wewnętrzna potrzeba wymaga odwołania się do tego prawa, sama w sobie jest ograniczona.

Zapalczywy nazistowski wódz brzmiał dość umiarkowanie, a wręcz skromnie. III Rzesza była jeszcze na tyle młoda, że nawet członkowie opozycji nie wiedzieli, ile warte są jego obietnice. Lecz jeden z nich, Otto Wells, przywódca socjaldemokratów (tuzin deputowanych jego partii zostało „zatrzymanych" przez policję), wstał – pośród ryków szturmowców, którzy wydzierali się na zewnątrz: „Pełnia władzy albo popamiętacie!" – aby sprzeciwić się dyktatorowi. Wells mówił spokojnie, z niezachwianą godnością. Oświadczył, że rząd może pozbawić socjalistów uprawnień, ale nigdy nie obrabuje ich z honoru.

My, niemieccy socjaldemokraci, w tej historycznej godzinie, uroczyście wyrażamy wierność zasadom człowieczeństwa i sprawiedliwości, wolności i socjalizmu. Żaden akt upoważniający nie daje wam prawa do zdeptania wiecznych i niezniszczalnych idei.

Wściekły Hitler zerwał się na równe nogi i zgromadzenie wreszcie mogło ujrzeć jego prawdziwe oblicze.

Wyleźliście późno, ale jednak! [krzyknął] (…). Nie jesteście już do niczego potrzebni (…). Gwiazda Niemiec zalśni, a wasza zblednie. Rozbrzmiało wasze podzwonne (…). Nie chcę waszych głosów. Niemcy będą wolne, ale nie dzięki wam! [gromkie owacje]

Socjaldemokraci, którzy dźwigali na swych barkach ciężkie brzemię odpowiedzialności za osłabianie republiki, wytrwali przynajmniej przy swoich zasadach i – ten jeden raz – pokazali hardy opór. Tego samego nie można powiedzieć o Partii Centrum, która niegdyś, za czasów kulturkampfu, potrafiła sprzeciwić się „żelaznemu kanclerzowi". Jej lider Kaas domagał się od Hitlera pisemnej obietnicy, że będzie respektował prezydenckie prawo weta. Wprawdzie kanclerz zobowiązał się do tego przed głosowaniem, ale obietnicy nie spełnił. Mimo to przywódca Partii Centrum wstał i ogłosił, że jego ugrupowanie opowie się za ustawą. Brüning nie odezwał się ani słowem. Wkrótce potem zgromadzeni przeszli do głosowania: 441 głosów za, 84 (sami socjaldemokraci) przeciw. Nazistowscy deputowani zerwali się z krzeseł, niesieni entuzjazmem zaczęli krzyczeć i tupać. Dołączyli do nich szturmowcy, którzy ryknęli

pieśnią Horsta Wessela, pieśnią, która niedługo zajmie miejsce obok *Deutschland über Alles* jako drugi hymn Niemiec.

> Wznieście sztandar! Zewrzyjcie szeregi!
> Szturmowcy maszerują miarowym, równym krokiem…

A zatem niemiecka demokracja parlamentarna w końcu została pogrzebana. Nie licząc aresztowań komunistów i kilkunastu socjaldemokratów, wszystko odbyło się zgodnie z prawem, choć w atmosferze terroru. Parlament przekazał swoje uprawnienia konstytucyjne Hitlerowi i tym samym popełnił samobójstwo, mimo że jego zabalsamowane truchło trwało do samego końca III Rzeszy, z rzadka przeistaczając się w ambonę, z której Hitler wygłaszał gromkie oświadczenia, a jego członków dowolnie wybierała Partia Nazistowska, bo czas wolnych wyborów w Niemczech dobiegł końca. Akt upoważniający położył prawne podwaliny pod dyktaturę Hitlera. Począwszy od 23 marca 1933 r. Adolf Hitler był dyktatorem Rzeszy, wolnym od wszelkich ograniczeń ze strony parlamentu czy, w praktyce, zmęczonego prezydenta. Oczywiście naziści mieli jeszcze sporo pracy, aby cały kraj i jego instytucje znalazły się pod ich butem, ale jak wkrótce zobaczymy, również to osiągną z zapierającą dech w piersi szybkością, ordynarnością i brutalnością, posługując się przy tym niejednym oszustwem.

„Kontrolę nad zasobami wielkiego nowoczesnego państwa przejęły uliczne bandy, rynsztok dorwał się do władzy”, podkreślił Alan Bullock. Hitler jednak nigdy nie przestał się szczycić, że zrobił to zgodnie z prawem, przytłaczającą większością głosów w niemieckim parlamencie. Niemcy mogli winić wyłącznie siebie.

Najpotężniejsze instytucje niemieckiego państwa zaczęły jedna po drugiej poddawać się Hitlerowi i po cichutku, bez narzekania, odchodzić w niebyt.

Jako pierwsze upadły kraje związkowe, które od zarania niemieckiej historii zaciekle i uparcie broniły swoich samodzielnych uprawnień. Wieczorem 9 marca, dwa tygodnie przed przegłosowaniem aktu upoważniającego, generał von Epp na rozkaz Hitlera i Fricka przy pomocy zaledwie garstki szturmowców obalił rząd Bawarii i wprowadził tam nazistowski reżim. W następnym tygodniu wyznaczono komisarzy Rzeszy, którzy przejęli kontrolę nad innymi krajami związkowymi, nie licząc Prus, bo tam Göring rządził twardą ręką już od pewnego czasu. 31 marca Hitler i

Frick, po raz pierwszy posługując się aktem upoważniającym w praktyce, promulgowali ustawę rozwiązującą wszystkie sejmy krajowe, poza pruskim, i nakazującą ponowne ich sformowanie, ale na podstawie wyników ostatnich wyborów ogólnopaństwowych. Miejsca komunistów miały pozostać wolne. Jednak to rozwiązanie obowiązywało tylko tydzień. 7 kwietnia pracujący w gorączkowym pośpiechu kanclerz ogłosił nową ustawę, mianującą gubernatorów Rzeszy (*Reichs-staathälter*) we wszystkich krajach związkowych, upoważniającą ich do powoływania i usuwania lokalnych rządów, rozwiązywania sejmów, a także mianowania i dymisjonowania urzędników krajowych oraz sędziów. Wszyscy nowi gubernatorzy byli nazistami i mieli „obowiązek" realizowania „ogólnej polityki wyznaczonej przez kanclerza Rzeszy".

Tak więc w dwa tygodnie od uzyskania z rąk Reichstagu pełnych uprawnień Hitler osiągnął to, czego Bismarck, Wilhelm II i Republika Weimarska nawet nie ośmielali się próbować: zniósł odrębną władzę historycznych krajów związkowych i poddał je centralnej władzy Rzeszy, która spoczywała w jego rękach. To Hitler, po raz pierwszy w dziejach, naprawdę zjednoczył Niemcy, niszcząc ich wielowiekowy federalny charakter. 30 stycznia 1934 r., w pierwszą rocznicę objęcia kanclerstwa, Hitler formalnie zakończy to zadanie dzięki Ustawie o odbudowie Rzeszy. „Zgromadzenia powszechne" krajów związkowych zlikwidowano, ich suwerenne prawa przeniesiono na Rzeszę, wszystkie rządy krajowe poddano zwierzchnictwu Rzeszy, a gubernatorów krajowych umieszczono pod administracją ministra spraw wewnętrznych[235].

Preambuła do ustawy z 30 stycznia 1934 r. głosiła, że akt został „promulgowany po jednogłośnym głosowaniu Reichstagu". To prawda, bowiem do tego czasu wszystkie ugrupowania polityczne, z wyjątkiem Partii Nazistowskiej, zostały wyeliminowane.

Nie można powiedzieć, że poległy po walce. 19 maja 1933 r. socjaldemokraci (ci, którzy nie siedzieli jeszcze w więzieniach lub nie przebywali na emigracji) głosowali w Reichstagu, bez głosu sprzeciwu, za zatwierdzeniem polityki zagranicznej Hitlera. Dziewięć dni wcześniej policja Göringa wkroczyła do budynków partii oraz jej gazet i skonfiskowała całe mienie. Mimo to socjaliści dalej próbowali ugłaskiwać Hitlera. Wyparli się przebywających za granicą towarzyszy, którzy go krytykowali. 19 czerwca wybrali nowy komitet partyjny, jednak trzy dni później Frick położył kres ich próbom dogadywania się z władzą,

rozwiązując Partię Socjaldemokratyczną – ugrupowanie „wywrotowe i nieprzyjazne państwu”. Paul Löbe, ostatni lider partii, oraz kilku deputowanych zostali aresztowani. Rozprawa z komunistami oczywiście nastąpiła już wcześniej.

Zostały więc już tylko partie klasy średniej, ale i to nie na długo. Katolicka Bawarska Partia Ludowa, z której szeregów wywodził się rząd obalony 9 marca przez nazistów, 4 lipca sama ogłosiła swoją likwidację, a jej sojuszniczka, Partia Centrum, która tak zaciekle przeciwstawiała się Bismarckowi i była falochronem republiki, dzień później poszła w ślady bawarskiej siostry. Po raz pierwszy w czasach nowożytnych w Niemczech nie działała żadna katolicka partia. Fakt ten bynajmniej nie zniechęcił Watykanu do podpisania zaledwie dwa tygodnie później konkordatu z rządem Hitlera. Dawne ugrupowanie Stresemanna, Partia Ludowa, popełniło harakiri 4 lipca; demokraci (*Staatspartei*) tydzień wcześniej.

A co z partnerką Hitlera w rządzie, Niemiecką Partią Narodową, bez której pomocy austriacki kapral nigdy nie objąłby władzy legalnie? Pomimo bliskich związków z Hindenburgiem, armią, junkrami i wielkim biznesem oraz długu, jaki miał u niej wódz nazistów, poszła ona ścieżką pozostałych partii, i to równie potulnie. 21 czerwca policja i szturmowcy zajęli jej biura w całym kraju. 29 czerwca Hugenberg, jej wiecznie najeżony lider, który zaledwie sześć miesięcy wcześniej wywindował Hitlera na kanclerski fotel, zrezygnował ze stanowiska w gabinecie, a jego ludzie „dobrowolnie” rozwiązali partię.

W Niemczech została już tylko Partia Nazistowska, a ustawa z 14 lipca stwierdziła:

> Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników jest jedyną partią polityczną w Niemczech.
>
> Ktokolwiek będzie podejmował działania na rzecz utrzymania struktur organizacyjnych innej partii politycznej lub utworzenia nowej partii politycznej, zostanie ukarany pracą przymusową do lat trzech lub pozbawieniem wolności od sześciu miesięcy do trzech lat, jeżeli postępek nie będzie podlegał wyższej karze zgodnej z innymi regulacjami[236].

Jednopartyjne państwo totalitarne powstało przy nikłym sprzeciwie, w ciągu zaledwie czterech miesięcy od wyrzeczenia się uprawnień przez Reichstag.

Wolne związki zawodowe, które jak widzieliśmy, swego czasu samym ogłoszeniem strajku generalnego zmiażdżyły faszystowski pucz Kappa,

zostały usunięte równie łatwo jak partie polityczne i kraje związkowe – choć dopiero gdy naziści przećwiczyli na nich koronkowy podstęp. Dzień 1 maja od pół wieku był dla niemieckich – i europejskich – robotników świętem. Aby uśpić ich czujność przed wyprowadzeniem ciosu, nazistowski rząd ogłosił, że w 1933 r. 1 maja będzie świętem ogólnonarodowym, przemianowanym oficjalnie na „Narodowy dzień pracy", i przygotował najświetniejsze w dziejach obchody. Ten gest przyjaźni względem klasy robotniczej ze strony nazistowskich władz zaskoczył liderów związkowych, którzy z entuzjazmem podjęli współpracę z rządem i partią, aby uroczystości okazały się pamiętnym sukcesem. Do Berlina sprowadzono samolotami przywódców klasy robotniczej z całego państwa, rozwinięto tysiące sztandarów głoszących solidarność reżimu z robotnikami, Goebbels przygotował na polach Tempelhof największą masową demonstrację, jaką widziały Niemcy. Jeszcze przed wiecem sam wódz przyjął delegacje robotnicze, oświadczając przy okazji: „Zobaczycie, jak nieprawdziwe i krzywdzące jest stwierdzenie, że rewolucja jest skierowana przeciwko niemieckim robotnikom. Wręcz przeciwnie". Później, w przemówieniu wygłoszonym na podberlińskim lotnisku przed 100 tysiącami ludzi pracy, Hitler ujawnił motto: „Honor, praca i szacunek robotnika!", oraz przyrzekł, że Święto Pracy będzie obchodzone „przez całe wieki".

Wieczorem Goebbels, opisawszy swą najbarwniejszą prozą kolosalny entuzjazm robotników w czasie uroczystości, które tak świetnie przygotował, dodał w dzienniku ciekawe zdanie: „Jutro zajmiemy budynki związków zawodowych. Nie będzie silnego oporu"[237].

Tak też się stało. 2 maja siedziby związków zawodowych w całym kraju zostały zajęte, ich pieniądze skonfiskowano, same związki rozwiązano, a ich liderów aresztowano. Wielu z nich pobito i umieszczono w obozach koncentracyjnych. Theodor Leipart i Peter Grassmann, dwaj przewodniczący Konfederacji Związków Zawodowych, otwarcie zobowiązali się do współpracy z reżimem. Wcale im nie przeszkadzało, że ów reżim zamknął ich w areszcie. Doktor Robert Ley, alkoholik i nazistowski władca Kolonii, któremu Hitler powierzył przejęcie związków i powołanie Niemieckiego Frontu Pracy, powiedział: „Leipartowie i Grassmannowie mogą sobie obłudnie zapewniać o oddaniu Führerowi, ile tylko chcą. Lepiej jednak, żeby robili to w więzieniu". I tam też trafili.

Jednak początkowo zarówno Hitler, jak i Ley próbowali zapewniać robotników, że mogą być spokojni o ochronę swoich praw. Ley obwieścił w

swej pierwszej deklaracji: „Robotnicy! Dla nas, narodowych socjalistów, wasze instytucje są święte. Sam jestem biednym chłopskim synem i rozumiem nędzę (…). Znam wyzysk anonimowego kapitalizmu. Robotnicy! Przysięgam wam, że nie tylko zachowamy wszystko, co w tej chwili macie, ale i poszerzymy waszą ochronę oraz prawa”.

Pustka kolejnej nazistowskiej obietnicy ujawniła się trzy tygodnie później, gdy Hitler zadekretował ustawę kładącą kres zbiorowym negocjacjom i stwierdzającą, że od tej pory to mianowani przez niego „powiernicy pracy” będą odpowiadali za „regulowanie umów robotniczych” i utrzymanie „spokoju pracy”[238]. Jako że decyzje owych powierników miały być prawnie wiążące, w praktyce ustawa delegalizowała strajki. Ley obiecał „przywrócenie absolutnego przywództwa naturalnym liderom fabryk – czyli pracodawcom (…). Tylko pracodawca może decydować. Wielu pracodawców całymi latami musiało odwoływać się do »panów domu«. Teraz to oni staną się znów »panami domów«”.

Jak na razie kierownictwo wielkiego biznesu było wniebowzięte. Chojne datki złożone na Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników przez wielu „pracodawców” zaczęły się zwracać. Jednak aby biznes dobrze prosperował, potrzebna jest stabilność społeczeństwa, a w Niemczech przez całą wiosnę i początek lata o ładzie i spokoju nie mogło być mowy. Opanowane szałem watahy brunatnych koszul krążyły po ulicach, zatrzymywały, biły, a czasami mordowały kogo im przyszła ochota, zaś policja przyglądała się tym zajściom, nawet nie ruszywszy pałką. Uliczny terror nie był rezultatem załamania władzy państwa, jak na przykład w czasie rewolucji francuskiej, wręcz przeciwnie, rozgrywał się za zachętą, a czasem nawet na rozkaz państwa, którego władza w Niemczech jeszcze nigdy nie była tak silna i skoncentrowana. Sędziowie zostali zastraszeni. Bali się, że jeśli skażą szturmowców, choćby za mordy popełnione z zimną krwią, to sami też zginą. Teraz, jak wyraził się Göring, to Hitler był prawem, a Führer jeszcze w maju i czerwcu 1933 r. ostrzegał, że „rewolucja narodowosocjalistyczna wcale nie dobiegła końca” i że „jej zwycięstwo będzie kompletne dopiero po wyedukowaniu nowego narodu niemieckiego”. W nazistowskiej nomenklaturze „wyedukować” znaczyło tyle co „zastraszyć” – do stanu, w którym wszyscy potulnie zaakceptują nazistowską dyktaturę i całe jej barbarzyństwo. Według Hitlera, o czym zapewniał publicznie tysiące razy, Żydzi nie byli Niemcami, i chociaż nie

zajął się ich eksterminacją od razu (w pierwszych miesiącach istnienia III Rzeszy stosunkowo niewielu Żydów – co w tym przypadku oznacza kilka tysięcy – zostało ograbionych, pobitych lub zamordowanych), wprowadził ustawy wykluczające ich z pracy w służbie cywilnej, na uniwersytetach i w zawodach wymagających wysokich kwalifikacji. 1 kwietnia 1933 r. ogłosił ogólnonarodowy bojkot żydowskich sklepów.

Biznesmeni, którzy tak się cieszyli z demontażu uciążliwych związków zawodowych, odkryli, że naziści z lewego skrzydła partii, ci naprawdę wierzący w partyjny „socjalizm", próbują przejąć kontrolę nad stowarzyszeniami pracodawców, zniszczyć wielkie domy towarowe i znacjonalizować przemysł. Siedziby firm, które nie wspierały Hitlera, zalały tysiące obdartych funkcjonariuszy partii, którzy zaczęli grozić przejmowaniem przedsiębiorstw albo żądać dobrze płatnych, kierowniczych posad. Doktor Gottfried Feder zaczął nalegać na zrealizowanie programu partii w praktyce, czyli na nacjonalizację wielkich przedsiębiorstw, sprawiedliwy podział zysków, a także zniesienie „niezarobionego dochodu" i „niewolnictwa odsetek". Gdyby tego było mało wystraszonym biznesmenom, Walther Darré, mianowany właśnie ministrem rolnictwa, napędził pietra bankierom, obiecując wielką redukcję sporej części długów kapitałowych rolników i obniżenie oprocentowania pozostałego zadłużenia do 2%.

No bo dlaczego nie? W połowie lata 1933 r. Hitler był już niekwestionowanym panem Niemiec. Mógł zrealizować ten program. Papen, pomimo całej swej przebiegłości, został na lodzie, a wszystkie jego kalkulacje, że wraz z Hugenbergiem i innymi obrońcami „starego ładu" dzięki przewadze osiem do trzech w gabinecie będą mogli kontrolować Hitlera, a nawet wykorzystać go do własnych celów, wybuchły mu prosto w twarz. Został bezceremonialnie zrzucony z fotela premiera Prus i zastąpiony Göringiem. Zachował co prawda stołek wicekanclerza Rzeszy, ale jak sam później żałośnie przyzna, „stanowisko to okazało się anormalne". Hugenberg, apostoł wielkiego biznesu i finansjery, zniknął z polityki, a jego partia przestała istnieć. 13 marca do gabinetu wszedł trzeci najważniejszy człowiek w Partii Nazistowskiej, Joseph Goebbels, minister oświecenia publicznego i propagandy. Był uważany za „radykała", zresztą podobnie jak Darré, nowy minister rolnictwa.

Doktor Hans Luther, pełniący funkcję prezesa Banku Rzeszy, kluczową w systemie ekonomicznym Niemiec, został zwolniony przez wodza

nazistów i odesłany do Waszyngtonu w roli ambasadora. 17 marca 1933 r. zastąpił go energiczny doktor Schacht, już wcześniej szef tej instytucji i zapalony zwolennik wodza, który dostrzegał w nazizmie „prawdę i konieczność”. Żaden inny człowiek w kraju nie okaże się Hitlerowi bardziej pomocny we wzmacnianiu potencjału gospodarczego III Rzeszy i rozkręceniu zbrojeń przed II wojną światową. Schacht zostanie później ministrem gospodarki i pełnomocnikiem generalnym ds. gospodarki wojennej. To prawda, że tuż przed wybuchem wojny zwróci się przeciwko swemu idolowi, ostatecznie zrzeknie się lub zostanie pozbawiony wszystkich funkcji, a nawet dołączy do spiskowców planujących zabójstwo Hitlera, ale wtedy będzie już za późno, żeby powstrzymać nazistowskiego wodza, wobec którego tak długo był lojalny i ofiarował mu swój prestiż oraz wybitne zdolności.

„ŻADNEJ DRUGIEJ REWOLUCJI!”

Hitler podbił Niemcy z ogromną łatwością, ale na początku lata 1933 r. wiele problemów nadal czekało na rozwiązanie, w tym przynajmniej pięć naprawdę poważnych: zapobieżenie drugiej rewolucji; ułożenie niełatwych relacji na linii SA-armia; wyciągnięcie państwa z gospodarczego trzęsawiska i znalezienie pracy dla 6 milionów bezrobotnych; wywalczenie dla Niemiec równouprawnienia na polu zbrojeń na konferencji w Genewie i przyśpieszenie potajemnej remilitaryzacji; wybór następcy zbliżającego się do kresu życia Hindenburga.

Sformułowanie „druga rewolucja” ukuł szef SA Ernst Röhm i to on nalegał na jej przeprowadzenie. Poparł go Goebbels, który 18 kwietnia 1933 r. zanotował w dzienniku: „W narodzie wszyscy mówią o drugiej rewolucji, która musi nadejść. Oznacza to tyle, że pierwsza wcale się nie skończyła. Teraz musimy zająć się reakcją. Rewolucja nigdzie nie może się zatrzymać”[239].

Naziści zniszczyli lewicę, ale prawica nadal istniała: wielki biznes i finansjera, arystokracja, junkierscy potentaci ziemscy i pruscy generałowie, którzy pewnie dzierżyli wodze armii. Röhm, Goebbels oraz inni „radykałowie” ruchu także tę grupę chcieli zniszczyć. Ten pierwszy miał pod sobą około 2 milionów szturmowców (czyli 20 razy więcej niż Reichswehra żołnierzy). W czerwcu ostrzegł:

> Jedno zwycięstwo na drodze niemieckiej rewolucji zostało już odniesione (…). SA i SS, które dźwigają ogromną odpowiedzialność utrzymania niemieckiej rewolucji w ruchu, nie pozwolą, aby została ona zdradzona na półmetku (…). Jeżeli Filistyni uważają, że narodowa rewolucja trwa już zbyt długo (…), to zaiste najwyższy czas, aby dobiegła końca i zamieniła się w rewolucję narodowosocjalistyczną (…). Będziemy kontynuowali walkę – z nimi albo bez nich. A jeśli zajdzie taka konieczność, przeciwko nim (…). Jesteśmy nieprzejednanymi gwarantami dopełnienia niemieckiej rewolucji[240].

Röhm rozwinął tę myśl w sierpniowym przemówieniu: „Jeszcze dziś na pewnych stanowiskach pozostają ludzie niemający zielonego pojęcia o duchu rewolucji. Jeżeli ośmielą się wcielić swe reakcyjne idee w praktykę, bezlitośnie ich się pozbędziemy”.

Ale Hitler nie podzielał jego zdania. W jego przekonaniu socjalistyczne slogany ruchu były czystą propagandą, sposobem na zjednanie mas w drodze po władzę. Gdy już ją zdobył, socjalistyczne postulaty przestały go interesować. Potrzebował czasu na umocnienie władzy i pozycji Niemiec. Prawicę – biznes, armię, prezydenta – przynajmniej na jakiś czas należało udobruchać. Hitler nie zamierzał doprowadzać Niemiec do bankructwa i tym samym ryzykować istnienia swojego reżimu. O drugiej rewolucji nie mogło być mowy.

Wyłożył to czarno na białym przywódcom SA i SS w skierowanym do nich przemówieniu z 1 lipca. Stwierdził, że Niemcy potrzebują teraz ładu i porządku. „Stłumię bezlitośnie każdą próbę zakłócenia obecnego porządku, podobnie rozprawię się z tak zwaną drugą rewolucją, która prowadziłaby jedynie do chaosu”. 6 lipca powtórzył ostrzeżenie przed zebranymi w kancelarii Rzeszy gubernatorami krajowymi:

> Rewolucja nie jest stanem permanentnym i nie można pozwolić, aby się w takowy przekształciła. Potok uruchomionej rewolucji musi zostać skierowany do bezpiecznego koryta ewolucji (…). Nie możemy więc pozbywać się przedsiębiorcy, o ile jest dobrym przedsiębiorcą, nawet jeżeli nie jest jeszcze narodowym socjalistą, zwłaszcza jeśli narodowy socjalista, który miałby zająć jego miejsce, nie ma pojęcia o prowadzeniu biznesu. W biznesie jedynym standardem muszą być umiejętności (…).
>
> Historia nie oceni nas według kryterium liczby usuniętych i wtrąconych do więzień ekonomistów, a według tego, czy udało nam się zapewnić pracę (…). Idee naszego programu nie obligują nas do zachowywania się jak głupcy i obalania wszystkiego naokoło, ale do mądrego i spokojnego realizowania naszych pomysłów. Na dłuższą metę nasza władza polityczna będzie tym bezpieczniejsza, im solidniej podbudujemy ją ekonomicznie. W związku z tym gubernatorzy krajowi muszą dopilnować, aby struktury partyjne nie przejęły funkcji rządów, nie zwalniały ludzi i nie wyznaczały

swoich na urzędy, bo to należy do kompetencji rządu Rzeszy – a co się tyczy biznesu, do Ministerstwa Gospodarki Rzeszy[241].

Trudno o bardziej stanowcze wyjaśnienie, że nazistowska rewolucja była zjawiskiem wyłącznie politycznym, a nie gospodarczym. Aby udowodnić, że nie rzuca słów na wiatr, Hitler zdymisjonował wielu nazistowskich „radykałów", którzy porwali się na stowarzyszenia pracodawców. Przywrócił Kruppa von Bohlena i Fritza Thyssena na kierownicze stanowiska w tych ciałach, rozwiązał Związek Bojowy Kupców Klasy Średniej, który irytował wielkie domy towarowe, a w resorcie gospodarki zastąpił Hugenberga doktorem Karlem Schmittem. Schmitt był niezwykle ortodoksyjnym biznesmenem, dyrektorem generalnym Allianz, największego niemieckiego towarzystwa ubezpieczeniowego. Natychmiast zajął się niweczeniem spisków tych nazistów, którzy okazali się tak naiwni, że brali program partii na poważnie.

Wśród szeregowych członków partii, zwłaszcza szturmowców, którzy byli ważnym elementem rdzenia masowego ruchu narodowosocjalistycznego, pojawiło się głębokie rozczarowanie. Przecież większość z nich należała do obszarpanej armii biednych i niezadowolonych. Przez całe życie byli antykapitalistami i wierzyli, że rewolucja, za którą bili się na ulicach, przyniesie im łupy oraz sowicie płatne posady w biznesie albo w rządzie. A teraz, po uderzających do głowy ekscesach, których mogli dopuszczać się przez całą wiosnę, ich nadzieje zostały rozwiane. „Stara banda" miała zatrzymać swoje stołki i kontrolę nad zatrudnieniem, nawet ci jej członkowie, którzy nie należeli do partii. Jednak nie tylko to wywoływało poruszenie w SA.

Ponownie rozgorzał zadawniony spór pomiędzy Hitlerem a Röhmem o pozycję i cele SA. Hitler już od zarania ruchu nazistowskiego upierał się, że szturmowcy powinni być siłą polityczną, a nie wojskową. Mieli stosować przemoc fizyczną i siać terror, dzięki któremu partia dopcha się do władzy. Natomiast w mniemaniu Röhma SA było nie tylko kręgosłupem rewolucji, ale też zalążkiem przyszłej armii rewolucyjnej, która dla Hitlera będzie tym, czym dla Napoleona po rewolucji wielkie francuskie armie poborowe. Uważał, że nadszedł najwyższy czas, aby pozbyć się starych pruskich generałów – „starych gamoni", jak ich nazywał – i sformować rewolucyjne siły bojowe, armię ludową, którą dowodziłby on i jego twardzi pomagierzy, zdobywcy niemieckich ulic.

Hitler nie chciał o tym słyszeć. W większym stopniu niż Röhm czy jakikolwiek inny nazista rozumiał, że gdyby nie poparcie lub choćby milcząca akceptacja ze strony generałów, nie doszedłby do władzy, a teraz, przynajmniej przez pewien czas, przetrwanie u steru zależało od ich dalszej aprobaty, bo przecież nadal posiadali fizyczną siłę umożliwiającą usunięcie jego rządu, gdyby uznali to za konieczne. Ponadto Hitler przewidział, że w kluczowym momencie, który mógł nadejść już wkrótce, czyli w chwili śmierci osiemdziesięcioszścioletniego naczelnego wodza sił zbrojnych, prezydenta von Hindenburga, będzie musiał polegać na lojalności armii. Co więcej, nazistowski wódz był przekonany, że wyłącznie niemiecki korpus oficerski, z jego tradycjami wojskowymi i umiejętnościami, będzie w stanie szybko odbudować liczne, silne i zdyscyplinowane siły zbrojne. Szturmowcy byli zwykłym motłochem, wystarczającym do ulicznych burd, ale zupełnie bezwartościowym jako nowoczesna armia. Hitler rozumował, że SA spełniło już swoje zadanie, a teraz należy się go z wyczuciem pozbyć. Poglądów Hitlera i Röhma nie dało się pogodzić, więc od lata 1933 do 30 czerwca 1934 r. między dwoma weteranami ruchu nazistowskiego, którzy byli zarazem bliskimi przyjaciółmi (Röhm był jedynym człowiekiem, do którego Hitler zwracał się poufałym *du*), trwała walka na śmierć i życie – dosłownie.

5 listopada 1933 r. w berlińskim Sportpalast Röhm przemawiał do 15 tysięcy członków swojej organizacji i ubrał w słowa rozdrażnienie panujące w jej szeregach. „Często się słyszy (…), że wszelkie przesłanki dalszego funkcjonowania SA zniknęły”, powiedział, po czym zapewnił, że to nieprawda. Ale Hitler był w tej kwestii niezłomny. 19 sierpnia ostrzegł w Bad Godesberg: „Stosunek SA względem armii musi być taki sam, jak wobec kierownictwa politycznego”. 23 września w Norymberdze wyraził się jeszcze jaśniej:

> Dzisiaj powinniśmy pamiętać zwłaszcza o roli odegranej przez naszą armię, bo wszyscy doskonale wiemy, że gdyby w dniach rewolucji nie stanęła u naszego boku, to dziś by nas tu nie było. Możemy ją zapewnić, że nigdy o tym nie zapomnimy, że widzimy w niej kontynuatorkę tradycji naszej wspaniałej starej armii oraz z całego serca i ze wszystkich sił będziemy wspierali jej ducha.

Hitler już wcześniej potajemnie udzielił siłom zbrojnym zapewnień, które zjednały mu wielu wysokich rangą oficerów. 2 lutego 1933 r., dwa dni po objęciu władzy, w domu naczelnego dowódcy armii von Hammersteina

wygłosił dwugodzinne przemówienie do czołowych generałów i admirałów. Admirał Erich Raeder ujawnił w Norymberdze, jak wyglądało to pierwsze spotkanie nazistowskiego kanclerza z korpusem oficerskim[242]. Stwierdził, że Hitler uwolnił wojskową elitę od strachu, że siły zbrojne mogą zostać wezwane do udziału w wojnie domowej, i przyrzekł, że wojska lądowe oraz marynarka wojenna mogą spokojnie skupić się na najważniejszym zadaniu: dynamicznej remilitaryzacji nowych Niemiec. Raeder przyznał, że był zachwycony wizją budowy nowej marynarki wojennej, z kolei generał von Blomberg, którego szybkie zaprzysiężenie na ministra obrony 30 stycznia 1933 r. wybiło armii z głowy wszelkie pomysły przeciwstawienia się mianowaniu Hitlera kanclerzem, napisał w nieopublikowanych wspomnieniach, że Führer uruchomił „obszar aktywności, który niósł ze sobą ogromne możliwości na przyszłość".

Chcąc podgrzać entuzjazm wojskowych, Hitler już 4 kwietnia powołał Radę Obrony Rzeszy, aby dać bodziec potajemnej remilitaryzacji. Trzy miesiące później, 20 lipca, kanclerz promulgował nową ustawę o armii, która zniosła jurysdykcję cywilnych sądów nad wojskiem oraz instytucję wybieralnych reprezentantów szeregowych, tym samym zwracając korpusowi oficerskiemu jego prastare prerogatywy. Wielu generałów i admirałów zaczęło postrzegać nazistowską rewolucję w nowym, znacznie korzystniejszym świetle.

Hitler chciał wykonać jakiś gest względem Röhma, więc 1 grudnia mianował go – wraz z Hessem, wiceprzewodniczącym partii – członkiem gabinetu, a w Nowy Rok 1934 r. wysłał do przywódcy ciepły, przyjacielski list. Choć powtórzył w nim, że „armia musi gwarantować obronę kraju przed światem zewnętrznym", to przyznał, że „zadaniem SA jest zabezpieczenie zwycięstwa narodowosocjalistycznej rewolucji oraz istnienia narodowosocjalistycznego państwa". Dodał, że SA odniosło taki sukces „głównie dzięki" Röhmowi. List kończył się słowami:

> A zatem u kresu roku rewolucji narodowosocjalistycznej czuję się w obowiązku podziękować ci, mój drogi Ernście Röhmie, za nieśmiertelne zasługi, jakie oddałeś ruchowi narodowosocjalistycznemu i narodowi niemieckiemu, oraz zapewnić cię, jak bardzo jestem wdzięczny losowi za to, że mogę nazywać ludzi twojego pokroju swoimi przyjaciółmi i towarzyszami broni.
>
> Z prawdziwą przyjaźnią i wdzięcznością,
>
> Twój ADOLF HITLER[243]

2 stycznia 1934 r. list, w którym wódz zwracał się do Röhma swojskim *du*, został opublikowany w najważniejszej nazistowskiej gazecie, „Völkischer Beobachter”, i na pewien czas uśmierzył urazy w szeregach SA. Pośród życzliwej atmosfery, jaka zapanowała w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku, rywalizacja pomiędzy SA i armią oraz głośne nawoływania niektórych nazistów do „drugiej rewolucji” przelotnie ucichły.

ZALĄŻKI NAZISTOWSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

„To żadne zwycięstwo, bo brakowało przeciwników”, zauważył Oswald Spengler, komentując łatwe opanowanie Niemiec przez nazistów w 1933 r. „Obserwuję ze złymi przeczuciami codzienne i jakże hałaśliwe fetowanie przejęcia władzy. Byłoby lepiej wstrzymać się z tym do czasu prawdziwego i rozstrzygającego sukcesu, czyli na polu polityki zagranicznej. Bo tylko to się liczy”, napisał na początku 1933 r. autor *Zmierzchu Zachodu*[244].

Historyk-filozof, który w pewnym okresie, do czasu wzajemnego rozczarowania, był idolem nazistów, wykazał się przesadną niecierpliwością. Zanim Hitler mógł ruszyć na podbój świata, musiał przecież podbić całe Niemcy. Po zlikwidowaniu wewnętrznych przeciwników (albo też po tym, jak zlikwidowali się sami), bynajmniej się nie ociągał i natychmiast zajął się tym, co od zawsze interesowało go najbardziej: polityką zagraniczną.

Wiosną 1933 r. pozycja Niemiec na arenie międzynarodowej była tak fatalna, że gorsza być nie mogła. III Rzesza znajdowała się w izolacji dyplomatycznej i była bezsilna militarnie. Ekscesy nazistów, zwłaszcza prześladowania Żydów, napawały świat wstrętem. Sąsiedzi, przede wszystkim Francja i Polska, traktowali Niemcy wrogo i nieufnie, a marszałek Piłsudski już w marcu 1933 r., po polskiej demonstracji militarnej w Gdańsku, wskazywał Francji na konieczność przeprowadzenia wspólnej wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom. Nawet Mussolini, pomimo publicznych objawów radości z narodzin drugiego reżimu faszystowskiego, nie pałał entuzjazmem do rządu Hitlera. Wódz państwa o potencjale wyraźnie przewyższającym włoski mógł szybko zepchnąć Duce w cień. Zaciekle pangermańska Rzesza mogła mieć własne plany względem Austrii i Bałkanów, do których włoski dyktator wysuwał już pretensje. Wrogość jedynego przyjaciela republikańskich Niemiec po 1921 r.,

Związku Radzieckiego, była aż nadto oczywista. Zaiste, III Rzeszę otaczał wrogi świat, na którym nie miała ani jednego przyjaciela. Ponadto była bezbronna, przynajmniej na tle uzbrojonych po zęby sąsiadów.

A zatem w początkowym okresie taktykę oraz strategię polityki zagranicznej Hitlera dyktowały trudne realia słabej, izolowanej pozycji Niemiec. Jednak, jak na ironię, właśnie to położenie zapewniło III Rzeszy naturalne cele, które pokrywały się z najgłębszymi pragnieniami wodza i zdecydowanej większości Niemców: zerwanie więzów traktatu wersalskiego bez sprowokowania sankcji oraz remilitaryzację bez sprowokowania wojny. Dopiero po osiągnięciu tych dwóch pośrednich celów Hitler uzyskałby swobodę ruchu oraz potencjał wojskowy umożliwiający realizowanie bardziej długofalowej dyplomacji, której założenia i metody tak szczerze oraz szczegółowo opisał w *Mein Kampf*.

Oczywiście najpierw musiał zamydlić oczy europejskim wrogom, opowiadając o rozbrojeniu i pokoju, a także czujnie wypatrywać szczelin w ich wspólnym pancerzu. 17 maja 1933 r. wygłosił na forum Reichstagu „przemówienie pokojowe” – jedno z najwspanialszych w karierze, arcydzieło oszukańczej propagandy, które głęboko poruszyło niemiecki naród i zjednoczyło go z wodzem, a ponadto zrobiło bardzo korzystne wrażenie w świecie. Dzień wcześniej prezydent Roosevelt rozesłał szefom 44 państw doniosły komunikat, w którym zarysował rozbrojeniowe oraz pokojowe plany i nadzieje Stanów Zjednoczonych, i wezwał do rezygnacji z wszelkiej broni ofensywnej: bombowców, czołgów czy ciężkiej artylerii mobilnej. Hitler natychmiast podjął rękawicę rzuconą przez prezydenta i maksymalnie wykorzystał jego propozycję.

> Propozycja złożona przez prezydenta Roosevelta, o której dowiedziałem się zeszłej nocy, zasługuje na najgorętsze podziękowania niemieckiego rządu. Jest on gotowy przyjąć tę metodę przezwyciężenia kryzysu międzynarodowego (…). Propozycja prezydenta jest promykiem pociechy dla wszystkich, którzy pragną współpracy w imię pokoju (…). Niemcy są w pełni gotowe wyrzec się wszelkiej broni ofensywnej, jeśli tylko uzbrojone państwa zniszczą swoją (…). Niemcy nie wahałyby się również rozformować cały swój establishment wojskowy i zniszczyć niewielkie zasoby pozostawionej im broni, gdyby państwa sąsiednie uczyniłyby to samo (…). Niemcy są gotowe przystać na każdy poważny pakt o nieagresji, gdyż nie myślą o ataku, a jedynie o zapewnieniu sobie bezpieczeństwa.

Przemówienie cechował umiarkowany ton i liczne wyrazy umiłowania pokoju, więc miło zaskoczyło niespokojny świat, ale na tym się nie

skończyło. Niemcy nie chciały wojny. Wojna to „bezgraniczne szaleństwo”. Doprowadziłaby do „upadku obecnego ładu społecznego i politycznego”. Nazistowskie Niemcy wcale nie myślą o „germanizowaniu” innych narodów. „Mentalność minionego stulecia, która zrodziła w ludziach pomysł, że można zrobić Niemców z Polaków czy Francuzów, jest nam obca (…). Francuzi, Polacy i inni to nasi sąsiedzi i wiemy, że żadne możliwe do wyobrażenia wydarzenie historyczne nie zmieni tego stanu rzeczy”.

W przemówieniu pojawiło się jedno ostrzeżenie. Niemcy domagały się traktowania na równi z innymi państwami, zwłaszcza na płaszczyźnie zbrojeń. Jeżeli nie zostanie im to zapewnione, mogą wycofać się zarówno z konferencji rozbrojeniowej, jak i Ligi Narodów.

W całym zachodnim świecie zapanowała radość z powodu nieoczekiwanego rozsądku wodza nazistów, więc o ostrzeżeniu jakoś zapomniano. Londyński „Times” przyznał, że roszczenia Hitlera w tej kwestii są „nie do podważenia”. „Daily Herald”, oficjalny organ brytyjskiej Partii Pracy, domagał się, aby Hitlera trzymano za słowo. Konserwatywny tygodnik „Spectator”, także ze stolicy Anglii, doszedł do wniosku, że Hitler złapał dłoń wyciągniętą przez Roosevelta, a gest ten przynosi nową nadzieję umęczonemu światu. Oficjalna niemiecka agencja prasowa cytowała wypowiedź sekretarza Roosevelta, który stwierdził, że „prezydent z entuzjazmem przyjął akceptację jego propozycji przez Hitlera”.

Zamiast oczekiwanych przez wielu brutalnych gróźb nazistowski podżegacz zaproponował gałązkę oliwną i słodkie słowa. Świat był urzeczony. W Reichstagu nawet socjalistyczni deputowani – ci, którzy nie uciekli za granicę i nie siedzieli jeszcze w więzieniach – chętnie opowiedzieli się za jednogłośnym zatwierdzeniem polityki zagranicznej Hitlera.

Jednak Hitler traktował swoje ostrzeżenie poważnie i gdy na początku października okazało się, że Alianci będą obstawali przy ośmioletnim okresie przejściowym, zanim obniżą swój potencjał wojskowy do poziomu Niemiec, 14 października oświadczył ostro, że skoro pozostałe mocarstwa odmówiły jego krajowi równych praw, to Niemcy niezwłocznie wycofują się z konferencji rozbrojeniowej w Genewie i z Ligi Narodów. Równocześnie podjął dalsze kroki: rozwiązał Reichstag, ogłaszając, że odda swoją decyzję o jednostronnym zerwaniu rozmów w Genewie pod ocenę plebiscytu ogólnonarodowego, i rozkazał generałowi von Blombergowi,

ministrowi obrony, aby wydał siłom zbrojnym tajne dyrektywy do stawienia oporu zbrojnej napaści, gdyby Liga Narodów sięgnęła po sankcje[245].

Te niezwykle raptowne działania pokazały, że zapewnienia złożone wiosną przez Hitlera to tylko puste słowa. Była to jego pierwsza ryzykowna zagrywka na arenie międzynarodowej. Oznaczała tyle, że od tego momentu nazistowskie Niemcy miały dążyć do remilitaryzacji, bez poszanowania porozumień rozbrojeniowych i traktatu wersalskiego. Hitler podjął skalkulowane ryzyko (pierwsze z wielu), a tajna dyrektywa Blomberga dla wojsk lądowych i marynarki, która wyszła na światło dzienne w Norymberdze, pokazała, że Hitler wiedział, iż Niemcy mogą spotkać sankcje, i gdyby je zastosowano, Rzesza znalazłaby się w beznadziejnym położeniu[246]. Dyrektywa konkretnie wskazywała pozycje, które niemieckie siły zbrojne miały „utrzymywać jak najdłużej” – na zachodzie przeciwko Francji i na wschodzie przeciwko Polsce i Czechosłowacji. Z rozkazów Blomberga jasno wynika, że niemieccy generałowie nie mieli złudzeń co do możliwości skutecznej obrony Rzeszy.

Był to pierwszy z wielu kryzysów, do jakich dojdzie w trzyletnim okresie (do zajęcia przez Niemcy zdemilitaryzowanego lewego brzegu Renu w 1936 r.), podczas którego Alianci mogli sięgnąć po sankcje. I wcale nie dlatego, że Hitler opuścił konferencję rozbrojeniową czy wystąpił z Ligi Narodów, lecz z powodu pogwałcenia zapisów rozbrojeniowych traktatu wersalskiego, a trwało to od przynajmniej dwóch lat, nawet przed objęciem władzy przez nazistów. Alianci z całą pewnością mogli wówczas bez trudu obezwładnić Niemcy. Pewne jest także to, że gdyby wykorzystali sankcje, to zakończyliby żywot III Rzeszy już w pierwszym roku jej istnienia. Geniusz dawnego austriackiego przybłędy polegał między innymi na tym, że od dłuższego czasu rozczytywał charakter swoich zagranicznych przeciwników równie biegle i zadziwiająco jak rywali w kraju. W czasie omawianego tu kryzysu, jak i podczas kolejnych, które do 1939 r. będą wyrastały jak grzyby po deszczu, zwycięscy Alianci nie podjęli żadnych działań, byli zbyt podzieleni, zbyt odrętwiali, zbyt ślepi, aby zrozumieć charakter wydarzeń rozgrywających na drugim brzegu Renu. W tym przypadku, podobnie jak w odniesieniu do własnego narodu, kalkulacje Hitlera okazały się nad wyraz rozsądne. Doskonale wiedział, jak Niemcy wypowiedzą się w plebiscycie, którego datę (połączywszy go z jednopartyjnymi wyborami do Reichstagu) wyznaczył na 12 listopada 1933

r., dzień po rocznicy podpisania zawieszenia broni w 1918 r., wydarzenia wciąż budzącego w obywatelach mroczne wspomnienia.

4 listopada na wiecu wyborczym we Wrocławiu Hitler powiedział: „Dopilnujcie, żeby dzień ten został zapamiętany w historii naszego narodu jako dzień wybawienia – żeby pisano o nim: 11 listopada naród niemiecki oficjalnie stracił honor; 15 lat później nadszedł 12 listopada i naród niemiecki honor odzyskał”. W przeddzień głosowania władze poparł czcigodny Hindenburg. W skierowanej do rodaków audycji powiedział: „Pokażcie jutro niezłomną jedność narodową i solidarność z rządem. Poprzyjcie razem ze mną oraz kanclerzem Rzeszy zasadę równości i honorowego pokoju, oraz pokażcie światu, że odzyskaliśmy niemiecką jedność i z pomocą boską ją utrzymamy!”.

Naród niemiecki, po 15 latach rozżalenia i rozdrażnienia skutkami przegranej wojny, zareagował niemal jednomyślnie. Do urn poszło 96% zarejestrowanych wyborców, z czego 95% zatwierdziło odejście Niemiec od rokowań w Genewie. Na jedyną nazistowską listę w wyborach do Reichstagu (znalazł się na niej też Hugenberg i kilku innych kandydatów spoza partii) głos oddało 92% wyborców. Nawet w obozie koncentracyjnym w Dachau 2154 z 2242 osadzonych opowiedziało się za rządem, który ich uwięził! To prawda, że w wielu okręgach osoby, które nie głosowały lub głosowały „źle”, spotkały się z groźbami; gdzieniegdzie pojawiały się obawy, że każdy, kto zagłosuje wbrew reżimowi, zostanie wykryty i ukarany. Jednak nawet biorąc pod uwagę te zastrzeżenia, wybory, które przynajmniej podliczono uczciwie, zakończyły się oszałamiającym zwycięstwem Adolfa Hitlera. Nie było wątpliwości, że naród wspiera go w oporze stawianym światu zewnętrznemu.

Trzy dni po plebiscycie i wyborach Hitler wezwał nowego ambasadora Polski Józefa Lipskiego. Po zakończeniu rozmowy obie strony wydały wspólny komunikat, który zadziwił niemiecką i światową opinię publiczną. Rządy Polski i Niemiec zgodziły się „rozwiązać kwestie dotyczące obu państw drogą bezpośrednich negocjacji i dla umocnienia europejskiego pokoju wyrzec się wszelkiego stosowania przemocy we wzajemnych relacjach”.

W umysłach Niemców Polska była wrogiem jeszcze bardziej znienawidzonym i pogardzanym niż Francja. Według nich oddzielenie Prus Wschodnich od Rzeszy „polskim korytarzem”, oderwanie Gdańska i

przyznanie Polakom prowincji poznańskiej oraz części Śląska, które choć w większości zamieszkane przez ludność polską, od czasu rozbiorów należały do Niemiec, było najohydniejszą zbrodnią autorów traktatu wersalskiego. Za czasów republiki żaden niemiecki mąż stanu nie przyjmował do wiadomości, że Niemcy straciły te terytoria na stałe. Stresemann nie chciał słyszeć o tzw. wschodnim Locarno z Polską, uzupełniającym porozumienie z Zachodem z 1925 r. Z kolei generał von Seeckt, ojciec Reichswehry i arbiter niemieckiej polityki zagranicznej w pierwszych latach reżimu weimarskiego, już w 1922 r. przekonywał rząd, że „istnienie Polski jest nie do przyjęcia i nie do pogodzenia z fundamentalnymi warunkami funkcjonowania Niemiec". Zapewniał, że Polska „musi zniknąć i zniknie". Dodawał, że jej unicestwienie „musi być jednym z podstawowych założeń niemieckiej polityki (…). Wraz z usunięciem Polski zniknie jeden z najsilniejszych filarów pokoju wersalskiego, hegemonia Francji"[247].

Hitler jednak uznał, że Polskę przed unicestwieniem trzeba oderwać od sojuszniczej Francji. Obrał kurs, który oprócz osiągnięcia celu podstawowego miał kilka dodatkowych zalet. Wyrzekając się użycia siły przeciwko Polsce, mógł wzmocnić swoją pokojową propagandę i rozwiać podejrzenia narosłe w zachodniej i wschodniej Europie po jego pośpiesznej rejteradzie z Genewy. Nakłaniając Polaków do bezpośrednich rokowań, mógł obejść Ligę Narodów i podważyć jej autorytet. Mógł nie tylko zadać cios koncepcji „zbiorowego bezpieczeństwa" lansowanej przez Ligę, ale też podkopać wschodnioeuropejskie sojusze Francji, a Polska była bastionem Paryża w tej części kontynentu. Tradycyjnie nienawidzący Polaków naród niemiecki może i tego nie rozumiał, ale Hitler uważał, że to właśnie jedna z przewag dyktatury nad demokracją – mógł, nie zważając na żadne wewnętrzne pomruki niezadowolenia, przejściowo realizować niepopularną politykę, która w długiej perspektywie obiecywała owocne rezultaty.

26 stycznia 1934 r., cztery dni przed zaplanowanym spotkaniem z Reichstagiem w pierwszą rocznicę uzyskania władzy, ogłoszono podpisanie dziesięcioletniego paktu o nieagresji pomiędzy Niemcami a Polską. Od tego dnia Polska, która pod dyktaturą marszałka Piłsudskiego sama właśnie likwidowała ostatnie pozory demokracji parlamentarnej, stopniowo oddalała się od Francji, jej protektorki od odzyskania państwowości, i zbliżała do nazistowskich Niemiec. Droga ta miała zaprowadzić ją do zagłady na długo przed wygaśnięciem traktatu „o przyjaźni i nieagresji".

Gdy 30 stycznia 1934 r. Hitler przemawiał przed Reichstagiem, mógł uznać miniony rok za osiągnięcie niemające sobie równych w dziejach Niemiec. W ciągu 12 miesięcy obalił Republikę Weimarską, zastąpił demokrację osobistą dyktaturą, zniszczył wszystkie partie polityczne poza własną, rozniósł w pył rządy krajów związkowych oraz ich parlamenty, jednocząc i centralizując Niemcy, pozbył się związków zawodowych, zdeptał wszelkie demokratyczne stowarzyszenia, usunął Żydów z publicznego i zawodowego życia państwa, zniósł wolność słowa i prasy, zdusił niezależność sądów i „skoordynował" pod nazistowską władzą polityczne, gospodarcze, kulturalne i społeczne życie pradawnego, wielkiego narodu. Przytłaczająca większość rodaków odpłaciła mu za te wszystkie dokonania oraz za stanowcze działania na niwie polityki zagranicznej – za odejście z koncertu państw w Genewie i domaganie się od innych mocarstw równego traktowania – poparciem, które okazała przy okazji jesiennego plebiscytu i wyborów.

A jednak u progu drugiego roku dyktatury Hitlera nad nazistowskim horyzontem zebrały się ciemne chmury.

KRWAWA CZYSTKA 30 CZERWCA 1934 ROKU

Nazistowskie niebo nabierało mrocznych barw z powodu trzech nierozwiązanych problemów, które na dodatek były ze sobą wzajemnie powiązane: radykalni członkowie partii i przywódcy SA nadal domagali się „drugiej rewolucji"; SA nadal rywalizowało z armią; kwestia następstwa po Hindenburgu, którego życie nieuchronnie dobiegało końca, nadal pozostawała zagadką.

Röhm, szef sztabu SA, które rozrosło się już do 2,5 miliona szturmowców, nie dał się zbyć ani gestem Hitlera, czyli dokooptowaniem go do gabinetu, ani przyjacielskim, noworocznym listem. W lutym zaprezentował rządowi obszerne memorandum, proponując, aby SA stało się fundamentem nowej armii ludowej oraz nowych sił zbrojnych. SA, SS i wszystkie inne ugrupowania weteranów miały podlegać jednemu resortowi obrony, na którego czele – tu sugestia była bardzo klarowna – miałby stanąć on sam. Korpus oficerski nie mógłby sobie wyobrazić bardziej odstręczającego pomysłu i jego wysocy rangą członkowie nie tylko jednogłośnie odrzucili ten projekt, ale i zaapelowali o poparcie do

Hindenburga. Gdyby prostak Röhm i jego chuligani w brunatnych koszulach objęli kontrolę nad wojskiem, cała tradycja militarnej kasty Niemiec ległaby w gruzach. Ponadto generałowie byli wstrząśnięci coraz częściej powtarzanymi plotkami o korupcji i rozpuście homoseksualnej kliki otaczającej szefa SA. „Remilitaryzacja była zbyt poważnym i skomplikowanym zadaniem, by włączyć w nie malwersantów, pijaków i homoseksualistów”, zeznał później generał von Brauchitsch.

Hitler nie mógł sobie pozwolić na urażenie armii, więc odrzucił propozycję Röhma. 21 lutego wyznał Anthony’emu Edenowi, który przyjechał do Berlina porozmawiać o impasie rozbrojeniowym, że jest gotowy zmniejszyć SA o dwie trzecie i zgodzić się na zewnętrzne inspekcje mające pilnować, że reszta szturmowców nie otrzyma wojskowego przeszkolenia ani uzbrojenia. Wyciek tej propozycji spotęgował rozgoryczenie Röhma i SA. Gdy wiosna 1934 r. zbliżała się do końca, stosunki pomiędzy szefem sztabu SA a naczelnym dowództwem armii stale się pogarszały. Na posiedzeniach gabinetu dochodziło do burzliwych utarczek Röhma z Blombergiem, a w marcu minister obrony poskarżył się Hitlerowi, że SA potajemnie uzbraja w karabiny maszynowe liczną grupę specjalnych gwardzistów, co zagraża armii, a ponadto zdaniem Blomberga proceder jest prowadzony tak jawnie, że stwarza niebezpieczeństwo dla całego tajnego programu remilitaryzacji Reichswehry.

To jasne, że w przeciwieństwie do zawziętego Röhma i jego zauszników Hitler wybiegał myślami do dnia, w którym sędziwy prezydent wyzionie ducha. Wiedział, że zarówno Hindenburg, wojsko, jak i inne czynniki konserwatywne w państwie chcą po śmierci feldmarszałka przywrócić monarchię Hohenzollernów. On miał inne plany, więc gdy na początku kwietnia z Ogrodzieńca nadeszły do niego i Blomberga poufne, ale dość pewne wieści, że dni Hindenburga są policzone, zrozumiał, że już niedługo musi wyprowadzić śmiałe uderzenie. Do zapewnienia sobie powodzenia planu potrzebował poparcia korpusu oficerskiego. I był gotów na wszystko, byle je tylko zdobyć.

Wkrótce nadarzyła się okazja do przeprowadzenia dyskretnych rokowań z wojskiem. 11 kwietnia kanclerz, w towarzystwie generała von Blomberga oraz naczelnych dowódców sił lądowych i morskich, generała Freiherra von Fritscha i admirała Raedera, wybrał się na pokładzie krążownika *Deutschland* w rejs z Kilonii do Królewca. Miał obserwować manewry wojskowe w Prusach Wschodnich. Hitler poinformował obu dowódców sił

zbrojnych, że zdrowie prezydenta szybko się pogarsza, i mając poparcie usłużnego Blomberga, odważnie zaproponował, że to on, z błogosławieństwem Reichswehry, zostanie następcą Hindenburga. Zaoferował, że w zamian za poparcie armii stłumi ambicje Röhma, drastycznie okroi SA oraz zagwarantuje armii i marynarce, że w III Rzeszy tylko one będą dzierżyły broń. Uważa się, że rozpostarł przed Fritschem i Raederem wizję ogromnej rozbudowy wojsk lądowych i morskich, jeśli tylko zaakceptują jego zamiary. Co do zgody lizusowskiego Raedera nie było wątpliwości, ale bardziej zasadniczy Fritsch uznał, że musi naradzić się ze swoimi generałami.

Narady odbyły się 16 maja w Bad Nauheim. Gdy wysokim rangą oficerom przedstawiono „pakt z *Deutschlanda*", jednogłośnie poparli następstwo Hitlera po prezydencie von Hindenburgu[248]. Ta *polityczna* decyzja miała dla armii historyczne znaczenie. Dobrowolnie poddawszy się niczym nieskrępowanemu, megalomańskiemu dyktatorowi, przypieczętowała swój los. Umowa miała wynieść Hitlera na wyżyny władzy. Po zniknięciu feldmarszałka ze sceny wydarzeń, po ukręceniu łba perspektywie restauracji Hohenzollernów, po zajęciu miejsca na czele zarówno państwa, jak i rządu, Hitler zacząć działać absolutnie samodzielnie i poza wszelką kontrolą. Zapłacił za to śmieszną cenę: poświęcił SA. Teraz, gdy miał całą władzę, nie było mu ono już do niczego potrzebne. Brunatne koszule stały się jedynie wrzaskliwym motłochem, który przysparzał mu wstydu. Tej wiosny pogarda Hitlera wobec ograniczonych umysłowo generałów musiała znacząco się pogłębić. Zapewne uznał, że można ich kupić niebywale tanio. I poza jednym trudnym momentem w czerwcu nie zmienił zdania do samego końca, swojego i ich.

A jednak problemy Hitlera nie zniknęły wraz z nadejściem lata. Berlin spowiło złowróżbne napięcie. Nawoływania do „drugiej rewolucji" stały się coraz głośniejsze. Krzyczeli nie tylko Röhm i szturmowcy, ale też sam Goebbels, w przemówieniach oraz kontrolowanej przezeń prasie. Ze strony konserwatywnej prawicy, junkrów i wielkich przemysłowców zgromadzonych wokół Papena i Hindenburga pojawiły się żądania, że rewolucja musi się skończyć, że trzeba położyć kres arbitralnym aresztowaniom, prześladowaniom Żydów, atakom na kościoły i aroganckiemu zachowaniu szturmowców, zaś powszechny terror nazistów musi ustać.

W samej partii wybuchła nowa runda bezwzględnej walki o władzę. Dwaj najpotężniejsi wrogowie Röhma, Göring i Himmler, jednoczyli przeciwko niemu siły. 1 kwietnia Himmler, szef odzianego na czarno SS, które nadal było jedynie odgałęzieniem SA i podlegało rozkazom Röhma, został mianowany przez Göringa przywódcą pruskiego Gestapo. I natychmiast zaczął budować własne imperium tajnej policji. Göring, który w sierpniu poprzedniego roku został awansowany przez Hindenburga na generała piechoty (choć był ministrem lotnictwa), z radością zrzucił znoszony mundur SA i przywdział bardziej efektowny, pasujący do nowego urzędu. Była to znamienna zmiana: jako generał i członek wojskowej kasty szybko stanął po stronie armii w walce przeciwko Röhmowi i SA. Chciał sobie zapewnić ochronę w tej wojnie w ludzkiej dżungli, więc zwerbował własne siły policyjne – Landespolizeigruppe General Göring, liczące kilka tysięcy ludzi. Skoszarował je w dawnej szkole kadetów w Lichterfelde, w której niegdyś sam wstąpił do wojska i która zajmowała strategiczne położenie na obrzeżach Berlina.

Plotki o spiskach i kontrspiskach spotęgowały napięcie panujące w stolicy. Generał von Schleicher, który najwidoczniej nie był w stanie znieść tego, że popadł w zapomnienie i chyba sam zapomniał, że stracił zaufanie Hindenburga, generałów oraz konserwatystów i stał się zupełnie bezsilny, znowu zaczął mieszać się do polityki. Nawiązał kontakt z Röhmem i Gregorem Strasserem. Pojawiły się informacje, a część z nich dotarła do uszu Hitlera, że próbuje wypracować układ, dzięki któremu miałby zastąpić swego starego wroga Papena na stanowisku wicekanclerza, a Röhm otrzymałby tekę ministra obrony i mógłby połączyć SA z armią. Po całym Berlinie krążyły dziesiątki „list gabinetowych”; na niektórych Brüning figurował jako minister spraw zagranicznych, a Strasser jako minister gospodarki. Doniesienia te nie miały żadnego uzasadnienia w realiach, ale były wodą na młyn Göringa oraz Himmlera, pragnących, każdy z innych powodów, zniszczyć Röhma i brunatne koszule, a przy okazji wyrównać rachunki ze Schleicherem i wiecznie niezadowolonymi konserwatystami. Rozdmuchiwali więc plotki i usłużnie donosili o nich Hitlerowi, a jego podejrzliwość nie potrzebowała dodatkowego impulsu. Göring oraz szef jego Gestapo myśleli nie tylko o czystce w SA, ale też o wyeliminowaniu innych rywali na lewicy i prawicy, w tym ludzi, którzy dawniej sprzeciwiali się wodzowi nazistów, ale w międzyczasie wyłączyli się z aktywnej polityki. Pod koniec maja Brüning i Schleicher otrzymali ostrzeżenie, że

zostali wytypowani do likwidacji. Pierwszy, po cichu i w przebraniu, umknął z kraju, drugi wyjechał na wakacje do Bawarii, ale pod koniec czerwca wrócił do Berlina.

Na początku miesiąca doszło do kłótni pomiędzy Röhmem a Hitlerem, która według słów samego kanclerza na forum Reichstagu trwała niemal pięć godzin i „przeciągnęła się do północy". Hitler stwierdził, że była to „ostatnia próba" dojścia do porozumienia z przyjacielem.

> Poinformowałem go, że na podstawie niezliczonych plotek i wielu wypowiedzi wiernych starych członków partii i liderów SA odniosłem wrażenie, iż pewne pozbawione sumienia elementy szykują ogólnokrajową akcję bolszewicką, która mogłaby przynieść Niemcom jedynie niewysłowione nieszczęścia (…). Błagałem go po raz ostatni, żeby dobrowolnie zrezygnował z tego szaleństwa i użył swego autorytetu do zapobieżenia wypadkom mogącym doprowadzić jedynie do katastrofy.

Według Hitlera Röhm opuścił go „z zapewnieniem, że dołoży wszelkich starań, by wszystko naprostować". Jednak tak naprawdę, jak zapewniał później kanclerz, „rozpoczął przygotowania, aby mnie wyeliminować".

Niemal na pewno było to kłamstwo. Chociaż podobnie jak w przypadku pożaru Reichstagu zapewne nigdy nie poznamy całej prawdy na temat czystki, źródła, które wyszły na jaw, wskazują, że szef SA nigdy nie knuł, aby pozbyć się Hitlera. Niestety, zdobyte archiwa niemieckie pomogły przy rozjaśnieniu okoliczności czystki mniej więcej w takim samym stopniu jak przy wyjaśnieniu pożaru Reichstagu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w obu przypadkach obciążające dokumenty zostały zniszczone na rozkaz Göringa.

Niezależnie od tego, jak naprawdę wyglądała długa rozmowa nazistowskich weteranów, dzień lub dwa później Hitler nakazał SA „zrobić sobie wolne" na cały czerwiec. W tym czasie szturmowcy nie mieli prawa nosić mundurów ani brać udziału w żadnych defiladach i ćwiczeniach. 7 czerwca Röhm ogłosił, że sam też udaje się na urlop zdrowotny, ale równocześnie wydał niepokorne ostrzeżenie: „Jeżeli wrogowie SA liczą, że po tej przerwie SA nie zostanie zwołane ponownie lub zostanie zwołane jedynie częściowo, to niechże się cieszą tymi nadziejami. W stosownym czasie, i w stosownej formie, otrzymają odpowiedź. SA jest i będzie przeznaczeniem Niemiec".

Przed wyjazdem z Berlina Röhm zaprosił Hitlera na 30 czerwca na rozmowy z przywódcami SA w kurorcie Wiessee pod Monachium. Kanclerz chętnie się zgodził i rzeczywiście, stawił się w wyznaczonym

miejscu i terminie, tyle że w stylu, którego Röhm nie spodziewał się nawet w najczarniejszych snach. Może i sam Hitler jeszcze nie wiedział, co dokładnie wydarzy się w Bawarii, gdyż jak przyznał później Reichstagowi: „Podjąłem ostateczną decyzję po długich wahaniach (…). Nadal żywiłem cichą nadzieję, że może będę mógł oszczędzić ruchowi i mojemu SA wstydu tej kłótni i że może uda mi się usunąć źródło kłopotów bez dotkliwego konfliktu".

„Muszę szczerze przyznać – dodał – że w ostatnich dniach maja nieustannie pojawiało się coraz więcej niepokojących faktów". Ale czy naprawdę? Hitler będzie później zapewniał, że Röhm i jego współspiskowcy byli już gotowi opanować Berlin i wtrącić go do aresztu. Lecz jeśli tak, to po co wszyscy liderzy SA na początku czerwca opuścili stolicę i – co chyba jeszcze ważniejsze – dlaczego Hitler w tak niebezpiecznym momencie wyjechał z Niemiec, dając szefom SA doskonałą okazję do zagarnięcia władzy?

14 czerwca Führer poleciał do Wenecji, aby odbyć pierwszą z wielu rozmów z kolegą-dyktatorem, przywódcą faszystowskich Włoch Mussolinim. Tak się złożyło, że spotkanie nie poszło po myśli przywódcy Niemiec. Hitler w swym zabrudzonym płaszczu i wymiętym kapeluszu nie czuł się zbyt pewnie w towarzystwie bardziej doświadczonego, olśniewającego, błyszczącego, obwieszonego medalami Duce, który traktował gościa dość protekcjonalnie. Wrócił do kraju rozdrażniony i na niedzielę 17 czerwca wezwał liderów NSDAP na spotkanie do miasteczka Gera w Turyngii. Chciał zdać relację z rozmów z Mussolinim i ocenić stale pogarszającą się sytuację na własnym podwórku. Los sprawił, że tej samej niedzieli w starym uniwersyteckim mieście Marburg odbyło się inne spotkanie, które w znacznie większej mierze przyciągało uwagę Niemiec i świata, i miało postawić krytyczną sytuację w państwie na ostrzu noża.

Dyletant Papen, który został bezceremonialnie odsunięty na polityczne pobocze przez Hitlera i Göringa, ale formalnie nadal był wicekanclerzem i cieszył się zaufaniem Hindenburga, zebrał się na odwagę, aby publicznie zabrać głos w sprawie ekscesów reżimu, do którego powstania w tak ogromnej mierze się przyczynił. W maju odwiedził starego prezydenta w Ogrodzieńcu (wtedy po raz ostatni widział go żywego) i usłyszał od krzepkiego, ale już bardzo osłabionego feldmarszałka: „Von Papen, nie dzieje się dobrze. Zobacz, co możesz zrobić, żeby było lepiej".

Zachęcony jego słowami wicekanclerz przyjął zaproszenie z Uniwersytetu w Marburgu i 17 czerwca wygłosił tam przemówienie. Głównym autorem mowy był jeden z jego doradców, Edgar Jung, znakomity monachijski prawnik, pisarz i protestant, choć pewne pomysły podsunęli też sekretarz Papena Herbert von Bose oraz Erich Klausener, lider Akcji Katolickiej. Wszyscy trzej mieli wkrótce zapłacić za tę współpracę życiem. Było to naprawdę odważne wezwanie, dzięki Jungowi elokwentne w treści i przyzwoite w tonie. Papen zaapelował o zakończenie rewolucji, przerwanie nazistowskiego terroru, przywrócenie normalnych obyczajów i powrót pewnych swobód, zwłaszcza wolności prasy. Zwracając się do ministra propagandy Goebbelsa, wicekanclerz powiedział:

> Rozpoczęcie męskiej dyskusji byłoby bardziej pożyteczne dla narodu niemieckiego niż, dajmy na to, obecny stan niemieckiej prasy. Rząd [nie może] zapominać o starym powiedzeniu: „Krytyka nie dotyka tylko słabeuszy” (…). Wielkich mężów nie kreuje propaganda (…). Kto pragnie bliskiego kontaktu i jedności z narodem, musi liczyć się z jego zdaniem. Nie może bez końca traktować go jak dziecka (…). Żadna organizacja, żadna propaganda, nawet najdoskonalsza, sama w sobie nie jest w stanie utrzymać zaufania na dłuższą metę. Zaufanie i oddanie można utrzymać jedynie dzięki szczeremu omawianiu spraw z ludźmi, a nie dzięki podburzaniu (…) i groźbom wymierzonym w bezsilnych członków narodu. Ale ludzie traktowani jak kretyni nie mają nawet zaufania, którym mogliby obdarzać (…). Czas połączyć się w przyjaznym braterstwie i szacunku dla wszystkich rodaków, aby ułatwić pracę poważnych ludzi i uciszyć fanatyków[249].

Słowa wicekanclerza rozgłaszano w całym kraju, ale na grupkę nazistowskich przywódców zebraną w Gerze spadły niczym piorun i Goebbels natychmiast zaczął je wyciszać. Zablokował audycję z nagraniem przemówienia, która miała zostać wyemitowana tego samego wieczoru, zabronił wspominać o nim w prasie i rozkazał policji przechwycić egzemplarze „Frankfurter Zeitung” z fragmentami mowy, które zdążyły trafić do sprzedaży. Jednak nawet wszechwładny minister propagandy nie przeszkodził Niemcom i światu w zapoznaniu się z treścią niepokornego apelu. Sprytny Papen z wyprzedzeniem przekazał tekst przemowy zagranicznym korespondentom i dyplomatom pracującym w Berlinie, a kilka tysięcy kopii wydrukowano pośpiesznie na prasach należącej do wicekanclerza gazety „Germania” i rozprowadzono w tajemnicy.

Na wieść o przemówieniu marburskim Hitler wpadł w szał. Jeszcze tego samego popołudnia w Gerze potępił „karła, który sobie roi, że kilkoma słowami może powstrzymać kolosalne odrodzenie życia narodu”. Papen też

był wściekły, że naziści wyciszają jego słowa. 20 czerwca pognał do Hitlera i oświadczył, że nie będzie tolerował takich zakazów ze strony „pomniejszego ministra”. Podkreślił, że przemawiał jako „powiernik prezydenta”, i z miejsca złożył rezygnację, ostrzegając, iż „bezzwłocznie poinformuje o wszystkim Hindenburga”[250].

Ostrzeżenie ewidentnie zaniepokoiło Hitlera, który wiedział, że prezydent nie jest zadowolony z sytuacji w kraju i rozważa wprowadzenie stanu wojennego oraz przekazanie władzy w ręce armii. Doskonale rozumiał, że istnienie reżimu nazistowskiego jest poważnie zagrożone, dlatego nazajutrz, 21 czerwca, wsiadł w samolot i poleciał do Ogrodzieńca na spotkanie z Hindenburgiem. Sposób, w jaki został tam przyjęty, musiał pogłębić jego obawy. Przywitał go generał von Blomberg. Hitler natychmiast zauważył, że służalczość ministra obrony gdzieś zniknęła. Blomberg przeistoczył się w surowego pruskiego generała i szorstko poinformował kanclerza, że feldmarszałek upoważnił go do przekazania, że jeśli panujące w Niemczech napięcie nie zostanie szybko rozładowane, to prezydent ogłosi stan wojenny i powierzy wojsku kontrolę nad krajem. Gdy Hitler otrzymał zgodę na kilkuminutowe widzenie z Hindenburgiem, w towarzystwie Blomberga, sędziwy prezydent potwierdził to ultimatum.

Dla nazistowskiego kanclerza był to katastrofalny obrót wydarzeń. Nie chodziło już tylko o to, że jego plan zastąpienia prezydenta stanął pod znakiem zapytania – przejęcie władzy przez armię oznaczałoby koniec jego samego oraz całego nazistowskiego rządu. Gdy jeszcze tego samego dnia leciał z powrotem do Berlina, musiał dojść do wniosku, że jeśli chce przetrwać, ma tylko jedno wyjście. Musi uszanować pakt z siłami zbrojnymi, zdusić SA i powstrzymać dalszą rewolucję, na którą naciskają przywódcy brunatnych koszul. Było jasne, że wspierana przez czcigodnego prezydenta armia nie pójdzie na żadne ustępstwa.

Mimo to w ostatnim, kluczowym tygodniu czerwca Hitler się wahał – a przynajmniej co do tego, jak drastycznie potraktować szefów SA, którym przecież tyle zawdzięczał. Göring i Himmler pomogli mu podjąć decyzję. Obaj już doskonale wiedzieli, z kim chcą wyrównać rachunki. Sporządzili długie listy dawnych i obecnych wrogów przeznaczonych do likwidacji. Musieli tylko przekonać Führera o rozległości wymierzonego w niego „spisku” i konieczności podjęcia natychmiastowych, stanowczych działań. Według złożonego w Norymberdze zeznania Wilhelma Fricka, ministra spraw wewnętrznych i jednego z najbardziej lojalnych ludzi wodza, to

Himmlerowi udało się w końcu przekonać Hitlera, że „Röhm chciał rozpocząć pucz. Führer rozkazał Himmlerowi go stłumić”. Himmler miał rozprawić się z puczystami w Monachium, a Göring w Berlinie, wyjaśnił Frick[251].

Armia też popychała Hitlera do działania, więc ponosi część odpowiedzialności za barbarzyństwo, które wkrótce miało się rozegrać. 25 czerwca generał Fritsch postawił armię w stan pogotowia, cofnął wszystkie przepustki i zamknął jednostki w koszarach. 28 czerwca Röhm został wyrzucony ze Związku Niemieckich Oficerów. Było to bardzo wyraźne ostrzeżenie, że szef SA ma kłopoty. Aby się upewnić, że nikt, a zwłaszcza Röhm, nie będzie miał żadnych złudzeń co do stanowiska wojska, Blomberg wykonał bezprecedensowy krok i 29 czerwca opublikował w „Völkischer Beobachter” podpisany własnym nazwiskiem artykuł, w którym stwierdził, że „armia (…) stoi za Adolfem Hitlerem (…), jednym z naszych”.

Wojsko parło do czystki, ale nie chciało pobrudzić sobie rąk. Musieli przeprowadzić ją Hitler, Göring, a także Himmler, przy pomocy jego SS oraz tajnej policji premiera Prus.

W czwartek 28 czerwca Hitler wyjechał z Berlina do Essen na ślub tamtejszego gauleitera Josefa Terbovena. Podróż i jej cel nie wskazywały, by zaprzątał sobie głowę rychłym przesileniem politycznym. Tego samego dnia Göring i Himmler rozkazali specjalnym zgrupowaniom SS i „policji Göringa” zachować gotowość. Ewidentnie poczuli, że pod nieobecność wodza mogą działać na własną rękę. Nazajutrz, 29 czerwca, Hitler objechał obozy Służby Pracy na terenie Westfalii, a po południu wrócił do Godesbergu nad Renem, gdzie udał się do hotelu na brzegu rzeki prowadzonego przez starego kamrata z lat wojny, Dreesena. Wieczorem Goebbels, który wcześniej chyba wahał się, na którego konia postawić (pozostawał w sekretnym kontakcie z Röhmem), przyjechał do Godesbergu i przedstawił, jak wyraził się później wódz, „niebezpieczne dane wywiadowcze” z Berlina. Karl Ernst, niegdyś boy hotelowy i wykidajło w lokalu uczęszczanym przez homoseksualistów, którego Röhm zrobił szefem berlińskich struktur SA, postawił szturmowców w stan pogotowia. Ernst, przystojny, acz niezbyt bystry młody mężczyzna, uważał, zarówno wtedy, jak i przez pozostałe mu 24 godziny życia, że stanął w obliczu puczu prawicy. Umrze z dziarskim „Heil Hitler!” na ustach.

Hitler zapewniał później, że do tego momentu, do 29 czerwca, postanowił jedynie „pozbawić szefa sztabu [Röhma] urzędu, przez jakiś czas trzymać go pod kluczem i aresztować liderów SA, których zbrodnie nie budziły żadnych wątpliwości (…), a co do pozostałych, żarliwie zaapelować, aby wracali do obowiązków”.

> Jednakże [poinformował Reichstag 31 czerwca] (…) o pierwszej w nocy otrzymałem z Berlina i Monachium dwie pilne wiadomości dotyczące alarmowych wezwań: raz, w Berlinie, alarmową zbiórkę zarządzono na szesnastą (…), a o siedemnastej, od ataku z zaskoczenia, miały zacząć się działania; budynki rządowe miały zostać opanowane (…). Dwa, w Monachium SA już otrzymało alarmowe wezwanie; mieli zebrać się o dziewiątej wieczorem (…). To był bunt! (…) W tych okolicznościach mogłem podjąć tylko jedną decyzję (…). Tylko bezwzględna i krwawa interwencja dawała nadzieję na powstrzymanie rozprzestrzenienia się rewolucji (…).
>
> O drugiej nad ranem poleciałem do Monachium.

Hitler nigdy nie zdradził, kto przysłał mu owe „pilne wiadomości”, ale wszystko wskazuje na to, że Göring i Himmler. Wiadomo natomiast, że były zdecydowanie przesadzone. Ernst, przywódca SA w Berlinie, nie myślał o niczym bardziej radykalnym niż o zabraniu swojej młodej żony do Bremy i zajęciu kajuty na statku zmierzającym na Maderę, bo w sobotę planował rozpocząć miesiąc miodowy. A co z południem kraju, gdzie skoncentrowali się owi „spiskowcy” z SA?

30 czerwca o godzinie 2.00, gdy Hitler, z Goebbelsem u boku, startował z lądowiska Hangelar pod Bonn, kapitan Röhm i najważniejsi szturmowcy spokojnie spali w hotelu Hanslbauer w Wiessee nad jeziorem Tegern. Edmund Heines, obergruppenführer SA na Śląsku, człowiek skazany za morderstwo, znany homoseksualista o dziewczęcej twarzyczce osadzonej na umięśnionym ciele robotnika fizycznego, leżał w łóżku z młodym mężczyzną. Wydaje się, że szturmowcy tak bardzo przykładali się do organizowania przewrotu, że Röhm zostawił swoich ochroniarzy w Monachium. Przywódcy SA rzeczywiście nie próżnowali, ale zajmowało ich coś zgoła innego niż spiskowanie.

Hitler i jego nieliczna świta (dołączyli do niego Otto Dietrich oraz Viktor Lutze, bezbarwny, lecz lojalny szef SA z Hanoweru) wylądowali w Monachium o godzinie 4.00 w sobotę 30 czerwca. Na miejscu dowiedzieli się, że pewne działania zostały już podjęte. Major Walter Buch, szef USCHLA, oraz Adolf Wagner, bawarski minister spraw wewnętrznych,

którym w sukurs przyszli towarzysze Hitlera z dawnych lat, Emil Maurice, były skazaniec i rywal o serce Geli Raubal, oraz Christian Weber, handlarz końmi i ekswykidajło w kabarecie, aresztowali miejscowe kierownictwo SA, w tym obergruppenführera Schneidhubera, który równocześnie pełnił funkcję szefa policji w Monachium. Hitler, który w międzyczasie doprowadził się do stanu histerii, znalazł więźniów w siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podszedłszy do Schneidhubera, byłego pułkownika armii, zdarł mu nazistowskie insygnia i zbeształ za „zdradę".

Niedługo po świcie Hitler i jego otoczenie pognali w długiej kolumnie samochodów z Monachium do Wiessee. Gdy dotarli na miejsce, Röhm i jego towarzysze nadal twardo spali w hotelu. Czekała ich nieprzyjemna pobudka. Heines i towarzyszący mu młodzieniec zostali wywleczeni z łóżka, wyprowadzeni z hotelu i na rozkaz Hitlera rozstrzelani na miejscu. Według relacji Otto Dietricha Führer wszedł do pokoju Röhma sam, zrugał go na czym świat stoi, a następnie kazał zawieźć go do Monachium i umieścić w więzieniu Stadelheim, gdzie szef SA odbywał karę po puczu piwiarnianym. Po burzliwych 14 latach ścieżki dwóch przyjaciół, którzy bardziej niż ktokolwiek inny przyłożyli rękę do powstania III Rzeszy, do jej terroru i zwyrodnienia, którzy często się ze sobą nie zgadzali, ale w momentach kryzysów, rozczarowań i porażek stali ramię w ramię, w końcu się rozeszły, a pokryty bliznami, awanturniczy wojownik sprawy Hitlera i nazizmu dotarł do kresu żywota.

Hitler, w ostatnim odruchu – jak zapewne uważał – łaski, polecił, aby na stoliczku jego dawnego towarzysza zostawiono pistolet. Ale Röhm nie chciał z niego skorzystać. „Jeżeli mam zginąć, to niech Adolf mnie zabije", miał powiedzieć. Według zeznania złożonego 23 lata później, podczas procesu w Monachium w maju 1957 r., przez naocznego świadka, porucznika policji, do celi Röhma weszło następnie dwóch oficerów SS, którzy zabili go strzałami z najbliższej odległości. „Röhm chciał coś powiedzieć, ale oficer SS pokazał, że ma się zamknąć. Wtedy Röhm stanął na baczność – był rozebrany do pasa – jego twarz była pełna pogardy"[252]. Ernst Röhm odszedł tak gwałtownie jak żył. W pogardzie dla przyjaciela, któremu pomógł wspiąć się na wyżyny wcześniej niedostępne żadnemu Niemcowi. Niemal na pewno, podobnie jak setki innych ludzi zgładzonych tego dnia, do końca nie wiedział, co i dlaczego się dzieje (Schneidhuber zawołał ponoć przed śmiercią: „Panowie, nie wiem, o co chodzi, ale strzelajcie celnie"). Miał tylko świadomość, że to akt zdrady, której, choć

sam przez tyle lat żył ze zdradą za pan brat i tak często się jej dopuszczał, nie oczekiwał po Adolfie Hitlerze.

Tymczasem w Berlinie Göring i Himmler mieli ręce pełne roboty. W stolicy w obławie złapano około 150 przywódców SA. Zostali postawieni pod murem szkoły kadetów w Lichterfelde i straceni przez plutony egzekucyjne SS i policji Göringa.

Był wśród nich Karl Ernst, którego miesiąc miodowy został przerwany przez strzelców z SS, gdy jego samochód dojeżdżał do rogatek Bremy. Szofer i panna młoda zostali ranni. Esesmani ogłuszyli Ernsta i przetransportowali go samolotem na egzekucję do Berlina.

Szturmowcy nie byli jedynymi ofiarami tego krwawego letniego weekendu. Rankiem 30 czerwca zespół ubranych po cywilnemu esesmanów zadzwonił do drzwi willi Schleichera na przedmieściach Berlina. Generał otworzył drzwi i został zastrzelony na miejscu. Kiedy jego małżonka (ożenił się zaledwie 18 miesięcy wcześniej, do tego czasu był kawalerem) pojawiła się w przedpokoju, także została zabita. Wieczorem podobny los spotkał przyjaciela Schleichera, generała Kurta von Bredowa. Gregor Strasser został zatrzymany w sobotę około południa w swym berlińskim domu, a kilka godzin później, na osobisty rozkaz Göringa, odesłany do celi więzienia Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse.

Papen miał więcej szczęścia. Uszedł z życiem. Lecz esesmani przeczesali jego gabinet, jego sekretarza Bosego zastrzelili przy biurku, jego tajny współpracownik Edgar Jung, którego Gestapo aresztowało już wcześniej, został zamordowany w więzieniu, zaś kolejnego pomocnika, Ericha Klausenera, przewodniczącego Akcji Katolickiej, zgładzono w jego biurze w Ministerstwie Komunikacji. Resztę personelu biura wicekanclerza, w tym jego prywatną sekretarkę baronową Stotzingen, wywieziono do obozu koncentracyjnego. Gdy Papen zjawił się z protestem u Göringa, ten, nie mając akurat czasu na czcze pogaduszki, „mniej więcej”, jak wspominał Papen, wyrzucił go za drzwi i umieścił w areszcie domowym w jego willi. Budynek otoczył kordon uzbrojonych po zęby esesmanów, przecięto kable telefoniczne, a gospodarzowi zakazano kontaktować się ze światem zewnętrznym. Wicekanclerz Niemiec przełknął to upokorzenie całkiem gładko. Niecały miesiąc później splugawił się do reszty, przyjmując od morderców swych przyjaciół posadę niemieckiego posła w Wiedniu, gdzie miejscowi naziści właśnie zabili kanclerza Dollfussa.

Nigdy dokładnie nie ustalono, ile osób zamordowano w czasie czystki. 13 lipca Hitler w Reichstagu powiedział, że zastrzelonych zostało 61 osób, w tym 19 „wysokich rangą przywódców SA", a ponadto 13 osób zginęło z powodu „stawiania oporu przy aresztowaniu", a trzy „popełniły samobójstwo" – łącznie 71. Opublikowana przez paryską emigrację *Biała księga czystki* stwierdzała, że zgładzono 401 osób, ale z nazwiska wymieniała tylko 116. W trakcie procesu monachijskiego w 1957 r. przedstawiono liczbę „przekraczającą tysiąc".

Wielu ludzi zginęło z czystej zemsty, gdyż przeciwstawili się Hitlerowi w przeszłości, inni zostali zamordowani najpewniej dlatego, że za dużo wiedzieli, a przynajmniej jedna osoba przez pomylenie jej z kimś innym. Zwłoki Gustava von Kahra, którego udział w stłumieniu puczu piwiarnianego już omawialiśmy, lecz dawno wycofał się on z polityki, znaleziono w bagnie niedaleko Dachau. Został zarąbany, najprawdopodobniej kilofami. Hitler o nim nie zapomniał i mu nie wybaczył. Ciało hieronimity ojca Bernharda Stempfle, który jak pamiętamy, pomagał redagować *Mein Kampf*, a później za dużo gadał, być może o przyczynach samobójstwa ukochanej Hitlera, zostało znalezione w lesie Harlaching pod Monachium. Ofiara miała przetrącony kark i trzy kule w sercu. Heiden twierdzi, że mordercom, którzy go zabili, przewodził Emil Maurice, który również kochał się w Geli Raubal. „Za dużo wiedzieli" też trzej szturmowcy, którzy podobno pomagali Ernstowi podpalić Reichstag. Pozbyto się ich razem z ich przywódcą.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym morderstwie. 30 czerwca o godzinie 19.20 doktor Willi Schmid, czołowy krytyk muzyczny z „Münchener Neueste Nachrichten", najpoczytniejszego dziennika w Monachium, grał na wiolonczeli w swoim gabinecie, podczas gdy jego żona szykowała kolację, a troje dzieci, w wieku lat dziewięciu, ośmiu i dwóch, bawiło się w salonie mieszkania przy Schackstrasse. Zadzwonił dzwonek do drzwi, do mieszkania wkroczyło czterech esesmanów i bez słowa wyjaśnienia wyprowadziło doktora. Cztery dni później zwrócono jego ciało w trumnie, do której dołączono kategoryczny rozkaz Gestapo, aby pod żadnym pozorem nie otwierać wieka. Doktor Willi Schmid, który nigdy nie mieszał się do polityki, został pomylony przez oprychów z SS z Willim Schmidtem, lokalnym przywódcą SA, który w międzyczasie został złapany przez inny oddział SS i rozstrzelany[253].

Czy istniał jakikolwiek spisek przeciwko Hitlerowi? Na potwierdzenie tego założenia mamy tylko jego słowo zawarte w oficjalnych komunikatach oraz w przemówieniu w Reichstagu z 13 lipca. Nigdy nie zaprezentował choćby strzępu dowodu. Röhm nie ukrywał swojej głównej ambicji uczynienia z SA jądra nowej armii ludowej i zajęcia miejsca na jej czele. Bez dwóch zdań kontaktował się w tej sprawie ze Schleicherem, rozmawiali o niej już wtedy, gdy generał był kanclerzem. Prawdopodobnie, jak twierdził Hitler, „wciągnęli w to" Strassera. Niemniej takie rozmowy to przecież nie zdrada. Hitler też rozmawiał ze Strasserem na początku czerwca i według jego brata Otto oferował mu tekę ministra gospodarki.

Z początku Hitler oskarżył Röhma i Schleichera o zabiegi o poparcie „obcego mocarstwa" – naturalnie chodziło mu o Francję – a generał von Bredow miał być pośrednikiem. Tak wyglądała część aktu oskarżenia „zdrajców". I chociaż Hitler powtórzył te zarzuty, gdy przemawiał w Reichstagu, oraz opowiadał sarkastycznie o „pewnym zagranicznym dyplomacie [a nie mógł to być nikt inny, jak Poncet, ambasador Francji], tłumaczącym, że spotkanie ze Schleicherem i Röhmem miało zupełnie niegroźny charakter", to nie był w stanie poprzeć tych oskarżeń. Stwierdził mało przekonująco, że jeśli rozsądny Niemiec żyjący w III Rzeszy spotyka się z obcym dyplomatą bez jego wiedzy, już samo to jest przestępstwem.

> Gdyby trzech niemieckich zdrajców zaaranżowało (…) spotkanie z obcym mężem stanu (…) i wydało polecenie, że nie może do mnie dotrzeć ani słowo na temat tego spotkania, to kazałbym ich rozstrzelać, nawet gdyby okazało się prawdą, że podczas takowych konsultacji, które trzymali przede mną w sekrecie, dyskutowali tylko o pogodzie, numizmatach i tym podobnych.

Gdy François-Poncet żywo zaprotestował przeciwko insynuacjom, jakoby uczestniczył w „spisku" Röhma, niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oficjalnie poinformowało francuski rząd, że oskarżenia są zupełnie bezpodstawne i wyraziło nadzieję, że Poncet zachowa stanowisko. I rzeczywiście, o czym autor może zaświadczyć, ambasador Poncet miał później lepsze stosunki osobiste z Hitlerem niż jakikolwiek inny przedstawiciel demokratycznego państwa.

W pierwszych komunikatach, zwłaszcza w mrożącej krew w żyłach relacji naocznego świadka przedstawionej opinii publicznej przez Otto Dietricha, a nawet w przemówieniu Hitlera w Reichstagu uwypuklano deprawację moralną Röhma i innych rozstrzelanych przywódców SA.

Dietrich zaznaczył, że scena aresztowania Heinesa, przyłapanego w łóżku z młodzieńcem, „wymyka się wszelkiemu opisowi”, a gdy w południe 30 czerwca, zaraz po pierwszych egzekucjach, Hitler zwrócił się w Monachium do liderów szturmowców, którzy przetrwali czystkę, oświadczył, że straceni zasłużyli na śmierć już za samo zepsucie moralne.

Ale przecież przez cały ten czas, od pierwszych dni istnienia partii, Hitler wiedział, że wielu jego najbliższych i najważniejszych ludzi to zboczeńcy i mordercy. Na przykład często opowiadano, że Heines rozsyłał zaufanych szturmowców po całych Niemczech, żeby sprowadzali mu odpowiednich kochanków. Hitler nie tylko tolerował, ale i bronił takich postaw; nie raz przestrzegał towarzyszy z partii, aby nie byli przewrażliwieni na punkcie prywatnej moralności innych, jeśli tylko ci fanatycznie walczą za ruch nazistowski. Teraz, 30 czerwca 1934 r., zgrywał człowieka wstrząśniętego degeneracją swoich najstarszych popleczników.

Większości morderstw dokonano do niedzielnego popołudnia 1 lipca, kiedy to Hitler, który poprzedniej nocy odleciał z Monachium do Berlina, przyjmował gości na herbatce w ogrodzie budynku kancelarii Rzeszy. W poniedziałek prezydent von Hindenburg podziękował szefowi rządu za „stanowczą akcję oraz szlachetną interwencję, która zdusiła zdradę w zarodku i ocaliła naród niemiecki przed ogromnym niebezpieczeństwem”. Pogratulował też Göringowi „energicznej i udanej akcji” przy tłumieniu „zdrady stanu”. We wtorek generał von Blomberg przekazał kanclerzowi gratulacje gabinetu, który zajął się „legalizowaniem” tej rzezi, nazywając ją niezbędnym środkiem „dla obrony państwa”. Blomberg wydał też armii rozkaz dzienny, w którym wyraził zadowolenie naczelnego dowództwa z obrotu wypadków i obiecał ustanowienie „serdecznych relacji z nowym SA”.

To oczywiste, że armia cieszyła się z wyeliminowania rywala w postaci SA, ale co z poczuciem honoru, nie wspominając już o przyzwoitości, korpusu oficerskiego, który nie tylko tolerował, ale i otwarcie chwalił rząd za dokonanie bezprecedensowej w dziejach Niemiec masakry, podczas której dwóch czołowych oficerów, generałowie von Schleicher i von Bredow, zostali okrzyknięci zdrajcami i zamordowani z zimną krwią? Przeciwko mordowi na dwóch kolegach-oficerach i usprawiedliwieniu go oskarżeniami o zdradę zaprotestowali tylko osiemdziesięciopięcioletni feldmarszałek von Mackensen i były naczelny dowódca armii generał von

Hammerstein[254]. Postawa korpusu oficerskiego to czarna plama na honorze sił zbrojnych, a także dowód niewiarygodnej krótkowzroczności.

Podpisując się pod bezprawiem, a w zasadzie gangsterką, jakiej Hitler dopuścił się 30 czerwca, generałowie postawili się w sytuacji uniemożliwiającej im przeciwstawianie się przyszłym aktom nazistowskiego terroru i to nie tylko w kraju, ale też gdy zostali wysłani za granice, a nawet gdy zbrodnie będą popełniane na nich samych. Armia poparła roszczenie Hitlera, że teraz to on stał się prawem, czy też, jak wyraził się w przemówieniu w Reichstagu 13 lipca: „Jeżeli ktoś robi mi wyrzuty i pyta, dlaczego nie odwołałem się do normalnych sądów, to odpowiadam: w tamtej godzinie byłem odpowiedzialny za los narodu niemieckiego, więc stałem się najwyższym sędzią [*oberster Gerichtsherr*] narodu niemieckiego". Dodał jeszcze: „Na przyszłość każdy musi wiedzieć, że jeśli podnosi rękę na państwo, to czeka go pewna śmierć". Niemal dokładnie 10 lat później, kiedy co bardziej zdesperowani generałowie ośmielą się w końcu unieść rękę na swego „najwyższego sędziego", będą musieli przypomnieć sobie tę przestrogę.

Ponadto korpus oficerski łudził się, że 30 czerwca raz na zawsze pozbył się nazistowskiego zagrożenia dla swych tradycyjnych prerogatyw i władzy. Lecz SA zostało zastąpione przez SS. 26 lipca w nagrodę za wykonanie egzekucji zostało ono uniezależnione od SA, a Himmler – jako jego Reichsführer – podlegał teraz wyłącznie Hitlerowi. Już wkrótce ta bardziej zdyscyplinowana i lojalna formacja stanie się znacznie potężniejsza niż SA u szczytu powodzenia, a jako rywalka armii zwycięży tam, gdzie obdarte zastępy brunatnych koszul Röhma poległy.

Jednak na razie generałowie czuli pełną wyższości pewność siebie. 13 lipca w przemówieniu przed Reichstagiem Hitler powtórzył, że w Rzeszy tylko siły zbrojne „będą dzierżyły broń". Kanclerz na życzenie naczelnego dowództwa pozbył się SA, które ośmieliło się podważać ten stan rzeczy. Nadszedł czas, aby armia wypełniła swoje zobowiązania „paktu z krążownika *Deutschland*".

ŚMIERĆ HINDENBURGA

Pozornie niezatapialny Hindenburg osuwał się w toń przez całe lato, aż w końcu 2 sierpnia o godzinie 9 rano zmarł w wieku 87 lat. Trzy godziny

później, w południe, ogłoszono, że zgodnie z ustawą przyjętą przez gabinet *poprzedniego* dnia urzędy kanclerza i prezydenta zostają połączone, zaś Adolf Hitler przejmuje uprawnienia głowy państwa i naczelnego wodza sił zbrojnych. Tytuł prezydenta został zlikwidowany, Hitler miał być tytułowany Wodzem i Kanclerzem Rzeszy. Jego dyktatura stała się kompletna. Aby nie pozostawić żadnych luk, odebrał od wszystkich oficerów i żołnierzy niemieckiego wojska przysięgę wierności – nie wobec Niemiec, nie wobec konstytucji, którą zresztą pogwałcił, nie rozpisując wyborów następcy Hindenburga, ale wobec niego osobiście. Brzmiała następująco:

> Składam przed Bogiem świętą przysięgę, że będę bezwarunkowo posłuszny Adolfowi Hitlerowi, wodzowi Rzeszy Niemieckiej i narodu, naczelnemu wodzowi sił zbrojnych, i jako dzielny żołnierz zawsze będę gotowy ryzykować życiem w imię tej przysięgi.

W sierpniu 1934 r. generałowie, którzy do tej pory, gdyby tylko zechcieli, mogli bez trudu obalić nazistowski reżim, związali się z Adolfem Hitlerem, uznając go za najwyższą prawomocną władzę w państwie, i połączyli się z nim przysięgą wierności, którą czuli się w obowiązku honorować w każdych okolicznościach, niezależnie od tego, jak bardzo poniżała ich samych i ojczyznę. Kiedy wódz skierował ich na ścieżkę, która według nich wiodła naród ku zagładzie i była sprzeczna z ich poglądami, przysięga zaczęła gryźć sumienie wielu wyższych oficerów. Ponadto pozwoliła znacznie większej liczbie oficerów wymigiwać się od osobistej odpowiedzialności za niewyobrażalne zbrodnie, jakich dopuszczali się na rozkaz naczelnego wodza – wodza, którego prawdziwe oblicze ujrzeli przecież podczas krwawej łaźni 30 czerwca 1934 r. Od tego czasu ten konflikt „honoru” (autor na podstawie własnych doświadczeń może zapewnić, że słowo to bardzo często gościło na ich ustach i że bardzo osobliwie je definiowali) wypaczał niemiecki korpus oficerski. Honorując tę przysięgę, oficerowie później niejednokrotnie hańbili się jako ludzie i deptali kodeks moralny swej kasty.

Gdy Hindenburg zmarł, minister propagandy Goebbels ogłosił, że nie znaleziono żadnego testamentu ani ostatniej woli, więc należy uznać, że nie istnieją. Ale 15 sierpnia, cztery dni przed plebiscytem, w którym naród niemiecki miał zatwierdzić przejęcie przez Hitlera urzędu prezydenta, testament polityczny feldmarszałka nagle się pojawił, a kanclerzowi

doręczył go nie kto inny jak Papen. Zawierał on stanowczą pochwałę Hitlera, co zapewniło Goebbelsowi mocną amunicję na finiszu kampanii przed plebiscytem, a w przeddzień głosowania jego wydźwięk wzmocniła audycja z udziałem Oskara von Hindenburga:

> Mój ojciec uważał Adolfa Hitlera za swego bezpośredniego następcę na czele Państwa Niemieckiego. Wzywając wszystkich Niemców i wszystkie Niemki, aby głosowali za przekazaniem Wodzowi i Kanclerzowi Rzeszy urzędu ojca, działam zgodnie z jego wolą[255].

Niemal na pewno była to bzdura. Według istniejących źródeł Hindenburg w swej ostatniej woli opowiedział się za przywróceniem monarchii. Ale tę część testamentu Hitler zatuszował.

Po wojnie zasłona tajemnicy skrywająca testament prezydenta została częściowo uchylona, a może wręcz całkowicie odsłonięta, dzięki przesłuchaniu, a następnie wspomnieniom Papena. Wprawdzie trudno uznać go za nieskazitelnego świadka i może nie wyznał wszystkiego, co wiedział, ale jego relacji nie można zignorować. Zapewniał on, że na prośbę feldmarszałka własnoręcznie sporządził wstępny szkic ostatniej woli Hindenburga.

> Mój szkic [napisał we wspomnieniach] zalecał, że po jego śmierci powinno wprowadzić się monarchię konstytucyjną, a ja zauważyłem, że łączenie urzędów prezydenta i kanclerza jest niewskazane. Aby nie urazić Hitlera, w tekście na pewno znalazły się pewne pochlebne odniesienia do pozytywnych osiągnięć reżimu nazistowskiego.

Papen twierdził, że dostarczył swój szkic Hindenburgowi w kwietniu 1934 r.

> Kilka dni później poprosił, żebym odwiedził go ponownie, i poinformował mnie, że postanowił nie zatwierdzać dokumentu w zaproponowanej przeze mnie formie. Uważał (…), że co do pożądanego ustroju państwa powinien zdecydować naród jako całość. Chciał zatem, aby za testament posłużyła historia jego służby, a zalecenia odnośnie do powrotu monarchii miały zostać wyrażone, jako jego ostatnie życzenie, w prywatnym liście do Hitlera. Oznaczało to oczywiście, że sedno mojej pierwotnej sugestii zostało utracone, gdyż zalecenie dotyczące monarchii nie było już zaadresowane do narodu. Hitler w pełni wykorzystał ten fakt.

Żaden Niemiec nie mógł obserwować, jak Hitler robi to w praktyce, z tak dogodnego punktu obserwacyjnego, jakim dysponował Papen.

> Gdy po pogrzebie Hindenburga w Tannenbergu wróciłem do Berlina, zadzwonił do mnie Hitler. Spytał, czy istnieje jakiś testament polityczny Hindenburga i czy wiem, gdzie się znajduje. Odparłem, że zapytam Oskara von Hindenburga. „Byłbym zobowiązany, gdyby dopilnował pan, by ten dokument znalazł się jak najszybciej w moim posiadaniu”, powiedział Hitler. Poleciłem więc Kageneckowi, mojemu prywatnemu sekretarzowi, żeby poleciał do Ogrodzieńca i spytał syna Hindenburga, czy testament nadal istnieje i czy mógłbym przekazać go Hitlerowi. Nie widziałem się z Hindenburgiem, odkąd wyjechał z Berlina pod koniec maja, więc nie miałem pojęcia, czy zniszczył testament.

Oskar, który po śmierci ojca nie potrafił znaleźć tego bardzo ważnego dokumentu, teraz nagle go odszukał. Hrabia von der Schulenburg, adiutant Hindenburga, zaświadczył podczas procesu denazyfikacyjnego Papena, że nie mogło być to szczególnie trudne zadanie. Ujawnił, że 11 maja prezydent podpisał dwa dokumenty: testament oraz ostatnie życzenia. Pierwszy został zaadresowany „do narodu niemieckiego”, drugi do „kanclerza Rzeszy”. Gdy Hindenburg po raz ostatni w życiu wyjechał z Berlina do Ogrodzieńca, Schulenburg zabrał oba dokumenty ze sobą. Papen twierdził, że wówczas o tym nie wiedział. Niemniej teraz sekretarz wrócił do Berlina z dwiema zapieczętowanymi kopertami, wręczonymi mu przez Oskara von Hindenburga.

15 sierpnia Papen dostarczył je Hitlerowi do Berchtesgaden.

> Hitler bardzo uważnie przeczytał oba dokumenty i omówił ze mną ich treść. Było oczywiste, że zalecenia Hindenburga w dokumencie z jego ostatnią wolą stały w sprzeczności z zamiarami Hitlera. Wykorzystał więc fakt, że koperta została zaadresowana „do kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera”. „Zalecenia świętej pamięci prezydenta zostały przekazane mnie – oświadczył. – Później zdecyduję, czy i kiedy pozwolić na ich publikację”. Błagałem go, żeby upublicznił oba dokumenty, ale na próżno. Swojemu szefowi prasowemu przekazał do publikacji tylko historię służby Hindenburga, w której prezydent zawarł pochwałę Hitlera[256].

Papen nie napisał i przypuszczalnie nie wiedział, co się stało z drugim dokumentem, zalecającym, aby to któryś z Hohenzollernów, a nie Hitler, został głową państwa. Ponieważ nie pojawił się pośród setek ton przechwyconych tajnych dokumentów nazistów, Hitler najprawdopodobniej natychmiast go zniszczył.

Nawet gdyby miał dość odwagi i upublicznił ostatnią wolę Hindenburga, być może i tak niewiele by to zmieniło. Przecież gabinet wydał ustawę powierzającą mu uprawnienia prezydenta jeszcze przed śmiercią feldmarszałka: dokładnie dzień wcześniej, 1 sierpnia. Fakt, że owa

„ustawa” była nielegalna, także nie robił większej różnicy w państwie, w którym prawo stanowił austriacki kapral. A że była sprzeczna z prawem, to oczywiste. 17 grudnia 1932 r., za rządu Schleichera, Reichstag przegłosował niezbędną większością dwóch trzecich poprawkę do konstytucji stwierdzającą, że do wyborów obowiązki prezydenta powinien pełnić przewodniczący Sądu Najwyższego, a nie kanclerz. Chociaż akt upoważniający, który był „prawną” podporą całej hitlerowskiej dyktatury, przyznawał kanclerzowi prawo tworzenia ustaw odbiegających od zapisów konstytucji, to jednoznacznie zabraniał mu wszelkich manipulacji przy instytucji prezydentury.

Ale cóż jeszcze znaczyło prawo? Nie miało znaczenia dla Papena, który z radością wyjechał do Wiednia służyć Hitlerowi jako poseł i posprzątać bałagan wywołany zamordowaniem kanclerza Dollfussa przez nazistów. Nie miało znaczenia dla generałów, którzy z zapałem zaczęli budować Hitlerowi nową armię. Nie miało znaczenia dla przemysłowców, którzy z ogromnym entuzjazmem zajęli się lukratywną remilitaryzacją. Niemcy ze starej szkoły, „przyzwoici” Niemcy, tacy jak baron von Neurath z Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy doktor Schacht, prezes Banku Rzeszy, jakoś nie zrezygnowali z posad. Nikt nie zrezygnował. 2 sierpnia, gdy Hitler zagarnął władzę prezydenta, Schacht wziął na siebie nawet dodatkowe obowiązki ministra gospodarki.

A co z narodem? 19 sierpnia do urn wybrało się 95% zarejestrowanych wyborców. 90% z nich, czyli ponad 38 milionów, poparło pretensje Hitlera do absolutnej władzy. Jedynie 4 250 000 Niemców miało odwagę – lub pragnienie – powiedzieć „nie”.

Nie dziwne, że gdy 4 września w Norymberdze zebrał się kongres Partii Nazistowskiej, Hitler emanował pewnością siebie. Widziałem go następnego ranka, gdy kroczył niczym zwycięski cesarz pomiędzy rzędami ław w wielkiej, ozdobionej sztandarami hali Luitpolda, podczas gdy orkiestra grała *Marsz Badenweiler*, a 30 tysięcy rąk uniosło się w nazistowskim salucie. Kilka chwil później zasiadł dumnie ze skrzyżowanymi ramionami i lśniącymi oczyma na samym środku wielkiej sceny, a gauleiter Bawarii Adolf Wagner uroczyście odczytał proklamację Führera.

> Niemiecka forma życia została nieodwołalnie ustalona na następne tysiąc lat. Dziewiętnastowieczna Epoka Nerwów znalazła w nas swój koniec. Przez tysiąc lat w Niemczech nie będzie kolejnej rewolucji!

Hitler był śmiertelnikiem, więc nie mógł żyć tysiąc lat, ale aż do śmierci miał władać tym wielkim narodem, stając się najpotężniejszym i najbardziej bezwzględnym autokratą, jakiego Niemcy kiedykolwiek mieli. Zabrakło czcigodnego Hindenburga, który mógłby zakwestionować jego władzę, armia znalazła się w jego garści, posłuszna przysiędze, której złamanie nie przyszłoby łatwo żadnemu niemieckiemu żołnierzowi. Prawdę powiedziawszy, teraz, gdy ostatni niepokorni zostali usunięci lub na dobre zniknęli, w zbrukanych krwią rękach Hitlera znalazły się całe Niemcy i każdy Niemiec.

„To wspaniałe!” – zawołał Führer w Norymberdze do korespondentów zagranicznej prasy na zakończenie wyczerpującego tygodnia defilad, przemówień, pogańskich widowisk i pokazów najbardziej szalonej czołobitności względem osoby publicznej, jaką autor kiedykolwiek widział. Adolf Hitler przebył długą drogę z rynsztoków Wiednia. Miał zaledwie 45 lat i dopiero zaczynał. Nawet ktoś, kto wrócił do Niemiec po raz pierwszy od upadku republiki, mógł zauważyć, że Hitler, abstrahując od jego zbrodni przeciwko ludzkości, uwolnił dynamiczną siłę o nieobliczalnej skali, która długo wzbierała w narodzie niemieckim. W jakim celu? To już dokładnie wyjaśnił na stronach *Mein Kampf* i w setkach przemówień, które przez wielu ludzi – prawie przez wszystkich – w III Rzeszy, a zwłaszcza poza nią, były albo bagatelizowane, albo ignorowane, albo wyśmiewane.

ROZDZIAŁ VIII

ŻYCIE W III RZESZY: 1933-1937

Właśnie wtedy, późnym latem 1934 r., wróciłem do III Rzeszy, aby w niej mieszkać i pracować. W nowych Niemczech było wiele rzeczy, które imponowały, zbijały z tropu i martwiły zagranicznego obserwatora. Wydawało się, że przytłaczającej większości Niemców nie przeszkadza, że odebrano im wolność, zdeptano większą część ich kultury, zastępując ją bezmyślnym barbarzyństwem, a ich życie prywatne i zawodowe objęto dyscypliną, która surowością przebiła wszystko, czego zaznał ten naród, od pokoleń przecież przywykły do dyscypliny.

Oczywiście gdzieś w tle czaił się terror Gestapo i strach przed obozem koncentracyjnym, gdzie mógł trafić każdy, kto wychodził przed szereg, miał komunistyczną lub socjalistyczną przeszłość, zbyt liberalne lub zbyt pacyfistyczne poglądy albo po prostu był Żydem. Krwawa czystka z 30 czerwca 1934 r. stanowiła wyraźne ostrzeżenie, jak bezwzględni potrafią być nowi przywódcy. A jednak w pierwszych latach nazistowski terror dotknął stosunkowo niewielkiej liczby Niemców, a świeżo przybyły obserwator zauważał z zaskoczeniem, że obywatele tego kraju wcale nie mają wrażenia, że zostali zastraszeni i leżą pod butem pozbawionej skrupułów, brutalnej dyktatury. Wręcz przeciwnie, popierali ją ze szczerym entuzjazmem. Nowy reżim jakimś cudem przepełniał ich świeżo rozbudzoną nadzieją, pewnością siebie i zadziwiającą wiarą w pomyślną przyszłość kraju.

Hitler wymazywał przeszłość, z jej niepowodzeniami i rozczarowaniami. Krok po kroku, lecz bardzo szybko uwalniał Niemcy z wersalskich kajdan, mydlił oczy zwycięskim Aliantom i odbudowywał niemiecką potęgę militarną. Większość Niemców właśnie tego chciała i była gotowa do wymaganych przez wodza poświęceń: do wyrzeczenia się wolności osobistej, do spartańskiej diety („działa ważniejsze niż masło”) i ciężkiej pracy. Do jesieni 1936 r. problem bezrobocia został w dużej mierze rozwiązany, niemal wszyscy wrócili do pracy[257]. Dało się słyszeć

robotników, którzy przecież zostali pozbawieni zawiązków zawodowych, jak żartują nad pełnymi menażkami, że za Hitlera przynajmniej stracili też prawo do głodowania. W tym okresie popularność zdobył nazistowski slogan *Gemeinnutz vor Eigennutz!* (Dobro wspólne ponad dobrem własnym!) i choć wielu bonzów partyjnych, z Göringiem na czele, potajemnie się wzbogacało, a zyski wielkiego biznesu rosły, nie było wątpliwości, że nowy „narodowy socjalizm", który pozornie stawiał dobrobyt wspólnoty nad osobiste korzyści, zjednał sobie masy.

Prawa rasowe wyrzucające Żydów poza nawias społeczeństwa obserwatorowi zagranicznemu jawiły się jako wstrząsający powrót do prymitywnych czasów, ale nazistowskie teorie rasowe wywyższały Niemców, nazywając ich solą ziemi i rasą panów, nie można więc powiedzieć, by nie cieszyły się popularnością. Tylko nieliczni napotkani Niemcy (byli socjaliści, liberałowie albo pobożni chrześcijanie ze starych konserwatywnych klas) byli zniesmaczeni lub wręcz zbulwersowani prześladowaniami Żydów, ale chociaż pomagali w niedoli wielu pojedynczym Żydom, nie zrobili nic, by położyć kres ogólnej fali opresji. Bo i cóż mogli zrobić? Często stawiali to pytanie i nie było na nie łatwej odpowiedzi.

Do Niemców docierały, poprzez cenzurowaną prasę i rozgłośnie radiowe, niewyraźne doniesienia o oburzeniu za granicą, ale zauważali też, że obcokrajowcy tłumnie zjeżdżają do III Rzeszy i najwyraźniej cenią sobie miejscową gościnność. Nazistowskie Niemcy, w znacznie większym stopniu niż radziecka Rosja, były otwarte i nie kryły się przed wzrokiem świata[258]. Branża turystyczna kwitła i ściągała do kraju jakże potrzebną zagraniczną walutę. Nazistowscy przywódcy najwyraźniej nie mieli nic do ukrycia. Obcokrajowiec, nawet przeciwnik nazistów, mógł swobodnie przyjechać do Niemiec i oglądać, co mu się żywnie podobało, z wyjątkiem obozów koncentracyjnych i oczywiście, jak w każdym innym państwie, placówek wojskowych. I cudzoziemcy tłumnie przyjeżdżali. Wielu z nich, którzy wprawdzie nie dali się „nawrócić", ale znaleźli w sobie tolerancję dla „nowych Niemiec" i twierdzili, że widzieli tam „pozytywne osiągniecia", potem wracało. Nawet człowiek tak przenikliwy jak Lloyd George, który pokierował Anglię do zwycięstwa nad Niemcami w 1918 r. i w tym samym roku prowadził kampanię wyborczą pod hasłem „Powiesić kajzera", gdy w 1936 r. odwiedził Hitlera na Obersalzbergu, wyjechał oczarowany Führerem i publicznie nazywał go „wielkim człowiekiem".

Chwalił go za wizję i wolę rozwiązania problemów społecznych nowoczesnego państwa – przede wszystkim bezrobocia, czyli rany, która nadal ropiała na skórze Anglii i dla której wielki przywódca liberałów z czasów Wielkiej Wojny, ze swoim programem „Możemy pokonać bezrobocie”, znalazł w kraju tak mało zainteresowania.

Igrzyska olimpijskie zorganizowane w Berlinie w sierpniu 1936 r. dały nazistom wyborną okazję do zaimponowania światu sukcesami III Rzeszy i w pełni ją wykorzystali. Znaki z napisami *Juden unerwünscht* (Żydzi niepożądani) zostały po cichu zdjęte z witryn sklepów, hoteli, ogródków piwnych i innych miejsc publicznych, prześladowania Żydów oraz dwóch Kościołów chrześcijańskich przejściowo ustały, a cały kraj zachowywał się bardzo poprawnie. Żadne z poprzednich igrzysk nie zostały zorganizowanie z taką pompą i nie były pełne takiego przepychu. Göring, Ribbentrop i Goebbels wydawali olśniewające przyjęcia dla zagranicznych gości. Podczas „włoskiej nocy” zorganizowanej przez ministra propagandy na Pawiej Wyspie niedaleko Wannsee na wystawnej kolacji podanej na rozległej scenie udekorowanej w klimacie *Księgi tysiąca i jednej nocy* stawiło się ponad tysiąc osób. Przyjezdni, zwłaszcza z Anglii i Ameryki, byli pod ogromnym wrażeniem tego, co ujrzeli. Opowiadali, że szczęśliwy, zdrowy i przyjacielski naród rządzony przez Hitlera zdecydowanie odbiega od obrazu rysowanego w depeszach prasowych z Berlina.

A jednak pod powierzchnią trwała poniżająca – przynajmniej według obcokrajowca – transformacja życia w Niemczech, która podczas tych wspaniałych dni igrzysk została ukryta przed oczami turystów, a prawdę powiedziawszy, przeoczyli ją albo też zaakceptowali z zadziwiającą biernością także sami Niemcy.

Oczywiście wymierzonych w Żydów ustaw Hitlera i inicjowanych przez rząd prześladowań tych biednych ludzi nie dało się zamaskować. Tak zwane „ustawy norymberskie” z 15 września 1935 r. pozbawiły Żydów niemieckiego obywatelstwa i zdegradowały ich do statusu „poddanych”. Ponadto zakazywały małżeństw Żydów z Aryjczykami, a także ich pozamałżeńskich relacji. Żydzi nie mogli zatrudniać aryjskich służących płci żeńskiej poniżej 35 roku życia. W ciągu kolejnych kilku lat około trzynastu rozporządzeń uzupełniających do ustaw norymberskich niemal całkowicie wykluczyło Żydów z życia niemieckiego społeczeństwa. Jednak już do lata 1936 r., gdy Niemcy organizowały igrzyska olimpijskie, które tak oczarowały zachodnich gości, Żydzi zostali dosłownie wyrzuceni z

publicznych i prywatnych posad z powodu przepisów lub nazistowskiego terroru (to drugie często poprzedzało pierwsze). Proceder ten osiągnął taką skalę, że przynajmniej połowa z nich pozostała bez środków do życia. Z urzędów publicznych, służby cywilnej, prasy, radia, rolnictwa, nauczania, teatru i filmu usunięto ich już w pierwszym roku funkcjonowania III Rzeszy. W 1934 r. wyrzucono ich z giełdy, a chociaż uniemożliwienie im działania na polach prawa, medycyny i przedsiębiorczości zyskało moc prawną dopiero w 1938 r., to w praktyce zostali usunięci z tych dziedzin już wcześniej.

Co więcej, odmawiano im nie tylko większości życiowych udogodnień, ale i artykułów pierwszej potrzeby. W wielu miasteczkach Żyd miał problem z kupnem żywności. Na drzwiach sklepów spożywczych, rzeźni, piekarni czy mleczarni pojawiły się znaki „Żydom wstęp wzbroniony". W niejednej miejscowości nie mogli kupić nawet mleka dla dzieci. Apteki przestały sprzedawać im lekarstwa. Hotele odmawiały kwaterunku. I wszędzie, gdzie się udawali, witały ich poniżające znaki: „Do tego miasta Żydom wstęp surowo wzbroniony" albo „Żydzi przybywają tu na własne ryzyko". Przy ostrym zakręcie drogi pod Ludwigshafen stał znak: „Zachowaj ostrożność! Ostry zakręt! Żydzi 120 km/h!"[259].

Właśnie tak wyglądał los niemieckich Żydów w czasie olimpijskiego święta w Berlinie. Był to początek drogi, która wkrótce doprowadzi do ich masowej masakry.

PRZEŚLADOWANIA KOŚCIOŁÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH

Nazistowska wojna z Kościołami chrześcijańskimi zaczęła się spokojniej. Wprawdzie Hitler, nominalnie katolik, pomstował w *Mein Kampf* na polityczny katolicyzm i atakował oba Kościoły chrześcijańskie za bagatelizowanie kwestii rasowej, ale jak widzieliśmy, ostrzegał, że „partia polityczna (…) nie może zapomnieć o fakcie, iż we wszystkich dotychczasowych przypadkach dziejowych partii czysto politycznej nie udało się przeprowadzić reformacji religijnej". Artykuł 24 programu partii postulował „wolność dla wszystkich wyznań religijnych w państwie, o ile nie stanowią zagrożenia dla (…) moralnych uczuć rasy niemieckiej. Partia popiera pozytywne chrześcijaństwo". W przemówieniu przed Reichstagiem 23 marca 1933 r., kiedy to niemiecki parlament zrezygnował ze swoich

uprawnień na rzecz dyktatora, Hitler oddał hołd wierze chrześcijańskiej, nazywając ją „zasadniczym elementem chroniącym duszę narodu niemieckiego”. Obiecał respektować jej prawa, oświadczył, że „ambicją jego rządu jest pokojowa harmonia pomiędzy Kościołem i państwem”, i dodał, mając na uwadze głosy deputowanych Partii Centrum, które zresztą otrzymał: „Liczymy na poprawę przyjacielskich relacji ze Stolicą Apostolską”.

Już cztery miesiące później, 20 lipca, nazistowski rząd zawarł z Watykanem konkordat, w którym zagwarantował swobodę wyznawania religii katolickiej oraz prawo Kościoła do „regulowania własnych spraw”. Atrament na porozumieniu, podpisanym ze strony Niemiec przez Papena, a w imieniu Stolicy Apostolskiej przez papieskiego sekretarza stanu Pacelliego, późniejszego Piusa XII, jeszcze dobrze nie wysechł, a nazistowski rząd już je złamał. Niemniej podpisanie konkordatu nastąpiło w chwili, gdy ekscesy nazistowskiego reżimu zaczęły wzbudzać oburzenie za granicą i niewątpliwie zapewniło rządowi Hitlera potrzebny mu prestiż[260].

25 lipca, pięć dni po ratyfikowaniu konkordatu, nazistowski rząd promulgował ustawę sterylizacyjną, obraźliwą szczególnie dla Kościoła katolickiego. Kolejne pięć dni później władze podjęły pierwsze kroki w kierunku rozwiązania Związku Młodzieży Katolickiej. W następnych latach aresztowano tysiące księży, zakonnic i laickich liderów społeczności katolickiej, wielu z nich pod wyssanymi z palca zarzutami o „niemoralność” lub „szmuglowanie obcych walut”. Jak wspomnieliśmy, Erich Klausener, przywódca Akcji Katolickiej, został zamordowany podczas czystki 30 czerwca. Zamknięto wiele katolickich czasopism, a tajni agenci Gestapo gwałcili nawet świętość tajemnicy spowiedzi. Do wiosny 1937 r. niemiecka hierarchia katolicka, która podobnie jak większość protestanckiego duchowieństwa początkowo próbowała współpracować z nowym reżimem, straciła wszelkie złudzenia. 14 marca 1937 r. papież Pius XI ogłosił encyklikę „Mit Brennender Sorge” („Z palącą troską”), w której oskarżył niemiecki rząd o „uchylanie się” od zapisów konkordatu i ich „naruszanie”, a także o rozsiewanie „chwastów podejrzeń, niezgody, nienawiści, kalumnii, potajemnej i jawnej fundamentalnej wrogości do Chrystusa i jego Kościoła”. Papież dostrzegł „na niemieckim horyzoncie (…) groźne burzowe chmury niszczycielskich wojen religijnych (…), których jedynym celem jest (…) eksterminacja”.

Wielebny Martin Niemöller osobiście ucieszył się z dojścia nazistów do władzy. W 1933 r. ukazała się jego autobiografia *Z U-Boota na ambonę*. Opowieść o dowódcy okrętu podwodnego z I wojny światowej, który został prominentnym protestanckim pastorem, zyskała ogromny poklask w nazistowskiej prasie i okazała się bestsellerem. Pastor Niemöller, podobnie jak wielu protestanckich duchownych, uważał 14 lat republiki za „lata mroku”[261], a pod koniec swojej książki umieścił notę wyrażającą zadowolenie, że nazistowska rewolucja w końcu zatriumfowała i przyniosła „narodowe odrodzenie”, o które tak długo walczył – tak jak wielu liderów ruchu nazistowskiego przez pewien czas służył we freikorpsach.

Wkrótce miał zostać boleśnie pozbawiony złudzeń.

W Niemczech, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, protestanci byli mocno podzieleni. Tylko garstka – około 150 tysięcy z 45 milionów – należała do wolnych Kościołów, na przykład metodystycznego czy baptystycznego. Reszta przynależała do 28 Kościołów luterańskich i reformowanych, z których największy był Kościół Unii Staropruskiej zrzeszający aż 18 milionów wiernych. Wraz z rozwojem narodowego socjalizmu wśród protestantów nastąpiły kolejne podziały. Co bardziej fanatyczni naziści-protestanci w 1932 r. zorganizowali Ruch Wiary Niemieckich Chrześcijan, a jego najzacieklejszym przywódcą był niejaki Ludwig Müller, kapelan wojskowy z okręgu wschodniopruskiego, żarliwy zwolennik Hitlera, który skontaktował Führera z generałem von Blombergiem, gdy ten dowodził jego okręgiem wojskowym. „Niemieccy Chrześcijanie” gorliwie popierali nazistowskie teorie rasowe oraz zasadę przywództwa i pragnęli ich zastosowania w Kościele Rzeszy, który miał połączyć wszystkich protestantów. W 1933 r. do „Niemieckich Chrześcijan” należało około 3000 z łącznej liczby 17 tysięcy pastorów, choć ich świeccy wyznawcy stanowili najpewniej większy odsetek wśród wiernych.

W opozycji do „Niemieckich Chrześcijan” stała kolejna grupa, która nazwała się „Kościołem Wyznającym”. Mogła poszczycić się podobną liczbą pastorów, a ostatecznie na jej czele stanął sam Niemöller. Sprzeciwiała się nazyfikacji Kościołów protestanckich, odrzucała teorie rasowe oraz głośno potępiała antychrześcijańskie doktryny Rosenberga i innych nazistowskich liderów. Pomiędzy nimi stała większość niemieckich protestantów, którzy byli zbyt bojaźliwi, aby przyłączyć się do jednej z „wojujących” stron i siedzieli okrakiem na płocie ciągnącym się pośrodku. Ostatecznie w większości spadną z niego prosto w ramiona Hitlera,

akceptując jego prawo do wtrącania się w sprawy kościelne i bez marudzenia słuchając jego nakazów.

Trudno pojąć postawę niemieckich protestantów w pierwszych latach władzy nazistów, jeśli nie ma się świadomości dwóch spraw: ich historii oraz wpływu Marcina Lutra[262]. Wielki założyciel protestantyzmu był zarówno zapamiętałym antysemitą, jak i zawziętym wyznawcą absolutnego posłuszeństwa władzy państwa. Chciał oczyścić Niemcy z Żydów, a gdy władcy ich wyganiali, radził, aby pozbawiali ich „wszystkich pieniędzy, klejnotów, srebra i złota", a ponadto należy „palić ich synagogi i szkoły, rozbijać i niszczyć ich domy (…), zaś ich wtrącać do obór, jak cyganów (…) w niewolę i nędzę, skoro nieustannie lamentują i skarżą się na nas Bogu". Cztery wieki później Hitler, Göring i Himmler pójdą za tymi radami, i to rozumianymi bardzo dosłownie[263].

W czasie bodaj jedynego zrywu ludowego w dziejach Niemiec, czyli powstania chłopskiego w 1525 r., Luter radził książętom, aby podejmowali jak najsurowsze środki przeciwko „wściekłym psom", jak nazywał zrozpaczonych, uciśnionych chłopów. W tym przypadku, tak jak w tyradach wymierzonych w Żydów, Luter posługiwał się językiem, którego wulgarność i brutalność nie miała sobie równych aż do czasów nazistowskich. Wpływ tej wielkiej postaci objął całe pokolenia Niemców, zwłaszcza protestantów. Jednym z rezultatów tego zjawiska była łatwość, z jaką niemiecki protestantyzm zamieniał się w narzędzie królewskiego i książęcego absolutyzmu – od XVI w. do czasu obalenia królów i książąt w 1918 r. Dziedziczni monarchowie oraz drobni władcy byli najwyższymi biskupami Kościoła protestanckiego w swych włościach. I tak w Prusach król z dynastii Hohenzollernów był też głową Kościoła. W żadnym innym kraju, z wyjątkiem carskiej Rosji, duchowieństwo nie stało się tradycyjnie tak uległe politycznej władzy państwa. Jego członkowie, z dosłownie kilkoma wyjątkami, niezachwianie stali za królem, junkrami i armią, a w XIX w. posłusznie zwalczali nasilające się ruchy liberalne i demokratyczne. Dla większości protestanckich pastorów nawet Republika Weimarska była bluźnierstwem. I nie tylko dlatego, że zdetronizowała królów i książąt, ale ponieważ jej główną bazę poparcia stanowili katolicy i socjaliści. W czasie wyborów do Reichstagu nie dało się nie zauważyć, że protestanckie duchowieństwo – a Niemöller był jego typowym przedstawicielem – całkiem jawnie popiera nacjonalistycznych, a nawet nazistowskich wrogów

republiki. Pastorzy w większości, także wzorem Niemöllera, z radością powitali objęcie kanclerstwa przez Hitlera.

Wkrótce mieli dokładnie zapoznać się z taktyką sił, które wyniosły Hitlera do władzy. W lipcu 1933 r. przedstawiciele Kościołów protestanckich spisali statut nowego „Kościoła Rzeszy", a 14 lipca został on oficjalnie uznany przez Reichstag. Natychmiast rozgorzała gorąca walka o wybór pierwszego biskupa Rzeszy. Hitler nalegał, aby najwyższe stanowisko ofiarowano kapelanowi Müllerowi, jego przyjacielowi i doradcy ds. protestantyzmu. Liderzy Federacji Kościołów zaproponowali wybitnego teologa pastora Friedricha von Bodelschwingha. Wykazali się sporą naiwnością. Nazistowski rząd zareagował niezwłocznie, rozwiązując szereg prowincjonalnych struktur kościelnych, zawieszając na urzędach kilku czołowych dygnitarzy Kościołów protestanckich i napuszczając na krnąbrnych duchownych SA i Gestapo. Władze po prostu sterroryzowały wszystkich zwolenników Bodelschwingha. W przeddzień wyboru delegatów na synod, który z kolei miał wybrać biskupa Rzeszy, Hitler osobiście wybrał się do radia i „namawiał" na wybór „Niemieckich Chrześcijan", których kandydatem był Müller. Kampania zastraszania przyniosła świetne efekty. W międzyczasie Bodelschwingha zmuszono do wycofania kandydatury, a w „wyborach" wygrali „Niemieccy Chrześcijanie", którzy we wrześniu na synodzie w Wittenberdze, gdzie Luter po raz pierwszy rzucił wyzwanie Rzymowi, wybrali Müllera na biskupa Rzeszy.

Lecz nowa głowa Kościoła, człowiek o bardzo ciężkiej ręce, nie potrafiła zbudować zjednoczonego Kościoła ani gruntownie znazyfikować protestanckich kongregacji. 13 listopada 1933 r., dzień po tym jak naród przytłaczającą większością poparł Hitlera w plebiscycie, „Niemieccy Chrześcijanie" zorganizowali masowy wiec w berlińskim Sportpalast. Doktor Reinhard Krause, przywódca tego wyznania w okręgu stołecznym, zaproponował rezygnację ze Starego Testamentu „z jego opowiastkami o kupcach bydła i alfonsach" oraz rewizję Nowego Testamentu, aby nauki Jezusa „w pełni odpowiadały wymogom narodowego socjalizmu". Przygotowano rezolucje pod hasłem „Jeden lud, jedna Rzesza, jedna wiara", które wymagały od pastorów składania przysięgi na wierność Hitlerowi, a od wszystkich Kościołów zastosowania paragrafu aryjskiego i pozbycia się nawróconych Żydów. Tego było już za wiele, nawet dla skromnych protestantów, którzy bali się stanąć po którejkolwiek ze stron w

walce Kościołów. Biskup Müller musiał zawiesić Krausego i wyrzec się jego poglądów.

W rzeczywistości zmagania pomiędzy nazistowskim rządem i Kościołami były kolejną odsłoną prastarego sporu o to, co należne cesarzowi, a co Bogu. W kwestii protestantów Hitler stanowczo twierdził, że skoro nazistowscy „Niemieccy Chrześcijanie" nie potrafią postawić Kościołów ewangelickich do pionu pod wodzą biskupa Müllera, to zajmie się tym rząd. Hitler zawsze czuł pewną wzgardę do protestantów, którzy wprawdzie w jego rodzimej katolickiej Austrii byli niewielką mniejszością, ale w Niemczech stanowili dwie trzecie społeczeństwa. „Możecie zrobić z nimi, co chcecie – powiedział kiedyś swym podwładnym. – Ulegną (…), to nic nieznaczący mali ludzie, posłuszni jak psy, a gdy się coś do nich mówi, aż pocą się ze skrępowania"[264]. Kanclerz doskonale wiedział, że opór nazyfikacji Kościołów protestanckich stawia garstka pastorów i jeszcze mniej liczna część wiernych.

Na początku 1934 r. rozczarowany Niemöller stał się inspiratorem mniejszościowych sił oporu przeciwko „Niemieckim Chrześcijanom" i Nadzwyczajnemu Związkowi Pastorów. Podczas synodu generalnego w Barmen w maju 1934 r. i na nadzwyczajnym zebraniu w kościele Jezusa Chrystusa w Dahlem na przedmieściu Berlina, gdzie nauczał Niemöller, Kościół Wyznający ogłosił się właściwym Kościołem protestanckim w Niemczech i powołał tymczasowy rząd kościelny. Istniały więc dwa stronnictwa – Kościół Rzeszy Müllera i Kościół Niemöllera – roszczące sobie prawo do bycia „praworządnym" Kościołem Niemiec.

Wszyscy wiedzieli, że byłemu kapelanowi, pomimo bliskich stosunków z Hitlerem, nie udało się zintegrować wszystkich Kościołów protestanckich i pod koniec 1935 r., po tym jak Gestapo aresztowało setki pastorów Kościoła Wyznającego, zrezygnował z urzędu i wycofał się z życia publicznego. Hitler już w lipcu 1935 r. mianował swego przyjaciela, nazistowskiego prawnika doktora Hansa Kerrla, ministrem ds. wyznań. Jego główne zadanie polegało na podjęciu kolejnej próby skoordynowania środowisk protestanckich. Udało mu się nie tylko zjednać konserwatywny kler, a ten stanowił zdecydowaną większość, ale też sformować Komitet Kościelny, na którego czele stanął czcigodny doktor Zöllner. Ten szanowany przez wszystkie frakcje człowiek miał wypracować ogólne porozumienie. Ugrupowanie Niemöllera współpracowało z komitetem, ale nadal utrzymywało, że jest jedynym właściwym Kościołem. Gdy w maju

1936 r. wystosowało uprzejme, lecz stanowcze memorandum do kanclerza, protestując przeciw antychrześcijańskim skłonnościom reżimu, potępiając antysemityzm rządu i domagając się zaprzestania ingerencji państwa w sprawy kościelne, sprowokowało bezwzględną reakcję ministra spraw wewnętrznych Fricka. Aresztowano setki pastorów Kościoła Wyznającego. Jeden z sygnatariuszy memorandum, doktor Weissler, został zamordowany w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Fundusze Kościoła Wyznającego skonfiskowano i zakazano mu prowadzić zbiórek.

12 lutego 1937 r. doktor Zöllner zrezygnował z funkcji przewodniczącego Komitetu Kościelnego (Gestapo zabroniło mu odwiedzić dziewięciu aresztowanych pastorów przetrzymywanych w Lubece), skarżąc się, że minister ds. wyznań sabotuje jego pracę. Doktor Kerrl odpowiedział już nazajutrz, w przemówieniu przed uległymi ludźmi Kościoła. Oskarżył czcigodnego Zöllnera, że ten nie popiera nazistowskiej doktryny rasy, krwi i ziemi, czym dobitnie pokazał, że rząd jest wrogi zarówno protestantom, jak i katolikom.

> Partia [oświadczył Kerrl] popiera zasadę pozytywnego chrześcijaństwa, a pozytywne chrześcijaństwo *to* narodowy socjalizm (…). Narodowy socjalizm to dzieło boskiej woli (…). Wola Boga ujawnia się w niemieckiej krwi (…). Doktor Zöllner i hrabia Galen [katolicki biskup Münsteru] próbowali mi wyjaśniać, że chrześcijaństwo polega na wierze w Chrystusa jako Synu Boga. Bawi mnie to (…). Nie, chrześcijaństwo wcale nie jest zależne od apostolskiego credo (…). Prawdziwe chrześcijaństwo jest reprezentowane przez partię, a naród niemiecki został właśnie przyzwany przez nią, a zwłaszcza przez Führera, do prawdziwego chrześcijaństwa (…). Führer jest zwiastunem nowego objawienia[265].

1 lipca 1937 r. pastor Niemöller został aresztowany i zamknięty w berlińskim więzieniu Moabit. Cztery dni wcześniej wygłosił kazanie dla wspólnoty wiernych, którzy zawsze tłumnie garnęli się do jego kościoła w Dahlem. Było to jego ostatnie kazanie w III Rzeszy. Jakby przeczuwając, co się wydarzy, powiedział: „Podobnie jak dawni apostołowie nie myślimy o posłużeniu się naszą siłą, aby umknąć orężowi władz. I podobnie jak oni nie zamierzamy milczeć na rozkaz człowieczy, gdy Bóg poleca nam zabrać głos. Albowiem tak jest, i tak musi pozostać, że obowiązuje nas posłuszeństwo względem Boga, a nie człowieka”.

2 marca 1938 r. Niemöller, po ośmiu miesiącach w więzieniu, stanął przed *Sondergericht*, jednym z nazistowskich trybunałów nadzwyczajnych powołanych do sądzenia osób dopuszczających się przestępstw przeciwko

państwu. Został oczyszczony z głównego zarzutu, „podstępnych ataków na państwo”, lecz ukarano go grzywną w wysokości 2000 marek oraz siedmioma miesiącami odsiadki za „nadużycie ambony” i organizowanie zbiórek pieniężnych w swoim kościele. Ponieważ przebywał w więzieniu dłużej niż stwierdzał wyrok, sąd kazał go wypuścić, ale gdy opuszczał salę rozpraw, został przejęty przez Gestapo i objęty „aresztem zapobiegawczym”. Trafił do obozów koncentracyjnych, najpierw do Sachsenhausen, a potem do Dachau, gdzie spędził siedem lat, aż do wyzwolenia przez Aliantów.

W 1937 r. aresztowano 807 innych pastorów oraz czołowych świeckich działaczy Kościoła Wyznającego, a w ciągu kilku kolejnych lat setki następnych. Nawet jeśli opór kościelnego skrzydła Niemöllera nie został całkowicie złamany, to niewątpliwie był poważnie osłabiony. Większość protestanckich pastorów, podobnie jak większość samych Niemców, uległa w obliczu nazistowskiego terroru. Pod koniec 1937 r. bardzo szanowany biskup Marahrens z Hanoweru dał się namówić Kerrlowi na złożenie publicznej deklaracji, która dla twardych ludzi Boga, takich jak Niemöller, musiała brzmieć wyjątkowo upokarzająco: „Narodowosocjalistyczna koncepcja życia to narodowa i polityczna nauka, które determinuje i charakteryzuje niemieckie człowieczeństwo. Jako taka obowiązuje też niemieckich chrześcijan”. Wiosną 1938 r. biskup Marahrens postawił ostatni krok i polecił wszystkim pastorom w swej diecezji złożyć przysięgę na wierność Führerowi. Zdecydowana większość protestanckiego duchowieństwa szybko ją złożyła, tym samym zobowiązując się prawnie i moralnie do posłuszeństwa rozkazom dyktatora.

Wrażenie, jakoby prześladowania protestantów i katolików przez nazistowski reżim rozdarły lub choćby poważnie wzburzyły niemiecki naród, byłoby zwodnicze. Bo nic takiego nie nastąpiło. Pomijając nieliczne wyjątki, ludzie, którzy tak łatwo zrezygnowali ze swoich swobód politycznych, kulturalnych i gospodarczych, nie zamierzali umierać lub ryzykować więzienia za wolność wyznania. W latach 30. Niemców tak naprawdę poruszały zadziwiające sukcesy Hitlera w tworzeniu miejsc pracy, nakręcaniu prosperity i przywracaniu siły wojskowej, a także jego kolejne triumfy na arenie międzynarodowej. Aresztowania kilku tysięcy pastorów czy katolickich księży albo wewnętrzne spory protestanckich frakcji nie spędzały im snu z powiek. Niemcy nie zastanawiali się nad tym, że nazistowski reżim pod batutą Rosenberga, Bormanna i Himmlera, za

błogosławieństwem Hitlera, w ostatecznym rozrachunku zamierza zniszczyć chrześcijaństwo i zastąpić je dawnym pogaństwem germańskich bogów z czasów plemiennych oraz nowym pogaństwem nazistowskich ekstremistów. W 1941 r. Bormann, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, powiedział publicznie: „Narodowy socjalizm i chrześcijaństwo są nie do pogodzenia".

Religijne plany rządu Hitlera zostały jasno wyłożone w trzydziestojednopunktowym programie „Narodowego Kościoła Rzeszy", przygotowanym już podczas wojny przez Alfreda Rosenberga, zdeklarowanego poganina, który pośród wielu piastowanych urzędów był też „Delegatem Wodza ds. Całej Edukacji i Kształcenia Intelektualnego i Filozoficznego Partii Narodowosocjalistycznej". Wymienione poniżej punkty jego programu zawierają kluczowe założenia:

1. Niemiecki Narodowy Kościół Rzeszy kategorycznie zastrzega sobie wyłączne prawo i wyłączne uprawnienia do kontrolowania wszystkich kościołów w granicach Rzeszy: oświadcza, że będą to narodowe kościoły Rzeszy Niemieckiej.

5. Kościół Narodowy jest zdeterminowany, aby raz na zawsze zlikwidować (…) obce, cudzoziemskie wyznania chrześcijańskie, sprowadzone do Niemiec w brzemiennym roku 800.

7. W Kościele Narodowym nie ma uczonych w piśmie, pastorów, kapelanów ani księży, a tylko mówcy Kościoła Narodowego.

13. Kościół Narodowy domaga się natychmiastowego zaprzestania drukowania i rozpleniania Biblii w Niemczech.

14. Kościół Narodowy oświadcza, że *Mein Kampf* Führera została uznana za największy ze wszystkich dokumentów Kościoła, a co za tym idzie narodu niemieckiego. (…) Jej treść jest nie tylko najwspanialsza, ale i ucieleśnia najczystszą i najprawdziwszą etykę na potrzeby bieżącego i przyszłego życia naszego narodu.

18. Kościół Narodowy pozbędzie się ze swoich ołtarzy wszystkich krucyfiksów, Biblii i wizerunków świętych.

19. Na ołtarzach może znajdować się wyłącznie *Mein Kampf* (najświętsza księga narodu niemieckiego, więc także Boga), a na lewo od ołtarza miecz.

30. W dniu jego założenia chrześcijańskie krzyże muszą zostać usunięte ze wszystkich kościołów, katedr i kaplic (…) i zastąpione jedynym niezwyciężonym symbolem, swastyką[266].

NAZYFIKACJA KULTURY

Wieczorem 10 maja 1933 r., cztery i pół miesiąca po objęciu urzędu kanclerza przez Adolfa Hitlera, w Berlinie doszło do widowiska, którego

świat zachodni nie miał okazji obserwować od schyłku średniowiecza. Około północy defilada z pochodniami tysięcy studentów dotarła na plac Unter den Linden naprzeciw Uniwersytetu Berlińskiego. Następnie pochodnie zostały rzucone na ustawione tam wysokie stosy książek, a gdy te już zapłonęły, dorzucano kolejne książki. Łącznie ogień pochłonął około 20 tysięcy tomów. Podobne sceny rozegrały się w kilku innych miastach. Rozpoczęło się palenie książek.

Wiele książek rzuconych tej nocy w płomienie przez rozradowanych studentów pod przyzwalającym okiem doktora Goebbelsa wyszło spod pióra autorów o światowej renomie. Jeśli chodzi o pisarzy niemieckich, znaleźli się wśród nich Thomas i Heinrich Mannowie, Lion Feuchtwanger, Jakob Wassermann, Arnold i Stefan Zweigowie, Erich Maria Remarque, Walther Rathenau, Albert Einstein, Alfred Kerr i Hugo Preuss. Ten ostatni był autorem projektu konstytucji weimarskiej. Ale na rodzimych twórcach się nie skończyło. W ogień trafiło wiele dzieł autorów zagranicznych: Jacka Londona, Uptona Sinclaira, Helen Keller, Margaret Sanger, H.G. Wellsa, Havelocka Ellisa, Arthura Schnitzlera, Freuda, Gide’a, Zoli czy Prousta. Jak głosiła deklaracja studentów, spaleniu podlegała każda książka „wpływająca wywrotowo na naszą przyszłość lub uderzająca w korzenie niemieckiej myśli, niemiecki dom i siły napędowe naszego narodu”.

Gdy płonące książki zamieniały się w popiół, do studentów zwrócił się doktor Goebbels, nowy minister propagandy, który miał odtąd zaciskać na niemieckiej kulturze nazistowski kaftan bezpieczeństwa. „Dusza narodu niemieckiego znów może znajdować wyraz. Te płomienie oświetlają nie tylko ostateczny kres starej epoki, ale i rozświetlają nową”.

Nową epokę nazistowskiej kultury oświetlały nie tylko ogniska podsycane książkami. Zastosowano także skuteczniejsze, choć mniej symboliczne środki, takie jak zakaz sprzedaży lub obrotu bibliotecznego setek tomów oraz publikacji wielu nowych, a ponadto ścisły reżim kontroli kultury, jakiej nie doświadczył żaden nowoczesny zachodni naród. Już 22 września 1933 r. ustawa przygotowana pod okiem Goebbelsa powołała do życia Izbę Kultury Rzeszy. W ustawie zdefiniowano cel jej działalności: „Do realizacji polityki kultury niemieckiej konieczne jest zgromadzenie kreatywnych artystów wszystkich dziedzin w zjednoczonej organizacji pod kierownictwem Rzeszy. Rzesza musi wskazywać kierunki rozwoju, umysłowego i duchowego, ale także przewodzić poszczególnym dziedzinom i je organizować”.

Do kontrolowania każdej sfery życia kulturalnego zorganizowano siedem podizb: sztuk pięknych, muzyki, teatru, literatury, prasy, radia i filmu. Wszystkie osoby działające na wymienionych polach musiały wstąpić do odpowiednich izb, a ich decyzje i rozporządzenia miały moc obowiązującego prawa. Jeśli chodzi o inne prerogatywy, izby mogły wydalać członków lub nie przyjmować ludzi „niepewnych politycznie", co w praktyce oznaczało, że nawet osoby podchodzące do narodowego socjalizmu względnie obojętnie mogły zostać, i zazwyczaj zostawały, pozbawione prawa uprawiania swej dziedziny sztuki, a co za tym idzie środków do życia.

Każdy, kto mieszkał w Niemczech w latach 30. i w jakimkolwiek stopniu interesował się kulturą, musi pamiętać napawający obrzydzeniem upadek standardów kulturalnych. Zwłaszcza że naród niemiecki przez tyle lat mógł szczycić się wybitną sztuką. Naturalnie stało się to nieuniknione już w chwili, gdy nazistowscy przywódcy postanowili, że sztuka, literatura, radio i film muszą służyć wyłącznie propagandowym celom nowego reżimu i jego barbarzyńskiej filozofii. Za władzy nazistów żaden ważny ówczesny niemiecki pisarz, z wyjątkiem Ernsta Jüngera i początkowo Ernsta Wiecherta, nie był w kraju wydawany. Niemal wszyscy, z Thomasem Mannem na czele, wyemigrowali; nieliczni, którzy zostali, zamilkli lub zostali uciszeni. Wszystkie rękopisy książek lub sztuk teatralnych musiały zostać przedłożone resortowi propagandy, gdzie zatwierdzano je do publikacji lub produkcji.

W III Rzeszy najlepiej wiodło się muzyce, choćby dlatego, że to najmniej upolityczniona dziedzina sztuki, a ponadto Niemcy miały w niej bardzo bogaty dorobek, od Bacha przez Beethovena i Mozarta po Brahmsa. Natomiast wykonania Mendelssohna zostały zakazane, bo był Żydem (dzieła wszystkich żydowskich kompozytorów były *verboten*), podobnie jak muzyka czołowego współczesnego niemieckiego kompozytora Paula Hindemitha. Żydów bardzo szybko wypleniono z orkiestr symfonicznych i zespołów operowych. W przeciwieństwie do pisarzy większość wielkich postaci świata niemieckiej muzyki postanowiła zostać w kraju i użyczyła swych nazwisk i talentów nowemu ładowi. Został na przykład Wilhelm Furtwängler, jeden z największych dyrygentów naszego stulecia. Z łask władzy wypadł już w 1934 r., ponieważ stanął w obronie Hindemitha, ale wkrótce wrócił do pracy i działał przez pozostałe lata władzy Hitlera. Richard Strauss, być może największy żyjący kompozytor, też został w

kraju, a przez pewien czas był nawet przewodniczącym Izby Muzyki Rzeszy i firmował swoim nazwiskiem prostytuowanie kultury przez doktora Goebbelsa. Walter Gieseking, wybitny pianista, większość czasu spędził na objazdach zatwierdzonych i zorganizowanych przez resort propagandy dla promowania niemieckiej „kultury" za granicą. Natomiast dzięki temu, że niemieccy muzycy nie wyemigrowali, i za sprawą zasobnej skarbnicy klasycznej muzyki niemieckiej w III Rzeszy można było usłyszeć wspaniałą muzykę symfoniczną oraz opery. Brylowały na tym polu Orkiestra Filharmonii Berlińskiej oraz Berlińska Opera Państwowa. Pomyślny los niemieckiej muzyki sprawił, że ludzie zapomnieli o upadku pozostałych sztuk, a także innych dziedzin życia.

Jeśli chodzi o teatr, trzeba przyznać, że zachował wysoki poziom, o ile tylko nie odchodził od klasycznych sztuk. Oczywiście Max Reinhardt, wraz ze wszystkimi innymi żydowskimi producentami, reżyserami i aktorami, musiał odejść. Nazistowscy dramatopisarze byli tak makabrycznie kiepscy, że publika trzymała się z daleka od ich propozycji, których teatralny los nieodmiennie kończył się bardzo szybko. Przewodniczącym Izby Teatru Rzeszy był niejaki Hans Johst, niespełniony dramatopisarz, który swego czasu publicznie przechwalał się, że za każdym razem, gdy ktoś wymawia przy nim słowo „kultura", ma ochotę sięgnąć po pistolet. Ale nawet Johst i Goebbels, którzy decydowali, co trafiało na deski, a czasami także reżyserowali, nie byli w stanie powstrzymać teatrów przed jak najbardziej chlubnymi, nierzadko poruszającymi przedstawieniami dzieł Goethego, Schillera czy Szekspira.

Co dziwne, w nazistowskich Niemczech dopuszczono na scenę część sztuk Shawa – może dlatego, że dworował sobie z Anglików i kpił z demokracji, a może naziści nie rozumieli jego dowcipu i przeoczyli jego lewicowe poglądy.

Najdziwniejszy los spotkał wielkiego niemieckiego dramatopisarza Gerharta Hauptmanna. Był on zagorzałym socjalistą, więc wystawiania jego sztuk zakazano już w cesarskich teatrach za rządów Wilhelma II. W czasach republiki stał się najpopularniejszym dramatopisarzem w Niemczech i co niesłychane, utrzymał tę pozycję w III Rzeszy. Jego sztuki nadal wystawiano. Nigdy nie zapomnę sceny, jaka rozegrała się po zakończeniu premiery jego ostatniej sztuki *Die Tochter der Kathedrale*, kiedy to czcigodny autor z bujną grzywą siwych włosów opadających na czarną pelerynę opuszczał teatr ramię w ramię z doktorem Goebbelsem i

Johstem. Podobnie jak wielu wybitnych Niemców, Hauptmann pogodził się z tym, że w jego kraju rządzi Hitler, a cwany Goebbels doskonale wykorzystał to propagandowo, nieustannie przypominając rodakom i światowej opinii publicznej, że największy żyjący niemiecki dramatopisarz, były socjalista i piewca prostego człowieka, nie tylko został w III Rzeszy, ale też nadal tworzy i wystawia swoje dzieła.

Z wydarzeń, które nastąpiły już po wojnie, można wysnuć wniosek, jak szczery, oportunistyczny, a może po prostu zmienny był ten sędziwy artysta. Amerykańskie władze uznały, że służył nazistom aż za dobrze i zakazały wystawiania jego sztuk w swoich sektorach Berlina Zachodniego. Z drugiej strony Rosjanie zaprosili go do miasta, powitali jak bohatera i zorganizowali w Berlinie Wschodnim uroczysty cykl pokazów jego dzieł. 6 października 1945 r. Hauptmann wysłał do zdominowanego przez komunistów „Związku Kultury na rzecz Demokratycznego Odrodzenia Niemiec" życzenia wszystkiego najlepszego i wyraził nadzieję, że uda mu się doprowadzić do „duchowego odrodzenia" narodu niemieckiego.

Niemcy dały światu Dürera i Cranacha, ale w czasach współczesnych nie wyróżniały się na polu sztuk pięknych. Warto jednak zaznaczyć, że niemiecki ekspresjonizm oraz architektura monachijskiego Bauhausu to ciekawe i oryginalne ruchy, a niemieccy artyści uczestniczyli we wszystkich XX-wiecznych przemianach i erupcjach nowych prądów, reprezentowanych przez impresjonizm, kubizm czy dadaizm.

Według Hitlera, który mimo niepowodzeń wiedeńskiej młodości uważał się za prawdziwego artystę, cała sztuka nowoczesna była zdegenerowana i bezsensowna. Umieścił w *Mein Kampf* długą tyradę na ten temat, a jednym z jego pierwszych czynów po objęciu władzy było „oczyszczenie" Niemiec z „dekadenckiej" sztuki i próba zastąpienia jej nową, „germańską". Z niemieckich muzeów usunięto około 6500 współczesnych obrazów – nie tylko dzieła Niemców, na przykład Kokoschki czy Grosza, ale także Cézanne'a, Van Gogha, Gauguina, Matisse'a, Picassa i wielu innych.

To, co miało je zastąpić, pokazano latem 1937 r., gdy Hitler dokonał oficjalnego otwarcia „Domu Sztuki Niemieckiej". Mieścił się on w ponurym, pseudoklasycystycznym gmaszysku, które Führer sam pomógł zaprojektować oraz nazwał jego architekturę „niezrównaną i niepodrabialną". Na pierwszą wystawę niemieckiej sztuki wciśnięto około 900 prac, wybranych z 15 tysięcy zgłoszonych. Był to najkoszmarniejszy

chłam, jaki autor widział na własne oczy. Ostatecznej selekcji dokonał sam Hitler, a według części funkcjonariuszy partyjnych towarzyszących mu przy tej okazji niektóre obrazy zaakceptowane przez nazistowskie jury pod kierownictwem Adolfa Zieglera, przeciętnego malarza i przewodniczącego Izby Sztuk Pięknych[267], tak rozwścieczyły Führera, że nie tylko kazał je wyrzucić, ale i w kilku wykopał dziury swoimi wojskowymi buciorami. W długim przemówieniu inaugurującym wystawę powiedział: „Od zawsze byłem zdeterminowany, aby jeśli tylko los pozwoli nam objąć władzę, nie dyskutować nad tymi kwestiami [oceny jakości artystycznej], tylko podejmować decyzje". I rzeczywiście, podejmował.

W mowie – wygłosił ją 18 lipca 1937 r. – wyłożył nazistowski pogląd na „niemiecką sztukę":

> Dzieła sztuki niedające się zrozumieć bez pękatego zbioru objaśnień, bez którego nie mogą istnieć, i przemawiające do ludzi chorych nerwowo, chętnie chłonących tego typu kretyńskie i butne absurdy, nie będą dłużej otwarcie dostępne dla narodu niemieckiego. Niech nikt się nie łudzi! Narodowy socjalizm podjął dzieło oczyszczenia Rzeszy Niemieckiej i naszego narodu ze wszystkich wpływów zagrażających ich istnieniu i charakterowi (…). Wraz z otwarciem tej wystawy nastał kres artystycznego wariactwa i artystycznego zaśmiecania naszego narodu (…).

A jednak niektórzy Niemcy, zwłaszcza w artystycznym sercu państwa, jakim było Monachium, woleli dać się „zaśmiecać". W innej części miasta w pewnej zapuszczonej galerii, do której wchodziło się wąską klatką schodową, otwarto wystawę sztuki „zdegenerowanej". Doktor Goebbels zorganizował ją, aby pokazać ludziom, przed czym chroni ich wódz. Prezentowano tam znakomity wybór współczesnych obrazów – Kokoschki, Chagalla, ekspresjonistów i impresjonistów. Gdy ją odwiedziłem, po tym jak już przebrnąłem przez Dom Sztuki Niemieckiej, galeria była pełna ludzi, a wzdłuż trzeszczących schodków ciągnęła się aż na ulicę kolejka chętnych. Tłum oblegający wystawę był tak liczny, że rozwścieczony i zawstydzony Goebbels szybko ją zamknął.

KONTROLA PRASY, RADIA I FILMU

Redaktorzy berlińskich dzienników oraz korespondenci gazet ukazujących się w innych miastach Rzeszy każdego ranka schodzili się do

Ministerstwa Propagandy, aby wysłuchać doktora Goebbelsa lub jednego z jego pomocników i dowiedzieć się, które wiadomości mają trafić do druku, a które powinny być zamiecione pod dywan, jak sformułować doniesienia i jakim opatrzyć je nagłówkiem, które kampanie należy już odwołać, a jakie zainicjować oraz jaki wydźwięk powinny mieć tego dnia wstępniaki. Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, instrukcjom werbalnym towarzyszyły codzienne wytyczne na piśmie. Do mniejszych gazet i czasopism spoza stolicy wytyczne wysyłano telegramem lub pocztą.

Aby pracować jako redaktor w III Rzeszy, trzeba było przede wszystkim być „czystym" politycznie i rasowo. Ustawa o prasie Rzeszy z 4 października 1933 r., stwierdzająca, że dziennikarstwo to „zawód publiczny", a więc regulowany prawem, zastrzegała, iż wszyscy redaktorzy muszą posiadać niemieckie obywatelstwo, aryjskie pochodzenie i nie mieć za małżonków Żydów. Ustęp 14 ustawy nakazywał redaktorom, aby „trzymali z dala od gazet wszystko, co w jakikolwiek sposób zwodzi społeczeństwo, miesza samolubne cele z celami wspólnoty, może wewnętrznie lub zewnętrznie pomniejszać siłę Rzeszy Niemieckiej, a także wspólną wolę narodu niemieckiego, obronę Niemiec, ich kulturę i gospodarkę (…) lub urągać honorowi i godności Niemiec". Gdyby ten edykt obowiązywał przed 1933 r., to związałby ręce wszystkim nazistowskim redaktorom i doprowadził do zamknięcia wszystkich nazistowskich gazet. Teraz natomiast zaowocował likwidacją wielu czasopism i wyrzuceniem wszystkich dziennikarzy, którzy nie byli nazistami lub nie chcieli nimi zostać.

Jedną z pierwszych gazet zmuszonych do plajty była „Vossische Zeitung". Została założona w 1704 r., a w przeszłości wśród autorów tekstów ukazujących się na jej łamach pojawiały się takie postacie jak Fryderyk Wielki, Lessing i Rathenau. Z czasem stała się wiodącą niemiecką gazetą, porównywalną z londyńskim czy nowojorskim „Timesem". Była też liberalna i prowadził ją ród Ullsteinów, czyli Żydzi. Przestała się ukazywać 1 kwietnia 1934 r., po 230 latach. „Berliner Tageblatt", kolejna liberalna gazeta ciesząca się światową sławą, utrzymała się na powierzchni nieco dłużej, bo aż do 1937 r., choć jej właściciel, Żyd Hans Lackmann-Mosses, już wiosną 1933 r. musiał zrzec się swoich udziałów. Trzecią wielką niemiecką gazetą liberalną był „Frankfurter Zeitung", który również dalej się ukazywał, tyle że po pozbyciu się żydowskiego właściciela i redaktorów. Jej nowym redaktorem naczelnym został Rudolf Kircher,

wcześniej londyński korespondent tej gazety, anglofil i liberał. Kircher, podobnie jak Karl Silex, redaktor konserwatywnego „Deutsche Allgemeine Zeitung”, który dawniej także pracował jako korespondent w Londynie, otrzymał stypendium Rhodesa i był żarliwym miłośnikiem brytyjskości i liberalizmu, dobrze służył nazistom oraz często bywał – jak pewnego razu wyraził się Otto Dietrich o dawnych „gazetach opozycyjnych” – „bardziej papieski od papieża”. Przetrwanie ostatnich trzech wymienionych tu gazet było w dużej mierze zasługą resortu spraw zagranicznych, który potrzebował znanych na arenie międzynarodowej tytułów jako wzoru do podziwiania przez świat zewnętrzny. Wyrzekły się one jednak przyzwoitości na rzecz nazistowskich władz i rozprzestrzeniały ich propagandę.

Wszystkim niemieckim gazetom odgórnie mówiono, co mają publikować i jak formułować przekaz informacyjny oraz wstępniaki. Ta śmiertelna uległość musiała zniszczyć niemiecką prasę. Nawet ludzie żyjący pośród sztywnych ograniczeń i akceptujący reżim w końcu znudzili się rodzimymi dziennikami. Nakłady zaczęły spadać, nie ominęło to nawet głównych dzienników nazistowskich: porannego „Völkischer Beobachter” i wieczornego „Der Angriff”. Kolejne gazety plajtowały lub były przejmowane przez nazistowskich wydawców, a łączny nakład niemieckiej prasy leciał na łeb na szyję. W czasie pierwszych czterech lat istnienia III Rzeszy liczba ukazujących się w Niemczech dzienników spadła z 3607 do 2671.

Jednak koniec wolnej, zróżnicowanej prasy był równoznaczny z korzyścią partii – przynajmniej finansową. Max Amann, sierżant Hitlera podczas wojny i szef Eher Verlag, stał się finansowym dyktatorem niemieckiej prasy. Jako lider prasy Rzeszy i przewodniczący Izby Prasy miał prawo tłamsić dowolny tytuł prasowy zgodnie z własnym widzimisię, a w konsekwencji mógł ją potem odkupywać za czapkę gruszek. Eher Verlag błyskawicznie stało się potężnym imperium wydawniczym, prawdopodobnie największym i najbardziej dochodowym na świecie[268]. Pomimo spadku sprzedaży wielu nazistowskich czasopism, u progu II wojny światowej na dzienniki należące do partii lub przez nią (albo poszczególnych nazistów) kontrolowane przypadały dwie trzecie łącznego dziennego nakładu prasy w Niemczech, który wynosił wówczas 25 milionów. W złożonym w Norymberdze zeznaniu Amann opowiedział, jak to wszystko funkcjonowało:

> Po tym jak w 1933 r. partia doszła do władzy, (…) wiele koncernów, na przykład Ullstein, które należały lub były kontrolowane przez żydowskich udziałowców, albo przez udziałowców politycznie czy religijnie wrogich Partii Nazistowskiej, uznało za korzystne sprzedać koncernowi Eher swe gazety lub majątek. Nie istniał żaden wolny rynek, na którym można by sprzedać takie mienie, a Eher Verlag co do zasady było jedynym kupcem. W tym względzie Eher Verlag, wraz z posiadanymi lub kontrolowanymi przez nie koncernami wydawniczymi, rozrosło się w monopolistę branży prasowej w Niemczech (…). Inwestycja partii w te firmy wydawnicze finansowo okazała się bardzo udana. Można zgodnie z prawdą stwierdzić, że zasadniczym celem nazistowskiego programu prasowego było wyeliminowanie całej prasy nieprzychylnej partii[269].

W pewnym momencie w 1934 r. zarówno Amann, jak i Goebbels zaapelowali do powolnych im redaktorów, żeby zaradzili widocznej w ich tytułach monotonii. Amann stwierdził, że ubolewa nad „obecną, głęboką jednolitością prasy, która nie jest wynikiem zastosowanych przez rząd metod i nie jest zgodna z wolą rządu”. Pewien nierozważny redaktor, Ehm Welke z tygodnika „Grüne Post”, popełnił duży błąd i wziął słowa Amanna i Goebbelsa na poważnie. Skrytykował Ministerstwo Propagandy za kontrolę biurokratyczną oraz za ciężką rękę, która dusi prasę i czyni ją nudną. Jego periodyk został natychmiast zawieszony na trzy miesiące, a on sam zwolniony przez Goebbelsa i wywieziony do obozu koncentracyjnego.

Radio i kinematografię również szybko zaprzęgnięto do służby propagandzie. Goebbels zawsze uważał radio (telewizji jeszcze nie było) za główne narzędzie propagandy w nowoczesnym społeczeństwie, a dzięki Wydziałowi Radiowemu w swoim resorcie oraz Izbie Radia zdobył absolutne panowanie w eterze i kształtował program radia zgodnie ze swoimi celami. Miał ułatwione zadanie, ponieważ w Niemczech, podobnie jak w innych krajach europejskich, państwo dzierżyło monopol na prowadzenie rozgłośni radiowych, tak więc w 1933 r. nazistowski rząd automatycznie wszedł w posiadanie Korporacji Radiowej Rzeszy.

Kinematografia pozostała w rękach prywatnych, ale Ministerstwo Propagandy i Izba Filmów kontrolowały każdy aspekt branży, a ich zadanie polegało – by posłużyć się słowami oficjalnego komentarza w tej sprawie – na „wydobyciu kinematografii ze sfery myśli liberalno-ekonomicznej (…), a dzięki temu na możności obdarzenia jej obowiązkami, które musiała wypełnić w państwie narodowosocjalistycznym”.

W efekcie naród był gnębiony audycjami i filmami równie ogłupiającymi i nudnymi, jak treść codziennych gazet i czasopism. Nawet odbiorcy, którzy

zazwyczaj bez słowa protestu słuchali z ust władz, co jest dla nich dobre, w końcu się zbuntowali. Klienci nie zbliżali się do kin wyświetlających nazistowskie produkcje, zaś kina pokazujące nieliczne, dopuszczone przez Goebbelsa filmy zagraniczne (zazwyczaj hollywoodzkie kino klasy B) pękały w szwach. W pewnym momencie w połowie lat 30. niemieckie filmy wygwizdywano tak powszechnie, że minister spraw wewnętrznych Wilhelm Frick, wydał surowe ostrzeżenie przeciwko „mającemu znamiona zdrady zachowaniu bywalców kin". Również audycje radiowe tak mieszano z błotem, że przewodniczący Izby Radia, niejaki Horst Dressler-Andress, oświadczył, że nadmierne krytykanctwo to „obelga dla niemieckiej kultury" i nie będzie tolerowane. W tych czasach, w latach 30., niemiecki słuchacz nadal mógł ruszyć pokrętłem swojego odbiornika i słuchać wielu zagranicznych stacji, nie ryzykując przy tym życia, jak to będzie po wybuchu wojny. I przypuszczalnie wielu Niemców słuchało. Autor jednak odniósł wrażenie, że z biegiem lat Goebbels udowodnił, że miał rację i radio faktycznie stało się najskuteczniejszym narzędziem reżimowej propagandy. Kształtowało naród niemiecki w oczekiwany przez Hitlera sposób sprawniej niż jakiekolwiek inne.

Sam doświadczyłem, jak w totalitarnym państwie łatwo ulega się kłamstwom i cenzurowanej prasie. Choć w przeciwieństwie do większości Niemców miałem codzienny dostęp do zagranicznych gazet, zwłaszcza tych z Londynu, Paryża i Zurychu, które docierały do mnie nazajutrz po wydaniu, a ponadto regularnie słuchałem BBC i innych zagranicznych rozgłośni, moja praca polegała na spędzaniu wielu godzin na przeczesywaniu prasy niemieckiej, sprawdzaniu, co słychać w niemieckim radiu, rozmowach z nazistowskimi funkcjonariuszami i uczęszczaniu na partyjne spotkania. Przekonywałem się z zaskoczeniem i pewną konsternacją, że chociaż miałem styczność z faktami i z zasady nie ufałem wiadomościom z nazistowskich źródeł, to kilkuletnia nieprzerwana dieta złożona z fałszerstw i wypaczeń miała spory wpływ na mój umysł i nierzadko go zwodziła. Nikt, kto nie spędził kilku lat w systemie totalitarnym, nie wie, jak trudno uniknąć przerażających skutków wyrachowanej i nieprzerwanej reżimowej propagandy. Bardzo często, czy to w niemieckich domach, biurach, czy też czasami w toku niezobowiązujących rozmów z nieznajomymi w restauracjach, piwiarniach lub kawiarniach, wysłuchiwałem cudacznych stwierdzeń z ust pozornie wykształconych i inteligentnych ludzi. Było oczywiste, że po prostu

papugują nonsensy zasłyszane w radiu lub wyczytane w gazetach. Czasami starałem się im to zarzucać, ale spotykałem się z takim niedowierzaniem i nieufnością, z tak pełnym oburzenia milczeniem, jakbym ubliżał Wszechmogącemu. Zdałem sobie sprawę, jak jałowe są próby porozumiewania się z tymi wykrzywionymi umysłami, które za fakty brały to, co w swej cynicznej pogardzie dla prawdy wmówili im Hitler i Goebbels.

EDUKACJA W III RZESZY

30 kwietnia 1934 r. Bernhard Rust, obergruppenführer SA, w swoim czasie gauleiter Hanoweru, członek NSDAP i przyjaciel Hitlera od początku lat 20., został mianowany ministrem nauki, edukacji i kultury popularnej Rzeszy. W dziwacznym, stojącym na głowie świecie narodowego socjalizmu Rust zdawał się idealnym kandydatem na to stanowisko. Od 1930 r. był bezrobotnym dyrektorem prowincjonalnej szkoły, został zwolniony przez republikańskie władze Hanoweru, gdyż przejawiał symptomy niezrównoważenia, chociaż możliwe, że za dymisję odpowiadał też jego fanatyczny nazizm. Doktor Rust nauczał nazistowskiej ewangelii z gorliwością Goebbelsa i mętnością Rosenberga. W lutym 1933 r. został ministrem nauki, sztuki i edukacji Prus oraz szczycił się, że z dnia na dzień udało mu się „zlikwidować szkołę jako instytucję intelektualnych akrobacji”.

Teraz temu bezmyślnemu człowiekowi powierzono dyktatorską władzę nad niemiecką nauką, szkołami publicznymi, instytucjami szkolnictwa wyższego oraz organizacjami młodzieżowymi. Hitler chciał, aby w III Rzeszy kształcenie nie ograniczało się do ciasnych klas, lecz zostało wzbogacone o spartański trening polityczno-żołnierski na kolejnych poziomach grup młodzieżowych, a jego zwieńczeniem wcale nie miały być uniwersytety czy uczelnie techniczne, na które uczęszczała skromna mniejszość Niemców, lecz, w wieku 18 lat, obowiązkowa praca, a następnie służba w siłach zbrojnych.

Na stronach *Mein Kampf* aż roi się od wyrazów pogardy Hitlera dla „profesorów” i intelektualnego życia akademickiego. Wyłożył tam też swoją wizję edukacji. „Cała edukacja w państwie narodowym musi skupiać się przede wszystkim na kreowaniu fizycznie zdrowych jak ryba ciał, a nie

na zwykłym faszerowaniu wiedzą”. Podkreślił jednak, że jeszcze ważniejsze jest skaptowanie młodzieży i przygotowanie jej do służby „nowemu państwu narodowemu”. Często wracał do tego zagadnienia, gdy został dyktatorem. W przemówieniu z 6 listopada 1933 r. stwierdził: „Gdy jakiś rywal mówi: »Nie stanę u waszego boku«, odpowiadam mu spokojnie: »Twoje dziecko już do nas należy (…). Bo kim ty jesteś? Przeminiesz. Ale twoi potomkowie są już w nowym obozie. Wkrótce zapomną o wszystkim poza tą nową społecznością«”. 1 maja 1937 r. oświadczył: „Nowa Rzesza nie odda swojej młodzieży nikomu, ale zabierze ją i ofiaruje jej własną edukację i własne wychowanie”. To nie były czcze przechwałki; dokładnie tak wyglądały niemieckie realia.

Niemieckie szkoły, od pierwszej klasy po uniwersytet, zostały znazyfikowane bardzo szybko. Podręczniki pośpiesznie przepisano, program nauczania zmodyfikowano, a *Mein Kampf* – jak deklarował „Der Deutsche Erzieher”, oficjalny organ pedagogiczny – stała się „naszą bezbłędną gwiazdą przewodnią”. Nauczyciele, którzy nie potrafili dostrzec jej światła, lądowali na bruku. Większość z nich, nawet jeśli jeszcze nie należeli do partii, miała nazistowskie zapatrywania. Aby wzmocnić ich ideologiczne poglądy, wysyłano ich do specjalnych szkół na intensywne kursy narodowosocjalistycznych zasad, gdzie szczególny nacisk kładziono na doktryny rasowe.

Każda osoba trudniąca się nauczaniem, od przedszkola po uczelnie wyższe, miała obowiązek wstąpić do Narodowosocjalistycznego Związku Nauczycieli, który zgodnie z prawem dzierżył „odpowiedzialność za realizację koordynacji politycznej i ideologicznej wszystkich nauczycieli, w zgodzie z narodowosocjalistyczną doktryną”. Ustawa o służbie cywilnej z 1937 r. wymagała, aby nauczyciele „byli wykonawcami woli wspieranego przez partię państwa” i „byli zawsze gotowi bez żadnych zastrzeżeń bronić narodowosocjalistycznego państwa”. Wcześniejszy akt prawny skategoryzował nauczycieli jako członków służby cywilnej, a więc podlegali prawom rasowym. Naturalnie Żydom zabroniono nauczać. Wszyscy nauczyciele przysięgali „lojalność i posłuszeństwo Adolfowi Hitlerowi”. W późniejszym okresie uczyć mogli jedynie ludzie mający za sobą służbę w SA, Froncie Pracy lub Hitlerjugend. Kandydaci na wykładowców akademickich musieli zaliczyć sześciotygodniowy obóz obserwacyjny, gdzie nazistowscy eksperci analizowali ich poglądy i

charakter, po czym składali raporty Ministerstwu Edukacji i dopiero resort, oceniając ich „wiarygodność” polityczną, wydawał stosowne licencje.

Przed 1933 r. niemieckie szkoły publiczne podlegały jurysdykcji władz lokalnych, a uniwersytety – krajów związkowych. Teraz wszystkie znalazły się pod żelazną kontrolą ministra edukacji Rzeszy. To on mianował rektorów i dziekanów uczelni wyższych, dawniej wybieralnych przez ogół wykładowców danego wydziału. Nominował też przywódców uniwersyteckich związków studenckich, do których musieli należeć wszyscy studenci, a także związków wykładowców, analogicznie zrzeszających wszystkich wykładowców. Decydowanie o tym, kto może wykładać, i w sprawdzanie, czy ich nauki są zgodne z nazistowskimi teoriami, powierzono Narodowosocjalistycznemu Stowarzyszeniu Wykładowców Uniwersyteckich, znajdującemu się pod ścisłą kontrolą nazistów.

Tak dogłębna nazyfikacja sprowadziła katastrofę na niemiecką oświatę i nauczanie. Nowe podręczniki oraz nauczyciele zakłamywali historię na wręcz absurdalną skalę. Tym bardziej robiły to „nauki rasowe”, wywyższające Niemców – rasę panów, i potępiające Żydów, nasienie wszelkiego zła tego świata. Na samym tylko Uniwersytecie Berlińskim, na którym w przeszłości wykładało wielu wspaniałych naukowców, nowy rektor, były szturmowiec i weterynarz z zawodu, uruchomił 25 nowych kursów z *Rassekunde* „nauk rasowych”, a zanim udało mu się doprowadzić do całkowitego upadku tej uczelni, zorganizował 86 kursów związanych z własną profesją.

Poziom nauczania nauk przyrodniczych, w których Niemcy przez pokolenia wiodły prym, raptownie upadł. Wielcy wykładowcy, tacy jak fizycy Einstein i Franck czy chemicy Haber, Willstätter i Warburg, stracili posady lub sami odeszli. Ci, którzy zostali, a zostało wielu, dali się zarazić nazistowskimi aberracjami i próbowali pogodzić je z prawdziwą nauką. Zaczęli uczyć tak zwanej *niemieckiej* fizyki, *niemieckiej* chemii, *niemieckiej* matematyki. W 1937 r. ukazał się periodyk pod tytułem „Deutsche Mathematik”. We wstępniaku pierwszego numeru oświadczono uroczyście, że pomysły, jakoby matematykę można odbierać poza kontekstem rasowym, „same w sobie noszą zalążki zniszczenia niemieckiej nauki”.

Urojenia nazistowskich naukowców przekraczały wszelkie wyobrażenia, nawet dla laika. „Niemiecka fizyka?”, zapytał retorycznie profesor Philipp Lenard z Uniwersytetu w Heidelbergu, jeden z ważniejszych i bardziej

szanowanych na świecie naukowców III Rzeszy. „»Ale przecież nauka jest i pozostanie międzynarodowa«, można by odpowiedzieć. Błąd. W rzeczywistości nauka, jak każdy inny wytwór ludzkości, jest rasowa i warunkowana krwią”. Profesor Rudolphe Tomaschek, dyrektor Instytutu Fizyki w Dreźnie, posunął się jeszcze dalej: „Współczesna fizyka jest narzędziem [światowego] żydostwa, służącym zniszczeniu nordyckiej nauki (…). Prawdziwa fizyka jest kreacją niemieckiego ducha (…). W rzeczywistości cała europejska nauka jest owocem aryjskiej albo ściślej, niemieckiej myśli”. Profesor Johannes Stark, szef Niemieckiego Narodowego Instytutu Fizyki, stał na podobnym stanowisku. Orzekł, że można ustalić, iż „pierwsi badacze fizyki oraz wielcy odkrywcy od Galileusza przez Newtona po pionierów fizyki naszych czasów byli niemal wyłącznie Aryjczykami, głównie rasy nordyckiej”.

Nie można pominąć profesora Wilhelma Müllera z Politechniki w Akwizgranie, który w książce zatytułowanej Żydostwo i nauka zarysował ogólnoświatowy żydowski spisek, mający na celu zatrucie nauki, a co za tym idzie zniszczenie cywilizacji. W jego mniemaniu arcyzłoczyńcą był Einstein i jego teoria względności. Teoria Einsteina, która stała się podwaliną współczesnej fizyki, według tego nazistowskiego profesora „od początku do końca była sterowana, miała na celu transformację żyjącego – czyli nie-żydowskiego – świata żywej esencji, zrodzonej z matki ziemi i złączonej krwią, i zaklęcie jej w spektralną abstrakcję, w której wszystkie indywidualne różnice pomiędzy ludami i państwami, i wszystkie wewnętrzne ograniczenia ras zatracają się w iluzji, i w której przetrwa tylko niematerialna różnorodność geometrycznych wymiarów, co wyrywa wszystkie zdarzenia spod potrzeby bezbożnej podległości zasadom”. Profesor Müller obwieścił, że uznanie, jakie w całym świecie zdobył Einstein po ogłoszeniu teorii względności, to w rzeczywistości tylko radość „ze zbliżania się żydowskiej władzy nad światem, która ma bezpowrotnie i na wieczność strącić niemieckiego mężczyznę do poziomu otępiałego niewolnika”.

Według profesora Ludwiga Bieberbacka z Uniwersytetu Berlińskiego Einstein był „obcym szarlatanem”. Nawet profesor Lenard stwierdził, że „Żydowi ewidentnie brakuje zrozumienia prawdy (…) i stoi w tym względzie w opozycji do aryjskiego badacza i jego ostrożnej, poważnej woli jej poznania (…). Żydowska fizyka jest więc ułudą, przejawem wynaturzenia fundamentalnej fizyki niemieckiej”[270].

A jednak pomiędzy 1905 a 1931 r. niemieccy Żydzi otrzymywali nagrody Nobla za ich wkład w światową naukę.

Za czasów II Rzeszy profesorowie uniwersyteccy, tak jak duchowieństwo protestanckie, udzielili ślepego poparcia konserwatywnemu rządowi i jego ekspansjonistycznym celom, a aule uczelni były wylęgarniami zjadliwego nacjonalizmu i antysemityzmu. Republika Weimarska kładła nacisk na całkowitą wolność akademicką. W efekcie zdecydowana większość wykładowców – antyliberalnych, antydemokratycznych, antysemickich – przyłożyła rękę do podkopania ustroju demokratycznego. Większość profesorów stanowili fanatyczni nacjonaliści, którzy pragnęli powrotu konserwatywnych i monarchicznych Niemiec. I choć przed 1933 r. naziści byli zbyt awanturniczy i wulgarni, by zdobyć ich głosy, to profesorowie swoimi wykładami pomogli przygotować grunt pod nadejście nazistowskiego reżimu. W 1932 r. okazało się, że większość studentów entuzjastycznie popiera Hitlera.

To zaskakujące, jak duża część kadr uniwersyteckich ugięła się pod nazyfikacją szkolnictwa wyższego w 1933 r. Wprawdzie oficjalne dane dotyczące liczby profesorów i wykładowców zwolnionych w ciągu pierwszych pięciu lat funkcjonowania reżimu mówią o 2800 (to z grubsza jedna czwarta ówczesnej liczby wykładowców), ale odsetek tych, którzy stracili posady, gdyż sprzeciwiali się narodowemu socjalizmowi, był, jak stwierdził profesor Wilhelm Röpke, który w 1933 r. został wyrzucony z Uniwersytetu w Marburgu, „niezmiernie niski”. Choć grono to było nieliczne, znalazły się w nim postacie znane w niemieckim świecie akademickim: Karl Jaspers, E.I. Gumbel, Theodor Litt, Karl Barth, Julius Ebbinghaus i dziesiątki innych. Większość wyemigrowała, najpierw do Szwajcarii, Holandii czy Anglii, a ostatecznie do Ameryki. A jeden z nich, profesor Theodor Lessing, który zbiegł do Czechosłowacji, został wytropiony przez nazistowskich zbirów i 31 sierpnia 1933 r. zamordowany w Marienbadzie.

Niemniej zdecydowana większość profesorów zachowała posady i już jesienią 1933 r. 960 z nich, w tym tacy luminarze nauki jak chirurg profesor Sauerbruch, filozof egzystencjalista Heidegger czy historyk sztuki Pinder, publicznie przyrzekli poparcie Hitlerowi i reżimowi nazistowskiemu.

„Był to pokaz prostytucji, który splamił zaszczytną historię niemieckiego nauczania”, napisał później profesor Röpke[271]. Profesor Julius Ebbinghaus,

wspominając to bagno w 1945 r., stwierdził: „Niemieckie uniwersytety nie sprzeciwiły się publicznie i z całych sił niszczeniu wiedzy i demokratycznego państwa, gdy jeszcze był na to czas. Nie podtrzymały ognia wolności i prawości, gdy zapadła noc tyranii”[272].

Przyszło im za to zapłacić kolosalną cenę. W wyniku sześciu lat nazyfikacji liczba niemieckich studentów spadła o ponad połowę – ze 127 920 do 58 325. Nabór na uczelnie techniczne, z których Niemcy czerpały naukowców i inżynierów, skurczył się jeszcze bardziej – z 20 474 do 9554. Upadek standardów akademickich mógł wywołać zawrót głowy. W 1937 r. młodych naukowców i inżynierów było nie tylko mniej, ale też runął w dół poziom ich kompetencji. Branża chemiczna, która miała posuwać do przodu nazistowską remilitaryzację, już na długo przed wojną skarżyła się poprzez swój oficjalny organ „Die Chemische Industrie”, że Niemcy tracą pozycję lidera w dziedzinie chemii. Zagrażało to krajowej gospodarce, ale przede wszystkim obronności, a za niedobór młodych naukowców i ich pośledni kaliber branża obwiniała mizerny poziom uczelni technicznych.

Jak się okazało, strata nazistowskich Niemiec była równoznaczna z zyskiem wolnego świata, zwłaszcza w wyścigu po bombę atomową. Historia uwieńczonych sukcesem wysiłków nazistowskich przywódców, zwłaszcza Himmlera, na rzecz podcinania skrzydeł programowi energii atomowej jest zbyt długa i złożona, aby ją tu opisać. To jeden z paradoksów historii, że rozwój bomby w Stanach Zjednoczonych tak wiele zawdzięczał dwóm ludziom wydalonym przez dyktatury nazistowską i faszystowską z przyczyn rasowych: Niemcowi Einsteinowi i Włochowi Fermiemu.

Oczkiem w głowie Adolfa Hitlera były nie tyle szkoły publiczne, które sam porzucił tak wcześnie, a struktury Hitlerjugend. Liczył, że to właśnie one ukształtują niemiecką młodzież na potrzeby celów, które chodziły mu po głowie. W latach walki o władzę nazistowski ruch młodzieżowy nie rozrósł się do imponujących rozmiarów. W ostatnim roku republiki do Hitlerjugend należało 107 956 dzieci, podczas gdy do różnych organizacji zrzeszonych w Komitecie Rzeszy ds. Stowarzyszeń Niemieckiej Młodzieży – około 10 milionów. Ruch młodzieżowy nie był tak żywy i liczny w żadnym innym państwie. Hitler zdawał sobie z tego sprawę, dlatego był zdeterminowany, aby go zawłaszczyć i znazyfikować.

Człowiekiem, którego wybrał do tego zadania, był przystojny młody mężczyzna o banalnym umyśle, lecz wielkim charakterze i charyzmie. Baldur von Schirach uległ czarowi Hitlera i wstąpił do partii w 1925 r., w wieku 18 lat, a już w 1931 r. został mianowany Przywódcą Młodzieży Partii Nazistowskiej. Wyróżniał się na tle pobliźnionych, awanturniczych brunatnych koszul wyglądem typowego amerykańskiego studenta. Sprawiał wrażenie nieopierzonego i niedojrzałego, być może dlatego, że jak już widzieliśmy, miał amerykańskich przodków (w tym dwóch sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości)[273].

W czerwcu 1933 r. Schirach został mianowany Przywódcą Młodzieży Rzeszy Niemieckiej. Małpował metody starszych liderów NSDAP. Jego pierwszym ruchem było wysłanie zbrojnej bandy 50 krzepkich młodzieńców z Hitlerjugend, aby zajęli biura Komitetu Rzeszy ds. Stowarzyszeń Niemieckiej Młodzieży, skąd przegonili szefa tej instytucji, starego pruskiego oficera, generała Vogta. Następnie Schirach zabrał się za jednego z największych bohaterów niemieckiej marynarki wojennej, admirała von Trotha, który podczas I wojny światowej pełnił funkcję szefa sztabu Hochseeflotte, a obecnie był przewodniczącym Stowarzyszeń Młodzieżowych. Czcigodny admirał także musiał salwować się ucieczką, a jego stanowisko i organizacja zostały zlikwidowane. Mienie o wartości milionów dolarów, przede wszystkim setki schronisk młodzieżowych rozrzuconych po całych Niemczech, zostało zajęte.

Konkordat z 20 lipca 1933 r. wyraźnie gwarantował niezakłócone kontynuowanie działalności Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej. 1 grudnia 1936 r. Hitler zatwierdził rozporządzenie delegalizujące tę oraz wszystkie inne nienazistowskie organizacje przeznaczone dla młodych ludzi.

> (…) cała niemiecka młodzież w Rzeszy jest zorganizowana w ramach Hitlerjugend. Niemiecka młodzież, oprócz wychowania w rodzinach i w szkole, będzie kształtowana fizycznie, intelektualnie i moralnie w duchu narodowego socjalizmu (…) poprzez Hitlerjugend[274].

Do tej pory urząd Schiracha podlegał Ministerstwu Edukacji, ale teraz miał odpowiadać bezpośrednio przed Hitlerem.

Ten niedoświadczony dwudziestodziewięciolatek, który spłodził rzewny wierszyk na cześć Führera („ten geniusz ociera się o gwiazdy”) i kroczył

śladem Rosenberga w cudaczne pogaństwo oraz Streichera w obsceniczny antysemityzm, został dyktatorem młodzieży III Rzeszy.

Od szóstego do osiemnastego roku życia, kiedy to zaczynał obowiązywać pobór do Służby Pracy i Wehrmachtu, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta byli zorganizowani w najróżniejsze grupy Hitlerjugend. Rodzice uznani winnymi powstrzymywania swoich dzieci przed wstąpieniem do organizacji byli karani długoletnim więzieniem, choć czasami sprzeciwiali się tylko oddawaniu córek do struktur, w których skala zajść w ciążę osiągała skandaliczne rozmiary.

Pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia chłopcy niejako terminowali przed wstąpieniem w szeregi Hitlerjugend; nazywano ich wtedy *Pimpf*. Każde dziecko otrzymywało książeczkę wyników, w której rejestrowano cały jego postęp w nazistowskich strukturach młodzieżowych, także rozwój ideologiczny. W wieku 10 lat, po zdaniu stosownych sprawdzianów sportowych, terenowych, a także egzaminu ze znazyfikowanej historii, chłopiec był promowany do Jungvolku, gdzie składał następującą przysięgę:

> W obecności tego krwawego sztandaru, który reprezentuje naszego Führera, przysięgam poświęcić całą moją energię i moją siłę zbawcy naszego kraju, Adolfowi Hitlerowi. Jestem skłonny i gotowy oddać za niego życie, tak mi dopomóż Bóg.

Czternastoletni chłopiec był przyjmowany do właściwego Hitlerjugend i pozostawał tam do osiemnastego roku życia, po czym przechodził do Służby Pracy i armii. Hitlerjugend było bardzo rozległą organizacją, zorganizowaną na paramilitarny wzór SA, a młodzi chłopcy zbliżający się do wieku męskiego otrzymywali przeszkolenie w biwakowaniu, sporcie, nazistowskiej ideologii, ale również w żołnierce. Autorowi, piknikującemu weekendami w podberlińskich okolicach, wielokrotnie przeszkadzali chłopcy z Hitlerjugend łażący po lasach, parowach i łąkach z ciężkimi plecakami wojskowymi na plecach.

Młode damy też czasami bawiły się w żołnierkę, bo Hitlerjugend nie zaniedbywało panien. Pomiędzy dziesiątym a czternastym rokiem życia niemieckie dziewczęta zapisywano do Jungmädel (dosłownie „młode dziewczęta”) i one również nosiły mundurki, składające się z białej bluzki, długiej niebieskiej spódnicy, skarpet oraz ciężkich – wyjątkowo niekobiecych – marszowych buciorów. Ich przeszkolenie przypominało to chłopców w podobnym wieku. Obejmowało długie weekendowe marsze z

ciężkimi plecakami, a także zwyczajową indoktrynację nazistowską filozofią. Natomiast największy nacisk kładziono na główne zadanie kobiet w III Rzeszy: miały być przede wszystkim zdrowymi matkami zdrowych dzieci. Aspekt ten uwypuklano jeszcze bardziej, gdy jako czternastolatki zostawały członkiniami BDM – Bund Deutscher Mädel (Związek Niemieckich Dziewcząt).

W wieku 18 lat kilka tysięcy dziewcząt z BDM (pozostawały w organizacji do dwudziestego pierwszego roku życia) odbywało roczną służbę w gospodarstwie rolnym – tak zwany *Land Jahr* był odpowiednikiem pobytu młodych mężczyzn w Służbie Pracy. Ich zadanie polegało na pomocy w obejściu i w polu. Dziewczynki mieszkały u goszczących je rolników albo w małych obozach, zbudowanych na wiejskich terenach kraju, skąd każdego ranka ciężarówki zabierały je do pracy na roli. Wkrótce pojawiły się problemy natury moralnej. Przyjazd ładnych młodych dziewcząt z miasta nierzadko zakłócał spokój chłopskich ognisk domowych, dało się też słyszeć skargi wściekłych rodziców, których córki wracały ze wsi w ciąży. Ale na tym nie koniec. Obozy dziewczęce znajdowały się zazwyczaj niedaleko obozów chłopców ze Służby Pracy. Wydaje się, że to również przyczyniło się do wielu zapłodnień. W Niemczech krążył pewien dwuwiersz – co prawda dotyczył „Siły Przez Radość”, ale świetnie pasował też do *Land Jahre*:

> Na polach i wrzosowiskach
> W radości tracę siłę

Podobne problemy moralne narosły wokół dziewczęcego „roku gospodarczego”, w ramach którego około pół miliona dziewczynek z Hitlerjugend spędzało rok jako służba domowa w miastach. Choć w zasadzie najbardziej zagorzali naziści bynajmniej nie zauważali żadnych problemów moralnych. Kilka razy miałem okazję słuchać kobiet przewodzących BDM (zawsze były to damy proste, przeważnie niezamężne), wyłuszczających swym młodym podopiecznym, że spoczywa na nich moralny i patriotyczny obowiązek rodzenia dzieci dla Rzeszy Hitlera – jeżeli będzie to możliwe, najlepiej w małżeństwie, ale gdyby pojawiła się konieczność, to i poza nim.

Pod koniec 1938 r. Hitlerjugend liczyło 7 728 259 członków. To ogromna liczba, ale 4 milionom dzieci jakoś udało się uniknąć tej organizacji. W marcu 1939 r. rząd wydał ustawę wprowadzającą obowiązkowy pobór całej

młodzieży do Hitlerjugend, na takiej samej podstawie jak do armii. Oporni rodzice otrzymywali ostrzeżenia, że jeśli nie zgłoszą dzieci, to zostaną im one odebrane i umieszczone w sierocińcach lub u innych rodzin.

Wisienką na torcie edukacji w III Rzeszy było powołanie trzech typów szkół mających kształcić elitę narodu: Szkół Adolfa Hitlera pod kierownictwem Hitlerjugend, Narodowych Politycznych Instytutów Edukacji oraz Ordensburgów; dwa ostatnie działały pod egidą partii. Szkoły Adolfa Hitlera rekrutowały najbardziej obiecujących dwunastolatków z Jungvolku i zapewniały im sześcioletnie, intensywne przygotowanie do objęcia w przyszłości wysokich stanowisk w strukturach partyjnych i urzędniczych. Uczniowie mieszkali w szkołach, w spartańskiej dyscyplinie, a po ich ukończeniu mieli otwartą drogę na uniwersytety. Po 1937 r. otwarto 10 takich szkół, najważniejsza była „akademia" w Brunszwiku.

Celem Politycznych Instytutów Edukacji było odrodzenie kształcenia zapewnianego dawniej w pruskich akademiach wojskowych. Według oficjalnej definicji miały one kultywować „żołnierskiego ducha oraz jego atrybuty: odwagę, poczucie obowiązku i prostotę". Dochodziło do tego specjalne przygotowanie z zasad nazizmu. Instytuty znajdowały się pod nadzorem SS, skąd wywodzili się dyrektorzy i większość nauczycieli. W 1933 r. otworzono trzy takie placówki, a do wybuchu wojny ich liczba wzrosła do 31, w tym trzech żeńskich.

Na samym szczycie piramidy znajdowały się Ordensburgi, czyli „zamki zakonne". Tam, w atmosferze XIV- i XV-wiecznych twierdz krzyżackich, szkolono nazistowską elitę elit. Zakony rycerskie funkcjonowały w oparciu o absolutne posłuszeństwo względem mistrza, ordenmeistra, oraz oddawały się podbojowi słowiańskich ziem na wschodzie i niewoleniu ich ludności. W nazistowskich Ordensburgach obowiązywała podobna dyscyplina i przyświecały im podobne cele. Wybierano do nich tylko najbardziej fanatycznych młodych narodowych socjalistów, zazwyczaj spośród najlepszych absolwentów Szkół Adolfa Hitlera i Instytutów Edukacji. Istniały cztery zamki, a uczniowie uczęszczali do wszystkich po kolei. Pierwszy rok z sześciu mieli spędzić w zamku specjalizującym się w „naukach rasowych" i innych aspektach nazistowskiej ideologii. Kładziono tam nacisk na szkolenie umysłowe i dyscyplinę, ćwiczenia fizyczne były na drugim miejscu. W drugim roku nauki, już w innym zamku, proporcje się odwracały, a ćwiczenia i sport, w tym wspinaczka oraz skoki ze

spadochronem, wysuwały się na czoło. Trzeci zamek, gdzie uczniowie spędzali kolejne półtora roku, oferował zajęcia polityczno-wojskowe. I wreszcie, na czwartym i zarazem ostatnim etapie edukacji, uczeń trafiał na półtora roku do zamku w Malborku w Prusach Wschodnich, blisko polskiej granicy. Tam, w murach zamczyska, które 500 lat wcześniej naprawdę było krzyżacką twierdzą, przygotowanie polityczno-wojskowe skupiało się na kwestiach wschodnich oraz niemieckiej potrzebie (i prawie do jej spełnienia!) ekspansji na słowiańskie ziemie w ramach odwiecznego poszukiwania *Lebensraum*. Uczniowie otrzymywali tam świetne przygotowanie na wydarzenia 1939 r. i kolejnych lat, niewątpliwie zgodnie z zamiarem władz.

Tak oto przygotowywano młodych ludzi do życia i śmierci w III Rzeszy. Choć ich umysły celowo zatruwano, zakłócano ich normalny rytm edukacji, a system zastępował ich domowe wychowanie, to chłopcy i dziewczynki, młodzi mężczyźni i młode kobiety, wydawali się niebywale szczęśliwi, przepełniała ich chęć życia na sposób Hitlerjugend. Nie można również zaprzeczyć, że praktyka łączenia dzieci ze wszystkich klas i wyprawiania ich we wspólną drogę życia, praktyka powierzania dzieciom wywodzącym się z biedy i bogactwa, z domów robotniczych, chłopskich, z willi przemysłowców i arystokratycznych posiadłości tych samych obowiązków, sama w sobie była dobra i zdrowa. W większości przypadków miejskim chłopcom i dziewczętom, którzy musieli spędzić pół roku na wsi w ramach Służby Pracy, żyć pod gołym niebem, poznawać wartość pracy fizycznej i znajdować wspólny język z ludźmi z zupełnie innych środowisk, nie działa się żadna krzywda. Każdy, kto w tym czasie podróżował po Niemczech, rozmawiał z młodzieżą na biwakach, obserwował ją przy pracy i zabawie oraz słuchał, jak śpiewa, musiał zauważyć, że choć uczono ją koszmarnych rzeczy, to w III Rzeszy rozwijał się niezwykle dynamiczny ruch młodzieżowy.

W III Rzeszy młodych ludzi wychowywano tak, aby byli silni i zdrowi, wierzyli w przyszłość kraju i własną oraz mieli poczucie braterstwa i koleżeństwa, przełamujące wszelkie granice klasowe, ekonomiczne i społeczne. Rozmyślałem nad tym później, w maju 1940 r., gdy przy drodze pomiędzy Akwizgranem i Brukselą dostrzegłem różnicę między żołnierzami niemieckimi, opalonymi i postawnymi dzięki młodości spędzonej na słońcu i na odpowiedniej diecie, a pierwszymi brytyjskimi

jeńcami, którzy byli przygarbieni, mieli zapadnięte klatki piersiowe, ziemistą cerę i popsute zęby – stanowili tragiczny przykład tego, jak bezmyślnie Anglia zaniedbała swoją młodzież w okresie międzywojennym.

ROLNIK W III RZESZY

Gdy w 1933 r. Hitler doszedł do władzy, los rolnika w Niemczech, zresztą jak w większości krajów, był rozpaczliwie ciężki. Według pewnego dziennikarza „Frankfurter Zeitung” jego położenie było najgorsze od czasu zrujnowania Niemiec przez wojny chłopskie w latach 1524-1525. W okresie 1932-1933 dochód z rolnictwa spadł do nienotowanego wcześniej poziomu, ponad miliard marek poniżej najgorszego roku po wojnie (1924-1925). Długi rolników sięgały 12 miliardów marek; niemal w całości zostały zaciągnięte w ciągu poprzednich ośmiu lat. Oprocentowanie tego zadłużenia pochłaniało około 14% przychodu rolnictwa, a należy do tego dodać porównywalne obciążenia z tytułu podatków i składek na służby społeczne.

„Moi towarzysze partyjni, wiedzcie jedno: istnieje jedna jedyna, ostatnia szansa dla niemieckiego chłopstwa”, ostrzegał Hitler zaraz po objęciu urzędu kanclerza. W październiku 1933 r. oświadczył, że „ruina niemieckiego chłopa będzie równoznaczna z ruiną niemieckiego narodu”.

NSDAP przez lata dbała o poparcie rolników. Punkt 17 „niezmiennego” programu partii obiecywał „reformę rolną (…), prawo przewidujące konfiskatę bez rekompensaty ziemi pod wspólne cele; zniesienie oprocentowania pożyczek rolniczych i zapobieżenie spekulacjom ziemią”. Podobnie jak w przypadku większości pozostałych punktów, obietnic złożonych rolnikom nie dotrzymano – z wyjątkiem ostatniej, wymierzonej w spekulacje. W 1938 r., po pięciu latach rządów nazistów, dystrybucja ziemi nadal była bardziej nierówna niż w jakimkolwiek zachodnim państwie. Dane opublikowane w tymże roku w oficjalnym roczniku statystycznym pokazywały, że 2,5 miliona najmniejszych gospodarstw zajmuje zaledwie 1% areału. Nazistowska dyktatura, tak jak socjalistyczno-burżuazyjna republika, nie ośmieliła się podzielić rozległych majątków junkierskich rozciągających się na wschód od Łaby.

Niemniej jednak reżim zainicjował zakrojony na wielką skalę program rolny, któremu towarzyszyła sentymentalna propaganda „krwi i ziemi”

(*Blut und Boden*), głosząca, że chłop jest solą niemieckiej ziemi i główną nadzieją III Rzeszy. Do jego realizacji Hitler wybrał Walthera Darré, jednego z nielicznych liderów partii, który dobrze znał się na swoim fachu, chociaż oczywiście podpisywał się też pod większością nazistowskich mitów. Darré był wybitnym specjalistą w dziedzinie agronomii, miał solidne przygotowanie akademickie, pracował w resortach rolnictwa Prus i Rzeszy. Musiał je jednak opuścić z powodu konfliktów z przełożonymi, w 1929 r. wycofał się do swojego domu w Nadrenii i napisał książkę *Chłopstwo jako życiodajne źródło rasy nordyckiej*. Taki tytuł musiał zwrócić uwagę nazistów. To Rudolf Hess poznał Hitlera z Darré, który zrobił na wodzu tak dobre wrażenie, że został poproszony o przygotowanie partyjnego programu dla niemieckiej wsi.

Po dymisji Hugenberga w czerwcu 1933 r. Darré został ministrem żywności i rolnictwa. Do września przygotował plan przeobrażenia niemieckiego rolnictwa. Dwie podstawowe ustawy promulgowane w tymże miesiącu reorganizowały całą strukturę produkcji i sprzedaży, mając na uwadze zapewnienie rolnikom wyższych cen skupu, przy równoczesnej zmianie ich statusu. Paradoksalnie, aby to osiągnąć, rolnicy wrócili do dawnego położenia, kiedy to gospodarstwa były dziedziczne, jak w czasach feudalnych. Rolnik i jego kolejni następcy zostali przymusowo przypisani do danego skrawka ziemi (oczywiście zakładając, że byli aryjskimi Niemcami) po kres czasu.

Ustawa o dziedzicznych gospodarstwach rolnych z 29 września 1933 r. była niezwykłą mieszanką cofania chłopstwa do wieków średnich oraz ochrony ich przed nadużyciami współczesnej epoki pieniądza. Wszystkie gospodarstwa o areale poniżej 125 ha, mogące zapewnić rodzinie godne utrzymanie, zostały uznane za majątki dziedziczne, podlegające pradawnym prawom przypisania do ziemi. Nie mogły zostać sprzedane, podzielone, obciążone hipoteką ani zajęte za długi. Po śmierci właściciela musiały zostać przekazane najstarszemu lub najmłodszemu synowi, zależnie od lokalnych obyczajów, albo najbliższemu męskiemu krewniakowi, który musiał zapewnić utrzymanie oraz edukację braciom i siostrom do ich pełnoletności. Gospodarstwo takie mógł posiadać jedynie Niemiec-Aryjczyk, o ile potrafił udowodnić czystość swej krwi do 1800 r. Ustawa zastrzegała, że tylko taki człowiek może nosić „dumne miano” *Bauera*, czyli chłopa, które tracił, jeśli złamał „kodeks honorowy chłopa” lub nie mógł albo z innych powodów nie chciał dłużej uprawiać ziemi. A zatem u

progu III Rzeszy głęboko zadłużony niemiecki rolnik znalazł ochronę przed utratą lub okrojeniem ziemi z powodu egzekucji długów (nie musiał sprzedawać ani piędzi swojego areału, aby spłacić długi), ale zarazem został przywiązany do niej tak nieodwołalnie jak średniowieczny chłop pańszczyźniany.

Każdy aspekt jego życia i pracy był ściśle regulowany przez Stan Żywicieli Rzeszy, rozbudowaną organizację powołaną do życia przez Darré ustawą z 13 września 1933 r. Jej władza rozciągała się na każdą gałąź produkcji, sprzedaży i przetwarzania produktów rolnych. Na jej czele stał sam założyciel, noszący tytuł „wodza chłopów Rzeszy". Funkcjonowaniu Stanu Żywicieli przyświecały dwa nadrzędne cele: uzyskanie stabilnych i korzystnych cen dla rolników oraz zapewnienie Niemcom samowystarczalności żywieniowej.

Jak sprawdziły się te rozwiązania? Oczywiście początkowo rolnik, który od tylu lat czuł się zaniedbany w państwie pozornie zainteresowanym jedynie biznesem i robotnikami, był mile połechtany faktem, że nowa władza poświęca mu tyle uwagi oraz ogłosiła go bohaterem narodowym i „honorowym obywatelem". Jeszcze bardziej ucieszył go wzrost cen skupu, uzyskany przez Darré po prostu dzięki arbitralnemu ustaleniu ich na zyskownym dla wsi poziomie. W ciągu pierwszych dwóch lat rządów nazistów hurtowe ceny produktów rolnych podskoczyły o 20% (warzywa, nabiał i bydło podrożały jeszcze bardziej), ale ten wzrost częściowo równoważyły podwyżki cen innych artykułów, które rolnik musiał kupować, przede wszystkim maszyn i nawozów.

Natomiast jeśli chodzi o samowystarczalność, uważaną przez planujących już wojnę nazistowskich przywódców za absolutnie niezbędną, cel nigdy nie został osiągnięty i – biorąc pod uwagę jakość oraz areał niemieckiej ziemi w stosunku do liczby ludności – osiągnięty zostać nie mógł. W szeroko nagłośnionej „bitwie o produkcję" pomimo wszystkich wysiłków nazistów Niemcom udało się osiągnąć 83% samowystarczalności, a i to tylko dzięki podbojom, które zapewniły im żywność na toczenie wojny do 1945 r.

GOSPODARKA III RZESZY

Sukces pierwszych lat rządów Hitlera opierał się nie tylko na filarze triumfów w polityce zagranicznej, które zaowocowały tyloma bezkrwawymi podbojami, ale też na odrodzeniu gospodarczym Niemiec, określanym mianem cudu zarówno w kręgach partyjnych, jak i przez niektórych ekonomistów z zagranicy. Istotnie, wielu ludziom mogło się wydawać, że naziści dokonali cudu. Bezrobocie, przekleństwo lat 20. i początku 30., jak wspomnieliśmy, zostało zredukowane z 6 milionów w 1932 r. do niecałego miliona cztery lata później. Produkcja narodowa w latach 1932-1937 zwiększyła się o 102%, a dochód narodowy został podwojony. Zagranicznemu obserwatorowi Niemcy połowy lat 30. przypominały gwarny ul. Tryby przemysłu się kręciły, a każdy uwijał się jak pszczółka.

W pierwszym roku nazistowska polityka gospodarcza, definiowana przede wszystkim przez doktora Schachta (bo Hitlera gospodarka nudziła, a poza tym nie miał o niej pojęcia), skupiła się niemal wyłącznie na zapewnieniu pracy bezrobotnym, głównie dzięki kolosalnym programom prac publicznych i stymulacji prywatnej przedsiębiorczości. Nadzwyczajne ustawy zapewniły kredyty rządowe, a firmy zwiększające wydatki kapitałowe i podnoszące zatrudnienie mogły liczyć na hojne ulgi podatkowe.

Prawdziwym fundamentem niemieckiego odrodzenia gospodarczego była wszakże remilitaryzacja, w którą od 1934 r. nazistowski reżim pompował energię biznesu i robotników – a także generałów. W nazistowskiej nomenklaturze cała niemiecka gospodarka stała się znana pod nazwą *Wehrwirtschaft* (gospodarka wojenna), ale z rozmysłem została zaplanowana tak, aby mogła funkcjonować nie tylko w czasie wojny, ale i poprzedzającego ją pokoju. Generał von Ludendorff w opublikowanej w 1935 r. książce *Der Total Krieg* („Wojna totalna”), której tytuł błędnie przetłumaczono na angielski jako *The Nation at War* („Naród na wojnie”), podkreślił konieczność zmobilizowania gospodarki całego państwa na tej samej totalitarnej zasadzie jak wszystkich innych czynników, co miało umożliwić odpowiednie przygotowanie się do wojny totalnej. Nie była to w Niemczech nowatorska idea, bowiem jak widzieliśmy, w XVIII- i XIX-wiecznych Prusach armia pochłaniała czasami nawet pięć siódmych dochodów rządu, a gospodarka nie była uważana za narzędzie mające zapewnić dobrobyt obywatelom, lecz służyć polityce militarnej.

Nazistowski reżim musiał po prostu wdrożyć *Wehrwirtschaft* w realiach czwartej dekady XX w. Rezultaty tego podejścia zostały podsumowane przez generała majora Georga Thomasa, szefa Wojskowego Sztabu Gospodarczego: „Historia będzie znała zaledwie kilka przykładów państw, które nawet w czasie pokoju celowo i systematycznie kierowały cały swój potencjał ekonomiczny ku spełnieniu wymogów wojny. Niemcy musiały przyjąć taką postawę pomiędzy wojnami światowymi”[275].

Oczywiście Niemcy wcale nie „musiały” szykować się na taką skalę do wojny. Była to świadoma decyzja podjęta przez Hitlera. W tajnej ustawie obronnej z 21 maja 1935 r. mianował Schachta generalnym pełnomocnikiem ds. gospodarki wojennej, polecił mu „rozpocząć pracę już w czasie pokoju” i zapewnił uprawnienia pozwalające „kierować gospodarczymi przygotowaniami do wojny”. Lecz niedościgniony doktor Schacht wcale nie czekał do wiosny 1935 r. Już 30 września 1934 r., niecałe dwa miesiące po nominacji na ministra gospodarki, przedłożył Führerowi sprawozdanie zatytułowane „Raport w kwestii stanu prac nad mobilizacją na potrzeby gospodarki wojennej, stan na 30 września 1934 r.”. Podkreślił w nim z dumą, że jego resortowi „powierzono pieczę nad gospodarczymi przygotowaniami do wojny”. 3 maja 1935 r., trzy tygodnie przed tym, jak został pełnomocnikiem ds. gospodarki wojennej, przesłał Hitlerowi osobistą notatkę służbową, którą rozpoczął od stwierdzenia, że „realizacja programu zbrojeniowego z odpowiednią szybkością i na odpowiednim poziomie to *główny* [kursywa Schachta] problem niemieckiej polityki; w związku z tym wszystko inne powinno zostać podporządkowane temu celowi (…)”. Schacht wyjaśnił Hitlerowi, że skoro „zbrojenia musiały być całkowicie zakamuflowane do 16 marca 1935 r. [kiedy to Hitler ogłosił pobór do 36 dywizji armii], należało użyć pras drukarskich” do sfinansowania pierwszych etapów remilitaryzacji. Wskazał też z niemałym zadowoleniem, że fundusze skonfiskowane wrogom państwa (głównie Żydom) oraz przejęte z zablokowanych kont zagranicznych pomogły zapłacić za armaty wodza. „A zatem nasze zbrojenia częściowo są finansowane ze środków naszych przeciwników politycznych”, wyjaśnił[276].

Choć w Norymberdze Schacht jak niewiniątko protestował wobec zarzutów, jakoby uczestniczył w nazistowskim spisku mającym na celu wywołanie agresywnej wojny (zapewniał, że czynił coś zgoła przeciwnego), to pozostaje faktem, że nikt bardziej od Schachta nie przyczynił się do *gospodarczych* przygotowań do wojny rozpętanej przez

Hitlera w 1939 r. Potwierdziła to sama armia. Przy okazji sześćdziesiątych urodzin Schachta sławiła go w swoim piśmie „Militär-Wochenblatt” z 22 stycznia 1937 r. jako „człowieka, który sprawił, że odbudowa Wehrmachtu okazała się możliwa gospodarczo”. I jeszcze: „To, że siły obrony mogły rozrosnąć się z armii liczącej 100 tysięcy ludzi do obecnego poziomu, na przekór wszelkim problemom walutowym, zawdzięczają umiejętnościom i ogromnym zdolnościom Schachta”.

Schacht wykorzystał wszystkie swoje magiczne sztuczki finansowe, żeby zapłacić za przygotowanie III Rzeszy do wojny. Drukowanie banknotów to tylko jeden z jego trików. Manipulował walutą z taką zręcznością, że według szacunków zagranicznych ekonomistów w pewnym momencie miała 237 różnych wartości. Wynegocjował zadziwiająco korzystne (dla Niemiec) umowy barterowe z dziesiątkami państw i ku zadziwieniu ortodoksyjnych ekonomistów udowodnił, że im więcej jesteś winien danemu krajowi, tym więcej interesów z nim robisz. Wyczarowanie kredytów w państwie, które posiadało mało płynnego kapitału i w zasadzie nie miało rezerw gotówkowych, było dziełem geniusza lub – jak mówili niektórzy – arcymistrza manipulacji. Za dobry przykład mogą służyć wynalezione przez niego weksle „Mefo”. Były to po prostu weksle wydawane przez Bank Rzeszy i gwarantowane przez państwo, płacono nimi producentom uzbrojenia. Akceptowano je we wszystkich niemieckich bankach i ostatecznie dyskontowano przez Bank Rzeszy. Ponieważ nie pojawiały się ani w publicznych oświadczeniach banku narodowego, ani w budżecie rządowym, pozwoliły ukryć skalę niemieckiej remilitaryzacji. W latach 1935-1938 używano ich wyłącznie do finansowania zbrojeń. Łącznie wyemitowano weksle na sumę 12 miliardów marek. Kiedy hrabia Schwerin von Krosigk, zapracowany minister finansów, próbował wyjaśnić Hitlerowi ich działanie, powiedział, że to po prostu inny sposób „drukowania pieniędzy”[277].

We wrześniu 1936 r., wraz z inauguracją Planu Czteroletniego pod żelazną kontrolą Göringa, który zastąpił Schachta w roli gospodarczego dyktatora Niemiec, mimo że znał się na tym tyle co Hitler, Niemcy przeszły na stopę gospodarki wojny totalnej. Celem planu było zapewnienie krajowi samowystarczalności w ciągu czterech lat, aby blokada wojenna nie zdusiła Niemiec. Import zredukowano do absolutnego minimum, wprowadzono ścisłą kontrolę płac i cen, dywidendy ograniczono do 6%, wielkie fabryki przestawiono na produkcję syntetycznego kauczuku, tekstyliów, paliw oraz

innych produktów powstających z niemieckich surowców, a także powołano do życia wielkie Zakłady Hermanna Göringa, które miały produkować stal z lokalnych rud niskoprocentowych. Krótko mówiąc, niemiecka gospodarka została zmobilizowana na potrzeby wojny, a biznesmeni, choć ich zyski gwałtownie rosły, zamienili się w trybiki machiny wojennej. Ich pracę ograniczały tak liczne restrykcje, musieli wypełniać tyle formularzy, że doktor Funk, który w 1937 r. zastąpił Schachta w resorcie gospodarki, a w 1939 r. na stanowisku prezesa Banku Rzeszy, przyznał z rezygnacją, że „oficjalne komunikaty to obecnie ponad połowa całej korespondencji niemieckich producentów", zaś „niemiecki eksport to około 40 tysięcy transakcji dziennie; każda wymaga wypełnienia 40 różnych formularzy".

Zawaleni tonami formularzy, wysłuchujący od państwa, co, w jakiej ilości i za jaką cenę mogą produkować, obciążeni coraz wyższym opodatkowaniem, okradani wysokimi, nieustającymi „specjalnymi zbiórkami" na rzecz partii biznesmeni, którzy powitali reżim Hitlera z takim entuzjazmem, bo oczekiwali, że zniszczy zorganizowany ruch robotniczy i pozwoli przedsiębiorcom prowadzić pozbawiony wszelkich więzów wolny biznes, przeżyli bolesne rozczarowanie. Należał do nich Fritz Thyssen, jeden z pierwszych i najhojniejszych darczyńców NSDAP. Uciekając z Niemiec u progu wojny, przyznał, że „reżim nazistowski zrujnował niemiecki przemysł". Wszystkim napotkanym za granicą przyznawał: „Ależ byłem durniem [*Dummkopf*]!"[278].

Początkowo jednak biznesmeni łudzili się, że nazistowski rząd to spełnienie ich wszystkich modłów. Oczywiście „niezmienny" program partii brzmiał w ich uszach dość złowrogo, bo przecież zapowiadał nacjonalizację trustów, podział zysków z handlu hurtowego, „uspołecznienie domów towarowych i tanie wynajmowanie w nich przestrzeni drobnym handlarzom" (jak głosił punkt 16), reformę rolną oraz zniesienie oprocentowania hipotek. Niemniej ludzie przemysłu i finansów bardzo szybko przekonali się, że Hitler ani myśli spełniać założeń ekonomicznych programu – radykalne obietnice rzucał tylko po to, aby zdobywać głosy. W ciągu pierwszych kilku miesięcy 1933 r. nieliczni radykałowie z partii próbowali przejąć kontrolę nad stowarzyszeniami biznesu, opanować domy towarowe i wprowadzić ustrój korporacyjny wzorowany na planach Mussoliniego. Ale Hitler szybko się ich pozbył i zastąpił zachowawczymi biznesmenami. Gottfried Feder, jeden z

pierwszych mentorów Hitlera i ekonomiczny pomyleniec domagający się zniesienia „niewolnictwa odsetek”, otrzymał stanowisko podsekretarza w Ministerstwie Gospodarki, ale jego przełożony doktor Karl Schmitt, magnat branży ubezpieczeniowej, który całe życie poświęcił pożyczaniu pieniędzy i gromadzeniu odsetek, nie powierzał mu żadnych zadań, a gdy resort przejął Schacht, po prostu podziękował Federowi za usługi.

Wielu drobnych przedsiębiorców, którzy należeli do głównych zwolenników partii w czasie walki o władzę i mieli wybujałe oczekiwania wobec kanclerza Hitlera, już wkrótce musieli bezradnie przyglądać się upadkowi swoich firm i wrócić do szeregu zwykłych pracowników. Ustawy z października 1937 r. po prostu rozwiązywały wszystkie korporacje o kapitale poniżej 40 tysięcy dolarów i zakazywały otwierania nowych o kapitale poniżej 200 tysięcy dolarów. Decyzje te bardzo szybko wytrzebiły jedną piątą małych firm. Z drugiej strony naziści wzmacniali wielkie kartele, te same, którym na rękę szła republika. Według ustawy z 15 lipca 1933 r. przynależność do karteli w zasadzie stała się obowiązkowa. Ministerstwo Gospodarki otrzymało uprawnienia do organizowania nowych karteli lub nakazywania firmom włączania się do istniejących.

Naziści zachowali zorganizowany za republiki system niezliczonych stowarzyszeń biznesowych i handlowych, choć na podstawie ustawy z 27 lutego 1934 r. przekształcili je zgodnie z zasadą przywództwa i poddali kontroli państwa. Wszystkie firmy musiały do nich przynależeć. Na szczycie tej niezwykle skomplikowanej struktury znajdowała się Izba Gospodarcza Rzeszy, której przywódcę mianowało państwo, a kontrolowała ona siedem narodowych grup gospodarczych, 23 podizby gospodarcze, 100 izb przemysłu i handlu oraz 70 izb rzemieślniczych. Nawet najbardziej rzutcy przedsiębiorcy gubili się w tym labiryncie organizacji, urzędów i agencji resortu gospodarki oraz Planu Czteroletniego, uginali się pod wodospadem rozporządzeń i ustaw, a żeby ich firmy w ogóle mogły funkcjonować, musieli zatrudniać wyspecjalizowanych prawników. Łapówki niezbędne do dotarcia do właściwych urzędników, którzy mogli podejmować stosowne decyzje i od których zależało funkcjonowanie przedsiębiorstw, a także do obchodzenia nieskończonych zasad i regulacji wymagały pod koniec lat 30. astronomicznych kwot. „To konieczność ekonomiczna”, jak usłyszał autor od pewnego biznesmena.

Przedsiębiorcy mieli niełatwe życie, ale i tak osiągali wysokie zyski. Przemysł ciężki, główny beneficjent remilitaryzacji, zwiększył swoje zyski

z 2% w 1926 r., roku boomu gospodarczego, do 6,5% w ostatnim pełnym roku pokoju, 1938. Firmom nie zaszkodziło nawet ograniczenie dywidend do 6%. Wręcz przeciwnie. W teorii, zgodnie z prawem, wszelkie wykraczające poza ten limit kwoty musiały zostać zainwestowane w obligacje skarbowe (nie było mowy o żadnych konfiskatach). W rzeczywistości większość przedsiębiorców reinwestowało zysk niepodzielony, który wzrósł ze 175 milionów marek w 1932 r. do 5 miliardów w 1938 r. (a w roku tym łączne oszczędności na kontach oszczędnościowych wynosiły zaledwie 2 miliardy marek, czyli niecałą połowę zysków niepodzielonych, natomiast zyski podzielone w formie dywidend – tylko 1,2 miliarda marek), we własne firmy. Oprócz wzrostu zysków biznesmen mógł cieszyć się tym, że Hitler wskazał robotnikom ich miejsce w szeregu. Skończyły się nieuzasadnione żądania podwyżek. Co więcej, na przekór 25-procentowemu wzrostowi kosztów życia, pensje nieznacznie obniżono. A przede wszystkim raz na zawsze ucichły kosztowne strajki. W III Rzeszy tego rodzaju manifestacje nieposłuszeństwa były *verboten*.

NIEWOLNICTWO SIŁY ROBOCZEJ

W III Rzeszy niemiecki robotnik został pozbawiony związków zawodowych, negocjacji zbiorowych i prawa do strajku, stał się więc przemysłowym niewolnikiem, przywiązanym do swego pana, czyli pracodawcy, mniej więcej tak jak średniowieczne chłopstwo do feudalnego władcy. Front Pracy, który w teorii zastąpił związki zawodowe, wcale nie reprezentował interesów robotników. Według powołującej go do życia ustawy z 24 października 1934 r. był „organizacją kreatywnych Niemców, posługujących się umysłem i pięścią”. Front objął nie tylko pracowników zatrudnionych na stałych umowach i pracujących na akord, ale też pracodawców i członków wolnych zawodów. De facto był ogromną strukturą propagandową, a także, jak zapewniała część robotników, jednym wielkim przekrętem. Jego wyłuszczonym w ustawie celem nie była ochrona robotników, lecz „stworzenie prawdziwej społecznej i produktywnej wspólnoty wszystkich Niemców. Zadaniem Frontu jest dopilnowanie, aby każdy człowiek mógł (…) wykonać maksimum pracy”. Front Pracy nie był jednak samodzielną jednostką administracyjną, ale jak niemal wszystkie

inne organy w Niemczech z wyjątkiem armii, integralną częścią NSDAP lub też, jak mawiał jego przywódca doktor Ley („bełkotliwy pijak”, by posłużyć się opinią Fritza Thyssena), „narzędziem partii”. W rzeczy samej, ustawa z 24 października zastrzegała, że jego funkcjonariusze powinni pochodzić z szeregów partii, dawnych związków nazistowskich, SA lub SS – i faktycznie tak było.

Już wcześniej, bo 20 stycznia 1934 r., dzięki ustawie o narodowej sile roboczej zwanej „kartą pracy” robotnik został postawiony do pionu, a pracodawca odzyskał dawną pozycję absolutnego władcy, podlegającego jedynie ingerencji wszechogarniającego państwa. Pracodawca stał się „wodzem przedsiębiorstwa”, a pracownicy jego „świtą”, czyli *Gefolgschaft*. Paragraf drugi ustawy stwierdzał, że „wódz przedsiębiorstwa podejmuje decyzje za pracowników we wszystkich kwestiach dotyczących przedsiębiorstwa”. I tak jak w dawnych czasach władca był odpowiedzialny za dobro poddanych, według nazistowskiej ustawy pracodawca dźwigał „odpowiedzialność za pomyślność pracowników”. W zamian, głosiła ustawa, „pracownicy są mu winni wierność” – innymi słowy, mieli pracować ciężko i długo, nie marudzić i nie jęczeć o podwyżki.

Wysokość płac ustalali tzw. powiernicy pracy mianowani przez Front. W praktyce określali stawki zgodnie z życzeniami pracodawców (przepisy nie przewidywały, aby z pracownikami choćby konsultowano tę kwestię), a po 1936 r., gdy w branży zbrojeniowej zaczęło brakować rąk do pracy, zaś niektórzy pracodawcy zaczęli podnosić pensje, żeby przyciągnąć robotników, stawki utrzymano na niskim poziomie na rozkaz państwa. Hitler nie owijał w bawełnę w tej kwestii. „To żelazna zasada narodowosocjalistycznego przywództwa, aby nie pozwolić na żadne podnoszenie stawek godzinowych, lecz podnosić przychody wyłącznie poprzez zwiększanie wydajności”, oświadczył w pierwszym okresie funkcjonowania reżimu[279]. W państwie, w którym większość płac przynajmniej częściowo bazowała na pracy na akord, oznaczało to, że robotnik mógł liczyć na wyższy zarobek, tylko jeśli pracował szybciej i dłużej.

Na tle Stanów Zjednoczonych, nawet biorąc pod uwagę inne koszty życia i usług społecznych, pensje w Niemczech zawsze były niskie, a za nazistów nieznacznie niższe niż wcześniej. Według Urzędu Statystycznego Rzeszy w przypadku wykfalifikowanych pracowników spadły z 20,4 centa w 1932 r., czyli w apogeum kryzysu, do 19,5 centa w połowie 1936 r. Poziom płac

niewykwalifikowanej siły roboczej obniżył się z 16,1 do 13 centów za godzinę. Podczas kongresu partii w Norymberdze w 1936 r. Ley stwierdził, że tygodniowe zarobki osób pracujących we Froncie Pracy na pełny etat wynoszą 6,95 dolara. Urząd Statystyczny Rzeszy podawał tę kwotę na poziomie 6,29 dolara dla wszystkich niemieckich robotników.

Choć miliony bezrobotnych znalazły pracę, udział niemieckich robotników w dochodzie narodowym spadł z 56,9% w kryzysowym 1932 r. do 53,6% w 1938, roku boomu. W tym samym czasie dochód z kapitału oraz biznesu wzrósł 17,4% do 26,6% dochodu narodowego. To prawda, że ze względu na znacznie wyższy poziom zatrudnienia łączny dochód z pensji wzrósł z 25 do 42 miliardów marek, czyli aż o 66%. Lecz dochód od kapitału i biznesu urósł jeszcze bardziej – bo aż o 146%. Wszyscy propagandziści III Rzeszy, od samego Hitlera począwszy, przywykli do publicznego ciskania gromów na burżuazję oraz kapitalistów i wyrażania solidarności z robotnikami. Spokojna analiza oficjalnych statystyk, którą przypuszczalnie niewielu Niemców zaprzątało sobie głowę, ujawniła, że na nazistowskiej polityce skorzystali właśnie ci oczerniani kapitaliści, a nie robotnicy.

I wreszcie, skurczyły się zarobki „na rękę” niemieckich robotników. Pomijając sztywny podatek dochodowy, obowiązkowe składki chorobowe, ubezpieczenie od bezrobocia i kalectwa oraz składki na Front Pracy, robotnik fizyczny – zresztą jak wszyscy inni Niemcy – znajdował się pod nieustającą presją łożenia coraz wyższych datków na niezliczone nazistowskie organizacje dobroczynne, a największą z nich była Winterhilfe (Pomoc Zimowa). Niejeden pracownik stracił posadę, bo nie zrzucił się na Winterhilfe albo jego datek został uznany za zbyt skąpy. Jeden z sądów pracy, który podtrzymał zwolnienie pewnego pracownika z dnia na dzień, nazwał taką postawę „zachowaniem wrogim wobec wspólnoty narodu (…), którą należy jak najsurowiej potępić”. W połowie lat 30. oszacowano, że podatki i wszelkie składki pochłaniały od 15 do 35% pensji brutto. Pomniejszenie pensji tygodniowej w wysokości 6,95 dolara o taki odsetek sprawiało, że na żywność, czynsz, odzież czy przyjemności zostawało naprawdę niewiele.

Robotnicy w hitlerowskich Niemczech, podobnie jak średniowieczni poddani, byli coraz mocniej przywiązywani do zakładu pracy, choć w tym przypadku za proces ten nie odpowiadał pracodawca, lecz państwo.

Widzieliśmy już, jak niemiecki chłop został związany z ziemią ustawą o dziedzicznych gospodarstwach rolnych. Podobnie robotnik rolny był prawnie przydzielony do ziemi i nie mógł jej opuścić, aby poszukać pracy w mieście. Trzeba jednak zauważyć, że była to jedna z nazistowskich ustaw, których w praktyce nie przestrzegano. W latach 1933-1939 1,3 miliona robotników rolnych przeniosło się do miast za pracą w przemyśle i handlu. Natomiast w przypadku robotników przemysłowych prawo egzekwowano z całą surowością. Różne rozporządzenia rządowe, począwszy od ustawy z 15 maja 1934 r., surowo ograniczały ich swobodę przenoszenia się z jednego miejsca pracy do drugiego. Od czerwca 1935 r. państwowe urzędy zatrudnienia sprawowały wyłączną kontrolę nad stosunkiem pracy; decydowały, kto może być zatrudniany, za ile i gdzie.

„Książeczka pracy” została wprowadzona w lutym 1935 r. i w końcu pracownik, który jej nie posiadał, nie mógł zostać nigdzie zatrudniony. Odnotowywano w niej jego umiejętności oraz historię zatrudnienia. Książeczka nie tylko zapewniała państwu i pracodawcy wgląd w aktualne dane na temat każdego pracownika w kraju, ale też przywiązywała go „do ławki”. Jeżeli pragnął odejść i zmienić pracę, pracodawca mógł po prostu skonfiskować mu książeczkę, a bez niej nie mógł on legalnie pracować gdzie indziej. Wreszcie, 22 czerwca 1938 r. Biuro Planu Czteroletniego wydało specjalne rozporządzenie wprowadzające pobór pracowniczy. Zobowiązywało ono każdego Niemca do pracy tam, gdzie przydzieli go państwo. Osobom nieobecnym w pracy bez ważnej przyczyny groziło zwolnienie i odsiadka. Oczywiście istniała też druga strona medalu. Zwerbowany zgodnie z tym rozporządzeniem pracownik nie mógł zostać zwolniony przez pracodawcę bez pozwolenia państwowego urzędu zatrudnienia. Miał pewność pracy, czyli coś, o czym nie mógł marzyć za republiki.

Niemieckim robotnikom, których pensje były utrzymywane tuż ponad poziomem godnej egzystencji przez tak liczne regulacje, państwo, podobnie jak rzymskim proletariuszom, zapewniało igrzyska odwracające uwagę od ich marnego losu. „Musimy odciągnąć uwagę mas od wartości materialnych i skierować ją ku wartościom moralnym. Ważniejsze, aby nakarmić ludzkie dusze niż żołądki”, wyjaśnił swego czasu doktor Ley.

Wymyślił więc organizację Siła Przez Radość (Kraft durch Freude). Tego, co oferowała, nie da się określić inaczej niż reglamentowana rekreacja. W XX-wiecznej totalitarnej dyktaturze, jak i zapewne w

starszych, uznano, że koniecznie należy kontrolować nie tylko godziny pracy jednostki, ale i wypoczynku. I właśnie tym zajmowała się Siła Przez Radość. W przednazistowskich Niemczech istniały dziesiątki tysięcy klubów zajmujących się dosłownie wszystkim, od szachów przez piłkę nożną po obserwowanie ptactwa. W III Rzeszy żadne społeczne ugrupowanie sportowe czy rekreacyjne nie miało prawa istnieć, chyba że pod kontrolą i kierownictwem Siły Przez Radość.

Dla przeciętnego Niemca zapewne lepsza była oficjalna, wszechogarniająca organizacja rekreacyjna niż nic, tym bardziej że państwo nie miało do obywateli dość zaufania, aby pozwolić im samodzielnie organizować czas wolny. I tak przykładowo członkowie Frontu Pracy mieli prawo do niemal darmowych wycieczek wakacyjnych w głąb kraju lub nad morze. Doktor Ley zbudował dwa statki o wyporności 25 tysięcy ton (jeden z nich ochrzcił na swoją cześć) i wyczarterował dziesięć innych, aby uruchomić rejsy oceaniczne Siły Przez Radość. Autor wziął udział w jednym z nich. Mimo że życie na pokładzie organizowali nazistowscy opiekunowie (do poziomu bolesnego dla autora), to niemieccy robotnicy zdawali się świetnie bawić. I to za jaką cenę! Na przykład rejs na Maderę kosztował zaledwie 25 dolarów, włączając w to transport do i z portu. Inne wycieczki były równie tanie. Plaże nad morzem i nad jeziorami zostały zarezerwowane dla tysięcy wczasowiczów. Jedna z nich, na bałtyckiej Rugii, wymagała budowy kompleksu hoteli, mogącego pomieścić 20 tysięcy przyjezdnych, ale nie został on ukończony przed wybuchem wojny. Zimą specjalne wypady narciarskie w Alpy Bawarskie wyceniono na 11 dolarów za tydzień. Cena obejmowała dojazd, wyżywienie, nocleg, wypożyczenie nart oraz lekcje z instruktorem.

Aktywność sportową – a Siła Przez Radość kontrolowała każdą dyscyplinę – organizowano na masową skalę. Według oficjalnych danych rocznie w imprezach sportowych brało udział 7 milionów Niemców. Organizacja, także za minimalną cenę, oferowała bilety do teatrów, oper czy na koncerty, dzięki czemu robotnik uzyskiwał dostęp do rozrywki na wyższym intelektualnie poziomie. Nazistowscy funkcjonariusze lubili się tym szczycić. Siła Przez Radość miała również własną orkiestrę symfoniczną na 90 instrumentów, która nieustannie objeżdżała kraj i często grywała w mniejszych miejscowościach, gdzie muzyka na wysokim poziomie zwykle była niedostępna. I wreszcie, organizacja przejęła około 200 instytucji kształcenia dorosłych, które kwitły za republiki (korzenie

tego ruchu sięgają Skandynawii), i kontynuowała ich działalność, rzecz jasna przyprawiając zajęcia intensywną miksturą nazistowskiej ideologii.

Jednak w ostatecznym rozrachunku to oczywiście robotnicy płacili za te „igrzyska". Roczny przychód ze składek na Front Pracy w 1937 r. wyniósł 160 milionów dolarów, a według Leya jeszcze przed wojną przekroczył granicę 200 milionów, choć rozliczenia organizacji były wyjątkowo mętne, gdyż nie prowadziło ich państwo, a Biuro Finansowe partii, które nigdy nie upubliczniało swoich ksiąg. 10% kwot ze składek przeznaczano na Siłę Przez Radość. Opłaty uiszczane przez Niemców za wycieczki i rozrywkę, chociaż niskie, w 1938 r. wyniosły łącznie 1,25 miliarda dolarów. Pracownicy musieli łożyć na jeszcze jedno. Front Pracy, największa organizacja partyjna w kraju, bo licząca 25 milionów członków, miała niezwykle rozdętą biurokrację, która zatrudniała dziesiątki tysięcy osób. Oszacowano, że wydatki administracyjne pochłaniały 20-25% przychodów Frontu.

Wypada wspomnieć o jeszcze jednym przekręcie, jakiego Hitler dopuścił się na niemieckich robotnikach. Mowa o Volkswagenie („Samochodzie dla ludu") – inwencji umysłu samego Führera. Wódz orzekł, że każdy Niemiec, a przynajmniej każdy pracujący Niemiec, powinien posiadać własny samochód, dokładnie tak samo jak w USA. Do tej pory w Niemczech jeden automobil przypadał na 50 mieszkańców (dla porównania w Ameryce jeden na pięciu), a ludzie pracy przemieszczali się na rowerach lub transportem publicznym. Hitler zdecydował, że trzeba zbudować samochód, który będzie mógł być sprzedawany po zaledwie 990 marek (396 dolarów). Ponoć osobiście przyłożył rękę do projektu, który rozwijał się pod okiem austriackiego konstruktora doktora Ferdinanda Porsche'a.

Ponieważ branża prywatna nie potrafiła wyprodukować samochodu za 396 dolarów, Hitler kazał zbudować go państwu i na czele programu postawił Front Pracy. Organizacja Leya bezzwłocznie wzięła się do roboty i w 1938 r. w Fallersleben pod Brunszwikiem zaczęła budować „największą fabrykę samochodów na świecie", mającą produkować 1,5 miliona pojazdów rocznie – „więcej niż Ford", jak głosiła nazistowska propaganda. Front Pracy zainwestował 50 milionów marek. Nie był jednak głównym źródłem finansowania projektu. Genialny plan Leya zakładał, że robotnicy sami zapewnią pieniądze, a to poprzez system ratalny, który stał się znany pod nazwą „płać zanim dostaniesz". Pracownik miał łożyć na niego 5 marek lub jeśli uznał, że go stać – 10, a nawet 15 marek tygodniowo. Po

wpłaceniu 750 marek nabywca otrzymywał numer upoważniający go do odbioru samochodu, gdy tylko zjedzie z taśmy produkcyjnej. Pechowo dla robotników, za III Rzeszy do odbiorców nie dotarł ani jeden Volkswagen. Niemcy wpłacili w sumie dziesiątki milionów marek, a nie zobaczyli z tego ani feniga. Gdy wybuchła wojna, fabryka Volkswagena zajęła się produkcją artykułów bardziej pożytecznych dla sił zbrojnych.

Trzeba uczciwie przyznać, że chociaż niemiecki pracownik został w tym i w wielu innych przypadkach oszukany, jego status został obniżony do poziomu przemysłowego niewolnego, który zarabiał stawkę ledwie pozwalającą przeżyć i pozornie był mniej podatny na nazistowską ideologię oraz niemilknącą propagandę, to nie wyglądał na szczególnie urażonego swą niską pozycją w III Rzeszy. Bez ogromnego wkładu niemieckiego człowieka pracy potężna machina wojenna, która o świcie 1 września 1939 r. runęła na Polskę, nie mogłaby zostać wprawiona w ruch. Robotnik żył pod ścisłą kontrolą, czasami był terroryzowany, ale przecież to samo dotyczyło wszystkich – a całe wieki surowego rządu przyzwyczaiły Niemców do wypełniania poleceń. Być może próby generalizowania w takich sprawach nie są zbyt rozsądne, jednak styczność z ludźmi pracy w stolicy oraz w Zagłębiu Ruhry zrodziła w autorze wrażenie, że choć do obietnic reżimu podchodzili dość cynicznie, to nie palili się do buntu bardziej niż inni obywatele Rzeszy. Zostali pozbawieni organizacji i przywództwa, więc co mogli zrobić? Często zadawali to pytanie.

Natomiast najważniejszą przyczyną tego, że akceptowali swoją rolę w nazistowskich Niemczech bez żadnych zbędnych pytań, było to, że mieli pracę i pewność, iż jej nie stracą. Obserwator mający pewne pojęcie o niedoli niemieckich robotników za republiki mógł zrozumieć, dlaczego nadmiernie nie przejmują się utratą wolności politycznej, a nawet związków zawodowych, o ile tylko mogą pracować na pełny etat. W przeszłości na prawa aż 6 milionów Niemców cień rzucało „prawo do głodowania”, jak sami mówili. Pozbywając się tego ostatniego, Hitler zapewnił sobie poparcie klasy robotniczej – prawdopodobnie najlepiej wykwalifikowanej, najbardziej pracowitej i zdyscyplinowanej w całym zachodnim świecie. I nie chodziło o poparcie dla jego szalonej ideologii czy piekielnych zamiarów samych w sobie, ale dla tego, co liczyło się najbardziej – produkcji wojennej.

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W III RZESZY

Narodowosocjalistyczne Niemcy przestały być państwem prawa już w pierwszych tygodniach 1933 r., kiedy to ludzie u władzy zaczęli masowo i arbitralnie aresztować, bić i mordować przeciwników. „Hitler jest prawem!”, głosili dumnie przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nazistowskich Niemiec, a Göring uwypuklił ten pogląd 12 lipca 1934 r., gdy oświadczył pruskim prokuratorom, że „prawo i wola Führera to jedno i to samo”. I tak wyglądała rzeczywistość. Słowo dyktatora było prawem, a w chwilach kryzysu, na przykład podczas czystki 30 czerwca 1934 r., sam potrafił oświadczyć, jak widzieliśmy na przykładzie jego przemówienia przed Reichstagiem po tamtych wydarzeniach, że jest „najwyższym sędzią” narodu niemieckiego i ma prawo skazać na śmierć każdego, kogo sobie zażyczy.

W czasach republiki większość sędziów, podobnie jak w przypadku protestanckiego kleru i profesorów uniwersyteckich, serdecznie nie znosiła ustroju i swoimi decyzjami zapisała najbardziej ponure rozdziały historii Republiki Weimarskiej, przyczyniając się tym samym do jej upadku. Ale dzięki konstytucji byli chociaż niezależni, podlegali tylko prawu, mieli ochronę przed arbitralnym zdjęciem z urzędu, a (przynajmniej w teorii) artykuł 109 ustawy zasadniczej zobowiązywał ich do stania na straży równości wobec prawa. Większość sympatyzowała z narodowym socjalizmem, ale nie byli przygotowani na traktowanie, jakie ich czeka, gdy ich pupile obejmą rządy. Ustawa o służbie cywilnej z 7 kwietnia 1933 r. miała zastosowanie do całej administracji i szybko oczyściła wymiar sprawiedliwości nie tylko z Żydów, ale także osób nie do końca przychylnych nazizmowi lub, jak stwierdzała ustawa, „które sygnalizowały, że nie są gotowe stać za państwem narodowosocjalistycznym w każdej sytuacji”. Oczywiście ustawa nie wyeliminowała zbyt wielu sędziów, natomiast surowo im przypomniała, na czym polegają ich obowiązki. Doktor Hans Frank, komisarz sprawiedliwości Rzeszy i „Wódz Prawników”, chcąc upewnić się, że na pewno wszystko dobrze zrozumieli, w 1936 r. wyjaśnił jurystom: „Ideologia narodowosocjalistyczna jest podwaliną wszystkich zasadniczych praw, zwłaszcza zasady wyłożone w programie partii i przemówieniach Führera”. Dalej doktor Frank doprecyzował, co miał na myśli:

> Nie ma czegoś takiego, jak niezależność prawa od narodowego socjalizmu. Przy każdej decyzji, jaką macie podjąć, zadajcie sobie pytanie: „Co postanowiłby Führer, gdyby znalazł się na moim miejscu?”. Przy każdej decyzji pytajcie w myślach: „Czy ta decyzja jest zgodna z narodowosocjalistycznym sumieniem narodu niemieckiego?”. Wtedy uzyskacie pewne, żelazne podłoże, które w sojuszu z jednością ludowego państwa narodowosocjalistycznego oraz waszym zrozumieniem wiecznej natury woli Adolfa Hitlera obdarzy waszą sferę podejmowania decyzji autorytetem III Rzeszy, raz na zawsze[280].

To wydawało się wystarczająco jasne, podobnie jak nowa ustawa o służbie cywilnej (26 stycznia 1937 r.), która wzywała do zdymisjonowania wszystkich „niepewnych politycznie” urzędników, w tym sędziów. Co więcej, wszyscy juryści mieli obowiązek wstąpienia do Narodowosocjalistycznego Związku Niemieckich Jurystów, gdzie często wysłuchiwali wykładów podobnych do powyższej pogadanki Franka.

Niektórzy sędziowie, niezależnie od silnych poglądów antyrepublikańskich, podchodzili do linii partyjnej ze zbyt chłodnym entuzjazmem. Nieliczni próbowali nawet opierać wyroki o literę prawa. Najgorszym z nazistowskiego punktu widzenia przypadkiem takiej postawy była decyzja niemieckiego Sądu Najwyższego o uniewinnieniu, na podstawie przedstawionych dowodów, trzech z czterech komunistów oskarżonych o podpalenie Reichstagu (tylko Van der Lubbe, niebędący w pełni władz umysłowych Holender, przyznał się i został skazany). Hitler i Göring tak się zagotowali, że niecały miesiąc po procesie, 24 kwietnia 1934 r., prawo sądzenia za zdradę, do tej pory wyłączna prerogatywa Sądu Najwyższego, zostało odebrane temu szacownemu gremium i przekazane nowej instytucji, Volksgerichtshof, czyli Trybunałowi Ludowemu, który już wkrótce miał stać się budzącym największy postrach sądem w całym kraju. W jego skład wchodziło dwóch zawodowych sędziów oraz pięciu wybranych z szeregów partii, SS i sił zbrojnych, a zatem ludzie NSDAP dysponowali zdecydowaną większością. Od jego decyzji i wyroków nie przysługiwało żadne odwołanie, a posiedzenia odbywały się zazwyczaj za zamkniętymi drzwiami. Od czasu do czasu z przyczyn propagandowych, gdy trybunał miał wydać stosunkowo łagodne wyroki, na salę rozpraw zapraszano korespondentów zagranicznych.

W 1935 r. autor miał okazję obserwować proces przed Trybunałem Ludowym. Trybunał przypominał bardziej doraźny sąd polowy niż cywilny. Postępowanie zakończyło się w jeden dzień, obrona praktycznie nie miała szans przedstawić świadków (gdyby ktoś w ogóle ośmielił się zeznawać w

obronie człowieka oskarżonego o „zdradę”), zaś argumentacja obrońców, „wykwalifikowanych” nazistów, była tak kiepska, że ocierała się o groteskę. Czytając gazety, które tylko ogłaszały werdykty bez komentarza, odnosiłem wrażenie, że większość nieszczęsnych podsądnych (choć nie tego dnia, gdy mogłem obserwować rozprawę) otrzymywała wyroki śmierci. Nigdy nie opublikowano żadnych danych, ale w grudniu 1940 r. Roland Freisler, siejący postrach przewodniczący Trybunału Ludowego (zginął, gdy amerykańska bomba zniszczyła salę w trakcie rozprawy), zapewniał, że „tylko cztery procent oskarżonych jest skazywanych na śmierć”.

Jeszcze wcześniej niż przerażający Trybunał Ludowy sformowano Sondergericht, Trybunały Nadzwyczajne, które przejęły od zwyczajnych sądów sprawy o przestępstwa polityczne, czyli jak stwierdzała powołująca je do życia ustawa z 21 marca 1933 r., przypadki „podstępnych ataków wymierzonych w rząd”. Trybunały Nadzwyczajne składały się z trzech sędziów, bez wyjątku zaufanych ludzi partii, bez ławników. W omawianych tu przypadkach nazistowski prokurator miał wybór: mógł wnieść sprawę przed sąd zwyczajny lub przed Trybunał Nadzwyczajny, i z oczywistych przyczyn zawsze wybierał ten drugi. Obrońcy, podobnie jak w Trybunale Ludowym, musieli być zatwierdzonymi funkcjonariuszami NSDAP. Ale pomimo tego czasami okazywali się rozczarowaniem. Na przykład prawnicy próbujący reprezentować wdowę pod doktorze Klausenerze, liderze Akcji Katolickiej zamordowanym w czasie czystki, która domagała się od państwa odszkodowania, zostali bez chwili zwłoki wywiezieni do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie trzymano ich, dopóki formalnie nie wycofali pozwu.

Hitler, a przez pewien czas także Göring, miał prawo unieważnić postępowanie karne. Dzięki dokumentom norymberskim światło dzienne ujrzała sprawa[281], w której minister sprawiedliwości stanowczo zalecał postawienie w stan oskarżenia wysokiego funkcjonariusza Gestapo i grupy brunatnych koszul. Uważał, że dowody bez cienia wątpliwości wskazują, że dopuścili się wstrząsających tortur na więźniach obozu koncentracyjnego. Przesłał te dowody Hitlerowi. Ale Führer rozkazał porzucić sprawę. Początkowo Göring dysponował podobną prerogatywą. W kwietniu 1934 r. wstrzymał postępowanie karne przeciwko znanemu biznesmenowi. Niedługo później okazało, że oskarżony zapłacił mu 3 miliony marek. Gerhard F. Kramer, w tym okresie znany berliński prawnik, stwierdził

później: „Nie dało się ustalić, czy to Göring zaszantażował tego przemysłowca, czy to przemysłowiec przekupił premiera Prus”[282]. Natomiast dało się ustalić, że Göring unieważnił sprawę.

Z kolei Rudolf Hess, zastępca Führera, posiadał prawo podejmowania „bezlitosnych działań” przeciwko oskarżonym, którzy w jego mniemaniu wywinęli się ze zbyt pobłażliwymi wyrokami. Przesyłano mu wszystkie akta wyroków wydanych za atakowanie partii, Führera lub państwa. Jeśli uznawał, że sąd wymierzył zbyt łagodną karę, mógł podjąć „bezlitosne” kroki. Zazwyczaj polegały one na zaciągnięciu ofiar do obozów koncentracyjnych lub po prostu na zabójstwie.

Trzeba zaznaczyć, że czasami sędziowie Trybunałów Nadzwyczajnych przejawiali pewną niezależność, a nawet wierność prawu. W takich przypadkach wkraczał Hess albo Gestapo. Jak widzieliśmy, kiedy pastor Niemöller został uwolniony od głównych zarzutów i skazany na krótką odsiadkę, którą zdążył odbyć, czekając na proces, Gestapo zwinęło go pod drzwiami sali rozpraw i wywiozło do obozu koncentracyjnego.

Albowiem Gestapo, podobnie jak wódz, było prawem. Zostało powołane do życia 26 kwietnia 1933 r. w Prusach przez Göringa i miało zastąpić Wydział IA starej pruskiej policji politycznej. Pierwotnie Göring chciał nazwać nową formację po prostu Urzędem Tajnej Policji (Geheimes Polizei Amt), ale niemiecki skrót GPA za bardzo kojarzył się z radzieckim GPU. Nieznany nam bliżej pracownik poczty, poproszony o przygotowanie odcisku frankującego dla nowego urzędu, zaproponował nazwę Geheime Staatspolizei, czyli po prostu Tajna Policja Krajowa – w skrócie GESTAPO – i bezwiednie stworzył nazwę, której dźwięk wzbudzał trwogę w całych Niemczech, a podczas wojny również poza ich granicami.

Początkowo Gestapo było jedynie osobistym narzędziem terroru Göringa, wykorzystywanym do aresztowania i mordowania przeciwników reżimu. Dopiero w kwietniu 1934 r., gdy mianował Himmlera zastępcą szefa pruskiej tajnej policji, zaczęło się rozrastać jako odgałęzienie SS. Dzięki geniuszowi Himmlera, łagodnego w obejściu, lecz sadystycznego byłego hodowcy kurczaków, a także Reinharda Heydricha, diabolicznego młodzieńca[283] stojącego na czele Służby Bezpieczeństwa SS, czyli SD (Sicherheitsdienst), zamieniło się w dopust boży, mogący decydować o życiu lub śmierci każdego Niemca.

Pruski Najwyższy Sąd Administracyjny pod naciskiem nazistów już w 1935 r. zarządził, że decyzje oraz działania Gestapo nie będą podlegały kontroli sądowej. Podstawową ustawę o Gestapo rząd promulgował 10 lutego 1936 r. – stawiała ona struktury tajnej policji ponad prawem. Sądy nie mogły w żaden sposób ingerować w jej działania. Doktor Werner Best, prawa ręka Himmlera w Gestapo, wyjaśnił: „Dopóki policja realizuje wolę kierownictwa, działa zgodnie z prawem”[284].

A zatem arbitralne aresztowania i zamykanie ofiar w obozach koncentracyjnych odbywały się pod płaszczem „legalności”. Proceder ten nazywano *Schutzhaft*, czyli „aresztem zapobiegawczym”, i wykonywano go na podstawie ustawy z 28 lutego 1933 r., która jak widzieliśmy, zawieszała przepisy konstytucji gwarantujące swobody obywatelskie. Ale areszt zapobiegawczy wcale nie chronił człowieka przed krzywdą, jak w cywilizowanych państwach. Była to kara i nieszczęśnik lądował za drutem kolczastym.

W pierwszym roku władzy Hitlera obozy koncentracyjne wyrosły w całych Niemczech jak grzyby po deszczu. Pod koniec 1933 r. był ich około 50, większość otworzyło SA, żeby brunatne koszule miały gdzie katować ofiary i zwalniać je za okupem, za tyle pieniędzy, ile tylko udało się wydrzeć ich krewnym i przyjaciołom. Była to najbardziej prymitywna forma szantażu. Jednak czasami więźniów mordowano, zazwyczaj z czystego sadyzmu i brutalności. Podczas procesów norymberskich światło dzienne ujrzały cztery takie sprawy z wiosny 1933 r. Dotyczyły prowadzonego przez SS obozu w Dachau pod Monachium. We wszystkich przypadkach zatrzymani zostali zamordowani z zimną krwią, jednego zakatowano batem, innego uduszono. Przeciwko tym ekscesom protestował nawet monachijski prokurator.

Po czystce z czerwca 1934 r. zniknął wszelki opór przeciwko reżimowi nazistowskiemu i wielu Niemców uznało, że masowe „areszty zapobiegawcze” oraz zamykanie ludzi całymi tysiącami w obozach w końcu ustaną. W Wigilię 1933 r. Hitler ogłosił amnestię dla 27 tysięcy więźniów obozów, ale Göring i Himmler obeszli jego rozkaz i zwolnili zaledwie garstkę osadzonych. Następnie, w kwietniu 1934 r., Frick, tępy biurokrata i minister spraw wewnętrznych, próbował okiełznać występki nazistowskich zbirów, wydając tajne rozporządzenia ograniczające hurtowe stosowanie „aresztów zapobiegawczych” i wywózki do obozów koncentracyjnych, ale Himmler przekonał go, aby odpuścił tę kwestię.

Przywódca SS widział wyraźniej niż minister, że celem obozów jest nie tylko karanie przeciwników reżimu. Samo ich istnienie terroryzowało ludność i wybijało jej z głowy wszelkie myśli o oporze.

Niedługo po czystce Hitler powierzył SS kontrolę nad systemem obozów i formacja Himmlera zaczęła organizować je z oczekiwaną po tak elitarnej organizacji wydajnością i bezwzględnością. Obowiązki strażnicze przekazano wyłącznie w ręce jednostek Trupiej Główki (Totenkopfverbände), której członków rekrutowano z najtwardszego elementu partyjnego. Po werbunku mieli służyć 12 lat, nosili na czarnych bluzach świetnie znany symbol czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Na czele całego systemu obozów postawiono dowódcę pierwszego oddziału Trupiej Główki i pierwszego komendanta Dachau Theodora Eicke. Prowizoryczne obozy zlikwidowano, a w ich miejsce powstały większe. Najważniejsze (przynajmniej do wybuchu wojny, gdy system objął terytoria okupowane) były obozy w Dachau koło Monachium, w Buchenwaldzie pod Weimarem, w Sachsenhausen niedaleko stolicy, którym zastąpiono obóz w Oranienburgu, w Ravensbrück w Meklemburgii (dla kobiet), a po zajęciu Austrii w 1938 r. także w Mauthausen pod Linzem. Ich nazwy, obok Auschwitz, Bełżca i Treblinki, uruchomionych później w Polsce, staną się znane całemu światu.

Zginęły w nich miliony ludzi, a miliony innych były poniżane i torturowane w sposób, który mieścił się w głowach jedynie najbardziej zwyrodniałym nazistom. Początkowo jednak, w latach 30., liczba więźniów w nazistowskich obozach na terenie Niemiec prawdopodobnie nigdy nie przekroczyła równocześnie 20-30 tysięcy, a znaczna część wymyślonych później przez Himmlera okropności nie była jeszcze znana. Obozy zagłady, obozy pracy niewolniczej czy te, w których więźniowie służyli jako świnki doświadczalne dla nazistowskich „badań medycznych”, powstały dopiero po wybuchu wojny.

Nie oznacza to, że wczesne obozy były humanitarne. Mam przed sobą kopię zasad, przygotowanych 1 listopada 1933 r. na potrzeby Dachau przez pierwszego komendanta obozu Theodora Eicke. Gdy stanął na czele całego systemu, zastosował je we wszystkich placówkach.

> Punkt 11. Następujący przestępcy, uznawani za agitatorów, zostaną powieszeni: każdy, kto (…) politykuje, wygłasza podburzające przemówienia i organizuje zebrania, formuje kliki, wałęsa się z innymi; każdy, kto w celu dostarczenia opozycji materiałów propagandowych z opowieściami o zbrodniach zbiera prawdziwe lub

fałszywe informacje na temat obozu koncentracyjnego; kto pozyskuje takie informacje, ukrywa je, rozmawia o nich z innymi, przemyca je z obozu poprzez odwiedzających z zagranicy itd.

Punkt 14. Następujący przestępcy, uznawani za buntowników, zostaną rozstrzelani na miejscu lub później powieszeni. Każdy, kto atakuje fizycznie wartownika lub esesmana, nie słucha poleceń lub odmawia pracy (…), albo też wydziera się, krzyczy, podczas marszu lub pracy zachęca do przemówień lub sam je wygłasza.

Łagodniejsze kary dwóch tygodni w izolatce i 25 batów wymierzano „każdemu, kto w listach lub innych dokumentach dopuszcza się krytycznych uwag na temat przywódców narodowego socjalizmu, państwa lub rządu (…) [albo] wysławia marksistowskich lub liberalnych przywódców dawnych partii demokratycznych".

Sojuszniczką Gestapo była Służba Bezpieczeństwa, czyli SD. Ten skrót również sprawiał, że Niemcom, a później okupowanym narodom strach dławił oddech w piersi. SD została sformowana przez Himmlera w 1932 r. jako wywiadowcze ramię SS. Na jej czele postawił Reinharda Heydricha, który później zdobył sobie międzynarodową ponurą sławę jako „Heydrich wieszatiel". Główne zadanie SD polegało na obserwowaniu członków partii i meldowaniu o każdej podejrzanej aktywności. W 1934 r. stała się również jednostką wywiadowczą tajnej policji, a w 1938 r. nowa ustawa rozciągnęła jej uprawnienia na całą Rzeszę.

W biegłych rękach Heydricha, byłego oficera wywiadowczego marynarki wojennej, wyrzuconego w 1931 r. przez admirała Raedera za to, że odmówił ślubu z córką budowniczego okrętów, której cześć naraził na szwank, SD szybko oplotła swoją siecią całe Niemcy. Opłacała ponad 100 tysięcy informatorów węszących w życiu wszystkich obywateli oraz donoszących o każdej wypowiedzi i każdym czynie, które mogłyby zostać uznane za nieprzychylne reżimowi. Nikt, kto nie był skończonym głupcem, nie mówił ani nie robił nic, co mogłoby być zinterpretowane jako „antynazistowskie", chyba że podjął stosowne środki zaradcze i upewnił się, że nie może zostać nagrany ukrytymi mikrofonami SD albo podsłuchany przez szpicla. Informatorem służby Heydricha mógł być syn, ojciec, małżonek, kuzyn, najlepszy przyjaciel, szef albo sekretarka; nigdy nie było pewności, a jeśli ktoś miał dość oleju w głowie, to nikomu całkowicie nie ufał.

Liczba zatrudnionych na pełen etat „śledczych" SD w latach 30. prawdopodobnie nie przekraczała 3000. Większość rekrutowano spośród

młodych ubogich intelektualistów – absolwentów uniwersytetów, którzy nie byli w stanie znaleźć sobie w społeczeństwie odpowiedniej pracy i miejsca. W efekcie wśród tych zawodowych szpicli zawsze panowała niecodzienna atmosfera. Pielęgnowali dziwaczne zainteresowania, takie jak teutońska archeologia, czaszki gorszych ras lub eugenika rasy panów. Zagraniczny obserwator miał problem z nawiązaniem kontaktu z tymi osobliwymi ludźmi, chociaż sam Heydrich, postać arogancka, lodowata i bezwzględna, bywał widywany w berlińskich klubach nocnych w otoczeniu swych blondwłosych oprychów. Woleli trzymać się w cieniu, ale – przyna mniej w latach 1934-1935 – nie tylko z powodu charakteru ich pracy. W tym okresie wielu szpicli szpiegujących Röhma i jego towarzyszy z SA zostało zlikwidowanych przez tajną grupę, tak zwanych „mścicieli Röhma". Mściciele zostawiali na zwłokach szpicli karteczkę z nazwą organizacji.

Jednym z ciekawszych, choć drugorzędnych obowiązków SD było ustalanie, kto głosował na „nie" w plebiscytach organizowanych przez Hitlera. Wśród dokumentów norymberskich znalazł się tajny raport SD z Kochern dotyczący plebiscytu z 10 kwietnia 1938 r.:

> Dołączono kopię wymieniającą osoby, które w Kappel zagłosowały na „nie" lub oddały nieważne głosy. Kontrola przyjęła następującą formę: niektórzy członkowie komisji wyborczej ponumerowali wszystkie karty do głosowania. Podczas głosowania sporządzono listę głosujących. Karty wręczano im w kolejności numerycznej, dzięki czemu później możliwe było (…) odnalezienie osób, które głosowały na „nie" lub oddały nieważne głosy. Numeracji dokonano na odwrotach kart z użyciem chudego mleka.
>
> Załączono również kartę do głosowania protestanckiego duchownego Alfreda Wolfersa[285].

16 czerwca 1936 r. po raz pierwszy w dziejach Niemiec powołano jednolitą policję dla całej Rzeszy (wcześniej siły policji były zorganizowane osobno w każdym kraju związkowym), a na jej czele stanął Himmler. Było to równoznaczne z przekazaniem policji w ręce SS, które po stłumieniu „rewolty" Röhma dynamicznie zwiększało swoją władzę. SS stało się nie tylko gwardią pretoriańską, nie tylko jedynym zbrojnym ramieniem partii, nie tylko elitą, z której miano wybierać przyszłych przywódców Niemiec, ale też siłą polityczną. III Rzesza, co nieuniknione w rozwoju każdego systemu totalitarnego, stała się państwem policyjnym.

SPRAWOWANIE WŁADZY W III RZESZY

Choć Republika Weimarska przestała istnieć, Hitler nigdy formalnie nie uchylił jej konstytucji. Jak na ironię, oparł „legalność” swoich rządów na pogardzanej republikańskiej ustawie zasadniczej. A zatem tysiące zadekretowanych przez rząd ustaw (innych w III Rzeszy nie było) bazowało bezpośrednio na nadzwyczajnym dekrecie prezydenckim z 28 lutego 1933 r. (o ochronie narodu i państwa), podpisanym przez Hindenburga w zgodzie z artykułem 48 konstytucji weimarskiej. Historia zapamięta, że stary prezydent dał się wmanewrować Hitlerowi w podpisanie dekretu dzień po pożarze Reichstagu, zapewniony przez kanclerza, że w kraju istnieje poważne niebezpieczeństwo wybuchu komunistycznej rewolucji. Dekret zawieszający obowiązywanie wszystkich praw obywatelskich pozostał w mocy do kresu III Rzeszy. Pozwalał Hitlerowi rządzić na zasadach permanentnego stanu wyjątkowego.

Drugim filarem „konstytucyjności” rządów Hitlera był akt upoważniający, przegłosowany przez Reichstag 24 marca 1933 r., kiedy parlament zrzekł się swych prerogatyw na rzecz rządu. Co cztery lata był on przedłużany przez uległy Reichstag na kolejny czteroletni okres. Dyktatorowi nigdy nie przyszło na myśl, aby zlikwidować tę niegdyś demokratyczną instytucję; zamiast tego po prostu zmienił ją w niedemokratyczną. Przed wybuchem wojny Reichstag zebrał się tylko kilkanaście razy i „przyjął” zaledwie cztery ustawy[286], nie prowadził żadnych debat ani głosowań, a na jego forum głos zabierał wyłącznie Hitler.

W rządzie poważne dyskusje ucichły już po pierwszych kilku miesiącach 1933 r. Po śmierci Hindenburga w sierpniu 1934 r. posiedzenia gabinetu stawały się coraz rzadsze. Ostatnie zwołano w lutym 1938 r. Poszczególni członkowie rządu dysponowali jednak ważnymi uprawnieniami, pozwalającymi im na promulgowanie dekretów, oczywiście za zgodą Hitlera, które automatycznie stawały się obowiązującym prawem. Tajna Rada Gabinetowa (Geheimer Kabinettsrat), powołana do życia z wielką pompą w 1938 r., chyba tylko po to, żeby zaimponować premierowi Chamberlainowi, istniała jedynie na papierze. Nie zebrała się ani razu. Rada Obrony Rzeszy (Reichsverteidigungsrat), ustanowiona w początkach reżimu jako agencja planowania wojennego pod przewodnictwem Hitlera, zebrała się tylko dwa razy, choć niektóre jej komisje robocze działały bardzo aktywnie.

Liczne funkcje rządu delegowano na specjalne agencje, na przykład Biuro Zastępcy Führera (Hess, później Martin Bormann), pełnomocników ds. gospodarki wojennej (Schacht) lub administracji (Frick) czy też delegata ds. Planu Czteroletniego (Göring). Ponadto istniały „naczelne agencje rządowe" oraz „narodowe agencje administracyjne"; wiele z nich było reliktami republiki. Łącznie, pod bezpośrednim kierownictwem Führera, rząd zawiadywał 42 agencjami wykonawczymi.

Jak widzieliśmy, sejmy oraz odrębne rządy krajów związkowych zostały zlikwidowane w pierwszym roku nazistowskiego reżimu, kiedy to państwo zostało zjednoczone, a Hitler mianował gubernatorów krajowych, przemianowanych wraz ze zmianą statusu krajów związkowych na gubernatorów prowincji. Samorząd lokalny, jedyny poziom władzy, na którym Niemcy zdawali się czynić postępy zmierzające ku demokracji, też zostały usunięte. Seria ustaw zadekretowanych w latach 1933-1935 pozbawiła miasta autonomii lokalnej i poddała je bezpośredniej kontroli ministra spraw wewnętrznych, który mianował burmistrzów (w przypadku miast o ludności przekraczającej 100 tysięcy), i zreorganizowała władze miejskie zgodnie z zasadą przywództwa. W miastach poniżej 100 tysięcy mieszkańców burmistrzów wybierali gubernatorzy prowincji. Jeśli chodzi o Berlin, Hamburg i Wiedeń (po zajęciu Austrii w 1938 r.), Hitler zarezerwował prawo wyboru burmistrzów dla siebie.

Urzędy, poprzez które Hitler egzekwował dyktatorską władzę, obejmowały cztery kancelarie: prezydenta (choć tytuł prezydenta zniknął w 1934 r.), kanclerza (tytuł kanclerza zlikwidowano w 1939 r.) oraz partii; czwarta kancelaria była znana jako „kancelaria wodza" i zajmowała się jego prywatnymi sprawami oraz specjalnymi zadaniami.

W rzeczywistości Hitlera nudziły szczegóły bieżącego zarządzania krajem i gdy już ugruntował swoją pozycję po śmierci Hindenburga, zostawił to podwładnym. Starzy towarzysze partyjni, tacy jak Göring, Goebbels, Himmler, Ley i Schirach, dostali wolną rękę i mogli swobodnie budować własne imperia władzy – i zysku. Schacht z początku mógł wedle swego uznania gromadzić środki na podniesienie wydatków rządowych, za pomocą każdego fortelu, jaki tylko udało mu się obmyślić. Hitler wkraczał, dopiero gdy jego podwładni ścierali się o podział władzy lub łupów. Ich utarczki bynajmniej mu nie przeszkadzały. Prawdę mówiąc, często ich podjudzał, gdyż spory wzmacniały jego status najwyższego arbitra i zapobiegały „zwieraniu szeregów" przeciwko niemu. Musiał być więc

zachwycony spektaklem, w jaki przerodziła się rywalizacja o kontrolę nad polityką zagraniczną. Starło się trzech konkurentów: minister spraw zagranicznych Neurath, szef Wydziału Polityki Zagranicznej partii Rosenberg, a także Ribbentrop, który miał własne biuro także parające się dyplomacją. Wszyscy trzej skakali sobie do gardeł, a Hitler podgrzewał ich rywalizację, utrzymując wszystkie wspomniane urzędy, do czasu aż w końcu wybrał tępego Ribbentropa na swojego ministra spraw zagranicznych i pozwolił mu ująć ster dyplomacji Rzeszy.

Tak oto prezentował się rząd III Rzeszy, na wszystkich szczeblach administrowany w zgodzie z tzw. zasadą przywództwa przez bezkresną biurokrację, która nie miała w sobie nic z przypisywanej zazwyczaj Niemcom wydajności, przeżerała ją korupcja oraz nękały nieustanne rywalizacje i chaos, pogłębiane jeszcze częstymi ingerencjami najpotężniejszych ludzi partii. Czasami jej pracę całkowicie paraliżował terror SS i Gestapo.

Na samym szczycie tego jazgotliwego ula stał dawny austriacki włóczęga, który obok Stalina stał się najpotężniejszym dyktatorem na świecie. „Dzisiaj w Niemczech jest tylko jedna władza i jest to władza Führera”, przypomniał wiosną 1936 r. na konwencji prawników doktor Hans Frank[287].

Dzięki tej władzy Hitler bardzo szybko zmiażdżył wszystkich przeciwników, zjednoczył i znazyfikował państwo, poddał wszystkie instytucje oraz kulturę ścisłej kontroli, zdeptał swobody jednostki, zlikwidował bezrobocie i wprawił w szybki ruch tryby przemysłu i handlu. To niemałe osiągnięcie, jak na zaledwie 3-4 lata rządów. Gdy minęły, a w zasadzie już wcześniej, oddał się swoim dwóm największym pasjom: popychaniu niemieckiej polityki zagranicznej w stronę wojny i podbojów oraz budowie kolosalnej machiny militarnej, która miała pozwolić mu zrealizować główny cel.

Czas wrócić do opowieści, udokumentowanej lepiej niż jakakolwiek inna w najnowszej historii, o tym jak ten niezwykły człowiek, stanąwszy na czele wielkiego, potężnego państwa, zabrał się do spełniania swoich celów.

[1] Notatka Hammersteina, cytowana przez Wheelera-Bennetta w jego *The Nemesis of Power*, s. 285. Notatka została sporządzona dla Wheelera-Bennetta przez doktora Kunratha von Hammersteina, syna generała, i opierała się o jego zapiski i dzienniki. Nosiła tytuł „Schleicher, Hammerstein i przejęcie władzy”.
Pełna bibliografia do dzieła Shirera zostanie umieszczona na końcu trzeciego tomu (przyp. tłum.).
[2] Joseph Goebbels, *Vom Kaiserhof zum Reichskanzlei*, s. 251.
[3] Notatka Hammersteina, cytowana przez Wheelera-Bennetta, *op. cit.*, s. 280.
[4] Goebbels, *op. cit.*, s. 250.
[5] *Ibid.*, s. 252.
[6] *Ibid.*, s. 252.
[7] André François-Poncet, *The Fateful Years*, s. 48. Poncet był francuskim ambasadorem w Berlinie w latach 1930-1938.
[8] Goebbels, *Kaiserhof*, s. 251-254.
[9] Proklamacja wygłoszona w Norymberdze 5 września 1934 r.
[10] Friedrich Meinecke, *The German Catastrophe*.
[11] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, wydanie amerykańskie (Boston, 1943). W dużej liczbie cytatów z tej książki zmieniałem angielski przekład, aby był wierniejszy oryginałowi.
[12] Konrad Heiden, *Der Fuehrer*. Wszyscy autorzy piszący o III Rzeszy mają u Heidena dług wdzięczności za materiały na temat pierwszych lat życia Hitlera.
[13] *Ibid.*, s. 41.
[14] Wydaje się, że i sam Hitler zdawał sobie z tego sprawę. Jedynemu przyjacielowi z dzieciństwa zwierzył się, że nic nie ucieszyło go bardziej niż zmiana nazwiska przez ojca. Powiedział Augustowi Kubizkowi, że nazwisko Schicklgruber „wydawało mu się takie niezgrabne, takie prostackie, nie wspominając, że było nieporęczne i niepraktyczne. »Hiedler« uznał za zbyt… miękkie; za to »Hitler« brzmiało przyjemnie i było łatwe do zapamiętania” (August Kubizek, *The Young Hitler I Knew*, s. 40).
[15] Heiden, *Der Fuehrer*, s. 43.
[16] *Ibid.*, s. 43.
[17] *Mein Kampf*, s. 6.
[18] *Ibid*., s. 8.
[19] *Ibid*., s. 8-10.
[20] *Ibid.*, s. 10.
[21] *Hitler's Secret Conversations, 1941-44*, s. 287.
[22] *Ibid*., s. 346.
[23] *Ibid*., s. 547.
[24] *Ibid*., s. 566-567.
[25] August Kubizek, *The Young Hitler I Knew*, s. 50.
[26] *Ibid.*, s. 49.
[27] *Mein Kampf*, s. 14-15.
[28] Kubizek, *op. cit.*, s. 52 oraz *Hitler's Secret Conversations*, s. 567.
[29] Kubizek, *op. cit.*, s. 44.
[30] *Mein Kampf*, s. 18.

[31] Opowiedział tę historię w jednym z tych momentów, gdy nachodziła go ochota na wspominki, wieczorem z 8 na 9 stycznia 1942 r. w kwaterze głównej (*Hitler's Secret Conversations*, s. 160).
[32] „Były to najszczęśliwsze dni w moim życiu, wydają mi się niemal jak sen (…)" (*Mein Kampf*, s. 18). W liście datowanym 4 sierpnia 1933 r., czyli pół roku po objęciu kanclerstwa, napisał do przyjaciela z dzieciństwa Augusta Kubizka: „Powinienem być wdzięczny (…), że mogę wraz z tobą jeszcze raz wskrzesić najlepsze lata życia" (Kubizek, *The Young Hitler I Knew*, s. 273).
[33] *Mein Kampf*, s. 21.
[34] Kubizek, który był chyba jedynym przyjacielem Hitlera w młodości, odmalował w swojej książce *The Young Hitler I Knew* ciekawy obraz swojego kompana w ciągu owych czterech lat, zanim Hitler w wieku 19 lat rozpoczął życie wiedeńskiego wagabundy – obraz, który nie tylko wypełnia lukę w biografii Führera, ale też koryguje dotychczasowe opinie o jego charakterze w młodości. Kubizek był przeciwieństwem Hitlera. Żył w szczęśliwej rodzinie w Linzu, poszedł w ślady ojca i został tapicerem, pracował uczciwie w tym fachu, równocześnie studiując muzykę, ukończył z wyróżnieniem Wiedeńskie Konserwatorium Muzyczne i rozpoczął obiecującą karierę kompozytora i dyrygenta, którą zniszczyła I wojna światowa.
[35] Kubizek, *op. cit.*, s. 59.
[36] *Ibid.*, s. 76.
[37] *Ibid.*, s. 54-55.
[38] Konrad Heiden, *Der Fuehrer*, s. 52.
[39] *Mein Kampf*, s. 20.
[40] *Ibid.*, s. 18.
[41] *Ibid.*, s. 18.
[42] Nawiązanie do znanych z *Odysei* Feaków, ludu, który żył w dostatku i chętnie oddawał się rozrywkom (przyp. tłum.).
[43] *Ibid.*, s. 21.
[44] *Ibid.*, s. 21-22.
[45] *Ibid.*, s. 34.
[46] Zob. *Das Ende des Hitler-Mythos* Josefa Greinera, który osobiście znał Hitlera w jego wiedeńskim okresie. Zob. też *Hitler the Pawn* Rudolfa Oldena; książka Oldena zawiera świadectwo Reinholda Hanischa, sudeckiego włóczęgi, który przez pewien czas był współlokatorem Hitlera w męskim schronisku i niekiedy sprzedawał na ulicy jego obrazki. Konrad Heiden również przytacza w *Der Fuehrer* materiały dotyczące Hanischa, w tym akta sądowe ze sprawy, jaką Hitler wniósł przeciwko włóczędze za to, że ten oszukał go i nie wypłacił części zysków z obrazów, które Hanisch rzekomo sprzedawał w jego imieniu.
[47] Heiden, *Der Fuehrer*, s. 54.
[48] *Ibid.*, s. 68.
[49] *Mein Kampf*, s. 34.
[50] *Ibid.*, s. 22.
[51] Kursywa Hitlera.
[52] *Mein Kampf*, s. 35-37.
[53] *Ibid.*, s. 22, 125.

[54] W drugim wydaniu *Mein Kampf* i we wszystkich późniejszych wyraz ten został usunięty, a „zaraźliwą” zmieniono na inne słowo.
[55] *Mein Kampf*, s. 38-49.
[56] *Ibid*., s. 41.
[57] *Ibid.*, s. 43-44.
[58] *Ibid.*, s. 116-117.
[59] *Ibid.*, s. 118.
[60] *Ibid.*, s. 55, 69, 122.
[61] Stefan Zweig, *The World of Yesterday*, s. 63.
[62] *Mein Kampf*, s. 100.
[63] *Ibid*., s. 107.
[64] *Ibid*., s. 52.
[65] Kubizek, *op. cit.*, s. 79.
[66] *Mein Kampf*, s. 52.
[67] *Ibid.*, s. 56.
[68] *Ibid*., s. 56-57.
[69] *Ibid*., s. 59.
[70] *Ibid*., s. 63-64.
[71] Pobór obowiązywał go od 1910 r., gdy ukończył 21 lat. Według Heidena, gdy Hitler przebywał w Wiedniu, austriackim władzom nie udało się go znaleźć. Zlokalizowały go w końcu w Monachium i nakazały mu stawić się w Linzu przed komisją. Josef Greiner opublikował w *Das Ende des Hitler-Mythos* część korespondencji pomiędzy Hitlerem a austriackimi władzami wojskowymi. Usprawiedliwiając się brakiem pieniędzy, prosił on o zgodę na przejście badań w bliższym Monachium Salzburgu. Został tam zbadany 5 lutego 1914 r. i ze względu na słabe zdrowie uznany za niezdolnego do służby wojskowej, a nawet do służby pomocniczej; najwyraźniej nadal cierpiał na dolegliwości płuc. Fakt, że nie zgłosił się przed komisję, zanim władze wojskowe nie odszukały go w wieku 24 lat, musiało budzić jego niepokój, gdy zaczynał piorunującą karierę w Niemczech. Greiner potwierdził historię, która krążyła w środowiskach antynazistowskich, gdy mieszkałem w Berlinie, że kiedy w 1938 r. niemieckie wojska opanowały Austrię, Hitler rozkazał Gestapo odnaleźć oficjalne dokumenty dotyczące jego służby wojskowej. Ku jego narastającej wściekłości, w Linzu szukano na próżno. Dokumenty zostały zabrane przez członka lokalnego samorządu, który po wojnie pokazał je Greinerowi.
[72] *Ibid.*, s. 123-124.
[73] *Ibid*., s. 161, 163.
[74] Wyrażenie to pojawia się w pierwszym niemieckim wydaniu *Mein Kampf*, ale we wszystkich późniejszych zostało zamienione na „rewolucji”.
[75] *Mein Kampf*, s. 204-205.
[76] *Ibid*., s. 202.
[77] Heiden, *Der Fuehrer*, s. 84.
[78] Rudolf Olden, *Hitler, the Pawn*, s. 70.
[79] *Mein Kampf*, s. 193.
[80] Przypisanie wiary w ten mit angielskiemu generałowi trudno uznać za prawdę. Wheeler-Bennett w pracy *Wooden Titan: Hindenburg* wyjaśniał, że jak na ironię, dwóch

brytyjskich generałów przypadkowo istotnie przyłożyło rękę do powstania tej fałszywej legendy. „Pierwszym z nich był generał major sir Frederick Maurice, którego książka *The Last Four Months*, wydana w 1919 r., została dalece niewłaściwie zinterpretowana przez recenzentów z niemieckiej prasy, którzy uznali ją za dowód na to, że niemiecka armia została zdradzona przez socjalistów na froncie krajowym, a nie pokonana w polu". Rzeczony generał zaprzeczał owej interpretacji, ale na próżno. Wheeler-Bennett pisze dalej: „Drugim oficerem był generał major Malcolm, szef Misji Brytyjskiej w Berlinie. Pewnego wieczoru jadł kolację z Ludendorffem, który ze swą typową napuszoną elokwencją ubolewał, jak to naczelnemu dowództwu zawsze brakowało wsparcia ze strony cywilnego rządu i jak rewolucja zdradziła armię. Chcąc uchwycić potok słów Ludendorffa w jedno zdanie, generał Malcolm zapytał: »Czy twierdzi pan, generale, że otrzymaliście cios w plecy?«. Oczy Ludendorffa rozbłysły i uchwycił się tej frazy jak pies kości. »Cios w plecy? – powtórzył. – Tak, otóż to. Otrzymaliśmy cios w plecy«".

81 Niewielu generałów miało dość odwagi, aby to przyznać. 23 października 1924 r. „Frankfurter Zeitung" opublikował analizę przyczyn porażki autorstwa generała Freiherra von Schönaicha. Doszedł on do „nieodpartego wniosku, że zawdzięczamy naszą ruinę wyższości władzy wojskowej nad cywilną (…). W rzeczywistości niemiecki militaryzm popełnił po prostu samobójstwo" (cytat za: Telford Taylor, *Sword and Swastika*, s. 16).

82 *Mein Kampf*, s. 205-206.

83 *Ibid*., s. 207.

84 Kapp urodził się 24 lipca 1868 r. w Nowym Jorku.

85 Pod koniec wojny Ludendorff, w niebieskich okularach i z fałszywymi wąsami, uciekł do Szwecji. Do Niemiec wrócił w lutym 1919 r., pisząc do małżonki: „Byłoby najwyższą głupotą, gdyby rewolucjoniści pozwolili nam wszystkim zachować życie. I dlatego jeżeli kiedykolwiek wrócę do władzy, nie będzie pardonu. A później, z lekkim sumieniem, powieszę Eberta, Scheidemanna i spółkę, i będę patrzył, jak dyndają". (Margarine Ludendorff, *Als ich Ludendorffs Frau war*, s. 229). Ebert był pierwszym prezydentem, a Scheidemann kanclerzem Republiki Weimarskiej. Z kolei Ludendorff, choć formalnie podlegał Hindenburgowi, przez ostatnie dwa lata wojny był de facto dyktatorem Niemiec.

86 *Mein Kampf*, s. 215-216.

87 *Ibid*., s. 210, 213.

88 *Ibid*., s. 218-219.

89 *Ibid*., s. 220.

90 *Ibid*., s. 221-222.

91 *Ibid*., s. 224.

92 *Ibid*., s. 678, przypis.

93 Eckart umarł z przepicia w grudniu 1923 r.

94 *Mein Kampf*, s. 678.

95 *Ibid*., s. 354.

96 *Ibid*., s. 355.

97 Harrer sprzeciwiał się także zajadłemu antysemityzmowi Hitlera i uważał, że zraża on klasę robotniczą. I właśnie dlatego zrezygnował.

98 *Ibid*., s. 369-370.

[99] Zob. wyżej, s. 34.
[100] Konrad Heiden, *A History of National Socialism*, s. 36.
[101] *Mein Kampf*, s. 496-497. Kursywa Hitlera.
[102] Heiden, *A History of National Socialism*, s. 51-52.
[103] W 1923 r. opuścił szeregi partii, a w latach 1924-1928 był wiceprzewodniczącym bawarskiego parlamentu. W 1930 r. pogodził się z Hitlerem, ale nie wrócił już do aktywnej polityki. Jak zauważył Heiden, spotkał go los wszystkich pierwszych odkrywców.
[104] Kawalerowie i okrągłogłowi to stronnictwa z czasów angielskiej wojny domowej (przyp. tłum.).
[105] Hanfstaengl w swoich wspomnieniach pt. *Unheard Witness* napisał, że do Hitlera skierował go pewien Amerykanin, kapitan Truman Smith, wówczas asystent attaché wojskowego przy ambasadzie amerykańskiej w Berlinie. W listopadzie 1922 r. ambasada wysłała Smitha do Monachium, aby przyjrzał się mało znanemu agitatorowi politycznemu o nazwisku Adolf Hitler i jego nowo założonej partii. Jak na młodego oficera zawodowego amerykańskiej armii, kapitan Smith mógł poszczycić się niebywałą smykałką do analizy politycznej. Podczas tygodnia spędzonego w Monachium (15-22 listopada) zdołał spotkać się z Ludendorffem, kronprinzem Rupprechtem i kilkunastoma przywódcami politycznymi z Bawarii. Od większości z nich usłyszał, że Hitler to wschodząca gwiazda, a jego ugrupowanie to szybko rozwijająca się siła polityczna. Smith bez chwili zwłoki wybrał się na nazistowski wiec pod gołym niebem, na którym przemawiał Hitler. „Jak żyję, nie widziałem niczego podobnego!", zanotował zaraz po zakończeniu wiecu w dzienniku. „Poznałem Hitlera, obiecał, że porozmawia ze mną w poniedziałek i opowie, jakie przyświecają mu cele". W poniedziałek Smith wybrał się do rezydencji Hitlera – „ciasnej pustej sypialni na drugim piętrze walącego się budynku", jak ją opisał – i odbył z przyszłym dyktatorem, którego poza Monachium prawie nikt jeszcze nie znał, długą rozmowę. „Wspaniały demagog!", rozpoczął tego wieczora Smith wpis w dzienniku. „Nieczęsto miewam okazję słuchać tak logicznego i fanatycznego człowieka". Było to 22 listopada 1922 r.

Wieczorem, tuż przed wyjazdem do Berlina, Smith spotkał się z Hanfstaenglem, opowiedział mu o spotkaniu z Hitlerem i poradził, aby się nim zainteresował. Wieczorem nazistowski przywódca ponownie miał przemawiać na wiecu i Smith oddał Hanfstaenglowi swój bilet prasowy. Ten udał się na wiec i podobnie jak wielu innych, dał się oszołomić przemówieniu, poszukał mówcy zaraz po wiecu i wkrótce „przeszedł" na nazizm.

Powróciwszy do stolicy, która w tym czasie nie zwracała jeszcze uwagi na Hitlera, kapitan Smith sporządził obszerny raport, który 25 listopada 1922 r. ambasada przesłała do Waszyngtonu. Biorąc pod uwagę fakt, kiedy został napisany, jest to niesamowity dokument.

Smith napisał: „W tej chwili najaktywniejszą siłą polityczną w Bawarii jest Narodowosocjalistyczna Partia Pracy. To bardziej ruch masowy niż partia polityczna i należy postrzegać go jako bawarski odpowiednik włoskich faszystów (…). Niedawno zdobył wpływy polityczne nieproporcjonalne do swej liczebności (…).

Adolf Hitler od samego początku był dominującą siłą w tym ruchu, a osobowość tego człowieka bez wątpienia była jednym z najważniejszych czynników, które przełożyły się

na jego sukces (…). Posiada on niebywałą zdolność oddziaływania na zgromadzenia publiczne. W dyskusjach prywatnych jawi się jako stanowczy i logiczny rozmówca, który po dodaniu do tego fanatycznej żarliwości robi na neutralnym słuchaczu bardzo głębokie wrażenie".

Pułkownik Smith, który później, w pierwszych latach reżimu nazistowskiego, pełnił funkcję amerykańskiego attaché wojskowego w Berlinie, uprzejmie oddał do dyspozycji autora swój dziennik oraz notatki z wizyty w Monachium. Okazały się bezcenne do przygotowania niniejszego rozdziału.

[106] Hanfstaengl spędził część II wojny światowej w Waszyngtonie, oficjalnie jako internowany obywatel wrogiego państwa, ale w rzeczywistości jako „doradca" rządu do spraw nazistowskich Niemiec. Ta ostatnia głośna rola jego życia, która Amerykanom znającym jego oraz nazistowskie Niemcy musiała wydawać się niedorzeczna, zapewne była dlań wyborną zabawą.

[107] Heiden, *Der Fuehrer*, s. 98-99.

[108] Heiden, *A History of National Socialism*, s. 52.

[109] Heiden, *Hitler*, s. 90-91.

[110] Wheeler-Bennett, *Wooden Titan: Hindenburg*, s. 207-208.

[111] Rok później generał Freiherr von Lüttwitz, reakcyjny oficer ze starej szkoły, pokaże swą lojalność względem republiki w ogóle i Noskego w szczególności, kiedy podczas puczu Kappa stanie na czele freikorpsów i weźmie Berlin. 13 marca 1920 r. o godzinie 5 rano Ebert, Noske i inni członkowie rządu będą musieli uchodzić ze stolicy. Generał von Seeckt, szef sztabu armii, czyli nominalnie podwładny ministra Noskego, nie pozwoli armii bronić republiki przed Kappem i Lüttwitzem. „Ta noc dowiodła bankructwa całej mej polityki – ubolewał Noske. – Moja wiara w korpus oficerski legła w gruzach. Wszyscy mnie opuściliście" (cytat za: Wheeler-Bennett, *The Nemesis of Power*, s. 77).

[112] Oczywiście konstytucja miała też skazy, a niektóre okazały się katastrofalne w skutkach. System przedstawicielstwa proporcjonalnego i głosowania na listy może i zapobiegał marnowaniu głosów, ale zaowocował też namnożeniem drobnicy partyjnej, która w efekcie uniemożliwiła budowanie w Reichstagu stabilnych większości i prowadziła do częstych zmian rządów. W wyborach ogólnokrajowych w 1930 r. brało udział 28 ugrupowań.

Republika mogłaby okazać się bardziej stabilna, gdyby przyjęto niektóre pomysły profesora Hugo Preussa, najważniejszego z autorów konstytucji. Proponował on w Weimarze, aby Niemcy stały się krajem scentralizowanym, zaś Prusy i pozostałe kraje związkowe zostały zlikwidowane i zamienione w prowincje. Jednak Zgromadzenie odrzuciło te propozycje.

I wreszcie, artykuł 48 przekazywał w ręce prezydenta dyktatorską władzę w razie zagrożenia dla państwa. Wykorzystanie tej klauzuli przez kanclerzy Brüninga, Papena i Schleichera pod okiem prezydenta von Hindenburga umożliwiło im sprawowanie władzy bez odwoływania się do Reichstagu i tym samym, jeszcze przed czasami Hitlera, położyło kres demokratycznym rządom parlamentarnym w Niemczech.

[113] Wheeler-Bennett, *Wooden Titan: Hindenburg*, s. 131.

[114] Ograniczał armię do 100 tysięcy ochotników oraz zabraniał jej posiadania samolotów i czołgów. Sztab Generalny został wyjęty spod prawa. Marynarka wojenna została

zredukowana do symbolicznych rozmiarów i otrzymała zakaz budowy okrętów podwodnych oraz jednostek o wyporności przekraczającej 10 tysięcy ton.

115 Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 58.

116 Franz L. Neumann, *Behemoth*, s. 23.

117 Heiden, *Der Fuehrer*, s. 131-133.

118 *Ibid*., s. 164.

119 Generał porucznik Friedrich von Rabenau, *Seeckt, aus seinem Leben*, t. II, s. 342.

120 Oddziały „Czarnej Reichswehry", liczące około 20 tysięcy ludzi, stacjonowały na wschodniej granicy, aby pomóc w jej obronie przed Polakami podczas niespokojnych lat 1920-1923. Ta bezprawna organizacja zasłynęła odnowieniem horrorów średniowiecznych *Femegerichte* (tajnych trybunałów), które arbitralnie wydawały wyroki śmierci na Niemców ujawniających działalność „Czarnej Reichswehry" przed Sojuszniczą Komisją Kontroli. Kilka spraw dotyczących tych brutalnych mordów trafiło przed sąd. Minister obrony Otto Gessler, który zastąpił Noskego, wyparł się jakiejkolwiek wiedzy o tej organizacji i upierał się, że takowa nie istnieje. Ale gdy jeden z przesłuchujących go zaprotestował przeciwko tej naiwności, Gessler zawołał: „Kto opowiada o »Czarnej Reichswehrze«, dopuszcza się zdrady stanu!".

121 Rabenau, *op. cit.*, t. II, s. 342.

122 Karl Alexander von Müller, cytowany w: Heiden, *der Fuehrer*, s. 190.

123 Kilka lat później, zatwierdzając nominację Streichera na nazistowskiego lidera Frankonii wbrew opinii wielu partyjnych towarzyszy, Hitler oświadczył: „Może temu czy owemu nie podoba się kształt nosa towarzysza Streichera. Ale gdy tamtego dnia padł obok mnie na ulicy przy Portyku Marszałków, poprzysiągłem sobie, że nie zapomnę o nim, dopóki on nie zapomni o mnie" (Heiden, *Hitler: A Biography*, s. 157).

124 Komitadżi – bułgarscy partyzanci walczący z Turkami (przyp. tłum.).

125 Chodziło o kolor umundurowania (przyp. tłum.).

126 Zapis postepowania sądowego znajduje się w *Der Hitler Prozess*.

127 Przed przybyciem Hessa wstępnym spisywaniem słów Hitlera zajmował się Emil Maurice, były skazaniec, zegarmistrz i pierwszy dowódca drużyn nazistowskich „silnorękich".

128 Pod koniec drugiego tomu napisał: „Ponowne otwieranie ran, które ledwie zdążyły się zagoić, jest bezcelowe; (…) nie ma potrzeby mówić o winie ludzi, którzy w głębi serca być może byli oddani swemu krajowi z taką samą miłością i jedynie przeoczyli wspólną drogę lub jej nie zrozumieli". Jak na człowieka tak mściwego jak Hitler, jest to niespotykany przejaw tolerancji względem osób, które zgniotły jego rebelię i wtrąciły go do więzienia; lub też, mając na uwadze, co później stało się z Kahrem i innymi, którzy weszli Hitlerowi w drogę, może był to pokaz siły woli – umiejętności tymczasowego powstrzymywania się ze względów taktycznych. W każdym razie, nie wskazał winnych.

129 Podobnie jak większość pisarzy, borykał się z problemami ze strony poborców podatkowych, a przynajmniej, jak zobaczymy, póki nie został kanclerzem.

130 Dane pochodzą z opracowania dokumentów na temat tantiem Eher Verlag autorstwa profesora Orona Jamesa Hale'a, opublikowanego w „The American History Review" (July 1955) pt. *Adolf Hitler: Taxpayer*.

131 Cytaty pochodzą z *Mein Kampf*, s. 619, 672, 674.

132 *Ibid*., s. 138-139.

[133] *Ibid*., s. 140.
[134] *Ibid*., s. 643, 646, 652.
[135] *Ibid*., s. 649.
[136] *Ibid*., s. 675.
[137] *Ibid*., s. 654. Kursywa moja.
[138] *Ibid*., s. 150-153.
[139] *Adolf Hitlers Reden*, s. 32. Cytat za: Bullock, *op. cit.*, s. 68.
[140] Kursywa Hitlera.
[141] *Mein Kampf*, s. 247-253.
[142] *Ibid*., s. 134-135, 285, 289.
[143] *Ibid*., s. 290.
[144] *Ibid*., s. 295-296.
[145] Ten oraz dwa powyższe cytaty: *ibid*., s. 296.
[146] *Ibid*., s. 646.
[147] *Ibid*., s. 383-384.
[148] *Ibid*., s. 394.
[149] *Ibid*., s. 402-404.
[150] *Ibid*., s. 396.
[151] Kursywa Hitlera.
[152] *Mein Kampf*, s. 449-450.
[153] „Gdyby nie więzienie, *Mein Kampf* nigdy by nie powstała – stwierdził wiele lat później. – Ten czas dał mi okazję do pogłębienia wielu poglądów, które wcześniej czułem jedynie instynktownie (…). Również wtedy nabrałem przekonania, że nie możemy zdobyć władzy siłą; wielu moich zwolenników nigdy tego nie zrozumiało. Państwo miało dość czasu, żeby się scementować i dysponowało bronią" (*Hitler's Secret Conversations*, s. 235). Wygłosił tę uwagę do jednego ze swoich zauszników, w kwaterze na froncie wschodnim, nocą z 3 na 4 lutego 1942 r.
[154] A.J.P. Taylor, *The Course of German History*, s. 24.
[155] Wilhelm Röpke, *The Solution of the German Problem*, s. 153.
[156] W pewnym sensie niemiecka klasa robotnicza przystała na podobną transakcję. Bismarck, chcąc zwalczać socjalizm, w latach 1883-1889 uruchomił program opieki społecznej, wykraczający daleko poza rozwiązania znane w innych krajach. Obejmował przymusowe ubezpieczenia dla robotników, na wypadek starości, chorób, wypadków, kalectwa, i chociaż organizowało je państwo, to finansowali pracodawcy i pracownicy. Nie można powiedzieć, że zatrzymało to rozwój socjaldemokracji i związków zawodowych, ale miało znaczący wpływ na klasę robotniczą, gdyż stopniowo zaczęła ona wyżej cenić bezpieczeństwo niż swobodę polityczną i widzieć w państwie, choć bardzo konserwatywnym, dobroczyńcę i obrońcę. Jak zobaczymy, Hitler w pełni wykorzystał jej stan umysłu. Podobnie jak w wielu innych kwestiach, i w tej wiele nauczył się od Bismarcka. „Przestudiowałem legislację socjalną Bismarcka, jej założenia, walkę i sukcesy", napisał w *Mein Kampf* (s. 155).
[157] *Mein Kampf*, s. 154, 225-226.
[158] „Często odczuwałem gorzki żal na myśl o narodzie niemieckim, którego jednostki są tak godne szacunku, ale ogół taki marny. Porównanie narodu niemieckiego z innymi wzbudza bolesne uczucia, które staram się przezwyciężyć na wszelkie możliwe

sposoby” (rozmowa z H. Ludenem, 13 grudnia 1813 r., w: *Goethes Gesprache*, Auswahl Biedermann; cytat za: Wilhelm Röpke, *The Solution of the German Problem*, s. 131).

159 Nietzsche znacznie niższy status przypisywał kobietom, sam zresztą nigdy żadnej nie miał. Podobnie postępowali naziści, którzy zarządzili, że ich miejsce jest w kuchni, a główna rola polega na płodzeniu dzieci z niemieckimi wojownikami. Nietzsche ujął ten pogląd w następujący sposób: „Mężczyzna winien być szkolony do wojny, a kobieta do prokreacji wojowników. Wszystko inne to fanaberia”. Ale na tym nie koniec. W *Tako rzecze Zaratustra* pouczał: „Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bata!”. Bertrand Russell skwitował to słowami: „Dziewięć na dziesięć kobiet wyrwałoby mu ten bat, i dobrze o tym wiedział. Dlatego trzymał się od nich z daleka (…)”.

160 Moje własne wspomnienia potwierdza Otto Tolischus w *The Wanted War*, s. 11.

161 *Hitler's Secret Conversations*, s. 198.

162 Choć we Francji to nie nastąpiło.

163 Zobacz jego analizę postaci Chamberlaina w *The Third Reich* (Beaumont, Fried, Vermeil).

164 Powyższa część książki, od Fichtego i Hegla po Chamberlaina, została oparta na dziełach omawianych autorów oraz cytatach i interpretacjach z następujących prac: *German Philosophy and Politics* Johna Deweya; *The German Catastrophe* Friedricha Meinecke; *The Solution of the German Problem* Wilhelma Röpke; *A History of Western Philosophy* Bertranda Russella; *Thus Speaks Germany* pod redakcją W.W. Coole'a i M.F. Pottera; *The Third Reich* pod redakcją Beaumonta, Frieda i Vermeila; *German Nationalism: The Tragedy of a People* Louisa L. Snydera; *German History: Some New German Views* pod redakcją Hansa Kohna; *The Rise and Fall of Nazi Germany* T.L. Jarmana; *Der Fuehrer* Konrada Heidena; *The Course of German History* A.J.P. Taylora; *L'Allemagne Contemporaine* Edmonda Vermeila; *History of Germany* Hermanna Pinnowa. Bezcennym opracowaniem jest też *Bismarck and the German Empire* E. Eycka.

Ograniczenia typowe dla książek takich jak niniejsza nie pozwalają na omówienie sporego wpływu, jaki na III Rzeszę mieli inni niemieccy intelektualiści, których prace cieszyły się w Niemczech popularnością i poważaniem: Schlegel, J. Görres, Novalis, Arndt, Jahn, Lagarde, List, Droysen, Ranke, Mommsen, Constantin Frantz, Stöcker, Bernhardi, Klaus Wagner, Langbehn, Lange, Spengler.

165 *Mein Kampf*, s. 381.

166 *Ibid*., s. 293.

167 *Ibid*., s. 212-213.

168 Zob. s. 111-112.

169 Hegel, *Lectures on the Philosophy of History*, s. 31-32. Cytat za: Bullock, *op. cit.*, s. 351.

170 Cytat za: *The Third Reich*, red. Baumont *et al.*, s. 204-205, fragmenty pochodzą z dwóch dzieł Nietzschego: *Zur Genealogie der Moral* i *Der Wille zur Macht*.

171 Jeżeli chodzi o stosowne cytaty z *Mein Kampf*, zob. wyżej, s. 113.

172 Profesor M.A. Gerothwohl, redaktor pamiętników lorda d'Abernona, jeszcze w 1929 r. dał przypis do relacji ambasadora z puczu piwiarnianego; po wzmiance, że Hitler został skazany na więzienie, dodał: „Po sześciu miesiącach został w końcu zwolniony i był pilnowany przez wymiar sprawiedliwości przez resztę wyroku, tym samym osuwając się

w niebyt”. Lord d’Abernon był brytyjskim ambasadorem w Berlinie w latach 1920-1926 i umiejętnie działał na rzecz wzmocnienia Republiki Weimarskiej.

173 Kurt Ludecke, *I Knew Hitler*, s. 217-218.

174 Baynes (red.), *The Speeches of Adolf Hitler*, t. I, s. 155-156.

175 *Michael* doczekał się publikacji w 1929 r., kiedy Goebbels był już dobrze znanym nazistowskim przywódcą. *Wędrowiec* trafił na deski, gdy Goebbels został ministrem propagandy i stanął na czele niemieckiego teatru. Ale nie był wystawiany zbyt długo.

176 Te wczesne dzienniki, odnalezione przez aliancki wywiad po wojnie, są bogatym źródłem wiedzy na temat tego okresu życia Goebbelsa.

177 Curt Riess, *Joseph Goebbels*, s. 8.

178 Ten cytat i pozostałe zamieszczone tu wspomnienia Hitlera, snute nocą z 16 na 17 stycznia 1942 r., pochodzą z *Hitler’s Secret Conversations*.

179 Później go wykupił, a gdy został kanclerzem, przebudował go z rozmachem, zmieniając nazwę z Haus Wachenfeld na Berghof.

180 Autorytety pokroju Heidena i Bullocka twierdzą, że panie Raubal przyjechały do Haus Wachenfeld w 1925 r., gdy Geli miała 17 lat. Hitler jednak twierdził wyraźnie, że kupił dom dopiero w 1928 r., a następnie: „Od razu zadzwoniłem do siostry do Wiednia z nowinami i błagałem ją, aby była tak miła i przyjęła rolę pani tego domu”. Zob. *Hitler’s Secret Conversations*, s. 177.

181 Heiden, *Der Fuehrer*, s. 384-386.

182 Namalowane po jej śmierci przez Adolfa Zieglera, ulubionego malarza Hitlera.

183 Zob. fascynującą analizę zeznań podatkowych Hitlera opublikowaną przez profesora O.J. Hale’a w „The American Historical Review” (July 1955).

184 Kursywy w deklaracji Hitlera.

185 *Ibid*.

186 *Ibid*.

187 Heiden, *Der Fuehrer*, s. 419.

188 Mowy tej nie ma w zbiorach przemówień Hitlera w edycji Baynesa ani Roussy’ego de Salesa (Hitler, *My New Order*). Została opublikowana, słowo w słowo, w „Völkischer Beobachter” (w specjalnym wydaniu dla Reichswehry) 26 marca 1929 r. i jest obszernie cytowana w: *Blueprint of the Nazi Underground*, „Research Studies of the State College of Washington” (June 1945).

189 Obaj skończą na szubienicy: Sack za udział w spisku przeciwko Hitlerowi z 20 lipca 1944 r., a Frank za to, co w imieniu Hitlera wyprawiał w Polsce.

190 Cytaty pochodzą z „Frankfurter Zeitung”, 26 września 1930 r.

191 Porucznik Scheringer uznał, że Hitler go zdradził i rozgoryczony wyrzekł się Partii Nazistowskiej podczas pobytu w więzieniu, zostając fanatycznym komunistą. W czasie czystki 30 lipca 1934 r. – podobnie jak wielu ludzi, którzy nadepnęli Hitlerowi na odcisk – został wytypowany do likwidacji, ale jakimś cudem zdołał uciec i przetrwał na tyle długo, że doczekał końca Führera. Porucznik Ludin pozostał zapalonym nazistą, w 1932 r. wszedł do Reichstagu, został wysokim rangą oficerem SA, a potem SS i służył jako niemiecki minister przy marionetkowym rządzie Słowacji. Tam podczas wyzwolenia został pojmany i stracony przez Czechosłowaków.

192 *Nazi Conspiracy and Aggresion* [dalej: *NCA*], załącznik A, s. 1194 (Dokument norymberski [dalej: N.D.] EC-440).

[193] Otto Dietrich, *Mit Hitler in die Macht*.
[194] Zeznania Funka, *NCA*, załącznik A, s. 1194-1204 (N.D. EC-440) oraz *NCA*, V, s. 478-495 (N.D. 2328-PS). Wszystkie wypowiedzi Thyssena pochodzą z jego książki pt. *I Paid Hitler*, s. 79-108.
[195] *NCA*, VII, s. 512-513 (N.D. EC-456).
[196] Odpowiednik generała majora w U.S. Army.
[197] Za: Heiden, *Der Fuehrer*, s. 433.
[198] Heiden, *History of National Socialism*, s. 166.
[199] Goebbels, *Kaiserhof*, s. 19-20.
[200] *Ibid*., s. 80-81.
[201] Kilka miesięcy później (29 listopada) napisał do Schleichera: „Kipi we mnie pogarda i gniew, bo zdradziłeś mnie, stary przyjacielu, uczniu, przybrany synu" (zob. Gordon A. Craig, *Reichswehr and National Socialism: The Policy of Wilhelm Groener*, „Political Science Quartelry", June 1948).
[202] Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 243.
[203] Powyższe cytaty pochodzą z: Goebbels, *Kaiserhof*, s. 81-104.
[204] François-Poncet, *op. cit.*, s. 23.
[205] Franz von Papen, *Memoirs*, s. 162.
[206] Papen w swoich wspomnieniach nie napomyka o obecności Schleichera przy tej rozmowie. Natomiast z innych źródeł jednoznacznie wynika, że był tam obecny. Jest to ważne z punktu widzenia dalszych wydarzeń.
[207] *NCA*, załącznik A, s. 508 (N.D. 3309-PS).
[208] Hermann Rauschning, *The Voice of Destruction*.
[209] Tym razem Goebbels nie zaspał, jak 13 sierpnia. Od razu przekazał prasie tę korespondencję i 25 listopada została opublikowana w porannych gazetach. Jest dostępna w *Jahrbuch des Oeffen-lichen Rechts*, t. 21, 1933-1940.
[210] Papen, *op. cit.*, s. 216-217.
[211] *Ibid*., s. 220.
[212] *Ibid*., s. 221.
[213] François-Poncet, *op. cit.*, s. 43. Omyłkowo pisze: „siedemdziesiąt dni".
[214] *NCA*, II, s. 922-924.
[215] Kurt von Schuschnigg, *Farewell, Austria*, s.165-166.
[216] Zeznanie Meissnera, *NCA*, załącznik A, s. 511.
[217] Notatka Hammersteina, Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 280.
[218] *Hitler's Secret Conversations*, s. 404.
[219] Papen, *op. cit.*, s. 243-244.
[220] Oczywiście posiedzenie odbywało się za zamkniętymi drzwiami i jak w przypadku większości narad organizowanych przez Hitlera i jego pomagierów za czasów III Rzeszy (wiele z nich odbywało się w najgłębszej tajemnicy), opinia publiczna nie znała jego przebiegu ani podjętych na nim decyzji, aż do czasu analizy stosownych dokumentów w Norymberdze.

Wiele poufnych dyskusji oraz wynikających z nich decyzji (bez wyjątku uważanych za tajemnice państwowe) zostanie przedstawionych na kolejnych stronach niniejszej książki, która w dalszej części bazuje głównie na dotyczących ich dokumentach. Źródła te, kosztem ryzyka zapchania stron przypisami, będą skrupulatnie wymieniane.

Uważam, że jeszcze nigdy dzieje żadnego państwa w żadnej epoce nie zostały udokumentowane tak gruntownie jak losy III Rzeszy. Uznałem, że zrezygnowanie z odniesień do dokumentów znacznie pomniejszyłoby wartość niniejszej książki jako opracowania historycznego z prawdziwego zdarzenia.

221 *NCA*, III, s. 272-275 (N.D. 351-PS).

222 Goebbels, *Kaiserhof*, s. 256.

223 Zob. zaprzysiężone oświadczenie Georga von Schnitzlera, *NCA*, VII, s. 501 (N.D. EC-439); przemówienia Göringa i Hitlera, *NCA*, VI, s. 1080 (N.D. D-203); przesłuchanie Schachta, *NCA*, VI, s. 465 (N.D. 3725-PS); przesłuchanie Funka, *NCA*, V, s. 495 (N.D. 2828-PS).

224 Goebbels, *Kaiserhof*, s. 269-270.

225 Papen, *op. cit.*

226 Rudolf Diels, *Lucifer ante Portas*, s. 194.

227 Zarówno w czasie przesłuchań, jak i podczas procesu w Norymberdze Göring wypierał się, że miał jakikolwiek udział w podpaleniu Reichstagu.

228 Jeśli chodzi o źródła dotyczące odpowiedzialności za podpalenie Reichstagu, zob. zaprzysiężone oświadczenie Haldera, *NCA*, VI, s. 635 (N.D. 3740-PS); transkrypcja z przesłuchania Giseviusa, 25 kwietnia 1946 r., *Trial of the Major War Criminals* [dalej: *TMWC*], XII, s. 252-253; zaprzysiężone oświadczenie Dielsa, zaprzeczenie Göringa, *TMWC*, IX, s. 432-436, oraz *NCA*, VI, s. 298-299 (N.D. 3593-PS); Willy Frischauer, *The Rise and Fall of Hermann Goering*, s. 88-95; Douglas Reed, *The Burning of the Reichstag*; John Gunther, *Inside Europe* (Gunther brał udział w procesie w Lipsku). Istnieje wiele rzekomych zeznań i wyznań osób twierdzących, że uczestniczyły w podpaleniu Reichstagu przez nazistów albo też posiadają wiedzę na ten temat, ale z tego, co mi wiadomo, żadne z nich nie zostało potwierdzone dowodami. Pewną wiarygodność przypisuje się notatce Ernsta Oberfohrena, nacjonalistycznego deputowanego, oraz Karla Ernsta, berlińskiego przywódcy SA. Obaj zostali zamordowani przez nazistów kilka miesięcy po pożarze.

229 *NCA*, III, s. 968-970 (N.D. 1390-PS).

230 *NCA*, IV, s. 496 (N.D. 1856-PS).

231 *NCA*, V, s. 669 (N.D. 2962-PS).

232 *Dokumente der deutschen Politik*, t. I, 1935, s. 20-24.

233 François-Poncet, *op. cit.*, s. 61.

234 Tekst ustawy: *NCA*, IV, s. 638-639 (N.D. 2001-PS).

235 Ustawy z 31 marca i 7 kwietnia 1933 r. oraz z 30 stycznia 1934 r., wszystkie w: *NCA*, IV, s. 640-643.

236 *NCA*, III, s. 962 (N.D. 1388-PS).

237 Goebbels, *Kaiserhof*, s. 307.

Dokument, który ujrzał światło dzienne w Norymberdze, dowodzi, że naziści planowali zniszczenie związków zawodowych już od pewnego czasu. Tajny rozkaz, datowany 21 kwietnia i podpisany przez Leya, zawierał szczegółowe instrukcje dotyczące „koordynacji" związków dnia 2 maja. SA i SS miały dokonać „zajęcia mienia związków zawodowych" i objąć „aresztem zapobiegawczym" wszystkich ich liderów. Fundusze związków miały zostać skonfiskowane (mowa tu o dokumencie *NCA*, III, s.

380-385 [N.D. 392-PS]). Chrześcijańskich (katolickich) Związków Zawodowych 2 maja nikt nie niepokoił. Ich koniec nadszedł 24 czerwca.

238 Ustawa z 19 maja 1933 r., *NCA*, III, s. 387 (N.D. 405-PS).

239 Goebbels, *op. cit.*, s. 300.

240 N.S. *Monatshefte*, nr 39 (czerwiec 1933).

241 Fragmenty przemówień z 1 i 6 lipca za: Baynes, t. I, s. 287 i 865-866.

242 Mowa o studium pt. „Moje stosunki z Adolfem Hitlerem i partią", napisanym przez admirała Raedera w Moskwie po ujęciu go przez Rosjan, a następnie udostępnionym w Norymberdze. *NCA*, VIII, s. 707.

243 Baynes, t. I, s. 289.

244 Spengler, *Jahre der Entscheidung*, s. VIII.

245 Dyrektywa Blomberga, *TMWC*, XXXIV, s. 487-491 (N.D. C-140).

246 Kilka miesięcy wcześniej, 11 maja, lord Hausham, brytyjski sekretarz stanu ds. wojny, publicznie ostrzegł, że każda próba remilitaryzacji ze strony Niemiec będzie naruszeniem traktatu pokojowego i zgodnie z tym traktatem zostanie ukarana sankcjami. W Niemczech uważano, że sankcje byłyby równoznaczne ze zbrojną inwazją.

247 Wypowiedzi cytowane przez Telforda Taylora w *Sword and Swastika*, s. 41. Dokumenty Seeckta znajdują się obecnie w National Archives w Waszyngtonie.

248 Źródłem na temat „paktu z *Deutschlanda*" jest *Weissbuch über die Erschiessung des 30 Juni, 1934* (Paryż, 1935), s. 52-53. Herbert Rosinski w *The German Army*, s. 222-223, potwierdza warunki paktu. Bullock i Wheeler-Bennett przyjęli je w swoich pracach. Źródłem co do narady generałów z 16 maja jest *Histoire de l'Armée Allemande depuis l'Armistice* Jacques'a Bénoist-Méchina, t. II, s. 553-554.

249 *Rede des Vizekanzlers von Papen vor dem Universitaetsbund, Marburg, am 17 Juni, 1934* (Berlin: Germania-Verlag).

250 Papen, *op. cit.*, s. 310.

251 *NCA*, V, s. 654-655 (N.D. 2950-PS).

252 Proces monachijski z 1957 r. był dopiero pierwszą okazją, podczas której świadkowie i uczestnicy wydarzeń z 30 czerwca 1934 r. mogli publicznie zabrać głos. Za III Rzeszy nie było to możliwe. W 1934 r. Sepp Dietrich, którego autor wspomina jako jednego z najbrutalniejszych ludzi w całym reżimie nazistowskim, dowodził ochroniarzami Hitlera i to on kierował egzekucjami w więzieniu Stadelheim. Podczas wojny został generałem pułkownikiem Waffen-SS. Został skazany na 25 lat więzienia za współudział w morderstwie amerykańskich jeńców podczas bitwy o Ardeny. Po 10 latach został wypuszczony, a w 1957 r. sprowadzono go do Monachium, gdzie 14 maja skazano go na 18 miesięcy odsiadki za udział w egzekucjach 30 czerwca. Wyroki Dietricha i Michaela Lipperta, skazanego za to, że był jednym z dwóch esesmanów, którzy rzeczywiście zabili Röhma, to pierwsze kary nazistowskich katów biorących udział w czystce.

253 Kate Eva Hörlin, była żona Williego Schmida, opowiedziała o śmierci męża w zaprzysiężonym oświadczeniu złożonym 7 lipca 1945 r. w Binghamton w stanie Nowy Jork. W 1944 r. otrzymała amerykańskie obywatelstwo. Aby zamieść tę zbrodnię pod dywan, wdowę odwiedził sam Rudolf Hess, który przeprosił za „pomyłkę" i zapewnił jej rentę od rządu. Wspomniane oświadczenie znajduje się w: N.D. L-135, *NCA*, VII, s. 883-890.

[254] Ci dwaj oficerowie kontynuowali wysiłki na rzecz oczyszczenia dobrego imienia Schleichera i Bredowa. Podczas tajnego spotkania przywódców armii i partii 3 stycznia 1935 r. w Berlinie udało im się nakłonić Hitlera, aby przyznał, że zabicie obu generałów było „błędem", i zgodził się na powrót ich nazwisk na honorowe listy członków ich byłych pułków. Ta „rehabilitacja" nigdy nie została w Niemczech ogłoszona publicznie, ale została uznana w korpusie oficerskim (zob. Wheeler-Bennett, *The Nemesis of Power*, s. 337).

[255] To zastanawiające i być może wymowne, że właśnie wtedy Hitler awansował Oskara z pułkownika na generała majora. Zob. wyżej, s. 181.

[256] Papen, *op. cit.*, s. 330-333.

[257] Od lutego 1933 r. do wiosny 1937 r. liczba zarejestrowanych bezrobotnych spadła z 6 milionów do niespełna miliona.

[258] Ponadto, co także stało w kontraście z ZSRR, Niemcy pozwalały swoim obywatelom, nie licząc kilku tysięcy osób znajdujących się w czarnej księdze tajnej policji, podróżować za granicę, choć wyjazdy były dotkliwie ograniczone restrykcjami pieniężnymi, gdyż w kraju brakowało obcych walut. Natomiast restrykcje nie były surowsze od tych, którym po 1945 r. poddani zostali obywatele brytyjscy. Nazistowscy przywódcy nie obawiali się, że przeciętny Niemiec zostanie skażony „antynazizmem", jeśli odwiedzi jakiś demokratyczny kraj.

[259] Autor napisał depeszę prasową, w której informował, że część antysemickich znaków została usunięta na czas igrzysk. Został za to gwałtownie zaatakowany w niemieckich gazetach i radiu oraz grożono mu wydaleniem z kraju.

[260] 2 czerwca 1945 r. w orędziu przed Kolegium Kardynałów papież Pius XII bronił podpisanego przez siebie konkordatu, natomiast narodowy socjalizm, na którym się później poznał, nazwał „apostazją od Jezusa Chrystusa, wyrzeczeniem się jego nauk i jego dzieła zbawienia, kultem przemocy, bałwochwalstwem rasy i krwi, obaleniem ludzkiej wolności i godności".

[261] Leo Stein, *I Was in Hell with Niemöller*, s. 80.

[262] Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, już w tym miejscu można zaznaczyć, że autor też jest protestantem.

[263] Neumann, *Behemoth*, s. 109. Neumann stwierdził, że cytaty pochodzą z projektu badawczego pt. „Antysemityzm" Institute of Social Research, opublikowanego w „Studies in Philosophy and Social Science", 1940.

[264] Rauschning, *The Voice of Destruction*, s. 54.

[265] Stewart W. Herman Jr., *It's Your Souls We Want*, s. 157-158. Herman był pastorem Kościoła amerykańskiego w Berlinie w latach 1936-1941.

[266] Tekst 31 punktów zob. Herman, *op. cit.*, s. 297-300, a także „New York Times" z 3 stycznia 1942 r.

[267] Ziegler zawdzięczał swą pozycję tej szczęśliwej dla niego okoliczności, że namalował portret Geli Raubal.

[268] Prywatny przychód Amanna wystrzelił ze 108 tysięcy marek w 1934 r. do 3,8 miliona w 1942 (List do autora od profesora O.J. Hale'a, który zbadał zachowane dokumenty nazistowskiego wydawnictwa).

[269] Oświadczenie z 19 listopada 1945 r., *NCA*, V, s. 735-736 (N.D. 3016-PS).

[270] Większość zagranicznych korespondentów pracujących w Berlinie przechowuje zbiory takich perełek. Ja swój straciłem. Cytaty pochodzą z: Philipp Lenard, *Deutsche Physik*, wstęp; Wallace Deuel, *People under Hitler*; William Ebenstein, *The Nazi State*.

[271] Wilhelm Röpke, *The Solution of the German Problem*, s. 61.

[272] Cytat za: Frederic Lilge, *The Abuse of Learning: The Failure of the German University*, s. 170.

[273] Amerykańskie korzenie Schiracha zostały opisane przez Douglasa M. Kelleya, amerykańskiego psychiatrę pracującego w norymberskim więzieniu podczas procesów, w książce *22 Cells in Nuremberg*, s. 86-87.

[274] *Reichsgesetzblatt*, 1936, cz. 1, s. 933. Cytat za: *NCA*, III, s. 972-973 (N.D. 1392-PS).

[275] Zob. jego książkę *Basic Facts for a History of German War and Armament Economy.* Cytat za: *NCA*, I, s. 350 (N.D. 2353-PS).

[276] Raport ministerstwa z 30 września 1934 r., *NCA*, VII, s. 306-309 (N.D. EC-128); raport Schachta z 3 maja 1935 r., *NCA*, III, s. 827-830 (N.D. 1168-PS); tekst tajnej ustawy obronnej, *NCA*, IV, s. 934-936 (N.D. 2261-PS).

[277] *NCA*, VII, s. 474 (N.D. EC-419).

[278] Thyssen, *I Paid Hitler*, s. XV, 157.

[279] Cytat za: Neumann, *Behemoth*, s. 432.

[280] Ebenstein, *op. cit.*, s. 84.

[281] *NCA*, III, s. 568-572 (N.D. 787, 788-PS).

[282] *The Third Reich*, red. Beaumont *et al.*, s. 630.

[283] To sformułowanie Eugena Kogona. Zob. jego *Der SS Staat – das System der deutschen Konzentrationslager.* Po angielsku ukazała się nieznacznie skrócona wersja *The Theory and Practice of Hell*. To najlepsze jak dotąd opracowanie na temat niemieckich obozów koncentracyjnych. Kogon spędził w nich siedem lat.

[284] Cytat za: *NCA*, II, s. 258 (N.D. 1852-PS).

[285] *NCA*, VIII, s. 243-244 (N.D. R-142).

[286] Ustawa o odbudowie Rzeszy z 30 stycznia 1934 r. oraz trzy antysemickie ustawy norymberskie z 15 września 1935 r.

[287] „Völkischer Beobachter”, 20 maja 1936 r.